

Powrót Czarnego

Część 1

Ksiądz Andrzej dotrzymał obietnicy danej Czarnemu po bitwie grunwaldzkiej i dzięki jego wstawiennictwu Hubert został wpisany przez kanclerza Trąbę już na pierwszą listę zasłużonych, którym wdzięczny król okazywał swą szczodrość. Umieszczeni na tej liście otrzymali urzędy i godności, nadania dziedziczne z królewskich dóbr lub dzierżawy ceł czy też inne źródła dochodów.

Czarny dostał z królewskiej kancelarii tytuł dziedzicznej własności na dobra Czepiele położone nad Wełnianką w ziemi chełmskiej, wraz z przynależną do nich dużą wsią, liczącą ponad czterdzieści dymów.

Nie mógł od razu objąć darowizny, gdyż ksiądz Andrzej zatrzymał go jeszcze przy sobie na czas działań oblężniczych pod Malborkiem. Kiedy jednak we wrześniu zaniechano oblężenia, otrzymał zwolnienie ze służby. Jaksza natomiast odjechał już wcześniej wraz z kniazem Witoldem, gdyż jako pan na Niemierzy został równocześnie członkiem dworu wielkiego księcia.

Hubert pozostawił więc żonę w Sośnicy, a sam, ciekaw niezmiernie, czym obdarzył go los i królewska łaskawość, zabrawszy ze sobą Dzieweczkę oraz dawnych pachołków, Jurgę i Włodka, którzy byli teraz jego pocztowymi, ruszył w drogę.

Kiedy dotarł do celu i już z daleka ujrzał swą majątność, przekonał się, że dar był wspanialszy niż się spodziewał.

Na tle jasnej zieleni rozległych łąk wił się ciemny sznur olch obrastających oba brzegi Wełnianki. Jej wody połyskiwały tylko tu i ówdzie pomiędzy ich pniami, gdyż nurt krył baldachim gałęzi. Ów cienisty korytarz kończył się przed rozległym morzem falujących trzcin okrążających wzgórze, na którym pomiędzy drzewami widać było ściany gospodarskich budynków, otoczonych ziemnym wałem z palisadą. Prowadząca do niego droga pokonywała szerokim łukiem stok wzgórza i niknęła w rozwartych wrotach sambora, niczym wessana przez jego wnętrze.

Widok ten ucieszył serce Czarnego, toteż niecierpliwie trącił konia i ruszył cwałem pociągając za sobą towarzyszy.

Wiść o przejściu dóbr czepielowskich z królewskiej ręki w ręce rycerskie wyprzedziła przyjazd ich właściciela, toteż czeladź na majdanie, ujrawszy jeźdźców, domyśliła się, kto przybył, i kilku pachołków kopnęło się, by na wyścigi odbierać wierzchowce.

Wkrótce też z ukrytego między kilku dębami budynku wybiegł niski, zażywny jegomość o okrągłym rumianym obliczu z parą sumiastych wąsów i zbliżywszy się do Czarnego z rozmachem zdjął lisią czapę w geście powitania.

— Zapewne mam honor z wielmożnym panem Hubertem z Borów? Już mi wiadomo, że mam przekazać majątność w wasze ręce... Zwę się Kleczkowski, herbu Wczele — zaznaczył z naciskiem, po czym dorzucił:

— *Dotychczasowy królewski zarządca!*

— *Rad waćpana witam — Hubert wyciągnął rękę. — Ciekaw jestem gospodarstwa, toteż od razu pragnę je obejrzeć!*

— *Od razu? — zdziwił się Kleczkowski. — Nie zechcecie wpierv się ogarnąć po podróży i nieco pokrzepić? Zaprowadzę was na pokoje. Dom zwolniłem, przenosząc się do oficyny.*

Przykażcie dać pomieszczenie moim pocztowym, tak abym miał ich w pobliżu, i niech się pokrzepią, bo ja mam na to czas! Prowadź mnie, waćpan, w obejście, bo wprzódy chcę zaspokoić ciekawość, potem głód!

Zarządca wydał polecenie, po czym poprowadził Czarnego ku gospodarskim budynkom.

Sporo czasu zajęły Hubertowi oględziny stajen, obór, chlewów i spichrzów, a potem dworskiej warzelni piwa, kuźni i innych warsztatów wskazujących na samowystarczalność gospodarstwa, przy czym z coraz większym uznaniem oceniał gospodarską rękę zarządcy. Jedynie stan wału i wieńczącej go palisady, jak i zasobność zbrojowni wzbudziły jego zastrzeżenia. Jednak nie dziwił się temu, gdyż pan Kleczkowski, choć dobry gospodarz, co widać było na każdym kroku, wyraźnie nie był człowiekiem wojennego rzemiosła.

Kiedy skończyli już przegląd, Czarny ruszył ku domowi, ciekaw z kolei, co w nim znajdzie, jednocześnie z zadowoleniem myśląc o czekającym go posiłku. Towarzyszący mu zarządca w pewnej chwili obrzucił go zafrasowanym spojrzeniem i odezwał się z wahaniem:

— *Zapewne wasza wielmożność sam zajmie się gospodarstwem i ja nie będę potrzebny. Ale zima się zbliża i o nową służbę teraz trudno, śmiem przeto prosić o zezwolenie na pozostanie tu do wiosny, tym bardziej że nie jestem sam, ale żonę i dzieciaki mam na głowie...*

Czarny, zdziwiony tą prośbą, aż przystanął w miejscu.

— *Skąd waćpanu przyszło do głowy, że chcę sam gospodarzyć? Wcale nie zamyslam rozstawać się z waćpanem, zwłaszcza gdym obejrzał obejście! Razem będziemy sobie radzić, dopóki będę mógł siedzieć spokojnie! Alem ja człek wojennego rzemiosła, a wici mogą każdego dnia nadlecieć, niechże wtedy wojuję spokojny o chudobę! Zatem, jeśli wola, możesz waćpan zostać!*

Oblicze pana Kleczkowskiego stało się jeszcze bardziej czerwone, a kiedy przemówił, głos zdradzał wzruszenie.

— *Wielce waszej wielmożności dziękuję! Przywykłem do tej ziemi, bo piętnaście lat na niej siedzę! A i mej żonie odjąłeś wielką zgryzotę, toteż służby swoje będę pełnił wdzięcznym sercem!*

I tak pan Kleczkowski pozostał jako zarządca, zajmując trzy pokoje w oficynie. Pozostałe izby dostali Dzieweczka, któremu z czasem Hubert powierzył nadzór nad stajniami, oraz Jurga i Włodek, mający pieczę nad zbrojownią jak i ćwiczeniem dworskich pachotków we władaniu bronią.

Także dom mieszkalny, skryty za szerokim kręgiem otaczających go drzew, ze swymi obszernymi i licznymi komnatami, choć o niskich, belkowanych sufitych i małych, zaciągniętych błonami oknach, bardzo przypadł Czarnemu do serca. Widział już w nim krzątającą się Unę i plączących się pod nogami malców.

Głównymi bowiem pasażerami karocy, która wraz z taborem wozów przyjechała z Sośnicy, były dwa bliźniacze brzdące — Roch i Lech. Przyszli na świat nieco wcześniej niżby należało się tego spodziewać po dacie ślubu, ale nikt jakoś nie zwrócił na to uwagi. Może dlatego, że nikt nie wiedział o owej nocnej burzy rozszalałej nad Koronowskim Jeziorem pamiętnego roku 1409.

I tak zaczęło się bytowanie młodej pary z synkami w nowo założonym gnieździe, które dzięki królewskiej szczodrości zapewniało dostatek godny pasowanego rycerza, choć niewolne od trosk, gdyż przerywały je wzywające do wojny wici. Toczono je z Zakonem i dopiero w 1422 roku zakończono pokojem melneńskim, który położył kres temu ciągowi zbrojnych najazdów.

Czarny brał udział we wszystkich, ale wracał z nich cało ku radości wciąż jednakowo miłującej go małżonki. Jedynym poważnym ciosem, jaki ją spotkał, była śmierć matki w 1416 roku. Una jako jedynaczka została spadkobierczynią Sośnicy, ale za namową swoich dwóch wujów i zgodą Huberta sprzedała te dobra. Część tej sumy Czarny przeznaczył od razu na

prace związane z podniesieniem wałów, otoczeniem ich fosą, wykorzystując wody Wełnianki, postawieniem nowej, silnej palisady bo stara w wielu miejscach była już zmurszała, wreszcie zwalenie dotychczasowego sambora i wymurowaniem kamiennej bramy z dwoma basztami, na które zaciągnął sprowadzone aż z Gdańska bombardy.

Przeciw tym ekspensom protestował wprawdzie pan Kleczkowski twierdząc, że są one zbędne, gdyż nic nie zagraża spokojowi chełmskiej; ziemi, więc lepiej pieniądze spożytkować na powiększenie włości, wszakże Czarny, pomny kaprysów losu i pełen troski o bezpieczeństwo rodziny, mało co sobie z tych utyskiwać robił.

Jednak pragnienie pana Kleczkowskiego podniesienia dochodowości gospodarstwa zostało również wkrótce zaspokojone, kiedy to jeden z najbliższych sąsiadów w czasie wojny golubskiej dostał się do niewoli krzyżackiej. Wyznaczony okup był wysoki, gdyż ci umieli zdobyć informacje dotyczące stanu majątkowego swoich jeńców. Rodzina więc powzięła decyzję sprzedania części dóbr. Zakon jak zwykle żądał zapłaty natychmiastowej, sprzedaż zaś całkowicie za gotowiznę nie była rzeczą łatwą. Ale właśnie Hubert mógł ją wyłożyć, toteż wkrótce wszedł w posiadanie, i to za niską cenę, wsi o trzydziestu dymach oraz kilkuset łanów ziemi ornej. A także, co sprawiło mu największą radość, sporych; obszarów leśnych, które znacznie rozszerzyły jego tereny łowieckie.

Wreszcie, po wojnie 1422 roku, nastął pokój. Do tego zaś czasu] Czarny i Una tylko dwa razy byli u Jaksów na Litwie i tyleż razy gościli ich u siebie. Zyta w 1414 roku powiła córeczkę, o której urodzie ze względu na wiek jeszcze nie można było wiele powiedzieć. Spotkania te dały możliwość już w pełni dojrzałym mężom do wspomnienia młodzińskich przygód, wielkiej grunwaldzkiej rozprawy, a także wybitnej postaci ówczesnego kanclerza, Mikołaja Trąby, obecnie prymasa Polski. W szczególności jednak wspominali opartą na lasce, niepozorną, milczącą postać księdza Andrzeja, nie wiadomo dlaczego wzbudzającego wielki respekt, jeśli nawet nie strach.

Właśnie w roku 1422 w czasie rozmów pokojowych prowadzonych, we wrześniu na jeziorze Melno, od czego zawarty pokój zwano melneńskim, Czarny, należący do przybocznej straży królewskiej, spotkał księdza Andrzeja. Przebywał on nadal w otoczeniu już wielce podupadłego na zdrowiu Jego Eminencji prymasa Mikołaja Trąby.

Hubert nie ukrywał radości ze spotkania i rad stwierdził, że ksiądz Andrzej również ją okazał, zresztą w sposób sobie właściwy. Spędzili potem blisko godzinę na przyjacielskiej rozmowie, w czasie której Czarny, opisując mu Czepiele i warunki bytowania, w serdecznym odruchu poprosił księdza, by raczył go odwiedzić w sposobnym dla siebie czasie.

W pierwszej chwili proboszcz nic nie odpowiedział. Milczał przez pewien czas w zadumie, wreszcie burknął jakby od niechcenia:

— Rad jestem, że chcesz mnie gościć, ale nie czas o tym mówić, bo Jego Eminencja w oczach niknie... Teraz więc nie mogę go opuścić...

Było to tylko połowiczne odrzucenie propozycji, toteż kiedy w grudniu rozeszła się wieść o śmierci prymasa, Czarny ciekaw był, czy ksiądz Andrzej będzie pamiętał o zaproszeniu i da jakiś znak.

Istotnie, gdzieś w połowie kwietnia otrzymał od niego list z zapowiedzią odwiedzin, ale dopiero kiedy nastaną cieplejsze dni i drogi wyschną na dobre.

Czarny od razu przykazał przygotować dla gościa wygodną komnatę i zaczął oczekiwać jego przybycia.

Zjawił się rzeczywiście pod koniec maja z zamiarem tygodniowego pobytu. Ale widać i jemu podobały się Czepiele oraz nastrój panujący w domu, bo, zapraszany gorąco, zgodził się raz, potem drugi przedłużyć pobyt. Ostatecznie zaś został na stałe, kiedy to Czarny po radzie z Uną uprosił go o objęcie pieczy nad kształceniem chłopców, którzy będąc już wyrostkami, nie umieli więcej niż mogła ich nauczyć przyklasztorna szkoła w Chełmie.

Nastał październik i dni, choć jeszcze słoneczne, były już chłodne, toteż w obszernej jadalni, najokazalszej komnacie domu, palił się na kominku suty ogień.

Po skończonej wieczerzy, kiedy uprzątnięto już ze stołu, Una wyszła, by dać ochmistrzowi dyspozycje na następny dzień. Obaj zaś chłopcy, a właściwie młodzieńcy, urodziwi i rośli jak młode dębczaki, tak podobni do siebie, że odróżnić ich było trudno, ruszyli do swojej izby, by przygotować się do jutrzejszych lekcji, do czego skłaniał respekt, jaki mieli dla księdza Andrzeja. Hubert mimo to miał jednak wątpliwości, czy istotnie przyłożą się do nauki, czy też raczej poświęcą czas na sprawdzenie rynsztunku do obiecanego na rano polowania.

Mimo że od bitwy grunwaldzkiej minęło już osiemnaście lat i Czarny przekroczył czterdziesty rok życia, mało co się zmienił. Może przybrał nieco

na wadze, ale po dawnemu był silny i sprawny, jak za lat młodzieńczych, choć już zaczęły siwieć mu skronie, a w kątach powiek pojawiły się drobne zmarszczki.

Natomiast wygląd księdza Andrzeja niemal niczym nie świadczył o upływie czasu. I jemu przybyło wprawdzie trochę siwych włosów, ruchy miał nieco wolniejsze i jakby bardziej ostrożne, ale twarz była równie sucha, ściągła jak kiedyś, głos twardy i ostry, a ręka dzierżyła laskę bez drżenia.

Pozostali sami w komnacie. Na stole w lichtarzu paliły się świece, żółte światło mieszało się z czerwonym blaskiem bijącym od buzującego na kominku ognia. Ksiądz Andrzej, wsparłszy obie dłonie na lasce, siedział pochylony do przodu w fotelu i w milczeniu wpatrywał się w tańczące po bierwionach płomienie. Czarny jakiś czas bawił się i z psami, wreszcie przerwał te igraszki i odezwał się:

— Ciekawe nam rzeczy opowiadał wczoraj ten Mszczug z Krzyków. Po wyprawie na Psków, teraz drugą, na Nowogród Wielki, Witold przedsięwziął. Jeśli to prawda, co mówił Mszczug, z kolei nowogrodzianie złożyli mu ogromny okup!

— Ale grodu nie oddali... — proboszcz z wolna obrócił głowę do Huberta. — Pieniądze, jak przyszły, tak pójdą, natomiast Nowogród tylko pozornie został zhołdowany...

— Wszakże przymierze i posłuszeństwo zaprzysiągł, a to znacznie j przydało i sławy, i siły wielkiemu księciu, bo zabezpieczył sobie wschodnią granicę.

— Bez wątpienia, ale wzmoże to obawy Zakonu i obudzi czujność cesarza Zygmunta, który i bez tego wciąż mota na nas sieci...

— Wszakże, jak mówił Mszczug, ma on teraz dość kłopotów z Czechami. Jeszcze ponoć żadnej bitwy z nimi nie wygrał, a przeciwnie, wiele mu klęsk taboryci zadali, i to tak krwawych, że strach padł na pozostałe wojska, a także na niemieckich książąt!

— Turków też ma na karku — uzupełnił proboszcz — i jeśli istotnie można wierzyć temu sąsiadowi, uciekł przed nimi. To krętacz polityczny, wprowadzie bystry, przebiegły, ale i zdradliwy; jednak wódz z niego żaden. Zbyt bojaźliwy.

— No właśnie! To przecież przez niego zginął tak znakomity rycerz, jak Zawisza z Grabowa! Jeszcze wzburzenia z powodu tej wieści nie mogę

opanovać! Cóż za niecny tchórz z tego Zygmunta, że pozostawił swoich bez wsparcia na drugim brzegu Dunaju, a sam z resztą wojska uciekł sromotnie!

— Raczej dziwiłbym się, gdyby postąpił inaczej... — mruknął proboszcz. — Nawet Zakon, który niby wiernie wspiera, nie wierzy już żadnym jego obietnicom czy przysięgom. Żal tylko, że przez takiego człowieka zginął spiski starosta.

— Rycerski honor przełożył ponad życie, isticie godny sławy, jaką zdobył w całej Europie...

Zamilkli obaj, widać krążąc jeszcze myślami wokół tej śmierci. Milczenie przerwał Czarny, zmieniając temat:

— A nasz pan jak zwykle Kraków ominął i z Rusi udał się wprost do Niepołomic.

— Istotnie, w ostatnich latach tylko raz przez trzy miesiące przebywał na Wawelu. Myślę, że tam wszystko zbyt mu przypomina Jadwigę.

— Zapewne i sprawy państwa zmuszają go do odbywania ciągłych podróży, tym bardziej że nie lubi długo przebywać w jednym miejscu. Wszakże zimę spędza stale na ukochanej Litwie, mimo podeszłego wieku chętnie polując...

Znów zamilkli. W na pół mrocznej komnacie słychać było tylko trzaskanie ognia na kominku. Te nikle odgłosy zakłócił w pewnej chwili szybki tupot nóg, w drzwiach ukazał się pacholek zdradzający podniecenie.

— Wasza wielmożność... — wydyszał. — Przybył goniec z Litwy!

Czarny żywo obrócił się ku niemu.

— Dawaj go! — rzucił krótko.

— Ciekawe, od kogo przybywa? — zastanowił się proboszcz.

— Chyba tylko od Jaksy... Któż inny mógłby przesyłać mi wiadomości? Oby tylko nie były złe... — zafrasował się Hubert myśląc o Zycie.

Jednak na dalsze domysły nie było już czasu, bo na progu stanął młody, krępy blondyn i nie zważając na psy, które z ujadaniem rzuciły mu się do nóg, skłonił się, wyjmując jednocześnie z zanadru kaftana pismo zamknięte pieczęcią.

— Od kogo przybywasz? — Hubert uciszył psy i wpatrywał się w twarz posłańca, która wydała mu się znajoma.

— Od wielmożnego pana Jaksy...

— *Wszyscy zdrowi?! Pani także?*

— *Zdrowi, wasza wielmożność... Pani kazała przekazać wam osobne pozdrowienia...*

Hubert, już spokojniejszy, odebrał podane mu pismo, jednocześnie przyglądając się młodzieńcowi.

— *Ja cię chyba skądś znam? Jak się zwiesz?*

Ja was, panie, także jeszcze z Rubieży pamiętam! Tomasz mi na imię.

— *Tomek! — wykrzyknął Hubert. — Zatem i ty przebywasz w Niemierzy?*

— *Po dawnemu służę wielmożnej pani.*

— *Dajcie mu wieczerzę i izbę, niech wypocznie! polecił Czarny pachotkowi. — Potem go wezwę, bom ciekaw, co dzieje się u nich!*

Po wyjściu gońca Czarny złamał pieczęcie i rozłożył arkusz szarego papieru. Wewnątrz był drugi, nieco mniejszy. Szybko przebiegł oczami list, po czym zaczął go czytać na głos.

Jaksa po wstępnych pozdrowieniach pisał:

„Nie chcę pismu powierzać spraw, które pióra nie lubią. Wszakże na tyle są ważne, że nie waham się prosić Cię o jak najrychlejsze przybycie do Niemierzy. Tam będę Cię oczekiwał albo dowiesz się od Zyty, gdzie przebywam. Oszczędziłbym Ci tej mitręgi, gdyby nie waga spraw, które chcę z Tobą obgadać, a potem, jak dawniej, może pospołu, im zaradzić. Toteż żywię nadzieję, że kiedy spotkamy się, sam osądzisz, czy należało narażać Cię na trudy tak dalekiej podróży. Zresztą upewni Cię w tym pismo samego wielmożnego Mikołaja Cebulki, sekretarza wielkiego księcia, którego już spotkałeś w przeszłości. Kieruje go do wielbnego proboszcza Andrzeja prosząc, by również przybył, gdyż wysoko sobie ceni jego rozum i doświadczenie, a także wierność, z jaką służył obu naszym władcom.

Ściskam Cię jak najkrzepiej, a Zyta wraz z naszą Aldoną mocno Was wszystkich całują”.

List kończył się podpisem „Rudy”, jakby Jaksa, używając dawnego przezwiska, chciał wywołać skojarzenie z charakterem sprawy.

List Cebulki był krótszy i zawierał następującą treść:

„Wielce mi miły, wielbny bracie Andrzeju!

Lata naszej wspólnej pracy dały mi możliwość przekonać się, jak bardzo można polegać na Twoim doświadczeniu i bystrości umysłu. Tak więc teraz, gdy te przymioty tak bardzo są nam tu potrzebne, tuszę, że pomocy nie odmówisz i mimo lat, jakie dźwigasz, podejmiesz trud podróży. Toteż już teraz cieszy mnie chwila, kiedy będę mógł cię ujrzeć...”

— *Patrzcie no, wiek mi wypomina! — prychnął proboszcz składając pismo książeckiego sekretarza.*

— *Ciekawi mnie przyczyna wysłania tego listu — zastanawiał się głośno Czarny.*

— *Podpisał go „Rudy”, by nawiązać do dawnych czasów. Muszą tam mieć kłopoty podobne tym, z jakimi borykaliśmy się przed dwudziestu laty...*

— *Zatem znów mam pchać się w tarapaty, i to gdy czterdziestka siedzi na karku? — rozłościł się Hubert, może dlatego, że dostrzegł już konieczność podróży.*

— *No, czterdziestka to nie sześćdziesiątka — zakpił proboszcz zerkając spod oka na Huberta. — A na sprawności ci nie zbywa — dorzucił z uśmiechem.*

— *Z tego sędzę, że ksiądz proboszcz zamierza jechać?*

— *Sam jednak nie pojedę...*

— *Ciekawe, co na to powie Una... — mruknął Czarny zdradzając tym, że decyzję już podjął.*

— *Na pewno zatrzymywac cię nie będzie, na tyle ją znam. Raczej ustalmy, w ile koni jechać?*

— *Zabiorę ze sobą Dzieweczkę, obu pocztowych i ze dwóch pachołków, to wystarczy.*

— *Hm... — Ksiądz Andrzej zastanawiał się przez chwilę, po czym podjął: — Ja bym pocztowych nie brał. Ktoś musi mieć zbrojną pieczę nad dworem...*

— *I jechać w pięciu?*

— *Nie, ale zamiast pocztowych zabierz synów. Pora, aby ruszyli z domu i ujrzeni nieco więcej niż zabudowania Chełma!*

Podróż może być niebezpieczna, a i nasz pobyt na Litwie także...

— *Tym bardziej więc niech jadą. Dość chowania się pod domową strzechą! Polowania to nie to samo.*

— *Dobrze, zatem niech jadą! Ale tym trudniejszą będę miał przeprawę z Uną!*

— *Jakoś sobie poradzisz. A jechać musimy, bo takiego wezwania należy usłuchać.*

Hubert już bez słowa ruszył ku drzwiom i uchylwszy je wrzasnął:

— *Jasiek! — Wołaj do mnie obu paniczów, Dzieweczkę, a także Jurgę i Włodka, bo z nimi też chcę gadać!*

Kończył wydawać polecenie, gdy do jadalni wbiegła przejęta Una.

— *Bert, usłyszałam przed chwilą, że przybył goniec z Niemierzy?! Czy to prawda?!*

— *Prawda — potwierdził Czarny, po czym dał żonie do przeczytania oba listy.*

— *Powinieneś jechać — oświadczyła po zaznajomieniu się z ich treścią. — Czy ksiądz proboszcz jedzie również?*

— *A także obaj chłopcy. Muszą ujrzeć nieco świata i zetknąć się z innymi ludźmi niż nasi sąsiedzi.*

Ujrzał w oczach żony sprzeciw, ale odezwała się spokojnie.

— *Chyba masz rację. Kiedy jedziecie?*

— *Jutrzejszy dzień przeznaczam na przygotowania. Chcę wyruszyć nazajutrz o świcie.*

— *Kogo jeszcze bierzesz?*

— Dziewczkę i dwóch pachotków. Jurgę i Włodka zostawiam z poleceniem, by objęli komendę nad czeladzią i czuwali nad twoim bezpieczeństwem.

— A sprzęt i żywność, zimowy przyodziewek, kto powiezie?

Czarny uśmiechnął się rzucając proboszczowi porozumiewawcze spojrzenie.

— Skarb taka żona, księżu proboszczu — rzucił z uznaniem. — Prawdę mówiąc, jakoś właśnie o tym nie pomyślałem. Trzeba będzie brać i juczne konie.

Weź raczej wóz. Znacznie pojemniejszy, a jazdy nie opóźni bardziej niż konie z jukami. Zaprzęg rada bym poprowadzić sama... — spojrzała pytająco na męża.

— Wóz istotnie będzie ładowniejszy, ale tobie prowadzić nie przystoi. Zresztą zima za pasem i mitręga takiej podróży nie dla niewiasty. Lepiej ostań i dopilnuj domu. Nie spodziewam się, abyśmy przebywali na Litwie dłużej niż do wiosny.

— Tak bym chciała zobaczyć Zytę... — próbowała jeszcze protestować Una, ale już bez przekonania.

— Na wasze babskie gadanie, gołąbeczko, jeszcze przyjdzie czas...

Dwór Niemierza także stał na wzgórzu, ale na mniejszej płaszczyźnie niż Czepiele, toteż jego budynki widoczne za ostrokołem były bardziej ściśnięte, a podwórzec nie tak duży. Natomiast położony wśród borów, tylko z jednej strony miał otwartą przestrzeń uprawnych pól, bo z trzech pozostałych otaczała go rzeczka o bagnistych brzegach, zarośniętych gęsto sitowiem. Dalej stała ściana potężnych drzew puszczy, której głębię wypełniała ponura i groźna mroczność.

Toteż tylko od strony otwartego pola już Jaksza przekopał fosę i usypał obronny wał, łączący prostą linią oba bliskie ramiona rzeki.

Mały orszak Czarnego minął rozwartą bramę i wjechał na majdan. Tomek od razu pobiegł powiadomić panią o przyjeździe jej brata, toteż Zyta wybiegła im naprzeciw. Po gorących uściskach zasypała go pytaniami o Unę, Czepiele i ich podróż.

Mało co zmieniła się od dawnych, dramatycznych czasów. Wprawdzie przebyte lata pozostawiły nieco śladów na twarzy, ale pozostała szczupła sylwetka, a ciemne oczy błyszczały jak kiedyś młodzieńczym blaskiem.

Od razu zawiadomiła go, że Jaksy nie ma, ale prosił, by odetchnąwszy po podróży ruszyli spiesznie do Wilna, gdzie już przebywa, przy boku pana Cebulki, na dworze wielkiego kniazia. Wkrótce jednak Witold ma wyruszyć do Żytomierza na polowania i tam oczekiwać na króla Władysława. A i tę wiadomość miała przekazać tylko Czarnemu, bo nie była przeznaczona dla obcych uszu.

Izba zajmowana w zamku wileńskim przez Mikołaja Cebulkę, herbu Cielepiele, długoletniego zaufanego sekretarza i doradcę wielkiego księcia Witolda, ani wielkością, ani bogactwem wyposażenia nie odpowiadała ważności jego funkcji i znaczeniu osobistemu, jakim cieszył się na dworze. Łoże przykryte niedźwiedzim futrem stało w rogu, obok klęcznik z Ukrzyżowanym rzeźbionym w kości. W pobliżu zaciągniętego rybim pęcherzem okna wiele miejsca zajmował stół, pokryty papierami, parę gęsich piór leżało przy kałamarzu i naczyniu z miałkim piaskiem, a w wielkim lichtarzu paliły się świece dostatecznie oświetlając izbę. Jedyłą oznaką dostatku był ów lichtarz kuty w srebrze, barwne opończe rozwieszane na ścianach i nieco już przetarty kobierzec pokrywający podłogę.

Przy stole znalazło się też miejsce na dzban z miodem i srebrne kubki, gdyż jego wielmożność przyjmował gości, którzy właśnie tego dnia przybyli do Wilna. Rozmowę zagał podzięką, że usłuchali wezwania i podjęli trud podróży w czasie jesiennych roztopów, po czym, tylko napomknąwszy o ważności przyczyn, jakie skłoniły go do wysłania pisma z zaproszeniem, ciągnął dalej:

— Pozwólcie waszmościowie, że cofnę się nieco w latach, gdyż być może nie znacie wszystkich okoliczności, które doprowadziły do obecnej sytuacji. Otóż pokój zawarty w dwudziestym drugim nad Meinem był dla cesarza Zygmunta ciosem podobnym uderzeniu gromu, bowiem rujnował jego całą dotychczasową wrogą nam politykę, prowadzoną przy ciągłych zapewnieniach o przyjaźni.

Nie był ten pokój, zważywszy na naszą wojenną przewagę, zbyt dla nas korzystny, ale zawarliśmy go właśnie po to, by wytrącić Zygmuntowi z ręki oręż, jakim posługiwał się dotąd przeciwko nam, a mianowicie Zakon Krzyżacki. Dlatego użył wszystkich swych wpływów, by nie dopuścić do jego zatwierdzenia. Toteż poselstwo krzyżackie, przybyłe w dwudziestym trzecim roku do Gniewkowa celem ratyfikacji jego warunków, ponoć zapomniało wziąć ze sobą należytych pieczęci.

A potem, jeszcze tegoż roku, zwołał zjazd do Preszburga, gdzie zawiązał przeciw nam ligę książąt czeskich, sześciu łżyckich miast i Zakonu. Postanowiono uderzyć wspólnie i zagarnąć te obszary, które kiedykolwiek były w ich rękach. Zakon miał dostać ziemię dobrzyńską, łęczycką i Kujawy, a do Węgier Zygmunt zamierzał przyłączyć Ruś, Podole i Mołdawię. Nie doszło wprawdzie do wystąpienia, bo sprzeciwili się temu panowie węgierscy, a sojusznikom, choć nie zbywało ochoty, wszakże zabrakło na wojowanie pieniędzy.

Cebulka przerwał na chwilę. Czarny i Jaksza nie odzywali się, ale wtrącił ksiądz Andrzej:

— Mało teraz wiadomości do mnie dociera, wszakże dostrzegam wyraźnie, że powaga Zygmunta w naszym kraju doznała znacznego uszczerbku. Naród coraz wyraźniej widzi jego polityczne szalbierstwa. Toteż rośnie ku niemu nienawiść, którą jeszcze wzmogła śmierć Zawiszy Czarnego, której winą go obarczają. Stąd coraz powszechniejsze są głosy żądające przymierza z Czechami.

— Tak, to prawda, mimo że ci sprzeniewierzyli się Kościołowi. Zygmunt zaś boi się husytów, jakby wierzył, że nieczysty im sprzyja. Doszło już do tego, że jego żołnierz nie chce przeciw nim stawać, tak zawzięci i okrutni są w walce.

— Zakon, po trzech kolejnych wojnach z nami spustoszony mocno i pozbawiony zasobów, też chyba nie może mu udzielić skutecznej pomocy...

— Istotnie, niewiele zostało z dawnej krzyżackiej potęgi, ale Zakon to wróg wciąż niebezpieczny. Zygmunt popiera go usilnie, bo do zupełnego upadku nie może dopuścić, gdyż wszyscy niemieccy książęta za Zakonem stoją, jako że mir u nich nadal posiada wielki. Ale my pozyskaliśmy także sojusznika, który stanowi dla Krzyżaków poważną groźbę...

— Macie, wasza wielmożność, na myśli Brandenburgię?

Porozumienie króla Władysława z Hohenzollernami i Zygmunta, i Zakon bardzo niepokoi...

— Młody Fryderyk, jak słyszałem, bawi na dworze wielkiego kniazia, gdzie ponoć uczy się naszego języka? — spytał ksiądz Andrzej nieco kpiącym tonem.

— Tak... — Cebulka uśmiechnął się, co jednak skryła jego szeroka broda. — Ma przecież pojąć Władysławową córkę, Jadwigę... Matężństwo to zostało już uzgodnione, choć Zygmunt robił co mógł, by do niego nie dopuścić.

W tej sytuacji gorączkowo szukał sposobu na rozerwanie obręczy, którą poczuł na szyi, a że pomysłów mu nigdy nie brakło, i teraz powziął plan dla nas wielce niebezpieczny.

— *Cóż to za plan? — spytał Czarny, ciekaw, do czego zmierza sekretarz kreśląc im ogólną sytuację polityczną.*

— *Sprawa to poufna, jak i inne, o których będziemy mówić, co zresztą waćpanowie i bez mego ostrzeżenia sami byście pojęli. Otóż Zygmunt umyślił rozerwać unię łączącą nasze kraje — Litwę i Koronę...*

— *Jakże to chce zrobić?! — nieomal ze zgrozą wykrzyknął Czarny. — Któż na to się zgodzi?! Musi być chyba niespełna rozumu, jeśli ma nadzieję, że dopuszczą do tego Witold lub Jagiełło!!*

— *Nie taki on szalony, jakby można sądzić. Przeciwnie, obmyślił sposób wykonania tego zamierzenia z istic szatańską przebiegłością, stwarzając dla nas poważną groźbę...*

— *Cóż to za sposób? — tym pytaniem ksiądz Andrzej zdradził również, że oznajmienie Cebulki zrobiło na nim wrażenie.*

— *Chce uczynić Witolda królem Litwy i tym samym postawić go na równi z Jagiełłą. Wówczas wielki książę stałby się udzielnym władcą, bo król nie może przecież podlegać królowi, a co za tym idzie nasze zjednoczenie rozpadłoby się z wszelkimi tego skutkami, których samo wyobrażenie napełnia serca strachem.*

— *Skąd to wam wiadomo? — spytał cicho ksiądz Andrzej, przerywając milczenie, które zaległo po ostatnich słowach Cebulki.*

Ten uśmiechnął się nieznacznie przed udzieleniem odpowiedzi.

— *Od samego wielkiego kniazia.*

— *A więc tego nie ukrywa? — zdumiał się Czarny.*

— *Bo jest temu przeciwny. Już od pewnego czasu Krzyżacy skłaniają go do przyjęcia korony, ale widzi, do czego zmierza Zygmunt, toteż nie tai sprawy. Zresztą wiadomo mi o tym i z innych źródeł. Bawił tu, a siedzi i teraz, komtur Ragnety von Mimpolgart, którego Zakon wciąż przysyła w różnych misjach na nasz dwór, wszakże chyba w tym głównie celu, by kusić i namawiać Witolda do koronacji. Mamy go nieco na oku, ale wieści przychodzące tak z Malborka, jak i z dworu Zygmunta ostrzegają także przed tym knowaniem.*

— *A co na to nasz pan? — ksiądz Andrzej nadal mówił przyciszonym głosem, zdradzając tym, jak bardzo jest przejęty.*

— *Tu właśnie tkwi największa dla nas groźba, która Radę królewską napawa lękiem. O ile bowiem Witold w bystrości swego umysłu dostrzega pułapkę, to Jagiełło, już w leciech mocno posunięty, a przez to nie tak jasnego umysłu i bardziej sercem związany z Litwą, zdaje się ulegać zwodnemu marzeniu uczynienia jej samodzielnym państwem, rządzonym przez koronowanego władcę.*

— *I jako król Polski i jej dynastyczny władca zgodziłby się na takie uszczuplenie własnych sił i znaczenia? — oburzył się Czarny.*

— *No cóż — Cebulka wzruszył ramionami — nie tylko w młodym wieku serce bierze górę nad rozumem... On jednak głównie nim się kieruje, gdy wchodzi w grę interes Jagiellońskiej dynastii. Władysław nie chce elekcji i w żadnym razie nie zamierza dopuścić, by objęła Litwę, którą uważa za*

swoją dziedziczną własność. Koronacja Witolda, chroniąc go przed elekcją na Litwie, jednocześnie zapewnia sukcesję jego potomstwu.

— Mimo wszystko książę Witold, jak słyszeliśmy, wybiera się na łowy, i to aż pod Żytomierz? — zauważył ksiądz Andrzej.

— Nie bez powodu. Otóż Zygmunt, swego czasu zaproszony przez wielkiego księcia do odwiedzenia Litwy, przypomniał sobie teraz o tym i wyraził chęć przybycia, i to z jak najokazalszym dworem. Postanowiono więc, że nastąpi wielki zjazd w Łucku w dzień Trzech Króli. Poza Jagiełłą, Zygmuntem i Witoldem ma tam przybyć również król Eryk duński i wiele innych wielmożów, książąt i poselstw z dalekich nawet krajów, bowiem Witold chce należycie przyjąć cesarza, czemu ten nie jest przeciwny, gdyż im liczniejszy zjazd, tym postanowienia na nim powzięte mają większą wagę. A wszystko na to wskazuje, że głównym celem Zygmunta będzie doprowadzenie do zgody Witolda i Jagiełły na przyjęcie przez wielkiego księcia królewskiej korony. Dlatego też Witold udał się pod Żytomierz, gdzie ma nadjechać i Jagiełło, by w pobliżu Łucka wspólnie oczekiwać przybycia Zygmunta.

— Sprawa zbliża się do ostatecznego rozstrzygnięcia — stwierdził ksiądz Andrzej. — A stąd wnioskuję, że właśnie z tego powodu wasza wielmożność wezwwała nas na Litwę? W czym wszakże my, mało znaczący wobec mocy tych, którzy mają powziąć decyzję, możemy być pomocni?

Cebulka skierował spojrzenie ciemnych oczu na proboszcza.

— Nie umniejszajcie, księżę Andrzeju, swego znaczenia. Zbyt dobrze wiem i pamiętam wagę usług, jakie oddaliście przed wielką wojną swemu krajowi. Toteż teraz, kiedy zachodzi potrzeba zebrania wszystkich sił, by przeciwstawić się tak wielkiej groźbie, dzięki również pamięci pana z Niemierzy — sekretarz skierował wzrok na Jakę — prosiłem was o przybycie w nadziei, że nie odmówicie pomocy. Nie mam zamiaru taić, że nasze rozeznanie o poczynaniach krzyżackich i Zygmuntońskich służalców, których tu mają i wśród naszych ludzi, nie jest należyte. Toteż działając w porozumieniu tak z kanclerzem Zbigniewem, jak i innymi panami królewskiej Rady, postanowiłem wzmocnić w tym względzie czujność. Pamiętając zaś wasze usługi oddawane ówczesnemu kanclerzowi Trąbie, miałem nadzieję, że nie odmówicie ich i mnie wobec groźby zawisłej nad naszymi krajami.

Cebulka mówił wolno i z powagą, toteż wrażenie, jakie wywarły jego słowa, spowodowało, że kiedy zamilkł, przesuwał spojrzeniem po ich twarzach, nikt nie zabrał głosu.

Zapadła ciszę przerwało dopiero pytanie rzucone przez księdza Andrzeja:

— A jakie jest to rozeznanie, które już posiadacie?

Okazanie tego zainteresowania dowodziło, że proboszcz uznał za zbędne deklarowanie zgody i od razu przystępuje do sprawy. Tak też musiał jego słowa zrozumieć Cebulka, gdyż odpowiedział z wyraźnym zadowoleniem:

— Jak już rzekłem, nie jest ono duże. Częsty i nieraz przedłużający się pobyt komtura Ragnety na wileńskim dworze już zwrócił naszą uwagę. Kazałem go przeto obserwować, co pozwoliło stwierdzić, że kilkakrotnie spotykał się tu z handlarzem wina i koni, niejakim Pawłem Kachnerem, bodaj z Chełmna.

Drugim sygnałem działania obcej ręki jest stwierdzenie, i to z całą pewnością, że pieczęcie na korespondencji z wicekanclerzem Oporowskim były ruszane i odtworzone na nowo. Zapewne wiecie, że jest to możliwe przez sporządzenie gipsowej odbitki pieczęci, którą po złamaniu odciska się na nowo, z trudną do wykrycia dokładnością.

Wreszcie, dla uzupełnienia przynajmniej najważniejszych spostrzeżeń, jest jeszcze następujące zdarzenie. Otóż, mimo że korespondencji w sprawie szczegółów dotyczących łuckiego zjazdu nie ma zbytniej potrzeby taić, boć przecie krąży ona pomiędzy zainteresowanymi stronami, to jednak ze względu na jeszcze jednego podstępnego

przeciwnika należy zachować ostrożność. Ostatnio zaczęły o nim docierać do nas niepokojące wieści, dlatego też utrzymujemy w tajemnicy także tę sprawę. Mam tu na myśli kniazia Świdrygiełłę, który po ugodzie z wielkim księciem od kilku lat włada przydanymi mu ziemiami. Siedział przeważnie w Nowogrodzie Siewierskim, jak dotąd spokojnie, ale jego buntownicza natura widać znów zaczyna brać górę nad rozsądkiem, bo począł znosić się z innymi ruskimi kniaziami Wielkiego Księstwa, co niczego dobrego nie wróży.

Otóż niedawno jedna z młodych dworek księżny Julianny, Olga, bratanica Andrzeja Lingwenowicza, starosty Grodna, zdradziła się, że zna datę i miejsce zjazdu. Ciekawe więc byłoby dociec, skąd owa młódka o tym wie? Rzecz może byłaby i bez znaczenia, ale nie teraz, kiedy tak bardzo musimy być czujni...

— W czasie wielkiej wojny mieliśmy jednego przeciwnika: Zakon. Teraz będzie ich aż trzech... — stwierdził nieco kpiąco ksiądz Andrzej.

— Niemałe to zadanie dla paru ludzi...

— Możecie ich przybrać, wielu chcecie. Na kosztą nie musicie zważać. Książęcy skarbiec zasobniejszy niż możecie sądzić...

Werbować można tylko znanych, a więc nie na obcym terenie — zauważył Czarny.

Macie wśród siebie pana Jaksę — zauważył Cebulka. — Ten udzieli pomocy i w tym względzie...

Po tej naradzie u sekretarza Cebulki ksiądz Andrzej zaprosił swoich obu towarzyszy na drugą, którą zaraz potem odbyli w kwaterze przydzielonej im na wileńskim zamku.

Komtur toruński Ludwik Landsee, najrzęczniejszy i najbardziej przebiegły dyplomata Zakonu, znalazł Zygmunta w Kieżmarku. Przybył tam nocą, a już rano cesarz wezwał go na naradę, co dowodziło, jak niecierpliwie oczekiwał posła Pawła von Russdorfa, od 1422 roku wielkiego mistrza Zakonu.

W naradzie odbytej w jednej z komnat kieżmarskiego grodu wzięło udział tylko szczupłe grono ludzi. Poza obu krzyżackimi posłami, bo komturowi Landsee towarzyszył Walter de Lo, komtur Dyneburga, wysłannik Zakonu Inflanckiego, przy boku Zygmunta znajdowali się Kacper Schlick, podkanclerzy cesarza, oraz ksiądz Babtysta Czigula, jego sekretarz i zausznik.

Wręzione sobie, po ceremonialnym powitaniu, pismo Zygmunt oddał niedbałym gestem Schlickowi i wskazując stojące obok fotele, rzucił z uśmiechem:

— Nie będziemy w czasie przyjacielskiej narady przestrzegać ceremoniału, toteż siadajcie i mówcie, więcej jestem ciekaw waszych słów niż tego pisma!

Wielki mistrz, wasza cesarska wysokość, nadal gorąco pragnie widzieć kniazia Witolda na tronie Litwy. Toteż zapewnia, że nie omieszką z okazałym orszakiem przybyć do Łucka i nie przypuszcza, by coś temu stanęło na przeszkodzie... — oświadczył Landsee zajmując wskazane miejsce.

— A Zakon Inflancki? — Zygmunt obrócił się do dyneburskiego komtura.

— Takóż, najjaśniejszy panie — przytaknął Walter. — Mistrz von Rutenberg śle wam słowa zapewnienia wierności i jeśli, wbrew chęciom, sam nie zdoła przybyć, godnych i należycie upoważnionych przyśle zastępców.

— Wolalbym widzieć go we własnej osobie — mruknął Zygmunt marszcząc brwi.

— Tylko ważne, a dziś nie przewidziane przeszkody mogłyby go od tego odwieść, gdyż równie jak wielki mistrz pragnie powodzenia zamiarów Waszej Cesarskiej Mości.

Cesarz skinął już tylko aprobującą głową, po czym znów zwrócił się do komtura Landsee:

— A co z duńskim Erykiem?

Właśnie głównie o nim pisze do was, najjaśniejszy panie, wielki mistrz. Zgodnie z waszym życzeniem wysłał do niego poselstwo z poleceniem skłonienia króla Eryka do poniechania wyjazdu do Polski. Jednak nie znalazło ono należytego zrozumienia i trzeba sądzić, że Eryk podróż odbędzie...

Co wskazuje, że uważa przyjaźń z Jagiełłą i Witoldem za cenniejszą niż z nami! parsknął ze złością Zygmunt. — Oby jeszcze tego nie pożalował!

Nie takie to znów ważne, najjaśniejszy panie — wtrcił podkanclerzy on naszym zamiarom niezdolny zagrozić...

Natomiast od większości niemieckich książąt mamy zapewnienie, że na zjazd przybędą... Landsee starał się załagodzić cesarskie rozdrażnienie.

To wiem, bo i do nich, i do czeskich książąt rozesłałem pisma, na które otrzymałem pomyślnie odpowiedzi — z ożywieniem oświadczył Zygmunt. A zabiegam o okazanie przez tych litewskich borsuków jak najliczniejszego poparcia dla moich zamierzeń, gdyż jasno widzę, jak chytrze usiłują chwycić mnie w kleszcze! Teraz, kiedy zagrażają mi Tatarzy i Turcy, wasz Zakon osłabiony wojnami, a zdradliwi Czesi podnieśli oręż przeciw mnie, który broni wiary, sądzą, że nadeszła pora, by kleszcze zacisnąć! Toteż Zygmunt Korybut ze swoim żołnierzem wspomaga husyckich odszczepieńców, Jagiełło opanował Wołoszczyznę. kuma się z Hohenzollernami, a Witold na wschodzie zabezpiecza od pleców granicę! — Zygmunt sapnął gniewnie, po czym mówił dalej:

Jakże zatem wygląda moje położenie? Północny sojusznik — Zakon, słaby i do wojny niezdolny, przy tym od zachodu zagrożony przez Brandenburgię, na południu trwa krwawe i okrutne zmaganie z czeskim

odszczepieńcem, a do tego wisi groźba tureckiej nawały! Czy może ktoś powiedzieć, że użył zbyt ciemnych barw dla namalowania tego obrazu?

Jeśliby użyć samej czerni, też nie byłoby przesady... — mruknął z troską Schlick.

Toteż jedyny ratunek w tym położeniu dostrzegam w rozerwaniu polsko-litewskiego przymierza! W ten sposób nie tylko usunę śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie nam grozi, ale przeciągnąwszy na swoją stronę Witolda pokonam z nim i podzielę raz na zawsze Polskę! Dlatego też, nie szczędząc sił, z całą mocą myśli i starań, musimy nasz cel osiągnąć! Zygmunt zakończył przemówienie nieomal krzycząc, a przy ostatnim słowie uderzył pięścią w poręcz fotela.

— Tak, to prawda... — zgodził się toruński komtur. — Przyjąwszy z waszych rąk koronę, będzie musiał zapłacić za nią przymierzem...

— To nieuchronny skutek, ale o tym nie należy mówić zawczasu. Na warunki przyjdzie pora po uzyskaniu zgody. Teraz zaś chcę jeszcze omówić z wami, wielmożni panowie, niektóre kroki dalszego działania. Pierwszym z nich będzie moje życzenie, abyście zespolili wysiłki waszych i moich agentów i poddali ich jednemu kierownictwu. Nie zamierzam osobiście wchodzić w szczegóły tej sprawy, ale proszę was, panie Ladsee, i was, panie podkanclerzy, uradzcie to między sobą, a także ustalcie osobę, która obejmie nad nimi przewodnictwo, a przed nami odpowiedzialność za wyniki swoich poczynań. W obecnej sytuacji to jedno z najważniejszych zadań, jakie przed nami stoją. Musimy wiedzieć wszystko, co się dzieje na tamtych dworach i jakie są ich zamiary.

Po zakończonej naradzie u nadwornego pisarza Cebulki, który właściwie pełnił funkcję książęcego kanclerza, proboszcz rozdzielił w czasie wieczornej rozmowy czynności, nie wyłączając z dalszych poczynań własnej osoby. Następnego zaś dnia, gdzieś około południa, wezwał do siebie Czarnego.

Kiedy już zasiedli na wymoszczonej futrami ławie, przystąpił od razu do rzeczy:

— *Wczoraj ograniczyłem się tylko do przydzielenia wam zadań nie wchodząc w bliższe szczegóły ich wykonania. Te bowiem wymagały przemyślenia, a także, w razie potrzeby, uzyskania zgody jego wielmożności pana sekretarza. Taka potrzeba pojawiła się istotnie, toteż dopiero teraz szczegóły te mogę omówić...*

Ponieważ Czarny skłonił głowę na znak, że słucha uważnie, proboszcz ciągnął dalej:

— *Jak słyszałeś, relacja pana sekretarza wskazała trzy wątki, które należałoby wyjaśnić. Tobie przydzieliłem osobę owego kupca Kachnera. Jest to zadanie najtrudniejsze i najbardziej kłopotliwe dlatego, że dla dobrego rozpoznania, kto zacz, będziesz musiał odbyć daleką i niezbyt bezpieczną podróż, bo aż do krzyżackiego Chełmna, skąd ten Kachner ponoć pochodzi. Tam trzeba mu się przyjrzeć i posłuchać, co o nim gadają. Otrzymał on tu od marszałka książęcego dworu zamówienie na dostawę stu beczek wina, jakie wielki książę chce mieć na przyjęcie gości w Łucku. Pięć dni temu wyjechał, aby je na czas dostarczyć.*

— *Mocno więc wysforował się przede mną. Będę musiał dobrze gnać, bo lepiej na miejscu być przed nim.*

— *Handluje on również końmi i wziął ich z książęcej stadniny sześćdziesiąt, zatem zbytnio z takim tabunem pospieszyć nie zdoła.*

— *Tym lepiej, bo drogi stają się coraz gorsze i wierzchowce przyszłoby utrudzić ponad miarę...*

Proboszcz uśmiechnął się z lekka.

— *Ale folgować im też zbytnio nie możesz, bo jest jeszcze co nieco do załatwienia. Udasz się przez Grodno, gdyż najkrótsza to i w miarę najlepsza droga. Tam jako kupiec, bo w takim charakterze najlepiej jechać, zgłoś swoje usługi kniaziowi Andrzejowi Lingwenowiczowi, który jest starostą grodzieńskiej ziemi. To stryjec owej Olgi, dworki księżnej Julianny. Dobrze by zatem było do niego dotrzeć i obaczyć, co to za człowiek...*

— *Dużo czasu nie powinno mi to zająć. Chyba że jeszcze coś macie w zanadru, proboszczu dobrodzieju?*

— *A mam. Pamiętasz brata Erazma?*

— *Jakże nie! A więc będę go musiał odszukać?*

— *Odszukiwać nie będzie trzeba, bo wiem, gdzie przebywa. Od niedawna osiadł w Czerwińsku, w tamtejszym opactwie regularnych kanoników. I on posunął się w latach, ale skoro w jednym jesteśmy wieku i ja mogę jeszcze bez trudu dosiąść konia, tuszę, że i jemu Bóg siły zachował. Dostaniesz do niego pismo, w którym będę prosił, by dołączył do ciebie i służył pomocą, abyś nie okazał się zbyt lichy w swoim rzemiośle. On*

natomiast wiele jeszcze znajomości w krzyżackim państwie zachował, które mogą być przydatne.

Ksiądz Andrzej urwał i, zerknąwszy spod oka na Huberta, dorzucił nieco kpiąco:

— *Zapewne nie w smak ci będzie zmieniać stan szlachecki na mieszczański, a co za tym idzie przybrać pokorniejsze obejście? Zważywszy jednak na dobro sprawy, tak będzie najlepiej.*

— *Byłem bakalarzem, mogę być i kupcem! — roześmiał się Czarny.*

— *W ten sposób najłatwiej zbliżysz się do Kachnera.*

— *Czymże w takim razie mam handlować, końmi czy winem?*

— *Winem, bracie, winem...* — proboszcz zerknął z uśmiechem na Czarnego.

— *Przecież w ten sposób stanę się jego konkurentem, a więc nie mogę spodziewać się przychylności...*

— *Przeciwnie, skoro się okaże, czym jesteś dostawcą. Sądzę, że może to być przynętą, na którą może łatwo się złapać, jeśli poza handlem trudni się także czym innym...*

— *Kogóż to mam obsługiwać?*

— *Świdrygiełłę. Jest mi już wiadome, że na dwór kniazia Kachner dotąd nie dotarł, choć już przepytawał, gdzie najczęściej przebywa. Toteż jeśli dowie się, żeś go ubiegł, nie omieszka wziąć cię na spytki, jakżeś tego dokonał, chociażby dlatego, aby wyrzucić cię z siodła. Powiedz mu wówczas, że na początek masz dostarczyć kilka beczek wina, i zabiegaj, by dla bezpieczniejszego ich dowozu Kachner zezwolił ci na dołączenie do jego taboru w drodze do Wilna.*

— *Rozumiem. W Wilnie odłączę się, a on przecież za mną niej podąży. Jeno za co i gdzie mam wino nabyć? Przecież nie w Chełmnie, bo] rzecz wnet by się wydała.*

— *Na zakup dostaniesz gotowiznę z książęcej kasy, a tych parę beczek więcej wielkiemu księciu też się przyda. Kupisz je w Gdańsku, i to zanim przybędziesz do Chełmna. Pomoże ci w tym właśnie Erazm, bo wielu tam zna kupców i będzie wiedział, z kim gadać. Ostrożność i tu jest konieczna, bo Kachner, jeśli ma coś na sumieniu, będzie przepytawał o ciebie.*

— *Widzę z tego, że nie zdołam przybyć przed nim. Sprawa zajmie jednak nieco czasu. Do pomocy wezmę obu chłopców, niech przy tymi obejrzą szmat kraju, a zwłaszcza gdański port i morskie żaglowce.*

— *Tego nie radzę — zaoponował proboszcz. — Te dryblasy powinny wreszcie się rozstać i zacząć myśleć samodzielnie, bo niczego nie umieją przedsięwziąć bez oglądania się na siebie. Jednego zabierz, drugi niech pozostanie przy Jaksie, a on niech ci da swojego Tomka. To sprytny i obrotny chłopak, może być wielce pomocny.*

— *Zatem ruszymy we czterech, bo pacholek do koni też będzie potrzebny.*

— *Jedźcie już jutro, pieniądze dla ciebie przygotuję na wieczór...* — zakończył proboszcz rozmowę wstając z ławy.

Nędzne, błotniste i pełne wybojów drogi Grodna tyle miały wspólnego z ulicami, że biegły pomiędzy szeregami drewnianych chat. Tylko z rzadka stały między nimi bardziej okazałe, choć również drewniane domy, w których mieszkali bogaci mieszczenie czy kupcy. Jeszcze mniej było pańskich siedzib otoczonych budynkami gospodarczymi, szlachty czy bojarów. Chroniły je palisady, nieraz wzmocnione wieżami, a wjazd zamykały, ciężkie, mocne wrota z grubych bali.

Wzgórze, którego obrośnięty krzakami stok schodził do Niemna, wieńczyły mury obronne zamku, siedziby starosty ziemi grodzieńskiej, kniazia Aleksandra Lingwenowicza. Miasto łączył z podnóżem zamkowego wzniesienia drewniany most bez poręczy, ale na tyle szeroki, że dwa wozy mogły się na nim wyminąć.

Czarny zatrzymał się ze swoim szczupłym orszakiem w obozisku równie nędznej jak reszta otaczających ją domów; ogarnąwszy się po podróży, wyruszył zaraz na zamek, by jak najspieszniej sprawę załatwić i udać się w dalszą drogę. Zdawał sobie sprawę, że dostać się przed oblicze samego starosty jemu, przejeźdnemu kupcowi, nie będzie łatwo. Nie tracił jednak nadziei, że uda mu się zainteresować kniazia na tyle, że sam zechce z nim mówić.

Kiedy więc znalazł się w służbowej izbie ochmistrza dworu i stanął przed jego masywną postacią, o czerwonym tłustym obliczu zdobnym w parę sumiastych wąsów, skłonił się głęboko, zamiatając nieomal podłogę swym kupieckim kapeluszem o podwiniętym rondzie i przemówił z należnym uszanowaniem:

— Dziękuję za zaszczyt, że wasza miłość raczyła mnie przyjąć. Zwę się Jan Morzelec i jestem gdańskim kupcem w drodze z Wilna do domu. Wstąpiłem korzystając ze sposobności, by zapytać was, dostojny panie, czy nie zechcielibyście korzystać także z moich usług?

— Mówisz: także? Któż zatem już z nich skorzystał?

— Książ Świdrygiełło, wasza dostojność...

Dopiero z czasem Czarny przekonał się, jak trafną była ta odpowiedź, udzielona zresztą zgodnie ze wskazówką księdza Andrzeja. Potem zastanawiał się jeszcze, czy proboszcz już wtedy wiedział więcej niż to okazał, czy też było to tylko sprawą przypadku.

Zauważył jedynie szybkie, badawcze spojrzenie, jakim po tym wyjaśnieniu został obrzucony, a następnie padło kolejne pytanie, rzucone niedbałym tonem:

— Czymże, pocziwcze, handlujesz?

— Głównie trunkami, wasza miłość, ale inne usługi mógłbym ofiarować, gdybyście raczyli je przedłożyć jaśnie wielmożnemu księciu...

Ochmistrz wyjął pogardliwie wargi.

— Wystarczy, że przedłożysz je mnie.

— Chętnie, wasza miłość, ale obawiam się, że towar, który mam do sprzedania, będzie wymagał decyzji samego starosty, bo to nie produkt zdalny do podania na stół. Toteż sądzę, że dla ustrzeżenia się przed gniewem kniazia, lepiej samemu nie decydować.

— Cóż to za tak niepowszedni towar macie do zbycia, że wymaga aż wglądu jego wielmożności? Muszę to wiedzieć, bo o to przecież przede wszystkim spyta.

Czarny uznał za stosowne niżyc głos.

— Są do nabycia, i to za wielce korzystną cenę, cztery bombardy z hiszpańskiego galeonu, który, mocno uszkodzony przez morskich buksów, schronił się do gdańskiego portu. Do naprawy już się nie nadawał, więc za psi grosz nabyli go nasi kupcy i teraz rozprzedają co się da... Te bombardy mogą być przydatne również i na murach.

Bombardy, mówisz? — zainteresował się ochmistrz. — I po niskiej cenie? Hm... Istotnie to kupno obce mojej profesji, bom człek nie wojennego

rzemiosła... Ale książ może być ciekaw sprawy i raczy was wezwać... Przysiądźcie tu zatem — ochmistrz wskazał na ławę stojącą w okiennej niszy — i zaczekajcie.

Nieobecność ochmistrza trwała długo, wreszcie zjawił się zamiast niego dworzanin z wezwaniem, by Czarny udał się za nim. Minęli kilka korytarzy i przejść, zanim został wprowadzony do komnaty urządzonej z przepychem godnym udzielnego władcy. Ściany przykrywały atlasowe barwne opony, miękkie wschodnie kobierce tłumiły kroki. Dużą częścią pomieszczenia zajmował długi stół wsparty środkiem na szeregu kolumn,

które oplatały rzeźbione w drzewie zwoje bluszczu. Równie pięknie rzeźbione były krzesła o wysokich zagłowiach, kilka z nich stało przed kominkiem, w którym palił się suty ogień.

Na jednym z nich siedział szczupły mężczyzna o suchym obliczu i ciemnych wąsach zwisających końcami ku dołowi. Równie ciemne, gęste brwi nieomal zrastały się nad długim nosem, a spojrzenie, jakim obrzucił przybysza, było ponure, ale i badawcze.

Czarny zatrzymał się zaraz za progiem, powtórzył swój uniżony ukłon i czekał, aż dostojnik raczy się odezwać.

Ten przemówił po rusku chropawym głosem, jakby wychodzącym z głębi piersi.

— Kupiec...? Z Gdańska?

— Tak, jaśnie panie. W powrotnej drodze z Litwy.

— Ponoć byłeś u kniazia Świdrygiełły? Gadałeś z nim? Gdzie teraz jest?

— Mówiono mi, że w Czernihowie. Zbyt to jednak wielki pan, by gadać z kupcem o kilku beczkach wina.

— Z kim więc mówiłeś?

— Z zarządzającym piwnicą, wielmożny panie...

— Musisz być u niego w łaskach, skoro powierzył ci dostawę? Szybkie, badawcze spojrzenie przesunęło się po twarzy Czarnego. Ten nieznacznie wzruszył ramionami.

— Może chciał mi się odwdzińczyć za wieści, jakie mu przywiozłem z pruskiego państwa...

— Taak...? Cóż to były za wieści?

— Tego nie wiem, bo pismo miało pieczęcie.

— A kto ci je dał?

— Tego też nie wiem, bom go wprzód nie widział. Jakiś brat służebny doręczył mi owo pismo.

Na chudym obliczu starosty pokazał się nikły uśmiech.

— Widzę, żeś nieskory do gawędy... Ale zamówienie dostałeś? Wiele kniaź raczył wziąć beczek?

— Dwanaście, wasza wielmożność...

— No tak... Lubi popić, mocno lubi... — mruknął raczej do siebie starosta, po czym warknął nieoczekiwanie:

— Jak się zwiesz?!

— Jan Morzelec, wasza księżęca mość...

— Cóż tam gadał o jakichś bombardach? Jak duże i wiele mają kosztować?!

— Pochodzą z hiszpańskiego galeonu, więc zbyt duże nie są, ale do obrony murów bardzo przydatne. Ceny dokładnej nie wiem, ale jeśli jeszcze nie sprzedane, wiele kosztować nie powinny...

— Hm... Kiedy spodziewasz się znów być na Litwie?

— Już za kilka tygodni. Będę wioził towar dla kniazia Świdrygiełły.

— Tedy zabierz ze dwie beczki alikantu i dla mnie. Cenę uzgodnisz z ochmistrzem. A bombardy, jeśli istotnie nie za drogie i strzelać z nich jeszcze można, wzięłbym także. Bacz tylko, abyś miał lepsze rozeznanie w sprawie niżli teraz!

— I obecnie mam dobre, wasza wielmożność, ale sprzed paru miesięcy. Jeśli dotąd nie znaleźli się nabywcy, cena może być nawet niższa niżbym rzekł wam teraz.

— Dobrze, dobrze... Znam was, kupców! Zawždy ostrożni i nie lubiący ze skorupy wyłazić! Idź do ochmistrza, a jak będziesz wracał z towarem, daj mi znać, co z tymi działami.

Czarny, już bez słowa, złożył pożegnalny ukłon.

Dzień był mokry i mglisty, kopyta koni rozpryskiwały czarną wodę stojącą w koleinach błotnistej drogi. Następnego dnia po opuszczeniu Ciechanowa ukazały się z dala dwie smukłe, wysokie wieżyce o zatartych, ledwie widocznych konturach. Roch, który jechał przy boku ojca, obrócił się ku niemu w siodle.

— To już Czerwińsk?

— Tak. Na razie widać tylko wieże bazyliki. Budynki opactwa dojrzysz skoro podjedziemy bliżej.

Roch patrzył w daleką przestrzeń rozciągniętych pól. Jakby chcąc przebić wzrokiem kryjącą je zasłonę nikłej mgły, z której wyłaniały się owe strzeliste wieże, niby dwa groty skierowane ku niebu.

Był to młodzieniec wysoki i szczupły, ale szeroki w ramionach, o nosie z lekkim garbem i piwnego koloru oczach po matce, a ściągłej twarzy i czarnych jak smoła włosach po ojcu. Po nim też zapewne odziedziczył sprawność fizyczną, bystry wzrok i wprawę we władaniu bronią, w siodle zaś siedział niby zrosnięty z koniem.

Wieże bazyliki stawały się coraz lepiej widoczne, coraz ostrzej rysujące się na tle szerokiego nieba. Z wolna też z mgły, rzadkiej niczym woda ledwie zabarwiona mlekiem, zaczęły wyłaniać się i budynki opactwa otaczające masyw świątyni.

Ponagliwszy wierzchowce, wkrótce wjechali na rozciągający się przed nią plac i przepytawszy napotkanych zakonników odnaleźli brata Erazma.

Ujrzawszy go Czarny przekonał się, że przybyło mu nieco zmarszczek, a łysina otoczona wieńcem płowych włosów również powiększyła się, ale oko miał widać równie bystre jak dawniej, a i pamięć także, gdyż uśmiechnąwszy się, rzucił bez wahania:

— Toż to Czarny! Rad widzę waćpana po tylu latach! Sporo ich przecież upłynęło od czasu naszego pierwszego spotkania w gdańskim porcie!

Kiedy to ojciec dobrodziej uwolnił mnie z ciężkich terminów, w jakie popadłem przez swą głupotę! — roześmiał się Czarny schylając się nad ramieniem zakonnika, po czym dorzucił wskazując na Rocha:

— A to mój syn! Drugi, bliźniak, pozostał na Litwie!

Młodzieniec z szacunkiem ucałował wyciągniętą ku niemu wiotką dłoń, brat Erazm zaś zawołał wesoło:

Ruszajcie za mną! Pacholkami i końmi zajmą się braciszkuwie!

Potem, kiedy szli już za nim, odezwał się półgłosem: — Zapewne nie o zwykłe odwiedziny tu chodzi? Pora na podróżę niesposobna, bo drogi mocno już rozmokły...

— Mam pismo do ojca od księdza Andrzeja... — oznajmił Hubert.

Brat Erazm aż przystanął ze zdziwienia.

— Od wielebnego proboszcza?! Tym bardziej więc jesteś mi miły! Chodźcież prędzej, bom ciekaw, co pisze!

W dwa dni potem wyjechali, wraz z bratem Erazmem, który całkiem swobodnie czuł się w siodle, choć minione lata nieco przygarbiły jego postać. Z wyraźnym rozradowaniem spoglądał na ciągnące się wokoło pola, a z wąskich warg nie schodził mu uśmiech świadczący, że rad jest z ujrzenia szerszego świata po dniach spędzonych w murach opactwa.

Jechał z Czarnym koń przy koniu i, korzystając, że reszta jezdnych z szacunku pozostała w tyle, powrócił do treści zawartej w otrzymanym liście.

Pobyty w Gdańsku trwał zaledwie parę dni. Przepisy nakazujące zgłaszanie każdego przybysza, nie tylko przez zajazdy, ale i przez właścicieli prywatnych domów, nie były już tak respektowane jak kiedyś, bo władza zakonna straciła wiele na sprężystości, a także posłuchu, gdyż nawet sami krzyżaccy rycerze już mało co liczyli się z regułą swojego Zakonu. Brat Erazm więc bez trudu ulokował swych towarzyszy w znajomym sobie podmiejskim dworku, nadmieniwszy, że ich pobyt będzie zbyt krótki, by warto go było zgłaszać, co nie napotkało sprzeciwu. Następnego zaś dnia udał się do miasta, zabierając Czarnego ze sobą.

Wrócili pod wieczór i Hubert od razu polecił przygotowywać się do wyjazdu na następny dzień. Z jego twarzy Roch zorientował się, że rodzic jest zadowolony z odbytej wyprawy, ale nie śmiał o nic pytać, chociaż, znając poruczoną im sprawę, wielce był ciekaw wyniku.

Ciekawość ta wzmogła się, kiedy po trzydniowej podróży, już pod Chełmnem, ich szczupły orszak rozdzielił się. Brat Erazm pozostał wraz z Tomkiem w podmiejskim zajęzdzie, oni zaś z pacholkiem Waską ruszyli dalej. Kiedy miejskie mury zaczęły już ukazywać się pomiędzy mijanymi domami, Czarny ruchem ręki przywołał ich ku sobie i, po zrównaniu się wierzchowców, przemówił ostro:

— Wbijcie sobie obaj we łby, co wam rzekę! Jako wspólnik handlowego domu „Böhm i Burhard” handluję winem jeżdżąc do Polski i Litwy; wy mnie towarzyszycie. Ciebie, jako syna — zwrócił się do Rocha — przyuczam do kupieckiego zawodu. Teraz przybywamy z Gdańska i zatrzymamy się w gospodzie „Pod Kusą Kiecką”, której właścicielem jest Kachner, a gdy on jest w rozjazdach, prowadzi ją jego żona. Zamierzam przyłączyć się do jego taboru skoro ruszy z winem dla wielkiego kniazia. Wiozę dwadzieścia beczek

dla Świdrygiełły i dwie dla grodzieńskiego starosty. To wszystko musicie wiedzieć i pamiętać.

Spamiętamy, wasza miłość — odpowiedzieli obaj zgodnie.

Powtórzcie więc, jak się zwą moi wspólnicy?

Kiedy wypełnili polecenie, dorzucił:

— Mają składy na Rybim Rynku, to także musicie wiedzieć. I jeszcze jedno: gdybyście ujrzeli gdziekolwiek brata Erazma lub Tomka, a może się to zdarzyć nawet w gospodzie, nie wolno wam okazać, że się znacie! Niech który bąknie choć słowo, a odegnam precz od siebie! Dobrze to sobie spamiętajcie, bo rozpoczynamy igraszki, w których każde zbędne słowo, a nawet spojrzenie może przynieść zgubę! Nikomu też wierzyć nie wolno i własnym tylko macie kierować się rozumem! A jeśli go zbraknie, skórą za to przyjdzie zapłacić!

Obaj tylko skinęli głowami, gdyż wkrótce wjechali w mrok wjazdowej bramy, przez którą dostali się do miasta.

W kilka dni po wyjeździe Czarnego Jaksy przywołał Lecha do swojej izby. Stał chwilę i w milczeniu przyglądał się młodzieńcowi, nie po raz pierwszy dziwiąc się podobieństwu obu bliźniaków. Zaraz jednak ruszył z miejsca i chodząc po izbie, zaczął mówić:

Chcę poruczyć ci zadanie, które mimo młodego wieku i braku doświadczenia chyba właśnie ty najlepiej wykonasz...

Ponieważ Lech milczał, wodząc tylko za nim wzrokiem, ciągnął dalej:

Obaj z Rochem już wiecie, po co prosiłem Waszego rodzica o przyjazd. Nie tailśmy tego przed wami, gdyż postanowiliśmy i wam dać możliwość lepszego poznania ludzi i niektórych spraw, którymi się trudnię...

Dopiero po tych słowach Lech ożywił się:

Macie dla mnie, wuju, jakoweś poruczenie? Rad bym co rychlej je usłyszeć, bo, prawdę mówiąc, to bezczynne siedzenie już mnie gniecie w tyłek!

Jaksa rzucił na młodzieńca krótkie spojrzenie.

Mam i dlatego cię wezwałem. Twój rodzic wyjechał, aby wykonać swoją część zadania, w moim ty będziesz mi pomagał. Ksiądz Andrzej wziął na siebie też część, ale on pomocy nie potrzebuje.

— Co przykażecie, bym robił?

Rudy przerwał swoją wędrówkę po izbie i, uśmiechając się, przysiadł na zydlu.

A więc słuchaj uważnie. Różne wieści i plotki krążą wśród dworu, a zwłaszcza wśród otoczenia księżny Julianny. Ostatnio jedna z jej panien, bratanica grodzieńskiego starosty, zdradziła się, że wie o sprawie, której na razie wielki książę wolał zbytnio nie rozgłaszać. Trzeba, abys się zetknął z ową dziewczką, bliżej ją poznał i starał się dojść, komu tę wiadomość powtórzyła, a zwłaszcza skąd ją zdobyła...

— Jak wszakże ją poznać, skoro na dwór księżnej mężczyźnie niełatwo się dostać, w dodatku młodemu? — zafrasował się chłopak.

— Sposób ci wskażę, bo nie masz jeszcze na tyle obycia, by samemu tego dokonać. Ale panna to wielce urodziwa, więc łącno możesz się w niej zadurzyć, a nawet, jeśli zdobędziesz wzajemność, bliżej się z nią związać. To nie będzie jednak przeszkodą, a raczej może okazać się pomocne. Wszakże pod warunkiem, że nie stracisz głowy, a zawsze będziesz pamiętał, com ci poruczył, i niczego przede mną nie zataisz! Czy możesz dać mi na to rycerskie słowo?

— Daję bez nijakiego wahania! Serca takiej nie oddam, która byłaby przeciw wam!

— Ludzkie serce nie takie znów posłuszne, jak ci się zdaje... — mruknął Rudy w zamyśleniu, ale zaraz wrócił do rozmowy. — Sprawę waszego poznania się już załatwiłem. Pogadawszy z tym i owym dowiedziałem się, że Olga — tak się ona zowie — parokroć prosiła księżnę, żeby zezwoliła jej na konną jazdę, której zaczęła się uczyć jeszcze we dworze swego opiekuna. Księżna jednak ani słyszeć o tym nie chciała uznając, że nie przystoi córce tak znacznego rodu ganiać na koniu...

— W istocie, niezbyt to bogobojne, by dziewczyna nakładała portki, boć przecie w kiecce na siodło nie siądzie...

— To może u was, w Koronie, źle to widzą! — roześmiał się Rudy.

— Bo u nas, na Litwie, jeśli bojar rusza na wojnę, bywa, że jego małżonka zakłada nie tylko portki, ale i buty z cholewami, kij bierze w garść i rządzi nie gorzej od męża! A w razie potrzeby nie bacząc na niewieścią wstydlivość i rugnąc mocnymi słowy potrafi!

— Ale w czymże mnie to dotyczy?

— W tym mianowicie, że za poradą właściwych ludzi księżna swoją decyzję zmieniła i Olga otrzymała zezwolenie na naukę konnej jazdy, ty zaś zostałeś wyznaczony na jej nauczyciela.

— Ja...?! — Lech ze zdumienia aż poderwał się z krzesła, ale zaraz dorzucił ze śmiechem: — Zabiorę się do tego z ochotą, skoro mówicie, że to gładka dziewczka!

— Bardziej niż się spodziewasz... — burknął Jaksza raczej do siebie.

— Wszakże za wcześnie o nic jej nie rozpytuj, dopiero jak się nieco poznacie i przekonasz się, że wroga ci nie jest... — zakończył rozmowę ostrzeżeniem.

Niedługo po południowym posiłku zjawił się pokojowiec z poleceniem, by Lech zaraz przybył na pokoje wielkiej księżny. Ruszył więc za nim i wkrótce został wprowadzony do komnaty urządzonej z iście wschodnim przepychem. Pośrodku niej stała zażywna jejmość sporej tuszy, odziana w długą, sięgającą ziemi suknię, w czepcu na głowie. Pomiedzy rumianymi, pełnymi policzkami sterczał niby grzybek okrągły nosek nadając twarzy wyraz dobroduszości. Jednak wrażenie to psuły oczy świecące w szparach nabrzmiątych powiek, o przebiegłym, przenikliwym spojrzeniu. W odpowiedzi na powitalny ukłon Lecha, spytała po rusku, niskim, nieomal męskim głosem:

— To waść masz uczyć Olgę Włodzimierzównę konnej jazdy? Hm... wołałabym starszego wiekiem...

— Tak, wielmożna pani, to ja... — powtórzył ukłon i zaprezentował się, udając, że nie dosłyszał zastrzeżenia.

— A jam Agata Nienuszko, nie od dziś ochmistrzyni dworu księżnej pani i z jej polecenia opiekunka tej oto dziewczeczki — wskazała na stojącą obok siebie szczupłą dziewczynę.

Lech ujrzał wpatrzone w siebie wielkie ciemne oczy, jakby przy-ćmiewające swym blaskiem resztę rysów, mały, kształtny nosek i pełne, kuszące wargi rozchylone nieco zażenowanym uśmiechem. Spod rysiej czapeczki wysuwały się pukle kruczej czerni włosów, a kubraczek nie zdołał całkowicie ukryć zarysów piersi. Poza tym była ubrana w luźne, tureckie szarawary i obuwie z cienkiej cielęcej skóry, z cholewką sięgającą ponad kostki.

Skłonił się z kolei przed nią i powitał z uśmiechem:

— Kląnam się waćpannie i polecam jej łaskawości. Tuszę przy tym, że nie mnie obarczysz winą, jeśli przyjdzie zaznać twardości ziemi...

W ciemnych oczach pojawił się błysk przekory, kiedy odpowiedziała już bez poprzedniego zażenowania:

— Przecież nie waćpana będę dosiadać...

— Zamilcz, waćpanna! — fuknęła ze zgorzeniem ochmistrzyni, obrzucając dziewczynę gniewnym spojrzeniem.

— Nieprzystojne to słowa jak i owe szarawary, coś je przywdziała! Skoro jednak księżna pani pozwoliła ci na to bezceństwo, zachowaj chociaż umiar w słowach!

Lech, ubawiony odpowiedzią dziewczyny, uznał za wskazane ułagodzić gniew pani Agaty.

— Nie mam za złe waćpannie jej słów, boć jej młode lata nakazują wyrozumienie...

Waść o latach nie mów, boś sam mało co starszy! — parsknęła dziewczyna, wyraźnie daleka od skruchy.

— Co innego mam nakazane niż spieranie się z waćpanną — oświadczył już ostrzej Lech. — Jeśli zatem mam wysłuchiwać dąsów, tedy szukaj sobie innego nauczyciela!

— Dobrześ, waćpan, rzekł! — rzuciła z uznaniem pani Agata. — Od początku byłam przeciwna tej nauce, ale skoro już do tego przyszło, trzymaj ją krótko, bo inaczej rady sobie nie dasz!

Olga widać przestraszyła się, że z trudem uzyskane zezwolenie może zostać cofnięte, gdyż spojrzała na młodzieńca spod rzęs i powiedziała przepraszająco:

— Nie gniewaj się, waćpan... Ja wcale do dąsów nieskora...

Lech napotkawszy to spojrzenie poczuł, że w komnacie raptem zrobiło się dziwnie gorąco, więc zaproponował już przyjacielskim tonem:

— Zatem nie traćmy czasu i ruszajmy do stajni!

Fiedko Sapiejew, nadzorca wileńskiej stadniny wielkiego kniazia, okazał się młodym jeszcze mężczyzną, o wesołym spojrzeniu nieco skośnych oczu, twarzy okolonej piękną brodą i nieco pałkowatych nogach, co w jego zawodzie często się zdarzało. Okazał się uczynnym i chętnym do udzielenia pomocy, zapewne również dlatego, że musiał już otrzymać ze dworu odpowiednie polecenie.

Kiedy po wstępnej rozmowie ustalili wybór wierzchowca, wyprowadzono osiodłaną klacz. Ujrawszy to Lech zaprotestował, polecając pachołkowi:

— Rozsiodłaj konia i nakryj grzbiet derką! A dla mnie przynieś bat z długim rzemieniem!

— Mam jechać na oklep? — rzuciła zaskoczona Olga. — Dotąd zawsze jeździłam na siodle!

— Tak też sobie myślałem! Ale teraz spróbujemy inaczej!

Dziewczyna beztrosko wzruszyła ramionami.

— Może być i na derce! Dla mnie to nie różnica!

Lech uśmiechnął się lekko, pomny własnych kłopotów, kiedy to rodzic zaczął go przyuczać do końskiego grzbietu. Wkrótce klacz wróciła już tylko przykryta derką. Lech odebrał od pachołka zwiniętą linkę, przymocowaną drugim końcem do uzdy, oraz bat i zwrócił się do dziewczyny:

— Chodźmy, obaczę, co waćpanna potrafisz...

— Dokąd? — zdziwiła się. — Przecież starczy miejsca i na tym majdanie!

Tu ziemia może okazać się dla waćpanny za twarda! Za stajnią natomiast widziałem szmat zaoranego rżyska...

Sądziś, waćpan, że nie utrzymam się na koniu?! — prychnęła pogardliwie ruszając jednak za nim.

— To właśnie chcę wiedzieć...

Zaciekawiony Sapiejew przyłoczył się do nich i wkrótce znaleźli się na miękkim gruncie zaoranego pola. Lech ujął nogę dziewczyny, którą zgięła w kolanie, i pomógł jej dosiąść konia.

— Początkowo trzymaj się waćpanna grzywy, ale jak przykażę, to ją puścisz i rozstawisz ramiona! Konia nogami za mocno nie ściskaj, jeno na tyle, by zawždy tyłkiem opaść na to samo miejsce grzbietu! Bo jeśli zboczysz raz i drugi, wnet będziesz na ziemi!

Klacz, uwiązana na lince, którą Lech rozwinął na całą długość, biegła początkowo truchtem, dziewczyna zaś, zacisnęwszy palce na włosach grzywy, poddawała się lekkim podrzutom końskiego grzbietu.

Lech głosem ponaglił zwierzę do szybszego biegu, ponieważ nie raczyło jednak zareagować, bat śmignął w powietrzu. Sawiejew, przyglądający się tej scenie z uznaniem, stwierdził, że koniec długiego rzemienia ugodził celnie w zad zwierzęcia, omijając plecy jeźdźca.

Klacz poderwana uderzeniem ruszyła ostrym kłusem. Na twarzy Olgi ukazał się wyraz zaciętości i wzmożonego wysiłku, a jej palce już kurczowo chwyciły się grzywy. Jednak trzymała się dzielnie. Mimo to Lech nie oszczędził jej zgryźliwych uwag:

— Pod kubrak waćpanny wsunięto widać poduszkę, skoro masz takie krzywe plecy... Trzymaj się prościej! I nóg nie zwieraj tak krzepko, koń ci z nich nie umknie! Mięcej, waćpanna, luźniej...! Trzymasz tę grzywę jak skuta lodem!

Po pewnym czasie powstrzymał konia, by pozwolić dziewczynie na odpoczynek. Kiedy jednak znów ponaglił klacz do biegu, wkrótce rzucił rozkaz:

— Puść grzywę i rozstaw ramiona!

Olga wprawdzie usłuchała polecenia, ale jazda nie trwała długo. Wkrótce opadła najpierw tylko nieco w bok od linii końskiego grzbietu, po chwili już sporo dalej, a potem raptem zniknęła sprzed oczu patrzących, którzy na krótką chwilę ujrzeli tylko nogę ponad końskim zadem, a potem dopiero ją samą, ale rozciągniętą na ziemi.

Koń spokojnie biegł dalej, więc Lech wstrzymał go i podszedł do dziewczyny. Podniosła się już i stała rozcierając sobie biodro.

— Chyba zbytnio się nie potłukła...? — zatroszczył się. — Ziemia tu miękka...

— Niech cię grom spali! — usłyszał w odpowiedzi. — Nie będę więcej jeździć bez siodła, szukaj sobie głupiej!

— Będziesz robić, co ci każę, albo wdziejaj z powrotem kieckę! — rzucił ostro. — Siadaj na konia!

— Na dziś mam dość! Ciebie i tych łamańców!

— Siadaj na konia... — powtórzył tym razem spokojnie, ale tonem, który spowodował, że zerknęła na niego i po chwili burknęła:

— No to mi pomóż...

Znów jakiś czas pozwolił jej trzymać się grzywy, ale wkrótce powtórzył poprzedni rozkaz.

Skutek nie kazał na siebie długo czekać. Jednak tym razem, widać spodziewając się nieszczęścia, zdążyła na czas objąć ramionami końską szyję osłabiając w ten sposób impet upadku.

Lech uznał za stosowne zakończyć na tym tę pierwszą lekcję. Kiedy zaś, żegnając ją na ganku pałacu, wyciągnął rękę, ona ujęła ją i spojrzawszy mu w oczy szepnęła:

— Dziękuję waćpanu... Przyjdziesz jutro po mnie o tej samej porze?

— Przyjdę — obiecał czując, jak pod wpływem tego spojrzenia znów robi mu się gorąco.

W tym czasie ksiądz Andrzej został osobistym pisarzem jego wielmożności Mikołaja Cebulki. Pracował w dla siebie tylko przeznaczonych izbach przyjmując i wysyłając wszelką tajną korespondencję. Jednocześnie zapoznawał się z putnikami, którzy zostali poddani jego zwierzchnictwu.

Zajazd „Pod Kusą Kiecką” okazał się bardziej obszerny niż można było sądzić po wielkości miasta ściśniętego obronnymi murami. Mieścił się w dwupiętrowej kamienicy, wprowadzie tylko o trzech oknach frontu, bo tylko takie na obwarowanym terenie wolno było budować, ale głęboko sięgającej w podwórze, do którego wiodła szeroka brama. Dalej widać było stajnie i szopy oraz studnię przykrytą daszkiem wspartym na czterech słupach.

Na parterze znajdowała się obszerna jadalnia oberży oraz łaznia, z osobnym wejściem. Sypialnie dla podróżnych mieściły się na piętrze, dokąd prowadziły wygodne schody o drewnianej, pięknie rzeźbionej poręczy.

Waśko został przy koniach, a Czarny z Rochem: ruszyli do gospody.

W półmroku sklepionej w ostrołuki sali ujrzeli długą ladę, a za nią kobiecą postać. Kiedy do niej podeszli, uniosła się z zydła uśmiechając wyczekująco.

Czarny ocenił, że trzeci dziesiątek lat już jej minął, ale uroda wiele na tym nie straciła. Miała wprowadzie już nieco zaokrąglone kształty jednak nie ubyło im przez to powabów, a świeża, gładka twarz i białe zęby, jakie ukazana w uśmiechu, bardziej odpowiadały młodej dziewczynie niż mężatce, o czym świadczył czepek przykrywający jej czarne włosy.

Uśmiech był zalotny, jak i towarzyszące mu spojrzenie pięknych oczu, o nieco nabrzmiałych, ciężkich powiekach. Skierowała wzrok najpierw na Czarnego, a potem zatrzymała go nieco dłużej na Rochu.

Cena izby okazała się wysoka, więc Czarny zadowolił się jedną dla nich trzech, po czym posłał Rocha po pocztowego.

Kiedy zeszli na wieczerzę, na stołach paliły się już świece, a sala wypełniła się nieomal całkowicie. Mimo to znalazł miejsce w pobliżu bufetu.

Okazało się wkrótce, że pani Kachner była skora do gawędy więc nawiązanie rozmowy przyszło łatwo.

— Chce pan widzieć się z mężem...? — przechyliła się w pewnej chwili przez ladę, ukazując w mroku stanika zarys piersi. — Niestety, wraca dopiero jutro!

— Czy na pewno? Ważną mam do niego sprawę, czasu jednak niewiele...

Pojechał tylko do Świecia, niecałe dwie mile stąd! Ma na zamku dobrego kowala, więc tam zaprowadził wozy do okucia!

— Wybiera się zatem w dłuższą drogę?

— W bardzo długą, bo aż na Litwę!

— A więc to prawda, co słyszałem w Gdańsku! — Czarny okazał żywe zainteresowanie i dorzucił: — Może zechciałaby waćpani zaszczyścić nas swoim towarzystwem? Łatwiej byłoby rozmawiać, bom ciekaw tego wyjazdu!

— Chętnie pogawędzę z tak grzecznymi gośćmi!

Pani Kachner wyraźnie rada z propozycji okrążyła ładę i z kokieteryjnym uśmiechem zasiadła na wolnym miejscu. Przesunęła wesołym spojrzeniem po twarzy Czarnego, po czym zatrzymała je na Rochu i wyciągnąwszy ramię, końcami palców ujęła go pod brodę:

— Ładny jesteś, chłopaczku! — Spojrzała znów przelotnie na Czarnego i cofając rękę dodała: — Podobny nieco do waćpana...

Twarz Rocha rozgorzała gwałtownym rumieńcem, ale Czarny roześmiał się tylko i objaśnił, rozbawiony:

— Bo to mój syn! Wszakże uroda dla młodzieńca to sprawa bez znaczenia. Inne zalety pragnę w nim widzieć!

— Zaraz dostrzegłam podobieństwo, co i dla waćpana jest pochlebne... — Niby od niechcenia rzuciła pani Kachner, wyraźnie jednak zdradzając wrażliwość na męską urodę.

Ja zaś nie ośmielam się wyrazić podziwu dla piękności waćpani, by nie dowiedział się o tym małżonek! Gotów wówczas nie wejść ze mną w komitywę, co przysporzyłoby mi kłopotów...

— E, tam...! — pani Kachner machnęła lekceważąco ręką. — On dba tylko o swoje sprawy, a reszta go nie obchodzi! Nawet o tę gospodę sama muszę się troszczyć, bo on wciąż włóczy się po świecie, mało o mnie dbając!

— Bez powodu nie ponosi przecież trudów podróży. Raczej chwalić go trzeba, że dba o powiększenie fortuny!

— Nie musi sam wszystkiego robić, ma od tego swoich ludzi! — prychnęła dając upust z dawna widać nurtującemu ją rozdrażnieniu.

— Nie po to szłam za mąż, by oberżę prowadzić, jeno dom mieć i dzieci chować!

— Przyjdzie czas i na błogostawieństwo Boże... — Czarny uśmiechnął się.

— Niechajmy o tym gadania, by żałość mnie zbytnio nie poniosła... — mruknęła już tylko z hamowanym rozdrażnieniem.

— Ludzkie to sprawy i zrozumiałe... — skomentował przyjacielsko Czarny, dorzucając: — Pytałem o waćpani małżonka, bom już słyszał, że rusza z towarem na Litwę. Mnie czeka ta sama droga, toteż chciałbym dla bezpieczeństwa przyłączyć się do niego.

— Ano jedzie, bo jak zwykle uważa, że tylko on zdolny zapobiec złej przygodzie!

— Czemu nie należy się dziwić, gdyż na pewno nie o byle grosz chodzi. Sam także inaczej nie postępuję. Obce oko nigdy nie jest dość czujne, często zachodzi też możliwość dokonania nowej dostawy, a do ugody sam patron jest niezbędny.

— Bronisz go, łaskawco, boś także kupiec! Ale gdyby gadała ze mną waści małżonka, zapewne znalazłabym większe zrozumienie!

— Moja na mnie nie narzeka... — Czarny uśmiechnął się porozumie-wawczo.

— Wyglądasz mi na takiego! — roześmiała się klepnąwszy go po rękę. Rozmowa ta pozwoliła Czarnemu na nawiązanie z gospodynią bardziej przyjacielskich stosunków, co miało ten skutek, że zaczęła ich traktować jako gości zasługujących na względy. Jednak jej wyjątkową przychylność zdobył Roch, którego zaczęła specjalnie wyróżniać, wprawiając go tym w krańcowe zakłopotanie, co zdawało się szczególnie ją bawić.

Przekonał się o tym już następnego dnia, kiedy rano schodził na dół by dopomóc Waście w obrzędzaniu koni.

Spotkał gospodynię na korytarzu. Obróciła ku niemu głowę i powitała, kraszając uśmiech figlarnym błyskiem oczu.

— Dzień dobry kawalerowi! Czy rodzic także schodzi na śniadanie?

— Zejdzie nieco później... — bąknął skonfundowany jej uśmiechem i uwodzicielskim spojrzeniem. Ale zmieszanie to doszło do szczytu, kiedy mijając go, niby w braku miejsca, otarła się piersią o jego ramię. Nakryła zaraz oczy powiekami i bąknąwszy krótkie przeprosiny minęła go szybko. On zaś z mocno bijącym sercem i wzburzoną krwią nieomal zbiegł ze schodów, wciąż czując na ramieniu dotyk jej prężnego ciała.

Kachner przyjechał około południa. Żona musiała mu powiedzieć o gościach czekających na jego przybycie, a zapewne i wskazała ich, bo kiedy Czarny zasiadł do stołu na południowy posiłek, sam do niego podszedł.

Hubert ujrzał niepozornego człowieka, niskiego i szczupłego, niczym wyschnięta szczapa. Miał okrągłą, pokrytą piegami twarz, rude włosy i równie rude brwi, rzęsy, a także rzadki zarost. Oczy miał niebieskie, ale ich barwa była przygaszona, jakby spłowiała. Mówiąc raz po raz przykrywał je powiekami, co sprawiało wrażenie, że wypowiadanie słów przychodzi mu z trudnością. Jednak ich spojrzenie zdawało się kłuć czarnymi punktami źrenic, jakby pragnął na wskroś przebić wzrokiem swego rozmówcę.

— Ponoć, wasza łaskawość, chciałeś ze mną mówić? — spytał nachylając postać w ledwie zaznaczonym ukłonie.

— Paweł Kachner do waści usług...

Czarny uniósł się z ławy i wyciągnął dłoń dokonując również prezentacji, po czym wskazał miejsce naprzeciw siebie.

— Istotnie chciałem pogadać o tym i owym, toteż rad będę, jeśli zechcesz mi, łaskawco, poświęcić nieco czasu.

Kachner bez słowa usiadł za stołem i czekał w milczeniu na dalsze wyjaśnienia. Czarny więc od razu przystąpił do rzeczy:

— Jak się zwę, już wiecie. Dodam tylko, że tak handluję z polskimi kupcami, jak i dostarczam towar na dwory niektórych litewskich panów...

— Sam czy z polecenia? — spytał rzeczowo Kachner nie spuszczać wzroku z twarzy swego rozmówcy.

— Sam, ale czasami ze spółką „Böhm i Burhard” z Gdańska.

— Zatem jesteście z Gdańska?

— Tak.

— Czym handlujecie?

— Głównie trunkami, ale podejmuję się i innych dostaw. Ostatnio sprzedałem większą partię prochu i żelaznych kul...

— Komu? — Pytanie zostało rzucone zdawkowym tonem, towarzyszyło mu jednak krótkie, badawcze spojrzenie.

Czarny uśmiechnął się nieznacznie.

— Wybaczcie, ale byłbym złym kupcem, gdybym odpowiadał na wszystkie pytania.

Krótkie skrzywienie ust Kachnera miało zapewne oznaczać od-wzajemnienie uśmiechu, dowodzące zrozumienia dla ostrożności partnera. Potwierdził to zresztą słowami:

— Spytałem mimo woli, nie bierzcie mi tego za złe.

— Ależ oczywiście! — dobrodusznie zgodził się Czarny. — Zresztą zbyt skrzętny w ukrywaniu swych kupieckich spraw nie jestem, bo większości nie da się ukryć. Dowodem tego niech będzie sprawa, jaką mam do Łaskawcy. Wiadomo mi, że wkrótce ruszacie na Litwę z dużym transportem wina na łucki zjazd. Otóż i ja mam dostawę, jeno znacznie mniejszą, bo wszystkiego kilkanaście beczek, więc jeśli wyrazicie zgodę, chętnie przyłączę się do waszego taboru, by w ten sposób zapewnić sobie większe bezpieczeństwo.

— Zatem ruszacie również na tamtejszy teren?

— Tak. I wyjawię wam, dla kogo, abyście nie widzieli we mnie konkurenta. Wino to zamówił u mnie książę Świdrygiełło.

Na twarzy Kachnera pojawiło się zaskoczenie, co nie uszło uwagi Czarnego.

— Dla Świdrygiełły, mówicie? To także powinien być dobry odbiorca, bo pijanica z niego ponoć tęgi...

— Ja poczytuję to raczej za zaletę... — Czarny uśmiechnął się.

— Istotnie, dla was to korzystne upodobanie... Ale tym bardziej powinszować, że udało się wam go pozyskać! Uprzedziłem mnie, bo sam przemyślałem, jak do niego dotrzeć. No cóż, kto pierwszy, ten lepszy...

— Sądzę, że w wielkim kniaziui macie bogatszego odbiorcę, nie mówiąc już o takiej okazji, jak ów zjazd w Łucku. Mają tam ponoć być królowie i księżęta z całej Europy!

— No, nie wszyscy, ale już sama obecność cesarza Zygmunta świadczy o okazałości zgromadzenia.

— Mnie i Świdrygiełło starczy, toteż na cudze podwórko pchać się nie zamierzam!

— I słusznie... — przytaknął Kachner. — Tym bardziej że działając ręką w rękę większe moglibyśmy osiągnąć korzyści... Wasza znajomość dworu Świdrygiełły może być dla mnie równie korzystna, jak dla was moja kniazia Witolda...

— Rad to słyszę, ale obecnie zaprzęta mnie troska o bezpieczeństwo moich wozów.

— Nie widzę przeszkód, oczywiście, jeśli weźmiecie na siebie część wydatków na zbrojną straż, jaką ze sobą biorę.

— Jakaż to ma być część? — Czarny okazał zaniepokojenie.

— W zależności od ilości waszych i moich wozów. Mój tabor będzie duży, toteż na ochronie nie mogę oszczędzać.

— Nie spodziewałem się jednak jakichś dodatkowych kosztów...

— Czarny próbował targu, by nie wyjść ze swej roli. — Zważcie, że ja i dwóch moich ludzi także sprawnie władamy bronią, a wozów nie będę miał nawet dziesięciu...

Kupiec machnął lekceważąco ręką.

— E, to tyle co nic! Myślałem, że Świdrygiełło więcej pija! Jakoś się dogadamy. Kiedy będziecie gotowi?

— Zaraz, jak tylko ściągnę z Gdańska beczki!

— Zatem pośpieszcie się, bo ruszam za dwie niedziele!

Jeszcze tego samego dnia Waśko pognął z wiadomością do księdza Erazma, ale następnego dnia już świtaniem ruszył również goniec kupca Kachnera z pismem do człowieka przebywającego na gdańskim zamku.

Interesy Kachnera musiały być rozległe, gdyż wkrótce znów wyjechał, zapowiadając powrót dopiero za kilka dni. Jego małżonka nie wydawała się jednak zbyt tym zmartwiona, jak można by sądzić po jej dotychczasowych wypowiedziach.

Przyczyną tego były zapewne jednoczesne, coraz wyraźniejsze zabiegi o nawiązanie bardziej poufatej relacji z urodziwym młodzieńcem. Służyły temu nie tylko powłóczyście spojrzenia i obiecujące uśmiechy, ale i wykorzystywanie każdej możliwości do bezpośredniego kontaktu. Natomiast Roch, początkowo onieśmielony i zażenowany, wkrótce zaczął okazywać coraz więcej chęci do wzięcia udziału w tej zabawie.

Czarny zaś, którego uwagi nie uszły te niewieście zabiegi, udawał, że nie dostrzega niczego, ale był raczej rad z edukacji, jaką w tym zakresie przechodzi młodzieniec.

Tego dnia, kiedy wieczorem służebne pozapałały już w jadalni świece, pani Kachner, widząc Rocha wracającego z podwórza, skinieniem ręki przywołała go do siebie i podając zapaloną latarnię spytała z uśmiechem:

— Czy zechce mi acan poświecić? Muszę przynieść ze składziku pościel dla nowych gości.

— Ależ z ochotą! Gdzie jest ten składzik? — Roch ucieszony sposobnością usłużenia niewieście, która coraz bardziej przypadła mu do serca, ruszył za nią z latarnią w rękę.

Na drugim piętrze, obok kantoru mego męża... Będę waćpana prowadzić!

Schody kończyły się obszernym podestem. Po obu stronach czerniały w nim wyloty korytarzy. Pani Kachner pewnie zagłębiła się w mrok jednego z nich. Wkrótce zatrzymali się przed wąskimi drzwiami z wiszącą na nich kłódką. Kobieta sięgnęła za stanik i wyjętym kluczem otworzyła ją, przekraczając próg ciemnego wnętrza.

Odebrała latarnię od towarzysza i postawiła na niedużym stoliku, stojącym pod wąskim oknem. Chybotliwe, żółte światło ożywiło szczupłe pomieszczenie ruchliwymi cieniami. Z prawej strony, obok stolika, Roch dostrzegł szerokie łóżce; resztę ścian zajmowały szafy i regały. Jeden z nich stał pod jakimiś bocznymi drzwiami. Widząc, że Roch zwrócił na nie uwagę, pani Kachner objaśniła:

— Znajduje się za nimi kantor mego męża, gdzie przyjmuje swoich interesantów. Ta izdebka służyła mu kiedyś do poobiednich drzemek, ale przeniósł się do sypialni, bo nie miałam gdzie przechowywać co cenniejszych rzeczy i zapasów.... — Po czym, ku zaskoczeniu Rocha, dorzuciła z cichym, dochodzącym z głębi piersi śmiechem: — Tu będziemy zupełnie bezpieczni...

Domawiając tych słów nachyliła się nad latarnią i zgasiła ją jednym dmuchnięciem. W następnej chwili młodzieniec poczuł, jak dwoje kobiecych ramion otacza mu szyję, ciepłe wargi na swoich ustach, wprawne palce rozpinające pas i guziki kaftana...

Potem, jeszcze zdyszani, leżeli obok siebie, z wolna uśmierzając rytm wzburzonej krwi. I wtedy właśnie doszedł ich z korytarza szmer kroków i męski głos:

— Chodź, waść, w moim kantorze będziemy mogli spokojnie pogadać...

Roch poczuł, jak spoczywająca przy nim kobieta raptem zeszywniała, a jednocześnie usłyszał przy uchu jej szept:

— To Paweł... Nie ruszaj się... Przyjechał wcześniej niż sądziłam...

— Co zrobimy? — odszepnęła jej również do ucha.

Wnet odzieję się i wymknę. Ty zaraz po mnie, ale ostrożnie, by cię nie usłyszeli... Równie cicho załóż kłódkę na skobel, tak aby nie dostrzegli, że otwarta... Chyba trafisz na dół bez światła?

— Nie bój się, dam sobie radę...

Doszedł go ledwie uchwytny szelest naciąganej sukni, a potem w otaczającej go ciemności zapanowała cisza. Jego towarzyszka jakby rozplynęła się w tej ciemności. Sam ostrożnie zaczął porządkować odzież, ale kiedy już się z tym uporał, nie opuścił izdebki, gdyż zaciekała go rozmowa, jaką usłyszał spoza zastawionych regałem drzwi. Jeden z rozmówców zapewne siedział, drugi zaś chodził po komnacie, gdyż jego głos to nasilał się, to cichł.

— ... Dlatego ruszę skoro, tylko otworzą bramy... — To mówił chodzący. — Rozkazano mi pośpieszać, gdyż cesarski kanclerz ponoć żądał szybkiego przekazania wiadomości...

— Malbork zapewne już o tym wie... — rozległ się głos Kachnera, zabarwiony nieznaczną nutą lekceważenia...

— Dość mają oczu na Witoldowym dworze, by dostrzec przybycie owych ludzi z Korony...

— Wy tam przecież byliście także, a nic o tym nie wiecie...

— Odpowiedź nie była pozbawiona nuty wyrzutu.

— Mnie w Wilnie nie było! Przecież przebywałem u wielkiego kniazia pod Żytomierzem! — odparował z irytacją Kachner.

— Nie warto nad tym się rozwodzić — głos nabrał pojednawczego akcentu cichnąc nieco, gdyż mówiący widać oddalił się od drzwi. Następne słowa zabrzmiały jednak wyraźniej:

— Ważniejszy jest cesarski rozkaz, który wiozę do Malborka, a o którym i wy powinniście wiedzieć. Otóż wszelkie polecenia będą teraz szły nie z kancelarii cesarskiej, a z Jagiełłowego dworu, od człowieka, któremu polecono objąć zwierzchnictwo nad ludźmi tak naszego Zakonu, jak i cesarskich. On ma przewodzić i mieć pieczę nad tokiem spraw...

— Któż nim ma być?

— Spodziewaliście się to usłyszeć? — ironicznie prychnął właściciel nieznanego głosu. — Nikt o tym nie wie prócz cesarskiej kancelarii.

— Komu więc przekazywać teraz wiadomości i od kogo otrzymywać rozkazy?

Będzie do was przybywać wysłannik. Jeno nie z hasłem, bo to zawodny sposób, a okaże wam znak, taki sam jak ta kłamra... Przyjrzyjcie się jej dobrze.

Nastąpiła przerwa w rozmowie. Roch, słuchający jej przy drzwiach, żałował, że nie może zobaczyć owej klamry, a przynajmniej wiedzieć, przy czym się znajduje.

Dalszą rozmowę rozpoczął pytaniem Kachner:

— *A co ze Świdrygiełłą? Czy nadal uważacie, że wart jest zachodu?*

Wszystko, co dzieje się na Witoldowym podwórzu, nie jest nam obojętne. A zwłaszcza Świdrygiełło, który długo spokojnie nie potrafi siedzieć. Czemu o niego pytacie?

— *Gdyż być może miałbym człowieka, który mógłby być nam pomocny...*

— *Czy aby pewny?*

Nikt pewny nie jest. O tego dopiero przepytuję, mimo że do zupełnej konfidencji nie zamierzam go dopuścić.

Świdrygiełło na razie siedzi cicho, ale to o niczym nie świadczy. Dobrze byłoby i stamtąd mieć wiadomości.

— *Tak też sobie myślałem... No, a teraz zapewne będziecie chcieli nieco odetchnąć! Kazałem przygotować izbę, sam was do niej zaprowadzę, jak i sam przyniosę posiłek.*

— *Tak będzie lepiej. A co się tyczy Świdrygiełły...*

Roch nie słuchał już dalej w obawie, że lada chwila rozmawiający mogą wyjść i zauważyć nie zamkniętą komórkę. Wymknął się więc, zgodnie z poleceniem cicho założył kłódkę na skobel, po czym, mając na nogach łośiowe obuwie, bezszelestnie przebył korytarz i, zjechawszy po poręczu, po chwili był już u siebie.

Był tak podniecony, że już nieomal zapomniał o przeżytej niedawno miłosnej przygodzie. Dopiero kiedy zdawał ojcu relację z usłyszanej narady naszła go obawa, że zapewne przyjdzie mu przede wszystkim wyjaśnić, w jakich to okolicznościach udało mu się zdobyć te wiadomości. Ale ku swemu zaskoczeniu przekonał się, że rodzic nie dochodził, po co i z kim znalazł się w owej komórce, jakby już o tym dobrze wiedział. Jednak treść owej rozmowy kazał sobie powtórzyć dwa razy, a o niektóre wypowiedzi dopytywał się szczególnie.

W dwa dni potem, schodząc z Wašką na poranny posiłek, ujrzeni przy jednym ze stołów brata Erazma, który wraz z Tomkiem spokojnie spożywał piwną supę. Zgodnie z otrzymanym poleceniem nie okazali po sobie, że go znają. Natomiast, jak i kiedy rodzic porozumiał się z przybyłym, Roch nie dowiedział się, gdyż otrzymał rozkaz zabrania ze sobą Waški na oglądanie miasta. Wszakże kiedy powracali na obiad, dostrzegli z daleka jeźdźca wypadającego z bramy zajazdu. Mimo odległości obaj bez trudu rozpoznali Tomka.

Dziewczyna posiadała wrodzoną sprawność fizyczną, która już po tygodniu pozwoliła jej na swobodne galopowanie na oklep, bez trzymania się grzywy. To przyczyniło się do pewnego siedzenia w siodle, wkrótce więc wyjeżdżali na konne spaceru, w czasie których Lech przystąpił do nauki skoków przez przeszkody.

Jednak nie obeszło się i tym razem bez wypadków. Raz przeleciała przez koński łeb, kiedy zwierzę raptem zaparło się przed wyróconym drzewem. Drugim razem klacz upadła wraz z nią podczas skoku przez strumyk wijący się wśród mokrej łąki. Grunt był tu również miękki, bo mocno błotnisty, więc i tym razem nic jej się stało.

Olga robiła wprawdzie szybkie postępy, ale równie szybko wzrastała temperatura łączącego ich uczucia, co powodowało wzajemne zażenowanie. Lech początkowo maskował je zbytkiem surowości, ale kiedy raz i drugi ujrzał łzy w oczach dziewczyny, przeklinał siebie w duchu, potem jednak jeszcze bardziej czuł się skrępowany.

Ten brak swobody we wzajemnym stosunku nie mógł jednak trwać długo. Brakowało tylko iskry do spowodowania wybuchu nagromadzonego napięcia.

Nastąpił on właśnie podczas tego drugiego upadku. Olga leżała na boku jeszcze oszołomiona, on widział, że nic się jej nie stało, ale jednocześnie

dostrzegł, że klacz zaczyna się rzucać, daremnie próbując powstać na śliskim gruncie. Obawiając się, że dopiero teraz może potrącić dziewczynę, skoczył ku niej i ująwszy w ramiona postawił na nogi. Przez chwilę trzymał ją w objęciach i, zamiast puścić, przygarnął do siebie i zaczął całować twarz.

— *Miła, nic ci się nie stało? Nic ci nie jest?* — szeptął pomiędzy jednym pocałunkiem a drugim.

Ona zaś miałaby wyrwać się z jego objęć, jeszcze bardziej przylgnęła ku niemu.

— *Nie... Ale się przestraszyłam...*

Uniosła ku niemu głowę i to wystarczyło, by ich usta odnalazły się same. Potem nastąpiła chwila zwierzeń, które przerwała dopiero klacz, nadal daremnie usiłująca poderwać się z ziemi. Lech musiał pośpieszyć jej z pomocą, a kiedy znów obrócił się do dziewczyny, na jej widok wybuchnął śmiechem. Była zaskoczona taką reakcją, zrozumiała jednak jej przyczynę, ujrawszy jego twarz.

— *Nie myśl, żeś lepszy!* — rzuciła udając zagniewaną. — *Też jesteś usmarowany błotem!*

— *To dlatego, żeś mnie całowała!*

— *Ja cię całowałam...?!* — oburzyła się. — *Toś ty mnie siłą przymusił, korzystając, żeś była załęczniona!*

— *Tak czy inaczej, musimy nieco się obmyć, by ludzie z nas się nie śmiali!*

Po przybyciu na kwaterę, pełen szczęścia wypełniającego mu serce, Lech nie omieszkał jednak obmyć się bardziej dokładnie niż w wodzie strumienia. Przy tej czynności zastał go Jaksę, a widząc rozradowanie młodzieńca, od razu odgadł tego przyczynę.

— *Zatem wreszcie wyznaliście sobie dozągonną miłość, a także wierność do grobowej deski?* — spytał zachowując powagę. *Młodzieniec nie wyczuł jednak ukrytej kpiny w pytaniu.*

— *Prawda to, wuju!* — nieomal wykrzyknął. — *Miłujemy się jak nikt na świecie!*

Jaksę pokiwał głową.

— *W twoim wieku i mnie zdarzało się tak mniemać... Niechże jednak rozstrzygnie to czas, a my zajmiemy się naszymi sprawami. Teraz pora, abyś*

przystąpił do dalszego działania; miłowanie nie powinno przestaniać ci obowiązku.

Cała radość bijąca z twarzy chłopca raptownie zgasła.

— *Jakże mam działać przeciw niej, skoro ją miłuję?*

Jaksę pokiwał głową.

— *Takich słów się spodziewałem... Rzecz jednak w tym, że wcale nie musisz być jej wrogi. Nawet przeciwnie, okażesz męską pieczę, jeśli będziesz usiłował dojsć, skąd dochodzą ją wieści, o których wiedzieć nie powinna.*

— *Męską pieczę...?* — zdziwił się młodzieniec. — *Nie bardzo was pojmuję...*

— To dlatego, że niewielkie jeszcze masz doświadczenie. Zważ więc na jej wiek: czy szesnastoletniej dziewczce ktoś przy rozumie powierzyłby tajną misję? A skoro nie, co zatem może wchodzić w rachubę?

Lech bezradnie wzruszył ramionami.

— Wciąż nie wiem, co macie na myśli...

— Pomyśl nieco, co z tego wynika? Albo tylko powtórzyła czyjeś słowa, albo, co byłoby gorsze, nieświadomie udziela komuś pomocy. Jakiej i w czym, właśnie musisz się dowiedzieć, bo przecież chyba nie chcesz, by twoja miła służyła za ślepe narzędzie?

— Teraz dopiero was pojmuję! — Lech ożywił się.

Toteż z czystym sumieniem możesz spełniać, co ci powierzono, gdyż w ten sposób być może uchronisz ją przed pomówieniem o knowania przeciw miłościwemu panu!

— W rzeczy samej, to prawda! Zdjęliście mi, wuju, wielki ciężar z serca!

— Wszakże powtórnie cię upominam, byś nie działał zbyt pochopnie! Pamiętaj, że zapewne i inni nie spuszczaają jej z oka. Bacz więc, abyś się z czymś nie zdradził, także przed nią, bo przez to, że nieświadoma sprawy, twoje słowa łąco może powtórzyć niepowołanym uszom!

Wkrótce potem zjawił się nieoczekiwanie Tomek, od razu przyjęty przez księdza Andrzeja. Jednak, z czym przybył ani o czym gadali, nie mówił, Jaksza zaś, świadom praw swojej służby, o nic go nie pytał. Uspokoili go jednak słowa, z jakimi chłopak wkrótce po tym zwrócił się do niego:

— Macie, wasza wielmożność, pozdrowienia od pana z Czepiel...

Na wileńskim zamku zaczęły się przygotowania do rychłego wyjazdu. Gnali putnicy, przygotowywano taborowe wozy przekuwając obręcze bądź smarując i sprawdzając stan drewnianych osi, obliczano karety pozostałych w Wilnie dygnitarzy i ustanawiano dla nich kolejność miejsca w zależności od sprawowanego urzędu, gromadzono zapasy i obliczano ilość wozów potrzebnych do ich przewiezienia. Wyznaczone do eskorty oddziały sprzątały broń i ekwipunek, gdyż książę nakazał, by nie zrobili mu wstydu przed zagranicznymi gośćmi, jakich zamierzał przyjmować w Łucku.

Równie mocno zajęty przygotowaniem był dwór księżny Julianny. Lekcje jazdy konnej musiały się skończyć, a zresztą nastała już późna jesień, błotnista i mokry listopad, więc i pora nie była po temu. Młoda para znajdowała jednak sposobność do skrytych i chociażby krótkich spotkań, w czasie których wiele było westchnień i zapewnień wieczystej miłości.

Skończył się listopad i nadszedł grudzień. Przygotowywania dobiegały końca; wyjazd miał nastąpić w najbliższym czasie, bo święta Bożego Narodzenia księżna Julia zamierzała spędzić u boku męża, Jednak mimo zdobycia już zupełnego zaufania dziewczyny, Lech niczego jak dotąd nie zdołał się dowiedzieć.

I nie wiadomo, czy na tym by się nie skończyło, gdyby nie dopomógł mu zwykły przypadek. Jaksza przemyślał właśnie nad sposobami szybkiego działania, kiedy zjawił się u niego Lech i wyraźnie podniecony oświadczył:

— Już chyba wiem, w czym rzecz! Właśnie wracam ze spotkania z Olgą! Ujrzałem, że palce ma poplamione inkaustem, a ona wyznała mi dlaczego!

— Czekajże, mów po kolei! — upomniał go Jaksza, zaciekawiony jednak oświadczeniem młodzieńca. — Co mają do rzeczy owe plamy inkaustu?

— *Bo pochodzą stąd, że ona pisze listy dla ochmistrzyni księżnej Nienuszko, która nawet czytać nie umie!*

Jaksa zaczął wierzyć, że wiadomość istotnie może okazać się cenna, spytał więc spokojnie, by nieco uśmierzyć wzburzenie siostrzana:

— *Do kogóż są te listy?*

— *Do grodzieńskiego starosty Andrzeja Lingwenowicza! To, jak wiecie, stryj i opiekun Olgi, którego staraniem dostała się na księżęcą służbę! Nienuszko zaś ponoć służyła przedtem na jego dworze!*

— *Ach, więc to tak... — Jaksa zmarszczył brwi. — I dziewczyna pisze listy dla tej baby... A nie pytałeś, o czym pisze?*

— *Oczywiście, że spytałem, ale tak, by nie sądziła, że ich treść zbytnio mnie obchodzi.*

Jaksa spojrzął na siostrzeńca z uznaniem.

— *Dobrześ się spisał... No i o czymże pisała?*

— *Tu mnie zadziwiła... — Lech zawahał się. — Bo z jej odpowiedzi niczego nie mogłem się dorozumieć...*

— *Cóż zatem ci powiedziała? — ponaglił Jaksa.*

— *To mianowicie, że było w nich tylko o ptakach... Nic, tylko o ptakach...*

— *O ptakach, mówisz... — teraz zdziwił się Jaksa. — Ale co?*

— *A więc, że wrona gotuje się do rychłego odlotu w strony, o których już donosiła, chociaż od gawrona ostatnio żadnych wieści nie było, natomiast nadleciało kilka bocianów i pytało o niego, bo ponoć w poselstwie jadą. A wreszcie, że do dzięcioła pilny goniec od szpaka poleciał, ale z czym, tego dowiedzieć się nie zdołała... To wszystko Olga spamiętała i powtórzyła... — zakończył swoją relację Lech dodając nieco bezradnie: — Wiele z tego pojąć nie sposób...*

— *Tak sądzisz...? — Jaksa uśmiechnął się. — Toć ta Nienuszko donosi staroście, co na wileńskim dworze się dzieje. Jeno zgoła dziecinnie pod nazwami ptaków ukrywa postacie, których dorozumieć się wszakże nietrudno! Zapewne mniema przy tym, że niezwykle chytrze to czyni!*

— *Pod nazwami ptaków? — zdziwił się Lech. — Jakże zatem rozumiecie te wiadomości?*

— *Nie domyślasz się sam, że wrona to księżna, a gawron to wielki książe?*

— *A bociany?*

— *Jakież one są? Czarno-białe, nieprawdaż? A czyż zakonni rycerze nie noszą białych płaszczy z czarnymi krzyżami? Szpakiem zwie zapewne Cebulkę, a dzięciołem króla Władysława, co nawet bystrze podpatrzyła, bo na stare lata królowi nos mocno z oblicza wystaje...*

— *Że też sam na to nie wpadłem... — westchnął młodzieniec ze skruchą.*

— *Nie dziwię się temu, bo za krótko tu przebywasz — pocieszył go Jaksa. — Wszakże dowiedziałeś się spraw bardzo ważnych. Po pierwsze, jaką rolę spełnia twoja miła, a po drugie, co ważniejsze, jaką ochmistrzyni księżnej. Dlaczego jednak kniazia Andrzeja tak ciekawi, co dzieje się na naszym dworze? Wątpić należy, by służył*

Zakonowi. Ten zresztą ma tu swoich ludzi i takiej pomocy jak owej głupiej baby mu nie trzeba... Sądzę, że proboszcz będzie chciał tego dojść...

— A co z dziewczką? Czy zezwolicie dalej ją widywać? — spytał z wyraźnym niepokojem.

Jaksa uśmiechnął się.

— Już nam ona niepotrzebna, tedy miłujcie się nadal bez przeszkód z mojej strony. Wszakże na razie o nic więcej ją nie pytaj, chyba żebyś dostrzegł, że znów pisała jakiś list.

Uradowany tą decyzją Lech przypadł do dłoni wuja.

W tym czasie, kiedy Jaksa i Czarny wykonywali powierzone im zadania, ksiądz Andrzej wzmógł nadzór nad korespondencją przechodzącą przez kancelarię księżęcą, gdyż doświadczenie mówiło mu, że jest to najbardziej dla wroga kuszące pole działania. Zaczął więc od przywoływania do siebie putników celem osobistego zapoznania się z nimi, potem sporządził ich rejestr, w którym notował, jakie i kiedy każdy z nich wiozł pisma. Jednocześnie, jeszcze w trakcie tych przygotowań, posłała do rąk własnych koronnego wicekanclerza Oporowskiego przesyłkę od sekretarza Cebulki. Przesyłkę tę powiózł specjalny, szczególnie zaufany człowiek pana sekretarza.

Przed złamaniem każda pieczęć była dokładnie badana przez wyznaczonego do tej czynności kancelistę. Obecnie owo badanie przeprowadzał osobiście ksiądz Andrzej, przy czym czynił to z niezwykłą starannością. Mimo to, jak dotąd, nie udało mu się stwierdzić zmiany pieczęci, co było praktykowane za pomocą gipsowego odlewu, który nakładano na oryginalną pieczęć, a potem po jej usunięciu i zapoznaniu się z treścią pisma pieczętowano na nowo zrobionym duplikatem, bacząc, by zachować odpowiedni kolor wosku. Stosowano więc na pieczęciach dodatkowe, tajne znaki, ale i to nie zawsze pomagało.

Proboszcz postanowił więc użyć nowego, wymyślonego przez siebie sposobu. Przesłał mianowicie kancelarii koronnej specjalny proszek, ze wskazówką, w jakiej ilości mieszać go z roztopionym woskiem. Potem badał pieczęć szukając w niej nikłych zupełnie, ledwie co widocznych ciemniejszych nitek, jakie pozostawiał ów proszek w rozgrzanym wosku. Jeśli ich nie było, znaczyło to, że list gdzieś po drodze otwierano i pieczęć podrobiono.

Wkrótce, badając jedną z pieczęci, przekonał się, że brakło w niej śladu owego pyłu, a niedługo potem taką samą informację, podaną w umówiony sposób, otrzymał z koronnej kancelarii. Dalszą zaś wskazówkę dał mu zaprowadzony rejestr, dzięki któremu od razu stwierdził, kto woził owe naruszone przesyłki.

Wskazany putnik dostał polecenie przybycia do zamku, a dwaj strażnicy objęcia posterunku przy drzwiach kancelarii.

Wkrótce stanął przed nim mężczyzna czterdziestoletni, mocnej budowy, o twarzy okolonej łopatą ciemnej brody.

— Tyś Dymek Huba? — ksiądz Andrzej zmierzył putnika surowym spojrzeniem.

— Tak, wasza wielbność...

A zatem słuchaj, Dymitrze. Mam do ciebie kilka pytań. Albo odpowiesz na nie, i to prawdziwie, albo wzbudzisz mój gniew, co na dobre ci nie wyjdzie.

— Ależ, wielmożny panie, dlaczego miałbym coś skrywać przed wami?! Jeśli sprawa nie będzie dla mnie obca, powiem od razu wszystko, co wiem!

— *Sprawa nie jest ci obca, bo chodzi o pisma, które wozisz. Masz wyznać, do czyich rąk trafiają po drodze i gdzie się to dzieje?*

Jakże to po drodze...? — wyjął z nagle pobladłą twarzą Huba.

— *Strzegę przesyłek jak oka w głowie i nikt do nich dostępu nie ma! A doręczam je jak zawsze w kancelarii kanclerskiej! Jak pragnę zbawienia, wasza wielmożność, jak pragnę zbawienia... — Huba jednocześnie mimowolnym ruchem obejrzał się za siebie, jakby szukając drogi ucieczki.*

— *A jednak wiadomo mi, że je dawałeś!*

— *Klnę się na Boga, że nieprawdziwie na mnie doniesiono! Nikomu ich nie dawałem, najjaśniejszy, wielmożny panie!*

— *To ostatnia twoja odpowiedź? Bo następną będziesz dawał przy małodobrym...*

— *Innej przecież dać nie mogę, bom niewinny!*

— *Obaczym, czy to samo powiesz na linie...*

Ksiądz Andrzej klasnął w dłonie, a kiedy do izby wpadli strażnicy, wskazał im Hubę:

Do lochu z nim. Powiedzcie też dozorczy, by wezwał małodobrego.

Na przesłuchanie przyślę kancelistę, który będzie wiedział, jakie pytania ma stawiać.

— *Ojczye wielbny, litości! — Huba próbował paść na kolana, ale szarpnięty za ramiona i powleczony ku drzwiom już nie zdołał.*

Wkrótce potem stawił się u proboszcza dozorca lochów z wiadomością, że uwięziony prosi o spowiednika przed jutrzejszą kaźnią, gdyż obawia się, że jej nie strzyma i ducha wyzionie.

Ksiądz Andrzej przez chwilę spoglądał na dozorcę w zamyśleniu, wreszcie machnął lekceważąco ręką i odprawił z krótkim poleceniem:

— *Może go sobie nawet wybrać według woli! Jak wybierze, zawiadomić wskazanego i dopuścić do więźnia! Sam to załatw, a nie przez byle pachotka...*

To ostatnie polecenie dało dozorczy nieco do myślenia, bo z niejednego pieca chleb dotąd jadał, więc skłonił się tylko ze słowami:

— *Według życzenia waszej wielbności...*

— *I przyjdź do mnie po załatwieniu sprawy... — dorzucił jeszcze proboszcz, kiedy dozorca kierował się do drzwi.*

Zgodnie z poleceniem już po niedługim czasie stawił się powtórnie. Proboszcz, ujrawszy go, spytał bez wstępów:

— *Kogo wskazał?*

— *Jednego z dworskich kapłanów, jego wielbność kapelana Józefa z Barcic...*

— *Spytałeś, dlaczego właśnie jego?*

Dozorca spojrział porozumiewawczo na proboszcza i uśmiechnął się z lekka.

— Spytałem, wasza wielmożność. Powiedział, że zawsze spowiadał się u księdza Józefa, toteż i w tej ciężkiej chwili u niego chce szukać pocieszenia.

— Ksiądz kapelan udał się do Huby?

— Właśnie że nie, wasza wielmożność! Odmówił tej posługi...

Ksiądz Andrzej ze zdziwienia aż odchylił się na krześle.

— Odmówił, mówisz...? Jakże tłumaczył taki niekapłański postępek?

— Wydawał się zaskoczony prośbą więźnia i mówił, że nie wie, czy jakowegoś putnika spowiadał, bo nie przygląda się, kto do niego przychodzi. Potem wręcz pokornie zaczął upraszać, abym wziął innego kapłana, bo przecież za jedno jest, kto spełni tę przysługę, on zaś ciemności lochów i kaźni niczym piekła się boi...

— Może wskazał którego?

— Nie, a nawet nadmienił, że obojętne jest, kto będzie pośrednikiem między grzesznikiem a Bogiem...

— Który ostatecznie poszedł?

— Ksiądz Michał od dominikanów, i to bez żadnych oporów.

— A pytał, którego z putników pojmano? Ten z Barcic...

Dozorca zastanowił się:

— Nie, chyba nie pytał... — po czym dorzucił: — Ale mógł widzieć, jak go prowadzono...

— Hm... — Ksiądz Andrzej spojrział spod oka na stojącego przed nim dozorcę z czapką w ręku, w postawie pełnej uszanowania. Zetknął się z utkwionym w siebie wzrokiem bystro patrzących oczu, w których drgał błysk zrozumienia. Zaciekawiony wyrazem tych oczu spytał:

— Co sądzisz o tej dziwnej strachliwości księdza Józefa? A także zaprzeczeniu, że nie wie, czy spowiadał putników?

— Istotnie, i mnie to zadziwiło, wasza wielmożność.

— A więc...? — proboszcz zawiesił głos nie odwracając spojrzenia od twarzy dozorcę. Ten po chwili wahania rzucił z nieznacznym uśmiechem:

— Wygląda na to, że ksiądz Józef przechytrył waszą wielmożność...

Proboszcz roześmiał się rozbawiony odpowiedzią.

— Jak się zwiesz, mądralo?

— Jan Rogoża, wasza wielmożność.

— Wracaj teraz do swoich obowiązków, ale być może jeszcze się spotkamy, bo wyglądasz mi na bystrego człeka!

— Jestem gotów zawsze wiernie służyć waszej wielbności, jeśli będę miał ku temu sposobność! — Dozorca skłonił się i obrócił ku drzwiom.

O świcie, wzięty na męki Huba, na widok rozpalonych obcęgow tkwiących w płomieniach paleniska czy też zwisającego ze sklepienia haka, przygotowywanego do podciągania skazańca, uległ takiemu przerażeniu, że nieomal od razu zaczął błagać o litość i przysięgać, że niczego ukrywać nie będzie i gotów jest wyznać całą prawdę.

Skinieniem ręki skryba nakazał oprawcy odłożyć trzymane już w ręku rozgrzane do czerwoności żelazo i przyjrawszy się rozciągniętemu na ławie, na wpół nagiemu więźniowi, spytał spokojnie, z powagą w głosie:

— A zatem zwiesz się Dymitr Huba? Należysz do wielkiego kniazia?

— Tak, wasza miłość, jestem jego poddanym i sługą...

Wilgotne ściany sklepionej w ostrołuk izby oświetlał żar paleniska i świeca stojąca na stole rzucając na nie czarne cienie kata i jego pomocnika stojących przy więźniu oraz skryby pochylonego nad rozłożonymi przed nim papierami.

Po zapisaniu odpowiedzi uniósł głowę i znów spojrzał na skazańca.

— Czy przyznajesz, że powierzone ci pisma oddawałeś w obce ręce?

Huba zaszlochał spazmatycznie.

— Przyznaję, wasza miłość... Niech będzie przeklęta godzina, kiedym na to przystał!

Przez chwilę gęsie pióro skrzypiało po papierze, po czym padło następne pytanie:

— Komu je dawałeś?

— Tego nie wiem! Nie znałem tego człowieka!

— Gdzie zatem go spotykałeś?

— W wodnym młynie, pół mili za miastem...

Znów zaskrzypiało pióro i nastąpiło kolejne pytanie:

— Jak ten człowiek wyglądał? Był stary czy młody?

— Lat ze czterdzieści, chudy, nieco przygarbiony, niczym więcej się nie odznaczał... Chyba tylko tym, że głowę trzymał przechylną na lewe ramię...

— Opisz teraz dokładniej miejsce, gdzie stoi ów młyn...

— Na trakcie do Grodna trzeba skręcić w boczną, leśną drogę. Łatwo ją rozpoznać, bo przy zakręcie rośnie wielka sosna. W dwa pacierze droga ta wyprowadzi na łąkę, przez którą płynie rzeczka, a przy niej widać młyn...

— Jak długo trzymał przesyłki?

— Nie dłużej, jak dwie godziny. Wchodził sam do młyna, a ja musiałem czekać przy koniu.

Kto skusił cię do tak nieczej zdrady wielkiego kniazia?

— Nie wiem, miłościwy panie! Jak pragnę zbawienia.

— Coś mi się widzi, że bez małodobrego nie obejdzie się! Nie bałamuć mnie, bo utracisz moją łaskawość i będziesz dalej zeznawał wisząc na haku!

— Nie bałamuć, wasza jasność! Nie znałem tego człeka, kiedy w oberży do mnie się przysunął i po jednym piwie spytał, czy rad bym zarobić kilka grzywien! Jezu przenajświętszy, pomyślałem, toż to wielka fortuna! Toteż przystałem od razu, choć mówił, że karku trzeba będzie nastawić.

Więzień zamilkł, jakby wracając myślą do tamtej chwili.

— No, gadaj, jak było dalej? Od razu rzekł ci, w czym rzecz? — ponaglił go skryba.

— Ależ nie! Wyznaczył spotkanie i obiecał zaprowadzić do kogo trzeba... Noc była, kiedyśmy znów się zetknęli i powiódł mnie w ciemnościach za sobą. Skręciliśmy raz i drugi, a potem znalazłem się w jakiejś chacie... Mój towarzysz gdzieś zniknął, a jaostałem sam, nie wiedząc, gdzie się dalej obrócić. Dopiero po dłuższym czasie raptem ujrzałem jakieś światło... Mała latarnia stała na stole, widać dotąd przykryta, a obok siedziała jakaś postać okryta opończą z kapturem na głowie, toteż twarzy nijak dostrzec nie mogłem, bo i cień na nią padał z latarni. Ten mi dopiero powiedział, w czym rzecz, i obiecał ćwierć grzywny od każdej przesyłki, którą dostarczę na krótki czas, bo wnet ją nie ruszaną odbiorę! Potem wskazał mi, gdzie i kto będzie ode mnie pisma przyjmował...

Pióro nadal skrzybiało po papierze w ślad za padającymi słowami, co świadczyło, że piszący jest wprawny w swoim rzemiośle. Kiedy skazaniec skończył zeznanie, skryba jakiś czas przyglądał mu się z uwagą, wreszcie spytał z oznaką pewnego zaciekawienia:

— I nie bałeś się, nicponiu, że życiem możesz swą zdradę przytłączyć?

— Rzecz wydała mi się nie do wykrycia, a pieniądź tak wielki, że dałem się skusić; staby człek i głupi...

— Na żale już za późno, bo kniaź zdrady nie wybacza.

— Wiem, miłościwy panie... — zachlipał więzień. — Wiem to, ale wcześniej czy później każdego śmierć czeka.

— A dlaczego chciałeś spowiadać się właśnie przed księdzem Józefem?

Leżący na ławie goniec poruszył się jakby zaskoczony pytaniem, ale odpowiedział od razu:

Bo już przedtem chodziłem do niego, on zaś zawsze łagodnie ze mną mówił, kary ciężkiej nie wyznaczał i pocieszyć też potrafił grzesznika. Toteż prosiłem, by to on przybył w tej ciężkiej dla mnie godzinie...

— Czy poza spowiedzią spotykałeś się z nim także?

— Ja? Z duchowną osobą? Nigdy bym nie śmiał tego uczynić, chyba że sam by mnie wezwał!

— A wzywał?

— Skądże, miłościwy panie! Czego mógłby chcieć od byle poddanego kniazia?

Kancelista zanotował ostatnią odpowiedź, po czym kazał zabrać więźnia do lochu. Sam zaś zebrał papiery i zwinąwszy je udał się do zamkowych pomieszczeń, gdzie oczekiwał na niego ksiądz Andrzej.

Trakt do Grodna prowadził przez Troki, gdzie skręcał na południe, ciągnąc się głównie lasami. Wkrótce, minąwszy ostatnie domostwa przedmieścia, mały oddział zagłębił się w starym mrocznym borze, rozpościerającym nagie już gałęzie po obu stronach gościńca.

Konie oddziału, który prowadził Jaksa, rozpryskiwały kopytami błoto, a milczący jeźdźcy miarowo kołysali się w siodłach, zgodnie z rytmem ich biegu. Dzień był mglisty i siąpił drobny deszcz, toteż nikt nie miał ochoty na gawędę.

Sosnę ujrzeli już z daleka, bo istotnie wystawała zieloną koroną ponad szczyty otaczających ją drzew. Wiadomości Huby okazały się prawdziwe, gdyż zaraz za jej potężnym pniem dostrzegli wąską drogę, ginącą w mroku leśnego gąszczu.

Kiedy zaś wkrótce po tym pomiędzy drzewami Jaksa ujrzął skrawki pola pokrytego zrudziałą już trawą, wstrzymał oddział i skinął na Tomka:

— Ostaniesz z pachółkami i ze skraju lasu będziesz dawał na nas baczenie. A ty pojedziesz ze mną — zwrócił się z kolei do Lecha.

Wyjechali na otwartą przestrzeń łąki. Nie była zbyt rozległa; otaczała ją z trzech stron ciemna ściana lasu, a z czwartej zamykał horyzont rząd olch rosnących nad brzegiem rzeczki. Zataczała łuk lśniąca nitką wody i ginęła pomiędzy krzakami obrastającymi ciemne ściany młyna, z wielkim kołem u boku i stojącą przy nim szopą.

Biegła ku nim wąska, mało przejeżdżona droga, na wpół zarosta trawą. Przebyli ją szybko i znaleźli się przed szeroko rozwartą bramą wiodącą na

podwórzec z młynem w głębi. Ciągnął się przed nim drewniany pomost, który kiedyś służył do wyładowywania worków ze zbożem, teraz jednak pełno w nim było dziur po spróchniałych i zapadniętych deskach. Także zwisające u góry ramię wyciągu miało wprawdzie u końca zaczepiony blok, ale sznura na nim nie było.

Zatrzymali konie przy pomoście i zeskoczyli z siodeł.

— Zaczekaj tu na mnie i bacz, by cię nikt nie zaskoczył... — polecił Jaksa półgłosem młodzieńcowi, a sam ruszył pomostem do młyna.

Miał dwoje drzwi. Jedne szerokie, dwuskrzydłowe, zawarto założoną na nie belką, drugie, wąskie, znajdowały się nie opodal. Jaksa podszedł do nich i spróbował je uchylić. Ku jego zdziwieniu nie były zamknięte, gdyż ustąpiły z cichym zgrzytem.

Znalazł się w obszernej, pustej sieni. Kiedy wzrok przyzwyczał się do ciemności, zawołał, przerywając ciszę zalegającą wewnątrz:

— Hej...! Jest tam kto?!

Mimo powtórnego wołania nadal panowała cisza, zakłócana jedynie ledwie dosłyszalnym pluskiem dochodzącym gdzieś z zewnątrz; zapewne od dziurawych rynien, które nie zatrzymywały wody ściekającej z dachu.

W sieni dostrzegł dwoje drzwi, a w głębi zarys szerokich schodów, prawe drzwi prowadziły zapewne do urzędzeń i żaren młyna, na co wskazywały owe szerokie wierzeje, jakie widział na pomoście, toteż skierował się ku lewym.

I one nie stawiały oporu. Znalazł się w pomieszczeniu kuchennym z wielkim, chlebowym piecem. W pobliżu znajdowało się okno zaciągnięte woskowanym płótnem, pod nim duży, ciężki stół, a pod przeciwległą ścianą legowisko do spania. Jeden zydeł stał przy stole, drugi leżał na podłodze, a przy nim zwłoki mężczyzny.

Miał na sobie ciemny, sukienny kaftan przepasany szerokim skórzanym pasem, a na głowie czapkę wciśniętą w szczelinę roztrzaskanej czaszki. Uderzenie musiało być bardzo silne, gdyż tkwiła w ranie głęboko, a krew i mózg pokrywały twarz białoczerwonymi plamami. W pobliżu leżał ciężki pogrzebacz, widać narzędzie zbrodni, bo i on był aż do połowy powalany krwią.

Jaksa zatrzymał się w miejscu i wstrząśnięty ponurym widokiem dalej lustrował wnętrze. Dostrzegł na podłodze wąski sztylet, którego ostrze lśniło w półmroku izby.

Podniósł go i oglądał przez chwilę. Miał rękojeść obszytą skórą, już miejscami wytartą, co świadczyło, że bywał w użyciu.

Już uprzednio zauważył u pasa zabitego pustą pochew. Schylił się teraz nad zwłokami i wsunął w nią sztylet. Broń weszła gładko dowodząc, że stąd ją wyciągnięto. A zatem ofiara próbowała się bronić, ale morderca był szybszy i zapewne tak wprawny w swoim rzemiośle, że nawet nie sięgnął po mieczyk, a uderzył tym, co znalazł pod ręką. Przeszukał izbę, jak i przyległą komórkę, ale poza woreczkiem gipsu, flaszką oleju i atramentu niczego nie znalazł. Były to jednak dowody, że właśnie tu odbywały się przeglądy listów i sporządzanie z nich wyciągów; świadczyło to także, że zabity miał ku temu odpowiednie umiejętności.

Nie było tu już nic do roboty. Przeciwnik wyprzedził ich w działaniu i ślad urwał się, toteż Jaksa wrócił do Lecha mocno markotny, zdając sobie sprawę, że ksiądz Andrzej nie będzie zbytnio rad z rezultatu jego wyprawy.

Wychodząc na zewnątrz rzucił jeszcze dookoła okiem. Ciemna ściana lasu przymglona mżawką otaczała łączkę, stado wron obsiadło pobliskie drzewa, wszystko zdawało się trwać w spokoju i bezruchu, jak zwłoki leżące w kuchennej izbie.

— Martwy. Próbował się bronić, ale zabójca był szybszy... Trzeba będzie przysłać wóz po zwłoki... — mruknął do Lecha widząc jego pytające spojrzenie.

Jeszcze nieraz pani Kachner dowiodła, jak pomysłowe potrafią być niewiasty, jeśli już wstąpiły na drogę małżeńskiej niewierności i zasmakowały nie tylko słodkości tego grzechu, ale i podniecającej przyprawy, jaką dawała konieczność konspiracji.

Toteż jeszcze parokrotnie Roch zaznawał upojenia w jej ramionach, a kiedy przyszło do pożegnania — sam również wzruszony — wysłuchał wychlipanych na jego piersi zapewnień, że nigdy zapomniany nie będzie, i aby zaś i on o niej pamiętał, niech weźmie tę skofię, którą mu oto daje, i nosi ją na szczęście.

Wozy z winem dla Czarnego przyszyły na czas, więc imć Kachner nie miał powodu do narzekań, gdyż wyruszyli zgodnie z zamierzeniem.

Podróż okazała się jednak bardziej męcząca, niż się Czarny spodziewał, a to ze względu na złą porę, w jakiej przyszło im jechać. Zaczęły! bowiem mżyć drobne, ale uporczywe, jesienne deszcze, zasnuwając świat szarą zasłoną, a z

dróg czyniąc istne trzęsawiska, w których koła ciężkich wozów pogrążały się po osie. Mimo że w przewidywaniu trudnych warunków jazdy w zaprzęgach szły po cztery konie, trzeba było łączyć po dwa zaprzęgi i kolejno wyciągać wozy z błotnej topieli.

I dopiero teraz Czarny pojął, dlaczego koszt transportu często aż trzykrotnie przewyższał wartość samego towaru, który na Litwie był o wiele droższy niż w państwie zakonnym czy miastach leżących przy szlakach wodnych. Jednak wielki książę, żądając towaru, o cenę nie pytał, toteż dostawał zawsze to, czego potrzebował. Jedyne jego ochmistrze i skarbnik rwali sobie włosy z głowy widząc, jak wiele przychodziło im płacić. Ale że książęcy skarbiec był zasobny, kończyło się jedynie na lamentach. Dlatego też kupcy zabiegali o dostawy na wileński dwór, wielki książę bowiem dbał o jego splendor, wino zaś uważano za trunek godny władcy, gdyż na miód czy piwo stać było i byle bojara.

Taborowi towarzyszyło dwudziestu dobrze zbrojnych, konnych pachołków, a przy każdym woźnicy siedział jeszcze łuczniczka z pełnym kołczanem i włócznią u boku. Już po kilku dniach bez szczególnego starania Czarny objął dowództwo nad tą strażą — zbieraniną podejrzanych obieżyświatów, którym dobrze z oczu nie patrzyło. Początkowo nawet Kachnerowi nie okazywali zbyt wielkiego szacunku, wszakże kiedy raz i drugi Czarny dzielił krnąbrnego nahajem, zdobył sobie od razu należyty mir i jego polecenia wysłuchiwali bez urągania czy oporów. Spotkało się to z milczącym uznaniem Kachnera, który również zaczął traktować swego towarzysza podróży z pewnym respektem.

Chętnie więc z nim gawędził jadąc na czele długiego szeregu wozów kolebiących się po nierównościach drogi, wśród pokrzykiwań woźniców, trzaskania batów i nawoływań pachołków. Poruszali różne tematy, przy czym nie obeszło się bez ostrożnych pytań Kachnera o koneksje handlowe towarzysza; natomiast o zdarzeniach na arenie politycznej wypowiadał się oględnie, nie wyrażając zdecydowanych poglądów. Nadmieniał jednak o swojej przychylności dla osoby wielkiego księcia i jego poczynań, a jednocześnie, jakby mimochodem, dawał do zrozumienia, jak niechętny jest wrogim knowaniom Zakonu i Zygmunta wobec Korony i Litwy, gdyż ponoć one były mu zawadą w jego kupieckich działaniach. Czarny przytakiwał mu

ze zrozumieniem, ale już zbyt dużo wiedział, by przyjmować te wynurzenia za dobrą monetę.

Konie szły z opuszczonymi łbami, z trudem wyciągając nogi z grząskiego błota. Deszcz wprawdzie nie padał, ale powietrze było wilgotne i zimne, toteż obaj jechali okryci kożuchami. W pewnej chwili Kachner przerwał już od dłuższego czasu trwające milczenie:

— Swego czasu mówiłeś, łaskawco, że masz nieco znajomości na dworze Świdrygiełły, co wykorzystasz dla uzyskania dostawy ubiegając moskiewskich kupców?

Czarny spodziewał się, że wcześniej czy później Kachner spróbuje podjąć ten temat, więc odpowiedział niedbale:

— Istotnie, nie tailem tego przed wami. Sądzę jednak, że mi to na złe nie wyjdzie...?

— Co też mówicie...! — obruszył się kupiec. — Wspomniałem o tym, bo właśnie przyszło mi do głowy, że będąc kupcem rozsądnym i przezornym dostrzeżecie korzyści, jakie przyniosłoby wam posiadanie zasobnego w gotowiznę współnika...

— Jednak nie tak łatwo takiego znaleźć! Musiałby to być człowiek godny zaufania...

Czarny urwał, udając, że zastanawia się nad propozycją.

Kachner ocenił widać, że jego słowa trafiły na podatny grunt, gdyż ciągnął dalej:

— Wybaczcie, że szczerze powiem. Otóż wyglądamie mi na obrotnego i rzetelnego człeka, który jednak z niedostatku własnych środków musi pracować dla innych. Gdyby więc znalazł się współnik, a nie taję, że siebie mam na myśli, moglibyśmy, zespoliwszy nasze możliwości, zdobyć wszystkie dostawy na dwór Świdrygiełły, dzieląc się po połowie zyskami. Lepiej byście na tym wyszli niż służąc owej gdańskiej spółce...

Propozycja była konkretna i zdawała się godna zainteresowania.

Toteż Czarny, wiedząc, że ją przyjmie, zastanawiał się jednak, o co Kachnerowi więcej chodzi: czy o zrobienie jednego więcej dobrego interesu, czy też głównie o to, by tą drogą zdobyć możliwość penetracji również Świdrygiełłowego dworu? A jeśli tak, znaczyłoby to, że Zakon ma jakieś zamiary dotyczące osoby kniazia...

Podjął więc grę odpowiadając z uśmiechem:

— Wasza propozycja jest wielce ponętna, toteż uważam, że warta rozważenia!

— Zatem rozważ ją, łaskawco. Rzecz jest wszakże pilna, gdyż za Ostrołęką będziemy musieli się rozstać. Tam dokonamy przeprawy przez Narew, a wkrótce potem wy obrócić się na Grodno, mnie zaś droga wiedzie na południe, gdyż wino mam dostawić do Łucka. Toteż jeśli mamy zawrzeć spółkę, dobrze by było już teraz pozyskać nowych przyjaciół na dworze Świdrygiełły...

— Na pewno nie omieszkać tego uczynić, gdyż jasno widzę, jaki to dla mnie zaszczyt pracować z tak poważnym kupcem, jak wasza łaskawość, że nie wspomnę o korzyści! Zatem już teraz rad na nią przystaję!

W ciągu następných, równie uciążliwych dni podróży, wracali do tego tematu, ustalając bardziej szczegółowe warunki. Czarny nie omieszkał przy tym dawać do zrozumienia, że bardzo liczy na swoich przyjaciół wśród dworaków kniazia. Miał przy tym nadzieję, że dzięki pomocy jego wielmożności pana Cebulki owych przyjaciół zdoła pozyskać.

Przeprawa w Ostrołęce odbyła się szczęśliwie, ale Kachner nakazał po niej postój na przedmieściach miasta, by przed dalszą drogą dokonać przeglądu wozów.

Czarny poszedł za jego przykładem. Tym byli właśnie zajęci, kiedy jeden ze strażników przyprowadził do Kachnera człowieka, który podobno dopytywał się o niego. Ponieważ Czarny właśnie znajdował się w pobliżu, nie omieszkał więc przyrzeć się przybyszowi.

Był to silnie zbudowany mężczyzna w odzieży wskazującej na znaczne zużycie. Twarz miał surową, wychudłą, płowe włosy i niebieskie oczy, patrzące jakby z dziecinnym zdziwieniem. Wszakże uwagi Czarnego nie uszedł zimny błysk światła, jaki w nich zalśnił niby skra na ostrzu noża, kiedy zetknął się wzrokiem z Kachnerem. Natomiast na twarzy kupca Czarny dostrzegł wyraz nagłego zdumienia, które wszakże zaraz opanował, uśmiechając się przyjacielsko:

— Jak się miewasz, mój dobry Rufinie! Jakżeś mnie tu znalazł?

Przybyły trzymał głowę z lekka przechyloną na lewe ramię. Nie wyprostował jej, nawet kiedy zgiął się w powitalnym ukłonie.

— Wiedziałem, wasza łaskawość, że zamierzaliście jechać na Litwę, a że znam przecież waszą drogę, czekałem tu na was!

— Cóż cię do tego zmusiło? Zapewne nie będziesz teraz chciał o tym gadać, boś znów uciekł przed gniewem zakonnych braci?

Przybysz uśmiechnął się lekko.

— Istotnie, zgadliście łaskawy panie... Wolę jednak wyjawić to na osobności...

W tej chwili Kachner dostrzegł Czarnego, który zbliżył się wraz z innymi, i zwrócił się do niego:

— Ten człowiek zwie się Rufin, a przezwisko ma Mnich. Pochodzi z Brodnicy i jeździł już ze mną na Litwę. Dzielny to chłop i uczciwy, jeno do posłuszeństwa niezbyt skory, dlatego musieliśmy się rozstać! Ale wie, że na Kachnera zawsze może liczyć!

Rufin obrzucił Czarnego pobieżnym spojrzeniem, po czym znów skierował oczy na kupca, jakby czekając na jego decyzję. Ten musiał to wyczuć, bo polecił mu krótko:

W pobliżu widziałem oberżę. Idź tam i poczekaj, aż skończę robotę. Zobaczymy, jakie masz kłopoty i czy będę mógł być ci pomocny!

Cała ta wymiana zdań, w danej sytuacji pozornie naturalnych, zrobiła jednak na Czarnym wrażenie, że obaj rozmówcy właśnie, starając się takie pozory jej nadać, w rzeczywistości strzegą się, by nie powiedzieć jednego słowa za dużo.

Wkrótce Czarny rozstał się z dotychczasowym towarzyszem podróży i jechał dalej już tylko w asyście szczupłej ochrony, jaką posiadał. Zbyt nie jednak tym się przejmował, bo miał przed sobą zaledwie kilka dni drogi, a puszcza litewska była bardziej bezpieczna niż gościńce Korony.

Przy pożegnaniu z Kachnerem umówili spotkanie w Łucku, dokąd Czarny obiecywał zdążyć na czas, mimo zapowiedzianego uprzednio pobytu na dworze Skirgiełły.

Nie bardzo mu się więc uśmiechało odwiedzenie grodzieńskiego starosty, ale polecenie proboszcza należało wykonać, do czego zmuszała także i dostawa wina.

Po tygodniu podróży dotarł wreszcie do celu i od razu skierował wozy na zamek. Minął potężną bramę silnego grodu, od którego i miasto wzięło swą nazwę. Bronił od pokoleń dostępu do litewskich ziem krzyżackim rajzom, a i teraz rozstawione na licznych basztach strażę dawały baczenie na okolicę

wypatrując, czy nad wierzchołkami drzew okalających go borów nie ukażą się dymy zapowiadające nadejście wroga.

Czarny odszukał wreszcie imć ochmistrza. Ten na jego widok rozjaśnił tłuste oblicze.

— No...! Wreszcie przybyłeś... Jak ci tam...

— Morzelec, do usług waszej miłości... — Czarny nie omieszkał złożyć grubasowi głębokiego ukłonu.

— Ponoć wino przywiozłeś? To dobrze, bo jaśnie pan już parokroć o nie pytał!

— Czy Bóg zachował w zdrowiu jego książęcą mość? Mam dla niego wiadomości, choć niezbyt pomysłne... W sprawie bombard... — dorzucił ściszej głoś.

— Zmartwisz, łaskawco, jaśnie pana... — zafrasował się ochmistrz.

— Wiem, że liczył na ową dostawę.

— Nie okazywał, że zbyt mu na niej zależy... — Czarny spojrzął spod oka na dworaka. Ten uśmiechnął się pod wąsem.

— Książ zna was, kupców. Jeśliby wyjawiał zbyt o ochotę do kupna, przysłoby mu głębiej sięgać do mieszka!

— Jam nie z tych, wasza miłość, co z takich okazji korzystają! Jeśli wszakże kniaziowi bombardy istotnie są potrzebne, to będę czynił starania, by je znaleźć! Bo nowe odlewać, to i koszt wielki, i czasu na to potrzeba...

— Zapewne, zapewne... Staraj się więc, ale skóry z nas nie zedrzyj!

— Swój zarobek uczciwie obliczę, ale i o waszej miłości nie godzi mi się zapomnieć... — Czarny znów zerknął nieznacznie na grubasa.

— Bóg zapłać za pamięć, ale wprzódy je znalazł! Teraz zaś zgłoszę jaśnie panu twoje przybycie, a ty, łaskawco, zajmij się wyładunkiem! — zmienił temat ochmistrz. — Potem obaczym, co warte waści wino!

Ksiądz istotnie chciał widzieć kupca Morzelca, toteż Czarny stanął wkrótce przed jego obliczem.

Tak jak i za poprzednim razem, został obrzucony badawczym spojrzeniem; jednak kniaź na powitalny ukłon nie raczył odpowiedzieć. Siedział przed wielkim, kamiennym kominkiem, w którym paliły się długie brzoźowe polana. Przy ogniu krzątał się pacholik. Kniaź odprawił go krótkim mruknięciem, poprawił szubę okrywającą mu ramiona i złożony ręce na poręczach krzesła, odezwał się:

— Dostrzegam, że z lichym wdałem się kupcem...

— Jakże mam rozumieć słowa waszej książej mości?! — obruszył się Czarny, bacząc jednak, by w swym oburzeniu zachować należyty umiar.

Boś nie zadbał należycie o powierzoną ci sprawę! Zapewne ubiegł cię człek bardziej obrotny?

— Istotnie ubiegł, ale nie z braku mego starania! Owe bombardy sprzedano zanim przybyłem do Gdańska! Wszakże, jeśli przekażecie mi, jaśnie panie, nadal szukać owych dział, myślę, że uda mi się znaleźć inne, równie dobre! Zamawiać nowych nie warto, bo i koszt będzie o wiele znaczniejszy i dostawa nie tak rychła. Chyba że waszej książej mości na pośpiechu nie zależy...

— Nie zwykłem czekać, jeśli już coś postanowiłem! — rzucił ostro starosta. — A i płacić nie zamierzam więcej, skoro, jak mówisz, gotowe będą zdatne do użycia!

— Wiele ich ma być? — spytał rzeczowo Czarny dla okazania, że sprawę nadal uważa za poruczoną do wykonania.

Kniaź milczał przez chwilę, wreszcie burknął zdawkowo:

— Jeśli po godziwej cenie, to wezmę i cztery...

Czarny skłonił się.

— Będę czynił starania, by zadowolić waszą książeją mość. Tuszę także, że i wino, które przywiozłem, wasza łaskawość pochwali...

— To załatwisz z ochmistrzem.

— Zatem zezwolicie odejść?

Czarny znów dostrzegł spojrzenie spod krzaczastych brwi skierowane ku niemu.

— Co ci tak pilno?! — mruknął jednocześnie starosta. Zwrócił wzrok na płomienie ogniska i milczał zamyślony. Czarny po tym krótkim zapytaniu również nie odzywał się, ciekaw dalszego ciągu rozmowy.

— Wiesz wino także na dwór Świdrygiełły? — odezwał się wreszcie kniaź nie odwracając głowy.

— Dwanaście beczek, wasza książeja mość.

— Ostatnio wspominałeś, żeś otrzymał także jakoweś pisma do niego?

— Tak, z zakonnego państwa. Ale od kogo, nie wiem.

— Nie w tym rzecz... Okazałeś przy tym, że umiesz milczeć o powierzonych ci przesyłkach. Czy zawsze tak czynisz?

— To nasz kupiecki obyczaj, którego nigdy nie odstępujemy. Za to także nam płacą!...

— Tak, wiem, że za przewiezienie listu bierzecie słono. Wiele wzięłyś ode mnie?

Czarny, zaciekawiony nadarzącą się sposobnością, postanowił jednak nie budzić czujności dostojnika zbytym ustępstwem od stosowanych opłat.

— Pragnę służyć waszej książęcej mości i zdobyć jego łaskawość, toteż gotowizny nie wezmę. Wystarczy, że dacie mi ze dwie beczki wędzonego mięsa, bo zapasy mi się kończą...

— Patrzcie go, wystarczy mu!... — prychnął starosta. — Za przewiezienie mało znaczącego pisma!

— Co zawiera, nie moja sprawa. A cena wysoka nie jest, zważywszy na drogę, jaką mam przebyć. Goniec kosztowałby drożej...

— Obyś tak sprawnie załatwiał zlecenia, jak się targujesz! No dobrze, każę, by ochmistrz wydał ci mięso! A oto list...

Kniaź sięgnął pod szubę i wyjął opatrzone w dwie pieczęcie pismo.

— Masz i strzeż należycie! Doręczysz go Iwanowi Siemaszce, to dworak książęcego marszałka. Przepytaj o niego, ale nie za głośno...

— Rozumiem, wasza miłość. Stanie się podług waszej woli... — Czarny odebrał pismo i schował je w zanadrze kaftana.

Jeszcze tego samego dnia dokonał obrachunku z ochmistrzem, a nazajutrz, jak tylko się rozwidniło, ruszył w dalszą drogę.

Dotarł do Wilna na czas i bez przygód, choć nieomal w ostatniej chwili, gdyż dwór książęcy miał ruszać do Łucka już za kilka dni. Z nim zaś sekretarz Cebulka ze swoim urzędem, do którego należał obecnie i ksiądz Andrzej.

Czarny przybył o zmroku, kiedy już bramy miejskie były zamknięte, toteż musiał na noc zatrzymać się w jednym z zajazdów na przedmieściu. Było mu to nawet na rękę, gdyż wolał za dnia nie wjeżdżać z taborem do miasta. Wybrał się więc rankiem sam, odziany w swe kupieckie szaty, przykazawszy Rochowi, by w czasie jego nieobecności nikt nie ruszał się z kwatery. Nie chcąc zwracać na siebie uwagi, zrezygnował nawet z wierzchowca.

Czas był spokojny, toteż bez przeszkód minął zamkową bramę, a że pytać o drogę nie potrzebował, wkrótce znalazł się w izbie proboszcza.

Zastał księdza pochylonego nad papierami. Na jego widok okazał rozradowanie, a nawet wstał od stołu i ujmując za ramię, zlustrował wzrokiem.

— Rad cię widzieć! Przybywasz w samą porę, bo za dni kilka ruszamy, przedtem jednak wolałem wiedzieć, coś zdziałał!

— Jest o czym mówić, wasza wielbność...

— Tedy siadaj i mów! — Proboszcz wskazał na wolny zydeł, a sam zajął miejsce za stołem.

Uważnie wysłuchał sprawozdania Czarnego, nie przerywając mu żadnymi pytaniami. Dopiero gdy skończył, odezwał się:

— Wiesz, zem do pochwał nieskory, ale przyznać muszę, żeś więcej osiągnął, niżem się spodziewał...

— Los mi przydarzył nieco szczęścia. Owa przygoda Rocha tego dowodem, bo grodzieński starosta niejako sam mi wlaź w ręce...

— Wszakże głównie liczy się zwierzyna, a nie sposoby jej ustrzelenia. Twoje zaś nieco już znam, wszakże skromność pochwalam... — ksiądz Andrzej uśmiechnął się — po czym ciągnął: — Teraz pogadajmy przede wszystkim o Kachnerze, starostę ostawiając na boku. Wiemy już zatem z wszelką pewnością, co kryje się za jego kupieckim procederem. Pan sekretarz nie mylił się więc w swoich podejrzeniach. Teraz przyjdzie nam wykryć łączników wyposażonych w owe klamry — a zwłaszcza przy czym je noszą? Przy pasach czy też być może przy kubrakach lub opońcach? Wszakże równie ważne, a może i ważniejsze jest, jak taką klamrę rozpoznać?

Milczenie Czarnego ksiądz Andrzej uznał za przyznanie mu słuszności, toteż ciągnął dalej:

— Trzeba więc nad tym nieco pomyśleć, choć być może uda mi się wkrótce uzyskać nieco wiadomości. Wracając zaś do naszego kupca, wspominałeś, że spotkał po drodze jakowegoś człeka, ponoć swego byłego sługę? Co możesz bliższego o nim powiedzieć?

— Kachner mówił o nim jako porządnym człowieku, jeno niespokojnej natury, co było przyczyną, że porzucił klasztor, gdzie sposobił się na mnicha. Wszakże zbyt dobrze z oczu mu nie patrzyło.

— Jak wyglądał?

— Trochę przygarbiony, o płowych włosach. Niczym się nie wyróżnia, prócz tego, że głowę trzyma nieco pochyloną na ramię. Być może od rany zadanej mu w szyję...

— Głowę przechyloną na ramię, mówisz? Czekażże... Już gdzieś to słyszałem... — Ksiądz Andrzej zmarszczył brwi w zamyśleniu.

Po chwili jakby się ocknął, nachylił nad stołem i sięgnął ręką pod blat. Musiał zwolnić jakieś zamknięcie, gdyż szuflada znajdująca się przed nim raptem nieznacznie drgnęła. Odchylił się więc bardziej, wyciągnął ją i przez chwilę przerzucał znajdujące się w środku papiery. Wreszcie wyjął jeden z arkuszy, szybko przebiegł go wzrokiem i rzucił z ożywieniem:

— No tak, a więc pamiętałem dobrze... Posłuchaj, oto zeznanie niejakiego Huby, putnika pojmanego na zdradzie. Opisuje go wielce podobnie, nieomal twoimi słowami: „niczym więcej się nie odznaczał, chyba tylko tym, że głowę trzymał przechyloną na lewe ramię...”

Ksiądz Andrzej odłożył papier i wpatrywał się w Czarnego ze zdumieniem.

— Nic z tego nie rozumiem... — odezwał się na wpół do siebie:

— Przecież ten człowiek został zabity! Jaksza znalazł jego zwłoki w starym młynie...

— Może wasza wielbność raczy powiedzieć mi nieco więcej o tym? — zaproponował spokojnie Czarny. — Jak wiecie, nie było mnie tutaj.

Proboszcz jakby się ocknął. Skinął głową i rzucił z lekkim uśmiechem:

— No tak... w istocie. Zatem posłuchaj...

Pokrótkce opisał Czarnemu przebieg zdarzeń, po czym zakończył:

— A teraz ty mi mówisz, żeś spotkał człowieka podobnie trzymającego głowę. Czy to możliwe, aby dwóch takich było i właśnie spotkałeś tego drugiego?

Czarny roześmiał się.

— To wręcz niemożliwe! Taki przypadek należałoby poczytywać za cud! Po co wszakże Bóg by go nam uczynił? Nie ma innych ważniejszych spraw na głowie?!

— No, no... Ostaw te grzeszne krotochwile. Ale jakże to wytłumaczysz?

— Całkiem prosto: nie został zabity.

— Nie został zabity, mówisz? Ale przecież Jaksę znalazł zwłoki? Dobry Boże, chyba rozumiem!

— I ja też, wasza wielbność. Nasłano na niego mordercę, on jednak okazał się sprawniejszy!

— Właśnie! Ujrawszy wymierzony w siebie nóż, chwycił pogrzebacz, bo miał go właśnie pod ręką.

— No i cudu nie stało... — nieco ironicznie uzupełnił Czarny.

— Wiemy zatem, że ów człowiek został przy życiu i jak wygląda. A także, co ważniejsze, że jest na służbie Kachnera... Wystarczy, by od razu zakuć owego kupczyka w kajdany!

— Czego, jak waszą wielbność znam, na pewno nie uczynicie. Lepszy bowiem wróg wiadomy, niż ten, którego dopiero od nowa trzeba wykrywać. Krzyżacy na jego miejsce najpewniej nie omieszkają nadesłać innego, kto wie, czy nie jeszcze bardziej chytrego...

Proboszcz skinął głową z aprobatą.

— W istocie, mamy go teraz niejako na dłoni, toteż i baczenie łatwiej przyjdzie nań dawać, a przez to szybciej dojść do innych, bo niejedyn Kachner przebywa wśród nas. Sądzę, że tego mniemania będzie i jego wielmożność pan Cebulka. Teraz pora pogadać o panu starości. Jaksę wykrył, że zbyt go ciekawi, co dzieje się na księżęcym dworze...

Ksiądz Andrzej opowiedział z kolei Czarnemu o poczynaniach ochmistrzyni księżnej, przy czym nie obeszło się bez wyjaśnienia, jak doszło do wykrycia zabiegów imć Nienuszki.

Czarny, usłyszawszy tę relację, roześmiał się.

— Widzę, że moi chłopcy zaczynają poznawać ród niewieści, i to z różnych stron! Pora zresztą już po temu!

— Nie pochwalam grzesznej miłości, ale zaprzeczyć się nie da, że i tej drogi w naszej służbie czasami trzeba użyć, boć przecie Roch wielką oddał nam przysługę! Wracając zaś do osoby grodzieńskiego starosty, postrzegam, że wart on także uwagi. Po co mu owe bombardy, za które zamierza płacić z własnej szkatuły, zamiast żądać ich od wielkiego kniazia? Widać, że woli je zdobyć za jego plecami?

— Ciekaw też, co dzieje się na tutejszym dworze. Dla kogo to czyni, odgadnąć nietrudno...

— A właśnie! Masz ten list?

— Mam. Oto on... — Czarny sięgnął w zanadrze i wydobył pismo.

Ksiądz Andrzej trzymał je jakiś czas w ręku, jakby ciekaw jego wagi, po czym przyjrzał się pieczęciom i położył przed sobą na stole. Zastanawiał się chwilę, wreszcie podsunął końcami palców ku Czarnemu.

— Masz, doręcz je, jak ci polecono.

— Jak to? Nie przekazecie otworzyć?

— Nie, tym razem nie. Nie sądzę, by zawierało coś na tyle ważnego, by wystawiać na hazard misję, jaką ci zlecono. Ostrożność każe dopuszczać, że umyślnie chce cię wypróbować, by przekonać się, jak dalece może korzystać z twoich usług? Nie wiemy przecież, czy nie ma w tym piśmie czegoś, co poza pieczęcią może zdradzić, że został otwierany. Doręcz je zatem podług życzenia starosty.

— Stąd mogę sądzić, że wasza wielbność zamierza mnie posłać na dwór Świdrygiełły?

— A można inaczej? Skoro Świdrygiełło tak ciekawi Kachnera, a książę Andrzej Lingwenowicz z nim się znosi? Z Kachnerem musisz zawrzeć spółkę, a do tego konieczne jest, byś naprawdę miał swoich przyjaciół na tamtejszym dworze...

— Jak ich szybko znaleźć? Przecież Kachner od razu mnie o nich zapyta?

— O tym będę mówił z Cebulką. Nie wątpię, że wielki książę ma tam swoich ludzi, bo Świdrygiełło nigdy nie dowierzał. Rada na to się znajdzie.

— Byłoby zatem dobrze te dwanaście beczek wina istotnie mu dostarczyć. Aby tylko chciał je odebrać...

— Postaramy się i o to. Poruczam ci więc pieczę nad Świdrygiełłą i poczynaniami Kachnera na jego dworze. Natomiast na to, co będzie robił u nas, da baczenie Jaksza. Lech przy nim ostanie, bo nawet takiej płotki, jak ta Nienuszeko, nie należy spuszczać z oka, chłopak zaś ma do niej dostęp przez ową dziewczuszkę. Ty weź ze sobą Rocha i swego pocztowego. Dodam ci dla wyręki jeszcze jednego człowieka, który widzi mi się przydatny do naszej służby.

— Któż to jest?

— Dozorca tutejszych lochów. On cię odnajdzie i pozdrowi ode mnie. Do czasu wyjazdu, z którym musisz pośpieszyć, mieszkać nadal jako kupiec gdzieś na uboczu. Z panem Cebulką będę mówił jeszcze dziś, toteż przyjdź o zmroku na moją kwaterę po dalsze wskazówki. Od naszego dworu tu, a także

w Łucku, trzymaj się z dala. Zwłaszcza staraj się, by nie ujrano razem twoich synów, bo ich podobieństwo może cię zdradzić!

W dwa dni potem Czarny dostał wypoczęte zaprzęgi i ruszył ze swoim taborem do Czernihowa, tam bowiem, jak objaśnił go ksiądz Andrzej, przebywał książę Świdrygiełło. Wskazał mu również ludzi i hasło, jakim ma się posłużyć, by udzielili mu pomocy.

Musiał pośpieszać, bo choć droga z Wilna do Czernihowa była mało co dłuższa niż do Łucka, czekała go jeszcze podróż z Czernihowa na łucki zjazd, dokąd musiał przybyć o czasie. Przystany zaś przez proboszcza dozorca lochów, Jan Rogoża, podobał mu się od pierwszego wejrzenia, toteż od razu zrobił go swoim zastępcą.

Ksiądz Andrzej miał prawo nieograniczonego dostępu do jego wielmożności pana sekretarza, czy to za dnia, czy nawet w nocy. Został więc przyjęty bez zwłoki. Cebulka wysłuchał sprawozdania z wielką uwagą, a kiedy proboszcz skończył, rzucił z uśmiechem ukrytym za sutą brodą:

— *Chwaliłem Jaksę z Niemierzy za przypomnienie mi o was, ale teraz widzę, że to Boska Opatrzność nim kierowała, bo w tak krótkim czasie działaliście więcej, niż my tu przez ostatni rok!*

— *Tyle lat służby na Jagiełłowym dworze, i to pod taką ręką, jak świętej pamięci pana Trąby, i mnie, i moich ludzi nauczyło wiele. A w tamtych czasach byli oni najlepsi.*

— *To widać po tym, co działali, ale nie umniejszajcie, księżu proboszczu, i własnej zasługi! Wiele wirów i porohów ma nurt, którym płyną, toteż ich łódź musi prowadzić dobry sternik! No, ale do rzeczy! Czym mogę wam być pomocny?*

— *Trzeba wesprzeć Czarnego w jego pierwszych krokach na Świdrygiełłowym dworze, bowiem dotychczasową osłonę jego działania przychodzi mu teraz wykonać w rzeczywistości — rzecz by można — słowo \ stało się ciałem...*

Proboszcz uśmiechnął się nieznacznie i zakończył pytaniem:

— *Zapewne macie tam, wasza wielmożność, ludzi, którzy mogliby udzielić mu pomocy?*

Cebulka uśmiechnął się ponownie.

— *No, tak całkiem ślepi tośmy dotąd nie byli. Hm... — Chwilę zastanawiał się. — A więc dobrze, damy mu dwóch. Pierwszym i*

ważniejszym będzie łowczy kniazia, Wasyl Trofimowicz Obłucki, drugi — jako że z winem jedzie — pomocy mu udzieli piwniczny, Fiedko Borysowicz Tielega. Spamiętajcie do nich hasło: „Chyba tylko dzięki opiece świętego Krzysztofa przebyłem drogę szczęśliwie, choć dwa koła u wozów straciłem!” Na co usłyszycie odpowiedź: „Gorzej byłoby stracić cztery”...

— *Będę pamiętał. Teraz mam drugą sprawę. Ów putnik Huba prosił przed kaźnią o spowiednika. Rzecz nie byłaby godna uwagi, gdyby nie wskazał, kto ma nim być, mianowicie jeden z tutejszych kapelanów, Józef z Barcic. Ten wszakże odmówił posługi, ponoć ze strachu przed lochami. Sądzę wszakże, że w istocie dlatego, by nie ujawniać swej znajomości z więźniem, który nieopatrznie to zdradził, zapewne, by w ten sposób zawiadomić o swym pojmaniu. Chciałbym nieco pogawędzić z owym kapelanem, może się jednak zdarzyć, że przyjdzie zamknąć go w lochu. Nosi wszakże kapłańskie szaty, a przez to podlega kościelnemu sądowi... My wszakże nie możemy wypuszczać go z rąk, dopóki sprawa nie zostanie wyjaśniona do końca.*

— *Rozumiem. Czyń, proboszczu, co uznasz za wskazane. Ja będę w tej sprawie mówił z biskupem Maciejem, i to bez zwłoki. Nie wątpię w jego zgodę, bo to dostojnik wielce przyjazny wielkiemu księciu, stąd i cieszący się jego łaskawością, której zapewne nie zechce się pozbawiać z tak błahej przyczyny...*

— *Tedy to wszystko, wasza wielmożność — stwierdził proboszcz, dorzucając: — Kiedy ostatecznie wyruszamy? Chciałbym jeszcze przed wyjazdem załatwić tę sprawę.*

— *Za trzy dni. Sądzę, że starczy ci czasu?*

— *Jeśli nie, doścignę was w drodze.*

— Koniecznie, księżu Andrzeju! Czekają nas niełatwe chwile. Znam wprowadzić dążenia Zygmunta, ale co zdoła osiągnąć, to już wie tylko Bóg...

— Wciąż kusi wielkiego kniazia?

— Nie dla innej przyczyny komtur Mimpolgart znów pojechał do niego.

— Co na to Witold?

— Jak dotąd, nie chce nawet gadać o koronie. Intryga cesarska zbyt grubymi szyta nićmi, by jej nie dostrzec.

— A Jagiełło? Czy macie wieści z jego dworu?

— Rzecz oczywista, że mam. Tam sprawa się wikła, bo wielce już stary król niebezpieczeństwa zapewne nie dostrzega, gdyż wyraźnie sprzyja cesarskim zabiegom.

— Zapewne chodzi mu o groźbę elekcji. A że Litwę w sercu ma na pierwszym miejscu i za swoją dziedziczną uważa własność, przeto poprzez koronację Witolda chce zabezpieczyć to dziedzictwo.

— Istotnie, Litwa to dla niego rodzona matka, Polskę zaś raczej za macochę uważa. Litwę darzy szczerą i głęboką miłością, Polskę zaś tylko szanuje i dba o jej dobro, bo jeno silna zdolna jest chronić jego ojczysty kraj... Toteż nie dla blasku ofiarowanej mu korony, ale dla ratowania swej ziemi przed krzyżackim zaborcą na głowę ją włożył. Potem wszystkie lata swego panowania poświęcił utrzymaniu tej więzi, ale tak, by nie osłabić znaczenia Litwy. Nieraz więc w cichości sprzyjał niektórym oporom czy knowaniom Witolda, a nawet jego kuzynom się z Zakonem. Teraz zaś, kiedy wielki kniaz nie daje się wciągać w Zygmuntową grę, Jagiełło, wciąż gorącego serca dla Litwy, ale zaćmionego już starością umysłu, rad by go widzieć litewskim królem, jako gwaranta swojego dziedzictwa.

— Królewska Rada nigdy na to nie przystanie.

— To pewne i dlatego cała ta sprawa jest tak niejasna, i tak trudny do przewidzenia jej dalszy bieg — z troską w głosie zakończył rozmowę jego wielmożność Cebulka.

Wypadki przyśpieszyły swój bieg, gdyż jeszcze tego samego wieczoru jeden z pachotków zawiadomił księdza Andrzeja, że jakiś niepozorny i byle jak odziany człowiek żąda, aby go doprowadzono przed oblicze jego wielbności. Zaciekawiony, kto by to mógł być, proboszcz kazał go wprowadzić.

Istotnie, odzież przybysza wskazywała, że raczej nie zdejmował jej przez ostatnie dni, a zarost obywatel się bez balwierza. Skłonił się od progu, ale bez zbytniej unizoności, i odezwał się pierwszy:

— Czy istotnie stoję przed jego wielbnością proboszczem Andrzejem?

— Czyżbyś w to wątpił, łaskawco?

— Siedzicie, wielmożny panie, toteż nie wiem, czy korzystacie z pomocy łaski?

— I to chcesz wiedzieć? — już z rozbawieniem spytał proboszcz. — Oto ona, oparta o mój fotel...

— Wybaczcie, panie, ostrożność, ale tak mi nakazano.

— Ktoś jest i skąd przybywasz?

— Wasz sługa, a przybywam z zakonnego państwa. Przywożę z Torunia pismo od ojca Erazma... — dorzucił przybysz ścisząc głos, mimo że byli sami w komnacie.

— Dawaj je zatem! — ksiądz Andrzej ożywił się.

— Oto ono, wielmożny panie... — Przybysz wyjął z trzymanej w ręku czapki złożony papier i podał go proboszczowi. Ten odebrał pismo, ale go nie otworzył, lecz położywszy przed sobą pytał dalej:

— Kiedy przybyłeś?

— Dziś, przed godziną.

— Nie miałeś po drodze przygód? Nikt cię nie zatrzymał?

Przybyły uśmiechnął się.

— Kto by się troszczył o takiego biedaka?

— Czy brat Erazm żądał odpowiedzi?

— Nic mi o tym nie mówił.

— Czy nadal przebywa w Toruniu?

— Przykazał powiedzieć, że rusza do Gdańska, a może i samego Malborka...

— Wnet zatroszczą się o ciebie. Odpocznij i czekaj, czy nie będę cię potrzebował. Kiedy chcesz wracać?

— Jak najrychlej, wasza wielmożność.

— Dostaniesz zaopatrzenie na drogę i nagrodę za posługę. Teraz nie włącz zbytnio nikomu w oczy.

Ksiądz Andrzej zaklaskał w dłonie, a kiedy zjawił się pacholek, polecił:

— Zaprowadź go do mego pocztowego, Tomasza, i powiedz, by udzielił mu gościny na swojej kwaterze...

Gdy został sam, oderwał pieczęć i rozłożył papier. List nie był zbyt długi, gdyż, jak proboszcz wiedział, ojciec Erazm nie lubił rozwlekłej pisaniny. Jednak wiadomości, które zawierał, były na tyle ważne, że list przeczytał dwakroć, po czym siedział dłuższą chwilę, zadumany nad jego treścią.

Zaciekawiła go również wzmianka, którą brat Erazm kończył swój list: „Przeszło rok temu z toruńskiego konwentu zakonnego ubył kleryk Otto Bender. Innego na jego miejsce nie przybrano, co może potwierdzać domysły, że otrzymał on jakowąś tajną misję. Opisano mi go jako młodego jeszcze

człowieka, bo nie więcej jak lat trzydziestu, szczupłej postaci, wąskiego oblicza i jasnych włosów. Wiadomość ta być może kiedyś wam się przyda, bo zapewne do Ziemi Świętej go nie posłano” — kończył tą nieco ironiczną uwagą swoje pismo brat Erazm.

Zbyt wielkie doświadczenie miał ksiądz Andrzej, by po rozmowie z dozorcą Rogożą nie polecić Jaksie opieki nad osobą kapelana z Barcic; sprawdzić, gdzie ma kwaterę, jak spędza czas i z kim przestaje, ale tak by w żadnym razie tego nie spostrzegł. Toteż kiedy rozmawiał z sekretarzem, a potem otrzymał list brata Erazma z ową wzmianką która mocno go zastanowiła, wiedział już co nieco o księdzu Józefie, Wszakże niczego podejrzanego ludzie Jaksy nie wykryli. Regularnie spełniał swoje kapłańskie obowiązki, z nikim się nie spotykał — w każdym razie wykryć tego się nie dało — a resztę dnia spędzał w obrębie klasztoru franciszkanów, gdzie miał kwaterę.

Wszystko wskazywało więc na to, że niewart on dalszego zainteresowania, ale proboszcz zbyt był ostrożny, by lekceważyć przeciwnika, jeśli kapelan był nim istotnie.

Po otrzymaniu pisma z Torunia postanowił osobiście przekonać się, z jakim człowiekiem ma do czynienia, a także, czy postać jego odpowiada opisowi, gdyż te, które mu podawano, nie były zgodne. Przed tym jednak Jaksą otrzymał dodatkowe polecenia.

Ksiądz Józef z Barcic, wezwany do kancelarii sekretarza Cebulki, stawił się w oznaczonym czasie, nie okazując po sobie jakiegokolwiek niepokoju. Pewnie wkroczył do komnaty księdza Andrzeja, pozdrawiając go od progu imieniem Chrystusa.

Proboszcz wskazał stojące przy jego stole krzesło:

— Siadajcie, księżę kapelanie, i wybaczenie, że was trudziłem, ile pragnąłbym usłyszeć od was nieco wyjaśnień — rzucił przyjaźnie, lustrując postać przybyłego spojrzeniem. Kapelan był młodym, szczupłym człowiekiem o jasnych, schludnie przyczesanych włosach.

Zajął wskazane miejsce, splótł na kolanach ręce i pokręcił parokrotnie kciukami.

— Słucham was, księżę proboszczu — rzucił pokornie schylając głowę. — Pełen nadziei, że zdołam ich udzielić...

— Wierzę w to, a także w wasze chęci ku temu — odpowiedział ksiądz Andrzej pogodnym tonem. — A rzecz w tym, że wciąż nie schodzi nu z myśli, dlaczego to ów putnik Huba wybrał was na swego spowiednika? Jak sądzicie?

— Podobno właśnie u mnie parokrotnie spowiadał się przedtem i to podsunęło mu takie życzenie.

— A więc go znaliście?

— Ależ nie! Nie przyglądam się spowiadającym.

— Skąd zatem to wiecie?

— Wspomniał mi o tym brat Michał po powrocie z lochów.

— Była to więc znajomość jednostronna, bo Huba wiedział, u kogo się spowiada, skoro was wspomniał... — zauważył od niechcenia proboszcz.

Kapelan obrzucił go krótkim spojrzeniem, po czym znów schylił głowę wzruszając ramionami.

— Nietrudno było tego się dowiedzieć — stwierdził krótko.

— A jak oceniacie zeznania poczynione przez Hubę? Czy można przywiązywać do nich jakąś wagę?

Tym razem kapelan na dłużej utkwiał wzrok w twarzy proboszcza.

— Jakże mogę je oceniać, skoro ich nie znam? — spytał ze zdziwieniem.

— No tak, rzeczywiście... — ksiądz Andrzej uśmiechnął się z niejakim zażenowaniem. — Dajmy więc temu spokój, bo równie nie możecie wiedzieć, że skutkiem tych zeznań zginął pewien człowiek. Ale miałbym teraz inne pytanie, na które już bez wątplenia będziecie mogli udzielić odpowiedzi...

Słucham, wasza wielbność — spokojnie oświadczył kapelan.

— Jak długo pełnicie służbę na tutejszym zamku?

Przesłuchiwany jak gdyby zawahał się, ale odpowiedział wciąż spokojnie:

— Już blisko rok.

— A gdzie służyliście przedtem?

Tym razem odpowiedź padła od razu, jak gdyby kapelan oczekiwał tego pytania:

— W klasztorze cystersów w Oliwie.

Ksiądz Andrzej przypomniał sobie sprawę sprzed dwudziestu lat, kiedy to przyszło mu wykrywać mnichów nasłanych przez Zakon z tego klasztoru, ale nie dając tego po sobie poznać, zadał następane pytanie:

— Jaką tam pełniliście funkcję?

— Jako kleryk byłem sekretarzem opata.

— No cóż, trzeba będzie to sprawdzić... — mruknął ksiądz Andrzej raczej do siebie, ale mimo to kapelan spytał z nieukrywanym zdziwieniem:

— Jakże to? Czyżbyście przesłuchiwali mnie, wielbny proboszczu, jako podejrzanego, a nie świadka?

— Wszyscy związani ze sprawą tego putnika są mi podejrzani.

— Ale jakież macie przeciw mnie poszlaki?! — już z oburzeniem zawołał kapłan. — Na czym te podejrzenia opieracie? Chcę to wiedzieć bo nie waszemu śledztwu podlegam, jeno kościelnemu, zatem działacie bez zgody z prawem!

— Wiedziecie więc, że za zgodą biskupa Macieja to czynię. Nie zamierzam was więzić, gdyż dowodów przeciw wam nie mam. Baczcie jednak, abym ich nie zdobył, gdyż wtedy nie pod kapłański sąd a wielkopsiężący pójdziecie, a to zawiesi wam katowski topór nad głowę. Teraz wracajcie z Bogiem do waszych obowiązków — zakończył przesłuchanie ksiądz Andrzej pewny, że dostatecznie przestraszył przeciwnika.

Mniemanie to potwierdził w godzinę potem Jaksza, zgłaszając się mocno wzburzony do proboszcza.

— Mamy go, wasza wielbność! — rzucił już od progu. — Ale mi jednego z ludzi śmiertelnie nożem poraził, a drugiego poturbował, kiedy go w klasztornej stajni próbowali pojmać przy siodłaniu konia!

— Czyście go ujęli? — spokojnie spytał proboszcz.

— Tak, gdyż jak przykazaliście, miałem wierzchowce pod ręką! Toteż wnet go dognaliśmy i arkanem psubrata ściąggnąłem z siodła!

— Odstaw go tedy do lochu. Jutro go przesłucham powtórnie, ale już nieco inaczej!

Inaczej też wyglądał więzień wprowadzony do komnaty księdza Andrzeja następnego ranka. Już nie miał gładko przyczesanych włosów, jeno zmierzwione i ze źdźbłami słomy pozostałymi widać z legowiska, oraz w sukniach przybrudzonych i pomiętych. Nie pozdrowił też proboszcza, ale zatrzymał się na środku izby i mierzył go wrogim spojrzeniem.

Zdjąc mu więzy i pozostawić ze mną samego — polecił strażnikom proboszcz, a kiedy ci spełniwszy polecenie wyszli, tak jak poprzednio wskazał kapelanowi krzesło z krótką zachętą:

— Siadaj...

Więzień wyraźnie zdziwiony tą propozycją, zajął jednak miejsce.

— Nieco innego dziś cię widzę niżli wczoraj. A to przecież tak niedawno... — westchnął proboszcz spoglądając ze zmartwieniem na więźnia.

Ten, nie tając nienawiści, rzucił przez zęby:

— Ty chytry, podstępny gadzie...

Proboszcz mówił dalej, jakby nie dosłyszawszy obelgi.

— Wczoraj twierdziłeś, że brak przeciw tobie poszlak. Dziś już nie o poszlakach przychodzi nam mówić, ale o śmierci człowieka, który zginął z twej ręki. Widać tylko w ucieczce widziałeś ratunek, skoroś powążył się zadać śmierć temu, który ci chciał w tym przeszkodzić.

— Nie wiedziałem, że o to mu szło! Wystraszony nagłą napaścią sądziłem, że o życie ze zwykłymi zbrojami walczę, więc porwałem za nóż!

— Akurat zachciało ci się konnej przejażdżki? I to długiej, bo żywności miałeś w torbie na kilka dni...

— O żadnej torbie z żywnością nic nie wiem!

— Nie stoisz przed sądem, porzuć więc łgarstwa. Mówisz z człowiekiem, który wie więcej, niż sądzisz, Ottonie Bender, kapelanie z konwentu toruńskiego komturstwa...

Na to oświadczenie więzień porwał się na nogi i rzucił wzburzony:

— Skąd!? Skąd...

— Mniejsza z tym — spokojnie odpowiedział ksiądz Andrzej. — Siadaj i posłuchaj, co ci powiem, bo dość już tej próżnej gadaniny. Otóż mam dla ciebie dwa pytania, na które chcę mieć odpowiedź. Jeśli jej udzielisz, ostaniesz w lochu z nadzieją, że jeśli nadarzy się okazja i będę mógł cię wymienić z Zakonem na dostatecznie ważnego jeńca, to będę skłonny tego dokonać...

— A jeśli nie odpowiem?

— Sądzę, że jednak odpowiesz, jeno nieco później. Może w tydzień albo dwa, w czasie kaźni, jakiej będziesz poddany. Mamy kata, który dobrze zna swoje rzemiosło i tak prędko życia cię nie pozbawi. Da ci czas na opamiętanie.

Więzień, poblady na twarzy, z wyraźnym trudem wydobył ze ściśniętego gardła pytanie:

— A co... co chcecie wiedzieć?

— Pierwsze: jak wygląda kłamra waszych łączników i przy czym ją noszą, drugie — kto przekazuje twoje polecenia ludziom, których masz tu do pomocy?

— Kłamra...? O jakiej klamrze mówicie?! Nic o niej nie wiem!

— Sądziłem, że jesteś jednym z tych, do których docierają tajni wysłannicy Zakonu. Jeśli się omyliłem, tym gorzej dla ciebie, bo kaźni nie unikniesz...

— Jakże mam opisać to, czegom nigdy nie widział!?

— Jesteś głupszy niż sądziłem. No cóż, będę się modlił, byś nabrał rozumu. Daję ci na to czas do wieczora, bo jutro ruszam w drogę. Potem twoje zeznania w czasie kaźni będzie odbierał już kto inny, a teraz niech Bóg ma cię w swej opiece...

Ksiądz Andrzej zaklaskał w ręce i kazał przybyłym strażnikom odprowadzić więźnia.

W ciągu dnia musiał on jednak dokładnie rozważyć sytuację, w jakiej się znalazł, gdyż doprowadzony już przy blasku pochodni zeznał, jak wyglądała noszona u pasa owa klamra. Przedstawiała głowę sowy, w której, na tle kolistych upierzeń ze złota, tkwiły okrągłe oczy sporządzone z topazów. Natomiast łącznikiem był organista z kościoła Św. Mikołaja. Ksiądz Andrzej postanowił go jednak pozostawić na razie w spokoju, by wrzawa wynikała z ujęcia księdza Józefa nieco ucichła, a jego pomocnicy doszli do przekonania, że ich nie wydał i nic im nie grozi.

Zjazd został wyznaczony na dzień Trzech Króli, nadchodzącego 1429 roku. Wielki książę już na dwa miesiące przed tym terminem polował w lasach ziemi żytomierskiej, by jednocześnie czuwać nad przygotowaniem do rychłego spotkania w pobliskim Łucku. Musiało ono mieć godną oprawę tak z powodu znakomitych gości, jak i osoby gospodarza. Król Jagiełło przybył później, ale minął Nowy Rok, a wciąż nie było żadnych wieści od Zygmunta, który nie zwykł zresztą — o czym obaj władcy już nieraz mogli się przekonać — przywiązywać wielkiego znaczenia do swoich obietnic czy wyznaczanych terminów. Toteż król Władysław pod koniec roku udał się do Korony, nie oddalając się jednak zbytnio od miejsca spotkania.

Wreszcie nadeszła oczekiwana wiadomość, więc król i wielki książę pospieszyli do Łucka, tym bardziej że zaczęli tam już przybywać pierwsi goście i poselstwa.

Jakoż cesarz istotnie nadciągnął 22 stycznia, zatrzymując się na zachodnim brzegu Styru. Wybiegł mu naprzeciw aż o całą milę wielki książę, a nieco bliżej miasta Jagiełło. Zaproszony do karety cesarzowej Barbary odbył z nią resztę drogi, natomiast cesarz Zygmunt jechał konno w otoczeniu obu ich dworów. Witały również cesarza przybyłe już poselstwa, jak i poszczególni władcy, przysparzając wspaniałości powitalnemu orszakowi.

Jednak główne uroczystości, jak i wjazd na zamek wyznaczono na dzień następny. Kiedy więc rozwidniło się na dobre, nieprzebrane tłumy wyległy za mury miasta. Powtórnie witał Zygmunta wielki książę i obecni już goście i potem towarzyszyli w przejeździe przez most i w dalszej drodze na zamek.

Orszak cesarski poprzedzała chorągiew najprzedniejszych polskich rycerzy w bojowych, pełnych zbrojach, na wierzchowcach krytych kropierzami, przy tarczach i kopiach. Ich różnokolorowymi proporcami, pawimi i różnie barwionymi strusimi piórami na hełmach targam podmuchy wiatru. Za nią huczała kotłami wojskowa orkiestra, dmąc w surmy i trąby, zawodząc piszczałkami, przy wtórze nieustającego grzmotu powitalnych krzyków wielotysięcznego tłumu, podziwiającego wielkość i wspaniałość cesarskiego orszaku.

On sam jechał konno mając po bokach kniazia Witolda i duńskiego króla, Eryka. Tuż za jego pocztem w otwartej karecie siedziała cesarzowa Barbara w towarzystwie wielkiej księżnej Julianny i papieskiego legata Cezariniego, odzianego w szkarłatną sutannę i szerokoskrzydły kapelusz — strój przewidziany dla papieskich wysłanników. Za tą karocą toczyły się następne, każda w osiem koni. Woźnice siedzieli sztywno na kozłach, ale wiedli te zaprzęgi pacholanki w barwnych szatach, dosiadający pierwszego, prawego konia. W karocach zajmowały miejsca co znaczniejsze damy z fraucymeru cesarzowej, a także małżonki niektórych książąt i wielmożów.

Za nimi na ciężkich, bojowych rumakach jechał poczet Zakonu Pruskiego z wielkim mistrzem Pawłem von Rusdorfem na czele. Towarzyszyli mu marszałek Henryk Holt, wójt Nowej Marchii Mikołaj Kiekeritz, komturowie: Landsee — toruński, von Mimpolgart z Ragnety i Jodok de Hogerkirche, zwany Bawarczykiem. Z kolei pod znakiem Inflanckiego Zakonu zajmowało miejsce w orszaku poselstwo wielkiego mistrza Zygryda von

Rutenberga, którego reprezentował Wielki Marszałek Werner von Nosselrode, mający za towarzyszy komtura Dyneburga Waltera de Lo i Fellinu — de Gelze.

Z kolei postępowano poselstwo bizantyjskiego cesarza Jana Paleologa, za nim zaś księżęta czescy, ruscy i niemieccy, a więc księżę Henryk Wittelsbach z Bawarii, Rudolf Habsburg ze Szwabii, a wreszcie posłowie Fryderyka Hohenzollerna z Brandenburgii, który nie życzył sobie osobiście zetknąć się z Luksemburczykiem ze względu na wrogość, jaką ku sobie w tym czasie żywili.

Z ruskich natomiast ziem przybyli wielki książę moskiewski Bazyli w towarzystwie metropolity Focjusza, księżę twerski Borys, rizański Oleg, dwaj księżęta Odojewscy i jeszcze kilku innych. Nie brakło też i posłów chana Tatarów, któremu nieobojętne było, o czym będą radzili zachodni Niemieccy panowie z jego bliskim i groźnym litewskim sąsiadem.

Dopiero za tymi orszakami jechali jako gospodarze wielmoże i dostojnicy Korony oraz Litwy z biskupem krakowskim, kanclerzem Zbigniewem Oleśnickim, i Wojciechem Gasztołdem, przewodniczącym rady wielkoksiążęcej na czele.

Ogromny był to więc poczet, wspaniały przepychem i barwnością strojów, bogactwem i różnorodnością futer, broni i końskich rzędów.

Podziwiał go zebrany pod murami miasta tłum grzmiący nie milknącymi okrzykami. W osobnych grupach zebrali się wyznawcy różnych wierzeń ze swymi duchownymi na czele, a więc Ormianie, Żydzi, chrześcijanie obrządku greckiego i rzymskiego, którym przewodził miejscowy biskup Andrzej ze Spławki, herbu Leliwa. Tego jednego zechciał cesarz zauważyć i pozdrowić skinieniem ręki, reszty zaś nawet nie raczył obdarzyć spojrzeniem.

Dopiero u stóp łuckiego zamku witał cesarską parę król Władysław z małżonką Sonią, po czym osobiście wprowadził do komnat pałacu.

Reszta gości także rozeszła się do przeznaczonych sobie pokoi i kwater, by przygotować się do rychłego ceremoniału oficjalnego powitania, a potem do uczy. Rozmowy władców miały nastąpić dopiero następnego dnia, ale jeszcze tego wieczoru, wkrótce po biesiadzie, cesarz przyjął w swych komnatach wielkiego mistrza Rusdorfa, któremu towarzyszyli komturowie Landsee i Mimpolgart.

Siedział przed buzującym na kominku ogniem, w wybitym skórą fotelu, okryty rysim futrem. Kanclerz Schlick i sekretarz Czigula stali w głębi komnaty za jego plecami. Przybyłych dostojników Zakonu powitał łaskawym skinieniem głowy i wskazał stojące obok fotele:

— Zajmujcie miejsca podług życzenia, a wy, mości kanclerzu, ze swym sekretarzem także, gdyż gadać jest o czym, a czasu do biesiady mamy dość!

Odczekał chwilę, aż posłuszni wezwaniu zasiedli po obu jego bokach — z jednej strony kanclerz z sekretarzem, z drugiej wielki mistrz oraz komturowie Torunia i Ragnety. Dopiero wtedy znów zabrał głos:

— Od czasu, kiedyśmy radzili w Kieżmarku, upłynęło nieco czasu, który nie minął wszakże daremnie. Bo oto jesteśmy tu zebrani, niemieckiej krwi bracia, wraz z naszymi od wieków wrogami, władcami polskich i ruskich plemion! Wszakże przyjaźnie mówić tu zamierzam, niejedno obiecywać i o braterstwie zapewniać, nieraz być może uściśnemy sobie prawicę, ale jak nasi przodkowie, tak i my winniśmy nie tracić z oczu celu wszelkich naszych wysiłków! Sługami mają być naszymi, a nie w szranki z nami stawać! Do tego dążę i, da Bóg, tego dokonam!

Słowa Zygmunta, padające z narastającą gwałtownością, świadczyły, jak bardzo czuje się zagrożony. Przyczyny tego wzburzenia kanclerz znał dobrze, toteż zabrał głos: Ale zanim to nastąpi, Wasza Cesarska Mość, bez walki, a przynajmniej jej poważnej groźby, tego celu nie osiągniemy. Pogański Turek to jeszcze bardziej plugawy przeciwnik, a przecież tak silny, że zagraża cesarstwu, zmuszając do sięgania po oręż. Z Polską jest podobnie, a nawet gorzej, bo niebezpieczeństwo z jej strony i bliższe, i groźniejsze. Już w Kieżmarku mówiliście o jego istocie, ale nie zaszkodzi jeszcze raz to powtórzyć, bo nie umniejszyło się ono, a wzrosło. Mimo naszych zabiegów król duński przybył na zjazd, legat papieski także, a nawet cesarz Paleolog przysłał swoje poselstwo, bo zapewne, jak i my, będzie zabiegał o pomoc Władysława przeciw Turcji. Chan tatarski i moskiewskie księstwa boją się Witoldowej potęgi, toteż ich posłowie również tu bawią. Nasze położenie jest o wiele gorsze, bo nie ich, a Waszą Cesarską Mość Władysław i Witold poczytują za głównego wroga. Stąd też — jak to właśnie mówiliście w Kieżmarku — zacieśniają wokół nas obręcz. Od północy z Hohenzollernem z Brandenburgii paktują o związek małżeński Jadwigi, Zakon do tego stopnia osłabili wojnami, że na jego pomoc mało co możemy liczyć, w Czechach Kory buta trzymają, a tu gotują wspólną wyprawę, rzekomo przeciw husytom, ale w rzeczywistości chcą zabrać wam Czechy. Nie czas zatem ani pora, by Wasza Cesarska Mość, słuszną zresztą, dumą mogła się powodować. Sama pogarda wroga nie odstraszy.

— Ale nienawiść pomaga w jego pokonaniu... — wtrącił półgłosem toruński komtur Landsee.

— Tego mi tłumaczyć nie potrzebujesz! — prychnął ze złością Zygmunt, zwracając się do kanclerza. — Skoro jednak mając na karku i Turków, i husytów zbrojnie przeciw Polsce wystąpić nie możemy, bronić się należy szukając innych sposobów! Właśnie dlatego obmyśliłem dać Witoldowi koronę i w ten sposób rozerwać przymierze tych dwóch krajów, a nawet poróżnić je ze sobą! Z tej przyczyny zabiegałem o ten zjazd, toteż przyszła pora, by ten zamysł w czyn wprowadzić. Nie zaniecham więc starań, by jeszcze tu do tego doszło!

— Oby Bóg dał, z powodzeniem... — kanclerz ograniczył się już tylko do tej krótkiej uwagi. Zygmunt zwrócił się z kolei do wielkiego mistrza:

— Czy nadal mogę liczyć na poparcie Zakonu?

— Wasza Cesarska Mość chyba nie wątpi w naszą wierność i ochotną pomoc, jakiej nigdy w waszych poczynaniach nie odmawialiśmy! A cóż dopiero mówić o tak kuszącej dla nas nadziei, jak rozbicie jedności Polski i Litwy! Ale... — wielki mistrz zawahał się przez chwilę — my, jako Zakon, musimy postępować wyjątkowo ostrożnie. Bo czy Witold koronę przyjmie, czy nie, gniew Władysława obróci się przede wszystkim przeciw nam, jako temu wrogowi, z którym łatwiej się rozprawić. A dokonawszy tego, nie będąc zagrożeni od pleców i tym mocniej będą potem nastawać na was...

— Co zatem proponujecie...? — Zygmunt obrzucił wielkiego mistrza nieufnym spojrzeniem.

— Popierać was jak najusilniej we wszelkich poczynaniach, jakie uznacie za słuszne czy potrzebne, ale w cichości. Natomiast okazywać rozterkę i wahania, po czyjej stronie stanąć, jeśliby przyszło do sporu między wami, którym Zakon jest jednakowo życzliwy. W razie potrzeby pozwoli to nam objąć rolę rozjemcy, z oczywistą dla Waszej Cesarskiej Mości korzyścią. Taka postawa powinna uchronić nas przed zemstą przeciwników, jeśliby wasze zamierzenia, uchowaj przed tym, Niebieski Ojczy, miały się nie powieść. A przez to i Waszą Cesarską Mość nie pozbawiłoby pomocy Zakonu...

Von Russdorf zamilkł, czekając, co powie cesarz. Ten zerknął spod oka na wielkiego mistrza i mruknął w zamyśleniu:

— Gotów jestem przystać, byście poszli tą drogą, bo racje ku temu są istotne... Zatem niechże tak będzie. A teraz, co nam powie jego wielmożność komtur Mimpolgart? Jak mi wiadomo, często odwiedzaliście, i to nie bez

powodu, wielkiego księcia, rad bym więc usłyszeć, jak on, a także Jagiełło oceniają moją propozycję koronowania Witolda?

— Mam w tym względzie dokładne rozeznanie, Wasza Cesarska Mość — odezwał się posłuszny wezwaniu komtur Ragnety. — Otóż Witold nie jest skory do przyjęcia korony...

— Dlaczegoż to? — z zainteresowaniem przerwał mu Zygmunt. — Czyżby jej blask nie był dość nęcący!?

— Zbyt doświadczonego władcą jest książę, by nie widzieć skutków, jakie może spowodować wyrażenie zgody. Jagiełło natomiast okazuje przychyłność waszym zamiarom.

— A powody?

— Witold zdaje sobie sprawę, że Rada królewska z takimi przywódcami, jak Zbigniew Oleśnicki czy Szafraniec, nie mówiąc już o tym upartym koźle wicekanclerzu Oporowskim, nigdy nie zgodzi się na jego koronację. Zatem czekałaby go walka, choćby tylko polityczna, ale taka naraziłaby Litwę na utratę pomocy zdolnej do utrzymania w ryzach otaczających ją wrogów. Ci boją się obecnie jej potęgi, przeto wolą okazywać jeśli nie uległość, to przynajmniej oznaki przyjaźni. A jest ich sporo, bo i pograniczne księstwa moskiewskie, i Tatarzy, nie mówiąc już o naszych obu Zakonach. A także Świdrygiełło, który wprawdzie, jak dotąd, siedział spokojnie, ale ponoć obecnie zaczął nawiązywać przyjazne stosunki z księżętami prawosławnego wyznania. Oznacza to, że sprzyrzyła mu się dotychczasowa bezczynność. Skoro my wiemy o tym, wie zapewne i Witold, który nie spuszcza go z oka. Oto dlatego, jeśli nawet wręcz nie odmawia korony, to waha się z jej przyjęciem...

— Zatem należy go zapewnić, że ze strony obu Zakonów — tak Pruskiego, jak i Inflanckiego — nic mu grozić nie będzie! A przeciwnie: pomocy mu nie odmówią! — gniewnie zawołał cesarz, uderzając dłonią w poręcz fotela.

— Taka obietnica nie może jednak wyjść od nas... — odezwał się von Rusdorf — z przyczyn, które znalazły zrozumienie u Waszej Cesarskiej Mości...

— Ale może ode mnie! A jeśli zajdzie taka potrzeba, nie omieszka stwierdzić, że dałem ją bez porozumienia z wami!

Ponieważ wielki mistrz nic na to nie odpowiedział, wiedząc, jak małą wagę należy przywiązywać do zapewnień cesarskich, Zygmunt, uznając to milczenie za aprobatę, zwrócił się ponownie do komtura Ragnety:

— No, a Władysław? Z czym muszę się liczyć z jego strony?

Von Mimpolgart uśmiechnął się.

— Z nim jest inaczej. Bo tak jak Witold jest jej przeciwny, tak Władysław dąży do samodzielności Litwy, chociaż grozi to osłabieniem kraju, którego jest władcą. Toteż zdaje się być przychylny koronacji wielkiego księcia...

— I mnie dochodziły takie opinie, ale że były zbyt pomyślne, nie dawałem im wiary! — z ożywieniem rzucił Zygmunt. — Boć przecie głos Jagiełły ma tu główne znaczenie! Bez jego zgody, przy wahaniach Witolda, wiele nie zdziałamy.

— On wszakże, z tego, co wiem, zgody udzieli! Zgrzybiały to już starzec, który stracił — w przeciwieństwie do Witolda — bystrość sądu, nie dostrzega więc zastawionej przez Waszą Cesarską Mość pułapki! Natomiast z wiekiem wzrosło w nim umiłowanie Litwy jako swej kolebki, a także dziedzicznej własności, za jaką, mimo postanowień horodelskiej unii, wciąż ją uważa, chociaż w Horodle inkorporowano całkowicie Litwę do Polski, uznając oba te kraje za jedną całość. Co znaczniejsze litewskie rody zostały przyjęte przez polskich magnatów do herbów, ustanowiono na Litwie urzędy wojewodów, kasztelanów i inne, zrównano rody bojarские ze szlachtą,

przyznając przy tym tron jagiellońskiej dynastii. Tę jednak zasadę polscy panowie zaczęli wkrótce podważać, coraz mocniej obstając przy wolnej elekcji.

Temu, rzecz prosta, z uporem sprzeciwia się Władysław. W tej walce z własną Radą zdobyłby skuteczny oręż, gdyby Witold został królem Litwy. Wówczas po śmierci wielkiego kniazia Jagiełło albo jego potomstwo będzie miało jedyne prawo do opróżnionego tronu... Dlatego, przynajmniej obecnie, właśnie on jest poplecznikiem planów Waszej Cesarskiej Mości...

— Rad to słyszę — oświadczył z wyraźnym zadowoleniem Zygmunt — gdyż, jak rzekłem, wszystko zależy od decyzji tego starca... Dbać zatem należy, by jej nie zmienić, i to wszelkimi sposobami. Mamy przecież na jego

dworze ludzi, którzy podsycać mogą te obawy i kaptować mu stronników, boć i Rada zapewne jednomyślna nie jest, o czym także mi wiadomo. Jeśli zaś Świdrygiełło coś zamierza, zachęcić go trzeba i pomoc wszelką obiecywać! Szkoda, że nie ma tu marszałka zakonnego Holta, gdyż w dalszym działaniu rady mógłby udzielić, bo książę wielką przyjaźnię go darzył!

— Teraz nie jest potrzebny — zaopiniował komtur Landsee — a raczej mógłby zaszkodzić, gdyż jakkolwiek jego udział w tej sprawie zdradziłby Witoldowi nasze dla niej poparcie...

— Może to i racja... — zgodził się cesarz. — Tym bardziej że i bez niego mamy chyba możliwość wspierania Świdrygiełły nie zdradzając swego udziału...

— Oczywiście że tak — przytaknął von Mimpolgart. — I nawet już zmierzamy w tym kierunku! Jednak i Wilno daje baczenie na dwór Świdrygiełły. Ostatnio wzmogło również pracę swojej tajnej służby. Doszły mnie wieści, że Cebulka wezwał jednego ze znamienitszych w tym względzie ludzi z otoczenia zmarłego Trąby, niejakiego proboszcza Andrzeja. Dał się już naszym we znaki i działa nadal z niebezpieczną skutecznością.

— Nie sądzę, mości komturze, że z większą niż wy to czynicie? — ironicznie rzucił Zygmunt. — A zresztą, nie muszę wam chyba mówić, że ze wszystkich wrogów najlepszy jest martwy...

— Jestem również tego mniemania, Wasza Cesarska Mość. Nie omieszkać jednak pamiętać o waszej radzie...

— A więc niech już więcej o nim nie słyszę. A czy wykonaliście moje polecenie dane w Kieżmarku? Ustanowiony już człowiek odpowiedzialny za wszelkie nasze tajne działania na Jagiełłowym dworze, jak i sposób łączy?

— Tak, Wasza Cesarska Mość. Jest nim...

— Nie obchodzi mnie, kto nim jest! — Zygmunt wyjął dumnie wargi. — To wasza sprawa, chcę jedynie dokładnie wiedzieć, co się na królewskim dworze będzie działo! A głównie o zamierzeniach Jagiełły w sprawie koronacji Witolda. To dzisiaj dla mnie rzecz najciekawsza...

Tym oświadczeniem cesarz zakończył naradę, gdyż pora już była gotować się do zapowiedzianej ucztę powitalnej.

W ogromnej sali łuckiego zamku huczał gwar rozmów. Biesiadnicy zasiedli przy dwóch stołach, ciągnących się przez całą jej długość.

Pośrodku głównego siedział cesarz, mając po lewej ręce małżonkę, po prawej króla Władysława i królową Sonię. Obok cesarzowej Barbary zajmował miejsce wielki książę Witold z księżną Julianną. Dalej siedzieli: z jednej strony papieski legat Cezarini, z drugiej król duński Eryk, wielki mistrz pruskiego Zakonu, posłowie cesarza Paleologa, Zakonu Inflanckiego, a wreszcie książęta niemieccy, moskiewscy i czescy z małżonkami, jeśli te im towarzyszyły. Tu zajmowali też miejsce tylko najwyżsi dygnitarze poza zagranicznymi, także koronni czy litewscy. Reszta

bowiem krajowych dostojników i wielmożów zajmowała jako gospodarze stół drugi. Natomiast dla ostatnich dworzaków ustawiono stoły w innych pomieszczeniach zamku, a pacholkom i gawiedzi wytoczono beczki z piwem i gorzałką na majdan, gdzie na rożnach piekły się barany, woły i ciężka dziczyzna z ostatnich łowów książęcych.

Główny stół biesiadny, rzec można bez żadnej przesady, wprost ugiął się nie tyle od mięsów, sosów i różnych innych dań, które na nim stały, ile pod ciężarem mis, półmisek, pater, dzbanów, kielichów i wszelkiej innej zastawy ze srebra i złota. Była ona tak wspaniała mnogością i bogactwem, że cesarz Zygmunt zaraz na wstępie uczyty obrócił się do wielkiego kniazia i rzekł wesoło:

Już tylko po tym, co tu oglądam, należy uznać cię za króla! Mam też nadzieję, że wkrótce nim będziesz!

Witold, nie chcąc zostać dłużnym cesarskiej przychylności, odpowiedział z żartobliwym błyskiem w oku, ale i nieco dwuznacznie:

— Ja zaś wyszlę Waszej Cesarskiej Mości przeciw czeskim odszczepieńcom sto tysięcy żołnierza, którego przez rok będę trzymał własnym sumptem!

— Już raz pomoc mi wysłaliście, alem wielkiej korzyści z niej nie miał! — roześmiał się Zygmunt.

— Bo na próżno czekali na wasze przybycie! Dwa miesiące beczynnie nad Dunajem stali, nawet nijakich poleceń nie mogąc się doczekać! Cóż zatem mieli czynić, jak nie wracać do kraju?!

Cesarz nie znalazł widać na to odpowiedzi, bo machnął tylko ręką, rzucając zdawkową uwagę:

— Ciężkie mi chwile przypominacie, nie warto o nich gadać! Lepiej cieszyć się, że pospołu możemy wychylić ten kielich! — dorzucił już weselej i unióś złote naczynie do ust.

Zygmunt, choć mąż już dojrzały, zachował wiele urody ze swych młodzieńczych lat. Włos mu tylko posiwiał na skroniach, wąż jednaki nadal był czarny, a ciemne oczy świeciły żywym blaskiem. Zgrabna kiedyś sylwetka tylko nieznacznie przytyła, ale ruchy pozostały sprawne i szybkie.

Na księciu Witoldzie bardziej jednak było widać upływ czasu. Choć i on, drobnej będąc budowy i z natury ruchliwy, łatwiej zachował fizyczną sprawność, to jednak na twarzy przybyło mu bruzd, a siwizna mocno już przyprószyła szronem bujne jeszcze włosy.

Natomiast przebyte lata wyraźny ślad pozostawiły na królu Władysławie. Był wprawdzie najstarszy z nich wiekiem, ale widać przeżyte troski największych dokonały spustoszeń, czyniąc go starcem. Wzrok już mu nie dopisywał, choć ciemne małe oczy po dawnemu nie umiały zatrzymać się na czymś dłużej i wciąż biegały jakby czegoś szukając. — Trójkątną, zwężającą się ku dołowi szczipłą twarz pokryły zmarszczki, wydatny zawsze nos stał się jakby jeszcze większy, a bruzdy wokół ust pogłębiły się. Resztę włosów okalających tysięcą głowę jak kiedyś odrzucał szybkim ruchem za uszy, nie wyzbywszy się tego przyzwyczajenia.

Coraz gwarniej i weselej zaczęło robić się przy stole, coraz żywiej krzątała się służba dolewając do kielichów. Rozmowy stały się głośniejsze i bardziej ożywione, przerywały je od czasu do czasu gromkie okrzyki, a wśród wybuchów śmiechu słychać było i niewieście chichoty, zapewne z męskich żartów, nieraz i rubasznych, co było jednak w zwyczaju i nie wywoływało zgorszenia.

W pewnej zaś chwili rozległo się czyjeś wołanie:

— Gdzież podziewa się Svczutek?! Holeszko?! Dawajcie Szczutka!

Tak nazywano Holeszkę, królewskiego błazna, Rusina z pochodzenia. Popularny był na dworze, choć nie przez wszystkich lubiany, bo język miał ostry i nie zwykł go poskramiać korzystając ze swego przywileju. Toteż niejednemu dobrze nim przyciął ku ucieście innych, jako że ludzie lubią bawić się kosztem bliźnich.

W odpowiedzi na to wezwanie zza oparcia królewskiego krzesła wysunęła się postać niska i szczupła, ze smętnym obliczem, o skórze zdawało

się za luźnej dla twarzy, w której wszystko biegło ku dołowi. Nos duży i mięsisty zwisał nieomal nad wygiętymi żałośnie ustami, jakby ich właściciel bliski był płaczu, a z oczu o ciężkich powiekach lada chwila miały pocieknąć łzy. Już sam widok tego oblicza przez swą, zdawało się, markotną bezradność pobudzał do śmiechu. Chęć tę wzmagała ruchliwość rysów, które ze zdumiewającą łatwością zmieniały swój wyraz — to były pełne troski, to natychmiast rozjaśniały się wesołością, by za chwilę okazać gniew, pogardę czy współczucie.

Toteż wystarczyło, że ukazał się, a ci, którzy go dostrzegli, od razu wybuchnęli śmiechem. Rozbawiony również jego widokiem cesarz raczył go zagadnąć:

— Coś tam robił za królewskimi plecami? Czemuś nie ukazał się wcześniej?!

— Rachowałem, Wasza Cesarska Mość, i rachowałem... Ale coś źle mi wychodziło...

— Cóżeś tak rachował?

— Turków, których ubiłeś...

— I wieluż ci wyszło? Widać sporo, jeśli tak długo liczyłeś?

— Jak na was, to sporo, choć palców u rąk mi starczyło...

Co znaczniejsi z otoczenia powstrzymali śmiech, ale większość bez skrupowania dała upust wesołości. Zygmunt uznał za wskazane pójść ich śladem, bo zawołał do swego podstolego:

— A nalejcież mu kielich wina! Niech spełni toast za naszych miłych gospodarzy!

Podano więc Holeszce pełny kielich, wszakże książę Witold uznał za stosowne dorzucić:

— Nie nasze, a Waszej Cesarskiej Mości zdrowie winien najpierw wypić!

— Nie spierajcie się, wypiję za wszystkich trzech! Jenemu muszę baczyć, by przy cesarskim trunek mnie nie zatkał, waszego zaś, książę, pić tutej warto, bo i bez tego dość jesteś jurny, choć wątpię, czy wszystkie niewiasty w księstwie zdołasz obrobić!

Tym razem śmiech był ogólny, a rozbawiony Jagiełło spytał swym grubym, nieco ochryplym głosem:

— A jakże do mnie przepijesz, Szczutku?!

— Tobie, Władku, z serca życzę, nie przedkładaj hreczki nad pszenicę...

Słowa te wywołały aplauz głównie wśród panów polskich, którym przypadł do serca zawarty w nich sens. Posypały się inne pytania i dalej śmiano się z odpowiedzi błazna, ale że przypomniał o swej umiejętności układania na poczekaniu wierszowanych przypowiastek, przeto zaczęto domagać się, by coś jeszcze i takim sposobem powiedział.

Twarz Holeszki raptem posmutniała i wyraźnie stropiony podrapał się w ciemię, wreszcie po chwilowym namyśle odezwał się:

— Cóż by wam tu rzec... Nie bardzo wiem, ale skoro nastajecie, tedy posłuchajcie...

Spojrzał ku powale, jakby tam szukał natchnienia, westchnął i zaczął recytować w ciszy, jaka zapanowała na sali:

— Jadło dobre, dobre picie

Miło siedzieć przy korycie

Gadu, gadu, przysiąg wiele

Siedzą sami przyjaciele

Lecz jak przyjdzie pożegnanie

Tedy po nich pozostanie

Zamek wokół obfajdany

No i głupiec ugłaskany...

Kiedy skończył zwrotkę, także westchnieniem, wybuch śmiechu zdawał się rozsadzać ściany. Holeszko zaś, niby skonfundowany tą reakcją, znów ukrył się za królewskim krzesłem.

Następnego dnia miały się odbyć przemówienia powitalne, poprzedzone nabożeństwem porannym. Msza zebrała wprawdzie przewidzianych uczestników, ale z powodu nocnej uczty postanowiono przełożyć uroczystość na godziny popołudniowe, by przedtem nieco lepiej wytchnąć.

Kiedy wreszcie zajęto miejsca w zamkowej sali i książę Witold krótkim powitaniem zagał zebranie, o głos poprosił cesarz Zygmunt: Po kwiecistym wstępie mówił dalej: „...Nic miłszego, nic pożądniejszego stać się nie może, jak żeby wspólnota chrześcijańska tylu dotąd wojnami barbarzyńców i bezbożnych odszczepieńców skołatana i zachwiana w lepszy wprawiona porządek bezpiecznego zażywała spokoju. To właśnie skłoniło mnie do udania się na zjazd tylu znakomitych mężów... Wiadomo wam, że Ziemia Święta, w której

najpewniejsze człowieczeństwa Chrystusa Pana Zbawiciela naszego wydeptane są ślady, gdzie nauczał i cierpiał, zostaje we władzy saraceńskiego sułtana i bezbożnie jest ciemniona przez obrzydłych niewiernych i okrutnych barbarzyńców, którzy wszystko tam bezpiecznie znieważyli. I my doznaliśmy tego własnymi klęskami! Obmyśleć zatem należy tamę, i to wcześniej, aby tak zgubne zarzewie wojny nie rozniosło dalej pożaru!

Najpierw więc Wołoszczyznę, Multanami zwaną, podbić, zdradliwego ciemną, sprawie chrześcijaństwa zawsze najszkodliwszego, stamtąd wyrugować należy tak, by ten kraj Polska i Węgry między siebie podzieliły. Skoro to nastąpi, będzie pierwszym krokiem do pokonania Turków(...) Na koniec, aby wewnętrzne wojny przez poskromienie Czechów stłumić, Zygmunta Korybuta księcia litewskiego z ich kraju odwołać i dostarczyć zbrojnej pomocy dla pokonania bezbożnych odszczepieńców, którym okazuje przychylność...”¹⁹

Na to przemówienie król Władysław odpowiedział, ale następnego dnia, po naradzie ze swymi panami. Ostrzegął na wstępie przed zbyt pochopnym wystąpieniem zbrojnym, choć uznawał jego potrzebę. Radził więc król najpierw przygotować uderzenie nie tylko od strony lądu, ale i morza, by odciąć nieprzyjacielowi możliwość korzystania z azjatyckich posiłków, po czym nie omieszkał wytknąć cesarzowi jego błędów wojennych, które spowodowały ponoszone przez niego klęski; jego ucieczkę spod Gołębca, a zwłaszcza pozostawienie własnemu

losowi najprzedniejszych polskich rycerzy z Zawiszą z Garbowa, zwanym Czarny, na czele, co wszyscy przyptacili życiem.

— „Co się zaś tknie ziemi multańskiej — ciągnął król nie podoba się nam twoje zdanie. Stefan, wojewoda multański, poddał się pod zwierzchność króla i korony polskiej, dawno już uznaje moją władzę, gotów jest walczyć z ka/dym nieprzyjacielem według mego rozkazu, wszelka więc obawa w tym względzie jest próżna. Ja natomiast z moimi Polakami, z Aleksandrem Witoldem, Litwinami, Prusakami, Rusią i Żmudzią konie, oręż, ludzi, pieniądze, krew nawet, jeśli tego będzie potrzeba, poświęcę. Co się zaś tyczy uspokojenia zawichrzeń czeskich, chociaż Zygmunt Korybut, książę litewski, obietnicami korony czeskiej przez ten naród znęcony, mimo mojego zakazu udał się tam z niektórymi żołnierzami mego kraju, którzy częścią wygnaniem,

19 — B. Wapowski, *Dzieje Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego*, Kraków 1874, s. 61.

częścią utratą dóbr na skarb królewski wziętych, nieposłuszeństwo swoje przyptacili, postaram się jednak nawet mimo jego woli Korybuta z Czech i Pragi wyprowadzić, aby nie był żadną przeszkodą w dokonaniu stawnej przeciw Turkom wyprawy...”²⁰

Po królu przemówił wielki książę, wyrażając pełne poparcie dla poglądów i obietnic Jagiełły ku zadowoleniu polskich dygnitarzy, niepewnych, czy Witold nie zmienił swego negatywnego nastawienia wobec kuszących obietnic cesarskich. Jednak bardziej ostrożni przestrzegali przed przywiązywaniem zbytnej wagi do jego słów, gdyż najczęściej takie oficjalne oświadczenia służą nie tyle do wyrażenia własnego poglądu czy zamierzeń, ile raczej do ich maskowania.

Dalsze narady odbywały się w trzech osobnych komnatach, w których władcy debatowali nad główną teraz sprawą, a mianowicie wysuniętą już otwarcie przez cesarza Zygmunta propozycją koronowania Witolda na króla Litwy, czy też przyjmowali poszczególne poselstwa lub radzili poufnie z zagranicznymi gośćmi.

Rozmowy te odbywały się niejako ubocznie, w mniejszej liczbie uczestników, natomiast zasadniczym tematem nadającym ton zjazdowi była sprawa Witoldowej koronacji. Ona budziła nadzieje, wzniesła obawy, wzburzała umysły. O tym przede wszystkim radzono bądź we własnych gronach, bądź schodząc się jedni z drugimi dla przedstawienia własnych opinii, życzeń czy też zastrzeżeń i obaw.

O ile jednak wielki książę nadal okazywał rezerwę wobec wciąż powtarzanych, a kuszących obietnic cesarskich, to zauważono, że król okazywał wyraźną przychylność dla zamierzeń Zygmunta. Napawało to wielką troską, a nawet wywoływało oburzenie bardziej impulsywnych członków Rady, stanowczo przeciwnych takiej możliwości. Tej opozycji przewodzili krakowski biskup, kanclerz Oleśnicki, wicekanclerz Oporowski i obaj bracia Szafraniec, od dawna zresztą nieprzychylni Witoldowi.

Natomiast Jagiełło, od którego decyzji zależał przede wszystkim dalszy obrót sprawy, nie wyrażał jeszcze zgody, zastaniając się koniecznością uprzedniego uzyskania aprobaty swojej Rady. Toteż Witold, po kolejnej z nim rozmowie, wysłał do obradujących osobno polskich panów jednego ze swych 20 — Tamże, s. 61.

sekretarzy, Mikołaja Sępińskiego, celem ostatecznego przedstawienia im sprawy i wysłuchania odpowiedzi.

Ale, zanim Sępiński zakończył swoje przemówienie, zjawił się osobiście i prosił zebranych, by jemu bezpośrednio wyjawili swoje poglądy.

To osobiste przybycie wielkiego księcia zmieszało większość panów. Może dlatego arcybiskup gnieźnieński, Wojciech Jastrzębiec, który z racji godności przewodniczył Radzie i stąd czuł się zmuszony jako pierwszy zabrać głos — mówił zawile i niejasno, wyraźnie unikając zbyt krańcowych czy stanowczych sformułowań. Toteż kiedy skończył, natychmiast wstał Oleśnicki i podnosząc głos, czym zdradzał wzburzenie umysłu, przemówił:

— „Nader trudny przedmiot, który słyszeć wzdragają się uszy, wniosłeś, najjaśniejszy książe, na tę Radę Korony Polskiej, przedmiot tak zawily, że niełatwo wydobyć się z jego wnyków! Kiedy przywodzę sobie na pamięć warunki, pod którymi brat twój Władysław Jagiełło na królestwo został wezwany, kiedy wspomnę na umowy i przymierza z narodem litewskim, uroczystym obrzędem za jednomyślną zgodą zawarte, świętą przysięgą utwierdzone, mocą których cała Litwa z podległymi jej władzy Rusią i Żmudzią z Polską złączona i do niej wcielona na wieczne czasy została, nie mogę wyjść z podziwienia, jakim sposobem myśl tę powziąłeś, aby nagłą i nieprzyzwoitą odmianą wszystko w odmęt i zamieszanie chcieć wtrącić? Nie przyszło ci znać na pamięć, jakie przed przyjęciem wiary i zawarcia z nami przymierza nieszczęścia, jak ciężkie wojny pod przeważającym orężem pruskich Krzyżaków ziemię litewską nękały, jak często Grodno, Troki i Wilno ogniem płonęły, z jaką trudnością od oblężeń zamki bronić przychodziło, ile razy z pola spędzany bywałeś tak dalece, że jedną kłeską po drugiej skołatany musiałbyś albo dumnemu wrogowi ulec, albo z rodzinnej Litwy, przodków twoich puścizny, ustąpić! Skoro jednak złączyłeś się wiarą z Polakami, skoro ich potęgą ciebie wsparła, wnet nową dzielnością zakwitłeś i ościenni Krzyżacy, niegdyś postrach twojego kraju, skutkiem świeżej z Polakami przyjaźni wzajemnie drżeć przed tobą poczęli! Złamawszy i rozgromiwszy ich wojska w mnogich bitwach, państwo twoje aż do Morza Czarnego i Donu, prawie do ostatnich granic północy przy pomocy Polaków walczących pod twoimi znakami posunąłeś! Te powodzenia jątrzą zazdrość Zygmunta, dręczy go twoje szczęście, bo jasno widzi, że z przymierza z Polską dla ciebie się wzięło. Wstrząsnąwszy zbawienny związek łączący obydwie narody, usułuje

wstrzymać nieprzerwany bieg twoich zwycięstw, a więc pragnie za naszą niezgodą krzyżackie siły, teraz tak upokorzone, do dawnego przywrócić blasku! Czyż dotąd wrodzonej chytrności Zygmunta jeszcze nie poznałeś? Wtenczas właśnie jak najmniej ufać mu należy, kiedy się najwięcej przymiła. Dosyć chwały zjednałeś sobie wielkością dokonanych przewag, abyś miał żądać korony, a jeśli tak gorąco chcesz uwieńczyć nią swoje skronie, Czesi oddadzą tobie i królestwo swoje, i koronę! Oddał więc od siebie tę myśl, niezwykły książe! Nie chciej od przymierza tak dojrzałą rozważną zawartego odrywać się i odstępować od królestwa polskiego, z którym jedność i braterstwo doprowadziło cię do takiej wielkości! Jeśli inaczej postąpisz, złudzony ponętami Zygmunta, lękaj się, abyś wkrótce mniej rozważnego przedsięwzięcia nie żałował! Ja wobec wszystkich głośno oświadczam, że na twoje niestusne żądania zgodzić się nie chciałem i nie chcę, i owszem, ile ze mnie będzie, pracować nie przestanę, aby Rzeczpospolita Polska z tej nowości żadnego uszczerbku nie poniosła.”²¹

Nienawykły do tak otwartego i ostrego oporu Witold poczerwieniał na twarzy, ale nic nie mówił, bo z kolei podniósł się krakowski wojewoda Jan Tarnowski i w krótkim, ale równie stanowczym przemówieniu poparł biskupa Zbigniewa.

Dopiero wtedy książę porwał się z miejsca i rzucił gniewnie:

— Jeśli tak postanowię, dokonam tego nie bacząc na wasz opór!

Z tymi słowami ruszył ku drzwiom.

Pozostali w zmartwieniu i wręcz rozterce panowie z królewskiej Rady postanowili po krótkiej debacie natychmiast udać się do króla, oznajmić mu swoją odmowę i żądać natychmiastowego przerwania wszelkich dalszych rozmów na temat koronacji.

Kiedy więc starzec zasiadł na swym królewskim miejscu, ponownie wystąpił biskup Oleśnicki i w stanowczym tonie domagał się wyraźnego i zdecydowanego odrzucenia cesarskiej propozycji, grożącej oderwaniem Litwy i skazaniem obydwu krajów, jeśli nawet nie na wojnę między sobą, to samotne stawanie przed połączonymi siłami nieprzyjaciół. Wskazywał przy tym, że to właśnie jest celem Zygmuntovej intrygi, którą przejrzyć nietrudno, i wyrażenie przez króla zgody na koronację jest tym samym, co założeniem sobie powroza na szyję.

21 — Tamże, s. 72.

Król, oparty głowę na ręce, w milczeniu wysłuchał przemówienia, po czym, odczekawszy chwilę, widać dla skupienia myśli przed odpowiedzią, odezwał się jak zwykle po rusku, kiedy sprawa, o której mówił, wymagała starannego doboru słów:

— Sądząc po stanowczości waszej, biskupie, wypowiedzi, mocno sprawę bierzecie do serca i tak, jakbym zgody już gotów był udzielić. Wszakże niczemu jeszcze nie postanowił i bez was nie postanowię, a jeśli by nawet i do tego przyszło, to tylko dobro naszego sojuszu i przyszłości obu krajów mając na względzie. Uśmiercie zatem swój niepokój. Jeszcze nieraz o tym radzić będziemy i sądzę, że przyjdziemy do zgody.

— Zgoda tylko na jedno być może, najjaśniejszy panie! — gwałtownie odpowiedział biskup. — Tylko na odrzucenie Zyguntowych zakusów, te bowiem są niczym innym, jak pułapką na nas zastawioną!

Czarny pomyślnie nawiązał kontakt ze wskazanymi przez księdza Andrzeja ludźmi i przy ich pomocy, a zwłaszcza piwnicznego Fiodora Tielegi, udało mu się sprzedać wino. Natomiast dla Rogoży zatrudnienie przy psiarni znalazł łowczy Obłucki, nawet rad, że będzie miał do pomocy godnego zaufania człowieka. Hubert uwinął się z tym szybko, by nie spóźnić się na spotkanie z Kachnerem. Natychmiast więc po wyprawieniu pod pieczęć Waśki pustych już wozów do Wilna, tylko z Rochem i pachotkiem do koni ruszył śpiesznie do Łucka.

Drogę przebył szczęśliwie, a że kwatery wolał nie mieć zbyt blisko zamku, by nie narazić się na przypadkowe rozpoznanie, więc mimo licznego zjazdu wkrótce ją znalazł. Nie wątpił, że Kachnera jeszcze zastanie, tak ze względu na umówione między nimi spotkanie, jak zresztą i zadania, jakie mu bez wątpienia poruczono do wypełnienia na miejscu.

Przypuszczał jednak, że poprzez dostawców książęcego dworu rychło go odszuka. Natomiast trudniejsze, ale konieczne było nawiązanie, i to w jak największej tajemnicy, kontaktu z księdzem Andrzejem.

Znalezienie Kachnera okazało się mniej trudne niż się spodziewał, gdyż już po kilku pytaniach wskazano mu gospodę, gdzie zamieszkiwał.

Wybrał się do niego w poobiedniej porze spodziewając się, że o tym czasie łatwiej go zastanie. Istotnie, siedział w jadalnej sali, w towarzystwie dwóch dostatnio odzianych mężczyzn, zapewne jak i on kupców, gdyż sporo ich przyciągnął tak liczny zjazd możnowładców.

Kachner dojrzał przybysza od razu i powitał skinieniem ręki, jednocześnie przywołując tym gestem do siebie. Kiedy Czarny zbliżył się do stołu, przywitał go jakby pożegnali się dopiero wczoraj:

— Rad jestem, mości Morzelec, że widzę cię w dobrym zdrowiu! Siadajże z nami, wnet będę wolny.

Kompani Kachnera widząc, że chce mówić z przybyłym na osobności, wkrótce ich pożegnali. Kiedy zostali sami, kupiec spytał z wyraźnym zaciekawieniem:

— Jakże powiodło się łaskawcy w Czernihowie? — Jednocześnie rozejrzał się nieznacznie i dorzucił: — Możemy pogadać i tu, siedzimy z dala od innych...

— Nie najgorzej... — odpowiedział Czarny ze znaczącym uśmiechem.

— Liczę na nową dostawę i nowych przyjaciół, których pozyskałem...

— To pięknie... — stwierdził zdawkowo Kachner, jakby ta wiadomość zbyt go nie interesowała. — Sądzę zatem, że chętnie wrócicie do naszej rozmowy sprzed rozstania?

— A wy nie, panie Kachner? — nieco ironicznie odpowiedział pytaniem Czarny.

Kachner obrócił ku niemu piegowatą twarz.

— *Coraz bardziej podobasz mi się, łaskawco! Porzućmy więc te gadki! Robimy spółkę czy nie?*

Czarny roześmiał się.

— *Przecież byliśmy co do tego zgodni! Nawet już poczyniłem w tym kierunku pewne starania. Pozostaje tylko ustalić warunki. Sądzę, że spisywać umowy nie będziemy, bo jako kupcy rozumiemy, na czym rzecz polega; tylko wzajemna rzetelność może zapewnić nam zyski.*

— *Dobrześ to, łaskawco, wywiódł. A więc jakie są te twoje warunki?*

— *Dostarczasz, waść, towar i opłacasz przewóz. Moim staraniem będzie otrzymać zamówienie i dowieźć go na miejsce.*

— *Jak będziemy dzielić zyski?*

— *Rzecz prosta: po połowie!*

— *Wówczas kiedy ja płacę za wszystko?*

— *Tak żeście proponowali! Wykładacie gotowiznę, a ja daję odbiorcę i trudzę się transportem! Jedno warte drugiego.*

Kachner opuścił głowę i w zamyśleniu zdawał się rozważać propozycję. Czarny, wiedząc, o co w gruncie rzeczy chodzi, był pewny, że zostanie przyjęta. Jakoż nie omylił się, gdyż kupiec uniósł po chwili twarz i rzucił jakby z wahaniem:

— *No cóż... Jest trochę słuszności w tym, co mówiliście. Niech tedy będzie — wyciągnął dłoń na znak zgody, dodając jednocześnie: — Ale pod jednym warunkiem...*

— *Jakim mianowicie...? — Czarny odwzajemnił uścisk dłoni.*

— *Chcę mieć na tamtejszym dworze człowieka, który by strzegł naszych interesów, a także pomagał wam. To sprytny i obrotny, jegomość, zresztą już go znacie. Mam na myśli Rufina.*

— *To ten o przezwisku Mnich?*

— *Tak. Gdyż parę lat przebywał w klasztorze. Stąd też czytać i pisać potrafi, a także jest biegły w rachunkach. Jednak porzucił klasztorne mury, by nieco świata obejrzeć, wojował też potem jako zaciężny.*

— *Czy na tyle zdobył wasze zaufanie, że chcecie powierzyć mu baczenie na sprawy naszej spółki?*

— *Wiele mi zawdzięcza, bo w biedzie go poratowałem i jak dotąd okazywał mi wdzięczność. Sądzę, że i nadal również mnie nie zawiedzie, zwłaszcza że płacę mu dobrze.*

— *No cóż, skoro go polecacie, sprzeciwić się nie myślę. A jeśli istotnie biegły jest w piśmie i rachunkach, może okazać się wielce nam przydatny... — Czarny starał się nie wyjść z roli ostrożnego kupca, tym bardziej że już uzyskał wyraźne potwierdzenie powodów, dla których Kachner zaproponował mu spółkę.*

Kiedy wybieracie się znów do kniazia? — zainteresował się kupiec. — Pytam o to, bo dobrze byłoby od razu wziąć ze sobą Rufina...

Czarny zastanawiał się chwilę, wreszcie zdecydował się.

— Zabawię tu jeszcze kilka dni, by nieco wytchnąć. Potem chciałbym wrócić do Wilna, gdyż tam kazałem czekać moim ludziom, i z nimi ruszyć do siebie. Wobec tego zmienię jednak ten zamiar i stąd udam się najpierw do Czernihowa, zabierając Rufina, i tam go zostawię.

Kachner wyciągnął chudą dłoń. — Gdzie mnie szukać, już wiecie, a gdzie w razie potrzeby was znajdę?

— Mam kwaterę u jednego z tutejszych płatnerzy, niejakiego Zięby. Mieszka o trzy domy od Mostowej Bramy...

Na zamku toczyły się ożywione narady, pracowali skrybowie i kanceliści, obradowali panowie, ale najbardziej trudziła się służba, i to nie tylko ta od dostarczania trunków i żywności czy też przygotowywania jej w kuchniach, nie tylko pokojowcy i służące, ale i zatrudniona przy stajniach, psich sforach oraz sokolnicy. Książ bowiem dbał nie tylko o wygody gości i dostatek jadła i napojów, ale również o ich rozrywki. Odbывały się więc polowania z psami lub sokołami, wszelkiego rodzaju zawody i turnieje, festyny i zabawy, a wieczorami podczas ucztowania tańczono przy dźwiękach kapeli.

Ksiądz Andrzej również nie próżnował, ale jego czynności daleko odbiegały od pracy innych. Nie okazywał nadmiaru ruchliwości ani nie krzątał się gorączkowo jak księżęcy dworzanie. Rzadko kiedy ukazywał się na zamkowych korytarzach, przemierzając je wsparty na lasce cicho i bez pośpiechu.

Okazało się, że zamierzenia, do którego sposobność dawał łucki zjazd, nie da się tak łatwo wykonać. Izby sypialne panów zakonnych znajdowały się istotnie na zamku, lecz na czas swojej nieobecności — kiedy to szli na narady lub ucztowali — pozostawiali je pod pieczę strażnika. Bardzo utrudniało to proboszczowi zadanie, gdyż był przekonany, że tylko tam musi znajdować się pas, którego klamra tak go interesowała.

Dowiedziawszy się o owym dozorze, proboszcz przywołał Jaksę i odbył z nim naradę. Skutkiem niej Tomek dostał polecenie, z którego wywiązał się i dobrze, i szybko. Jeszcze tego samego dnia zgłosił, że odpowiednią dziewczynę znalazł, która, jak powiedział: „szelma przebiegła, na gębie krasna i w sobie mięsista, a także chętna do usługi, bo na grosz łasa...”

Następnego więc wieczoru, wkrótce po tym, jak panowie zakonni rycerze ruszyli na codzienną biesiadę, do drzwi ich komnaty rozległo się lekkie pukanie.

Młody knecht, który na w pół drzemał rozparty w jednym z foteli, ocknął się i zerwał na nogi.

— A tam kto?!

— To ja... — rozległ się dziewczęcy głos i drzwi uchyliły się. — Służę tu, na zamku, pian ochmistrz widząc, że sami tu siedzicie, przykazał przynieść garnuszek miodu i nieco mięsiva.

Pachołek zmierzył dziewczynę zaciekawionym wzrokiem, dostrzegając utkwione w siebie spojrzenie dwojga błyszczących, ciemnych oczu w których drgały wesołe błyski. Z kolei ocenił ponętą krągłość bioder, i piersi, nie całkowicie zakrytej stanikiem.

— Jużem po wieczerzy... — odpowiedział, podchodząc do dziewczyny. Ta jednak nie cofnęła się, jakby chętna temu zbliżeniu.

— Jednak nieco miodu chyba nie zawadzi?

Knecht z kolei spojrzał na trzymany przez służebną garnuszek.

— Tyle na pewno nie, bo za dużo go nie masz! — roześmiał się wyciągając rękę. Ale zamiast, naczyńia, ujął dziewczynę za dłoń.

— Z ręki przecie pić nie będziecie! — rzuciła z uśmiechem.

— Ale taka rączka słodsza mi od miodu...

— Zbyt śmieje sobie, panie, poczynacie — służebna opuściła wzrok, okazując skonfundowanie.

Pachołek odebrał garnek i wychylił go duszkiem.

— Przedni miód — mlasnął z uznaniem. — Szkoda, że ochmistrz go poskąpił! — obrócił się do dziewczyny. Ta zerknęła na niego spod rzęs.

— Mielibyście ochotę na więcej?

— Pewnie, że miałbym!

— No to może... — urwała dorzucając: — Musi się wam przykrzyć siedzieć tu samemu...

— Pewnie, że wesole nie jest, ale tak mi przykazano! Toteż cieszyłbym się, gdyby waćpanna nieco mnie rozweseliła...

Podszedł do dziewczyny i bezceremonialnie objął jej ramiona. Na chwilę przytuliła się do niego, ale zaraz usiłowała uwolnić z uścisku. Wszakże trzymał ją mocno albo też usiłowanie to nie było zbyt zdecydowane, bo nadal przyciskając ją do siebie, drugą ręką sięgnął ku piersi.

— No, przestań, acan... — szepnęła, ale bronić się nie próbowała.

— Jak ci, pięknotko, na imię?

— Werka... A tobie?

— Hans... — szepnęła, jednocześnie próbując dosięgnąć jej ust.

Nie miał z tym dużych trudności, toteż rzucił wkrótce zduszonym głosem:

— Chodź na łożo...

— Nie... Tu nie... — szepnęła. — Boję się, że ktoś nas przytłapie. Chodź raczej do mnie, mam izdebkę zaraz za rogiem korytarza...

— Ale... — zawahał się. — Jakby nadszedł któryś z panów rycerzy?

— Oni uczują i ani im to w głowie — otarła się biodrem o pacholka.

— Mam też ukryty gąsiorek z miodem, więcej w nim niż w tym kubku...

Knecht, ogarnięty pożądaniem, zdecydował się:

— Tedy prowadź, pójdziemy poigrać...

Jeszcze tego samego wieczoru Jaksa wręczył księdzu Andrzejowi kawałek wilgotnej gliny z wyraźnie odbitym rysunkiem.

— Nawet niezbyt przemyślnie był ukryty, bo wetknął go tylko w słomę siennika i nakrył prześcieradłem.

— Który z nich?

— *Mimpolgart, wasza wielebność.*

— *Sam przecież nie jeździ... Zapewne więc pas trzyma u siebie i daje go w razie potrzeby. Stąd należy sądzić, że nie ma stałych łączników.*

— *Przez ostrożność — zauważył Jaksą. — Ten sam mógłby wpaść w oko!*

Proboszcz, już w milczeniu, skinął głową.

OWE NOCNE BIESIADY i późna pora udawania się na spoczynek nie utrudniały księciu Witoldowi porannego wstawania, był do tego nawykły dzięki swej czynnej naturze, tym bardziej że trunków nie używał.

Inne natomiast upodobania miał król Władysław, przez całe życie nieskory do wczesnego opuszczania łoża z wyjątkiem pory polowań czy wojennych wypraw. Bardziej bowiem będąc leniwym, lubił dłużej pozostawać w pościeli.

Dlatego już rankiem księżę Witold przychodził do królewskiej sypialni na poufne narady, niezbyt się licząc z tym upodobaniem swego stryjecznego brata. Dzielili się wówczas spostrzeżeniami z ubiegłego dnia, wymieniali poglądy czy też, w razie potrzeby, ustalali dalsze działania. Było to zresztą zgodne z dawnym zwyczajem w ich wzajemnych stosunkach.

Kiedy tego dnia wielki księżę udawał się do królewskiej komnaty położonej w tej samej części zamku, gdzie znajdowała się również sypialnia cesarska, spotkał na korytarzu jego samego, i to w towarzystwie małżonki. Odniosł przy tym wrażenie, że Zygmunt umyślnie na niego oczekiwał, gdyż powitał go przyjaźnie, nie okazując bynajmniej zdziwienia.

Może jednak lepiej będzie, jeśli autor porzuci tu swoją własną relację, gdyż czytelnikowi wydać się może dziwne czy też nawet przesadne

ukazywanie tak swobodnego i, rzec można, zupełnie poufatego zachowania się wobec siebie bądź co bądź najpotężniejszych w ówczesnej Europie władców. Dlatego też, wybiegając nieco w przyszłość, oddaję głos samemu księciu Witoldowi, który w liście z 17 lutego tegoż roku, już po dalszych wydarzeniach, tak m. in. pisał do Jagiełły;

„...Na drugi dzień rano, gdyśmy jak zwykle przechodzili do W. kr. Mości, wyszedł naprzeciw nas król rzymski z małżonką, u drzwi na stopniu stojąc, którądyśmy iść mieli i gdzie nas oczekiwali, i rzekł nam: «Był u nas z nocą król polski, z którym mówiliśmy o tej sprawie, na co on się zgodził» dodając: — «Chodźmy do niego razem z królową!» I tak też uczyniliśmy. Gdy zaś do Was przyszliśmy .do sypialni, zaczął król rzymski o sprawie z W. kr. Mością mówić, przypominając wczorajszą rozmowę, Wasza kr. Mość wtedy zaraz odpowiedziałeś, że zgadzasz się na to i cieszysz się z tego. My wszakże do Was rzekliśmy po litewsku: «Królu Panie, nie spiesz się w takiej sprawie, zasięgnijmy najpierw o tym zdania prałatów i baronów Waszych, a my tak samo uczynimy». Na co Wy znowu orzekliście, że zgadzacie się i cieszyacie, a nawet bardzo jesteście z tego zadowoleni, za co też król rzymski ze swą małżonką W. kr. Mości dziękował. I tak od Was odeszliśmy, właśnie gdy prałaci i baronowie, senatorowie Wasi do Was na radę wchodzili. My zaś także z naszymi poszliśmy na naradę, skąd senatorowie Wasi nas do siebie wywołali. Gdyśmy do nich przyszli, zaraz zaczęli się ostro sprzeciwiać i gorąco nalegać, abyśmy tego nie czynili. Co widząc księżęta i baronowie nasi sprzeczekali się z nimi słowami, my zaś śmiejąc się, nakazywaliśmy naszym milczenie.

*Wreszcie wyszedłszy od nich przyszliśmy do W. kr. Mości opowiadając Wam, jak to Wasi senatorowie sprzeciwiali się tej sprawie i nie chcą nam tego przyznać, Wam za to, żeście się nie sprzeciwiali, ale zgodzili, gorące składaliśmy dzięki, chociaż nigdy nam na myśl nie przyszło chcieć to uczynić...”*22

Wprawdzie pisał wielki książę o gorących podziękowaniach za królewską zgodę, ale wówczas był jeszcze daleki od powzięcia ostatecznej decyzji. Zdawał sobie bowiem sprawę z pobudek postępowania Jagiełły, ale także z faktu, że był to już mocno posunięty w latach starzec, który w dużej mierze

22 — A. Lewicki, Świdrygiełło, s. 34.

stracił uprzednią bystrość umysłu, nie dostrzega więc niebezpieczeństwa, a wciąż uparcie trzyma się uprzednio powziętego zamiaru.

Toteż jeszcze w trzy tygodnie po zjeździe, bo 18 lutego, pisał cesarz do wielkiego mistrza, że nadal oczekuje zgody Witolda na przyjęcie korony. Zgody tej nie uzyskał zresztą jeszcze i w połowie kwietnia. Sprzeciw Rady królewskiej, o którym wielki książę tylko wspominał w swym piśmie, był o wiele gwałtowniejszy, niżby to można było sądzić z tej wzmianki. Oponenci z obu kanclerzami na czele, tak Oleśnickim, jak i Oporowskim, popierani gorąco przez wielu innych, kategorycznie odmówili zgody na koronację, słusznie uznając to za złamanie horodelskiej unii.

Żądali więc cofnięcia udzielonej zgody; mimo to Jagiełło, chociaż zaskoczony gwałtownością tej reakcji, unikał zdecydowanej odpowiedzi. Ale nie stawiał również dostatecznie twardego oporu, co wskazywało, że zaczął się wahać. Poczęto zatem mieć nadzieję, że zachowanie dalszej stanowczości sprawę ostatecznie utraci.

Dla wywarcia tym większego nacisku zapadło postanowienie natychmiastowego zerwania dalszych rozmów z cesarzem i opuszczenia Łucka. Gdyby jednak król nie zgodził się z tą decyzją, Rada uchwaliła uczynić to bez niego. Odrzucenie tego żądania i pozostanie na miejscu mogło stać się niebezpieczne dla jego korony, toteż Jagiełło poczuł się zmuszony ulec postanowieniu swoich doradców.

Nie zwlekając rozkazano służbie ładować wozy i już następnego dnia co znaczniejsi polscy panowie opuścili Łuck, ostentacyjnie nie żegnając nikogo. Król zaś. by uniknąć zaostrzenia sytuacji, a zwłaszcza rozdrażnienia litewskich panów, postanowił wyjechać nocą, udając się najpierw do Chełma, a potem do Lubomli.

Mimo wrażenia, jakie wywarła, była to ze strony Rady królewskiej decyzja błędna, spowodowana zbytnią zapalczywością, gdyż w ten sposób pozostawiała Witolda samego wobec dalszych zabiegów Zygmunta, pozbawiając się możliwości przeciwdziałania jego naleganiom.

Niestety, nie był to błąd ostatni, bo znacznie gorszy popełnił wicekanclerz Oporowski wysyłając do cesarza pochopnie zrehabilitowane orędzie królewskie, w którym Władysław wycofywał udzieloną zgodę. Orędzie to doręczyli Zygmunтови w Łańcucie, już w czasie jego powrotnej drogi, królewski marszałek Domarat i podkomorzy Mężyk z Dąbrowy.

Waśka odszukał Jakse, zaś dopiero ten zgłosił księdzu Andrzejowi j Przybycie Huberta, jak i jego prośbę o spotkanie. Następnej więc nocy proboszcz przybył osobiście na kwaterę Czarnego, uznawszy widać, że jego pojawienie się na zamku mogłoby pociągnąć za sobą zgubne skutki. Towarzyszył mu Jaksza, służąc jednocześnie za przewodnika i ochronę w czasie nocnej wędrówki przez ciemne zaułki uspiętego miasta.

Nastąpiła pora silnych mrozów, toteż ksiądz Andrzej po wejściu do izby oświetlonej latarnią najpierw strząsnął z obuwia śnieg, potem zsunął futrzany kaptur i dopiero wówczas usiadł na podsunętym zydłu.

Roch zakrzętnął się koło ognia, już przygasającego na palenisku chlebowego pieca. Płomienie wkrótce objęły podrzycone szczapy wspomagając światło latarni swym czerwonym blaskiem i przydając jednocześnie pomieszczeniu ciepła. Proboszcz odstawił więc laskę, rozpiął szubę i rozchyliwszy ją, spojrział na Czarnego i zapytał wprost:

— Jak ci poszło u Świdrygiełły?

— Bez większych trudności. I piwniczy, i łowczy wielce mi byli pomocni...

— A jak z Rogożą? Dostał się na służbę?

— Od razu. Oblucki powierzył mu pieczę nad gończymi.

— A ów list?

— Doręczyłem, jak mi przykazano.

— O ile pamiętam, jakiemuś dworakowi? Co to za człowiek?

— Zwie się Iwan Siemaszko i jest powiernikiem marszałka dworu. Mało ogłodzony, pewny siebie brodacz, wyraźnie dumny z łaski, jaką zda się cieszyć u marszałka. Potraktował mnie jak byle pachotka, alem zmilczał, by nie robić sobie zeń wroga.

— I słusznie. Otrzymałeś nowe zlecenie?

— Nie, ale Tielega obiecał, że dostanę.

— To dobrze, bo Kachner będzie chętniejszy do spółki.

— Już ją zawarliśmy, ale postawił warunek: mam umieścić na tamtejszym dworze Rufina.

Ksiądz Andrzej zmarszczył brwi.

— Hm... — mruknął. — Działa więc szybko. Czym to żądanie tłumaczył?

— Potrzebą posiadania na miejscu człowieka, który by strzegł interesów naszej spółki, zwłaszcza w czasie mojej nieobecności. Starł się przy tym przekonać mnie, że ów były mnich dobrze spełni to zadanie.

— No cóż... Pozornie bardzo rozsądne, w rzeczywistości nader chytre. Będziesz więc musiał dać nadzór temu dozorczy... — proboszcz uśmiechnął się.

— Poruczę go opiece Rogoży. Powinien dać sobie z tym radę.

— Kiedy chcesz jechać z owym Rufinem?

— W najbliższym czasie, gdyż grodzieński starosta czeka na moje przybycie. Zwłaszcza jeśli uznacie, że należy dać mu owe bombardy o które pytał.

— Już o tym mówiłem z panem Cebulką. Dla utrzymania stosunków ze starostą byłoby dobrze, żebyś je dostarczył, wszakże nie cztery, jak tego chciał, a dwie. Niech mu one wystarczą do spełnienia zamierzeń, które w ten sposób łatwiej może poznamy. Zaś co do wyjazdu, wstrzymaj się jeszcze parę dni. Możesz okazać się tu pomocny.

— Nie będę miał potem czasu na znalezienie bombard... A prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, gdzie ich szukać...

— zatroskał się Hubert.

— O to się nie trap. Z pskowskiej wyprawy książ przywiódł ich sporo. Polecenie do zbrojowni dostaniesz, a pieniądze ze sprzedaży użyjesz na dalsze potrzeby.

— W najbliższym więc czasie roboty mi nie zbraknie! Nieprędko Una mnie zobaczy!

— Musi być cierpliwa, bo istotnie pracy będziesz miał więcej niż sądzisz! Obecnie nastąpiły wypadki o skutkach trudnych do przewidzenia. Zapewne już ci wiadomo, że polscy panowie rankiem opuszczają miasto, natomiast król jegomość — o czym jeszcze nikt nie wie — ruszy za nimi nocą..

— A rzymski cesarz i wielki książę?!

— Ci pozostają. Dlatego sądzę, że ten wyjazd spowodowała gorąca pochopność, a nie zimna rozwaga, gdyż w ten sposób ułatwili cesarzowi dojście do porozumienia z Witoldem.

— A wy, wasza wielbność? Czy pozostajecie tu wraz z kniazem? Boć przecież i kanclerz Cebulka także chyba nie wyjedzie?

— W sytuacji, jaka powstała, pan Cebulka chce, abym raczej towarzyszył królewskiemu dworowi, gdyż tak jak i królewska Rada, jest przeciwny koronacji, mógłbym więc działać w tym duchu. Dlatego też uzyskał zgodę pana Oporowskiego na przyjęcie mnie do jego kancelarii. Muszę więc zmienić dotychczasowe zamiary, tobie pozostawiając troskę o bezpieczeństwo litewskiego dworu. Będziesz odtąd podlegał tylko panu Cebulce i działał podług jego wskazań. Do pomocy pozostawię ci Rocha i Waškę, o innych postarasz się w razie potrzeby na miejscu. Ja natomiast zabiorę Jaksię, Lecha i Tomka, jako ludzi, którym mogę zaufać, boć przecież pozostaną tu jeszcze przez kilka dni.

— Cóż się wszakże takiego stało, że król jegomość tak nagle opuszcza Łuck, a i panowie Rada także?

— Zgodził się na koronację Witolda, czemu nasi panowie są przeciwni, słusznie zresztą uważając to za zerwanie unii.

— Jakże król jegomość mógł na to przystać?! Czyżby tego nie rozumiał?! — nieomal wykrzyknął Hubert, zdumiony tą wiadomością.

Książd Andrzej zapatrzył się w tańczące na palenisku płomienie i odpowiedział dopiero po chwili:

Główną przyczynę widzę w jego podeszłym wieku. Toć to przecie już starzec, który mało co już widząc wzrokiem, także już nie wszystko obejmuje myślą.. Jednak umiłowanie Litwy pozostało mu w sercu z lat młodości i wiek jej nie przygasił. Dlatego pragnie wywyższenia ojczystego kraju; rozpala mu serce myśl, że będzie królestwem, równym w znaczeniu Polsce, która obecnie w tym przymierzu objęła przywództwo, wprawdzie dzięki jego osobie, ale właściwie dlatego, że jest władcą koronowanym! A przy tym pojawiła się groźba utraty praw dziedzicznych do Litwy dla swego potomstwa, wobec coraz, liczniejszych zwolenników wolnej elekcji... Toteż może głównie dlatego poszedł za syrenim śpiewem Zygmunta i dał się skusić owej chytrej przynęcie, jaką podsunął i jemu, i Witoldowi niemiecki cesarz...

Książd Andrzej zamilkł jakby nadal snując dalszy tok myśli, ale ocknął się po chwili i rzucił już z uśmiechem:

I właśnie ten obrót sprawy zmusza pana Cebulkę do zmiany dotychczasowych planów. Dlatego życzy sobie, abym przynajmniej na razie przebywał na królewskim dworze, ty więc musisz objąć pieczę nad poczynaniami naszych przeciwników na Litwie... A teraz jeszcze jedno. Otóż

wiemy już, jak wygląda owa klamra spinająca pas wysłanników Zakonu. Jest to wizerunek sowej głowy wykonany w złocie z topazami w miejsce oczu. Polecę sporządzić podobną, bo zdobyliśmy również jej odcisk. Może więc się zdarzyć, że ujrzysz taką klamrę, ale będzie ją miał nie zakonny, a nasz wysłannik. Dlatego ustaliam hasło, po którym będziesz mógł ich rozoznać. Rzucisz jako pierwszy, i to wrogo: „Strzeż się po trzykroć, jeśli prawdy nie mówisz!” Na co winna paść odpowiedź: „Boga strzec się muszę, nie ciebie!”

Ksiądz Andrzej ujął laskę i wstał z zydła.

— *Spamiętaj dobrze te słowa... — upomniał jeszcze, po czym dorzucił zapinając szubę: Dalszych wskazówek w razie potrzeby udzieli ci Jaksza. Dawaj też baczenie na Kachnera... No, ostań z Bogiem...*

Dopiero orędzie doręczone cesarzowi 6 lutego w Łańcucie rozpało groźny pożar, który omal nie ogarnął wojenną pożogą obu połączonych dotąd krajów.

Zawierało ono następującą treść:

„Przypominamy sobie mowę i słowa, któreście nam, panie bracie, świeżo w Łucku przedstawili w sprawie korony i dyadematu królewskiego, którym brata naszego Aleksandra, wielkiego księcia i kraj litewski chcielibyście ozdobić. Jakkolwiek to nam bardzo się podobało, to jednak stamtąd się oddaliwszy i rzecz tę z senatorami naszymi poufnie rozważywszy, nabyliśmy przekonania, że koronacja taka nic dobrego przynieść nie może, owszem, obawiać się trzeba, że jeżeliby przysła do skutku, kraje nasze, polskie i litewskie, w zamieszanie, wojny, waśnie i szkody zapaść by mogły, które potem tylko z wielką trudnością uśmierzyć by się dały. Także zapisy, unie i przymierza, które między obu krajami a nami są zawarte, przez to, by rozwiązane i zerwane być mogły, a nadto baronowie i mieszkańcy Litwy, ufając w to znaczenie i honor, mogliby się ośmielić po śmierci brata naszego przereczonego, co nie daj Boże, któremu byśmy takiego zaszczytu i każdego innego zaszczytu najchętniej przychyliłi, wybrać sobie króla samowolnie, bez udziału baronów królestwa polskiego, co by jednak otwarcie dążyło przeciw zapisom naszym, w których wyraźnie zastrzeżono, że w razie wakansu czy Polski, czy Litwy baronowie kraju jednego bynajmniej nie mogą przystępować do wyboru króla swego lub księcia tylko za zgodą baronów kraju drugiego. Posiada też rzeczony brat nasz, wielki książę, wiele dziedzicznych ziem naszych jako dożywocie, których byśmy mu nie chcieli odbierać, które także w

razie takiej koronacji mogłyby być od nas i od Korony naszej polskiej oderwane. Dlatego, bracie najdroższy, prosimy Was najmocniej, nawet wzywamy i upominamy na mocy zapisów, przysięg i przymierzy, między nami nawzajem zawartych, ażebyście w tej sprawie chcieli nasze i synów naszych, i królestwa naszego dobro i pożytek dojrzałe rozważyć i uwzględnić warunki i straszliwe następstwa, których, co nie daj Boże, prawdopodobnie obawiać się trzeba, i tego zamiaru zaniechać, dla uniknięcia zgorszeń podobnych”.²³

Czarny i bez polecenia proboszcza utrzymywał z Kachnerem kontakt odwiedzając go w oberży, nie za często jednak, by nie zwróciło to jego uwagi. Zdarzyło się też, że i kupiec zaszedł na jego kwaterę, co pozornie nie było niczym dziwnym między współnikami.

W czasie ostatniej swojej bytności Hubert ujrzał przed oberżą parę wierzchowców i pilnującego je pachotka. Kachnera zaś zastał w towarzystwie mężczyzny odzianego w futrzany kubrak pokryty dobrym wiśniowym sukmem i ściągnięty pasem ze srebrnych blach, u którego zwiisał mieczyk tkwiący w pochwie wysadzanej kosztownymi kamieniami. Także i futrzany kołpak leżący na stole obok kielichów zdobiła bogata skofia. Dostatni ubiór zdradzał, że był to jakowyś generosus pełniący znaczny urząd, co zdawały się potwierdzać buty i pełna pewności siebie oblicze.

Czarny, znając obyczaje kupieckie, tylko z daleka gestem pozdrowił Kachnera i usiadł przy osobnym stole. Nieznajomy obrzucił go obojętnym, pobieżnym spojrzeniem, nie czyniąc przerwy w rozmowie. Wkrótce jednak zakończył ją i ruszył do wyjścia, Kachner zaś przysiadł do Huberta.

— *No, wreszcie sobie poszedł, możemy pogadać... — zaczął.*

— *Przybył sumitować się, że na czas nie zapłaci należności? — z domyślnym uśmiechem spytał Czarny.*

— *Nie, dopiero zabiega o pożyczkę. Ale nic z tego nie będzie, bo zastaw daje za lichy.*

— Sądząc z wyglądu, to jakowyś książęcy dworzanin albo i zgoła dygnitarz... — zauważył od niechcenia Hubert.

Kachner ograniczył się jednak tylko do machnięcia dłonią i zdawkowej uwagi:

— E tam, szkoda gadać...

23 — Tamże, s. 36.

Ta niemal lekceważąca wzmianka dotycząca przybysza, który ani ubiorem, ani dumnym zachowaniem na to zdawał się nie zasługiwać, zwróciła uwagę Czarnego, ale zaczął mówić o czymś innym, jakby uważając ten temat za niegodny większego zainteresowania.

Jednak jeszcze tego samego dnia spotkał się z Jaksą i, opisawszy mu dokładnie ubiór i postać nieznanego, prosił, by dowiedział się, kto też to mógł być?

— Sądziś, że wart naszej uwagi? — Rudy wyraźnie nie był skory do zdobywania wiadomości. Wyjaśnił to zresztą od razu: — Za szczupłą mam pomoc do podejmowania nowych zadań, a to nie wydaje mi się konieczne. Z iloma to różnymi ludźmi gadają kupcy?

— Ale z kim gada Kachner, muszę wiedzieć. Tym bardziej że ten wyglądał mi na znaczniejszą osobę.

— No dobrze, zajmę się nim sam.

— Tak będzie najlepiej — Czarny uśmiechnął się do szwagra.

— Przynajmniej nie będę długo czekał na wiadomość!

— Schlebiasz mi, lisie? Niech ci będzie, postaram się uwinąć z tym do wieczora, gdyż jeśli to istotnie ktoś znaczniejszy, sprawa nie będzie trudna. Czekaj tu na mnie o późnym zmroku.

W razie potrzeby spotykali się w specjalnie wynajętej do tego celu izdebce, na zapleczu żydowskiego sklepu z rybami. Wprawdzie śmierdziało w niej mocno, ale miejsce było ruchliwe, toteż łatwo można było się przemknąć bez zwracania na siebie uwagi.

Cierpliwość Huberta nie była narażona na zbyt uciążliwą próbę, gdyż wkrótce po jego przybyciu zjawił się i Rudy.

— Chyba wiem, o kogo chodzi — zaczął już od progu. — Bo i postać zgodna z twoim opisem, i ubiór miał ten sam... — dorzucił przysiadając do koślawego stołu, przy którym ulokował się Czarny.

— Któż to zatem był?

— Starosta nieszawski, Tumigrało, herbu Wczele. Domyślam się także, czego chciał od Kachnera, bo chyba to on miał do kupca interes, a nie na odwrót.

— Kachner wspomniał coś o pożyczce... Czyżby o to chodziło?

— No właśnie! Mości pan starosta jest w pieniężnych kłopotach, bo nawet z opłatami za starostwo zalega od dwóch lat, a i miejscowi kupcy

mocno go gniołtą. Stąd szuka zapewne ratunku. Zresztą od razu dziwnym mi się wydało, że za dnia i zbytnio nie skrywając odwiedzin przybył do Kachnera. Gdyby coś innego za tym się kryło, o tej porze byś go nie obaczył!

— Nie mogę odmówić słuszności temu, co mówisz — zgodził się Czarny, jednak zaraz dorzucił: — Tak zapewne jest, ale skoro udał się z tym właśnie do Kachnera, to albo go ktoś umyślnie skierował, albo nawet jeśli sam

trafił, to wybrał dobrze, bo Kachner pożyczki mu nie odmówi, choć mnie gadał inaczej. A nie odmówi dlatego, gdyż ma okazję kupić nie byle kogo, bo starostę ziemi leżącej nad krzyżacką granicą! Zechciej wziąć to pod uwagę.

— A niech to lichy! — zaklął Jaksę. — A więc mamy nowego klienta do obsługi!

— I to bacznej! W najbliższych dniach sprawę musimy wyjaśnić, gdyż rychło i pozostali nasi panowie zaczną się rozjeżdżać. Jeżeli zaś starosta da się Kachnerowi przekupić, to spotykać się za dnia już nie będą!

Ostatecznie ustalili, że nad Kachnerem nadal ma czuwać Czarny, starostę zaś Jaksę powierzy swoim ludziom, których powiadomi jednak o tym współdziałaniu.

Na zamku nadal trwały rozmowy, ale już tylko pomiędzy cesarzem a wielkim księciem. Nie były jednak przez to mniej ożywione czy rzadsze. Przeciwnie, korzystając z nieobecności Jagiełły i większości jego dworu, Zygmunt wyraźnie starał się jeszcze bardziej zacieśnić Przyjacielskie stosunki z Witoldem. Wykorzystywał więc każdą okazję ku temu, nie opuszczając urządzanych polowań, zabaw czy wieczorach biesiad. Nie krył się też wobec towarzyszących im dworaków z roztaczanymi przed kniazem pokusami przyszłości, wspaniałej chwały i wielkości Litwy po jego koronacji, połączonej więzami przyjaźni z Cesarstwem i Zakonem, które będą wiernie przy nim stały, udzielając pomocy w każdej potrzebie. Nie Litwa, a Polska zabiegać wówczas będzie o utrzymanie dobrych sąsiedzkich stosunków i on będzie dyktował warunki współżycia. Tak silnego mocarstwa nie śmie też ruszyć ani Tatar, ani Moskwa, a przeciwnie, będą zmuszeni ugiąć się przed jego potęgą.

Wielki książę zdawał się z upodobaniem wysłuchiwać tych opisów obrazów roztaczanych przed nim przez Zygmunta, znanego z fantazjowania, jak i umiejętności przekonywania. Jednak nie zajmował zdecydowanego stanowiska, wyraźnie unikając udzielenia konkretnej odpowiedzi. Gniewało to

cesarza, nie okazywał jednak po sobie rozdrażnienia tą książęcą powściągliwością, a przeciwnie, tym usilniej starał się okazywać serdeczność i tym bardziej kuszące składał obietnice.

Wszakże do dalszego przedłużania rozmów było coraz mniej powodów, bo wszystko zostało już powiedziane, prócz ostatniego książęcego słowa. Zjazd miał się ku końcowi, więc oba dwory oraz inni zaproszeni goście zaczęli pakować toboły.

Podczas dotychczasowych rozrywek towarzyszących toczącym się obradom tylko niekiedy udawało się Lechowi spotkać Olgę. On wciąż był zajęty poleceniami swego wuja, ona zaś także obarczona obowiązkami, a przy tym bacznie pilnowana przez czujną panią Nienuszkę, tylko z trudnością i przy rzadkich okazjach mogła się wymknąć spod jej opieki. Wówczas przez krótką chwilę mogli zamienić kilka słów i bodaj uścisnąć sobie ręce. Tylko parę razy udało się im znaleźć okazję i zaciszny kąt, by nieco dłużej, a także goręcej zapewnić się o wzajemnym miłowaniu, wymieniać przysięgi wierności, no i co tu ukrywać, gorące pocałunki, od których obojgu kręciło się w głowach, gdy usta nie chciały się rozdzielić.

Żyli wszakże nadzieją, że wkrótce ów gwarny zjazd się skończy, a kiedy powrócą na wileński dwór, znów będą mogli spotykać się jak wprzód i cieszyć sobą częściej niż teraz. Nie wiedzieli jednak, że los inaczej pokieruje ich drogami i nie pozwoli im zobaczyć się tak rychło.

Przyczyną tej odmiany nie był jednak urodziwy mężczyzna, którego kilka dni przed odjazdem Olga spotkała na zamkowym korytarzu. Chociaż i on wziął udział w wydarzeniach, jakie zaszły w tym czasie.

Kiedy stanął przed nią zagradzając przejście, zatrzymała się i zmierzyła go zdziwionym spojrzeniem. Ujrzała przed sobą wysoką, zgrabną postać z twarzą o regularnych, przyjemnych rysach, z jasnymi włosami i piwnymi oczami o kpiącym spojrzeniu.

— Witam piękną Juno! — zagadnął ją z uśmiechem. — Już od pierwszych dni pragnęłam waćpannę poznać, ku czemu jednak psotliwy amor sposobności nie dawał! Wszakże, choć zwlekał, zajrząwszy w me serce, stał się przychylniejszy!

— Nie znam waćpana... — z zażenowaniem rzuciła dziewczyna, rozglądając się bezradnie dookoła, ale przechodzący dworzanie nie zwracali na nich uwagi, natomiast młody mężczyzna odezwał się beztrząsco:

— Doprawdy? Sądziłem, że wiesz, kim jestem, bo już dłuższy czas przebywam jako gość na królewskim dworze, gdyż miłościwy pan rad mnie widzi i okazuje swą przychylność. Jam Henryk, bratanek księcia Konrada, wrocławskiego biskupa!

— Miło mi poznać waszą wysokość, ale proszę ustąpić mi drogi, bo w służbę księżnej pani pośpieszam!

— Nie ma pilniejszej sprawy nad tę, abym waćpannę poznał, nie złożył słów podziwu dla jej piękności! Skoro tylko cię ujrzałem, pragnęłam ci to powiedzieć i ubłagać, abys mi zezwoliła starać się o twą przychylność!

Olga zarumieniła się i rzuciła ze ściągniętymi brwiami:

— Śmiało, wasza wysokość, mówisz! Nie zwykłam darzyć przychylnością każdego, kto o nią prosi!

— Ale są tacy, dla których robisz wyjątki! — już z rozdrażnieniem rzucił Henryk. — Przyglądałem się waćpannie i nieco dostrzegłem!

— Wyjątków nie robię, ale mili mi są tylko ci, których sama wybieram!

Młody książę pojął, że obrał niewłaściwą drogę, toteż natychmiast zmienił ton rozmowy.

— Proszę, nie miej mi za złe tych może zbyt szczerych słów — rzucił przepaszająco. — Nie było moim zamiarem urazić waćpanny. Ale tak się rozradowałam tym spotkaniem, że nie zdołałam opanować pragnienia, by nie wyrazić zachwytu nad urodą panny! Toteż nie poczytuj mi tego za złe i nie odmawiaj chociaż przyjaźni!

Pod wpływem tych słów Olga odpowiedziała już bez gniewu:

— Przeprosiny waćpana przyjmuję i przyjaźni nie odmówię, jeśli ujrzę, że tylko o nią zabiegasz... — Tym razem umyślnie zaniechała ceremonialnego tytułu.

— Widzę, że rozsądek waćpanny nie mniejszy od wdzięków! Niechże ta obietnica na początek mi wystarczy!

— Zatem przepuść mnie, wasza wysokość, gdyż idę wezwana, a jestem już mocno spóźniona!

— Daj mi więc rączkę na znak, żeś mi przebaczyła — szepnęła nieomal błagalnie, wyciągając dłoń.

Olga zawahała się, ale ostatecznie wyciągnęła rękę, którą ucałował z oznakami szacunku jednak patrząc jednocześnie w jej oczy, co spowodowało, że znów się zarumieniła.

— Nie wzbronisz mi waćpanna rozmowy przy sposobnej chwili? Bo jakże inaczej mógłbym zabiegać o twą przyjaźń?

— Nie wzbronię, jeśli waćpan okażesz stateczność...

— Dzięki ci za to, płochliwa sarenko... — rzucił już z uśmiechem odstępując na bok.

Początkowo obserwacja tak Kachnera, jak i imię Tumigraty, jaką prowadzili chłopcy Czarnego i Jaksy, nie dawała rezultatów. Dopiero w przeddzień wyjazdu książęcego dworu Roch i Waśko, zaczajeni w pobliżu oberży kupca, ujrzeli, jak pod opieką dwóch pachotków opuszcza swoją kwaterę.

Noc była mroźna, bezchmurne niebo migotało rojem gwiazd, a śnieg skrzył się w ich mżącym świetle. Widoczność była tak dobra, że mimo oddalenia poznali od razu szczupłą, nieco przygarbioną sylwetkę Kachnera. Mając po bokach pachotków skierował się w głąb ulicy. Szli szybko, bez oglądania się za siebie. Skrzywienie śniegu pod ich nogami słychać było wyraźnie, ale kiedy zaczęło ucichać, a sylwetki idących z wolna roztopiać się w mroku, zaczajeni młodzieńcy ruszyli za nimi.

Wiedzieli, że wkrótce drogę przetnie poprzeczna ulica, toteż w obawie, że tamci mogą w nią skręcić i zniknąć im z oczu, przyspieszyli kroku.

Śledzeni szli jednak dalej, nadal nie oglądając się. Ich czarne sylwetki były dobrze widoczne na tle śnieżnej bieli, toteż Waśko, idący przodem, nieco zwolnił, bo jednak któryś z nich mógł wreszcie obejrzeć się za siebie.

Domy po obu stronach drogi były ogrodzone parkanami i tylko gdzieś tam ciągnęły się uprawne zagony bądź ciemniały drzewa czy krzaki.

Raptem Waśko skoczył w bok, pociągając za sobą towarzysza i kryjąc się w cień mijanego właśnie parkanu. Roch zrozumiał powód tego skoku, kiedy ujrzął, jak jeden z pachotków przystanął i obróciwszy się, oglądał dookoła.

Było na tyle jasno, że zdołał poznać Rufina. Ten ruszył zaraz dalej, widać nie dostrzegłszy niczego podejrzanego. Wkrótce więc i oni wysunęli się z cienia i teraz, już bardziej czujni, szli ostrożnie, gotowi w każdej chwili do uskokoczenia w bok.

Zbliżyli się do następnej przecznicy. Tym razem jednak idąca trójka skręciła w nią, nikiąc im z oczu. Bardziej niecierpliwych Roch poderwał się więc i w paru skokach dopadł węglą palisady otaczającej jakiś dwór.

Dalsze wypadki rozegrały się z zaskakującą szybkością. Kiedy Waśko w ślad za towarzyszem znalazł się za rogiem, ujrzął, jak od słupa jakiejś bramy odrywa się ciemna postać, skacze ku młodzieńcowi i zanim ten zdążył wyszarpnąć mieczyk, sztychem szabli razi go w pierś, a Roch z krzykiem bólu zwala się na ziemię.

Obraz ten Waśko widział tylko przez chwilę, bo napastnik z kolei natarł na niego. Jednak miał już szablę w ręku, więc odparował pierwszy cios i wdał się w walkę. Zdołał wszakże dostrzec, jak Kachner nikić w jakimś bocznym zaułku, a drugi z jego towarzyszy nadbiega, wyrwijąc broń z pochwy.

Musiał teraz bronić się przed dwoma przeciwnikami, ale że biegle władał orężem, początkowo dawał sobie z nimi radę. Wiedział jednak, że długo nie strzyma, bo i tamtych nie zbywało na sprawności. Myślał więc już tylko jakby chociaż jednego dosięgnąć, zanim sam padnie, kiedy raptem usłyszał z głębi ulicy odgłos szybkich kroków.

Wiedział, że Lech i Tomek mieli baczyć na starostę, może to zatem oni znaleźli się w pobliżu. Pomiedzy więc jedną zasłoną a drugą zawołał, ile mu w piersiach starczyło tchu:

— Hej, bywajcie z pomocą!

Wołanie to spowodowało wyraźne przyspieszenie biegnącego. Musieli dosłyszeć je i napastnicy, gdyż, zapewne w obawie, że zostaną otoczeni przez liczniejszych przeciwników, zaniechali walki, dopadli zaułka, w który skręcił Kachner, i zniknęli za jego narożnikiem.

Waśko skoczył za nimi, jeszcze zadyszany walką, ale ujrzał przed sobą tylko wąskie przejście, w którym z trudnością mogliby minąć się jezdny z pieszym. Wypełniła je zupełna ciemność, z której doszedł go tylko zacichający tupot nóg.

Zaniechał więc pościgu, tym bardziej że należało zająć się Rochem.

Leżał z rozrzuconymi ramionami, a spod kubraka sączyła się krew znacząc ciemną plamą biel śniegu. Przyklął przy nim, kiedy nadbiegli Lech i Tomek, bo to właśnie oni usłyszeli odgłosy walki i śpieszyli z pomocą.

Lech rzucił się do brata i uniósłszy mu głowę, pytał ze szlochem w gardle:

— Roch... żyjesz? Roch, bracie... żyjesz? Kto cię ugodził?!

Ranny otworzył oczy i wyjąkał:

— To... to był Rufin...

— Posoka idzie z niego mocno — zatroszczył się Tomek. — Trzeba zatrzymać, aby całkiem nie uszła...

Słysząc to Lech zerwał się na nogi, gorączkowo zrzucił kożuszek, a potem kaftan i, nie zważając na mróz, ściągnął z siebie koszulę. Podarł ją na kawałki i z pomocą Waśki zabrał się do doraźnego tamowania krwi. Gdy jakoś się z tym uporali, zdecydował:

— Zabieramy go do ojca! On najlepiej będzie wiedział, co dalej robić!

Hubert na widok rannego syna nie stracił głowy. Natychmiast kazał grzać wodę, podarł na pasy prześcieradło i, przemywszy ranę, sięgnął po garnuszek z niedźwiedzim smalcem przyprawionym ziołami i pszczelim woskiem, by nie zjełczał. Taki lek każdy bardziej przezorny rycerz zabierał na wyprawę.

Okazało się, że pchnięcie szablą skierowane w serce nie trafiło celu ześlizgując się po żebrach, ale rozcięło głęboko bok. Obwiązano więc mocno rannego płótnem, wprzód nasmarowawszy tłuszczem, i dobrze okryto. Dopiero po zakończeniu opatrunku Czarny zwrócił się do towarzyszy:

— A teraz gadajcie: jak do tego przyszło?

Waśko zdał relację z przebiegu zdarzeń i pomocy, jaka w ostatniej chwili wyratowała go z opresji.

— Śledziliście zapewne starostę? — domyślił się Czarny zwracając się do syna.

— Tak. I już wracaliśmy, kiedy usłyszeliśmy odgłosy walki.

— Zatem wiecie, dokąd się udał?

— Wiemy — odpowiedział Lech, zarazem pytając z niepokojem:

— A co z Rochem? Czy mocno ranny?

— W Bogu nadzieja, że z tego wyjdzie.

— Zostanie tu czy przewieziemy go na zamek?

— Tu w żadnym razie. Ale nad tym muszę się naradzić z wujem. Toteż ganiaj na zamek, odszukaj go i nikomu nic nie mówiąc proś, aby natychmiast tu przybył. Dlaczego — wyjaśnisz mu po drodze.

Po wyjściu Lecha, Czarny ponownie zwrócił się do Waśki.

— A więc był to Rufin?

Poznał go pan Roch, gdyż ja go mała co przedtem widziałem.

— Ale on ciebie mógł obejrzyć lepiej.

— Cóż z tego, skoro zapewne on również poznał pana Rocha!

— No tak... — mruknął Czarny i zamilkł zamyślony. Zrozumiał bowiem od razu, jak poważne skutki dla całej sprawy spowoduje ten fakt. Głęboko wstrząśnięty klęską, jaką groziło rozpoznanie Rocha jako napastnika, rozpaczliwie szukał sposobu wybrnięcia z sytuacji.

W izbie zapanowała cisza przerywana jedynie ciężkim oddechem rannego. Widząc zadumę Huberta, Tomek i Waśko milczeli nie śmiąc się odezwać.

W pewnej chwili Czarnemu przyszedł do głowy pomysł, który niby iskra nadziei zabłysnął w mroku jego ponurych myśli. Pod jego wpływem jakby się ocknął i mruknął niecierpliwie:

— Gdzież podziewa się ten Jakska?!

— Do zamku wprawdzie niedaleko, ale drogę dwa razy trzeba przebyć — rzeczowo odpowiedział Waśko.

Czarny, nie mogąc usiedzieć w miejscu, rozpoczął wędrówkę po izbie.

Jednak jego cierpliwość nie była wystawiona na zbyt dużą próbę, gdyż wkrótce w sieni usłyszeli kroki i po chwili w drzwiach stanął Jakska w towarzystwie Lecha.

— Poważnie ranny?! — zawołał już od progu.

— W Bogu nadzieja, że się z tego wyliże. Ale to nie jedyna moja troska. W czasie walki Rufin zapewne rozpoznał Rocha. Toteż musimy rozważyć sprawę, bo jest nad wyraz poważna.

— Sądysz, że rozpoznał? — Jakska od razu zorientował się, o co Czarnemu chodziło.

— Było na to dość widno...

Jakska rozpiął pas, a potem kożuszek i ciężko usiadł na podsuniętym mu zydlu.

— Gorzej nie mogło się stać! Co teraz czynić, przecież w ten sposób jesteś przed Kachnerem spalony!

— Myślałem o tym, czekając na ciebie. I sądę, że znalazłem wyjście, chyba jedyne w tej sytuacji. Jeśli nawet nie całkiem zwiodę Kachnera, to w każdym razie mocno zachwieję jego zaufaniem do zeznań Rufina.

— Jak chcesz tego dokonać? — Jakska spojrział ze zdziwieniem na przyjaciela.

— Po prostu. Musimy schować Rocha, a jego miejsce zajmie Lech.

— Czekajże... Jeszcze niezbyt pojmuję.

— Nikt nie wie, a w każdym razie nie Kachner, że mam ich dwóch, tym bardziej że za przezorną radą księdza Andrzeja nie pokazywali się razem. Kto ich zatem rozróżni, skoro nawet rodzona matka nie zawsze była pewna, którego tłucze w tyłek? Toteż Rocha trzeba natychmiast stąd zabrać, a na jego miejsce pozostawić Lecha.

Kachner nie omieszka na pewno sprawdzić zeznań Rufina i przybędzie już rano, by upewnić się, że wywiódł go w pole... Ciekawym, co powie jak obaczy, że ma przed sobą Rocha całego i zdrowego?

— *Zwymyśla Rufina... — zachichotał z kąta Waśko. — Ten zaś chyba też przestanie być pewny swego i pomyśli, że w nocnej pomroce uległ omamieniu!*

— *A bo to nieczysty mało ludziom robi takich psot? — dorzucił Tomek, również rozbawiony pomysłem Czarneho.*

Jedynie Lech nie uległ ogólnemu nastrojowi, bo odezwał się mocno zgnębiony:

— *Będę więc musiał zostać przy tobie, ojcze?*

— *Nie w smak ci to? — obruszył się Hubert.*

— *Ależ tak... Jednak... — chłopak urwał, nie wiedząc jak wyjaśnić powód swego strapienia.*

Wszakże Jaksza domyślił się, w czym rzecz, bo roześmiał się i wyręczył go:

— *Zadurzył się w dziewczynie, dworce księżny Julianny, i spodziewał się, że ruszy wraz książeńcem dworem, jeśli zostanie przy mnie!*

Czarny zmarszczył brwi.

— *Cóż to za dziewczka?*

— *Z dobrego rodu — pośpieszył uspokoić go Jaksza. — Bratanica kniazia Andrzeja Lingwenowicza, dziedziczka dużej fortuny i, trzeba przyznać, wyjątkowej urody...*

— *Ach, prawda... — Czarny rozpogodził się. — Coś mi o tym już wspominał ksiądz Andrzej, alem nie przywiązywał do tego zbyt dużej wagi! No cóż, mój Lechu, będziesz musiał nieco odłożyć swoje amory, bo wymogi służby ważniejsze! Chyba to pojmujesz?*

— *Tak, ojcze — zgodził się chłopak. — Ślubowaliśmy przecież o tym pamiętać...*

— *Wracajmy jednak do sprawy — przerwał Jaksza. — Rocha istotnie trzeba natychmiast stąd zabrać. — Ale dokąd? Na zamku nie da się go*

należycie ukryć i sprawa może się wydać. No, a co potem? Kto przy nim ostanie, by dawać należyte baczenie? Do tego najlepsza kobieca ręka...

— *Obmyśliłem i to — oświadczył Czarny. — Zaniesiemy go zaraz do naszej izby u owego Żyda, co rybą handluje. Jutro wielki kniaź wraz ze dworem opuszcza Łuck. Postaraj się więc o kryty płótnem wóz i parę dobrych koni oraz godnego zaufania woźnicę. Ukryty w nim Roch pod opieką Waśki, bo i on także walczył przecież z Rufinem, daj Boże, szczęśliwie dotrze do Wilna. Tam zaś od razu wyślij go do Niemierzy. Zytka zaopiekuje się nim nie gorzej niż rodzona matka. Unie doniosę o sprawie dopiero jak chłopak wydobrzeje. Natomiast zamiast Waśki ostaw mi Tomka.*

— *Tak, to dobry sposób — przyznał Jaksza. — Żeby tylko zdążył to załatwić, gdyż wyjazd naznaczono na ranne godziny! Ale zbyt duży idzie tabor, aby nie ulec opóźnieniu!*

— *A Olga? — zatroszczył się Lech. — Co będzie jeśli dowie się, że to ja jestem ranny i jadę w tym wozie?*

— *Skądże o tym może się dowiedzieć? Sprawa będzie utrzymana w należytej tajemnicy — uspokoił go Jaksza.*

— Ale przecież będzie mnie szukała! I co pomyśli, jak nie znajdzie? Może narobić szumu...

— Chłopak ma rację — przyznał Czarny. — Trzeba ją jakoś uspokoić, i to zawczasu.

— Dobrze — zgodził się Jaksza — będę o tym pamiętał.

— Trzeba też zawiadomić proboszcza. Zrób to ty, Rudy, bo lepiej, abym nie pokazywał się na zamku. Chciał cię zostawić przy sobie, ale proszę, aby zezwolił ci odwiedzić Rocha do Niemierzy, boja muszę jechać z Rufinem na dwór Świdrygiełły.

— Bądź spokojny, załatwię i to.

— A teraz uważaj no, synu — Czarny zwrócił się z kolei do Lecha — opiszę ci dokładnie, jak wygląda ów kupiec, jego żona, ich oberża w Chełmnie i co się tam wydarzyło, a także jak wygląda Rufin, abys nie dał się przytapać. I pamiętaj jeszcze jedno: nie wolno ci okazywać mu żadnej wrogości, choć to on poranił Rocha! Przeciwnie, bądź mu przyjazny, obrachunek ostawiając na później, i to nie sobie, a mnie!

W godzinę potem byli już z powrotem na kwaterze, gdzie usunęli wszelkie ślady po zabiegach przy Rochu, który oczekiwał pod opieką Waśki na przysłanie przez Jaksę wozu.

Przewidywanie Czarnego sprawdziło się, bo jeszcze przed porannym posiłkiem zjawił się im Kachner. Na jego widok Hubert okazał rozradowanie i witając go zawołał:

— Dobrze, żeś waśc przyszedł, bom właśnie chciał ślać pachotka i pytać, czy Rufin gotowy do drogi, gdyż wnet chcemy ruszać!

Kupiec obrzucił wewnątrz izby lustrującym spojrzeniem i z wyraźną nieufnością spytał:

— Waśc wybierasz się jednak do Czernihowa?

Czarny odpowiedział pytaniem, ale pełnym zdumienia:

— Co znaczy: jednak? Przecież umówiliśmy się, że dziś wyjeżdżamy!

Kachner spojrział na niego z chytrym uśmieszkiem i spytał z pobłażliwą wyższością:

— Czy jesteś gotów do tego wyjazdu?

— Ależ oczywiście! Czekaliśmy tylko na waszego Rufina!

— Z tego wnoszę, że Roch jedzie także...

— O co wam chodzi? — Hubert tym razem okazał rozdrażnienie — Zadajecie pytania, których nie pojmuję! Jedzie ze mną i Roch i pocztowy!

W głosie Czarnego było tyle pewności siebie, że Kachner jakby zawahał się. Jednocześnie na jego twarzy pojawił się wyraz tak wielkiego zaskoczenia, że Czarny musiał opanować ochotę do śmiechu.

— Ale przecież... — urwał, jakby nie wiedział, co ma mówić dalej. Wreszcie widać opanował się, bo przecesał capią bródkę palcami i zdobywając się na swobodny uśmiech dokończył: — Sądziłem, żeś łaskawco, postanowił odłożyć wyjazd?

— Odłożyć...? — Czarny był wręcz zdumiony. — Dlaczego miałbym go odkładać? I tak zbyt dużo czasu zmitrężyłem!

— Mogło się przecież coś zdarzyć...

— Dzięki Bogu wszyscy jesteście przy dobrym zdrowiu!

— Wielcem z tego rad... A gdzież wasz syn, łaskawco? Widzę, że sami jesteście...

— Roch...? Czyści z pocztowymi konie. Zaraz go zresztą przywołam, bo pora śniadać!

Nie czekając na odpowiedź gościa, Hubert wyszedł przed dom i zawołał na syna, któremu umyślnie kazał czekać w stajni.

— Hej, Roch, długo tam jeszcze będziecie marudzić! Chodźcie do stołu, bo pora jeść!

— A waści Rufin, gdzie? Czy także gotów do drogi? — spytał wracając do izby.

— Tak... tak... — Kachner zamilkł, gdyż właśnie ukazał się Lech. Zatrzymał się na chwilę w drzwiach i udając zaskoczenie widokiem gościa, powitał go jednak grzecznie:

— Kląnam się, panie Kachner... Cieszę się, że znów mam zaszczyt witać waści.

Teraz już kupiec nawet nie usiłował ukrywać zdumienia. Wpatrywał się w stojącego przed nim młodzieńca, jakby zobaczył zjawę, wreszcie zdołał wyjąkać:

— I... ja witam... Rad, że widzę cię przy dobrym zdrowiu...

Raptem jakby się ocknął, bo z zaskakującą żywością obrócił się ku drzwiom i głęboko poruszony zawołał ku nim:

— Czekajcie chwilę! Ostawiłem przed bramą Rufina! Wnet go wezwę, niech sam powie, czy nie zamarudził i gotów zaraz jechać!

Kiedy wybiegł na dwór, Lech mruknął do ojca:

— Jak wypadło...?

— Bardzo dobrze, ino tak dalej... I pamiętaj, Rufina witaj przyjaźnie!

— On nie jest sam. Widziałem, że na drodze stoi jeszcze dwóch.

— Kachner przez ostrożność wziął zapewne ze sobą ochronę.

Na dalszą rozmowę nie było już czasu, gdyż wrócił kupiec prowadząc za sobą towarzysza.

Rufin zatrzymał się na progu i ujrawszy Lecha najpierw obrzucił spojrzeniem całą jego postać, a potem zbladł na twarzy i już tylko wpatrywał się w niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Wreszcie wyjąkał:

— Któż to tedy był...?! Kogom powalił...? Boże Najświętszy, poratuj, bo nieczysty to był i tego mi nie daruje!

— O czym on gada? — ze zdziwieniem zwrócił się Czarny do Kachnera. — Nic z tego nie rozumiem...

Ten, jak zwykle przyzymkając przy mówieniu powieki, zaledwie zdołał wyjąkać:

— I ja też, łaskawco. Ja też nie... Chyba jednak sprawę przyjdzie wyjaśnić, gdyż być może Rufin istotnie prawdę mówi i zły mu się objawił! Szaty zakonne porzucił, toteż nastaje teraz na niego...

Natomiast Lech, widząc zachowanie Rufina, zwrócił się do niego z troską:

— Co ci jest, bracie? Czyżbyś zastąpił? Może dać ci kubek wody?

— Nie, niczego nie chcę! — nieomal krzyknął zagadnięty. — I widzieć też nie chcę nikogo, sam muszę ochłonąć!

— Zawrócił i wypadł z izby.

Kiedy zostali we trzech, Czarny nawiązał do ostatnich słów swego gościa:

— Mówiliście, że sprawę trzeba wyjaśnić. Istotnie, proszę o to, bo wreszcie chcę wiedzieć, w czym rzecz? Czego ten biedak tak się przeraził?

— Chyba więc powiem... — zdecydował się kupiec. — Otóż dziś nocą, kiedy Rufin wracał z towarzyszem na kwaterę, został napadnięty, i to ponoć przez waszego syna! Broniąc się przed nim, w pierś go sztychem ugodził powalając na ziemię. Potem musiał jednak uchodzić, nadbiegali bowiem jacyś ludzie, ulękł się więc przemocy. Rzecz wydała mu się zgoła nieprawdopodobna, boć Rocha znam przecież i wiem, że nie z tych, co po nocy napadają ludzi. Toteż przyszedłem do was, aby przekonać się, czy Rufin mówił prawdę, gdyż w ciemności o pomyłkę łatwo. Ale, być może, istotnie to był nieczysty, boć lubi on ludziom szkodzić i niejednemu już się objawił...

— Nie twierdzę, że tak nie było, bo i ja o podobnych zdarzeniach słyszałem, ale nigdy, prawdę mówiąc, wiary temu nie dawałem. Stąd i teraz sądzę, że raczej był nim ktoś do Rocha podobny z postaci i lica. — zaopiniował Czarny rzeczowo.

— Tak czy inaczej, zaszło coś niezwykłego — stwierdził z niezadowoleniem Kachner. — Obawiam się, czy po tej przygodzie Rufin będzie chciał jechać z wami. To przesądny człek...

— Niech sobie będzie przesądny, ale nie głupi! — obruszył się Hubert.

— Jeśli nie zechce, to mu przykażcie! Boć jednak dobrze byłoby mieć kogoś na Świdrygiełtowym dworze!

— Właśnie, właśnie... — zgodził się skwapliwie kupiec. — Spróbuję go więc nakłonić, a w razie potrzeby i przykażę! Teraz zaś pożegnaj was, łaskawco.

— I niech pośpiesza, bo odkładać wyjazdu przez niego nie zamierzam! Dajcie mu przeto, mości Kachner, godzinę czasu, boć przecie wiele ze sobą na wierzchowca brać nie będzie!

Ostatecznie Rufin stawiał się jednak, choć nieco później niż po godzinie. Nadal był chmurny, ale już opanowany. Nie zwracano jednak na niego uwagi i zaraz ruszono w drogę.

Po zapoznaniu się z treścią pisma lotny umysł Zygmunta od razu pojął, jak wielką korzyść dla jego planów może przynieść to orędzie Jagiełły i zawarte w nim wypowiedzi, zwłaszcza te, w których polski król mówi o grożącej samowoli litewskich baronów w razie śmierci Witolda, jednocześnie nie omieszkując nadmienić o swojej supremacji wobec jego osoby. Wiedział bowiem cesarz, że Witold chociaż tę supremację w praktyce uznawał, to jednak nic go nie doprowadzało do większego gniewu, jak najmniejsza o tym wzmianka. Kazał więc sporządzić odpis otrzymanego orędzia i wysłał go natychmiast Witoldowi. Jego poseł zastał wielkiego kniazia w Ejszyskach, gdzie doręczył mu cesarskie postanie już w dniu 13 lutego. Skutek tego kroku przeszedł oczekiwania cesarskie. Witold bowiem zawrzał gniewem, a i nie mniejszym rozgoryczeniem, które przechyliło szalę skłaniającą go do decyzji, z której podjęciem dotąd się wahał.

Już 17 lutego wysłał więc do Jagiełły marszałka Rumbolda i wojewodę wileńskiego Gastolda z listem tejże daty, w którym pisał:

„Kopię tego orędzia, przesłaną nam przez króla rzymskiego, kazaliśmy przeczytać w naszej Radzie. Dowiedzieliśmy się z niej, że to, na coście się w Łucku byli zgodzili i co Wam wówczas w obecności króla rzymskiego bardzo się podobało, temuż królowi teraz inaczej przedstawiliście. Znaleźliśmy także w tejże kopii, jak bardzo w tym piśmie Waszym nas poniżacie, zawstydzacie i jakby niewolnymi czynicie, nas, ziemie nasze i magnatów naszych litewskich, którzy sobie to bardzo cenią i serca ich przez to bardzo przykro są dotknięte, a mianowicie tym ustępem w Waszej legacji, że w razie gdybyśmy się koronowali, wymienieni bojarowie, ufni w to znaczenie i honor, mogliby się ośmielić po śmierci naszej wybrać sobie króla samowolnie, bez udziału baronów Waszych polskich, co otwarcie wymierzone przeciw zapisom i przymierzom między nami istniejącym. Najjaśniejszy Panie! Obacz W. kr. Mość i dobrze rozważ, czyli ci, którzy Wam tak poradzili, dobrze poradzili, lub jaka to była ich rada! Czy było to potrzebne rzeczy takie donosić rzymskiemu

królowi lub jemu tym się naprzykrzać; lub czy to się zgadzało z Waszą godnością, że na to, na coście się wobec króla rzymskiego byli przedtem zgodzili, inaczej każecie potem odpowiadać? Toż przecie lepiej było z takim poselstwem do nas się udać albo podobnym listem nas przody zapytać, niżli króla rzymskiego, i rzeczy te między nami poufnie roztrząsać i rozważyć; i co by się lepszym i godniejszym Waszej kr. Mości i nam wydawało, po zasięgnięciu też rady Waszych i naszych baronów, to byśmy uczynili, nie zaś z takim naszym, książąt i bojarów naszych poniżeniem i wstydem. Lecz ponieważ nam przedtem o tym nic nie mówiąc ani pisząc pośpieszyliście się nie tylko nas, ale też ziemie i bojarów naszych litewskich w ten sposób poniżyć i zawstydząć, jakoby niewolnymi ich czyniąc, czegośmy się od Was bynajmniej nie spodziewali, i to, co miało być między nami wspólnie załatwione, do obcych roznieśliście krajów, gdy to przecie nam przystało w różne strony przez posłów ogłosić: bracie najdroższy, kiedy i ilekroć między nami powstają jakie różnice i niezgodności, to te między sobą poufnie załatwiamy, lecz ponieważ tego nie uczyniliście według tej starej nauki, to lepiej było z takim poselstwem na starszych prałatów i baronów Waszych poczekać, a nie tak śpiesznie działać, gdy przecie wiedzieliście, że my tego bez Waszej i Waszych rady nie uczyniliśmy; nie wiemy bowiem, czyli wtedy byli przy Was starsi senatorowie, prócz doktora, nowego podkanclerzego, który sam niech zważy, czy dobrą dał radę. Co zaś mówicie o zapisach i przymierzach, między nami istniejących, to wiedz Wasza kr. Mość, że te zapisy nam się nie sprzeciwiały, które mówią o wyborze pana obydwu krajów po naszej lub Waszej śmierci; ale skoro z łaski Boga żyjemy, to niepotrzebny nam wybór baronów Waszych, ani też to po śmierci naszej zapisom w niczym nie przesądza; albowiem jesteśmy na pana i wielkiego księcia tych ziem od dawna wybrani i w tychże stałym, istotnym i spokojnym jesteśmy Posiadaniu, tak że jeżelibyśmy chcieli i ostatecznie postanowili, nie widzimy, iżby nam przeszkodzić mogli ci, którzy Waszej kr. Mości tak poradzili. Lecz dziwimy się W. kr. Mości, ponieważ często mówiliście nam i pisali: «Bracie kochany, kochamy Was jak siebie samego, modlimy się do Boga za Wami jak za siebie samych, i więcej życzymy Wam zaszczytu, życia długiego i wszelkiego dobra, jak sobie samym, a nawet więcej.» Teraz zaś pojąć nie możemy, skąd to i z czyjej porady pochodzi, że nie macie już tego samego serca dla nas, jak pierwej; a przecież, Bóg nam świadkiem, ani my z rzymskim królem, ani on z nami nigdy nie mówiliśmy nic

takiego, co by było przeciwne Waszej kr. Mości, albo co by dobra Waszego dworu lub czegoś podobnego dotyczyło. List ten zaś Waszej kr. Mości dlatego napisać kazaliśmy, że ten ustęp, w którym powiedziano: w razie koronacyi naszej bojarowie litewscy, ufni w takie znaczenie i honor, mogliby się ośmielić itd., wielce zabolat serce nasze, a nie mniej bojarów naszych, których przez to orzeczenie, jakby nie przyznając im zaszczytu, poniżacie i ich stanowisko umniejszacie, nie przyznając im równego honoru jak baronom polskim. Nadto dodaje W. kr Mość w tej legacji, jakobyśmy niektóre dziedzictwa i ziemie Wasze do czasu, t.j. do życia naszego dzierżyli, przez to nas poniżając i uszczuplając godność naszą; gdy przecie tak uczynić było dla was korzystnym, ponieważ to między sobą dobrze ułożyliśmy i wspólnie postanowili”²⁴.

Wkrótce po skierowaniu tego pisma do króla Władysława, wielki książę wysłał do Polski zaufanych ludzi, z Lutkiem z Brzezia na czele, jako poselstwo, celem skłonienia panów z Rady do wyrażenia zgody na jego koronację. Witold zdawał sobie sprawę, że nic ono nie wskóra, ale istotny powód tej decyzji był zupełnie inny.

Poselstwu temu przydał silny oddział zbrojnych rzekomo dla ich osobistego bezpieczeństwa, ale w rzeczywistości dlatego, że wśród zwykłego taboru z wyposażeniem postów szło kilka ciężko ładowanych wozów ze skrzyniami pełnymi kosztownych sprzętów, broni, bogatych tkanin i kobierców, a także pieniędzy w srebrze i złocie, których nie zbywało w książęcym skarbcu.

Posłowie mieli otwarcie skłaniać polskich panów do bardziej przychylniej oceny książęcej decyzji, ale jednocześnie prowadzić sekretne rozmowy z niektórymi członkami królewskiej Rady i bogato ich obdarowywać. Wskazał ich sam wielki książę po poufnej debacie ze swymi najbliższymi dostojnikami, z sekretarzem, a właściwie kanclerzem Cebulką na czele. Znalazł się on przez to w nader trudnej sytuacji, gdyż wiernie służąc przez tyle lat wielkiemu księciu nadal dochowywał mu wierności. Teraz czynił to jednak bez przekonania, gdyż zdawał sobie sprawę ze skutków jego zawziętości, która pozbawiała Litwę bądź co bądź wiernego sojusznika, jakim była Polska, a zdawała na łaskę i niełaskę kłamliwego i w gruncie rzeczy wrogiego jej niemieckiego cesarza.

24 — *Tamże*, s. 37.

Poza wskazanymi mu dostojnikami Lutko miał jednak prawo rozdzielać podarki także wśród innych, których już na miejscu uzna za godnych uwagi i zaufania, że ich za darmo nie wezmą.

Istotnie, otwarte rozmowy nie dały rezultatu, gdyż główni przywódcy Rady z Oleśnickim i Oporowskim na czele nadal byli nieprzejednani. Natomiast pomyślniejsze okazały się poufne rozmowy z innymi, mniej zdecydowanymi członkami Rady. Ci podarki przyjęli, co mogło mieć zasadnicze znaczenie, gdyby przyszło do głosowania w pełnym składzie Rady. Toteż Lutko wracając na Litwę nie uważał swoich zabiegów za daremne. Spodziewał się również, że głosy za ustępstwem na rzecz Witolda, choć może nie tak znaczące jak obu kanclerzy, to jednak wpłyną na nastroje Jagiełłowego dworu, co królowi powinno być na rękę.

Jednak sytuacja była zbyt skomplikowana, by żywić jakieś określone nadzieje, gdyż na obu dworach byli przeciwnicy i zwolennicy zamierzonej koronacji, choć sami władcy byli zgodni w tym względzie. Jednak obaj musieli się liczyć ze swymi Radami — Jagiełło polskich panów, Witold — litewskich książąt i bojarów.

Po powrocie poselstwa i wysłuchaniu jego relacji Witold wysłał pismo skierowane bezpośrednio do królewskiej Rady:

„W Łucku — pisał — jeszcześmy nie postanowili sprawę koronacji doprowadzić do skutku; lecz gdy król polski z Łucka się oddalił i nas najpierw u króla rzymskiego przez postów swoich zniestawiać poczęt, podobnie też do Stolicy Apostolskiej pevne artykuły przeciw nam spisane wysłał i gdzie indziej na naszą hańbę w pismach swoich to samo rozgłaszał, wtedy dopiero poczęliśmy myśleć i z poddanymi naszymi naradzać się nad tym, jak z tej hańby i z tej niewoli się wydobyć; gdyż my nigdy zresztą niewolnymi nie byliśmy i dlatego u króla polskiego nastawiliśmy i starali się, aby jak nas za niewolnych ogłosił, znowu objawił, że wolnymi będziemy...”²⁵

List był przesadny, zapewne celowo, aby tym większe wywołał wrażenie, a jednocześnie zawierał relację niezbyt zgodną z prawdą, gdyż swe postanowienie wielki książę tłumaczył między innymi skargą Jagiełły przesłaną papieżowi. Natomiast w rzeczywistości właśnie skutkiem jego decyzji król Władysław prosił o papieską interwencję. Zatem nie skarga była przyczyną decyzji, a na odwrót, to ona spowodowała owo pismo.

25 — *Tamże*, s. 40.

A i rzekome zniestawienie bojarów i samego wielkiego księcia również przedstawiono przesadnie, gdyż w świetle postanowień unii horodelskiej Jagiełło miał rację uznając Litwę za swoją i Korony własność, oddaną tylko Witoldowi w zarządek. Z chwilą zaś jego śmierci wracała do króla i Polski, z tym wszakże, że przewidywała ustanowienie nowego księcia, ale za zgodą króla i Korony. Na to właśnie bojarzy litewscy nie chcieli się obecnie zgodzić, inaczej interpretując postanowienia Unii. To stanowisko w pewnej mierze wyjaśniają pewne dokumenty Zakonu Krzyżackiego:

„Polacy — powiada ówczesny krzyżacki zapis — utrzymywali, że przez koronację oderwą się od królestwa polskiego kraje litewskie i ruskie, które teraz do niego wcielone być powinny, gdyby wielki książę umarł, i nigdy od królestwa polskiego odpaść nie mają. Panowie litewscy i ruscy utrzymywali, że oni od wieków byli ludźmi wolnymi, że wielkiego księcia uważają za swego pana; jeżeli ten zejdzie ze świata, to oni innego mogą sobie wybrać i tego zechcą mieć za swego pana, a nigdy ich kraje do Polaków nie należały. W takiej wolności chcą oni pozostać i nigdy jej się nie pozbędą.”²⁶

Gdyby więc Witold został królem, to i unia horodelska, która mówi tylko o wielkim księciu, straciłaby swą moc prawną. Toteż chociaż stanowisko strony polskiej było słuszne, jednak dotychczasowe prawa i obyczaje litewskie odstręczały bojarów od przyznawania im racji. Skoro więc pojawiła się nadzieja na powrót dawnych praw, chwycili się jej gorąco, nie hamowani dotąd przez swego, jak uważali, jedynie prawowitego władcę.

Celem prowadzenia dalszych rozmów książę zaproponował spotkanie w Hrubieszowie w drugiej połowie listopada, ale królewska Rada odrzuciła tę propozycję.

Natomiast 1 marca zebrała się w Korczynie, gdzie uchwaliła wysłać na Litwę poselstwo pod przewodnictwem kanclerza Zbigniewa Oleśnickiego i wojewody sandomierskiego Mikołaja z Michałowa. Ci w kwietniu przybyli do Grodna, gdzie przebywał Witold, i upraszali go, aby „...poprzestał niewczesnych zabiegów o koronę i przypomniał zawarte z królestwem polskim wieczyste przymierze, którego zgwałcenie stworzy na przyszłość źródło niezliczonych zaburzeń i wojen! Cesarz Zygmunt, zawistny jego powodzeń, najgoręcej tego pragnie; z niezgody bowiem Litwinów z Polakami spodziewa

26 — Tamże, s. 41

się tej niepospolitej korzyści, iż obydwa narody, wzajemnymi klęskami zachwiane, łatwiej zewnętrznej przemocy ulegną...”²⁷

Jednak Witold nie dał się posłom przekonać, powołując się na zgodę ich władcy, zarzucił polskim panom zazdrość, a cofnięcie zgody uznał za hańbę dla siebie. Oświadczył przy tym, że niezgody z Koroną nie obawia się, gdyż nadal pragnie pozostawać z nią w przymierzu, deklarując w razie potrzeby wsparcie Polski wszystkimi siłami Litwy, Rusi i Żmudzi.

Poselstwo więc nie tylko nie osiągnęło żadnych ustępstw, ale zapewne przyczyniło się do dalszych, wręcz nieprzyjaznych poczynań wielkiego księcia. Zaraz bowiem posłał do Wiednia jednego ze swych sekretarzy, Bartłomieja z Opawy, by prosił cesarza o możliwie rychłe nadesłanie koron dla siebie i księżny Julianny. Jednocześnie zacieśnił przyjacielskie stosunki z Zakonem Krzyżackim, i to do tego stopnia, że nie tylko powiadamiał go o wzajemnych poselstwach w stosunkach z Polską, ale przysyłał mu również odpisy otrzymywanych od Jagiełły listów, a nawet ostrzegł, że król polski, Zakonowi i Zygmuntovi niechętny, rad jego nie słucha. Ganił jednocześnie wielkiego mistrza za zbytnią ustępliwość w sprawie granic z Polską.

Ta jednak nadal czyniła starania i zabiegała o zmianę decyzji księcia, który jednak wciąż nie dawał się przekonać i wręcz z uporem dążył do zamierzonego celu.

Czarny sądził, że książę Witold wraz z małżonką uda się do Wilna, ale w drodze powrotnej z Czernihowa dowiedział się, że tylko księżna Julianna kontynuuje podróż, natomiast wielki książę zboczył do Nieświeża. Ponieważ musiał zdać sprawozdanie jego wielmożności panu Cebulce, przeto i on tam się udał, gdyż kanclerz zwykle przebywał przy kniaziu.

Istotnie zastał w Nieświeżu książęcy dwór i od razu odszukał kanclerza.

— Pomyślnie minęła podróż? — uprzejmie zagaił rozmowę pan sekretarz.

— Pomyślnie, wasza wielmożność, chociaż niezbyt pomyślnie przywożę wieści.

— Ostatnio wiele trosk przychodzi nam dźwigać, toteż ciężaru jeszcze jednej chyba już nie odczujemy...

— Z dostarczonych mi wiadomości wynika, że książę Świdrygiełło ożywił się mocno. Z listami do niego i od niego gońcy wciąż biegają...

27 — Wapowski, op. cit., s. 78.

— Zatem znów znosi się ze swymi sojusznikami! A ma ich, niestety, sporo, boć przecie wszyscy, którzy przy schizmie zostali, za nim stoją.

— Tym bardziej niczego dobrego to nie wróży...

— Trzeba nadal mieć go na oku, bo na razie nic innego nie możemy zrobić. Zresztą dość mamy ważniejszych kłopotów.

— Wiozę od niego list do księcia Andrzeja. Poprzedniego, do Świdrygiełły, ksiądz Andrzej zakazał otwierać, teraz jednak należy poniechać chyba zbyt ostrożności...

Czarny wyjął z zanadru pismo i położył przed kanclerzem. Ten jakiś czas je oglądał, wreszcie ujął za dzwonek stojący pod ręką. Na jego dźwięk stanął w drzwiach dworzanin.

— Niech Choćko go otworzy i będzie gotów znów opatrzeć pieczęcią — polecił Cebulka podając kanceliście list.

Po jego wyjściu Czarny podjął rozmowę:

— Ponoć proboszcz uzgodnił z waszą wielmożnością, że starosta grodzieński ma dostać owe dwie bombardy. Teraz jadę do Grodna z tym listem. Czy mam je zabrać?

— Istotnie tak postanowiłem. Dobrze byłoby jednak dowiedzieć się, po co mu działa? Ta dostawa może dać ku temu okazję...

— Rozumiem intencję waszej wielmożności. Wątpię jednak, czy się z tym zdradzi. Wszakże powód do takiej rozmowy może dać... Ale już teraz sądzę, że ma to związek z nagłą ruchliwością Świdrygiełły! Zapewne liczy się z wojennymi krokami i polecił swym poplecznikom wzmocnić siły!

— Otóż to! Widać spodziewa się, że spór Witolda z Władysławem stworzy mu sposobność do działania.

— Bombardy mam ponoć dostać z wileńskiego arsenału?

— Skoro tu jesteśmy, nie ma sensu, abyś waszmość jechał aż do Wilna. Dam polecenie słonimskiemu staroście, by wydał je z zamkowych zasobów. Słonim leży na szlaku do Grodna, w ten sposób unikniesz waść okrężnej drogi.

Przyznając w duchu słuszność tej decyzji, Czarny ukrył zawód, jaki mu ona sprawiła, gdyż był niespokojny o Rocha i spodziewał się, że już wkrótce dowie się, jak zniósł podróż. Opanowując więc rozczarowanie, spytał tylko:

— *Księżna Julianna zapewne już dotarła do Wilna?*

— *Jak dotąd orszak posuwał się wolno, nalepy więc sądzić, że dotrze dopiero za kilka dni.*

— *A wielki książę? Czy wiadomo waszej wysokości, dokąd z kolei zamierza się udać? Pytam dlatego, by wiedzieć, gdzie was znajdę?*

— *Decyzji wielkiego księcia nigdy nie sposób przewidzieć. Wie on o poczynaniach Świdrygiełły, może więc przed powrotem do Wilna zechce pogadać z niektórymi dzielnicowymi książętami...*

Rozmowę przerwało zjawienie się kancelisty z rozłożonym pismem w ręku, które na skinienie Cebulki bez słowa położył przed nim na stole.

— *Wkrótce Choćko otrzyma je z powrotem. Niech ponownie przystawi pieczęć i zwróci oddawcy... — poleciał kanclerz, a kiedy dworzanin wyszedł, ujął list i przebiegł go wzrokiem.*

Przemruczał wstępne pozdrowienia i dopiero przechodząc do właściwej treści, jął czytać głośniej:

„...Twoje doniesienia, miły bracie, o łuckich rozmowach i pożądlivosti Witolda na królewską koronę są mi znane, bo dzięki zakonnym gościom, którzy nie zapominają o mnie, otrzymuję wieści o tym, co dzieje się na obydwóch dworach. Sądzić należy, że niedługo wezmą się obaj za łby, a wtedy przyjdzie czas i na nas. Czekam niecierpliwie chwili, kiedy wybije moja godzina, do czego gotować się nam pilnie należy, ale też i skrycie, o czym racz, bracie, stale pamiętać.

Wspominam zaś o tym dlatego, że dochodzą także słuchy o wzmożonej czujności Cebulki, gdyż ponoć aż z Polski sprowadził sobie wielce niebezpiecznych pomocników. Przysporzyli oni już nieco kłopotów zakonnym i cesarskim zausznikom, toteż ponoć cesarz postanowił ukrócić ich poczynania, i to ostro, by nikt nie śmiał przeszkadzać mu w realizowaniu zamiarów.

Twoje zaś zamierzenia wzmocnienia załogi grodzieńskiego zamku pochwalam, bo każdy łuk, miecz, nie mówiąc już o działach, może wkrótce okazać się bardzo przydatny. Rad też będę nadal otrzymywać od ciebie wieści, a teraz...”

Pan Cebulka znów zamruczał i złożony pismo podał je Czarnemu.

— *Wiemy już zatem, na co mu owe bombardy potrzebne. Mimo to dostanie je; ino prochów mu nie dostarczaj. Będzie chyba o nie zabiegał, ale to pozwoli ci na następne odwiedziny. Może uda się waszmości znaleźć przy nim kogoś, kto powiadamiaby nas, co sobie poczyna pan starosta, dokąd*

posyła listy i kto je nadsyła. Pieniądzy na opłacenie tego człowieka nie żałuj, jeśli tych za bombardy nie starczy ci na wydatki, dalsze otrzymasz ode mnie.

— *O treści tego pisma należy zawiadomić księdza Andrzeja. O niego zapewne głównie chodzi Zygmunтови...*

— *Tym się nie trap. Specjalny goniec ruszy wnet z ostrzeżeniem...*

Tłoczno i ciasno było w łuckim zamku, gdzie tylko władcy i co znaczniejsi dygnitarze otrzymali kwatery. Mimo więc, że pochodził ze znakomitego rodu, książę Henryk, z powodu młodego wieku, a także przebywania na królewskim dworze nieomal w charakterze domownika, musiał zadowolić się izbą w gospodzie.

Tego wieczoru, już gotów do czekającej go podróży, wracał do siebie z pożegnalnej uczyty niezbyt późno, gdyż poranny wyjazd skłonił biesiadników do wcześniejszego opuszczenia stołu.

Minął salę pełną dworzan i służby z różnych dworów i wspiął się schodami na piętro, zdążając ku swoim drzwiom. Izbę oświetlała paląca się świeca, czemu się nie dziwił, gdyż pacholik miał przykazane pilnować kwatery w czasie jego nieobecności. Siedział istotnie pod piecem, ale Henryk nawet na niego nie spojrział, gdyż zaskoczył go widok mężczyzny rozpartego na stojącym przy stole zydłu. Miał surową, o ciemnym zaroście twarz i przenikliwe, zimne spojrzenie szarych jak stal oczu. Ujrawszy wchodzącego, uniósł się z zydła. Był okryty długą opończą z kapturem odrzuconym na plecy.

Nie wyciągając ręki, spytał stwierdzająco:

— Jego wysokość księżę Henryk?

— Nie przeczę, że nim jestem — odpowiedział nieco żartobliwie zagadnięty, dorzucając: — Z kim zaś ja mam honor?

Nieznajomy nie udzielił jednak odpowiedzi, ale spojrzął na pacholika i rzucił rozkazująco, jakby sam był gospodarzem:

— Idź na dół i czekaj, aż będziesz wezwany...

Pacholik bez słowa usłuchał polecenia. Henryk gniewnie ściągnął brwi, ale nie odzywał się, ciekaw, kim jest przybysz, że pozwala sobie na podobną samowolę. Wkrótce jednak otrzymał na to odpowiedź.

Kiedy bowiem zostali sami, nieznajomy rozchylił opończę. Miał pod nią sukienny modry kaftan, przepasany kosztownym pasem ze złotą klamrą. Składała się z dwóch kręgów podobnych otoce sowych oczu. które stanowiły

dwa duże topazy. Ujrawszy ją, Henryk uśmiechnął się i rzucił po przyjacielsku:

— Siadajcie, wielmożny panie! Odprawiliście pacholika, toteż nie ma teraz komu przynieść nam wina!

— Obejdzie się i bez trunku — obojętnie mruknął przybysz, zajmując z powrotem miejsce. Henryk poszedł za jego przykładem, pytając już rzeczowo:

— Z czym przybywacie? Słucham.

— Jest życzeniem cesarza, abyście przystali teraz do dworu wielkiego kniazia. Nie powinno być z tym trudności, gdyż lubi was równie jak Władysław. Będziecie zabiegać u niego o to, by zdecydował się co rychlej na koronację. Należy wskazywać na korzyści, jakich mu ona przysporzy, a także kusić chwałą dla niego i jego potomków, wynikłą z królewskiej godności.,.

— A jakież to mają być korzyści?

— Pozbycie się jakiegokolwiek zależności — poza papieżem i cesarzem. Zapewniać o jego wieczystej przyjaźni, poparciu i zbrojnej pomocy w razie potrzeby. A także pomocy obydwu Zakonów, co zapewni osobne pakta. To mu pozwoli nie tylko na spokojne władanie własnym państwem, ale i na rozszerzenie jego granic. Mając bowiem przyjaznych sąsiadów i ich wsparcie, będzie mógł się pokusić o zawładnięcie resztą ruskich księstw, z moskiewskim łącznie.

— Takim pokusom zaiste trudno się oprzeć — uśmiechnął się Henryk, ale dodał: — O ile, rzecz prosta, sprzymierzeńcy dochowają wierności...

— *O to niech się troszczy sam Witold... — stwierdził zimno nieznajomy. — Wy musicie jeno kłaść mu w uszy wszystko, com tu rzekł.*

— *Jakże jednak tak od razu zmienić dwór? — zafrasował się Henryk.*

— *To może wydać się dziwne...*

— *Powiedzcie temu i owemu, że zadurzyliście się w owej dziewce, za którą wodziliście oczami, a ostatnio i gadaliście — poradził przybysz, zdradzając tym, że i młodemu księciu ktoś się przyglądał. — Zaraz się to rozniesie i przestaną się dziwić!*

— *A zaczną podśmiewać... — uzupełnił Henryk, w rzeczywistości rad z czekającej go zmiany.*

— *To sprawie nie zaszkodzi, a wam honoru nie ujmie.*

— *No cóż, trudności ze zmianą dworu chyba nie będzie — stwierdził po krótkim namyśle młody książę. — Powstać dopiero mogą, jeśli zabiegając o*

względy dziewczki — boć pozory będę musiał zachować — uzyskam jej wzajemność.

— *Wiem przecież, że do gustu wam przypadła. Wówczas pobawicie się nią, czego tylko pozazdrościć, bo dziewczyna piękna, a potem...*

— *A potem dopiero będę miał mitręgę, jak się jej pozbyć!*

— *Czyżby nie było na to sposobu? — nieznajomy spojrzał porozumiewawczo na Henryka.*

— *Sprawa z bratanicą grodzieńskiego starosty... Gotów podnieść larum... — mruknął ten z wahaniem.*

— *Nie podniesie, raczej będzie temu rad. Zarządza jej dobrami, które jemu przypadną, jeśli dziewczka zaginie — cynicznie stwierdził przybysz.*

— *A więc dobrze, jutro jadę z dworem wielkiego księcia! — zgodził się młody książę.*

W ogólnym rozgardiaszu, jaki panował w czasie formowania się orszaku, nikt nawet nie zwrócił uwagi, że wóz młodego księcia i towarzyszący mu pachołkowie ruszyli wraz z książęcym taborem. On sam początkowo trzymał się na uboczu, dopóki nie wypatrzył okazji, by nie zwracając niczyjej uwagi znaleźć się w poczcie wielkiego księcia. Wkrótce udało mu się zbliżyć do jego osoby, co wykorzystał, by prosić o wybaczenie za samowolne przyłączenie się do dworu. Zezwolenie na pozostanie uzyskał bez trudu, gdyż istotnie Witold lubił młodego księcia za jego fizyczną sprawność, dworskie obyczaje, a także wstrzemięźliwość w używaniu trunków, co najbardziej cenił.

Natomiast karetę, w której jechała dziewczyna, dostrzegł nieco później, podczas południowego postoju. Toteż kiedy ruszono w dalszą drogę, nie oddalał się od niej w nadziei, że uda mu się nawiązać rozmowę.

Jednak sposobność ku temu znalazła się dopiero, gdy dotarli do wsi przewidzianej na nocleg.

Dziewczyna pozostała w karecie, porządkując podręczne koszyki, co nie omieszkał wykorzystać. Otworzył drzwiczki i zagadnął ją wesoło:

— *Witam waćpannę! Oto daję dowód stałości serca porzucając królewski dwór, by podążyć za nią!*

— *Wasza wysokość znów mnie napastuje! — prychnęła kapryśnie Olga, obejrawszy się przez ramię na natręta.*

— Ależ to nie napaść, a deklaracja wiernej służby oddanego przyjaciela!

— Dzięki za przychyłność, ale teraz nie mam czasu na gawędę.

— Można przecież i przy robocie zamienić kilka słów — odpowiedział pojednawczo — przecież nie wilk i waćpanny nie pożrą! Nie płac mi moje afekta tak lichą monetą! — dodał już z nutą, jak się zdawało, szczerego żalu w głosie. Toteż dziewczyna odpowiedziała już nie tak opryskliwie, a nawet z uśmiechem:

— Nie stać mnie, biedaczkę, na sowitszą zapłatę!

— Czy równie skąpa jesteś i dla tego młodzieńca, z którym widziałem waćpannę parokroć w Łucku?

— Nie wiem, o kim, wasza wysokość, mówisz... — Olga, znów rozdrażniona, wzruszyła ramionami. — Odstąp, proszę, od drzwiczek, bo muszę już iść...

Sięgnęła po pakunki i wysiadła z karety. Widząc, że nie może sobie z nimi poradzić, pośpieszył jej z pomocą.

— Pozwól, waćpanna, że ujmę nieco ciężaru, bo sama wszystkiego nie zdołasz zabrać. Zbyt tego wiele dla tych małych rączek...

— Skoro masz, waćpan, na to ochotę, możesz je nieść...

Ruszyli razem ku pobliskiemu domowi wójta, gdzie stanęła kwaterą księżna Julianna. Po drodze mijali kręcącą się służbę i książeńcych dworzan, którzy nie taili zainteresowania osobą młodego księcia dźwigającego tobołki. Widział to, ale w duchu był temu rad, gdyż już nie potrzebował zwierzać się nikomu z przyczyn, które go skłoniły do znalezienia się na dworze księżny.

Nie chcąc okazywać się natrętem i sądząc, że na początek i to wystarczy, pożegnał ją przed progiem. Nie omieszkał wszakże zapewnić dziewczyny o gotowości do dalszych usług na każde jej życzenie, za co, po raz pierwszy, został obdarzony spojrzeniem. Mimo to nie zdradziła chęci przyjęcia propozycji.

Młody książę nie martwił się tym jednak i przy każdej sposobności usiłował zamienić z nią chociaż kilka słów. Z zadowoleniem zauważył, że nabiera do niego coraz większego zaufania i traktuje coraz przychylniej, a to zapewne dlatego, że poniechał umizgów i okazywania zachwyty, a starał się usługami i opieką zyskać jej przychyłność.

Już po pierwszych dniach podróży dostrzegł, że odwiedza jeden z taborowych wozów, krytych smołowanym płótnem. Co wieczora nosiła tam garnuszki, w których domyślał się posiłków. Uchyłała tylną płachtę i podawała je komuś, po czym sama znikwała za nią, nieraz na dłuższą chwilę.

Zaciekawiony, kogo odwiedza, postanowił osobiście to sprawdzić. Stwierdził też, że poza woźnicą jedzie tym wozem jeszcze jakiś wojak, który wprawdzie rzadko, ale jednak go opuszcza. Nie dla mego zatem dziewczyna nosiła posiłki; zainteresowało go więc, kto i dlaczego tam się ukrywa.

Wypatrzywszy sposobną chwilę, kiedy na jednym z postojów przy wozie nikogo nie było, zbliżył się nieznacznie i, uchyliwszy płachtę, zajrzał do środka.

Ujrzał owego młodzieńca, z którym Olga spotykała się w Łucku. leżał na pościeli z siana, szczelnie przykryty derkami. Widać coś słyszał, gdyż obrócił głowę i zagadnął półgłosem: — Czego tu szukasz?

— Bolejesz waszmość? — spytał Henryk zamiast odpowiedzi i dorzucił starając się nadać głosowi nutę troskliwości: — Mogę ci być w czymś pomocny?

— *Nie, na opiece mi nie zbywa.*

— *Co waści dolega? Jeśli to gorącość, mam na nią dobrą driakiew...*

— *Dzięki, to tylko zwykła rana.*

— *Z kimże jednak mówię? Wprawdzie znam waćpana, ale tylko z widzenia!*

— *Taaak? A skądże to?*

— *Widziałem waszmości w Łucku z bratanicą grodzieńskiego starosty... Jam Henryk, bratanek wrocławskiego biskupa, księcia Konrada.*

— *Zaszczyt to dla mnie, wasza wysokość, że raczycie ze mną, zwykłym pachotkiem, gadać... — odpowiedział Roch, by w ten sposób uniknąć dalszych pytań, kim jest.*

— *Nie wyglądacie mi na zwykłego pachotka. A także dziwnym byłoby — jeśli prawda, co mówisz — by tak znamienita panna, jak bratanica starosty, przystawała na kompanię z byle sługą...*

— *Mnie zaś dziwną się wydaje wasza ciekawość, panie, raczcie przeto ostawić mnie w spokoju!*

Henryk nie zdążył odpowiedzieć na te ostre słowa, gdyż doszło go rzucone za plecami pytanie:

— *Czego tu szukacie, wasza wysokość?*

Obrócił się gwałtownie i od razu poznał człowieka opiekującego się wozem.

— *Przechodząc usłyszałem jęk, toteż zajrzałem, czy ktoś nie potrzebuje pomocy — wyjaśnił ze swobodnym uśmiechem.*

— *Jęczeć nie było komu — wręcz wrogo rzucił Waśko, który już z daleka dostrzegł intruza i pośpieszył, by go przepędzić. A za troskliwość wielce dziękuję, mimo że zbyteczna!*

— *Jak śmiesz! Przecież wiesz, do kogo mówisz!*

— *Toć okazałem, że wiem... — Waśko lekceważąco wzruszył ramionami. — Do natręta, co dziewczętom nie daje spokoju!*

— *Nie wiem, ktoś jest i czy urodzony?! Jeśli nie, bacz, byś nie oberwał batów, bo skargę na ciebie złożę!*

— *Nie omieszkać, wasza wysokość, wyznać w niej, żeś zaglądał do cudzych wozów! — kpiąco odpowiedział Waśko, podkreślając, że wie do kogo mówi. — Jeśli zaś czegoś ci zabrakło, tedy proś, a sam nie szukaj.*

To upomnienie musiało odnieść skutek, gdyż Henryk obrócił się, rzucając tylko przez ramię:

— *Dostaniesz jeszcze za swoje, niech tylko najdę sposobność!*

Mimo nurtującej go złości, książkę zastanawiał się, jakie to zdarzenie wyrze skutek na jego stosunki z dziewczyną, tym bardziej że poznał w rannym owego młodzieńca, z którym często widział ją w Łucku. Skoro zaś ten pachot powtórzy jej, co zaszło, może znów wrócić do poprzedniej powściągliwości. Jemu zaś zależało na zachowaniu osiągniętego zbliżenia, i to nie tylko dla utrzymania pozorów, lecz przede wszystkim dlatego, że owo zbliżenie, zapoczątkowane powierzchownym zainteresowaniem urodą dziewczyny, obecnie rozpałiło w nim wzrastające pożądanie.

Toteż na najbliższym postoju odszukał Olę i oznajmił bez wstępów:

— Miałem wczoraj nieprzyjemny spór z tym wojakiem, co strzeże wozu, do którego nosisz waćpanna garnuszki z jadłem...

— Wiecie o tym? — uniosła na niego oczy, w których ze zdziwieniem dostrzegł wyraz lęku.

— Cóż w tym dziwnego? Przecież trudno to ukryć, zwłaszcza przed moim wzrokiem, gdyż wciąż wodzę nim za wami...

— Wspomniał mi o waszym sporze... — bąknęła Olga, wyraźnie zakłopotana.

— Zarzucał mi, i to w grubiańskich słowach, że zaglądam do cudzych wozów, co mnie mocno wzburzyło, bo przecież złych zamiarów nie miałem.

Właśnie przechodząc obok usłyszałem czyjś jęk, nie dziwota więc, że płótna uchylił, by przekonać się, czy nie zda się pomoc. Ów wojak za złe mi to wziął, więc nieco się rozeźliłem, nad czym teraz ubolewam, pragnąc wszystko puścić w niepamięć. Niechże zatem i on tak uczyni...

Olga uśmiechnęła się, okazując wyraźne zadowolenie z propozycji.

— Rada to słyszę, gdyż zadziwiła mnie opowieść Waśki i nie wiedziałam, co mam o niej sądzić.

— Skoro już wiecie, nie mówmy o tym więcej, gdyż byłbym strapiony, że zwykła chrześcijańska troska naraziła mnie na wasze niezadowolenie!

— Dobrze, zatem nie mówmy — zgodziła się Olga.

Tak więc udało się Henrykowi incydent zbagatelizować i nadal utrzymać przyjazny stosunek z dziewczyną. Nie zamierzał wszakże poniechać owego Waśki, którego imię poznał, zwłaszcza że przy spotkaniach spotykał jego wrogie spojrzenia. Udawał jednak, że ich nie dostrzega w nadziei na rychłą odpłatę za okazany brak respektu.

W Baranowiczach miał opuścić orszak wielki księżę, by udać się do Pobliskiego Nieświeża. Dowiedziawszy się o tym, młody księżę stanął Przed trudną decyzją. Poruczone bowiem zadanie wymagało pozostania przy boku Witolda, osobiste zaś pragnienie, wzmocnione rosnącym pożądaniem, ciągnęło do pozostania przy księżnej Juliannie. Naszała go jednak refleksja, że rozstanie z księciem nie będzie zapewne zbyt długie i nie minie go jeszcze okazja do wypełnienia otrzymanego polecenia. — Natomiast opuszczenie dworu księżny mogłoby zdradzić istotne przyczyny rozstania z dworem króla Władysława. Ta myśl ułatwiła mu decyzję i pozwoliła usłuchać podszeptów wzmagającej się żądzy, czemu sprzyjały stałe już teraz spotkania z dziewczyną. Sposobność ku nim dawały zwłaszcza nocne postoje, bo mniej absorbowana przez panią Nienuszeko więcej czasu mogła poświęcić na rozmowę.

Mroźny luty nie sprzyjał gawędom przy ognisku, które zresztą rozpalala tylko dla siebie zwykła czeladź, natomiast bliskie otoczenie księżny lokowało się po chłopskich chatach. Tam więc przysiadali pod piecem na wieczorną pogawędkę, wprawdzie nie we dwoje, bo ochmistrzyni strzegła Olgi pilnie, ale wiedząc, kto jest jej adoratorem, nie sprzeciwiała się jego odwiedzinom.

Nie mogąc więc dziewczynie wiele powiedzieć, ograniczał się tylko do aluzji i spojrzeń, przyjmowanych wprawdzie z rezerwą, ale też i bez niechęci,

co młodego księcia napawało nadzieją, że znajdzie odpowiednią chwilę, by spróbować bliższego kontaktu.

Istotnie, okazja nadarzyła się pewnego wieczoru, kiedy odwołano panią Nienuszkę i zostali sami w izbie. Wykorzystał to natychmiast, objął ramiona dziewczyny i przychyliwszy ku sobie, mimo oporu, zdołał dosięgnąć jej ust. Daremnie szarpała się w jego uścisku, nie mogąc podobać sile męskich rąk, tym bardziej że i jej pod wpływem pożądliwego pocałunku zaczęło kręcić się w głowie. Wreszcie jednak zdołała uwolnić się i odskoczywszy, z twarzą palającą wzburzeniem, wskazała na drzwi:

— Precz i nie przychodź tu więcej!

Henryk nie przejął się wszakże tym rozkazem, gdyż roześmiał się i rzucił bez troski:

— Ależ miła, czemu się gniewasz?! Czyż zrobiłem ci krzywdę, żem ukradł tego boćka?! Nie karaj mnie za gorącość krwi, gdyż nie mogłem jej opanować patrząc na twe lube usteczka!

— Precz, mówię, bo przywołam pacholków! — Oburzenie dziewczyny było tak duże, że poniechał dalszej perswazji i powiedział, usiłując nadać głosowi pokorne brzmienie:

— Uczynię, co mi nakazujesz, ale na kolana gotowym paść, ty błagać o wybaczenie! Przysięgam trzymać swą skłonność na wodzy i więcej cię nie tknąć!

— Nie wierzę waszmości! Nie tego się po nim spodziewałam!

— Daruj mi jednak i rozchmurz oblicze, niech nie ostawię cię tak gniewną!... Śpij, spokojna, że twój sługa będzie ci posłuszny!

Wkrótce po odejściu księcia wróciła pani Nienuszkę. Olga, która już poprawiła zwichrzone włosy i nieco przyszła do siebie, nie omieszkała opowiedzieć jej natychmiast o całym zdarzeniu. Ale zamiast spodziewanych słów potępienia i równie wielkiego oburzenia, usłyszała w odpowiedzi:

— Masz się też o co czepiać chłopca! Że ci skradł boćka?! Jeszcze niejednego to uczyni dopóki za mąż nie pójdziesz! Jenó bacz, aby coś gorszego ci się nie przytrafiło!

— To... To pochwalacie zadany mi gwałt?!

— Ależ nie pochwalam, jeno nie widzę przyczyny do rozdierania szat! Wszelako już samej cię nie ostawię, bo chyba to boskie ostrzeżenie, by spyrkę

z dala od tych kocurów trzymać! Gdyby zaś księżna Julianna się dowiedziała, wszyscy troje dostalibyśmy niezgorsze rugi!

— A za cóż ja?

— Posądzi cię, żeś nieopatrznie wabiła go ku sobie!

— Ja... wabiłam!? — Nie zdołała nic więcej powiedzieć, gdyż wybuchnęła płaczem.

Pełna rezerwy i grzeczności postawa księcia w ciągu następnych dni nieco uśmierzyła jej gniew. Toteż pod koniec podróży na tyle się udobruchała, że znów nie unikała z nim rozmów.

Po przybyciu do Wilna nie było już takich sposobności, jakie dawały postoje. Olga była temu rada, gdyż Lech nie schodził z jej pamięci i serca i dość miała umizgów Henryka. Ale na miejscu spotkało ją gorzkie rozczarowanie, kiedy dowiedziała się od Waśki, że kupiec Morzelec, któremu towarzyszył jej ukochany, jeszcze nie powrócił. Pocztowy pocieszył ją jednak, że jest oczekiwany lada dzień.

Waśko, zwolniony już z obowiązku baczenia na dziewczynę, gdyż w dworskich warunkach nie było to zresztą możliwe, mógł od razu zająć się dalszym transportem rannego. Po okazaniu pierścienia bojarowi skazanemu przez pana z Niemierzy, otrzymał natychmiastową pomoc; parę dobrych, wypoczętych koni oraz wóz wygodniejszy od tego, który zdołał w ostatniej chwili zdobyć Jaksza.

Do Niemierzy nie było więcej niż siedem mil. Mimo więc, że wioził innego, co wymagało powolnej jazdy, Waśko spodziewał się dotrzeć na miejsce w ciągu dwóch dni. Majętność leżała na zachód od Wilna, nieco dalej od traktu wiodącego przez Troki i Olitę w kierunku granic Zakonnego państwa.

Drogę przebyto szczęśliwie i w zamierzonym czasie. Kiedy wóz w otoczeniu szczupłego pocztu zatrzymał się przed gankiem, w domu zaroilo się niczym w ulu nawiedzonym przez bartnika. Przybiegła Zyta pełna przerażenia, czy to aby nie przywieziono jej małżonka. Dowiedziawszy się wszakże, kto jest na wozie, mało co tym uspokojona, zarządziła natychmiast przygotowanie komnaty i otoczyła siostrzeńca troskliwą opieką.

Spokojny już o rannego Waśko następnego dnia ruszył w drogę powrotną.

Koła zagłębiały się w koleiny błotnistej drogi nieomal po piasty. Czwórki koni musiały więc dobrze napinać grzbiety, by uciągnąć osadzone na

specjalnych podwoziach bombardy, krótkie, ale pękate, o szerokich paszczach, którymi wyrzucały żelazne lub kamienne kule. Woźnice krzykami i batami ponaglali zaprzęgi.

Towarzyszył im szczupły oddział zbrojnych, gdyż ładunek nie był na tyle kuszący, by trzeba było obawiać się napaści, toteż Czarny szczęśliwie dotarł do Grodna. Zajechał od razu na zamek, gdzie wkrótce powitany przez ochmistrza, wskazał na bombardy.

— Dotrzymuję obietnicy danej jego wielmożności.

— Miały być cztery... A i prochów nie widzę...

— Prochy musicie kupić w Gdańsku, bo tu nikt ich nie sprzedaje. A co do bombard, to znalazłem tylko dwie w należytym stanie — byle czego nie chciałem wam dawać.

— Ciekaw jestem, co za nie będziecie żądać? Ale o tym pogadacie już z samym starostą! Trzy razy o was pytał!

— Niełatwo znaleźć takiego, który chciałby sprzedać dobry sprzęt...

— Od kogo je dostaliście?

— Od tego, kto uznał, że może je zbyć... — z uśmiechem odpowiedział Czarny.

— Spytałem mimochodem... — mruknął ochmistrz, dodając: — Chodźcie teraz, nieco się ogarnąć. Waszym ludziom także zaraz wyznaczę kwatery!

— Kiedy jego wielmożność będzie chciał ze mną mówić?

— Tego nie wiem... — Ochmistrz ruszył z miejsca, a Czarny, skinąwszy na Lecha, podążył za nim.

Był już późny wieczór, kiedy do jego izby przybył pachotek z wiadomością, że starosta chce go zobaczyć.

Książę Andrzej na jego widok zatrzymał się w swej wędrówce po komnacie i, odczekawszy, aż pachotek nie zamknie za sobą drzwi burknął w odpowiedzi na ukłon Czarnego:

— *Byłeś, łaskawco, u Świdrygiełły?*

— *Byłem, wasza wysokość...*

— *Dostałeś jakoweś pismo?*

— *Tak, oto ono... — Czarny wyciągnął pismo i podał staroście, ciekaw, czy powodowany niecierpliwością otworzył je zaraz, zdradzając przy tym, jak dalece zwraca uwagę na pieczęcie.*

Odpowiedź otrzymał natychmiast. Starosta bowiem nieomal wyszarpnął mu je z ręki, opadł na fotel i bez oglądania gwałtownie przełamał wosk. Rozłożył papier, szybko przebiegając go wzrokiem. Kiedy skończył czytanie, z wyraźnym zadowoleniem schował list w zanadrze i zwrócił się do Czarnego:

— *Jakże tam na dworze Świdrygiełły? Spokojnie?* — spytał łaskawszym już tonem.

— *Dlaczego miało być inaczej?* — zdziwił się Czarny. — *Przecież nie sposobi się do wojny...*

— *No nie, oczywiście, że nie... Miałem wszakże na myśli gości... Może kogoś przyjmuje? Sporo przecież zawiozłeś mu wina!*

— *Dość go potrzebuje dla siebie...* — z porozumiewawczym uśmiechem odpowiedział Hubert.

— *Tak, wiem o tym... Przywiozłeś podobno bombardy?* — kniaź zmienił temat. — *Mówił mi o tym Kokoszko. Czemu jednak zaledwie dwie, skoro żądałem czterech?*

— *Tyle udało mi się zdobyć. Ale są nowe, wiele z nich nie strzelano. Wasza wysokość zechce się przekonać!*

— *Pewnie, że je sprawdzę! Ale dlaczegoż nie dostarczyłeś do nich prochów, a zwłaszcza kul?!*

— *Mogłem dostać tylko same działa. Pomyślałem wszakże, że prochy macie sami, a pociski nietrudno wykonać...*

— *Hm... Istotnie... Wiele za nie żądasz?*

— *Same bombardy nie byłyby takie drogie, ale przewóz był kosztowny, bo z daleka jechały...*

— *To mnie nie obchodzi!* — burknął starosta. — *Skąd je wiesz i tak mi nie wyznasz, toteż gadaj, co mają kosztować?*

— *Pięćdziesiąt rubli za każdą, wasza wysokość.*

— *Co...?! Sześć tysięcy polskich złotych²⁸ od sztuki? Czyś ty nie oszalał?!*

— *Ludwisarzowi zapłacilibyście więcej. Połowę z tego wynosi przecz, a na nim nie zarabiam. Za doręczenie pisma także mi się należy, ale niech tam, doliczać za to nie będę...*

— *Też mi łaskawca!* — parsknął kniaź. — *Podaj rzetelną cenę, bo tyle nie zapłacę!*

²⁸ — Wg Gołębiowskiego: rubel = 117 złotych.

— *No cóż...* — Czarny wzruszył ramionami — *postaram się zbyć je komu innemu. Kniaź Witold pieniędzy nie poskąpi. Tyle nie zarabiam bym z ceny mógł zejść...*

— Ty mnie, taskawco, wielkim kniazem do muru nie przyciskaj! Znam was, kupców, liczycie ceny w dwójnasób, aby było z czego dawać upust!

— Istotnie tak bywa, ale ja na jarmarkach nie handluję!

— Handlujesz czy nie, to twoja sprawa! Ja za obie więcej jak dziesięć tysięcy nie dam! A nie chcesz, tedy wieź je do Wilna, przewóz drożej cię będzie kosztował niż upust, którego żądam! Nie wiadomo też, czy w ogóle je zbędziesz, bo Witold dział ma dosyć! Wiele ich przywiódł z Pskowa i Nowgorodu!

— Dobrze, że wasza wysokość przynajmniej wie, co kosztuje przewóz — mruknął Czarny udając zagniewanego.
— Cóż jednak mam robić, muszę się zgodzić...

— Zapłacę, oczywiście po próbie. Wydam polecenie, by wnet jej dokonano, jeśli najdą odpowiednie pociski! Obaczmy, czy te twoje działa w ogóle na coś się zdadzą!

— O tom spokojny, wasza wysokość...

Czarny pożegnał księcia i poszedł szukać ochmistrza, by dopilnował wykonania polecenia.

Odbyła się wkrótce, i to w obecności samego księcia. Obie bombardy okazały się sprawne, toteż Czarny otrzymał pieniądze, ale nie spieszył z odjazdem. Znalazł sposobność, by na osobności zamienić parę słów z ochmistrem. Wiedział już, jak się nazywa, więc zwrócił się do niego już bardziej poufale:

— Rad bym teraz, wielmożny Włodzimierzu Antonowiczu, wypić z wami po czarce. Mam w tobołach gąsiorek dobrego wina, a przy okazji dopełnić obietnicy i coś nie coś ostawić wam w podarku.

— Ależ po cóż chcecie sobie robić ekspansja! — zaprotestował ochmistrz z udanym zakłopotaniem. — Zresztą wino ostawcie na inną okazję, mnie wystarczy i kufelek miodu...

— Wielmożny panie Kokoszko, zbyt wielką jesteście dla mnie personą, bym ośmielił się częstować was miodem! Racście tedy, kiedy wola, przybyć do mej izby. Będę tam na was oczekiwał!

— Dobrze, jeno poczekajmy z tym do wieczora. Za dnia wciąż mnie będą niepokoić!

KIEDY WIĘC ZACZĘŁO się ściemniać, Czarny kazał Lechowi pozapalać świece i przygotował się na przyjęcie oczekiwanego gościa. Istotnie, zjawił się wkrótce, powitany z całym szacunkiem. Jednocześnie Czarny polecił synowi:

— Idź dojrzeć pachołków, czy należycie obrzędzają konie. A także niech nasmarują wozy, bo czeka nas niełatwa droga!

Kiedy zasiedli już tylko we dwóch za stołem, napełnił kubki i rozpoczął zdawkową rozmowę. Ochmistrz ze swej strony chwalił przedni gatunek wina, nie zadawał jednak żadnych pytań, również uznając, że najpierw należy dopełnić towarzyskiego ceremoniału. Ale Czarny nie zwlekał zbyt długo i wkrótce przeszedł do sprawy:

— Jak sądzicie, Włodzimierzu Antonowiczu, komu bardziej sprzyja pan starosta: Zakonowi czy Świdrygielle?

— Ależ... — zachnął się ochmistrz. — Przede wszystkim wielkiemu księciu!

— W to wcale nie wątpię... — zgodził się Czarny, ale takim tonem, że Kokoszko obrzucił go uważnym spojrzeniem.

— Po co pytacie o innych...? — spytał ostrożnie.

— *Bom ciekaw. A sądzę, że przebywając u boku kniazia, na pewno to wiecie.*

— *W takiej konfidencji z nim nie jestem... — bąknął ochmistrz ze wzrokiem utkwionym we wnętrze kubka, który obracał w palcach.*

— *Dziwno mi też, że o to pytacie...*

— *Ależ, wielmożny panie Kokoszko, przecież chyba wiecie, że my, kupcy, musimy wiele wiedzieć, by robić interesy! Ale żeby wiedzieć, trzeba też za to płacić... — westchnął Czarny.*

Ochmistrz utkwiał wzrok w jego oczach.

— *A komu, podług was, powinien bardziej sprzyjać? Świdrygielle czy Zakonowi?*

Czarny uśmiechnął się i nie odwracając oczu odpowiedział:

— *Sądzę, że Zakonowi...*

Kokoszko zmarszczył brwi i rzucił cicho: — Zakonowi dobrze jest służyć, ale serce ciągnie do własnej krwi...

— *To dziwne nie jest. Toteż nie myślę, by Krzyżacy byli temu przeciwni. Nie kupiecka to sprawa, wszakże sądzę, że pochwalając tę skłonność, chcieliby jednak wiedzieć, czy mogą na niej polegać?*

— *Chyba nie tylko kupiecka ciekawość wchodzi tu w rachubę? Czego zatem ode mnie oczekujecie? — spytał już otwarcie Kokoszko.*

Czarny także uznał, że pora mówić bardziej szczerze, więc odpowiedział:

— *Pragnąłbym wiedzieć, co u was się dzieje, zwłaszcza czy książę nadal będzie przychylny nie tylko Świdrygielle, ale i Zakonowi?*

— *Wszakże to kosztowna ciekawość. Czy kupcowi opłaci się ją zaspokoić?*

Czarny, zamiast odpowiedzieć, sięgnął pod stół i rzucił na blat mocno wypchany worek.

— *Tu jest trzydzieści rubli, które raczcie przyjąć ode mnie za przychylność — wyjaśnił podsuwając woreczek w stronę ochmistrza.*

— *Poza tym, za każde nadesłane pismo otrzymacie, wasza wielmożność, równie sowitą zapłatę. Gdyby zaś zdarzyło się coś ważnego, za pilnego gońca zapłata będzie podwójna. Jak zatem widzicie, my, kupcy, płacimy dobrze...*

Kokoszko spojrzął na worek wyraźnie poruszony jego objętością, z kolei przeniósł wzrok na Czarnego i uśmiechnął się z uznaniem.

— *Przyznaję, że Zakon, czy też wy, skąpi nie jesteście... Dokąd tedy te listy mam wysyłać?*

— *Do namiotnika Jaszki w Wilnie. Ma warsztat po północnej stronie kupieckiego dworu. Każdy go wskaże. On też będzie miał dla was pieniądze.*

Ochmistrz już bez słowa skinął głową i sięgnął po worek.

MARYNARZ PO DŁUGIM REJSIE czuje się niepewnie na nogach, gdy zejdzie na ląd. Również i Roch, długo kolebany i wstrząsany wybojami drogi, czuł się teraz dziwnie leżąc spokojnie w nieruchomym i wygodnym łożu.

Komnata, w której się przebudził, zamiast czarnego płótna rozciągniętego tuż nad głową, miała belkowaną powałę. Dwa małe, zaciągnięte rybim pęcherzem okienka nie dawały zbyt dużo światła, ale bielone ściany sprawiały, że nie wydawała się mroczna.

Pomiędzy nimi stała skrzynia na odzież, stół, przy nim parę zydli. W rogu na krótkiej ławie stała gliniana misa, a obok niej drewniane wiadro z wodą.

Panowała cisza. Zakłócały ją jedynie jakieś nikle i trudne do określenia odgłosy dochodzące gdzieś z dala, spoza domu. Dowodziły, że za jego ścianami toczyło się życie, krzżeli się ludzie zajęci swoimi codziennymi sprawami.

W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje, ale zaraz przypomniał sobie wczorajszy przyjazd, bieganinę służby i ciepło ogrzanego ceglanym piecem pokoju.

Poczuł swędzenie rany, co oznaczało, że zaczynała się goić, ale mimo to ból dawał się jeszcze we znaki. Rad był jednak, że podróż ma wreszcie za sobą, co pozwoli na lepsze opatrunki, a tym samym na szybszy powrót do zdrowia.

Właśnie zastanawiał się, czy się ktoś pojawi, bo zaczął odczuwać głód, kiedy usłyszał za drzwiami szybkie, lekkie kroki, a za chwilę ujrzał na progu szczupłą sylwetkę ciotki Zyty. Widział ją ostatnio kilka lat temu, kiedy ojciec zabrał ich obu do Niemierzy, ale mało co przez ten czas się zmieniła. Po dawnemu trzymała się prosto, w czarnych włosach nie widać było ani jednej srebrnej nitki, a oczy, jak dawniej duże i piękne, pełne były blasku. Słyszał wprawdzie, że była kiedyś w krzyżackiej niewoli, wybawiona z niej przez swego obecnego małżonka, przeżycia te jednak nie pozostawiły na jej urodzie żadnego śladu.

— Spałeś dobrze? — spytała pozdrowiwszy go przyjaźnie. — Wygodne masz poście? —

— Nad wyraz wygodne, ciotko! Toteż spałem niczym borsuk w jamie! Z serca dziękuję!

— Zmęczyła cię podróż! Teraz już będziesz mógł spokojnie wracać do zdrowia! Przekazałam Aldonie, by przyniosła ci posiłek, gdyż chciałam, abyś miał okazję poznać swą cioteczną! Widziałeś ją wprawdzie, ale dawno, kiedy jeszcze była umorusanym szkrabem! Teraz już z niej pannica!

— Rad ją ujrzeć, a i posiłek równie chętnie, bom mocno głodny! — wyznał szczerze Roch, zdaje się bardziej wypatrując jadła niż panny.

— Wkrótce go otrzymasz, leż więc spokojnie. Potem przyślę ci tu pachółków z cebrem gorącej wody. Ranę także trzeba będzie opatrzyć jak należy, tym wszakże zajmie się stara Tekla. Ta nie tylko umie warzyć przednie piwo, ale sławna jest z tego, że zna się na wszelkich ziołach.

Drzwi uchylły się odsunięte małym pantofelkiem i pojawiła się smukła dziewczyna z tacą w rękach, na której z misy pełnej zacierki parowało mleko.

— Oto Aldona, twoja powinowata — objaśnił Zyta.

Roch nie omieszkął przyjrzeć się dziewczynie, przy czym zauważył, że też zerknęła na niego ciekawie, ale zaraz opuściła głowę, widząc uważając, by nie rozlać mleka. Od razu dostrzegł ogromne podobieństwo do matki. Miała takie same ciemne, duże oczy, okolone czernią długich rzęs, taki sam nieco garbaty nosek i usta o lekko nabrzmiąłych wargach. Jedynie włosy nie były krucze jak u matki, a koloru leśnego miodu, widać po ojcu, który nosił za młodych lat przydomek Rudy, gdyż istotnie jego jasna czupryna miała nieco rdzawe zabarwienie.

Ostrożnie oddała tacę w ręce Rocha, potem obróciła się, spoglądając z wahaniem na matkę, która widząc to, poleciała:

— Pogadajcie sobie dopóki nie skończy posiłku! Potem odniesiesz misę do kuchni i przykażesz pachotkom przynieść wodę do kąpieli!

Wyszła skinąwszy z uśmiechem głową Rochowi. Kiedy zostali sami, ten odezwał się między jedną łyżką a drugą:

— Widzę, że z pączka wyrósł piękny kwiat! Cieszę się, że mam tak nadobną krewniaczkę!

Na twarzy dziewczyny ukazał się rumieniec, mimo to odpowiedziała spokojnie, a nawet z pewną powagą:

— Nie sądzę, abym zasłużyła na te grzeczne słowa, ale mimo to dziękuję ci za nie...

Nieco zaskoczony zdawkowym przyjęciem swego podziwu rzucił z uśmiechem:

— Jeśli nadal tak będziesz mnie żywić, wnet zaproszę cię do tańca!

— Tyś zapewne bywał po świecie, toteż tańczyć potrafisz. Ja nie umiem.

— Prawdę powiedziawszy, ja także nie, bo po raz pierwszy rodzic zabrał nas ze sobą na dwór wielkiego księcia.

— I tam cię raniono?

— Tak... Zdarzyła się drobna potyczka... — rzucił niby obojętnie i zaraz spytał chcąc zmienić temat:

— Czyżbyś tu nie miała sposobności do tańca? Przecież po dworach bywają zabawy?

— Przeważnie w zapusty. Ale ja niechętnie wyjeżdżam.

— Czy chłopców także nie lubisz? Przecież nie tylko do tańca są zdadni!

Uniosła głowę i lekko marszcząc brwi spojrzała mu w oczy.

— Nie lubię. Bo jeno do przechwatek i grubiańskich zalecanek bywają chętni!

— Chyba nie wszyscy! A gdybym tak ja stał się twym zalotnikiem?

— Przecież jesteś mi siostrzanym bratem? Jakże tedy możesz nim być? — zdziwiła się szczerze.

— Jedno drugiemu nie wadzi! To nie wiesz, że powinowaci także pobierają się ze sobą? Kościół na to zezwala!

— Żarty chyba sobie czynisz...

— Ależ nie! U nas, w sąsiedniej majątności, wuj siostrzenicę poślubił, i to mimo że o dwadzieścia lat była młodsza!

— Wiem, że dworujesz sobie ze mnie, toteż niechętnie tego słucham i proszę, abyś takich żartów poniechał!

W jej głosie wyczuł stanowczość, która, zważywszy na młody wiek mocno go zadziwiła. Odezwał się więc pojednawczo:

— Istotnie, poważnie tego nie mówiłem, jedynie byłem ciekaw, co mi na to odpowiesz. Ale to nie znaczy, że nie dostrzegam twojej urody!

— Prawisz mi jeno grzeczności, choć przyczyny ku temu nie ma... — mruknęła, znów opuszczając głowę.

— Nie, mówię szczerze... — zapewniał, dodając z przekornym uśmiechem: — Aby cię o tym przekonać, będę zabiegał o twą przychyłność! Chyba że równie szczerze mi wyznasz, że ci się nie spodobał!

— Skończyłaś zacierkę, tedy daj mi ją, odniosę ją do kuchni... — rzuciła zamiast odpowiedzi, wstając jednocześnie ze skrzyni.

Po powrocie z Niemierzy Waśko przede wszystkim odszukał Olę. Czuł się zobowiązany do udzielania jej pomocy, jeśliby jej potrzebowała, mimo że podróż już się skończyła. Wiedział jednak, że Lecha łączy z dziewczyną uczucie i że zapewne zostanie jego panią, więc już teraz po trosze tak ją traktował. Zresztą polubił ją za zadzierzystość usposobienia i dzielność, jaką wykazała w drodze.

Olga również darzyła go zaufaniem, toteż kiedy spotkali się na gospodarskim podwórku i skryli pomiędzy sęgami drzewa, rzuciła ściszym głosem:

— Znów Nienuszek kazała mi pisać list do Grodna...

Waśko, uczestnicząc w poczynaniach Czarnego, znał tok związanych z tym spraw, więc spytał z zaciekawieniem:

— Co pisała?

— Donosiła o powrocie księżny do Wilna, a także o pobycie wielkiego kniazia w Nieświeżu i dalszych zamierzonych odwiedzinach. A także o jego rychłej koronacji, ku czemu skłaniają go również i przyjaciele grodzieńskiego starosty. Z tego jednak ponoć Świdrygiełło nie jest zadowolony. Nienawidzi Witolda, więc jest przeciwny temu wyniesieniu, gdyż po jego śmierci zamyka mu ono drogę do wielkopsiężącego fotela.

— To chyba ważna wiadomość... — zastanowił się Waśko. — Dobrze więc, że mi o tym jaśnie panienska mówi. Postaram się jak najrychlej powiadomić kogo trzeba!

— Zwykle mówiłam o tym Lechowi...

— A on przekazywał wieść rodzicowi. Teraz ja muszę uczynić to za ich obu.

— To znaczy, że nie spodziewasz się ich rychłego przybycia!

— Ależ nie, będę tu już wkrótce! Ale takie wieści należy przysyłać od razu bo spóźnione stają się często mało warte!

— Rób więc jak uważasz, wiesz to lepiej ode mnie. Kiedyż jednak ten Lech przybędzie?! Tęskno mi do niego... — westchnęła dziewczyna.

Waśko uśmiechnął się.

— Macie, jaśnie panienko, na pociechę księcia Henryka...

— Nie mów mi o nim! — zachnęła się. — Chyba że chcesz mi dokuczyć!

— To przecież całkiem gładki kawaler... — pocztowy przekomarzał się dalej.

— Dotąd cię lubiłam, ale skoro mi go zachwalasz, idź precz! — rozżłościła się dziewczyna.

— Przecież poważnie tego nie mówiłem.

— Tedy tak nie żartuj, niecnoto! — już pogodniej rzuciła Olga.

— Zresztą pojednałam się z nim, tym bardziej że chce pokazać swego nowego wierzchowca, którego mam też dosiąść! A to więcej mnie cieszy, niż towarzystwo tego zarozumialca!

— Wciąż zatem nie daje wam spokoju?

— Niczego teraz nie mogę mu zarzucić. Stał się bardziej strawny,..

— To żmija, której wierzyć nie można...

Istotnie, w przeddzień tej rozmowy, wracając w towarzystwie pani Nienuszko z kościoła, spotkała księcia Henryka. Ku niezadowoleniu Olgi zatrzymał ochmistrzynię jakiś dworak, musiała więc pozostać z nim sama. Wszakże prowadził grzeczną rozmowę, tylko nieznacznie napomykając, jak bardzo brakowało mu jej towarzystwa, a na zakończenie nadmienił:

— Kupiłem niedawno pięknego wierzchowca. Rad bym pochwalić się nim przed wami i pokazać, jak wspaniale chodzi pod siodłem... Nie zechcielibyście go obejrzeć, a może i dosiąść?

Olga, zachęcona ponętną dla niej propozycją, zgodziła się od razu.

— Chętnie dosiądę dobrego wierzchowca! Chyba pani Nienuszko mi zezwoli...

— Zatem odszukam was wkrótce...

Dotrzymał obietnicy, gdyż już następnego dnia spotkała go na zamku. Kiedy dowiedział się o uzyskanym przez nią zezwoleniu, zaproponował:

— Wdziejcie więc szybko odpowiednie szaty, a ja tu na was zaczekam...

— Teraz? — zawahała się chwilę, ale zaraz wyraziła zgodę: dobrze, wnet będę gotowa!

Niebawem skierowali się ku książęcym stajniom. Jedna z nich, stojąca nieco na uboczu, miała uchylone wrota ukazujące ciemne wnętrza, z którego dochodził chrzęst przeżuwanego przez konie.

— Tu stoją wierzchowce co znaczniejszych książęcych dworzan, a także moje... — wyjaśnił szerzej otwierając wrota.

Weszli w mrok tego wnętrza.

— Mało co będę mogła tu zobaczyć.. — zauważyła dziewczyna. — Chyba lepiej obejrzę waszego wierzchowca na dworze...

— Wnet oczy przywykną wam do zmroku. Zresztą za chwilę każę go wyprowadzić do osiodłania.

Ruszyli wzdłuż boksów, w głąb stajni. Stojące w nich zwierzęta obracały ku nim łby, a niektóre pochrapywały jakby na powitanie czy też ciekawe, kto je niepokoi.

— Gdzież on stoi? Toć tu już zupełnie ciemno!

— Tym lepiej... Będzie nam milej... — odpowiedział stłumionym głosem. Słowa te i ton, jakim zostały wypowiedziane, sprawiły, że nagle

wystraszona zatrzymała się w miejscu. Nie widziała już przed sobą koni, a jedynie zasiłek wypełniony sianem. Na dalsze spostrzeżenia nie miała jednak czasu, gdyż raptem chwycił ją za ramiona i obrócił ku sobie, mówiąc zdławionym ze wzburzenia szeptem:

— Myślałaś, że wciąż ci będę prawił grzeczności gorzejc ogniem, któryś roznieciła?! Że będę skakał przy twej kiece niczym posłuszne pacholę?! Ale wnet, chcesz czy nie, będziesz mi powolna!

Pchnięta gwałtownie upadła na siano, a on zwałił się na nią przygniatając swym ciężarem. Zdołała tylko zawołać: — Waško! — jakby on był w pobliżu, ale nie zdążyła już nic więcej krzyknąć, gdyż zacisnęła dłoń jej usta, jednocześnie szarpiąc na niej odzież.

Próbowała się bronić, lecz przygnieciona i ujęta w żelazny uścisk, poczuła ze zgrozą, że opada z sił i wkrótce ulegnie przemocy. Przerażona tą myślą jeszcze szarpała się pod nim, ale już coraz słabiej i bez nadziei wybawienia.

I byłby Henryk zaspokoił swe pragnienie, gdyby wrota nie rozwarły się nagle i nie stanął w nich Waško. Dostrzegł od razu szamocące się w mroku postacie, skoczył ku nim i szarpnąwszy księcia za ramiona, odrzucił na bok.

Ten natychmiast zerwał się na nogi, z rozognioną jeszcze twarzą, i wyrwał z pochwy mieczyk. Waško jednak chwycił za stojące pod ścianą widły i, wystawiwszy je ku napastnikowi, mruknął przez zaciśnięte zęby:

— Chodź tu, kogucie, a nadzieję cię niczym na rożen...

I Henryk zmierzył go wściekłym spojrzeniem, ale widząc skierowane ku swojej piersi żelazne ostrze, osadzone na długim trzonku, od razu wiedział, że zostanie ugodzony pierwej, nim sam dosięgnie przeciwnika. Toteż nie wypuszczając broni z ręki ruszył do wyjścia. Ale przedtem zatrzymał się jeszcze na chwilę i obróciwszy do nich, rzucił gwałtownie:

— Ciebie, psie, ubiję, a ja i tak dostanę! Z moich rąk nie ujdzie, a jej dwóch jednakich gachów także dosięgnę!

Nie oglądając się już za siebie, opuścił stajnię. Waško nachylił się nad rozszlochaną dziewczyną i dopomógł jej podnieść się na nogi. Wyczuł przy tym, że wszelkie pocieszenia wzmogą tylko jej spazmy, więc krzyknął z udanym gniewem:

— Przestań, do czorta, mazać się! Nie ma co biadolić, gdyż zdążyłem na czas! Ogarnij się, a także popraw włosy, bo pełno w nich siana! Masz tu opończę, którą ten pies odrzucił, okryj nią ten rozdarty kubrak!

— Tak... tak... — chlipała dalej, niezdolna nic więcej powiedzieć.

— Nie becz już! Oczy ci podpuchną i zaraz zaczną pytać, co się wydarzyło!

— Jak mam nie bezczeć, skoro tak mnie sponiewierał...! Ale Lech mu za to odpłaci... Na pewno odpłaci... — wreszcie odzyskała głos.

— Obaj mu odpłacimy, niech jeno nadarzy się sposobność! Tedy już się nie trap, ruszajmy na zamek! Pójdę z tobą.

— Zaraz, muszę nieco ochłonąć... — Przestała płakać, ale jeszcze chwilami z trudem łapała powietrze. Wreszcie, już spokojniej spytała:

— Jak to się stało, żeś był w pobliżu?

— Byłem, boś powiedziała mi wczoraj, że oboje wybieracie się do stajni. Wiem, co to za gad, toteż nie spuszczałem was z oczu. Usłyszawszy wołanie panienki zaraz wiedziałem, w czym rzecz...

— Dzięki, Waško... Nie zapomnę ci tego. Ale nie mów nikomu, co się wydarzyło...

— Pewnie że nie powiem, tylko panu Lechowi! — zastrzegł się pocztowy. — No, już ruszajmy, aby z kolei nas ktoś tu nie dostrzegł!

Czarny, wracając do Wilna, zboczył do Niemierzy, by dowiedzieć się o zdrowie Rocha. Powitany radośnie przez Zytę i syna z ulgą przekonał się, że rana goi się mu dobrze i rychło powinien wrócić do sił. Młodzieniec niecierpliwiał się i gotów był chociażby zaraz wstawać z pościeli, ale, napomniany przez rodzica, musiał zdobyć się na cierpliwość. Zresztą Czarny uprzedził go, że nie wolno mu bez wezwania opuszczać Niemierzy, zwłaszcza po owej rozmowie z nieznanym, o czym zresztą sam opowiadał. Dopóki więc Lech jest w Wilnie, on będzie musiał pozostać na uboczu, a to ze względu na Kachnera.

Nie w smak była ta zapowiedź Rochowi, ale dostrzegł też i dobre strony tego zakazu. Wzrastające upodobanie do towarzystwa Aldony było owym balsamem kojącym ojcowskie polecenie, coraz bowiem większą przyjemność sprawiała mu jej obecność, coraz bardziej lubił słuchać jej głosu o niskim brzmieniu.

Czarny, uspokojony co do zdrowia syna, jeszcze z Niemierzy wysłał Unie pomyslną wiadomość i ruszył do Wilna.

Nie wiedząc, gdzie się obecnie Kachner znajduje, musiał zachować ostrożność, toteż, omijając zamek, udał się wprost na swoją kwaterę. Lech, ledwie co ogarnąwszy się po podróży, chciał natychmiast ruszyć na poszukiwanie Ołgi, ale zakazał mu tego surowo, polecając pozostać w domu, dopóki sam nie rozezna się w sytuacji. Stało się to konieczne, zwłaszcza po rozmowie z Waską, w której ten, natychmiast po ich przybyciu, zdał mu szczegółową relację.

Dopiero więc po zapadnięciu ciemności wybrał się na zamek. Udało mu się zastać pana Cebulkę na miejscu i wkrótce został przez niego przyjęty. Kanclerz powitał go przyjaźnie i zezwoliwszy siadać, zagadnął z wyraźnym zaciekawieniem:

— Jakże owe bombardy? Podobały się panu staroście?

— Wymawiał mi, że dostarczył tylko dwie.

— Patrzcie go! Widać istotnie zamierza coś poważnego!

— Chyba nie on. Spełnia raczej rozkazy Świdrygiełły, co zresztą jasno wynika z listu, który mu doręczyłem.

— Badał pieczęcie?

— Ani na nie spojrział. Przełamał zaraz przy mnie, widać bardziej ciekaw, co zawiera pismo. Nienuszek także już przesłał mi wiadomość, o czym mi wiadomo od jego bratanicy, która listy dla ochmistryni pisze.

— Tak, słyszałem o tym. Co donosiła?

— O powrocie do Wilna, a także, że Świdrygiełło ma być przeciwny koronacji Witolda.

— No proszę, mamy więc nowego sojusznika! — ironicznie zauważył kanclerz.

— A co z Kachnerem? Czy wiadomo, gdzie teraz przebywa? — spytał Czarny.

— Wiem tylko tyle, że ani w Wilnie, ani przy dworze króla go nie ma. Widać wrócił do siebie.

— A kto zacy jest ten książę Henryk, który przystał do waszego dworu?

— To bratanek wrocławskiego biskupa, księcia Konrada. Ulubieniec króla Władysława, a także po trosze wielkiego kniazia. Dlaczego o niego pytasz?

— Napastował Olgę, bratanicę starosty, gwałt próbując jej zadać.

Cebulka gniewnie zmarszczył brwi.

— Istotnie doniesiono mi, jakoby właśnie za jej przyczyną przystał do naszego dworu. Nie spodziewałem się jednak, że aż na tyle się ośmielił. Zapewne ufny w łaskawość księcia sądził, że ujdzie mu to płazem... Ale nie zna Witolda, on sam wprowadzie łasy na niewiasty i nieobce mu gwałty, ale właśnie dlatego nikomu na to nie zezwoli! Taki postępek poczytywałby bowiem za podważenie jego prawa do poddanych których on może być jedynym panem! Toteż jeśli on czyni gwałt niewieście, to z jej przyczyny, bo winna mu posłuszeństwo, które w razie oporu ma prawo wymusić!

— Czy aby dziewczka to jedyny powód, dla którego to ksiąźtka jest tutaj?

No właśnie... I ja w to wątpię, bo mówiono mi, że mocno podnieca Witolda do wytrwania przy zamierzonej koronacji...

— Zatem to cesarski sługa. Będę o tym pamiętał. Chcę też zawiadomić waszą wielmożność, że zezwolę memu synowi stanąć z nim do walki za ową próbę gwałtu, gdyż ta dziewczyna jest z nim zmówiona i zatem godzi się, by za nią się ujął!

— Tak, rozumiem... Postaram się zawiadomić o tym wielkiego księcia. Nie weźmie wówczas za złe waszemu synowi, że na jego gościa podniósł oręż. A także mniej będzie ufał Henrykowi, co będzie z pożytkiem i dla naszej sprawy...

Czarny, osiągnąwszy to, co zamierzał, zmienił temat.

— Za bombardy dostałem blisko sto rubli. Część z tego wprowadzie już wydałem, ale sądzę, że korzystnie... Mam na myśli grodzieńskiego ochmistrza.

Przyjął! — Cebulka spojrzął porozumiewawczo na Huberta.

— Tak jak przypuszczałem.

— Tak od razu? Przecież sprzeniewierza się swemu panu! Czyżby był mu niechętny?

— Ależ nie! — Czarny roześmiał się. — W swoim mniemaniu niczego złego przeciw niemu nie czyni! A jeśli głupi kupiec chce płacić, to czemu pieniędzy nie przyjąć?

— Jakże to? — zdziwił się kanclerz.

— Był pewny, że skoro jestem gdańskim kupcem, zatem muszę być wysłannikiem Zakonu. Ja zaś w tym mniemaniu go utwierdziłem wszakże jasno o tym nie mówiąc.

— Śmiać by się można, gdyby nie szło o poważną sprawę — zawołał z rozbawieniem kanclerz. — Nam dostarcza wiadomości w przekonaniu, że przesyła je Zakonowi!

— Dlatego też zgodził się bez zbytnich oporów, zapewne także skuszony dobrze wypchanym mieszkiem, który mu podsunąłem.

— Tak czy inaczej, powinszować waszmości!

Miałbym też i inną propozycję dla waszej wielmożności, chyba równie krotochwilną.

— Cóż takiego?

— Gdyby tak nakłonić wielkiego księcia, lecz po pewnym czasie, by nakazał grodzieńskiemu staroście przestać dwie bombardy innemu, rzekomo bardziej zagrożonemu grodowi?

— Aby nie mógł skorzystać z owych dział?

— Nie tylko to. W ten sposób owymi stoma rublami, nic w zamian nie mając, opłaci nasze działania przeciw Świdrygielle, a także przeciw sobie samemu...

Tym razem pan Cebulka nie powstrzymał się od śmiechu.

— Istotnie, wasza propozycja pobudza do wesołości! Księżciu zaś na pewno do gustu, gdyż prawdę mówiąc i sam czyni podobnie! Najprzód zezwała poborcom podatków obdzierać ludność, a potem, niby w jej obronie, za karę wyzbywa owych poborców z zagrabionego mienia! Takim sposobem skarbiec ma pełny, a ludność uważa go za swego opiekuna! Dobrze, będę o tym z nim mówił, a także o księżciu Henryku.

— Co mam robić z resztą otrzymanych pieniędzy? Po pokryciu innych ekspensów pozostało mi jeszcze ponad sześćdziesiąt rubli.

— Tak jakem już rzekł, zatrzymaj je na dalsze wydatki, nie wyłączając własnych. Płacić musimy, gdyż bez tego wiele nie zdziałamy. Ten ochmistrz także jeszcze będzie nas kosztował, a za darmo można dostać najwyżej kubek wody!

Po powrocie na kwaterę Czarny wezwał syna i, rozkazawszy przysięść, jakiś czas przyglądał mu się, jakby oceniając jego kondycję. Wreszcie odezwał się:

— Wiesz co przytrafiło się twojej miłej?

— Wiem, ojcze! Ale zapłaci mi za to!

— Tak też powinno się stać! Wchodzisz w męski wiek, już nie jesteś pacholę, toteż tej zniewagi, ze względu na jej i własny honor, nie możesz puścić płazem! Nadeszła więc pora, abym sprawdził, czy dobrze cię nauczyłem władać bronią. Wyzwiesz tego psubrata na ubitą ziemię i mieczem nauczysz obyczajów rycerskich!

— Zamierzałem to uczynić, ale dzięki ci, ojcze, za zezwolenie...

Istotnie, Lech jeszcze przed tą rozmową poszukiwał Henryka, lecz nigdzie nie mógł go spotkać, a rozpytywani dworzanie także nie widzieli od paru dni. Doszedł więc do przekonania, że jego przeciwnik skrył się umyślnie, by przeczekać burzę, jeśliby jego postępek wyszedł na jaw.

Poszukiwania te czynił jednak już po spotkaniu z Olgą, gdyż z nią przede wszystkim pragnął się zobaczyć. Dowiedziawszy się, gdzie jest, czekał na nią na korytarzu zamkowym. Kiedy go ujrzała, podbiegła i, nie zważając na przechodzących dworzan, rzuciła mu się na szyję pokrywając twarz pocałunkami. On nie pozostał jej dłużny i objąwszy ramionami od razu poszukał ust. Potem ujęli się za ręce i szukali komnaty, gdzie mogliby pogadać spokojnie.

Wkrótce znaleźli ławę w zacisznej wnęce okiennej. Usiedli i nadal nie puszczając swych dłoni patrzyli na siebie rozradowanymi oczami, aż wreszcie Lech odezwał się:

— Wiem, co tu zaszło. Waśko mi powiedział...

Twarz dziewczyny spochmurniała.

— Co zamierzasz? — spytała, przyglądając mu się badawczo.

— Odszukam go i, da Bóg, pokarzę.

— Chcę, abys go zabił! Gdyby nie Waśko, już byś mnie żywej nie widział, bo hańby bym nie przeżyła!

— Wiem, com mu winien. A także temu psubratu! Bądź pewna, że zapłatę otrzyma!

Przesunęła mu dłoń po twarzy.

— Dzięki ci, Lechu. Spodziewałam się tego po tobie...

Już po raz drugi nie przewidzieli jednak, że inaczej los pokieruje zdarzeniami i gotuje im jeszcze niejedno strapienie, którego właśnie Henryk będzie przyczyną.

— Niezgorzej przypieka... — Roch uniósł twarz wystawiając ją ku słońcu. — Mimo że dopiero nastał kwiecień...

— Ależ też i wiosna w tym roku nadeszła rychlej — stwierdziła Aldona nie odwracając głowy. — Teraz szybko nabierzesz sił.

— Tak, dzięki Tekli rana już mi się zagoiła. Ta stara potrafi lepiej leczyć niż uczony medyk!

— Niczym innym jak ziołami, z których robi napoje i maści. A że skuteczne, poznałeś na sobie.

— I cóż z tego, skoro rodzic przykazał mi nie opuszczać Niemierzy — westchnął Roch.

Siedzieli na tyłach domu, gdzie mały placzyk wysypany piaskiem otaczały półkolem kwiatowe grędy już obsiane przez Zytę. ciągnął się owocowy sad. Gałęzie drzew były jeszcze nagie, ale już miały pąki czekające na słońce, by rozwinąć się w liście. Roch wstawał od pewnego czasu z łoża i, chociaż jeszcze nie w pełni sił, chodził po domu, by zaznać nieco ruchu. Kiedy zaś wreszcie nastaly cieplejsze dni, zaczął za zezwoleniem Tekli wychodzić i na dwór. Czuł, jak przybywa mu sił, więc tym bardziej doskwierała trudna do zniesienia beczczynność. Łagodziły ją częste odwiedziny Aldony, która odrywała się od swych zwykłych zajęć dla dotrzymania mu towarzystwa. Zyta nie broniła jej tego, a nawet była rada, zdając sobie sprawę z samotności, jaką musiał chłopak odczuwać.

— Tak tu ci źle? — spytała dziewczyna patrząc w stronę sadu, gdzie na błękitnym tle nieba czerniała siatka gałęzi.

— Przeciwnie, niczym w raj! — zaprzeczył gorąco, zażenowany niezręcznym powiedzeniem. — Przecież dzięki ciotce, a zwłaszcza twojej opiece tak rychło wydobrzałem! Trudno mi jednak przychodzi to nieustanne leżenie...

— Niedługo wrócą ci siły i będziesz mógł polować albo dojrzeć robót w polu...

— Oby jak najprędzej... — westchnął. — Łoże wyzbyło mnie z sił! Nie wiem, jak bym wytrzymał, gdyby nie ty!

— Mówisz to tylko z grzeczności... — spojrzała na niego z przekornym uśmieszkiem.

— Nie dostrzegłaś, jak wodzę za tobą oczami? — spytał dla żartu, ale od razu zdał sobie sprawę, że tak było istotnie.

Speszyła się wyraźnie.

— E, tam... — mruknęła — prawisz byle co...

— Nie byle co, a prawdę! — zapewnił ją gorąco, gdyż wyczuł sarkazm w jej głosie. — Twoja uroda... no, nie chcę za dużo gadać, ale w istocie trudno mi oderwać od ciebie wzrok...

— Wolę, abys tak nie mówił.

— Czemu? Czy dziewczynie mogą być przykre takie słowa? Ja nie lubię ich słuchać.

— A więc mówili ci to i inni?!

— I co z tego?

— Nie lubisz słuchać słów podziwu?

— Nie, gdyż im nie wierzę. Prawicie je przez grzeczność albo chcąc dziewczynie zawrócić w głowie.

— Młoda jesteś, a osądzasz jakbyś przeżyła już szmat życia!

— Czyż trzeba długich lat, aby dostrzec to, co widać wyraźnie?

— Omylić się można łatwo. A jeśli znajdzie się taki, który będzie szczery?

— Masz siebie na myśli, co? — spytała z drwiną w głosie.

— Możesz wierzyć lub nie, ale mówiłem prawdę! A skoro wyznałem już tyle — Roch unosił się coraz bardziej — to wyznam i więcej! Nie tylko raduję się twoim widokiem, ale czuję pragnienie, aby cię wziąć w ramiona, przygarnąć ku sobie, ucałować twe piękne oczy, wtulić twarz we włosy i... — urwał raptownie, gdyż przestraszył się, że ją zrazi śmiałością własnych słów.

Wystarczyło jednak tego, co już powiedział, aby raptem zeszywniała. Chwilę siedziała jakby zamieniona w posąg, a potem wolno wstała i, obróciwszy się, jakiś czas z góry spoglądała na niego. Wreszcie odezwała się spokojnie i bez żadnego wzruszenia:

— Muszę ostrzec Teklę, że gorączka jeszcze cię nachodzi. A teraz ostaniesz sam, gdyż pora, abym pomogła matce...

Strapiiony obojętnością, z jaką przyjęła jego wyznanie, z goryczą rozmyślał nad doznaną odprawą. Do dziewczyny nie miał żalu, gdyż rozumiał, że niekoniecznie i ona musiała czuć ku niemu skłonność, ale był zły, że dał się ponieść dziwnej tkliwości, która raptem go ogarnęła i jakby zmusiła do tego wyznania. Podczas dotychczasowych rozmów nigdy podobnego uczucia nie zaznał. Dopiero teraz naszło go, i to całkiem

nieoczekiwanie, może dlatego, że zlekceważyła jego zwierzenie. Nie mógł zrozumieć, jak się to stało, ale czuł, że to, co powiedział, było prawdą, która już w nim pozostanie. Więc tym bardziej zabolęła go jej obojętność.

Już cały dzień, do wieczora, nie widział dziewczyny. Siedział wprawdzie na słońcu w nadziei, że nadejdzie, ale okazało się, że daremnie. Wrócił więc do siebie pewien, że przynajmniej ujrzy ją w czasie obiadu. Ale i przy stole jej nie było; nie odważył się jednak o nią pytać, by nie zdradzić się ze swym niepokojem. Skutkiem tego mało co jadł, zwracając tym uwagę Zyty, która zagadnęła go z troską w głosie:

— Widzę, że odeszła cię ochota do jedzenia. Czy gorzej się czujesz?

— Nie, ciotko... — bąknął zażenowany. — Chyba dlatego, że nie mam nic do czynienia... Siły mi wracają, a wciąż nie wolno nu czymkolwiek się zająć!

— Tekla chce, aby rana dobrze się zagoiła, bo jeśli się otworzy, znów czeka cię łożo! Okazjcie cierpliwość, a wkrótce będziesz mógł dosięść konia.

Przy wieczerzy Aldony także nie było, więc teraz już nie zdołał się opanować, by o nią nie zapytać, starając się jednak okazać tylko grzecznościową ciekawość:

— Cóż to się stało, że nie ma Aldony?

— Obiad jadła później, bo robiła wiosenne porządki w ulach. Teraz zaś, ponoć zmęczona, pozostała u siebie... — zdawkowo wyjaśniła Zyta, ale dorzuciła: — zapewne brakowało ci jej towarzysztwa?

— Ależ nie... nie... — zaprzeczył z rumieńcem na twarzy, który zdaje się nie uszedł uwagi Zyty, gdyż zerknęła na niego z nieznacznym uśmieszkiem.

Nazajutrz wyszedł na zwykłe miejsce, gdzie mógł korzystać z pełni słońca, co nakazała stara Tekla. Usiadł na ławie, oparł się plecami o ścianę domu i zamknąwszy oczy myślał tylko o tym, czy dziewczyna tym razem przyjdzie, czy też nie. Ucieszył się więc, kiedy usłyszał zbliżające się lekkie kroki. W pierwszej chwili chciał zerwać się na nogi, ale opanował się i nie otwierając oczu, czekał na jej powitanie.

Zatrzymała się tuż przy nim, lecz on nadal nie unosił powiek udając, że drzemie. Poczuł, jak ławka drgnęła pod dodatkowym ciężarem, a jednocześnie usłyszał głos:

— Udajesz, że śpisz, aby nie przywitać się ze mną?

Wyprostował się i spojrzał na dziewczynę.

— Czekałem, abyś zrobiła to pierwsza. Obawiałem się bowiem, że nie zechcesz mi odpowiedzieć...

— A więc poczuwasz się do winy?! — rzuciła ironicznie zaskakując go żywością reakcji, gdyż był przyzwyczajony do jej spokojnego i opanowanego tonu.

— Nie było cię przy stole w czasie obiadu ani też wieczerzy, sądziłem więc, że unikasz mego widoku.

— Zauważyłeś to? — nadal jej słowa brzmiały kpiąco. — Nie myśl jednak, że z wrażenia, jakie na mnie zrobiły twoje wyznania, straciłam apetyt!

— Dziwne zatem, żeś przyszła...

— Dziwne byłoby istotnie, ale przyszła mnie matka...

— Dzięki jej za to. Chociaż wolałbym, abyś zrobiła to z własnej chęci.

— Gdybym mogła postąpić według własnych chęci, chyba wydrapałabym ci oczy!

Gwałtowny ton jej słów znów go zaskoczył. Po raz pierwszy okazała, że zewnętrzne opanowanie było tylko zasłoną, za którą kryła głębsze uczucia.

— Dotąd nie byłaś mi wroga. — Teraz on z kolei starał się okazać opanowanie. — Skąd więc ta zmiana?

Wzruszyła ramionami z rozdrażnieniem.

— Nie wiem... Poprzednio tak mnie nie drażniłeś! Teraz zaś chwilami nie mogę na ciebie patrzeć — wyznała z nieoczekiwaną szczerością.

— Dobrze, że przynajmniej tego nie skrywasz. Skoro jestem ci aż tak niemiły, powiedz matce, że wolę przebywać w samotności, a ja to potwierdzę.

— Nie potrzebuję twoich podarków!

— Co ci się stało? Zawsze byłeś taka przyjazna, a dziś kłujesz niczym jeź!

— Nie wiem... Już nic nie wiem... — Odwróciła od niego twarz, ale zauważył ze zdziwieniem, że w jej oczach ukazały się łzy. Udając, że tego nie widzi, szybko zmienił temat.

— Ciotka obiecała mi dziś, że wkrótce będę mógł dosiąść konia! Oby tylko to wkrótce nie trwało za długo!

— Po co mi to mówisz? Aby mnie pocieszyć, że uwolnię cię od twego towarzystwa?!

— Choćby i dlatego... — Z kolei próbował żartobliwej odpowiedzi. — Wszakże gdybym mógł wybierać, na pewno wyrzekłbym się siodła!

— Znów silisz się na grzeczności, ty przechero!

Roch stracił wreszcie cierpliwość.

— Nijak dzisiaj nie można z tobą gadać! Co za bąk cię ukąsił?! Ja bym dla ciebie życie oddał, a ty wszystko, co powiem, bierzesz za złe! Cóż mam ci rzec, abyś była łaskawsza?!

— Porzuć wreszcie te fałszywe grzeczności i mów tylko to, co czujesz naprawdę! Moglibyśmy pozostać w przyjaźni, ale boję się, że twoja będzie fałszywa, tak jak i słowa...

— Wciąż uważasz, że mam kłamca?! — Roch oburzył się na dobre. — Dobrze, więcej nic ci nie powiem, choćby mi serce na wiór miało wyschnąć! Rozmawiałem się w tobie prawdziwie, ale skoro nie chcesz o tym słyszeć, tedy niechże tak będzie! Zaczniemy gadać o byle czym, chociażby, które krowy dają więcej mleka, łaciate czy jednej barwy?!

Aldona ku jego zaskoczeniu zaśmiała się.

— To właśnie chciałam usłyszeć! Toteż jakie: łaciate czy czarne?

— Ponoć łaciate, ale tak twierdzi tylko nasz pastuch, sam ich nie doilem!

Pogodny nastrój powrócił, toteż w ciągu następnych spotkań Roch dotrzymał przyrzeczenia.

Ta zmiana sposobu bycia zaczęła dawać rezultaty, gdyż dziewczyna stała się coraz bardziej przyjacielska i swobodna. Jej spojrzenia nie były już tak nieufne, nie sztywniała, gdy zbliżał się do niej, a nawet jakby sama dążyła do zbliżenia. Poprawiała mu odzież, jeśli spostrzegła, że władając tylko jedną ręką, nie założył jak należy kaftana, a nawet zdarzało się, że, rozbawiona, przeczesywała mu czuprynę palcami.

Ale po pewnym czasie ten przyjazny stosunek zaczął stawać się chłodniejszy, chociaż on w niczym swego postępowania nie zmieniał. Aldona wracała do poprzedniej rezerwy, a nawet pewnego zażenowania. Zauważył, że hamuje bardziej swobodne ruchy, jak dawniej stała się oszczędna w słowach, a przy tym złapał parokroć ukradkowe, badawcze spojrzenia, jakimi go obrzucała. Potem stawała się małomówna i jakby oddalona myślami.

Nie wiedząc, co by to miało znaczyć, trapił się mocno.

Wkrótce po południowym posiłku do pani Nienuszko zgłosił się dostatnio odziany, brodaty mężczyzna. Był widać obeznany z dobrymi obyczajami, gdyż skłonił się przed nią z szacunkiem, ale bez uniżenia. Upewniwszy się, z kim mówi, chociaż sami byli w komnacie, oznajmił cicho:

— Jestem dworzaniek kniazia Andrzeja. Książę sekretnie przybył do Wilna, toteż nikomu ani słowa... — przyłożył ostrzegawczo palec do ust.

— Książę tutaj?! — mimo woli wykrzyknęła ochmistrzyni.

— Ciszej, wielmożna pani... — przybysz obejrzał się z niepokojem na drzwi. — Jeszcze kto usłyszy!

— Po co przybył? — z zaciekawieniem spytała kobieta zniżając głos.

— Z tego mi się nie zwierzać! I nie sądzę, by tylko wam zechciał to powiedzieć... — ironicznie odpowiedział brodac.

— Czego zatem chce ode mnie?

— Abyście przystali mu bratanicę. Musi złożyć podpis na jakichś dokumentach. Niech się szykuje, ale nikomu, broń Boże, nie mówi, do kogo jedzie! Wnet przybędzie po nią karetą, którą niedługo wróci.

— Jakże to? — zafrasowała się ochmistrzyni. — Samą dziewczkę mam postać?! Co by na to powiedziała księżna, gdyby się, nie daj Boże, o tym zwiędziła?!

— Jak wy jej nie powiecie, skąd by się miała dowiedzieć? A o dziewczkę bądźcie spokojna, bo do karocy książę przyda paru zbrojnych.

— Na Boga, co mam, nieszczęsna, uczynić?! Postać strach, a nie postać jeszcze gorzej, bo rozsierdę jego wysokość!

Przybysz zastanowił się przez chwilę, po czym rzucił z lekkim uśmiechem:

— Skoro tak się o nią boicie, tedy jedźcie z nią razem! Poczekacie nieco w karocy i wnet wróćcie.

— Znow mam tłuc stare kości! Dość nimi wytrzęsło po drodze z Łucka! Kiedyż ta karoca tu będzie?

— Za parę pacierzy. Stanie przy bocznej furcie, ale bądźcie gotowi, by za długo nie czekała!

W pół godziny później pani Nienuszko, mimo że nastał już kwiecień, okryta ciepłą opończką, a Olga w ciepłym futrzanym kubraczku, wymknęły się służbowym wyjściem i szybko przeszły ku pobliskiej furcie. Stała już tam karetą w otoczeniu czterech zbrojnych, która ruszyła natychmiast, jak tylko do

niej wsiadły. Zaprzęg, ponaglony batem i okrzykiem woźnicy, poderwał pojazd i pognął przyskając spod wielkich kół wachlarzami czarnej, błotnistej wody.

Olga siedziała spokojnie w rogu siedzenia, natomiast pani Nienuszko przysunęła się do otwartego okna, ciekawa, dokąd zmierzają.

Ujrzała palisadę kupieckiego dworu, a wkrótce potem minęli Mińską Bramę. Woźnica smagał i tak już szparko biegnące konie, wołając na pieszych i chłopskie wozy, by usuwały się z drogi. Znaleźli się wśród domów przedmieścia. Tu nieco zwolnili, gdyż wyboje nie pozwalały na zbyt szybką jazdę. Po niedługim czasie skręcili w boczną drogę, nie tak rozjeżdżoną, więc karoca znow potoczyła się szybciej.

Pani Nienuszko już zupełnie przestała rozeznawać się, dokąd zmierzają, ale zabrakło jej czasu na domysły, gdyż pojazd zatoczył szeroki łuk i wpadł przez rozwarne wrota ostrokołu na podjazd ukrytego wśród drzew obszernego domu, zatrzymując się przed jego gankiem.

Ochmistrzyni zauważyła, że nigdzie nie było widać żywej duszy. Wydało się jej również dziwne, że mimo pełnego dnia, okiennice były zawarte.

Konni pachołcy, dotąd towarzyszący karocy, odjechali w głąb dworu, ku gospodarczym budynkom, na wpół zasłoniętym otaczającymi je krzewami. Jedyne woźnica pozostał na koźle stojącego nieruchomo pojazdu.

Przez jakiś czas nikt nie zjawiał się i pani Nienuszko zaczęła zastanawiać się, czy nie muszą same wysiąść i szukać kogoś, kto by ich doprowadził do księcia. Wreszcie jednak drzwi ganku otworzyły się i ujrzała w nich brodacza, którego już poznała. Zbliżył się do karocy, otworzył drzwiczki i uchyliwszy czapki zwrócił się do Olgi:

— Pan starosta prosi panienkę do siebie...

— A co ze mną? — zaniepokoiła się ochmistrzyni.

Brodacz obrzucił ją kąpiącym spojrzeniem, co pani Nienuszko przyjęła z oburzeniem, ale nie ośmieliła się go okazać. Oburzenia nie wzrosło, kiedy usłyszała odpowiedź:

— Macie czekać, dopóki nie wróci! — polecił rozkazującym tonem.

Krągłe policzki ochmistrzyni pokrył rumieniec gniewu.

— Waść tak do mnie nie mów, bom tego niezwycajna!

— Powiedz to księciu, nie mnie! — Już z wyraźną drwiną rzucił brodacza, pomagając wysiąść Oldze.

Oburzenie pani Nienuszko doszło szczytu, ale że nie miała komu go okazać, przeto z gniewną twarzą otuliła się szczelniej opończę i wcisnęła w róg siedzenia.

Czas wlokł się wolno, toteż zaczęła podrzemywać, aż wreszcie przysnęła. Obudził ją stuk otwieranych drzwiczek i na tle szarzejącego już dnia ujrzała inną, tym razem lisią twarz szczerzącą w uśmiechu zęby.

— Książ przykazuje wam wracać! Panienska przenocuje u niego i przyjedzie rankiem! Jego wysokość srogo też zakazuje komukolwiek wyjawić, że znajduje się w Wilnie, a także, że bratanica przebywa u niego! Jeśli nie będziecie posłuszni, zapowiedział swoją pomstę!

Olga minęła wraz z przewodnikiem nieomal zupełnie ciemną sień, gdyż światło sączyło się tylko przez wycięte w zamkniętych okiennicach otwory. Jeszcze mroczniejszy był korytarz, więc mimo woli zwolniła kroku, ale przewodnik wziął ją za rękę i pewnie prowadził dalej, dopóki nie dotarli do drzwi, spod których padała na podłogę smuga żółtego światła.

Brodacz ujął za klamkę i otworzył drzwi. Olga ujrzała izbę o prymitywnym urządzeniu. Był tam tylko stół, kilka krzesel, ława stojąca pod ceglany piecem, odrapana skrzynia i jakieś legowisko przyrzucone derkami. Na stole stała latarnia wypełniająca wnętrze nikłym światłem, niezdolnym pokonać czającego się po kątach mroku.

Za stołem siedziało dwóch mężczyzn. Jeden miał zapadnięte policzki, wąską brodę i długi nos, co razem z rudymi włosami nadawało jego twarzy lisiego wyrazu. W drugim zaś, ku swemu przerażeniu, Olga poznała Henryka.

Na widok wchodzących wstał z krzesła i zwrócił się do niej z ironicznym uśmiechem:

— Nie powitasz, miła bratanico, swego stryja?

— A więc to wy... To była wasza karoca, a ten człowiek także? — głos odmawiał jej posłuszeństwa, mówiła więc urywkami zdań.

— Waćpanna okazujesz niezwykłą pojętność... — zakpił zwracając się z kolei do brodacza:

— Stara siedzi w karecie?

— Przykazałem jej czekać.

— Bardzo dobrze, że ją zabrałeś, to było niegłupie, bo tak prędko nie narobi szumu! Toteż niech sobie posiedzi do zmroku: im dłużej, tym lepiej, gdyż w ten sposób opóźni pościg!

— Jak przyjdzie pora ją odesłać, przykażę babie milczeć pod groźbą zemsty kniazia! — zachichotał rudy. — Toteż chyba od razu gwałtu nie narobi!

Być może, ale na to liczyć nie można. Jednak i te kilka godzin opóźnienia pościgu dużo warte, tym bardziej że nocą trudno dojść uchodzących — zauważył Henryk. Brodacz zaś uzupełnił jego przewidywania:

— A do tego, jeśli nie wiadomo, w którą stronę się obrócić...

Mimo to nie wolno zwlekać! Bierz naszą sikorkę na wóz i ruszamy! Ludzie są już przy koniach, a kolaska także czeka!

Z kolei zwrócił się do oniemiałej z przerażenia Olgi:

— Na gadanie i karesy będzie jeszcze dużo czasu! Teraz posłusznie pójdziesz z Wodzisławem — wskazał na sługę — i nie próbuj oporu! Pieścić się z tobą będę jak legniem w łożu, teraz zaś w razie potrzeby i najhajem potrafię panienkę przeciągnąć!

Opierać się nie było sensu ni sposobu, gdyż pomocy znikąd nie mogła się spodziewać, więc ruszyła za Wodzisławem, który ujął za latarnię i otworzył przed Henrykiem drzwi.

Opuścili dom tylnym wyjściem, niewidocznym od podjazdu, i szli ścieżką wiodącą pomiędzy drzewami w stronę gospodarskich budynków. Przed stajnią Olga ujrzała małą kolaskę zaprzęgniętą w parę koni, i grupę zbrojnych pachołków dzierżących wierzchowce za uzdy. Na ich widok bez rozkazu wskoczyli na siodła, a Wodzisław pomógł dziewczynie dostać się na wózek, sam zajmując przy niej miejsce.

Nie było jeszcze ciemno, spostrzegła więc, że skierowali się ku innej bramie niż ta, którą wjechali. Znajdowała się blisko stajni i służyła zapewne do wygodniejszego dowozu plonów czy paszy. Zauważyła, jak Henryk zamienił parę słów z rudym, który widać pozostawał we dworze, bo nie miał wierzchowca, potem dosiadł konia i, skinąwszy na pachołków, ruszył ku bramie. Ci otoczyli kolasę i mały poczet podążył za nim.

Pani Nienuszek wróciła na zamek w skrajnej rozterce. Miotła ją obawa, co powie księżnej, gdy ta przywoła dziewczynę, a jednocześnie targał ją strach przed gniewem kniazia, którego dobrze знаła i wiedziała, że potrafi dosięgnąć ją swą zemstą, jeśli nie będzie mu posłuszna.

W takim stanie ducha odnalazł ją Lech od dłuższego czasu poszukujący daremnie Olgi. Wprawdzie jedna ze służebnych coś mu tak wspomniała, że

chyba obie opuściły zamek, bo dostrzegła, jak zmierzały ku bocznej furcie, co wydało mu się tak niewiarygodne, że uznał to za gadanie niewarte uwagi.

Kiedy zaś wreszcie zastał ochmistrzynię w komnacie, zdumiał się jej zachowaniem. Zdała mu się mało przytomna, była tak wystraszona, że nie mogła opanować drżenia rąk, a słowa przychodziły jej / taką trudnością, jakby czuła czyjeś ręce na gardle.

— I waść... waść także o nią pytasz... — zamamrotała w odpowiedzi, by za chwilę wybuchnąć potokiem okrzyków: — Dajże mi spokój, o niczym nie wiem, słyszysz! O niczym! Nie wiem, gdzie jest, widać gdzieś poszła! Nie nagabuj mnie, bo nic ci nie powiem!!!

Urwała i spojrzała dookoła, jakby nagle przebudzona, po czym mruknęła już spokojniej:

— Przyjdź jutro... Jutro ma wrócić...

— Jutro? — z przerażeniem spytał młodzieniec. — Dokąd zatem poszła?!

— Dasz mi wreszcie, waćpan, spokój czy nie?! — Nieomal wrzasnęła czerwieniejąc na twarzy. — Dość tych pytań, wynoś się!

Zdumiony zachowaniem się ochmistrzyni, a także zaniepokojony brakiem odpowiedzi, co się stało z Olgą, pobiegł szukać ojca, by zasięgnąć rady wobec tak nieoczekiwanego zajścia.

Na szczęście zastał go na kwaterze, zajętego rozmową z Tomkiem. Właśnie przekazywał mu wiadomości dla księdza Andrzeja, których przez ostrożność wołał nie dawać na piśmie. Był obecny i Waśko, zajęty przyszywaniem guzika do kaftana.

Czarny wysłuchał syna spokojnie, po czym spytał:

— Powiedziała: „waść także o nią pytasz?” — Na słowie „także” położył nacisk. — Jak i to, że nie wie, gdzie jest, ale obiecała, że jutro wróci?

— Tak... — potwierdził Lech — to pamiętałem dobrze...

Czarny spojrzał na Waśkę, który przerwał szczie i z uwagą przysłuchiwał się relacji.

— Co o tym sądzisz?

— Dziwno mi, zwłaszcza że owa służebna widziała, jak wychodziły razem...

— Jak i to, że obiecuje powrót dziewczyny... — uzupełnił Czarny.

— Sądziecie, że służebna rzeczywiście je widziała?! — powątpiewajco wtrącił Lech. — Mnie zdało się to być jakim babskim gadaniem, aby jeno Pochwalić się, że coś wie!

— Wszakże zachowanie się ochmistrzyni raczej potwierdza zeznanie tej dziewczki — zauważył Czarny. — Istotnie coś się musiało wydarzyć...

— O czym Nienuszek mocno wystraszona nie chce gadać — dorzucił Waśko, zaraz jednak zamilkł zmarszczywszy brwi, jakby coś pilnie rozważając.

— No, co ci przyszło do głowy? — widząc to zainteresował się Czarny.

— Tak sobie myślę, czy aby znów nie maczał w tym palców nasz Henryczek?

— Dlaczego tak sądzisz? — z niepokojem spytał Lech.

— Gdyż coś mi się przypomina... — mruknął pocztowy.

— Ale co, gadajże prędzej! — ze zniecierpliwieniem ponaglił go młodzieniec.

— Nasze konie stoją w jednej stajni z Henrykowymi. Stąd ze dwa dni temu zdarzyło mi się słyszeć, jak jego stajenny polecał parobkowi, by dokładał koniom więcej owsa, bo czeka ich długa i szybka jazda. Na co parobek zaciekawiał się, dokąd pojedą, stajenny zaś odparł, że chyba ku krzyżackiej granicy, bo jaśnie pan pytał go, czy zna drogę do Olity...

— Czyżbyś sądził, że ma to jakowys związek...? — Już z przerażeniem spytał Lech.

— Trudno powiedzieć — Waśko wzruszył ramionami — ale jeśli dzieje się coś złego, ów psubrat zawsze jest blisko!

— Co robić, ojczu? — Lech bezradnie spojrzał na Czarnego.

Ten wstał z miejsca.

— Ty ruszaj w drogę — zwrócił się do Tomka — bo co masz przekazać proboszczowi, już wiesz! My zaś pójdziemy do stajni zobaczyć, czy są tam jeszcze Henrykowe konie!

Kiedy przybyli na miejsce, od razu dostrzegli, że boksy zajmowane dotąd przez młodego księcia są puste.

— O Boże! — jęknął Lech. — Czyżby porwał Olgę?! Nienuszek musi zeznać, co o tym wie!

— Nie ma na to czasu, synu — zdecydował Czarny. — Zresztą wątpię, czy coś z niej wydobędziesz. Musisz natychmiast ruszać w pościg. Kierunek

chyba znamy, toteż, mimo że zyskali nieco czasu, powinieneś ich dopaść! Ruszysz jeno z Waśką, no i pachotkami, których zdołam szybko podesać! Ja muszę pozostać, gdyż pan Cebulka powiedział, że wielki książ wkrótce będzie chciał ze mną mówić!

— Już robi się ciemno! Musimy zatem pośpieszać! — Lech obrócił się do Waśki. — Każda chwila droga!

— Nie trać spokoju — upomniał go Czarny — i sam niczego nie postanawiaj. Będziesz miał do pomocy Waśkę, tego pytaj o radę. On niech siodła konie, a ty zadbaj o pochodnie i nieco żywności na drogę. Pachotków, ilu zdołam zebrać, wnet ci nadesłę i ruszajcie z Bogiem!

W kilka pacierzy po tym mały oddział Lecha, składający się prócz Waśki z trzech zbrojnych, ruszył cwałem, kierując się na trakt wiodący do leżącej nad Niemnem Olity, skąd biegł dalej ku krzyżackiej granicy.

Z Wilna trakt ten prowadził, najpierw do Trok, skąd dopiero rozdzielał się w trzech kierunkach. Północno-zachodni prowadził do Kowna, południowo-zachodni do Grodna, natomiast wprost na zachód do Olity, lichej miłośnicy, ale z przystanią na Niemnie, strzeżoną przez nieduży, lecz silny gródek. Do Trok było mil cztery, potem do Olity z dziesięć, a stamtąd już nieco mniej do granicy zakonnego państwa.

Oddział Lecha wkrótce pozostawił za sobą ostatnie domy wileńskiego przedmieścia i co koń wyskoczy gwałtem na Troki. Dzień już się kończył i zapadał zmrok. Pogłębił się jeszcze, kiedy minęli orne pola i wpadli pomiędzy drzewa puszczy.

Tu już było tak ciemno, że ledwie widzieli tły swoich wierzchowców, ale szlak drogi szarzał wyraźnie w czerni zalegającej wewnątrz lasu, więc nie szczędząc zwierząt pędzili nie zmniejszając szybkości.

Lechowi zdało się jednak, że mogliby pędzić jeszcze szybciej, ale powściągał niecierpliwość rozumiejąc, że należy oszczędzać konie, gdyż musiało im starczyć sił na dłuższą gonitwę. Toteż modlił się tylko w duchu, by Bóg uratował jego miłą, a jemu pozwolił na czas dopaść wroga.

Drzewa uciekały do tyłu, a im towarzyszyło dudnienie ziemi pod kopytami rwących rumaków, które powtarzało echo dochodzące z lasu jakby gdzieś w jego głębi ścigali się z nimi jacyś inni jeźdźcy. Minęła jedna godzina, potem druga, kiedy jadący przy nim Waśko odezwał się:

— Należy przyhamować wierzchowce, paniczu... Muszą nieco wytchnąć!

Lech uznał tę radę za słuszną i ściągnął wodze. Jechali teraz spokojnym truchtem, toteż zagadnął pocztowego:

— Oni, mając dziewczynę, zapewne wiozą ją bryką. Nie jadą więc chyba szybciej od nas?

— Ale mają nad nami sporą przewagę, którą musimy nadrobić.

— Toteż nie zatrzymamy się na żaden dłuższy postój, taki tylko, aby skarmić konie i dać im nieco odpocząć!

— Szczęściem dla nas Henryk jest pewny, że nie wiemy, w którą stronę się obrócić! Spodziewa się zatem, że zmitrężymy sporo czasu zasięgniemy języka. Może więc, ze względu na pannę, zarządzić krótki nocleg, a to powiększy nasze szanse...

— Wolałbym, aby nie zarządził... — mruknął przez zęby Lech.

— Wierzę, że Bóg na pewno zezwoli dojść ich jeszcze za dnia — pocieszył młodzieńca Waśko, domyślając się, co miał na myśli.

— Możemy już chyba ponaglić konie?! — zamiast odpowiedzi rzucił niecierpliwie Lech i wbił w swojego ostrogę.

Minęli Troki i skierowali się, za wskazówką jednego ze zbrojnych, na trakt wiodący do Olity.

Mijały godziny nocnej jazdy. Prosta i szeroka droga nie wymagała zapalania pochodni. Konie szły równomiernym galopem, przerywanym tylko dla krótkich chwil wytchnienia. Minęli jakąś wieś, po dłuższym czasie drugą. Chłopskie kurne chaty zdawały się spać razem z ludźmi, którym dawały schronienie. Tu i ówdzie wypadały ku nim psy i z głośnym ujadaniem próbowały ich ścigać, dopóki zziębnięte nie pozostały w tyle. Za wsiami znów rozciągała się pustka pól, lecz nie na długo, gdyż bór nie dawał się tak łatwo odepchnąć ludzkim rękami. Ciągnął się potem milami, cichy, ciemny i kryjący różne skrzaty i duszki, o których wszakże lepiej było nie mówić, by licha ku sobie nie skusić.

Jednostajna jazda i wlokące się nocne godziny coraz bardziej dawały się im we znaki. Pragnienie snu mroczyło myśli, jednak obycie z siodłem i odporność na trudy pozwalały zachować sprawność i pokonywać chęć do drzemki, co przy szybkiej jeździe groziło upadkiem z wierzchowca.

Wreszcie z ulgą dostrzegli, że ciemność z wolna zaczęła szarzeć, stawała się srebrzysta, a mijane drzewa i krzewy rysowały się coraz wyraźniejszymi konturami.

Wkrótce było już na tyle widno, że mogli się rozeznąć i w dalszej okolicy, gdyż mijali właśnie jakieś łąki miejscami porośnięte krzakami łożyny lub kępami drzew o bezlistnych konarach.

Ujrzeni przed sobą ciemny zarys kolejnego lasu, a pod nim kilkanaście chłopskich zagród, luźno rozrzuconych na jego skraju. Z niektórych sączyły się już strużki dymów.

Waśko ściągnął wodze.

— Lepiej rozeznąć, czy nie zatrzymali się tam po nocnej jeździe zwrócić się do Lecha.

Podjedź więc do tych chatup, a my tu poczekamy. Tylko nie jedź drogą, gdyż mogli wystawić straż...

— Objadę dookoła, pomiędzy łożyną... — Waśko ruszył koniem.

Nie było go parę pacierzy, aż wreszcie wyłonił się spoza krzewów.

— Nie ma nikogo — oznajmił. — Ale jeden z chłopów mówił, że krótko przed świtem słyszał przejeżdżający wóz i poczet konnych!

— Zatem nie są daleko! — ucieszył się Lech. — Dopadniemy ich jeszcze za dnia.

— Zatrzymajmy się, paniczu... — poradził Waśko. — Oni już nam nie ujdą, a trzeba nakarmić konie i dać im nieco wytchnąć. My także legniem krzynę. Przykażę chłopu, by nas rychło pobudził!

— Ja chyba nie usnę... — westchnął Lech. — Ale istotnie, konie trzeba nakarmić, a zatem i postój konieczny.

— Usniecie i wy, paniczu — zapewnił go Waśko. — Dość długo byliście w siodle...

Sądząc po zamroczeniu, jakie czuł po przebudzeniu, Lech ocenił, że jego sen nie trwał dłużej jak jedno „Ojczy nasz”. Wszakże chłop, który ich obudził, miał lepsze wyczucie czasu, gdyż zapewnił, że stracili go więcej niż dwie godziny.

Obmyli naprędce twarze, by pozbyć się zamroczenia, i po chwili znów byli w siodłach.

Teraz jazda nie była już tak uciążliwa, gdyż nie męczyło pragnienie snu, a oczy mogły się cieszyć oglądaniem mijanej okolicy. W południe zatrzymali

się znów, ale tylko po to, by nakarmić i dać wytchnąć koniom. Potem, zasięgnąwszy języka w kolejnej wsi, dowiedzieli się, że ponad godzinę temu przejeżdżała kolasa w otoczeniu zbrojnych.

Na tę wiadomość ogarnęło ich podniecenie. Radzi, że wreszcie dopadną umykających, nizej pochylili się nad końskimi grzywami i z nowo obudzoną ochotą gnali nie szczędząc już wierzchowców.

Chmury jeszcze w czasie w postoju zaczęły się przecierać i od czasu do czasu ukazywało się słońce. Teraz niebo rozpogodziło się zupełnie i błyszczało w zachodniej stronie szklistą żółtością, coraz bardziej nasiąkającą czerwienią. Jednocześnie wielki słoneczny krąg jakby przygaszał i z wolna zbliżał się ku wierzchołkom drzew lasu, kładąc pod nimi pogłębiające się cienie.

Wkrótce wypadli znów na otwartą przestrzeń jakiegoś pastwiska, co wskazywało na bliskość wsi. Dostrzec jej wszakże nie mogli, gdyż zasłaniała ją wzgórze porośnięte brzoźowym gajem.

Kiedy go jednak dopadli i zbliżyli się do skraju, Lech wstrzymał dalszą jazdę.

Droga opadała w dół i wiodła do niedużej wsi, której chaty kryły się wśród owocowych sadów. Dla zachowania ostrożności cofnęli się więc jeszcze bardziej między drzewa i po chwilowej naradzie Waśko postanowił tym razem pieszo udać się na zwiady, gdyż należało spodziewać że właśnie tu Henryk zatrzymał się na nocny postój. Pieszemu zaś łatwiej było przemknąć się niezauważalnie ku wsi, kryjąc się między krzakami zarastającymi przydrożny rów.

Wkrótce zniknął im z oczu, ale teraz musieli długo czekać na jego powrót. Pod drzewami zaległa już ciemność i choć nad czarną wstęgą lasów niebo płonęło jeszcze czerwienią, to słońca nie było już widać.

Wreszcie usłyszeli szelest kroków i spoza drzew wyłonił się Waśko.

— Są we wsi — oświadczył, nie czekając na pytania. — Będą nocować, bo rozsiedłali konie.

— Nawet i to wiesz?! — ucieszył się Lech. — A Olga?

— Jest z nimi.

— Wielu ich?

— Naliczyłem dwanaście koni. Dwa idą w zaprzęgu, zatem zbrojnych będzie dziesięciu.

— Gdzie obrali kwaterę?

— Na tamtym skraju wsi. Od naszej wystawili strażnika, natomiast w obejściu go nie wypatrzyłem. Widać uznali, że jeden wystarczy.

— Wiele zdołałeś rozeznać!

— Wiem więcej. Trzech z dziewczyną zajęło izbę, reszta śpi w stodole.

— Jakże udało ci się dokonać takiego zwiadu? — zdziwił się Lech.

— Dokonał go bystry chłopaczek, którego tam podesłałem obiecując podręczny nożyk. Poszedł prosić gospodarza o pożyczenie miarki soli dla matki. Miał więc sposobność dobrze wszystko obejrzeć.

— Może także wiesz, gdzie stoją ich konie?

— Są uwięzane u kolaski, na którą narzucono im siana. Widać stajni chłop nie ma.

— Teraz musimy obmyśleć, jak uwolnić dziewczynę! A i temu psubratu nie zamierzam popuścić! — z zawziętością w głosie mruknął Lech.

— Jeden zamiar łatwiej, paniczu, wykonać niż dwa... — upomniał młodziana praktyczny Waśko. — Należy zadbać tylko o pannę, a Henryka ostawić sposobności.

— Co zatem radzisz czynić?

— U któregoś z naszych żołnierzy widziałem przy siodle toporek do rąbania drzewa na opał. Wytniemy kilka brzózek i porobimy kołki do podparcia wrót stodoły, by śpiący w niej nie mogli się wydostać. A z tymi w izbie już łatwo sobie poradzimy!

— Ale zwykle są drugie wrota wiodące w pole. Musimy podeprzeć i te!

— Słusznie — zgodził się pocztowy. — Trzeba zatem wziąć zamiast dwóch kołków, cztery. Przekradniemy się dookoła wsi wierzchem — zwrócił się już do żołnierzy, którzy stojąc przy nich przysłuchiwali się rozmowie. — Tam rozdzielimy się, by podeprzeć wrota jednocześnie z obu stron. Piąty przez ten czas otworzy bramę, podcina nożem postronki i konie ostro wygna na drogę, by nie zatrzymały się zbyt blisko!

— Potem połączywszy się wędzemy się do izby i rozprawimy z owymi trzema, głównie zaś z samym Henrykiem!

— uzupełnił Lech, upominając jednocześnie: — Nie zapomnieć ostawić jednego konia dla panny, aby miała czego dosiąść! Gdyż teraz my będziemy uciekać, a oni, połapawszy wierzchowce, będą nas ścigać!

— Kiedy ruszamy? — spytał jeden z żołnierzy.

— Po północy — zdecydował Lech. — Niech zapadną w głębszy sen, a i nam nieco wytchnienia nie zawadzi!

— Ale kto nas obudzi, bo chyba mocno pośniemy? — zatroszczył się Waśko.

— Ja i tak nie usnę, więc o to się nie martwcie!

— Nasłuchujcie zatem, paniczu, wsiowych kogutów. Jak się odezwą, zaraz nas budźcie! — poradził pocztowy.

Korzystając z resztek światła wycięli cztery młode brzozy, oczyścili z gałęzi i przycięli na odpowiednią długość. Dopiero wówczas, okryci derkami, poukładali się do snu. Wkrótce rozległo się ich chrapanie. Lech zaś oparty plecami o drzewo, podniecony bliską rozprawą, od której zależał los Olgi, zapatrzył się w ledwie już widoczny zarys wsi, coraz gęściej zasnuwany tumanami wieczornej mgły. Wkrótce pojawił się na niebie sierp księżycy i zamigotały pierwsze gwiazdy, a on wciąż trwał nieruchomy, rad ze swej samotności i daleki od chęci snu.

Wreszcie we wsi rozległo się skrzekliwe kogucie pianie, a potem odezwało się następne. Skoczył więc budzić towarzyszy.

W mig znaleźli się w siodłach i ruszyli, szerokim łukiem okrążając wieś. Jechali jeden za drugim, otuleni wlokącymi się pasmami przyziemnej mgły, bacząc na pocztowego, który ich prowadził. Wreszcie zbliżyli się do pierwszych zagród i przekradali wzdłuż jakiegoś płotu, dopóki Waśko nie uniół do góry ramienia, zatrzymując oddziałek. Jednocześnie bez słowa wskazał majaczący w pobliżu budynek.

Kiedy zeskoczyli z siodła, rzucił szeptem:

— Oto owa stodoła. Weźcie, paniczu, jednego żołnierza i poczekajcie chwilę, aż jej nie obejdziemy, a potem razem podeprzemy wrota. Jeśli nawet się pobudzą, już z obu stron będą zawarte...

Szybko uwiązali konie do płotu i rozdzielili się. Na odchodnym waśko jeszcze upomniał:

— Jak się sprawicie, szybko okrążajcie stodołę i łączcie się z nami! Za ległem jest wolne przejście...

Lech z jednym z żołnierzy zbliżyli się do wrót, odczekali chwilę, po czym cicho podsunęli drągi pod poprzeczne deski, drugie końce wspierając o ziemię, i ruszyli biegiem ku towarzyszom.

Dostrzegli ich od razu, jak i białą korę drągów podpierających wrota. Właśnie Waśko kończył odcinanie koni, a potem, nie zachowując już ciszy, ostrym gwizdem i krzykami pognął je ku rozwartej bramie. Zaraz też wyrwawszy z pochew miecze dopadli chaty.

Lech jednym kopnięciem nogi odwalił drzwi i jako pierwszy w padł do środka.

Panującą w izbie ciemność nieco rozpraszał ogień dogasający na kamiennym palenisku. Widać gwizd i krzyki poderwały na nogi Henryka, gdyż właśnie dorzucił szczap łuczywa na tłący się żar. Smolne drzewo zajęło się od razu, wypełniając wnętrza chybottliwym światłem. Jego towarzysze i Olga, też już przebudzeni, unosili się właśnie z pościeli.

Nieprzytomny z wściekłości Lech rzucił się do młodego księcia, ten zdążył wszakże porwać za mieczyk leżący na ławie i odparować jego pierwszy cios. Widząc jednak, że doskakuje do niego drugi napastnik, od razu poniechał dalszej walki. Dopadł małego okienka zaciągniętego rybim pęcherzem, rozdarł go i wyskoczył znikając w ciemności.

Natomiast Waśko dzielił mieczem jakiegoś brodacza, rozwalając mu głowę i zamierzał ugodzić drugiego, kiedy ten uniółszy ramiona wrzasnął w przerażeniu:

— Zlituj się, nie zabijaj!

Zamiast więc ciąć, obrócił ostrze i uderzył nim płasko. Ugodzony z jękiem zwałił się na pościel, Waśko zaś obrócił się ku dziewczynie.

Była już jednak w objęciach Lecha.

— Uściski zostawcie na potem! — krzyknął ostro, bez respektu.

— Teraz co rychlej do koni!

Wypadli z izby. Od stodoły dochodziły wrzaski i uderzenia we wrota, oni zaś, nie sprawdzając jak długo jeszcze drągi wytrzymają napór, rzucili się do pozostawionego przy kolasie konia. Był nie osiodłany, nie było jednak na to czasu, a Olga, widząc podniecona walką czy też strachem, jednym skokiem znalazła się na jego grzbiecie. Lech ujął zaraz konia za uzdę i biegł przy jego pysku, zмирzając ku swoim wierzchowcom.

Migiem wszyscy byli w siodłach i przemykając się między chałupami popędzili w stronę traktu.

Już na skraju wsi ujrzeni przed sobą pacholka z łukiem w ręku. Odgadli, że jest to strażnik stojący tu na czatach. By nie tracić czasu, bacząc, że do nich

mierzył, przelecieli obok. Uskoczył wprawdzie z drogi, ale zaraz obrócił się i wypuścił strzałę.

Ugodziła jednego z żołnierzy w plecy. Rozkrzyżował ramiona i wyleciał z siodła, waląc się na ziemię. Nie wstrzymali jednak ucieczki, by zbadać: zabity czy ranny, a jedynie Waśko obejrzawszy się, mruknął:

— Jeśli go nie ubił, chłopci się nim zajmą...

— Wszakże dla nas to znaczny ubytek sił... — rzucił z troską Lech. — A i człowieka żal...

— Wojaczka nie obywa się bez ofiar — skwitował Waśko. — Troszczmy się raczej, by ujść ogarom, które będziemy teraz mieli na karku!

— Może nas poniecha? Przecież przegnaliśmy im konie!

— Po nocy daleko nie uszły! Połapią je w godzinę, toteż na tyle liczę naszą przewagę!

Lech obrócił się do Olgi, która pędziła tuż przy nim.

— Starczy ci sił na tak szybki bieg i do tego bez siodła? Wytrzymaj jeszcze trochę, jak zwolnimy, oddam ci swego konia!

— Przecież uczyłeś mnie takiej jazdy! — wykrzyknęła, by zagłuszyć tętent kopyt.

Lech jakiś czas nie odzywał się, ale wkrótce znów zagadnął dziewczynę:

— Czy... czy cię nie nagabywał?

— Na szczęście nie! Ale chyba tylko dlatego, że ucieczka nie dawała sposobności!

Trudno było mówić, podczas gdy konie nieomal brzuchami dotykały ziemi, więc pochyleni w siodłach pędzili dalej w milczeniu. Wszakże obecnie Lech pozbył się już strachu i rozpaczy, a gnał z sercem przepełnionym szczęściem, że ukochaną ma przy sobie. Zapomniał, że jeszcze nie jest w Wilnie, że ucieka ciemnym gościńcem

na karku z wrogiem, który tak łatwo ich nie poniecha. Jednak młodzieńcza beztroska dodawała pewności, że teraz, kiedy Olga jest przy nim, pokona wszelkie przeszkody i szczęśliwie dowiezie ukochaną na księżący dwór.

Jakby na potwierdzenie tych przewidywań okazało się, że koń ugodzonego żołnierza dołączył do towarzyszy i biegnie za nimi. Kiedy więc wkrótce zwolnili, nie potrzebował odstępować Oldze swego siodłanego wierzchowca.

Niebawem zaczęło świtać, ale nie przerywali jazdy, dając wierzchowcom krótkie wytchnienia. Po południu dotarli do dużej wsi Onuszki i wiedząc, że przejazdu nie ukryją, napoili konie i nabyli nieco żywności.

Po godzinie dalszej jazdy, kiedy znów zwolnili, Waśko polecił im nie zatrzymywać się, sam zaś zeskoczył z siodła i przypadł do ziemi przykładając do niej ucho.

— No i jak? spytał go Lech, gdy ich dopędził. — Słyszałeś coś?

— Nie. Chyba jeszcze nie minęli wsi.

— Może w ogóle nas nie ścigają? — próbowała pocieszyć się Olga.

— Na to nie licz — ostrzegł ją Lech. — Ten psubrat to człek zawzięty. Inaczej nie odważyłby się na porwanie...

Jeszcze dwa razy w ciągu dnia Waśko schodził z siodła. Za drugim razem, kiedy przed wieczorem dojeżdżali do owej wsi leżącej pod lasem, podniósł się na nogi z ponurym wyrazem twarzy.

— Już ich słychać — odpowiedział na pytające spojrzenie Lecha.

— Jeśli nie pośpieszymy, za kilka pacierzy nas dognają...

— Konie nie wytrzymają takiego wysiłku...

— Cóż tedy robić? — przestraszyła się Olga.

— Trzeba będzie imać się oręża — twardo oświadczył Waśko.

— Przecież jest ich więcej! Czy dacie radę?!

— Ano, obaczym...

— Niekoniecznie — nagle oświadczył Lech. — Spróbujemy inaczej...

— Co masz na myśli? — ożywiła się dziewczyna, a jednocześnie pocztowy zwrócił na niego zaciekawione spojrzenie.

— Przebiegniemy przez wieś, aby nas widziano, wkrótce jednak skrucimy i skryjemy się w lesie.

— I co potem?

— Oni chyba pognają dalej! My zaś zboczymy...

— Ale wkrótce będą wiedzieć, że nie ma nas w przedzie i zawrócą...

— Pójdziemy lasami, a ich za mało, by nas wytropić.

— Lasami? Bez przewodnika? — powątpiewająco rzucił Waśko.

— Ostaw to już mnie, a także i sposób dalszej ucieczki! Postanowiłem bowiem skierować się nie na Wilno, a do Niemierzy! Leży sporo przed Trokami i nie dalej jak o milę w bok od traktu, toteż opuścimy go i pójdziemy stąd skosem, a przewodnika chyba we wsi znajdem! Dlatego, kryjąc się w lesie,

podsunie my się do niej blisko i będziemy baczyć, co tam się dzieje! Jak tylko tamci ją miną, ruszymy i my, ale już bocznymi drogami!

Waśko z uznaniem spojrział na Lecha.

— Tedy nie ma co już oszczędzać koni, tyle jeszcze wytrzymają!

Pognali wierzchowce i wkrótce dotarli do wsi. Minęli ją pędem, a nawet z pokrzykiwaniem, by ich dobrze dostrzeżono, ale ujechawszy parę staj zawrócili i, zatoczywszy koło, pastwiskami dotarli do lasu. Potem przedzierając się przez jego poszycie, po krótkiej jeździe zatrzymali wierzchowce.

— Musimy jeszcze bardziej oddalić się od zagród — zdecydował Waśko ruszając w głąb boru. — Koń może zarzeć albo i zakwiczeć, co mogliby usłyszeć...

Ruszyli za nim i znalazłszy miejsce dobrze otoczone leśną gęstwiną, posiadali z siodeł.

— Tym razem ja pójdę na zwiady — zdecydował Lech. — Czeka jcie tu, aż powrócę.

— Bacz na siebie! — zatrwożyła się Olga.

W odpowiedzi skinął tylko ręką i zniknął między drzewami.

Przedzierał się jakiś czas przez chaszczce, ale na szczęście skończyły się wkrótce i mógł iść szybciej, bacząc jedynie, by w ciemnościach nie zderzyć się z pniami. Te jednak także zaczęły rzednąć i ujrzał przed sobą płot otaczający zagrodę, która, tak jak i kilka pobliskich, leżała pod samym lasem.

Rad z tego odnalazł wkrótce ścieżkę wiodącą między zabudowania i ruszył nią ostrożnie. Jednocześnie słyszał oddalone, ale gwałtowne ujadanie psów, które zwa bił zapewne tamten oddział, co tłumaczyło, dlaczego żaden nie odezwał się dotąd w pobliżu.

Raptem dostrzegł w ciemnościach sylwetkę jakiegoś człowieka, nasłuchującego owego ujadania. Aby więc nie przestraszyć go, syknął z cicha.

Nasłuchujący obrócił się gwałtownie w jego stronę.

— Nie bój się, jam nie wróg... — uspokoił szeptem.

Zbliżył się i nie dając tamtemu przyjść do słowa, zagadnął od razu.

— Chcesz zarobić ćwierć rubla? — Pokazał wyciągniętą zza pasa monetę.

— Ćwierć rubla? — W głosie dochodzącym z ciemności zabrzmiało zdumienie. — Co chcesz, abym uczynił za tyle pieniędzy?!

— Nic trudnego, ale wpierw posłuchaj, w czym rzecz! Nas tu kilku, my ludzie pana z Niemierzy! Ścigają nas zbóje, jego wrogowie! Jest ich z dziesięciu, musimy więc kryć się! Chcę, abyś rozeznał, czy to oni są we wsi, że psy tak szczekają? Jeśli to oni, to powiedz mi, czy ostali, czy pognali dalej...

— I za to dostanę te ćwierć rubla...? — z niedowierzaniem spytał chłop.

— *O ile nikomu słowa nie piśniesz, żeś ze mną tu gadał! Wtedy dostaniesz, klnę się na Boga!* — *Lech przeżegnał się ostentacyjnie.*

— *Tedy i ja przysięgam, że słowa nie powiem!* — *rzucił z przejęciem chłop z rozbudzoną chciwością.* — *Ostańcie tu, wnet obaczę, co tam się dzieje, i zaraz wracam!*

— *Czekaj, jeszcze...* — *wstrzymał go Lech.* — *Chcę też wiedzieć, czy dobrze znasz te strony?*

— *Toć tu się rodziłem!*

— *Potrafiłbyś doprowadzić nas bocznymi drogami do Niemierzy?*

— *Czemu nie, ale to z pięć mil drogi...*

— *Pojedziesz konno, a konia zatrzymasz w nagrodę.*

— *Dacie mi konia, panie?* — *w głosie chłopca znów zabrzmiało niedowierzanie.* — *Ależ to dla mnie biednego istny majątek!*

— *Dostaniesz, jak i owe ćwierć rubla! Tylko pamiętaj: ani pary z gęby! Nawet własnej babie!*

— *Tej przede wszystkim, boby wnet cała wieś wiedziała!* — *zachichotał chłop.*

— *Tedy ruszaj, będę tu czekał!*

Nie było go dłuższy czas, a kiedy wrócił, on z kolei psyknięciem przywołał Lecha ukrytego za ścianą jakiejś szopy.

— *Byli zbrojni, o których mówiliście — objaśniał — i pytali o was. Skoro dowiedzieli się, żeście minęli wieś, pognali dalej.*

— *Dobrze, masz tu swoje ćwierć rubla! A teraz szykuj się do drogi! Weź też nieco żywności, bo tej za dużo nie mamy!*

— *Chcecie ruszać od razu? Nie lepiej nieco odetchnąć?*

— *Nie, jedziemy zaraz, tedy się pośpiesz!*

— *I konia dostanę?*

— *Nawet dobrego, bo nie ma więcej jak pięć lat! Wnet go dosiądziesz!*

— *Tedy poczekajcie chwilę!* — *Chłop skierował się w stronę mającej w pobliżu chaty, której jedno z okienek migotało żółtym blaskiem. Wrócił istotnie prędko, w kozuchu przepasanym paskiem i płócienną torbą przewieszoną przez ramię.*

Dostał konia, którego dotąd dosiadała Olga, i wysunąwszy się na czoło wkrótce wyprowadził ich na wyboistą drogę. Jechali za nim drzemiąc w siodłach, bo konie szły teraz stępa, czując zapewne, tak jak i jeźdźcy, ulgę, że skończyła się mordercza gonitwa.

— *Nie zimno ci?* — *zatrzaszczył się Lech spoglądając na Olgę.* — *Może okryć cię derką?*

— *Mam na sobie futrzany kubraczek, którego na szczęście nie zdejmowałam. Na razie starczy.*

— *O świcie będzie gorzej, ale wówczas Pojedziemy szybciej...*

— Daleko jeszcze do świtu?

— Chyba zaledwie minęła północ. Weź, okryj się...

Odpiął przytroczoną do łęku siodła derkę i zarzucił ją na ramiona dziewczyny.

Na niebie migotały gwiazdy na tyle jasno, że widzieli przed sobą drogę. Biegła przez rozmokłą już łąkę porośniętą kępami olch i łozin. Lech jechał obok Olgi, mając przed sobą chłopca i Waśkę, a z tyłu obu żołnierzy drzemiących zapewne w kulbakach, gdyż nie słyszał ich głosów.

I jemu monotonia tej jazdy i poniesione dotąd trudy coraz bardziej dawały się we znaki. Toteż kiedy minęli łąkę i znów otoczyły ich drzewa lasu, a Waśko wstrzymał konia proponując spoczynek do pierwszej jasności, chętnie na to przystał. Tym bardziej że i Olga, dotąd trzymająca się dzielnie, okazywała już skrajne zmęczenie.

Zaraz też poukładali się do snu, dziewczyna zaś, nie bacząc na towarzyszy, przytuliła się do Lecha i złożywszy mu na ramieniu głowę, od razu zasnęła.

Okazało się wkrótce, że istotnie chłop dobrze zna okolicę, bo prowadził ich bez wahania mało co rozjeżdżonymi drogami, z których korzystały tylko chłopskie wozy.

Był już wieczór, kiedy dotarli wreszcie do Niemierzy. Oznajmili strażnikowi w samborze, kim są, on zaś wnet powiadomił dwór. Rozwarto

bramę i ujrzeli nadbiegającą ku nim Zytę w otoczeniu służby, dzierżącej pochodnie.

Na widok ciotki Lech zeskoczył z siodła i przypadł jej do kolan. Ta jednak ujęła jego głowę i podnosząc ucałowała w oba policzki.

— Cóż to włóczyz się po nocy, ty nicponiu! — zawołała wesoło — I do tego nie sam! — zerknęła z zaciekawieniem na Olgę.

— Pozwól, ciotko, że wszystko wyjaśnię później, teraz racz udzielić gościny tej oto pannie, bratanicy grodzieńskiego starosty, a także moim towarzyszom, dzielnym żołnierzom!

— Acana przecież znam! — Zyta zwróciła się do Waśki. — Chodźcie z nami! Pozostałymi wnet zajmie się służba. O wierzchowce też nie potrzebujecie się troszczyć!

Lech z kolei wskazał na chłopca.

— A to nasz przewodnik. Dosiada konia, którego mu podarowałem, więc odetchnąwszy, niech na nim wraca!

Po powitaniu zawrócili ku domowi. Tam bracia padli sobie w objęcia, natomiast Aldona, która nie widziała obu od dziecińczych lat, ze zdumieniem wodziła spojrzeniem od jednego do drugiego, nie mogąc wyjść z podziwu nad ich podobieństwem.

Dopiero gdy minęło pierwsze zamieszanie i zasiedli do stołu, Lech opowiedział o swych przygodach, jak i zdarzeniach, które stały się ich przyczyną. W czasie jego opowiadania Zyta raz i drugi obrzuciła spojrzeniem skonfundowaną Olgę, ale widać spodobała się jej, bo zdecydowała:

— Ostaniesz zatem, panno, u nas, gdyż lepiej abyś przynajmniej chwilowo do Wilna nie wracała, dopóki Jaksza i brat sprawy owego książytki nie załatwią! Będę ci rada, a sądzę, że i Aldona także, boć jesteście chyba w jednych latach, toteż przypadniecie sobie do serca!

— Na pewno tak będzie! — zawołał Roch. — Przecież znam pannę Olgę i wielcem jej wdzięczny za opiekę, jakiej mi nie szczędziła, kiedy jechałem ranny do Wilna!

Aldona rzuciła ukradkowe spojrzenie na Olgę, ale nic nie odpowiedziała. Jednak matka musiała coś dostrzec w tym spojrzeniu, gdyż powiedziała żartobliwie:

— Czyżbyś sądziła, że ta opieka była zbyt gorliwa? Chyba Lech tego się nie obawia?

— Ależ mamo! — Aldona oblała się rumieńcem. — O Rocha może się troszczyć kto chce! Mnie to za jedno!

— Dotąd tak nie sądziłam...! — Zyta roześmiała się, ubawiona reakcją córki.

Długo już nie siedzieli, bo zmęczone twarze przybyłych zdradzały, jak byli wyczerpani, toteż wkrótce po wieczery ruszono na spoczynek. Postanowiono jednak, że Waško z żołnierzami zaraz udadzą się do Wilna, by zawiadomić Czarnego o pomyślnym wyniku wyprawy Lecha, jak i prosić o polecenie, czy obaj mają jeszcze pozostać w Niemierzy, czy też wracać do Wilna, bo zdrowie Rocha już na to zezwalało.

Ów niefortunny królewski list do cesarza wywołał wkrótce na obu dworach wicherę, która zakręciła ludźmi niczym liśćmi, skłóciła i postawiła we wrogich sobie stronnictwach. Na dworze wileńskim obudziła dawne, uspione, a może raczej trzymane przez Witolda na wodzy, utajone pragnienia i tęsknoty powrotu do przeszłości, pobudziła także różne osobiste ambicje czy widoki korzyści.

Tylko nieliczni, dojrzały i przezorni politycy, tak litewscy, jak i polscy, dostrzegali rozmiar niebezpieczeństwa, podobnego do nagle rozwartej przepaści, która przecięła szlak dotychczasowej wspólnej drogi. Ci nie ustawiali w wysiłkach, by to niebezpieczeństwo zażegnać. Na królewskim dworze przewodził tym usiłowanym mocny duchem i światłością rozumu kanclerz Oleśnicki oraz zawzięty wicekanclerz Oporowski, natomiast na wielkksiążęcym obaj pierwsi sekretarze — Cebulka, o długoletnich zasługach podnoszących go do rangi kanclerza, i równie światły Lutko z Brzezia. Jednak wobec oporu Witolda nie zdołali zmienić jego decyzji, jak i nie zdołało jej zmienić upomnienie papieskiego prałata:

„Na co gubisz dwa królestwa i brata? — ostrzegł go. — Wszak i Ty jakby królem polskim byłeś i rozkazywać mogłeś, a rozkazów Twoich nie mniej, jak samego króla, słuchano. Wierz mi, nie omył się, gdy powiem, że tak długo będziesz wielkim, jak długo z nim razem będziesz, patrz na stanowisko Twoje, jakie było, a jakie jest z ramienia i poparcia brata Twego”²⁹.

Wysiłki te rozbijały się jednak o upór wielkiego księcia, u króla zaś napotykały brak stanowczości, zroszwały wszakże tylko dla nielicznych.

29 — Lewicki, op. cit., s. 43.

Trudno dostatecznie wiernie i wnikliwie ocenić pobudki, sposób myślenia, no i uczucia — bo i te nie są bez znaczenia — skłaniające do decyzji i działania ludzi żyjących tak dawno temu, od których zależał los narodów. Wszakże z kart kronikarskich wyłania się postać Jagiełły jako człowieka nie pozbawionego przebiegłości, koniecznej do sprawowania władzy, ale też i o nieco ograniczonym sposobie myślenia, poza tym łagodnego, wyrozumiałego i dobrego serca. Choć skłonny był do nagłych wybuchów gniewu, to jednak wkrótce tego żałował; przewinienia nie tylko puszczał w niepamięć, ale nawet zbesztanych obdarowywał, i to tak szczerze, że wywoływał tym oburzenie najbliższego otoczenia.

Te cechy charakteru, jak i wrodzony rozsądek powodowały przyjazną współpracę z człowiekiem tak wrażliwym na najmniejsze nawet uchybienie jego dumie, jakim był Witold. Rozumiał on wprawdzie swoją zależność od królewskiego brata, uznając w nim jednocześnie prawego dziedzica i właściciela ziem, którymi rządził, lecz

rozumiejąc to i uznając, potrafił tylko osobiście dawać temu wyraz. Natomiast wystarczyła najmniejsza o tym wzmianka pochodząca z obcych ust, by doprowadzić go do niepohamowanego gniewu.

Łączyło ich poza silnym poczuciem więzów krwi jednakowe umiłowanie ojczystego kraju. Dla obu Polska była jedynie tarczą, ostoją i pomocą do utrzymania siły i znaczenia własnej ojczyzny. Jagiełło, mimo ponad czterdziestoletniego już panowania na polskim tronie, nie przestał czuć się Litwinem. Z powodu miłości, jaką żywił do swej kolebki, miejsca urodzenia, mimo zawartej unii, uważał się zawsze za właściciela i dziedzica litewskich ziem, gdyż to prawo wpoila w niego tradycja, obyczaje i poczucie interesów dynastii. Witold zaś z podobnych przyczyn temu nie przeczył, czemu zresztą dał wyraz na łożu śmierci.

Teraz wszakże urażona ambicja, i to właśnie w najczulszym dla niego punkcie, podsycana przez obcych emisariuszy, własne otoczenie a głównie czujących podobnie spowinowaconych księząt i co znaczniejszych bojarów utwierdzały go w uporze. Jagiełło zaś, zagrożony niewczesnymi głosami domagającymi się elekcji, czyli wolnego wyboru władcy po jego śmierci, co w oparciu o postanowienie unii dotyczyłoby i Litwy, widział dogodne wyjście, jeśli nie wręcz ratunek, w koronowaniu Witolda; Litwa bowiem,

stając się suwerennym królestwem, podważała tym samym uchwały unii i już bezsprzecznie stanowiła jego bezsporne dziedzictwo.

Groźbę tę widzieli i polscy panowie, toteż za zdrajców poczytywano popleczników zamierzonej koronacji. Jednocześnie coraz bardziej wzmagala się nienawiść do Zygmunta, którego poczęto już uważać za otwartego wroga kraju. Opinię tę pogłębił jeszcze niedoszły do skutku, zwołany na 15 maja zjazd panów węgierskich i polskich w Szramowicach, na który poselstwo węgierskie nie przybyło. Dalsze zaś wydarzenia wrogość do osoby cesarza pogłębiły jeszcze bardziej. Między innymi przyczyniło się do tego wyznaczenie przez Zygmunta arcybiskupa Magdeburga na dokonanie koronacji Witolda, czego papież Marcin V zabronił biskupom polskim.

Na obu więc dworach, tak polskim, jak i litewskim, ścierali się ze sobą zwolennicy i przeciwnicy koronacji. I tak na dworze Witolda przewagę uzyskiwali wyznawcy starych obyczajów, nabierając dawnego znaczenia, popierani przez wysłanników cesarskich czy zakonnych. Tym zaś ani pan Cebulka, ani Lutko z rzezią nie byli w stanie przeciwdziałać wobec postawy samego wielkiego księcia. Okazywał on bowiem jawną, a nawet ostentacyjną przychylność Zakonowi, i to tak dalece, że o wszystkim, co się działo, informował wielkiego mistrza, bądź nawet przysyłał mu odpisy listów pisanych do Jagiełły lub otrzymywanych od niego. Nie miał łatwego zadania również i ksiądz Andrzej na dworze króla, gdzie jednak uzyskał uznanie obu kanclerzy i objął wszelkie sprawy dotyczące tajnych wysłanników.

Tych zaś przybywało, bo tak cesarz, jak i Zakon nie zaniedbywali niczego, by zamierzenie doprowadzić do pomyślnego końca. Stąd proboszcz roboty miał sporo, bo i szpiegów rodzimych nie brakło. Ci przekupieni przez Witolda, donosili mu o wszystkim, tym bardziej że wielki książę nadal nie szczędził pieniędzy, obiecując jednocześnie opiekę na własnym dworze, gdyby któryś wpadł z jego powodu w kłopoty.

Jedynie niby skała, o którą rozbijały się fale wzburzonego morza, trwał wiernie na straży polskiej racji stanu krakowski biskup, kanclerz Zbigniew, wspomagany przez co światlejszych członków królewskiej Rady.

Król po pobycie w Wielkopolsce przybył we wrześniu do Sandomierza, gdzie wyznaczył zjazd członkom Rady, a także co znacznijszym dygnitarzom w kraju.

Debatowano na zamku. Rozmowy były burzliwe, ścierały się w nich wrogie sobie obozy. Coraz liczniejsi poplecznicy wielkiego księcia — bo Witold po nadesłanych uprzednio darach nadal pieniędzy nie szczędził — popierali go coraz śmielej i gwałtowniej. Wynosili jego przymioty godne korony, wskazywali na niezłomną przyjaźń, jaką darzył Polskę, której koronacja nie zmieni, gdyż mądrość i rozsądek polityczny wielkiego księcia

zapewniały zachowanie dotychczasowych więzów. Przysięgał zresztą, że ich nie zerwie i wierności dochowa, co godne jest wiary, chociażby dlatego, że zbyt dobrze zna wartość wielkich zobowiązań Zygmunta nawet wobec Zakonu. Cesarz bowiem znany był ze swego przeniewierstwa, niedotrzymywania wszelkich obietnic czy nawet przysięg, natomiast Zakon już od początków swego istnienia okazywał, jak jest zdradziecki, podstępny i jak wszelkie zawarte pakta ma za nic.

Dowodzili dalej stronnicy Witoldowej koronacji — zapewne słuchając bardziej brzęku złota niż rozsądku — że Korona tylko zyska na wyniesieniu Witolda, bo łączyć ją będzie wieczysty sojusz nie z księstwem, a suwerennym równorzędnym królestwem, a przez to bardziej cennym partnerem i sojusznikiem.

Argumentacja ta godziła w najbardziej żywotny interes Polski, gdyż w rzeczywistości zamierzona koronacja nie wzmocniła, a wprost podcinała korzenie zasadniczych uchwał horodelskiej unii, która wyraźnie mówiła o nadrzędnej pozycji Korony reprezentowanej przez prawego dziedzica Litwy, jednocześnie zasiadającego na polskim tronie, i osoba Jagiełły była niejako gwarantem i symbolem tego porozumienia, które uzależniało wszelkie postanowienie czy uchwały dotyczące Litwy nie tylko od jej bojarów, ale przede wszystkim od królewskiej woli, a także zgody jego przybocznej Rady.

Natomiast nowa godność Witolda zmieniała zupełnie charakter jednej ze stron, a zatem pozwalała negocjować uchwały unii, co było właśnie istotą planu Zygmunta.

Nic więc dziwnego, że strażnik dużej pieczęci Oleśnicki i małej Oporowski, podkomorzy królewski Piotr Szafraniec, jego brat, kujawski biskup Jan, wojewoda krakowski Tarnowski, sandomierski — Mikołaj z Michałowa, uprzednio podkanclerz, obecnie biskup poznański Ciołek i wielu innych, których powaga i rozum wykluczały wchodzenie w jakiegokolwiek komitywy czy ustępstwa, ostro i stanowczo sprzeciwiali się tej gadaninie, upominali i wzywali do rozsądku; jednak chciwość i własny interes brały górę nad wszelką trzeźwą myślą. Toteż kanclerz Oleśnicki, najsurowiej piętnujący popleczników koronacji, nie wahał się nazwać ich zdrajcami i wręcz oświadczył, że jeśli nie pomogą perswazje, oręż przywoła opornych do opamiętania.

Zawista więc nad obu krajami ciężka chmura bratobójczej walki. Stroskany, jeśli nawet nie przerażony takim obrotem sprawy stary, zniedołężniały i sterany już trudami panowania król Władysław ogłosił rezygnację z korony polskiej i oddanie jej Witoldowi, by połączył obie godności w swych rękach.

Mimo że myśl taką król wyrażał już uprzednio, choć tylko na naradach poufnych, to przecież wywołała ona duże przerażenie po jej publicznym ogłoszeniu. Ale jednocześnie zrodziła obawy stronników Witolda, czy uzyskawszy więcej nawet niż pragnął, nadal będzie potrzebował ich poparcia i głosów, co pozbawiłoby ich znaczenia, a zatem i jego szczodrości.

Natychmiast więc pognali na Litwę gońcy, by zawiadomić wielkiego księcia o postanowieniu królewskim, jak również ostrzec przed takim rozwiązaniem, jako chytrym podstępem, zmierzającym do zaniechania przez niego dalszych zabiegów o koronę litewską, a potem pozostawić stan obecny bez zmian.

Natomiast królewska Rada po rozważeniu sprawy uchwaliła wysłać do Witolda posłów, by przedłożyć mu królewską propozycję i wysłuchać stanowiska, jakie zajmie wobec niej.

Wyruszyło więc poselstwo z kanclerzem Oleśnickim i wojewodą Tarnowskim na czele.

Wiadomość otrzymana od swych stronników zdumiała wielkiego księcia, miał jednak czas do namysłu. Byłby więc może i poważnie wziął pod rozważenie rezygnację brata, ale wdali się w sprawę zakonnicy i jego bojarska rada. Gorąco namawiali księcia do odrzucenia tej propozycji, błagając, by ostrzeżenie potraktował

poważnie. Mimo więc, że Cebulka i Lutko radzili prowadzić dalsze rozmowy i od razu odmowy nie udzielać, to jednak po pełnym powagi przemówieniu Oleśnickiego i gorących słowach Tarnowskiego, odpowiedział:

„Byłoby niesprawiedliwe z głowy braterskiej koronę królewską zdzierać, nadto postanowiwszy być królem Litwinów odmieniać tego nie mogę, com cesarzowi Zygmunutowi przyrzekł”.

Prosił jednak dalej, by: „...to Polaków nie obrażało, gdyż właśnie z tego powodu przyjacielem i sprzymierzeńcem królestwa chce być i nie przestanie z całym narodem swoim takim się zawsze okazać, jakim go dotąd widzieli...”³⁰

Na to kanclerz Oleśnicki groźnie oświadczył, że Korona poczytywać to będzie za złamanie przymierza, uprzedzając jednocześnie, by nie przypisywał jej winy za rychłą wojnę, którą wkrótce sprawiedliwy Bóg może go pokarać.

Mimo ostrego tonu tego oświadczenia Witold nie okazał gniewu, a chcąc zapewne poróżnić między sobą posłów, obdarowując ich przy pożegnaniu, pominął osobę kanclerza, natomiast wojewodzie Tarnowskiemu przesłał dużą sumę pieniędzy, bo aż sto rubli srebrem. Nie powiodła się wszakże wielkiemu księciu ta intryga, gdyż wojewoda daru nie przyjął. W dalszym ciągu wszakże Witold odnosił się do obu posłów z dużą łaskawością. Odprowadził ich nawet aż do Wołkowyska, gdzie obiecał nadal sprawy koronacji nie popierać; zastrzegł jednak, że w razie nadesłania koronę przyjmie, gdyż odrzucenie jej byłoby zbyt wielką dla cesarza zniewagą.

Wszakże, jakie w istocie były zamiary kniazia, trudno było ocenić, bowiem donosząc o tym poselstwie wielkiemu mistrzowi, pisał:

„Jagiełło za życia odstępuje mi własnej korony — dziwi mnie to, mam że temu zupełną dać wiarę? Nie myśli tego szczerze Władysław, chce mnie uludzić tylko; widać to z jego listów do Zygmunta, chociaż się ich wypiera twierdząc, że je kanclerz własnym domysłem ułożył. Gdyby tak być miało rzeczywiście, czemuż przestępcy swych zleceń nie ukarze?” Witold miał tu na myśli ów niefortunny list Oporowskiego wręczony Zygmunutowi w Łańcucie po łuckim zjeździe.

W tym czasie cesarz nadal nie zaprzestawał zabiegów zmierzających do osiągnięcia wytkniętego celu — zerwania unii polsko–litewskiej. Jednym z przejawów tych zabiegów było zjawienie się na dworze Witolda jego specjalnego wysłannika, austriackiego rycerza Leonarda, co nastąpiło wkrótce po wyjeździe polskiego poselstwa. Przywiózł on wielkiemu księciu w darze odlanego w złocie smoka, dzierżącego w paszczy zionącej płomieniem własny ogon, z propozycją, by smok ten stał się odtąd herbem Litwy i jej króla.

30 — Wapowski, op. cit., s. 81.

Jednocześnie zapewniał Witolda, że już wkrótce prześle również i korony, które właśnie zlecił wykonać.

Cesarski wysłannik wręczył też Witoldowi spisane warunki przymierza, w których, wielki książę miał zaprzysiąc Zygmunutowi wierność, zapewnić, że nie odstąpi go w żadnej niedoli czy nieszczęściu i wieczyście będzie przyjacielem oraz sprzymierzeńcem Cesarstwa Rzymskiego.

W odpowiedzi Witold wielce uprzejmie powiadomił posła, że ma już herb, a mianowicie rycerza pędzącego na koniu, zwany Pogonią, zatem innego mu nie trzeba, jednocześnie zaś oświadczył, że zobowiązany przysięgami polskiemu królowi i polskiej Koronie nowych przymierzy zawierać nie może.

Jednak po powrocie poselstwa i wysłuchaniu sprawozdania król Jagiełło postanowił tegorocznej zimy nie spędzać jak zwykle na uciążliwej Litwie, lecz udać się na Ruś.

CZARNY DOSZEDŁ DO PRZEKONANIA, że kupiec Morzelec powinien na jakiś czas opuścić Wilno. Postanowił więc udać się do Niemierzy, która dawała dobre schronienie, a jej położenie w pobliżu Wilna zapewniało łączność z dworem.

Pozostawił jednak na kwaterze Waškę, jako dobrze obeznanego ze sprawą, z poleceniem, by odbierał wiadomości nadchodzące do namiotnika Jaszki. Miał je przywozić natychmiast, jak i ewentualne polecenia z księżęcego dworu, ale nie wolno mu było zdradzić nikomu miejsca pobytu jego pana.

Żeby nie zwracać na siebie uwagi, wyjechał tylko z jednym pacholikiem, i to o świcie, jak tylko bramy zostały otwarte.

Do Niemierzy nie było więcej jak sześć mil, toteż nawet zbytnio się nie spiesząc na miejscu stanął po południu. Powitany gorąco przez Zytę, a z należnym szacunkiem przez obu synów i panny, cieszył się potem spokojem rodzinnego bytowania, dalekim od ponurych spraw, z jakimi przyszło mu po tylu latach znów mieć do czynienia. Miał też czas, by zastanowić się nad ich tokiem i powstałą sytuacją. Wkrótce więc dostrzegł, że tak jego pokrewieństwa z chłopcami, jak i faktu, że jest ich dwóch, trudnych do rozróżnienia, zbyt długo nie da się ukryć, co mogłoby w rezultacie zdradzić jego rzeczywistą rolę.

Sprawy nie uważał jednak za nagłą, toteż swych obaw chwilowo nie wyjawiał, pozwalając młodemu cieszyć się sobą. Jednak wiadomość, którą w

połowie czerwca przywiózł mu Waško, od razu zmieniała sytuację. Był to list od grodzieńskiego ochmistrza, który donosił:

„Przybył tu do nas z zakonnego państwa bratanek wrocławskiego księcia, Henryk. Być może jest to wam wiadome, wszakże donoszę o tym tak jak przyobiecałem. Miał jakieś pismo do jego księżęcej mości; co zawierało, w zupełności nie wiem, bo tego nie zdradził, powiadomił jednak z uciechą, że młody książę prosił o rękę jego bratanicy. Ponieważ wydał mu się stateczny, pochodzi ze znamienitego rodu, a zwłaszcza posiada poparcie Zakonu, z czym musi się liczyć, przeto konkurenta przyjął łaskawie i ma zamiar uprosić wielkiego księcia o zgodę na zawarcie tego małżeństwa, natomiast księżnę Juliannę o zwolnienie dworki, gdyż godzi się, by przyszły małżonek brał pannę z rodzinnego domu...”

Dalej były już wiadomości mniej istotne, bo dotyczyły kontaktów z księciem Świdrygiełłą, co nie było dla Czarnego czymś nowym.

Sprawa była poważna, i to nie tylko ze względu na Lecha, ale też na zapowiedziany powrót Henryka na dwór wielkoksiążęcy. Zaopatrzone były zapewne również w listy polecające Zakonu do wielkiego kniazia, co w obecnej sytuacji przywracało go do łask mimo dokonanego porwania, które po prośbie o rękę dziewczyny nabierało innego znaczenia.

Powrót ten stwarzał więc potrójne zagrożenie: dla Lecha, dla Olgi i wreszcie trzecie stanowiło ponowne zjawienie się poplecznika zamierzeń cesarskich, a więc wrogiego dążeniom Cebulki i królewskiego dworu. Obecnie zaś tym groźniejszego, że podnieconego osobistą nienawiścią i pragnieniem zemsty.

Rozważywszy te wszystkie okoliczności, Czarny odbył z Zytą poufną rozmowę. Domyśliła się przyczyny, gdyż spytała od razu:

— Zaszło coś, o czym doniósł ci Waško?

Oldze i Lechowi grozi niebezpieczeństwo, gdyż Henryk pojawił się w Grodnie.

— W czymże je widzisz? Z Niemierzy jej nie porwie, o to możesz być spokojny!

Czarny pominął to zapewnienie i wyjaśnił:

— Przebywał u Krzyżaków i przywiózł od nich listy polecające do starosty, a zapewne również do Witolda.

Zyta uśmiechnęła się nieznacznie.

— Dość dużo wiesz... Już uprzednio domyślałam się, o czym pisał do ciebie Jaks. Wróciliście do dawnej służby?

— Tyle możesz wiedzieć. Ale poza tym tylko to, co powiem. Henryk obecnie nie zamierza dziewczyny porywać, ale prosił starostę o jej rękę. Widać rozgorzał do niej mocnym afektem albo też chce ją poślubić nie tylko dla zaspokojenia żądz, lecz i dla zemsty! A wtedy czeka ją okrutny los...

— A co starosta?

— Ponoć sprzeciwu nie wyraził. Musi wszakże przede wszystkim uzyskać zgodę wielkiego księcia.

— Dziwne, że tak pochopnie postąpił...

— Wie, kim jest konkurent, który do tego ma poparcie Zakonu. A z Zakonem starosta musi się liczyć, chociażby ze względu na Świdrygiełłę.

— Niechże księżna Julianna weźmie ją zatem pod swoją opiekę!

— Decyzja należy do wielkiego księcia, nie do niej. Nie zapominaj, że książę Andrzej Lingwenowicz i Olga są z nim spowinowaceni, on zaś jest głową rodu. Zresztą wszyscy książęta litewscy czy ruscy, a nawet bojarzy nie mogą zawierać małżeństw bez jego przyzwolenia. Teraz Witold, dążąc do koronacji, okazuje przyjaźń Zakonowi, cieszącemu się względami Zygmunta. Toteż nie zlekceważy pisma polecającego mu Henryka. Dlatego istnieje poważna obawa, że nie będzie oglądał się na dziewczęce wstręty i da ją temu psubratu.

— To, to istotnie okropne... — Zyta była głęboko przejęta. — Biedna dziewczyna... Nie można do tego dopuścić, musisz jej bronić! Przecież chodzi i o twego syna! To byłby dla niego straszny cios! Oni tak się miłują!

— Nie musisz mnie przekonywać — mruknął markotnie Czarny. — Tylko że rady żadnej nie widzę. Może jednak dobry Bóg natchnie mnie jakąś myślą...

— Dotąd radziłeś sobie nawet w trudniejszych sprawach, wierzę więc, że i z tą się uporasz!

Czarny zerknął spod oka na siostrę.

— Dzięki za pokrzepienie, zawsze je u ciebie znajdowałem. Na razie dziewczynom ani chłopcom nie wolno powiedzieć ani słowa.

— Trudno oddawać dziewczkę wbrew jej woli... — dodała jeszcze z troską Zyta, ale zaraz dorzuciła z irytacją:

— Że też z tymi młodymi zawsze muszą być jakieś zgryzoty!

— Z Aldoną przynajmniej ich nie masz — Czarny uśmiechnął się z przekorą. — Spokojna, stateczna... — zawiesił na chwilę głos, po czym dokończył: — No i Rocha krótko trzyma...

Zyta, mimo strapienia, roześmiała się.

— A więc dostrzegłeś?!

— Ślepy by dostrzegł! Wodzi za nią oczami jakby się bał, że mu uciecze. Ale wyznaję, że rad bym był, gdyby afekt był wzajemny...

Zyta spojrzała nieco drwiąco na brata.

— Nie przeczę, że oko masz dobre, ale nie do niewiast. Ona jeno udaje, że wiele o niego nie dba... Ale matki nie oszuka! Wszakże i ja byłabym rada, gdyby się zeszi, jeno czy pokrewieństwo nie za bliskie? Chociaż niejedno takie stało kaptani już błogosławili...

— Na ogół sakramentu nie wzbraniają, jako zgodnemu z powszechnym obyczajem.

— Niechże zatem Roch nadal sam sobie z nią radzi! Będę na nich baczyć, ale ani zabraniać, ani wspomagać!

Czarny zamilkł i odezwał się dopiero po chwili:

— Chyba nie będzie jednak ku temu sposobności...

— Dlaczego? — Zyta obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

— Gdyż obaj muszą wracać do Czepli, i to bez zbytej zwłoki. Jeśli bowiem tu pozostaną, wkrótce może się wydać, że jest ich dwóch i że obaj są moimi synami, co dotąd udawało się ukryć. Wypadki tak się potoczyły — mam też na myśli i przybycie Henryka — że ujawnienie tego naraziłoby nie tylko mnie, ale i sprawy znacznie poważniejsze niż amory młodych, gdyż dobro tronu i Korony.

— Wszakże bolesna będzie to rozłąka. I dla mnie, i dla nich...

— Mogą poczekać, nawet rok albo i dwa. Jeśli dochowają sobie wierności, tym mocniejszy będzie związek.

— Słuchaj... — Zyta ożywiła się. — A gdyby tak Lech i Olga pobrali się natychmiast?

— Bez zgody prawowitego opiekuna dziewczyny? Toż to niemożliwe! Są bowiem aż dwie przyczyny, dla których tego nie zrobi. Pierwsza, to przyrzeczenie jej Henrykowi, a druga, że zna Lecha jako mego syna, czyli gdańskiego kupca! Toteż nie tylko by nas wyśmiał, ale kazał poszczuć psami!

Zyta zamilkła zgnębiona i pełna troski, gdyż nie dostrzegała już żadnego ratunku. Jedyne, co jej pozostało, to nikła nadzieja, że brat i tym razem znajdzie jakieś wyjście.

Już następnego dnia po tej rozmowie Czarny wyjechał do Wilna. Sprawa powrotu Henryka na dwór wielkiego księcia była na tyle ważna, że wymagała szybkiego powiadomienia pana sekretarza.

Ożywiona działalność dyplomatyczna, spowodowana łuckim zjazdem, mocno absorbowwała litewskiego kanclerza. Wiedział jednak, że bez ważnego powodu Czarny nie zabiegałby o przyjęcie, więc bez zwłoki wezwał go do siebie.

Po wysłuchaniu, co zawierało nadeszłe z Grodna pismo, obruszył się mocno i rzucił z gniewem:

— Toż to niestychana bezczelność! Gotów jeszcze wmówić Witoldowi, że nie porywał dziewczki, a tylko spełniał polecenie starosty!

— Obawiam się, że właśnie tak przedstawi sprawę, uprzednio uzyskawszy jego zgodę na to wyjaśnienie. Starosta zaś tej zgody udzieli tak dla zachowania przyjaźni z Zakonem, czego odeń żąda Świdrygiełło, jak i w nadziei powinowactwa z możliwym śląskim rodem...

— Dość mam innych trosk, aby mi ich jeszcze przysparzał taki nicpoń! Jeszcze jeden fałszywy jęzor do podtrzymania uporu kniazia, jakby było ich za mało! — kanclerz nadal mówił z gniewem, widąc zgryziony nieustępliwością Witolda.

Takiej reakcji Czarny spodziewał się i na taką liczył. Ponieważ przewidywanie sprawdziło się, pojął ten wątek rad, że ma sposobność zaradzić i swoim zgryzotom. Odpowiedział więc, okazując dla pozoru pewną rozterkę:

— Miałbym może sposób na udaremnienie jego powrotu. Należałoby przygotować jednak do tego grunt...

— Jakież to sposob? — przerwał kanclerz, ale z wyraźnym zainteresowaniem.

— Zapewne lada dzień przybędzie tu jego wysłannik, albo i on sam, by czynić starania o zezwolenie wielkiego księcia na owo małżeństwo. Wobec wstawiennictwa Zakonu Witold nie będzie chciał narażać swej polityki dla jednej byle kiecki i raczej zgody udzieli. Należy więc skłonić go do odłożenia decyzji na czas późniejszy, pod pozorem innych, ważniejszych i bardziej

pilnych spraw, których teraz nie brak. Dobrze byłoby również, gdyby księżna Julianna poparła tę zwłokę. Znając przyczynę nieobecności Olgi na dworze, wyraziła na to zgodę, należy zatem sądzić, że nadal będzie przychylna. Gdyby udało się to osiągnąć, Henryk straciłby zainteresowanie powrotem na tutejszy dwór.

— To nazywasz owym przygotowaniem gruntu? A co dalej?

— Dostanie inne polecenie, co biorę na siebie. Otrzyma zakaz powrotu do Wilna, czemu będzie bardziej posłuszny nie uzyskawszy zgody na małżeństwo...

Cebulka nie zdołał opanować zdumienia.

— Masz możliwość wydania mu takiego zakazu?! Ejże, czy to aby nie za pochopne mniemanie? Potrafisz waćpan tego dokonać?

— Sądzę, że tak.

— Z tego mogę wnosić, że Henryk nie miał okazji poznać waćpana?

— Dotąd nie spotkałem się z nim oko w oko. Zna wprawdzie obu moich synów, ale nie wie, kto jest ich ojcem.

— Mimo wszystko ryzykowna to impreza... — mruknął kanclerz.

— Wystawiasz skórę na szwank!

Czarny uśmiechnął się.

— Nie pierwszy raz. Dla wszelkiej pewności odsyłam jednak ich obu do domu, gdyż o przypadek nietrudno...

— Słusznie... Zatem rób swoje, a ja poczynię starania, by Witold z decyzją się nie śpieszył. Sądzę, że uda mi się nakłonić go do tego, gdyż żaden władca nie lubi natychmiast rozstrzygać choćby i mniej ważnych spraw, jeśli nie ma dostatecznych przyczyn do pośpiechu. Tu zaś są raczej powody do odwleczenia odpowiedzi. Jeśli zaś i tobie się powiedzie, pozbędę się przynajmniej jednego z cesarskich intrygantów. Co jednak w zamian mu polecisz, boć przecie sam zakaz nie wystarczy?

— Aby udał się na dwór króla Władysława. Tam nie będzie tak szkodliwy, zresztą ksiądz Andrzej na pewno zapewni mu należyty opiekę...

W odpowiedzi Cebulka uśmiechnął się lekko, ale zaraz spytał z niepokojem:

— Czy nie obawiasz się jednak, że sprawa fałszywego polecenia rychło się wyda?

— Liczę się z tym. Ale postaram się, by nikt w Grodnie nie wiedział o naszym spotkaniu. Toteż gdyby okazało się, że jest ono sprzeczne z cesarską wolą, będą sądzić, że działał na własną rękę, co na dobre mu nie wyjdzie...

— Niebezpieczny z waści przeciwnik, panie bracie — pokręcił głową pan Cebulka. — Nie wiem wprawdzie, jakim sposobem zmusisz Henryka do posłuszeństwa, ale zaczynam wierzyć, że zdołasz tego dokonać.

Słońce przedzierало się przez liście kładąc na ziemi jasne plamy. Pomiędzy drzewami sadu panował cień gęstniejący w miarę jak się od nich oddalało. Wyłaniały się z niego kontury okrągłych uli drążonych w grubych, dębowych pniach, przykrytych słomianymi daszkami. Tkwiły, rozrzucone tu i ówdzie, niczym chochoły znieruchomiłe w beładnej krzątaniu.

Takie same jasne plamy przesuwaly się po twarzach Aldony i Rocha idących obok siebie ogrodową ścieżką.

Oboje milczeli w coraz częściej ogarniającym ich nastroju wzajemnego skrępowania. Roch obawiał się, że słowa, które cisnęły się, by je wypowiedzieć, mogą wywołać skutek przeciwny jego zamierzeniu, Aldonie zaś to skrępowanie zamykało usta przed wyznaniem, którego pragnęła dokonać. Zaległe między nimi milczenie przerwał Roch rzucając uwagę pozornie zdawkowym tonem:

— A więc jutro przyjdzie się nam pożegnać...

Nic na to nie odpowiedziała, więc po chwili rzucił już z determinacją.

— Obiecałem ci nie mówić, co czuję. Wszakże teraz, skoro nawet nie wiem, kiedy znów się zobaczymy, przyrzeczenia nie zamierzam dotrzymać, bo już niczego bardziej nie pogorszę...

— Krom tego, jak się rozstaniemy... — dodała cicho.

Przystanął, więc i ona zatrzymała się. Chwilę ptarzył na jej pochyloną głowę, w której miedzianych włosach słoneczna plama rozpałiła ogniste błyski, pozostawiając twarz w niebieskim cieniu.

— Jak się rozstaniemy?! — powtórzył już gwałtownie. — Mogę mówić tylko o sobie, a to wiem dobrze! W udręce, żalu, że nie będę już widział twej wdzięcznej postaci, nie patrzył w twe oczy, nie słuchał głosu miłszego mi od anielskiego śpiewu! Nie wiem, jak zdołam żyć z dala od ciebie, a do tego bez krzty nadziei, że i ty choć czasem o mnie pomyślisz!

Uniosła na niego wzrok. Ze zdumieniem ujrzał w jej oczach łzy.

— Przestań... — szepnęła bezradnie. — Ja... ja... — zamilkła jakby zabrakło jej tchu.

— Nie mogę przestać, bo serce nie chce zamilknąć! Niech odjadę wypowiedziawszy, co mi każe, choć bez pociechy, że dla ciebie coś znaczę!

Jak gdyby zeszywniała i raptem rzuciła z determinacją, która go zaskoczyła:

— Wiedz zatem, że równie jak ty boleję nad naszym rozstaniem!

— To znaczy... — zawahał się, ale zaraz wykrzyknął z uniesieniem:

— Miła! Doprawdy?! A więc... więc mogę sądzić, że masz w swym sercu nieco miejsca dla mnie?!

Patrząc mu w oczy odpowiedziała z powagą:

— Wypełniasz je całe...

Wtedy porwał ją w ramiona, czemu nie stawiała oporu, a nawet przytuliła się do niego jakby już za chwilę miał ją opuścić. A kiedy uniosła twarz, by spojrzeć na niego, nie zaniechał okazji, kiedy usta ich znalazły się blisko siebie...

Czarny wziął ze sobą jednego ze sprytniejszych ludzi władających niemieckim, co było konieczne dla odegrania zamierzonej roli, ale także wyciągnął ze schowka dobrze ukrytą przesyłkę otrzymaną od księdza Andrzeja. Porzucił też swoje dotychczasowe, kupieckie okrycie, a przywdział ubiór bardziej pański, jednak nie zwracający zbytnej uwagi.

Po przybyciu do Grodna zajął izbę w gospodzie leżącej nieco na uboczu i pouczył Ottona — jednego ze swych ludzi, pochodzącego z Grudziądza — jak ma odszukać Henryka. Opisał jego wygląd, nakazując, by zachował jak największą ostrożność, nie włożył ponad potrzebę nikomu w oczy, po czym zakończył:

— Z nim albo z jego ludźmi nie gadaj inaczej, jak po niemiecku.

Po wyjściu Ottona ściągnął kaftan przesłany mu przez proboszcza pasem i okrywszy się opończą rozpoczął oczekiwanie.

Trwało ono długo, gdyż Otto powrócił dopiero po paru godzinach. Z jego nieco kpiącego uśmiechu Czarny domyślił się, że posłaniec polecenie wykonał. Potwierdził to zresztą krótkim oświadczeniem:

— Przybędzie, jak się tylko ściemni.

— Jak go odnalazłeś?

— Kręciłem się przy stajni, pytając o robotę. Nikt nie chciał ze mną gadać dopóki nie natrafiłem na Henrykowego giermka. Zagadnąłem go po niemiecku, a kiedy mu rzekłem, że pochodzę z zakonnego państwa, wysłuchał mnie łaskawie i sam zaprowadził do Henryka. Temu przekazać sekretnie wasze polecenie nie było już trudno.

— Jak je przyjął?

— Okazał więcej niepokoju niż ciekawości.

— Zastrzegłeś, żeby nawet swoim ludziom o tym nie mówił?

— Powiedziałem, ale zbyt mnie opryskliwie, że nie zwykł, aby go uczono, co ma robić!

— Wystarczy, że wie. Niedługo się ściemni, siądz więc w jadalnej izbie i bacz na jego przyjście. Wtedy nieznacznie doprowadź do mnie.

Wkrótce istotnie zapadł zmrok i służebna przyniosła lichtarz z zapalonymi świecami. Jednak upłynęła jeszcze dobra godzina, zanim Czarny usłyszał na korytarzu odgłos zbliżających się kroków. Drzwi otworzyły się i ujrzał na progu wysokiego młodego mężczyznę o jasnych włosach i gładkiej twarzy. Znając go z opisu wiedział, że ma przed sobą młodego księcia.

Uniósł się z miejsca z zapraszającym gestem:

— Proszę, wejdźcie... — rzucił po niemiecku.

Otto zamknął drzwi za plecami Henryka, zostali sami.

— Kto zacz, panie, jesteście? Skoro wiecie, z kim mówicie, niech i ja to wiem — Henryk zbliżył się do stołu nie wyciągając jednak ręki na powitanie.

Zamiast odpowiedzi Czarny rozchylił opończę. W świetle palących się świec klamra u pasa zamigotała złotymi blaskami. Henryk jakiś czas wpatrywał się w nią, wreszcie przeniósł wzrok na twarz Czarnego.

— No tak... — uśmiechnął się. — Tego się spodziewałem.

Czarny odprężył się wewnętrznie. A więc księżę znał ten znak rozpoznawczy. Teraz należało tylko zachować ostrożność, by nie powiedzieć czegoś, co kolidowałoby ze znanym mu tokiem sprawy.

— Proszę, siadajcie — Czarny wskazał krzesło i nie czekając sam zajął drugie.

Henryk poszedł za jego przykładem, okazując milczeniem, że czeka na wyjaśnienie powodów wezwania. Czarny spytał jednak dopiero po chwili, nadając głosowi ostrzejszy ton:

— Co robicie w Grodnie? Dlaczego nie zastałem was w Wilnie?

Henryk wyduł dumnie usta.

— Cóż to, wezwaliście mnie do konfesjonału? Przebywam tam, gdzie mi trzeba!

Czarny ściągnął brwi i patrząc w oczy księżęcia odezwał się już z wyraźną groźbą w głosie:

— Słuchaj no, młody panie, chyba wiesz, z kim mówisz? Tedy bacz na słowa!

Henryk zmieszał się wyraźnie.

— Wybaczcie, jeśli uchybiłem! Własne troski odbierają mi ostatnio równowagę ducha...

Czarny skinął głową, jakby przyjmował to wyjaśnienie, ale ponowił pytanie.

— Co tu robicie, miast przebywać u Witolda?

— Przyjechałem na krótkie odwiedziny do księcia Andrzeja.

— Czy w Malborku byliście też jeno w odwiedzinach?

Henryk opuścił wzrok pod badawczym spojrzeniem swego rozmówcy i bąknął pod nosem:

— Skoro to wiecie, to zapewne wiadomo wam także, po co tam jeździłem...

— Tak, wiem! — Czarny znów przybrał ostry ton. — Wiem, że niepomyślnie poleceń cesarskiego dworu, uganiacie się za dziewczką, która was nie chce! Po Łucku nie wyjawiliście istotnej przyczyny zmiany dworu, a gadaliście zgoła co innego! Toteż uzyskaliście zgodę, ale wnet dostrzeżliśmy istotny powód tej zmiany! Wasze zaloty wiele nas nie obchodzą, ale tak długo, dopóki nie przeszkadzają poruczoną sprawom! Wy zaś własną żądzę przełożyliście nad dobro cesarza! Baczcie zatem, by nie dosięgnął was jego gniew, bo wówczas stracie prawo przebywania na dworze i przyjdzie wam wracać na Śląsk, a to mało co chyba lepsze niż zamknięcie w więzy!

Henryk zbladł. Czarny zauważył, że ręka, którą unosił do twarzy, drży mu mocno, toteż, już pewny, że błędu nie popełnił, czekał ciekaw na odpowiedź.

— Co tedy przykażecie? — usłyszał niemal pokorne pytanie.

— Pilnować cesarskich spraw i służyć im wiernie! Teraz nie pora myśleć o dziewczkach, na amory przyjdzie czas po koronacji! Toteż wróćcie na dwór Władysława bez nijakich wyjaśnień, bo to załatwimy sami, i będziecie dawać baczenie, co tam się dzieje! Jeśli nie okażecie posłuszeństwa, słyszycie moje ostatnie polecenie i radę! Henryk ciężko wystął z krzesła.

— Wypełnię cesarską wolę, wasza miłość... To przekażcie komu trzeba. A teraz zezwólcie odejść.

— Idź, bracie, z Bogiem — poważnie powiedział Czarny.

Jeszcze przed wyjazdem do Grodna Czarny wyprawił synów do Czepiel, po powrocie zaś złożył sprawozdanie panu Cebulce z wyników wyprawy. Po wysłuchaniu relacji kanclerz nie sprzeciwił się jego wyjazdowi na dwór króla Władysława, gdyż przyznał, że bezpieczniej będzie nie przysyłać pisemnych informacji o zaszłych w Wilnie i Grodnie wypadkach, jak i o rychłym powrocie wrocławskiego księcia na królewski dwór.

Pozostawił więc Waškę, pacholika, zaopatrzenie pieniężne, a także list do Zyty, w którym zawiadamiał ją o usunięciu, przynajmniej na razie, groźącego Oldze niebezpieczeństwa. Jednocześnie nakazał pocztowemu zasięgnąć wieści o tym, co dzieje się na wielkksiążęcym dworze, i powiadomić, gdyby zjawił się Kachner.

Po załatwieniu tych spraw wziął ze sobą Ottona, jednego pacholka i w trzy konie ruszył do Sandomierza, gdzie ze swoim dworem przebywał król Jagiełło.

Komnata królewskiego zamku była obszerna i widna, bo trzy wysokie okna dawały dość światła. Za wielkim stołem zawalonym papierami, w krześle o wysokim zagłowie, siedział wicekanclerz Oporowski. Przerwał rozmowę i obrócił twarz w stronę okna, jakby rozważając, czy należy jeszcze coś dodać do zakończonej właśnie wypowiedzi. Ksiądz Andrzej, siedząc naprzeciw dygnitarza z rękami opartymi na lasce, przyglądał się mu w milczeniu, jakby czekając na wynik tego namysłu.

Wicekanclerz był mężem już w wieku podeszłym, o twarzy ściągłej, lekko zapadniętych policzkach i suchym ostrym nosie, pod którym ciemne wąsy okalały wąskie usta dwoma pasmami. Oczy miał szare, jakby nieco wyblakłe, ale patrzył badawczo, a nawet nieco gniewnie.

— Sądziacie więc, wasza wielmożność, że poselstwo wiele nie wskóra? — proboszcz przerwał milczenie.

— Nie ma żadnych oznak, by sądzić, że Witold zmieni zdanie. O ile wiemy, nadal czyni przygotowania do ceremonii. A także do orężnej rozprawy... — dorzucił wicekanclerz z goryczą.

— Kiedy spodziewacie się powrotu poselstwa?

— Już niedługo, może za tydzień, dwa. Wówczas będziemy wiedzieli, czego się trzymać.

— Król jegomość zapewne już ochłódł w przyjaźni do Zygmunta i wreszcie widzi pełnię niebezpieczeństwa?

— Zbyt wiele ostrzeżeń usłyszał od Rady, jak i sam sporo przemyślał, toteż, istotnie, ochłonął... Ale cóż z tego? Decyzje można zmieniać, ale własne! Witoldowych nie zdoła, mimo że Cebulka nam sprzyja i bardziej światli litewscy panowie, tych wszakże nie tak wielu...

— A zaciekłość przeciwnych nam krzykaczy skutecznie tłumi ich głosy — uzupełnił proboszcz — I u nas ich nie brakuje, ale przynajmniej są w mniejszości. Cebulka jest w gorszym położeniu, bo Witold, nawet bez doradców, znany jest z uporów, teraz zaś ma za sobą niemal całe bojarstwo...

— Zatem trudno liczyć na pomyślne wyniki poselstwa — przyznał ksiądz Andrzej, po czym spytał:

— Nasz pan po ich powrocie ma zamiar ruszać na Ruś?

— Tak, chyba tam spędzi zimę.

— Po raz pierwszy więc poniecha litewskich polowań?

— Wielce nad tym boleje, ale nic innego mu nie pozostało.

— Zima zmusza do spoczynku naturę, a także ludzkie poczynania — mruknął sentencjonalnie proboszcz, unosząc się z fotela. — Toteż i ten spór na jakiś czas chyba przycichnie, co pozwoli pomyśleć, jak się z nim uporać. A teraz pozwólcie, wasza wysokość, że wrócę do siebie.

Na korytarzu zamkowym, jak zwykle w czasie pobytu królewskiego dworu, panował ruch i gwar, krążyli dworzanie. Ksiądz Andrzej nie zwykł zwracać na nich zbyt dużej uwagi, więc i teraz poszedłby od razu do swojej kancelarii, gdyby z okiennej niszy nie wysunął się starosta nieszawski, pan Tumigrało, i już z daleka zaczął pozdrawiać, zginając się jednocześnie w ukłonach. Kiedy się zbliżył, zawołał:

— Czołem biję i do ramienia księdza proboszcza przypadam!

Zaskoczony tym powitaniem ksiądz Andrzej chciał rzucić w odpowiedzi parę grzeczności i ruszyć dalej, ale pan Tumigrało nie dał mu przyjść do słowa.

— Może wasza wielbność mnie nie poznaje? Jam nieszawski starosta, miałem zaszczyt poznać księdza dobrodzieja jeszcze w Wilnie! Idę w jedną stronę, może zatem pozwoli mi, wasza wielbność, chwilę sobie towarzyszyć?!

— Proszę, mości starosto... — rzucił zdawkowo proboszcz, nie dając po sobie poznać, że to natręctwo wydaje mu się dziwne.

Starosta z wyraźnym zadowoleniem skorzystał z udzielonego zezwolenia i idąc u boku proboszcza od razu podjął rozmowę:

— Tak rzadko ostatnio widywałem waszą wielmożność, że mocno się ucieszyłem ujrzawszy go tak niespodziewanie!

— No cóż, na spacerów nie mam zbyt wiele czasu... — ksiądz Andrzej uśmiechnął się z lekka.

— Tak... tak, sprawy publiczne... — westchnął starosta. — I to na pewno nie byle jakie, boć przecież ciężkie przeżywamy chwile! Wszakże szczęściem tak wielkie umysły, jak obu naszych kanclerzy, panów z Rady, no i starania waszej wielbności, chwalić Boga, pilnie strzegą dobra Korony!

Widząc, że na to oświadczenie ksiądz Andrzej zmarszczył brwi, dorzucił pośpiesznie:

— Przecież chyba nie przebrałem miary mówiąc, ile trudu wkłada wasza wielbność w należytą pracę królewskiej kancelarii. Co, jak sądzę, ma większe znaczenie niż obrady naszych panów, którzy samym gadaniem nie zażegnają niebezpieczeństwa, jakie nad nami zawisło!

Idąc korytarzem pan Tumigrało co i raz wymieniał ukłony z mijanymi dworakami, nie przeszkadzało mu to jednak w gadaniu, którą w pewnej chwili przerwał proboszcz drwiącym pytaniem:

— Wasza wielmożność musisz mieć do mnie jakąś ważną sprawę, skoro okazujesz mi tyle łaskawości! Mówże zatem, w czym rzecz?

Pan Tumigrało aż na chwilę przystanął, by zawołać z oburzeniem:

— Ależ skądże! Wiele o proboszczu dobrodzieju słyszałem i cieszyłem się, że dane mi było go poznać! Toteż kiedyś was ujrzałem w zamkowym korytarzu, nie mogłem się powstrzymać, by znajomości nie odnowić!

Doszli do przedsionka z pułapem wspartym o kolumny. Prowadziły z niego schody na wyższe piętro, gdzie miał swoją komnatę ksiądz Andrzej. W nadziei, że uwolni się wreszcie od natręta, przystanął przed stopniami i właśnie miał zamiar go pożegnać, kiedy od jednej z kolumn oderwała się chuda postać i skłoniła przed starostą z ostentacyjnie przesadną uniżonością.

Pan Tumigrało nie wydawał się jednak zaskoczony tym spotkaniem, gdyż zwrócił się ze śmiechem do proboszcza:

— Wielebny proboszczu Andrzeju, nie dziwcie się temu powitaniu, które może i was dotyczy, ale to nikt inny, jeno imć Holeszko, królewski wesołek!

Ksiądz Andrzej obrócił się z niejakim zaciekawieniem ku Holeszce. Już o nim słyszał, ale został zaskoczony badawczym, przenikliwym spojrzeniem, jakie przez krótką chwilę przesunęło się po jego twarzy. Zaraz jednak szerokie usta błazna rozciągnęły uśmiech:

— Istotnie, witam także jego wielbność, i to z wielkim podziwieniem!

— Czemuż tak się dziwisz, mości Holeszko?! — zawołał z zaciekawieniem starosta.

— Cierpliwości czcigodnego kapłana, że zdołał dotąd wytrzymać wasze gadanie!

— Czyżbyś sądził, że nudny gaduła?! — obruszył się Tumigrało.

— Pustymi słowy sieje głupota, słuchać nie gadać, większa to cnota... — wyrecytował błazen.

Starosta uśmiechnął się, ale już nieco kwaśno.

— Dostałbyś po uszach, gdybyś nie był w królewskiej służbie, niecnoto!

— Za swoje pouczenia od nikogo zapłaty nie biorę! — Holeszko obrócił się na pięcie, nie dając już okazji starości do odpowiedzi.

Ten patrzył za nim przez chwilę, po czym jakby nagle zapomniał o swym gniewie i zaczął poprzednim, wesołym tonem:

— Być może istotnie znużyłem waszą wielbność zbyt wieloma słowami, tedy proszę o wybaczenie!

Ksiądz Andrzej zamiast odpowiedzi skinął mu tylko głową i ruszył ku schodom.

W mieście Czarny zjawił się znów jako kupiec Morzelec. Oberże i zajazdy były pełne, jak zwykle, kiedy zjeżdżał na zamek król i jego dwór. Towarzyszyło mu wiele szlachty szukającej zbliżenia jeśli nie

do osoby królewskiej, co było zbyt trudne, to przynajmniej do dworzan z jego otoczenia, by przez nich zabiegać o załatwienie licznych i różnorodnych swoich spraw i interesów.

Ruch więc był znaczny, i to nie tylko na zamku, ale i w mieście. Jednak Czarny grosza nie pożądał, więc rychło znalazł wygodną kwaterę w jednym z kupieckich dworów.

Wiedział, jak nawiązać kontakt z Jaksą, gdyż sposób już zawczasu był ustalony. Toteż Otto zaniósł w darze księdzu Mikołajowi Drzewieckiemu, pieczętarzowi królewskiemu, koszyk dorodnych jabłek, które zostały przyjęte bez zdziwienia i zbędnych pytań. Kiedy zaś ksiądz został sam, wyjął ukrytą między nimi karteczkę.

Wkrótce potem na kwaterę kupca Morzelca przybył braciszek z zakonu dominikanów i prosił go, by nazajutrz zechciał wysłuchać porannej mszy w kościele Sw. Jakuba.

Czarny, posłuszny tak zbożnej prośbie, udał się do kościoła odziany w swój kupiecki strój. Wysłuchał w skupieniu mszy, ale kiedy wierni zaczęli opuszczać świątynię, on jeszcze pozostał, nadal pogrążony w modlitwie. Ta pobożność, widać zwróciła uwagę tego samego braciszka, bo podszedł do niego i, nachyliwszy się, szepnął mu do ucha:

— Przyjdźcie, panie, do zakrystii, na lewo od głównego ołtarza...

Uchylił wskazane drzwi i znalazł się w mrocznym pomieszczeniu oświetlonym tylko jednym wąskim oknem. Mimo to zaraz dostrzegł Jaksę, który ruszył ku niemu, bez słowa ujął w ramiona, po czym od razu objaśnił:

— W zaułku czeka na nas karetka. Chodź ze mną, tam dopiero pogadamy...

Po wyjściu na tyły kościoła Czarny ujrzał ciężkie pudło karocy zaprzężone w parę silnych koni, stojące w pobliżu wyjścia. Jaksza rzucił szybkie spojrzenia w obie strony zaułka, zbliżył się do karety i otworzywszy drzwiczki polecił krótko:

— Wsiadaj!

Hubert usłuchał wezwania, a kiedy znalazł się wewnątrz pojazdu, ujrzał księdza Andrzeja opartego o poduszki siedzenia. Bez słowa zajął przy nim miejsce. Dopiero, gdy Jaksza siadł również i zatrasnął drzwiczki, proboszcz odezwał się spokojnie:

— Witaj, Hubercie. Rad cię widzę...

Karetka ruszyła. Konie biegły kłusem, droga była równa, toteż pojazd toczył się bez wstrząsów. Ksiądz Andrzej po chwili przemówił powtórnie:

— Sądzę, że przywozisz ważne wieści, skoro nie chciałeś poruczać ich pismu?

— Bałem się, że może wpaść w obce ręce!

— Mów tedy, słucham.

Czarny zwięźle, ale szczegółowo, zdał relację z wypadków. Kiedy skończył, proboszcz mruknął:

— A więc przystany pas szybko ci się przydał...

— Użyłem go, choć wiedziałem, że miałbym kłopot, gdyby Henryk nie orientował się, co oznacza...

— No cóż, nasza praca to nieustanny hazard. W ten sposób potwierdził jednak podejrzenia, jakie mieliśmy co do niego.

— Teraz wkrótce powinien tu przybyć. Dobrze byłoby zbytnio go nie nagabywać o przyczynę nieobecności.

— Postaram się, aby przez koła dworskie został powitany przychylnie. To umocni go w przekonaniu, że istotnie jest pod cesarską opieką. Natomiast pan Cebulka miał rację, że nam go podesłał. Tu będzie mniej szkodliwy.

— Czuję, że przybędzie im pod opiekę jedno dziecko więcej... — rzucił kpiąco Rudy.

— Istotnie, będziesz go musiał mieć na oku - przyznał proboszcz.

— Chciałbym wiedzieć, z kim się będzie przyjaźnił. Zresztą nie tylko to cię czeka, ale o tym pogadamy później.

Kareta nie przyspieszając minęła Bramę Opatowską i mijała teraz zabudowania i sady przedmieścia. Ksiądz Andrzej uchylił nieco firankę, wyjrzał na chwilę, po czym zwrócił się do Czarnego.

— Dobrze, żeś przybył, i to nie tylko z powodu przywiezionych wiadomości. Słusznie też przystąpiłeś wysyłając synów do Czepiel, bo po rozpoznaniu przez Henryka dalszy ich pobyt zdradziłby cię przed Kachnerem. Ten zaś niedawno tu przybył... — nieoczekiwanie zakończył proboszcz.

— Jest tu? — powtórzył Hubert zaskoczony tą nowiną. — Ciekawe, po co przyjechał?

— Otóż to... Zebrałem was obu, abyście znali nawzajem wasze zadania, inaczej moglibyście sami sobie wadzić w robocie. Ze mną możecie się widywać tylko w nagłych i ważnych wypadkach, inne wieści przesyłajcie

przez księdza Drzewieckiego. Ty, Hubercie, zajmiesz się Kachnerem i spróbujesz dojść, po co tu się zjawił — mocno mnie to ciekawi.

— Gdzie się zatrzymał?

— W gospodzie „Pod Złotym Baranem.” Ale nie idź do niego od razu, lecz najpierw przepytaj się o niego i niech się on nawet o tym dowie.

— Może spytać, skąd wiedziałem, że jest w Sandomierzu?

— Chyba zdołasz mu to wyjaśnić? — mruknął proboszcz, pomijając odpowiedź.

Woźnica musiał z góry dostać polecenia co do kierunku jazdy, bo poczuli, że karoca zwalnia, a potem skręca. Proboszcz znów ostrożnie wyjrzał przez okno i z kolei zwrócił się do Rudego:

— Tobie zaś, mości Jaksza, opowiem o małym zdarzeniu, jakie przytrafiło mi się onegdaj. Otóż po wyjściu od pana Oporowskiego powitał mnie nie kto inny, jak nasz znajomy, pan Tumigrało, i to z wielką atencją. Potem zaś towarzyszył mi aż do schodów, nieustannie gadając byle co. Wreszcie kiedy już chciałem go pożegnać, natknęliśmy się na królewskiego błazna Holeszkę, który zagadnął starostę. Ten zaś, niby dla zaprezentowania go mnie, raczej mu wskazał, z kim idzie...

— Właśnie Holeszce? — zdziwił się Jaksza. — Jeśli istotnie chciał was wskazać, to chyba komu innemu? Toć na pewno wielu ludzi spotkaliście po drodze!

— I to być może, bo bez powodu do mnie nie podszedł, a tylko taki widzę w jego postępkach.

— Co by to miało znaczyć, wasza wielbność, jak sądzicie? — Jaksza mimo wątpliwości zaniepokoił się. — Pamiętajcie to ostrzeżenie z cesarskiego dworu? Zygmunt ponoć rozkazał ostro rozprawiać się z tymi, którzy stali się zbyt niebezpieczni dla jego planów? Czy nie chodziło mu właśnie o was?!

— Nie sądzę, abym aż tak dał mu się we znaki — ironicznie zauważył proboszcz. — Poczytywałbym sobie zresztą za honor takie cesarskie wyróżnienie...

— Nie kpijcie, wasza wielbność — z niepokojem rzucił Czarny. — On do wszystkiego jest zdolny! To człek bez czci i sumienia!

— Sumienia władców mają twarde skorupy, Hubercie. Niejedno by można o tym powiedzieć... Ale też tylko tacy mogą zwyciężyć!

— Owo spotkanie z Tumigrałą nie daje mi spokoju — wtrącił Jaksę.

— Czy nie należałoby zwrócić na niego baczniejszej uwagi?

— Toteż tym się zajmiesz — potwierdził proboszcz. — Jeno nie starostą, a Holeszką. Swoje dotychczasowe sprawy przekaz młodemu Tęczyńskiemu, to bystry młodzieniec i godny zaufania. Ty zaś obejmiesz pieczę nad wrocławskim księciem i królewskim błaznem. Bądź jednak ostrożny, bo to człek przebiegły i jeśli go zlekceważysz, od razu cię przejrzy.

— Nie omieszkać o tym pamiętać...

— Jednak to, co wam zleciłem, to robota na dziś. Czeka nas bowiem zadanie znacznie trudniejsze, któremu nie wiedzieć, czy zdołamy sprostać...

Ton tej wypowiedzi proboszcza był tak poważny i pełen troski, że obaj spojrzeli na niego z zaciekawieniem. Ksiądz zaś, jakby tego nie dostrzegając, ciągnął dalej:

— Już po raz wtóry, ostatnio zupełnie niedawno, nasi przyjaciele na Węgrzech, stojący blisko cesarskiego dworu, donieśli mi, że cesarz polecił Zakonowi wszystkich jego tajnych wysłanników oddać pod rozkazy człowieka, który ma nadzór nad jego ludźmi przebywającymi na naszym dworze. To istotnie może wielce usprawnić działanie przeciwników, gdyż zespoli ich wysiłki. Trzeba będzie wykryć tego człowieka, ale to sprawa nie do rychłego rozstrzygnięcia, wymaga namysłu i narad... Wspominam o niej, abyście wiedzieli, że nierychło będziecie mogli wrócić do siebie...

— Oby tylko nie doszło do koronacji... — mruknął Jaksę. — Przynajmniej nasz trud nie poszedłby na marne!

Kareta znów skręciła, proboszcz zaś oświadczył:

Niebawem zatrzymamy się. Pierwszy niech wysiądzie Hubert, ty, Jaksę, nieco po nim. Ja wrócę do Świętego Jakuba sam. Pamiętajcie o moich ostrzeżeniach, bo pogrzebów nie lubię...

Przez najbliższe dni Otto przepytawał po zajazdach o gdańskiego kupca Kachnera, nie kryjąc się zbytnio ze swymi poszukiwaniami. Ale tak się złożyło, że oberża „Pod Żółtym Baranem” była jedną z ostatnich, do jakich zajrzał. Kiedy tam go znalazł, Czarny uznał, że nadszedł czas, by nawiązać kontakt ze współnikiem. Przesłał mu więc wiadomość o swojej bytności w Sandomierzu i zaproponował spotkanie w oberży.

Miało się już ku wieczorowi, więc sala była pełna, ale znalazł spokojny kąt i siedząc przy kubku miodu rozglądał się dokoła. Tłoczno było przy stołach, goście bądź prowadzili poufne narady nachyliwszy ku sobie głowy,

bądź wiedli hałaśliwe dyskusje przerywane gniewnymi okrzykami lub wybuchami śmiechu. Siedzieli tu mieszkańcy miasta pomieszani z przybyszami: kupcy, żołnierska brać, biedna, a także zamożna szlachta, odznaczająca się bogactwem ubiorów i pewnym siebie, butnym zachowaniem.

W pewnej chwili drzwi uchyliły się i Czarny ze zdumieniem ujrzał Rufina. Towarzyszył mu rosły, barczysty mężczyzna o gęstym zaroście okalającym nabrzmiatą, pełną twarz z grubym nosem, już na pierwszy rzut oka nie wzbudzającą zaufania. Przeszli szybko wzdłuż ściany, omijając stoły, i skierowali się ku schodom prowadzącym na piętro, gdzie w oberżach przeważnie znajdowały się izby sypialne.

Mocno zaciekawiony obecnością Rufina w mieście zastanawiał się, dlaczego Kachner ściągnął go do siebie. Przyczyna była na pewno ważna — ale jaka?

Miał czas na te rozważania, gdyż kupca wciąż nie było. Zaczął już wątpić, czy się pojawi, kiedy dostrzegł go wreszcie w drzwiach wejściowych. Zatrzymał się i rozglądał chwilę po sali, a kiedy go dostrzegł, ruszył ku niemu.

Zbliżając się, wołał już z daleka:

— Witam, łaskawce, witam! Wielce się ucieszyłem, dostawszy od was wiadomość... — dorzucił przysiadając się do Czarnego.

Ten odpowiedział mu równie przyjaźnie:

— I jam się ucieszył, dowiedziawszy się, że jesteście w mieście!

— A któż to wam przekazał?

Hubert, skrywając wewnętrzne rozbawienie tym przewidywanym pytaniem, odpowiedział zdawkowo:

— Przecież przybyłem tu w interesach. Nic więc dziwnego, że przepytywałem o innych kupców, by wiedzieć, jakich mam konkurentów...

— No tak, no tak! — Kachner roześmiał się. — A jak się wam wiedzie?

— Robię, co mogę. Łatwo nie idzie, gdyż nie ja jeden zabiegam o dostawy! Ale jestem dobrej myśli, bo nieco znajomości człek ma... — urwał, upijając nieco miodu.

— Doszły mnie słuchy, że ktoś o mnie pyta, ale nie wiedziałem, że to wy! Zresztą gdybym nawet wiedział, to w niczym nie mogłem wam pomóc, bo gdzie miałem was szukać?

— Istotnie, zwiedziawszy się, że jesteście w Sandomierzu, czyniłem starania, by was odnaleźć, gdyż pogadać było o czym... Mam kwaterę u jednego z tutejszych kupców, Marcina Gonki. Jego dwór znajduje się przy Ptasim Zaułku, w pobliżu klasztoru dominikanów. Rad będę, jeśli zajdziecie do mnie na kusztyczek miodu.

— Dzięki za uprzejmość, nie wiem wszakże, czy starczy czasu, bo i ja mam trudności w nawiązaniu jakiejś dobrej znajomości na dworze. Dla nas, kupców z zakonnego państwa, nastały teraz złe dni...

— Tak jest w istocie, jednak nie zaniedbuję niczego, by zdobyć przyjaciół, choć przyznaję, że to niełatwo... Wszakże jakie takie widoki mam.

— Nie uchodzi mi pytać, ale skoro porozumieliśmy się co do Świdrygiełły, może i tu moglibyście okazać mi pomoc? Odpłaciłbym należyłą wdzięcznością...

Czarny milczał przez chwilę, udając, że zastanawia się nad odpowiedzią. Wreszcie odezwał się jakby z wahaniem:

— Może i mógłbym... O ile, rzecz prosta, nie zaszkodziłoby to moim interesom. W czym widzielibyście tę pomoc?

— W żadnym razie nie chciałbym wchodzić wam w drogę! — zapewnił gorąco kupiec. — Potrzebuję tylko nieco wiadomości o ludziach, którzy, choć nie decydują sami, mogliby mnie poprzeć, rzecz prosta, nie bez korzyści dla siebie! Na ślepo działać nie należy, dlatego chciałbym wiedzieć, jak i kiedy można byłoby z nimi pogadać... Jeśli zbyt wysoko mierzycie, sprawa byłaby trudna...

— Nie mam na myśli dygnitarzy. Są wszakże dworzanie mniej znaczni, a przecież ich głos mógłby więcej wskórać niż niejednego wielkiego pana...

— Kogo zatem macie na myśli?

— A więc Andrzeja, osobistego podkomorzego króla, o którym wiadomo, że jest jego ulubieńcem. Potem także Andrzeja, ale proboszcza, zatrudnionego w kancelarii. Ponoć także cieszy się wielkim mirem, no i jeszcze de Wrula, królewskiego pokojowca...

Wzmianka o proboszczu obudziła czujność Huberta, ale, nie dając po sobie poznać wewnętrznego napięcia, spytał spokojnie:

Co chcielibyście o nich wiedzieć? Muszę was jednak uprzedzić, że zebranie potrzebnych wam wiadomości będzie kosztować, toteż im większe będą wymagania, tym wyższa zapłata!

— O pieniądze nie chodzi, ale o dokładność informacji! Zresztą dużo ich nie potrzebuję. Po prostu muszę znać ich rozkład dnia, kiedy i co czynią, a zwłaszcza o jakiej porze i gdzie można byłoby z nimi pogadać na osobności?

— Hm... Może i dałoby się to zrobić. Tym bardziej że chyba jednemu służymy Bogu — Czarny zawiesił na chwilę głos, po czym wyjaśnił:

— Mam na myśli Merkurego...

— Czy moje żądanie wydaje się wam zbyt trudne? — zaniepokoił się Kachner.

— Ważniejsze jest, czy nie zagrozi moim interesom? Ale sądzę, że chyba nie. Wiele przeznaczacie na zebranie tych wiadomości?

— No, sądzę... — Kachner zawahał się, wreszcie rzucił pytająco: — Zapewne sto wystarczy?

Kwota była spora, ale mimo to Czarny prychnął pogardliwie:

— Chyba żartujecie?! Tanio, łaskawco, oceniacie koszt! Musiałbym, prócz zabiegów, jeszcze sam dołożyć grosza! O mniej, jak trzech setkach, nawet nie ma co gadać!

Kupiec zmarszczył brwi i jakiś czas bez słowa wpatrywał się w blat stołu. Wreszcie uniósł wzrok na Czarnego i zawołał niemal gniewnie:

— Czy nie za wiele żądacie?! Niejedno można by za to kupić!

Czarny wzruszył ramionami.

— Nie ja będę chował pieniądze do kieszeni. Jeśli nawet coś z tego zostanie, chyba i za poczynione zabiegi też nieco mi się należy?

— No dobrze... — Chociaż z ociąganiem, Kachner wyraził zgodę.

— Wiele czasu zajmie wam sprawa?

— Sądzę, że za dni pięć, może sześć, przekażę wam wieści. Wszakże jutro rano prześlą mi z połowę pieniędzy, bo bez tego nie ruszę, a swoich wykładać nie będę!

— Dobrze, dostaniecie. — Po chwilowym rozdrażnieniu Kachner okazał zadowolenie i jakby na zakończenie rozmowy dorzucił: — Rad jestem, że doszliśmy do porozumienia, i liczę, o czym już wspominałem, że dostarczone wiadomości będą dokładne!

— O to możecie być spokojni. Teraz zaś, mimo że już tę sprawę załatwiliśmy, chciałbym was jeszcze na krótko zatrzymać...

— Ależ służę wam — zgodził się uprzejmie kupiec, dodając z uśmiechem: — To przecież nie ja, a wy będziecie po nocy wracać na kwaterę!

— Chodzi mi o nasze interesy ze Świdrygiełką. Nie miałem dotąd żadnych wieści od Rufina. Czy wam także niczego nie donosił?

Kachner jakby zawahał się chwilę, ale odpowiedział rzeczowo:

— Nie donosił i mnie, lecz powodem tego na pewno są trudności, jakie zwykle trzeba przezwyciężyć, zanim człek nie zaznajomi się dobrze z nowym miejscem pobytu i nie nawiąże odpowiednich znajomości.

— Czy tak się wam tłumaczył? Bo podejrzewam, że i wy byliście zaniepokojeni, skoro wezwaliście go tutaj?

— Skąd to wiecie?! — zachnął się Kachner, wyraźnie zaskoczony pytaniem.

— Bom go niedawno widział, jak szedł przez salę.

— Istotnie, właśnie po to go wezwałem, bom, tak jak i wy, był niespokojny, dlaczego milczy. Ale podał mi powody, które wam powtórzyłem, co, przyznaję, nieco mnie uspokoiło. A można na nim polegać.

— Zatem czasu nie przespał?

— Na pewno nie! Opieszały nie jest!

— Chyba zbyt długo trzymać go nie będziecie? Dostawy dla Świdrygiełły są pewniejsze niż na dwór Władysława, toteż musimy o nie zabiegać pilnie!

— Słusznie! — Kachner okazał wyraźne zadowolenie, że jego wyjaśnienie dotyczące Rufina zostało przyjęte ze zrozumieniem.

Czarny nie uznał jednak tych powodów za prawdziwe, pamiętał bowiem, do czego był zdolny Rufin. Pojawiło się więc niebezpieczeństwo wymagające najwyższej czujności.

Toteż rozmowa z Kachnerem, a zwłaszcza okazanie zainteresowania osobą proboszcza mocno Czarnego poruszyły. Było mało prawdopodobne, że tak przebiegły osobnik zupełnie nie orientował się w dworskich stosunkach i do tego stopnia nie rozeznawał, u kogo mógłby uzyskać poparcie, by brać pod uwagę również księdza Andrzeja. Najmniejszy błąd popełniony w tym wyborze groził przecież zakazem wstępu na królewski dwór, a zatem pozbawiał nadziei na robienie tam jakichkolwiek interesów. To dowodziło, że powody, dla których potrzebował tych informacji, były zgoła inne.

Po tych rozważaniach postanowił przede wszystkim odbyć naradę z Jaksą, przekonać się, czy i on podzieli jego obawy, a dopiero potem przekazać proboszczowi wiadomość o zainteresowaniach Kachnera.

Spotkał się z Rudym w tej samej zakrystii, w której zobaczyli się uprzednio. Przysiedli na skrzyni z ornatami i Hubert opowiedział szwagrowi przebieg odbytej rozmowy. Kiedy skończył, również Jakska okazał wzburzenie, wykrzyknąwszy mało co tłumiąc głos:

— A więc wymienić i proboszcza?!

— Zrobił to jednak chytrze, ukrywając pomiędzy innymi imionami, by nie zdradzić, o kogo w istocie mu chodzi!

— Zatem tego zdarzenia z Tumigrą tym bardziej nie wolno lekceważyć... — mruknął Jaks. — Czy miał go wskazać błaznowi, czy komu innemu, to nieistotne, gdyż w każdym razie dowodzi, że coś się przeciw proboszczowi knuje!

— Łatwo zgadnąć co, skoro ściągnął takiego człowieka jak Rufin. — zauważył z sarkazmem Czarny. — On na pewno więcej ma zabójstw na sumieniu, nie tylko to we młynie...

— Bez wątplenia — zgodził się Jaks. — Nie skojarzyłem sobie tego od razu! Ale dlaczego o niego spytałeś? Mogło to obudzić czujność tego kupca!

— Należało przecież poruszyć w rozmowie sprawę interesów ze Świdrygiełłą, gdyż dlatego właśnie szukałem swego współnika! Stąd musiałem spytać i o Rufina. Skoro go jednak spostrzegłem, on mógł dostrzec i mnie, więc gdybym tego sam nie powiedział, byłoby jeszcze gorzej...

— A jeśli mylimy się? — zastanowił się Jaks. — To kupieckie zainteresowanie mogło rzeczywiście wynikać ze złego rozeznania, kim naprawdę jest ksiądz Andrzej.

— Dlatego dla upewnienia się w jego intencjach postawiłem wyjątkowo wysoką cenę za swoją usługę. Gdyby chodziło mu tylko o uzyskanie poparcia, czego z góry nie można być pewnym, na taką zapłatę nie zdobyłby się żaden kupiec, jako na zbyt ryzykowny wydatek! Kto wie zatem, czy to on ponosi koszty, a inne są cele zdobycia tych wiadomości! Na pewno chodzi mu tylko o proboszcza, a zwłaszcza, kiedy będzie sam i gdzie!

— Bóg łaskaw, że ciebie właśnie wybrał do uzyskania tych wiadomości...

— A wiesz dlaczego? Bo oni pracują osobno, na własną rękę. Mam na myśli agentów zakonnych i cesarskich. Nie znają się przy tym wzajemnie, a ja pozwoliłem domyślić się Kachnerowi, że trudnię się nie tylko kupiectwem, więc sam będąc wysłannikiem Zakonu, mnie uważa za cesarskiego! Tak to, przynajmniej na razie, udaje się nam wykorzystywać tę sytuację!

— Co zapewne rychło się skończy. Ksiądz Andrzej wspominał przecież, że dostrzegli ten błąd i odtąd cesarz polecił wspólne działania i pod jednym kierownictwem...

— Toteż i my będziemy musieli przystosować się do tego.

— To kłopot na później. Teraz mamy inny, bardziej naglący: zapewnić bezpieczeństwo proboszczowi.

— Przede wszystkim trzeba go zawiadomić o sprawie. Na ustalenie ochrony mamy czas, bo wiadomości obiecałem dostarczyć nie wcześniej, jak za pięć dni, na razie więc nic mu nie grozi. Mimo to muszę szybko otrzymać decyzję proboszcza, co mam odpowiedzieć Kachnerowi. Spotkajmy się zatem już jutro, o tej samej porze... — zakończył Czarny rozmowę.

Podczas następnego spotkania Jaks udzielił Czarnemu wskazówek dotyczących podkomorzego Andrzeja i pokojowca de Wrula, natomiast o sobie ksiądz Andrzej przykazał powiadomić Kachnera, że rozmowa mogłaby się odbyć tylko w czasie, kiedy samotnie udaje się wieczorem na nieszpory do kościoła Św. Jakuba. Wchodzi zaś nie głównym wejściem, ale przez zakrytą. Po udzieleniu tych wskazówek zauważył już, jakby mimochodem, że zaułek za kościołem uważa za najlepsze miejsce dla dokonania napadu.

— No tak... — mruknął Czarny usłyszawszy polecenie. — Spodziewałem się, że nie omieszka narazić własnej głowy na szwank, byle przyłapać tych psuwratów!

— No i zadał nam bobu! — dorzucił ze złością Jaksza. — Nawet nie zatroszczył się, co zamierzamy przedsięwziąć!

Kachner otrzymał żądane wiadomości, a Czarny zgodnie z życzeniem proboszcza, przekazał jego pieniądze Jaksie.

Tych kilka pozostałych do dyspozycji dni przeznaczyli na dokładne obejrzenie drogi, którą chodził ksiądz Andrzej na nieszpory. Zrobili to możliwie nieznacznie, stwierdzając, że istotnie ów zaułek przy kościele Św. Jakuba nadawał się doskonale do urzędzenia tam zasadzki. Wiódł z niedużego przedkościelnego placu, omijał węgiel zakryty, potem skręcał pomiędzy dalsze zabudowania. Na rogu owego placu znajdowała się posesja otoczona murem, a dalej, za płotami z bali, stało szeregiem kilka dworców bądź małych

kamieniczek z wyjściami wprost na uliczkę. Po drugiej stronie zaułka ciągnął się masyw kościelnej ściany, skąd niebezpieczeństwo nie mogło grozić.

Ustalili miejsca ukrycia swych ludzi, natomiast zrezygnowali z poszukiwania przypuszczalnych kryjówek napastników, w obawie, by w ten sposób nie ujawnić, że spodziewają się zamachu. Taka zaś ewentualność dekonspirowała bowiem Czarnego i mogła zmusić przeciwników do szukania innego, już nieznanego sposobu wykonania zamiaru.

Utrudniało to znacznie przygotowanie obrony, ale i Hubert, i Jaksza ocenili, że przy zachowaniu należytej czujności i liczebnej przewadze zdołają na czas zapobiec napaści.

Już od dnia dostarczenia Kachnerowi wiadomości zajęli swe dobrze ukryte posterunki, i to na parę godzin przed zmierzchem, w nadziei, że być może uda się dostrzec zbirów zawczasu. Dwóch ludzi przebranych za żebraków umieścili na stopniach kościoła, jednego zaś za węglem zakryty. Ten miał dawać baczność na tyły zaułka, natomiast owi żebracy na plac przedkościelny.

Pierwszy wieczór minął spokojnie, ale następnego wzmogli czujność, mimo że nie było sygnału o pojawieniu się podejrzanych ludzi. Pełni napięcia oczekiwali nadejścia księdza Andrzeja, gdyż było pewne, że Kachner nie będzie zbyt długo odwlekał zamierzonej napaści.

Wrześniowe słońce już schowało się za dachy domów, a cienie pod ich ścianami zaczęły gęstnieć, kiedy Czarny, ukryty za drzwiami zakryty, dojrzał przez pozostawioną szczelinę sylwetkę zbliżającego się proboszcza. Szedł podpierając się laską i pozornie nie zwracał uwagi na otoczenie, bo nawet nie unosił pochylonej głowy.

W czerwonej poświacie zachodu jego postać, początkowo zatarta blaskami wieczornej zorzy, w miarę zbliżania się stawała się coraz wyraźniejsza, nabierała coraz ostrzejszych konturów.

Czarny ze wzrastającym napięciem obserwował, każdy jego krok a jednocześnie płoty i domy drugiej strony zaułka. Wszędzie panowała jednak cisza i niczym nie zakłócony spokój. Mimo to jego podniecenie wzmagało się, gdyż każda chwila groziła nagłym rozpętnaniem się burzy.

Nie przewidział jednak jej pierwszego gromu. Raptem bowiem usłyszał krótki świst i ujrzał, jak w piersi proboszcza utkwiała strzała. Ugodzony

zatonął pod ścianę kościoła i w tej chwili z drzwi najbliższej kamieniczki wyskoczyło dwóch napastników.

Rozległ się przeraźliwy gwizd Czarnego, a jednocześnie on sam wyskoczył z ukrycia i rzucił się do księdza.

W pędzących ku niemu zbirach rozpoznał brodacza, którego widział w oberży, a w drugim Rufina.

Czarny ze zgrozą ujrzał, jak nad proboszczem, opartym plecami o kościelną ścianę, ze strzałą tkwiącą w piersi, unosi się ramię z nożem w dłoni. Ale też dostrzegł, jak ksiądz Andrzej wyrwa ze swej laski długie ostrze i, zanim napastnik zdołał zadać mu cios, przebija go wąską połyskującą klingą.

Drugi nadbiegał Rufin. Czarny, widząc że nie zdoła na czas go dopaść, chwycił za ciężką, odlaną z brązu rękojeść sztyletu. Wprawa w posługiwaniu się nim pozostała mu jeszcze z młodzieńczych lat, wystarczył więc krótki zamach ręki, by przecięła powietrze srebrna błyskawica. Ostrze ugodziło w kark Rufina, zagłębiając się w nim nieomal do połowy.

Rozłożył ramiona jakby chcąc zerwać się do lotu i runął na ziemię. Impet biegu i siła uderzenia spowodowały, że sunął chwilę po bruku uliczki dosięgając głową stóp proboszcza, niby w pokornym błaganu o przebaczenie.

W tym czasie pachołcy spod kościoła, razami krótkich mieczy ukrytych pod odzieżą, rozprawili się jeszcze z dwoma napastnikami, którzy, zaczejeni za najbliższym płotem, pośpieszyli z pomocą. Natomiast Czarny, choć zajęty proboszczem, dostrzegł, że Jaksa z Tomkiem znikają w drzwiach kamieniczki, skąd wyskoczył Rufin ze swym pomocnikiem.

Proboszcz zaś znów sprawił Hubertowi niespodziankę, gdyż odtrącił jego rękę usiłującą go wesprzeć, wyrwał strzałę z fałd kaftana i odrzucił ją na bok, mruknąwszy wyjaśniająco:

— Utkwiła mi w oczkach kolczugi...

Wsunął ostrze w laskę i rozkazał głosem nie zdradzającym najmniejszego poruszenia:

— Przyślijcie wóz, by zabrali zwłoki. I przykażcie odpędzić gawieź, gdyż jak widzę zaczyna się gromadzić...

Czarny nachylił się nad Rufinem, wyrwał mu z karku swój sztylet, schował go do pochwy, po czym kazał pachołkom przepędzić gapiów.

W tej chwili ujrzał Jaksę i Tomka, który dźwigał na ramieniu bezwładne ciało.

— To ten, co strzelał? Ubity? — spytał Rudego.

— Nie, uderzyłem płazem, tylko zamroczony.

— Ostawcie go tu, niech Tomasz da nań baczenie i zarządzi resztę, wy zaś chodźcie ze mną do zakrystii... — polecił proboszcz ruszając z miejsca.

Kiedy znaleźli się w mroku jej wnętrza, tym razem ksiądz przysiadł na skrzyni i zwrócił się do Czarnego:

— Teraz udasz się na kwaterę, i to bocznymi ulicami, i przez kilka dni nigdzie nie będziesz się ruszał. Nie tylko bowiem Kachner jest ciekaw, czy ostałem przy życiu. Natomiast ty, Jaksa — z kolei spojrzął na Rudego natychmiast weźmiesz pięciu zbrojnych i ujmiesz go. Nie zwlekaj z tym, bo skoro otrzyma wiadomość, że zamach nie powiódł się, będzie usiłował zbiec.

— Gdzie go odstawić?

— Tak jak tego łucznika, do zarządcy zamku. Niech zamknie ich w wieży! Rozkaz wydaj z polecenia Jego Eminencji kanclerza. Potem szykuj się do drogi, bo za dzień, dwa odstawisz tego kupca do Wilna.

— Do Wilna? — zdumiał się Rudy tą niespodziewaną decyzją.

— Ano właśnie... — ksiądz Andrzej skinął głową. Pan Cebulka dobrze zna sprawę tych, którzy już tam siedzą: owego putnika Huby i kapelana Józefa z Barcic. Kachner również należy do tej kompanii. Dostaniesz przed wyjazdem dokumenty w jego sprawie, chcę bowiem, by sądził ich wielki książę.

— Czy wasza wielbność raczy powiedzieć, dlaczego?

— Gdyż znając Witolda należy spodziewać się, że każe wszystkich powiesić! A to nie polepszy jego stosunków z Zakonem... — wyjaśnił uśmiechając się lekko ksiądz Andrzej.

A jednak, jak z czasem się okazało, ksiądz Andrzej, aczkolwiek istotnie znał dobrze naturę wielkiego kniazia, to jednak nie docenił jego przebiegłości. Bowiem wprowadził i Huba, i Kachner zawiśli na szubienicy, ale dowiedziawszy się, że kapelan z Barcic jest członkiem toruńskiej kapituły, odesłał go w dobrym zdrowiu do Malborka, z pismem i wyjaśniającym, że w imię przyjaźni z Zakonem darowuje mu winę.

STAROSTA NIESZAWSKI ROZSIADŁ się wygodnie w fotelu stojącym przy stole, za którym siedział ksiądz Andrzej. Słońce przedostawało się grube szkła zamkowych okien i rzucało smugi blasku na zaścielając podłogę kobiercem, nadając wnętrzu komnaty nastrój pogodnego zacisza.

Pan Tumigrało, jakby ulegając ternu wrażeniu, miał na twarzy przyjacielski uśmiech. Nogi w sukiennych, obcisłych, wiśniowego koloru spodniach założył jedna na drugą i odgarnąwszy szeroki, niczym niewieścia spódnica, rękaw, oparł łokieć na blacie stołu.

— Rad jestem pamięci waszej wielbności — przemówił wciąż uśmiechnięty. — Żeś raczył pamiętać o mnie i zaprosić na pogawędkę...

Ksiądz Andrzej przyglądał mu się zimno, jakby tak ugrzecznione zagajenie mało go obchodziło. To spojrzenie przygasiło nieco uśmiech pana starosty powodując, że dorzucił jeszcze bardziej uprzejmym tonem:

— Wszakże nie wiem, jaka tego przyczyna?

— Zaraz waszej wielmożności powiem — oświadczył krótko proboszcz — a wówczas zrozumiecie powód mojej pamięci...

— Słucham zatem, wasza wielbność... — Uśmiech znikł zupełnie z twarzy starosty.

— Czy wiadomo wam, że niejaki Kachner, gdański kupiec, został osadzony w lochu jako zakonny szpieg?

Starosta okazał już wyraźne zaniepokojenie.

— Nie, dowiaduję się o tym od waszej wielbności! Słyszałem wprowadzić o jakimś napadzie na waszą osobę, ale czyżby dlatego został pojmany?

— Dlaczego, nie należy do sprawy. Wszakże ma ona związek z wami o tyle, że ów Kachner, przesłuchiwany, zeznał jakoby otrzymaliście od niego znaczną kwotę...

— Ja...?! — Obruszył się starosta i chciał dalej zaprzeczać, ale widać uznał ten sposób obrony za niecelowy, bo zmienił ton i starając się nadać głosowi beztroskie brzmienie, spytał:

— Cóż z tego? Istotnie, zabiegając o pożyczkę skorzystałem z jego usługi!

— Kachner twierdzi, że dostaliście te pieniądze pod warunkiem udzielenia mu pomocy w jego działaniach — stwierdził zimno proboszcz, nie spuszczać spojrzeń z twarzy swego rozmówcy.

Było to oskarżenie już wyraźne i rzucone bez żadnych niedomówień. Toteż starosta zbladł, ale nie poniechał zaprzeczeń.

— To niecna potwarz! To godne pogardy łgarstwo!

— Równie dobrze może to być jego łgarstwo, jak wasze. Wszakże Wasze ma swoją przyczynę, natomiast nie widzę przyczyny, dla której on miałby przeciw wam zeznawać kłamliwie. Tym bardziej że potwierdził to przysięgą.

— Ależ... ja bym nigdy... O co mnie pomawiacie?! — Już przygnębiony mruknął cicho starosta.

— O zdradę tronu, panie Tumigrało... Toteż sprawę przekazę kanclerzowi i będę żądał, by poddano was przesłuchaniu pod pieczęć małodobrego.

— Ależ na Boga! Wasza wielebność! Czemu chcecie mnie gubić?! — Tumigrało już zupełnie pozbył się buty i był tylko pełnym lęku, wręcz przerażonym człowiekiem.

— Nie chcę was bynajmniej gubić, a tylko opamiętać. Sprawujecie urząd starosty, decyzja więc zależy od króla jegomości i jego Rady, co wszakże nie odmieni waszego losu, bo Jagiełło na Zakon i jego ludzi mocno teraz zawzięty. Jednak sprawa stałaby się głośna, a to nie leży w moich zamiarach. Przeto dam wam wyjście, ale pod pewnymi warunkami.

— Jakimi? Co mam uczynić?

— Podpiszecie zeznanie, że istotnie Kachner usiłował was przekupić i pieniądze wzięliście. To zeznanie schowam i nie wykorzystam przeciw wam, jeśli opuścicie dwór i powrócicie do siebie. Tam zaś, nawet jako przyjaciel Zakonu, wiele nie zdołacie już zdziałać. Drugi warunek to wyznanie, komu mieliście mnie wskazać, kiedy to szliśmy korytarzem?

— Jak na to wpadliście? — :ze zdumieniem spytał starosta.

— To nieważne... — proboszcz uśmiechnął się nieznacznie. — Zatem co postanawiacie?

Tumigrało zmarszczył brwi i chwilę milczał wpatrzony w czubki swoich butów. Wreszcie uniósł głowę.

— Czy otrzymam wasze kaptańskie słowo, że owo zeznanie nie będzie użyte na moją szkodę?

— Owszem, macie moje słowo, jeśli znów nie udzielicie pomocy Zakonowi przeciw Koronie lub Litwie. Wszakże może być użyte przeciw Kachnerowi, ale to powinno wam raczej być na rękę, bo w ten sposób pozbędziecie się wierzyciela...

— Czemu mówicie „znów”?

— Bo już raz tej usługi dokonaliście. Dlatego musicie spełnić i ten drugi warunek.

— A zatem powiem, pewny waszego słowa. Chciał was ujrzyć Holeszko, królewski błazen, który ponoć nie mógł do was dotrzeć.

— Podpiszcie więc teraz zeznanie, które zaraz przygotuję. Sądzę też, że pięć dni wam starczy na opuszczenie dworu?

— Starczy... — nieomal warknął starosta przez zaciśnięte wściekłością usta, z chmurą gniewu na twarzy.

NIE WOLNO BYŁO LEKCEWAŻYĆ ostrzeżeń księdza Andrzeja dotyczących królewskiego błazna. Jaksza zastanawiał się więc przez dłuższy czas, jak wykonać polecenie proboszcza bez obudzenia czujności Holeszki.

Ostatecznie postanowił przede wszystkim poznać jego cechy charakteru, przyzwyczajenia, upodobania, nawet może namiętności. A także jego wrogów, przyjaciół bowiem nie miał, gdyż wykluczało ich jego bystre oko, umiejące dopatrzeć się ludzkich słabostek i kąśliwe słowa, którymi je wyszydzał. Toteż nawet pacholik do osobistej posługi, szesnastoletni Jarek, wywalał jęzor za jego plecami.

To wstępne rozpoznanie, dokonane z największą ostrożnością, zajęło mu sporo czasu, ale w rezultacie wiedział o królewskim błaznie nieomal wszystko, co mogli mu powiedzieć ludzie, którzy się z Holeszką zetknęli.

Z tych relacji, uwag, opisów i przeważnie zgryźliwych komentarzy wyłonił się obraz człowieka stroniącego od kobiet, samotnika nie mającego przyjaciół, nad wyraz przesądnego, bojaźliwego wobec wszelkich przejawów złych mocy, przesadnie dbającego o własne zdrowie, podejrzliwego i przebiegłego, a jednocześnie o wyjątkowej bystrości spojrzenia.

Miał też i swoje upodobania. Ponoć dobrze grał w szachy, lubił też słodkości i owoce. Jedynym zaś żywym stworzeniem darzonym miłością był jego pies Karesek, szpetny kundel, którego Jaksza miał okazję parokroć widzieć.

Mając już to rozeznanie, postanowił wejść w komitywę z owym pacholikiem Jarkiem. Samemu jednak nie uchodziło zadawać się z byle służką, toteż zadanie to, dobrze go pouczywszy, powierzył Tomkowi.

Celem jego zabiegów było stworzenie takiej sytuacji, w której nie on, a Holeszko szukałby z nim znajomości.

Jaksza w czasie pobytu w Niemierzy nieraz korzystał z lekarskiej pomocy pani Tekli. A ponieważ cieszył się swoistą adoracją starej kobiety, ta wtajemniczyła go w wiele swych zielarskich tajemnic. Stąd znał sporo ziół, ich właściwości lecznicze czy też szkodliwe dla organizmu.

Tę swoją znajomość przekazaną mu przez panią Teklę postanowił teraz wykorzystać.

Kiedy więc Tomek zgłosił, że zaprzyjaźnił się dostatecznie z Jarkiem, Polecił mu skusić go paru złotymi, by niosąc z kuchni strawę dla psa, dolał do niej zawartość flaszeczkę którą dostanie. Miał go przy tym uspokoić, że pies nie zdechnie, lecz tylko przysporzy nieco kłopotów swemu panu.

Wkrótce Tomek zastał Jarka w jakimś gospodarczym pomieszczeniu i, odciągając go w kąt, powtórzył życzenie Jaksy, na co chłopak zawołał, nieomal uradowany:

— Ależ więcej mu, czemu nie! A jakby nawet i zdechł, to bym się cieszył, bo mi ta zaraza doskwiera niczym zgaga! A kiedy mi dasz owe dwa złote? — dorzucił zaraz z nieufnością.

— Złotego masz oto teraz, a drugiego dostaniesz jak pies zachorzeje. Tylko nie daj się przyłapać!

— Nie bój się, dość będę miał ku temu sposobności, boć przecie noszę miskę z jadłem dla tej szkarady!

— Tak też myślałem. Ale to nie wszystko. Możesz zarobić drugie tyle, jeśli wykonasz następne polecenie...

— A jakie? — z poządlwym błyskiem w oku spytał chłopak. — Skóry narażać nie chcę!

— Przeciwnie, pozyskasz nawet względy swego pana, gdy mu powiesz, kto mógłby jego sobakę wyleczyć.

— Tylko o to chodzi? I za to dasz mi znowu dwa złote?

— Jak pragnę zbawienia! — Tomek uderzył się w piersi.

— Kogo tedy mam wskazać?

— Powiesz, żeś słyisał jakoby potrafi leczyć zwierzaki pan Jaksa z Niemierzy, kancelista u pana Oporowskiego.

— A kiedy zapłacisz?

— Na drugi dzień, jak twój pan go wezwie.

— A nie oszukasz? Zaprzysięgasz?

Tomek uniósł dłoni z poważnym obliczem.

— Przysięgam uroczyście...

— Tedy zrobię, jak chcesz! — rzucił Jarek z ochotą.

— Tylko pamiętaj, działaj ostrożnie, abyś nie dał się przyłapać. A jeśli nie daj Boże coś by się wydało, to ani pary z gęby, z kim gadałeś. Wszystko weźmiesz na siebie, bo nikt nie śmie się zwiedzieć, że pan z Niemierzy zielarstwem się trudni, gdyż wnet wezmą go na języki! Toteż gdyby doszły go słuchy żeś pisał o nim choć słowo, ani dnia dłużej nie ostanieś na królewskim dworze! A nawet nie wiedzieć, czy za długi język nie spotkałoby cię coś gorszego...

— Nie sądz, żeś głupi! To czarcie nasienie niczego się ode mnie nie dowie!

— Czemu więc mu służysz, skoro go nienawidzisz?

— A gdzie pójdę? Zresztą służba na królewskim dworze, jaka by była, toć zawsze splendor!

W kilka dni później Karesek nieoczekiwanie zachorował. Od pokarmów wprawdzie nie stronił, ale zaraz je zrzucił, zmarkotniał, miejsca sobie znaleźć nie umiał, a i tylne nogi jakoś dziwnie ostawiał za sobą.

Pan Holeszko mocno tym się strapił. Żaden z nadwornych medyków nie chciał przyjść psu z pomocą poczytując to sobie za dyshonor. Dopiero ten urwipoteć i oczajdusza Jarek nieoczekiwanie udzielił wiadomości, do kogo ma zwrócić się o poradę.

Zgryziony wielce pan Holeszko bez trudu znalazł kancelistę. Ten wprawdzie początkowo opierał się, ale, skuszony sowitą zapłatą, zgodził się wreszcie obejrzeć chore zwierzę.

Jakoż przybył na kwaterę swego nowego znajomego, obejrzał i obmacał psa, po czym przyniósł flaszkę ciemnego płynu, przykazawszy najbliższe dni karmić go tylko mlekiem, dolewając po łyżce dostarczonego lekarstwa. Odwiedzał potem co dnia pana Holeszkę badając postępy w leczeniu, dopóki któregoś dnia pacjent nie powitał go poszczekiwaniem i wesołym merdaniem ogona.

Wizyty te miały wszakże ten skutek, że medyk i błazen dogadali się, że obaj lubią grę w szachy, toteż nawet kiedy już leczenie skończyło się, zasiadali od czasu do czasu przy szachownicy.

Ksiądz Andrzej wprawdzie przewidywał osłabienie działań dyplomatycznych w czasie zimowych miesięcy, ale zimy jeszcze nie było,

toteż wymiana listów, narady i spory wciąż trwały; nie ustawała działalność tajna i jawna — z jednej strony zmierzająca do udaremnienia poczynań cesarskich, z drugiej — do upartej realizacji własnych planów.

Wbrew opinii wicekanclerza król Władysław nie odstąpił od swoich zamierzeń, lecz wobec zawziętego oporu swej Rady zaczął je skrywać, przybierając bardziej ugodową postawę, a nawet dla zachowania pozorów wręcz podzielać jej stanowisko.

Ale temu oporowi, obecnie już skrywanemu, winna była właśnie królewska Rada, gdyż wciąż powracała do wysuniętego jeszcze przed pięciu laty w Brześciu postulatu libertacji królestwa, czyli wolnego wyboru po śmierci króla jego następcy. Było to zaprzeczeniem dziedzicznych praw Jagiełły do Litwy, czemu oczywiście zawzięcie się opierała.

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, a zaogniła ją jeszcze niedojście do skutku spotkania w Hrubieszowie, które na połowę listopada proponował Witold.

Rada nie podjęła tej inicjatywy. Wobec tego, król po powrocie z Rusi zwołał na koniec lutego, tegoż 1429 roku, zjazd do Jedlna. Przybyli tam również posłowie wielkiego księcia — Mikołaj Małdzyk jego zaufany dworzanin i doradca, oraz sekretarz Mikołaj Sierpiński.

Obrady były burzliwe i ostatecznie Rada wymogła na królu zgodę na warunkową elekcję „regnum libertat”, a mianowicie koronę miał odziedziczyć jeden z jego synów, ale z wyboru Rady, przy „de speciali consilio et voluntate” kniazia Witolda.

Oznajmiono jednocześnie gotowość bojową przeciw każdemu, kto by ośmielił się, „czy to w obrębie naszego państwa, czy poza jego granicami czynić jakoweś zbrojne przygotowania względnie związki i ligi przeciw pokojowi i porządkowi naszego królestwa Polski”.

Te uchwały godziły w poczucie samodzielności Litwy, a także przeciwstawiły się zamierzeniom Witolda. Toteż w odpowiedzi na nie wielki książę nakazał ponowne złożenie sobie przysięgi wierności przez litewskich książąt i bojarów, przyspieszył umocnienie grodów i gotowości bojowej, a także tok układów z Zakonem o zawarcie porozumienia w sprawie wzajemnej pomocy przeciw Polsce. Natomiast Jagiełło ze swej strony nawiązał przez posłów i swą siostrę, księżnę mazowiecką, tajne układy z Witoldem, dotyczące jego koronacji. Proponował, by wielki książę przyjął koronę

dożywotnio, wyrażając jednak pisemną zgodę, że po jego śmierci przypadnie ona królewskiemu synowi. W ten sposób pragnął Władysław ugruntować dziedziczne prawa swego rodu do Litwy i udaremnić libertację zamierzoną przez Radę.

Członkowie jej ocenili jednak słusznie, że powzięte przez nią uchwały w Jedlnie zaogniły sytuację. Postanowiono więc wysłać po raz trzeci na Litwę poselstwo z kanclerzem Oleśnickim i sandomierskim wojewodą, Mikołajem z Michałowic na czele.

Niewiele jednak, a mówiąc ściślej — nic, owo poselstwo nie uzyskało. Nie zdołało nie tylko zmienić nastawienia wielkiego księcia, ale nawet złagodzić jego gniewu. Na oględne i ostrożnymi słowami formułowane ostrzeżenia jak i zarzuty dotyczące owych zarządzeń powtórej przysięgi, zbrojenia się i paktowania z Zakonem, zgryźliwie odpowiedział, że to Korona zmusiła go do tych kroków, uzasadniając to twierdzenie otrzymanymi wieściami. Dowiedział się mianowicie, że czescy odszczepieńcy zamierzając napaść na Litwę zwrócili się do króla o przepuszczenie ich wojsk przez kraje koronne, o czym Władysław nie uznał za właściwe go powiadomić. Wobec tego sam musiał zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Było to wyjaśnienie wręcz urągliwe, gdyż nie tylko nie poparte żadnymi dowodami, ale tak nieprawdopodobne, że niewarte nawet jakichkolwiek dyskusji. Toteż posłowie uznali za zbędne, a nawet uwłaczające prowadzenie dalszych rozmów i opuścili Litwę.

I tak dążenie niemieckiego cesarza do przywrócenia, jeśli nawet nie supremacji, to przynajmniej równowagi sił pomiędzy sprzymierzonym i powolnym mu Zakonem a groźną potęgą polsko-litewskiego przymierza, wyrosłą na polach Grunwaldu, zdawało się być bliskie pomyślnego zakończenia. Zygmunt już był niemal pewny, że jeśli nie najbliższe miesiące, to jeszcze ten rok przyniesie ostateczny sukces: groźny dla niego sojusz zostanie rozbity, a grunwaldzki program przejdzie na karty historii jako epizod bez znaczących skutków. Niemiecka przewaga nad słowiańskim sąsiadem zostanie przywrócona i będzie mogła unieść skrwawiony miecz nad upokorzoną Polską.

Toteż przyśpieszał przygotowania do koronacji. Jego kancelaria opracowywała warunki sojuszu z Witoldem, odbywał narady ze swymi doradcami, wśród których nie brakło przedstawicieli Zakonu, zastanawiał się

nad składem, terminem i drogą, jaką miało się udać jego poselstwo wiozące dla Witolda i Julianny korony, których wykonanie dobiegało końca.

Natomiast król Władysław, po zakończeniu narady w Jedlnie, w drugiej połowie marca udał się do Małopolski, potem przez Sandomierz i Kraków ruszył do Wielkopolski, Wielkanoc spędzając w Kaliszu.

Z początkiem czerwca ksiądz Andrzej otrzymał kolejny list od brata Erazma. Tym razem jego treść była tak ważna, że nie omieszkął prosić kanclerza Oleśnickiego, który znajdował się przy królu, o możliwie rychłe posłuchanie.

Brat Erazm donosił bowiem w swym piśmie:

„Od ludzi dobrze obeznanych z tokiem spraw na cesarskim dworze, a także z wiadomości otrzymanych z otoczenia wielkiego mistrza dowiedziałem się, że ustalony już został skład cesarskiego poselstwa, które ma wyruszyć na Litwę z koronami dla wielkoksiążęcej pary. Przewodzić będzie temu poselstwu, jako przedstawiciel osoby cesarskiej, arcybiskup Magdeburga, on też ma dokonać koronacji. Poza nim w Węgier pojadą Piotr Jurko i koniuszy koronny Wawrzyniec de Hadrewar, z Czech główny odźwierny królestwa książę Władysław, książę Przemko opawski, Ludwik z Brzega i Pot de Potenszen. Cesarz polecił, by wystąpili bogato i z licznymi dworami, a także nie poniechali silnej zbrojnej eskorty na wypadek napaści. Mają zebrać się w Magdeburgu i ruszyć razem do Frankfurtu, by stamtąd przedrzeć się, nawet przy użyciu siły, na teren pobliskiego zakonnego państwa.

Terminu zebrania się postów i odjazdu nie znam, ale należy sądzić że nastąpi nie później niż za miesiąc. Natomiast wcześniej, i to zapewne już wkrótce, wyruszą dwaj tajni wysłannicy: a to doktor praw, baptysta Jan Czigula z Genui, oraz czeski rycerz Zygmunt Roth, by, przemknąwszy bocznymi drogami, doręczyć Witoldowi cesarski list oraz projekt porozumienia pomiędzy wielkim księciem, jako przyszłym królem Litwy, a cesarzem Zygmuntem. Ów Czigula, ponoć wybitny prawnik, ma Witoldowi wyjaśniać znaczenie i wartość proponowanego traktatu i przekonać go o jego wartości dla obu stron...”

Proboszcz już na tyle był znany przez obu kanclerzy, że został przyjęty niemal natychmiast.

Król po opuszczeniu Kalisza, z wolna ciągnąc w kierunku Krakowa, zatrzymał się na kilkudniowy odpoczynek w Gniazdowie. Tam też, w jednej z

zamkowych komnat, proboszcz stanął przed pierwszą osobą po królu, przewodniczącym jego Rady, kanclerzem Zbigniewem Oleśnickim.

Był to mąż w sile wieku, masywnej, wysokiej postaci i dużym, pełnym obliczu. Pod wysoko sklepionym czołem połyskiwały dumnym spojrzeniem ciemne oczy, które zapewne jeszcze z czasów młodości zachowały blask właściwy ludziom Południa, choć nie miał domieszki krwi romańskiej. Jedyne na lekko obrzmiałych powiekach rysowały się pierwsze zmarszczki.

Skinął głowę w odpowiedzi na powitalny ukłon i wskazał jeden z foteli stojących w pobliżu okna. Sam nie siadał, mierząc księdza wyczekującym spojrzeniem.

Proboszcz podał złożony list.

— Proszę, Wasza Eminencjo, zechciejcie przeczytać. Jest to pismo mego wysłannika, który przebywa w zakonnym państwie...

Kanclerz, wciąż bez słowa, odebrał pismo i podsunął się z nim bliżej światła. Czytał dłuższą chwilę, widać chcąc dokładnie zapoznać się z jego treścią. Wreszcie skończył, złożył wolno papier i oddał proboszczowi. Lekko ściągnięte brwi utworzyły dwie pionowe zmarszczki na jego czole. Przemierzył komnatę i dopiero, kiedy się obrócił, rzucił z roztargnieniem:

— Czemu nie siadacie, bracie Andrzeju?

Proboszcz bez słowa zajął fotel, Oleśnicki zaś ciężko opadł na drugi-, Dopiero teraz dał wyraz nurtującym go myślom:

— Czy można polegać na tych wieściach?

— Najzupełniej, Wasza Eminencjo! To człowiek zbyt doświadczony, by ostrzegać bez należytych podstaw...

— Pytam, bo poważna to sprawa i wymagająca szybkiego działania! Nie możemy zezwolić tym koronom dotrzeć na Litwę! — W głosie kanclerza zabrzmiał ton zdeterminowanej stanowczości.

— I ja tak sądzę — spokojnie stwierdził proboszcz.

— Jakie zatem kroki proponujecie podjąć?

Było to pytanie, którego ksiądz Andrzej spodziewał się, ale miał czas do zastanowienia się nad odpowiedzią. Teraz więc udzielił jej nieomal natychmiast:

— Przede wszystkim musimy pojmać tych dwóch wysłanników. Jeśli uda się tego dokonać, przyjdzie czas i na poselstwo. Pozostaje tylko ustalić, komu powierzyć to zadanie. No i jak je wykonać?

— Komu to powierzyć? — powtórzył w zamyśleniu kanclerz. — Ci dwaj zapewne także wyruszą z Frankfurtu?

— Tak przypuszczam. Wątpliwe, by obrali inną drogę, przynajmniej do naszej granicy.

— Hm... W pobliżu leży Czarnków, posiadłość Jana, poznańskiego podkomorzego. To przedni rycerz i godny zaufania człowiek. On sprosta temu zadaniu.

— Czy zdoła jednak zebrać dostateczne siły? Należy pilnować nie jednej drogi, zatem bez wywiadowców na pewno nie obejdzie się. Najważniejszym bowiem zadaniem będzie wytropienie orszaku, bo nawet nocami mogą się przemykać!

Kanclerz z aprobatą skinął głową.

— Tak, to słuszne przewidywanie. Pieniądze na wydatki będą, jeno kogo wysłać, by je zawiózł wraz z moim poleceniem dla podkomorzego?

— O to niech się Wasza Eminencja nie troszczy. Mam takiego człowieka, który i radą posłuży, bo przemyślności mu nie brak...

— Zatem nie ma co dalej debatować! — Kanclerz uderzył dłońmi o poręczę fotela i uniósł się na nogi. — Gotowizna i polecenie pod moją pieczęcią będą na rano gotowe! Niech rusza natychmiast!

Skutkiem tej rozmowy Czarny już następnego dnia wyjechał z Ottonem i pachołkiem do koni, zaopatrzone w dobrze wypchany worek i pismo z wielką pieczęcią, przynależną kanclerskiemu urzędowi.

Pora żniw była już bliska, toteż Czarny nie wątpił że podkomorzego znajdzie w Czarnkowie. Upewnił się o tym, zasięgnąwszy języka w Poznaniu, więc bez zwłoki ruszył w dalszą drogę.

Istotnie, zastał gospodarza we dworze, a właściwie w dobrze bronionym grodzie. Jan z Czarnkowa, należący do licznej rodziny Nałęczów, podkomorzy ziem polnych, rzeczywiście okazał się człowiekiem rzućkim, energicznym, ale też nieco krzykliwym raptusem nie pozbawionym sprytu, a nawet przebiegłości. Jednak w chwilach, kiedy jego pełne, rumiane oblicze nie czerwieniało od nagłych wybuchów gniewu, okazywał jowialny humor, którym umiał maskować owe lisie cechy swojej natury.

Dochodził już sześćdziesiątki, ale mimo sporej tuszy dowiódł z czasem, że w siodle ubywa mu lat, a szablę nosi przy boku nie tylko od parady.

Czarny spotkał go na majdanie, toteż początkowo poznał tylko, że będąc przejazdem przybywa w odwiedzinach. Potem wszakże znalazłszy sposobną chwilę dorzucił, jakby mimochodem, skąd przybywa; nadal nie wspominając o celu swej podróży czekał, kiedy znajdzie się sam na sam z gospodarzem.

Ale już wzmianka o królewskim dworze starczyła, by grzeczna ze względu na wymogi gościnności postawa gospodarza natychmiast uległa zmianie. Nie tań ciekawości, jaką ta uwaga w nim wywołała, a także poniechał od razu nieco nieufnego traktowania gościa. Natychmiast polecił przygotować dla przybysza komnatę, zatroszczył się też zaraz o jego ludzi i wierzchowce.

Zmiana ta, a także z nagłą obudzona ciekawość podkomorzego nie uszły uwagi Czarnego. Ale dopiero jak posadził gościa za stołem w jadalnej komnacie, dał upust ciekawości. Podążył jednak do celu okrężną drogą, gdyż spytał ostrożnie:

— Gdzie obecnie znajduje się król jegomość?

— Ciągnie z wolna do Krakowa. Ostawiłem go na popasie w Gniazdowie, kilka mil za Częstochową.

— Toż szmat drogi macie, wasza wielmożność, za sobą? — wykrzyknął Czarnkowski. — Sądzić więc mogę, że niezwykle to odwiedzin?

— Istotnie, przybyłem do was specjalnie, wioząc pismo. Ale że sprawa tajna, chciałem je doręczyć dopiero przy sposobności.

Hubert sięgnął w zanadrze i położył przed podkomorzym list zaopatrzone w dużą okrągłą pieczęć.

Czarnkowski rzucił na nią okiem, potem na Czarnego i spytał z nie tajonym przejęciem:

— Od samego kanclerza?

Niecierpliwie złamał pieczęć i szybko przebiegł wzrokiem treść pisma. Potem przeczytał je już uważniej i, złożony, zwrócił uradowaną twarz na swego gościa.

— Toż to zaszczyt dla mnie niemały, że Jego Eminencja powierza mi tak ważną misję! Wprawdzie Czarnków to najlepsze miejsce, by stąd strzec granicy od Frankfurtu, ale bez zaufania do mej osoby nie dokonałby takiego wyboru!

— I ja tak sądzę, wasza wielmożność... — Czarny uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Pisze mi Jego Eminencja, że macie ostać przy mnie jako doradca i służyć mi pomocą! Bardzo mi to dogadza, bo czeka nas niełatwe zadanie, a co dwie głowy, to nie jedna!

— A i odpowiedzialność na dwie się rozkłada... — zauważył żartobliwie Czarny, dodając już poważnie: — Przywiozłem też nieco gotowizny na werbunek ludzi, gdyż kanclerz przykładą wielką wagę do pomyślnego wykonania jego rozkazu. Toteż marny na kosztach nie szczędzić...

— Stać Czarnkowskiego, by sięgnąć i do własnego skarbczyka w takiej potrzebie! — rzucił dumnie podkomorzy, ale nie omieszkał zaraz dodać: — Wszakże wszelka pomoc zawsze jest cenna, skoro o sprawę tak wielkiej wagi idzie!

— Miałem czas w drodze dobrze przemyśleć. Bez wydatków, i to znacznych, nie zdołamy się obyć.

— Czyżbyście już obmyślili sposoby na przechwycenie tych ptaszków?

— Bez was niczego ostatecznie rozstrzygać nie mogłem. Rad bym więc choćby i zaraz odbyć z wami naradę.

Wnet przykażę przynieść gąsiorek miodu... — powiedział podkomorzy. — Rażniej będzie gadać!

Kiedy pacholik postawił na stole dzban z trunkiem i zostali sami, Czarny wyciągnął mieszek z pieniędzmi.

Czarnkowski ująwszy go w rękę aż gwizdnął, wyraźnie zadowolony z ciężaru.

— Jego Eminencja grosza nie poskąpił! Już z tego widzę, jak wielkie znaczenie przywiązuje do sprawy!

— Może nawet większe niż sądzicie. Ważą się losy unii i od nas zależy, czy odwróci się groźba, jaka nad nią zawisła...

Czarnkowski, wyraźnie przejęty tą odpowiedzią, w milczeniu napełnił kubki i unosząc swój rzucił z powagą:

— A zatem wypijmy, panie bracie, za powodzenie, abyśmy, daj Boże, sprawy nie pokpili...

Potem otarłszy wąsy od razu przystąpił do rzeczy:

— A teraz rad byłbym usłyszeć coście obmyślili?

— Zanim powiem, pozwólcie zadać kilka pytań. Być może, wasze odpowiedzi każą uczynić zmiany w zamierzeniach.

— Słucham, panie bracie, pytajcie...

— Jak daleko stąd do granicy?

— Zależy, w którą stronę. Od południa biegnie wzdłuż Odry osiem do dziesięciu mil od jej wschodniego brzegu. Jeno pod Głogowem przybliży się, potem wiedzie ku północy, na Santok, skąd skręca na wschód, do Drezdenka, gdzie zaczynają się ziemie zakonne.

— Na północy mamy Nową Marchię i Brandenburgię Hohenzollernów?

Podkomorzy skinął głową, Czarny zaś zadał następne pytanie:

— Jaką drogę obralibyście, moi podkomorzy, gdyby przyszło wam przemykać się do brodaczy?

Czarnkowski zastanawiał się przez chwilę.

— Każda biegnąca niżej Frankfurtu wiodłaby mnie wprost w wasze ręce. Zatem dotarłbym najpierw do Kostrzyna, i to bez wielkiego kłopotu, ale już dalej kierując się na Santok, czułbym się mniej bezpiecznie, toteż ciągnąłbym północnym brzegiem Warty. Natomiast poczynszy od Santoka przemykałbym się wielce ostrożnie.

— Zatem wiemy już, gdzie skierować nasze patrole...

— Sądzę jednak, że nie warto strzec jej od samego Kostrzyna, bo na to może nam nie starczyć ludzi. Tak samo jak nie starczy do strzeżenia granicy biegnącej za Drezdenkiem ku północy. W razie gdybyśmy nie przytąpali ich na początku drogi, przyszłoby ruszać w pościg. Zaczniemy więc raczej od Bogdańca. Leży on na pół drogi do Santoka.

— Niechże więc będzie od Bogdańca. Przy czym musimy działać dwójako: utworzyć oddziały, które dzień i noc będą patrolować drogę, a jednocześnie wynaleźć w przydrożnych wsiach postrzegaczy, by donosili nam o pojawieniu się orszaku. Nagroda powinna być wysoka, wówczas dobrze będą strzegli szlaku.

— Ale przede wszystkim naszą kwaterę trzeba przenieść bliżej granicy, gdyż wówczas łatwiej będzie zmieniać patrole i działać natychmiast po otrzymaniu wiadomości od chłopów.

— Hm... — Czarnkowski zastanawiał się przez chwilę, wreszcie widać wpadł na pomysł, bo odezwał się z zadowoleniem: — Wiem gdzie! Mój krewniak, także Nałęcz, siedzi w Gościmiu. To majątność leżąca wprawdzie z

tej strony Narwi, ale nie dalej niż pół mili od niej, a w połowie drogi między Santokiem a Drezdenkiem. Tam założymy obóz!

— Będą zapewne jechać drugim brzegiem rzeki. Czy jest tam możliwość szybkiej przeprawy?

— Brody są. Jeden nieomal przed samym Gościmiem.

— A zatem co rychlej należy werbować zbrojnych i rozesłać ludzi, niech wyszukają po wsiach postrzegaczy! I to szybko, abyśmy uporali się z tym na czas!

— To już moja głowa! — oświadczył z ochotą podkomorzy. — Ruszaj już rankiem!

— My zaś musimy obmyślić, jak rozdzielić ludzi.

— Będziemy dozorować na zmianę: jeden nocą, drugi dniem...

— Wszelako już teraz trzeba wskazać postrzegaczom, gdzie mają przysyłać wieści — zatroszczył się podkomorzy.

— Najlepiej, żeby szukali nas na gościńcu, a w razie gdyby minęli się z patrolem, niech dostarczą je do naszego obozu. Tuszę, żeśmy obmyślili wszystko! Teraz więc spocznijcie, bo macie za sobą kawał drogi! — Podkomorzy uniósł się zza stołu.

Już po kilku dniach, mimo zbliżających się zniw, zaczęli ściągają pierwsi zaciężni, zwabieni dobrym żołdem i zapowiedzią krótkiej służby. Nie minęły nawet dwa tygodnie, kiedy pan Czarnkowski zebrał blisko osiemdziesięciu zbrojnych z drobnej szlachty bliższych i dalszych okolic. Wrócili też werbownicy wystąpi do wsi. Wszelkie, nawet najmniejsze osiedla, znęcone nagrodą, obiecały dobrze pilnować drogi.

Prowadząc więc razem ze swą czeladzią blisko stu zbrojnych pan Czarnkowski w towarzystwie Czarnego ruszył do Gościmia, już uprzedzonego o przybyciu oddziału w królewskiej służbie.

Droga do położonego o dziesięć mil na zachód Gościmia wiodła przez Notecką Puszczy. Odbyli ją jednym przemarszem, po czym, po krótkim wytchnieniu, rozpoczęli służbę.

Od Bogdańca do Santoka było mil cztery, od Santoka zaś niewiele więcej. Czarny i podkomorzy rozdzielili więc między sobą te odcinki. Hubert utworzył ze swoich ludzi dwa oddziały i, jeden powierzwszy Ottonowi, z drugim objął służbę nocną, jako trudniejszą do sprawowania.

Rozpoczęło się jednostajne, czujne stróżowanie. O zmierzchu wyprowadzał swój oddział na szlak, luzował dzienną zmianę, a potem posyłał kilku żołnierzy na boczne drogi, by przepytawali we wsiach, z resztą zaś przemierzał gościniec, którym, jak należało się spodziewać, mieli jechać postowie.

Dni miały jednak na daremnej służbie. Nic o jakimkolwiek orszaku nie było słyhać. Przejeżdżały wprawdzie kupieckie wozy, ale te wystarczyło sprawdzać tylko pobieżnie.

I tak lipiec zbliżał się ku końcowi. Czarny zaczął coraz bardziej niepokoić się, czy aby ich przewidywania były słuszne. Być może postowie obrali inną, nawet dużo dłuższą drogę, by raczej wpaść w ręce brandenburskich knechtów niż polskiego żołnierza...

Na służbę zaciężni jednak nie narzekali, pogoda bowiem dopisywała, noce były ciepłe, widne, jeśli nie od księżycy, to od gwiazd. Toteż jadąc pomiędzy uśpionymi drzewami boru, jakim w większości szlak prowadził, miał dużo czasu na przemyślanie, co przyjdzie mu czynić dalej, jeśli w najbliższych dniach nie pojmie wyśtańców.

Właśnie nastąpiła pełnia księżycy, nasycając ciemności nocy swym chłodnym, pozbawionym życia światłem. Leśne olbrzymy, które jakby rozstąpiły się, by dać przejście ludzkim kruszynom, błyszczą zieleńią oblaną tym światłem wierzchołków. Gęsty mrok krył się wśród ich gałęzi, a dołem pod nimi panowała już nieprzenikniona ciemność. Królowała tam zupełna, niczym nie zakłócana cisza. Uśpiony las trwał w niej jakby nasłuchując w napięciu, czy nie zostanie zmqcona szelestem przemyskającej łani, chrząkaniem dzika lub trzepotem skrzydeł spłoszonego ze snu ptaka.

Żołnierze jechali zwykle w milczeniu, toteż rozlegało się tylko dudnienie końskiego biegu, od czasu do czasu parsknięcie lub skrzyp skóry u siodła. Noc bowiem nie zachęcała do beztroskich gawęd, raczej zmuszając do nieufnego spoglądania w ciemność lasu, by przebić wzrokiem jego czarną zasłonę, za którą w każdej chwili mógł zachichotać skrzat, zastukać o pnie mamun, zagwizdać strzyga, a nawet zabłysnąć oczami wilkołak.

Nie było więc ochoty nawet do szeptów, bo strach przed złym, co gnieździł się po lasach i niejednemu już zmoczył portki, nie skłaniał do żartów czy śmiechu. Raczej nie szkodziło od czasu do czasu poszeptać zdrowaśki i znakiem krzyża odpędzić zakusy nieczystych sił.

Chyba gdzieś dziesiątej już nocy z rzędu usłyszeli raptem daleki, ale coraz bardziej zbliżający się tętent galopującego konia. Czarny wstrzymał wierzchowca, a za nim i cały oddział, nasłuchując miarowego odgłosu kopyt, dochodzącego z nocnych ciemności. Rozległy się szepty żołnierzy, które w panującej ciszy słyhać było wyraźnie.

— W Imię Ojca i Syna... Zły goni.

— Wnet się uciszy...

— Albo usłyszym go za sobą...

Przewidywania te jednak nie sprawdziły się, gdyż tętent nie tylko nie zacichał, ale stawał się coraz wyraźniejszy, aż wreszcie ujrzeli w blasku księżyca ciemną sylwetkę jeźdźca pędzącego środkiem drogi. Po chwili zdarł konia przed wysuniętym do przodu Czarnym.

— *Czyjego wielmożność pan z Czepiel? — spytał zadyszany głosem.*

— *Jam jest. Masz wieści od mości podkomorzego? — domyślił się Hubert.*

— *Tak, panie! Znaleźliśmy orszak!*

— *Pojmaliście posłów?! — już z przejęciem rzucił Czarny.*

— *Nie, panie! Pan podkomorzy ciągnie w ślad za nimi, bo mają zbyt liczną straż!*

— *Gdzie są?! —*

— *Teraz chyba mijają Santok, bo tam się nie zatrzymali. Pan podkomorzy przykazał powiedzieć, że czeka na wielmożnego pana, bo ich siły oblicza na ponad sześćdziesięciu zbrojnych, przeto hazardu wolał nie podejmować. Chce wziąć ich z dwóch stron, toteż będzie ciągnął z tyłu, dopóki wielmożny pan nie zasadzi się na nich. Uderzy na głos rozpoczętej walki i prosi, abyście wybrali ku temu miejsce...*

Czarny, który już dobrze znał swój szlak, zastanawiał się tylko przez chwilę.

— *Powiedz mości podkomorzemu, że zasiądziemy zaraz za Gościmiem. Powinni tu być w ciągu dnia, skoro minęli już Santok...*

— *Ciągną nocami...*

— *Zatem popas wypadnie im właśnie tam. Zamień konia z któryś z żołnierzy, bo nasze są świeże, i gnaj z powrotem do pana podkomorzego!*

Goniec bez zwłoki zawrócił i po chwili tętent jego wierzchowca tym razem zaczął zacichać wśród uśpionego boru.

Drugi posłaniec gnał do obozu z rozkazem do Ottona, by podniósł swoich ludzi na nogi i jak najszybciej połączył się z resztą oddziału, który z wolna miał ciągnąć ku pobliskiemu Gościmiowi.

Otto doścignął ich krótko przed świtem. Czarny powierzył mu dowództwo, a sam, tylko ze swoim pachotkiem, ruszył na rozpoznanie terenu, by wybrać miejsce zasadzki. Wrócił po dwóch godzinach, a że zrobiło się już widno, zboczył z gościńca i prowadził swój oddział lasem.

Miejsce było odległe od wsi niecałe pół mili. Pobocza drogi obrastały gęste zarośla, głównie leszczyny, co pozwalało skryć konia, nawet z jeźdźcem na grzbiecie. Obstawił drogę z dwóch stron, wysłał strażników daleko do przodu, rozstawiając ich tak, by zasiadłszy na drzewach, jeden drugiemu mógł dawać sygnał gruchaniem dzikiego gołębia. Wreszcie zezwolił ludziom zsiąść z koni i zwolnić popręgi, a także popaść je z ręki, korzystając z trawiastego poszycia.

Po wydaniu tych poleceń kazał swemu pacholikowi ruszyć lasem do podkomorzego i powiadomić go o miejscu zasadzki.

Początkowe podniecenie zaczęło pomału przygasać, uśmierzone nudą oczekiwania. Godziny miały wolno, gościńcem przejechało kilka chłopskich wozów, jakiś mały tabor kupiecki, ale wciąż nie było słyhać gołębiego

wołania. Toteż większość żołnierzy pokładła się i trzymając wodze w ręku bądź podrzemywała, bądź wiodła przyciszone rozmowy, nie zakłócając jednak panującej wokoło ciszy.

Wreszcie niebo na zachodzie zaczęło nasiąkać pomarańczową jasnością, krąg słoneczny coraz bardziej czerwienieć, cienie stawały się coraz dłuższe i coraz ostrzejsze.

Czarny kazał dopinać poprzęgi i dosiadać koni — jeśli bowiem otrzymana wiadomość nie było mylna, należało lada chwila oczekiwać sygnału. Minęła jednak jeszcze godzina, zanim doleciało ich z oddali gruchanie gołębia. Żołnierze bez rozkazu powyciągali miecze, niektórzy pozakładali strzały na cięciwy, Czarny zaś, skinieniem ręki nakazując im pozostanie na miejscu, sam wyjechał na drogę.

Biegła przed nim prostą linią niknąc dopiero za jakimś oddalonym zakrętem. Obejrzał się na boki, by sprawdzić, czyjego ludzie są dobrze ukryci, i ruszył wolno z miejsca.

Ale nie ujechał jeszcze nawet staj, kiedy zza owego zakrętu wyłonił się zbrojny oddział, lśniący w promieniach gasnącego słońca blachami napierśników, łebek, tarcz i ostrzami włóczni. Za nim toczyła się karoca i ładowny wóz. Drugi taki sam oddział ciągnął za pojazdami.

Czarny krzykiem przywołał żołnierzy i wyszarpnął z pochwy miecz. Z zarośli świsnęły strzały i jednocześnie wypadli na drogę jeźdźcy, wrzeszcząc co tchu w piersiach, nie tyle dla przepłoszenia nieprzyjaciela i jego koni, co dla powiadomienia podkomorzego o rozpoczęciu ataku.

Zwarli się z konnymi knechtami. Już strzały kilku z nich zwały z koni, teraz zaś miecze dosięgały innych. Dopiero po chwili, otrząsnąwszy się z zaskoczenia, zaczęli bronić się nieco sprawniej, ufni, że towarzysze ze straży tylnej wnet ich wspomogą.

Jednak knechci tej straży nie mogli dać towarzyszom wsparcia, gdyż sami usłyszeli za sobą podobny wrzask, musieli więc co prędzej obracać się, by bronić własnych pleców. Wszakże i oni zanim jako tako zwarli szeregi już mieli napastników nad sobą. Wdarli się pomiędzy nich i rąbiąc sprawnie wkrótce rozproszyli. Potem uganiali się już tylko za pojedynczymi jeźdźcami lub ścigali tych, którzy w leśnej głuszy próbowali znaleźć schronienie.

Kiedy potyczka ucichła, a na drodze pozostały tylko leżące zwłoki, bo i ranni usiłowali kryć się po krzakach, napastnicy — w większości uboga szlachta — rzucili się ku pobitym, by ściągać z nich zbroje, zagarniać broń, a zwłaszcza łapać spłoszone konie jako najcenniejszą zdobycz.

Czarny zeskoczył z siodła i zbliżył się do karety. Jej dwóch pasażerów z przerażeniem wpatrywało się w niego, oczekując zapewne spełnienia swojego losu. Także i Czarnkowski z trudem zsiadłszy z konia, bo w czasie walki doznał jakiegoś urazu — ruszył za Czarnym ciekaw podróżnych.

Jeden z nich, siedzący na tylnym siedzeniu, był drobny, szczupły, z kozią bródką, w kwadratowym birecie na głowie, drugi tęższy i mocnej postawy, miał pełną, nalaną twarz z łopatą rudej brody.

— Mości doktor Czigula? — Czarny spytał chudego.

Ten, widząc, że pytający nie trzyma w ręku noża, a nawet nie zdradza wrogich zamiarów, wykrzyknął z oburzeniem:

— Istotnie, mówicie z doktorem praw Janem Czigulą, cesarskim sługą i posłem! A kim wy jesteście, że ośmielacie się podnosić zbrojne ramię i mojej straży śmierć zadać!? Zapewne zbójem łasym okupu?! Bacz wszakże, by nie dosięgnął cię cesarski gniew! Zatem nie podniecaj mnie, abym skargę na ciebie złożył, i mów, czego żądasz?!

— Śmiało, skrybo, gadasz! — prychnął pogardliwie Czarny. — Strzeż się, gdyż wprzód ja dosięgnę cię swym gniewem! Wyłaż na drogę, i to szybko, bo cię mieczem pogonię!

Teraz dopiero słynny prawnik wystraszył się na dobre. Wystawił spod długiej szaty cienkie nóżki i szybko wygramolił się z karety, chwyciwszy wprzód za płaską skórzaną torbę, którą starał się ukryć za plecami. Za nim bez słowa wysiadł jego towarzysz, w którym Hubert domyślił się pana Rotha.

— Co tam chowasz za plecami? — zagadnął Czigulę. — Dawaj no...!

— Protest zakładam! Nie masz prawa tknąć cesarskiego posła! Nie śmieć, prostaku, tego uczynić!

Przyglądający się tej scenie podkomorzy poczerwieniał raptownie na twarzy, chwycił czupurnego posła za poły opończy i potrząsnął, aż Jego głowa zachybotła na boki.

— Zamknij no gębę, psie, bo ci wypruję bebechy! Wiemy sami, coście za jedni, i już od dawna czekamy tu na was z gością!

Czarny odebrał torbę, a Czarnkowski pchnął doktora wszechpraw ku karocy z rozkazem:

— Właż z powrotem! — Niech który siada przy woźnicy, kilku na wóz i ruszamy w drogę! — polecił Hubert Ottonowi. — Co tam mają w środku, obaczmy później!

Pachołek podprowadził mu konia, więc przede wszystkim schował przy siodle skórzaną torbę, a widząc, że poblady na twarzy Czarnkowski chwycił się za bok, spytał z niepokojem:

— Co waści? Dosięgnął cię któryś?

— Jakiś psubrat dzielił drzewcem ułamanej włóczni! Zapewne parę żeber mi pękło...

— Tedy siadajcie także do karety, na postoju obaczmy, co wam dolega! A przy tym dacie baczenie na tych szczekaczy, by nie poniszczyli jakichś papierów, choć te najważniejsze zapewne były w tej sakwie, bo wpierv za nią chwycili...

Istotnie, pan Czarnkowski z trudem się ruszył, toteż zanim dotychczasowi pasażerowie zajęli swe miejsca, dwóch żołnierzy podparło go pomagając przy

wsiadaniu. Wkrótce karoca ruszyła w drogę, ale otoczona teraz inną strażą niż dotychczas.

Trzeciego dnia byli już w Czarnkowie. Tam pan podkomorzy musiał lec w łóżu, gdyż uderzenie było tak silne, że złamało mu żebra. Nie przeszkodziło to jednak w wydaniu polecenia, aby obu posłów wyczutych ze wszystkiego, co wieźli ze sobą, wysłano niejako w darze komturowi z Człuchowa. Wszakże odebrał wprzód jako od jeńców przysięgę, że w ciągu roku stawią się na królewskim dworze.

Król z wolna ciągnął do Krakowa i z początkiem sierpnia dotarł do Jędrzejowa. Tam Czarny dogonił dwór przywożąc pisma odebrane cesarskim posłom.

Wielka była radość kanclerza po zapoznaniu się z ich treścią. Stanowiły bowiem niezbity dowód słuszności jego stanowiska, przysparzały wagi ostrzeżeniom i sprzeciwom Rady, usuwając jednocześnie wahania niektórych jej członków. Dawały też wielką nadzieję na pokonanie, przy ich pomocy, oporu wielkiego księcia.

Najważniejszy był projekt dotyczący koronacji, w którym cesarz zapewniał Witolda, że nie tylko jego, ale i następców podnosi do godności królewskiej zwalniając od wszelkiej zależności od siebie czy Świętego Cesarstwa. Byłoby to zatem nie tylko zerwanie unii, ale także jakiegokolwiek związku z Polską.

Dążył więc Zygmunt, by niejako jednym uderzeniem młota rozbić powstały monolit polsko-litewskiego zespolenia, gdyż oba państwa same, a do tego poważnione, nie byłyby już w stanie stawić czoła germańskiemu dążeniu do podbicia wschodnich, przeważnie słowiańskich plemion. A zwłaszcza do pokonania Polski, głównej zapory na tej drodze.

Poza tym projektem ugody koronacyjnej wioził Czigula także projekt dalszego porozumienia. Mianowicie propozycję cesarza, aby po odbytej koronacji wielkiego kniazia i jego małżonki zawrzeć przymierze z jednej strony z Niemieckim Cesarstwem, Węgry i Czechami, których Zygmunt również był królem, a z drugiej — z nowo powstałym królestwem litewskim, Prusami i Inflantami, a więc z obu panującymi tam Zakonami. Celem zaś tego porozumienia miało być wspólne działanie i wzajemne wspieranie się czy to w poczynaniach politycznych, czy też wojennych.

Gdyby doszło ono do skutku, co zależało obecnie już tylko od zgody Witolda, Polska, otoczona zewsząd wrogami, niezdolna do odpierania najazdów na wszystkie swoje granice, byłaby skazana na zagładę.

Dlatego chełpił się Zygmunt, że wreszcie, niby zwierzyńcę, ma ją w sieci i już z tego śmiertelnego uścisku nie wypuści.

Wszakże mimo tych samochwalczych wypowiedzi nie był całkowicie pewny, czy Witold zgodzi się na zawarcie takich przymierzy, toteż Czigula miał również pisemną instrukcję dotyczącą dalszych rozmów, w razie trudności z uzyskaniem zgody wielkiego księcia.

W tym czasie król kończył właśnie owe tajne rokowania, prowadzone za pośrednictwem siostry, księżny mazowieckiej Aleksandry, w sprawie warunków, na jakich zgodziłby się koronować Witolda. Ponieważ porozumienie to zdawało się dochodzić do skutku, król Władysław nosił się już z zamiarem rychłej podróży na Litwę.

Jednak po otrzymaniu owych pism cesarskich i po zapoznaniu się z ich treścią staremu władcy jakby ostatecznie otworzyły się oczy. Bowiem dopiero dojrzał w całej grozie śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie zawisło nad przyszłością obu krajów, którymi władał. Toteż natychmiast wysłał swego ulubieńca, komornika Andrzejkę, do Witolda z prośbą, by koronację odłożył, zanim się z nim nie spotka. Andrzejek wkrótce wrócił w towarzystwie sekretarza Witolda, Lutka z Brzezia, przez którego wielki książę oświadczył jednak, że koronacji nie odłoży i dlatego spotkać się z królem nie może.

Natomiast pan Oleśnicki, Przejąwszy listy Cziguli, nie zapomniał, że były one tylko zapowiedzią burzy nadciągającej wraz z głównym poselstwem, wiozącym już wykute w Norymberdze królewskie korony. Przejęcie tej przesyłki, nawet za cenę powtórnej zbrojnej napaści — chociażby tym razem na tak znaczne osobistości — było absolutną koniecznością.

Pan Czarnkowski, zmuszony nadal do pozostania w łożu, nie posiadał zresztą odpowiednich możliwości, by sprostać tak poważnemu zadaniu. Należało bowiem zebrać znaczne siły ze względu na długość drogi wymagającej strzeżenia. Wyszło przeto polecenie d panów wojewody poznańskiego, Sędziwoja z Ostroroga, kasztelana Dobrogosta z Szamotuł i Juranda z Brudzewa, wojewody inowrocławskiego, by objęli pieczę nad granicą i nie wahali się, nawet siłą, powstrzymać poselstwa i odebrać korony.

Toteż wkrótce gęste i silne patrole krążyły od Turzej Góry, wzdłuż granicy zakonnego państwa, a także za cichą zgodą pomorskich książąt, nieomal do samego Bałtyku.

Wiść o tym stróżowaniu wkrótce dotarła do wielkiego mistrza, gdyż przebywał on już w Wilnie na zjeździe koronacyjnym. Skutkiem tego na zapytanie z Malborka, czy owe hufce należy uznawać za przyjacielskie czy też wrogie, nadeszła polska odpowiedź:

„...dbałbym o swe dobro, na zwalczanie zamysłów niegodziwych wolno jest zbierać wszelką potęgę w swoich granicach. Z własnych czynów najlepiej osądzą Krzyżacy, kogo w nich uważać mają, przyjaciół czy niechętnych wrogów...”

Również i poselstwo przybyłe w tym czasie do Frankfurtu dowiedziało się o zaistniałym niebezpieczeństwie, co wstrzymało je przed dalszą podróżą. Strach przed nią wzmogła jeszcze wieść o pojmaniu Cziguli i Rotha. Początkowo spodziewano się wszakże, że sytuacja ulegnie zmianie lub znajdzie się możliwość dotarcia na Litwę inną drogą. Ale kiedy i ta nadzieja okazała się płonna, po dwumiesięcznym oczekiwaniu cesarskie poselstwo zawróciło z drogi.

Król Jagiełło, pomny uchwał jedleńskich, tajnie rokując z Witoldem spodziewał się spór rychło zakończyć. Otrzymana wiadomość o pojmaniu wysłanników cesarskich i przejęciu listów wcale go więc nie uradowała, gdyż sytuacja uległa przez to zupełnej zmianie.

O ile jednak król został tylko zmuszony do skorygowania działań, dla wielkiego księcia był to cios godzący w samo sedno jego zamierzeń. Rychło też otrzymał z Malborka dalsze, równie złe wieści o obsadzeniu granicy przez silne oddziały wielkopolskie i przerwaniu podróży głównego poselstwa. Obraz tych niepowodzeń jeszcze ostrzej zarysowało przybycie z Prus Cziguli i Rotha, mocno rozeźlonych. Pomstując na „polskich zbójców”, radzili wielkiemu księciu, by sporządził korony na Litwie, nie czekając już na wielce wątpliwe przybycie cesarskich posłów. Wszakże takie rozwiązanie, podważające powagę i znaczenie ceremonii, było dla Witolda nie do przyjęcia. Trwały więc narady i rozważania nad znalezieniem wyjścia z tak trudnej sytuacji, jednak rezultatu nie przyniosły.

Ponieważ termin koronacji został wyznaczony na 8 września, już w sierpniu zaczęły zjeżdżać pierwsze poselstwa i zaproszeni goście. Przybyli

wysłannicy sułtana Machmeta, tatarskiego chana, cesarza Bizancjum, schizmatycki metropolita Focjusz, gospodar mołdawski, książęta: moskiewski, odojewski, rizański, twerski, obaj wielcy mistrzowie i książęta mazowieccy.

Skutkiem powstałej sytuacji Witoldowi nie pozostało nic innego, jak odłożyć termin uroczystości na 29 września i nadal równie wspaniale podejmować swych gości. Jednocześnie wysłał swego zaufanego sekretarza Mikołaja Małdrzyka do Lublina, gdzie Jagiełło odbywał kolejny zjazd.

Tam Małdzyk w imieniu Witolda złożył królowi zaproszenie przybycia do Litwy, poufnie zawiadamiając, że wielki książę, nadal przychylny przekazaniu otrzymanej korony jego synowi, byłby gotów takie porozumienie zawrzeć.

Rada, początkowo przeciwna tej podróży, wobec stanowczej postawy króla musiała ustąpić, przydała wszakże do jego orszaku zaufanych i wiernych dotychczasowym jej uchwałom dygnitarzy pod przewodnictwem kanclerza Zbigniewa Oleśnickiego, któremu mieli towarzyszyć dwaj jego bracia: Jan, wielki marszałek koronny, i Dobek, kasztelan wojnicki, Jan Szafraniec, biskup kujawski, wicekanclerz Władysław Oporowski, Jan Konicpolski, późniejszy kanclerz, i przebiegły, obrotny Wawrzyniec Zaręba z Kalinowej, kasztelan sieradzki.

Król Władysław dotarł do Wilna z początkiem października. Dzień był bezchmurny, słoneczny. Orszak królewski ciągnął wolno, uprzedzony, że wielki książę wyruszył mu na spotkanie.

Jakoż na milę przed miastem, kiedy zbrojna chorągiew stanowiąca przednią straż wyłoniła się z lasów, a za nią karoce i pojazdy dworu, ujrzano na trakcie wiodącym przez otwartą płaszczyznę pól liczny tłum jezdnych otaczających wielkksiążęcą karete. Witoldowi towarzyszyli na koniach obaj wielcy mistrzowie, książęta ruscy,

mołdawski gospodar, książęta mazowieccy, wielmoże litewscy oraz ich przyboczne orszaki. Lśniły paradne zbroje, cieszyły oko różnobarwnymi kolorami stroje, zachwycały bogactwem końskie rzędy.

Stráže zjechały na poboczne drogi, dając miejsce karetom obu władców, gdyż ze względu na podeszły wiek nie dosiadali już wierzchowców na dłuższe podróże.

Pojazdy zbliżyły się i zatrzymały obok siebie. Pachołcy rażno podskoczyli otwierając drzwiczki karet i obaj bracia wysiedli ruszając ku sobie, otoczeni zewsząd światłą ciekawą tego spotkania.

Ci jednak, jakby nieświadomi otoczenia, całowali się wziąwszy w ramiona. Twardszy z natury Witold, ujrawszy w królewskich oczach łzy, także wzruszył się mocno i ująwszy w obie ręce królewską dłoń, powtarzał tylko:

— Witaj, bracie... Witaj na swojej ziemi...

Otoczające ich orszaki radosnym krzykiem wyrażały radość z braterskiego pojednania.

Biskup Oleśnicki wiedział o bliskiej współpracy pana Cebulki z księdzem Andrzejem w czasie jego pobytu na Litwie. Toteż chcąc mieć łączność swego urzędu z kanclerzem Witolda, życzył sobie, by proboszcz dołączył do poselstwa. Nie sprzeciwił się więc towarzystwu Czarnego i Jaksy, tym bardziej że po przygodzie z Czigulą pan z Czepiel zdobył kanclerskie uznanie.

Jeszcze w dzień przyjazdu, choć już późnym wieczorem, ksiądz Andrzej, spełniając życzenie kanclerza, zdołał spotkać się z panem Cebulką. Książęcy kanclerz przywitał go jak starego przyjaciela, co proboszcza mocno ujęło. Po krótkim omówieniu powstałej sytuacji, wręczył przyniesione papiery.

— To są wierne kopie listów przejętych na granicy. Nie przesłaliśmy ich dotychczas, czekając sposobnej chwili — wyjaśnił. — Pan kanclerz uważa, że właśnie teraz taka nadeszła, proponuje więc, aby wielki książę zechciał zaznajomić się z ich treścią. Oryginały możemy mu w każdej chwili przedstawić...

— Czemu wszakże doręczacie je przeze mnie?

— Treść ich wyraźnie ukazuje cesarskie intencje. Są one tak wrogie Koronie, że kanclerz wręczając je otwarcie obawiał się wywołać obrazę wielkiego kniazia. Mógłby bowiem poczytać taki postępek za zarzut skierowany przeciw jego osobie. Już raz okazał, jak łatwo go urazić...

Pan Cebulka uśmiechnął się pod wąsem.

— Albo też, że łatwo mu przychodzi znaleźć powód do urazy... Dobrze, wasza wielbność, zaraz z samego rana dostarczę te pisma do jego rąk. Jeszcze przed naradą, która ma rozpocząć się przed południem.

Zgodnie z zapowiedzią Cebulki narada rozpoczęła się na wileńskim zamku rankiem. Wzięli w niej udział dygnitarze obydwóch stron, a także

niektórzy ze znaczniejszych gości. Między innymi obaj wielcy mistrzowie zakonni z ukrytą intencją strzeżenia sprawy Zygmunta w zastępstwie jego posłów.

Obrady otworzył król Władysław oświadczając od razu, że nie cofa wyrażonej zgody na koronację Witolda i nadal ją popiera, wszakże pod warunkiem przekazania litewskiej korony jego potomstwu. To oświadczenie wywołało radosne podniecenie wśród litewskich wielmoży, ale też natychmiastowy sprzeciw koronnego kanclerza. Bez ogródek i jasno wyraził podłoże sprawy, wskazując osobę Zygmunta jako inspiratora powstałej sytuacji, a także cele jego poczynań. Pokrótkie wymienił postanowienia unii, wreszcie na zakończenie oświadczył,

że królewska Rada, której posłowie siedzą przy jego boku, nie wyraża zgody na koronację nawet z proponowanymi warunkami, spodziewa się wszakże, że nie przyjdzie z tego powodu do dobytca oręża.

W odpowiedzi na to przemówienie, zakończone wyraźną groźbą, powstał wielki mistrz Pruskiego Zakonu, Paweł von Russdorf, i z przyjacielskim uśmiechem, oględnymi słowami wyraził nadzieję, że mimo wszystko wierzy w porozumienie obydwóch władców, gdyż wielce mu mili polscy panowie zbyt nieufnie oceniają intencje cesarskie. Zakon zaś daleki jest od tego, by czynić cokolwiek przeciw przymierzowi Polski i Litwy, dla których i on, i jego zakonni bracia żywią przyjaźń.

Po tym zapewnieniu porwał się powtórnie z miejsca kanclerz Oleśnicki i już bez żadnych niedomówień wytknął Zakonowi jego zdrady i złamane przysięgi wołając:

„...miodopłynne twe wyrazy, cnotą i uczciwością tchnące, niezgodne przecież z twymi czynami, o których z pism do cesarza przejętych dostatecznie mamy przekonanie!” Po czym sięgnąwszy ku leżącym przed nim papierom odczytał wyjątki z niedawno przejętych listów, w których wielki mistrz ze szczególną nienawiścią pisał o Polsce i Polakach.

Von Russdorf wprowadzie z ironicznym uśmiechem wysłuchał tej odpowiedzi, ale już więcej głosu nie zabierał. Następnie przemawiali inni, tak polscy, jak i litewscy panowie, ostro sobie przymawiając.

Księżę Witold tych przemówień słuchał w milczeniu. Pisma wręczone mu rankiem przez Cebulkę wstrząsnęły nim głęboko i być może dopiero po ich przeczytaniu już w innym świetle ujrzął właściwe intencje Zygmunta,

skrywane dotąd pod płaszczem gładkich słów, zapewnień i przysiąg. Nie miał do tej pory tak jasnego sądu, jak obecnie, kiedy mu prawdę tak wyraźnie ukazano przed oczy. Toteż być może teraz dopiero w pełni pojął, w jak trudne zapędził się położenie.

Uznał więc za konieczne złagodzić ton sporów, a także przygasić ostrość samego problemu, przeto zabrał głos i przede wszystkim wezwał i swoich bojarów, i polskich panów do spokojniejszych wypowiedzi, a wreszcie nie tak gorącej oceny powstałej sytuacji. W końcu zaproponował, by zebrali się w tym celu wszyscy zainteresowani, a więc polski król, cesarz Zygmunt, przedstawiciele Zakonu, i wraz z nimi starali się dojść do porozumienia.

Król zgodził się na tę propozycję z zastrzeżeniem, że nie życzy sobie rozmawiać z Zygmuntem o Czerwonej Rusi, którą uważa za bezsporną swoją własność. W ślad za wielkim księciem również niektórzy dygnitarze obu stron starali się ostudzić dotychczasowy, zbyt gorący klimat dyskusji. W rezultacie, aczkolwiek na naradzie nie powzięto żadnych uchwał, to jednak zakończyła się ona już nie tak burzliwie.

Nastąpiły dalsze rozmowy, już w mniejszych gronach, a jednocześnie Witold usiłował zmienić nieprzejednane stanowisko koronnego kanclerza. W jego imieniu nawiązali z biskupem kontakt Mikołaj Sepno i Małdrzyk z Kobyłan, czyniąc obietnicę księżęcej łaski i względów, poczynienia pewnych ustępstw na korzyść Korony i osobiście dla Jego Eminencji. Wreszcie, kiedy te namowy i perswazje nie odnosiły skutku, zagroził mu zdjęciem z godności, jak się to wydarzyło jego poprzednikowi Piotrowi Wyszowi. Na to twardy kanclerz odpowiedział: „...pozory skończyły się na prawdzie: zepchnięcie z dostojęstwa, które posiadam, nie jest łatwe, kiedy rząd Kościoła nie rozdwojony, ani ja w podobnym jestem przypadku, jak przeszył biskup; wreszcie ani ubóstwa, ani śmierci się nie lękam...”

Ponieważ na miejscu nie można było dojść do porozumienia i uzyskać zgody nawet na warunkową koronację, Jagiełło i Witold postanowili sprawę przekazać do rozważenia w pełnym składzie królewskiej Radzie, na co wielki księżę przystał, mając cichą nadzieję, że w ten sposób do głosu dojdą również i jego zwolennicy, których miał wśród jej członków pozostałych w kraju.

Godził się wprawdzie na dożywotnie tylko przyjęcie korony, ale całkowicie nie mógł z niej zrezygnować, sprawa bowiem stała się już zbyt

głośna w świecie. Wszakże obecnie, obdarowując swych gości, musiał jednocześnie przeproszać, że nie może ich nadal podejmować.

Po ich odjeździe, również Jagiełło, widząc w przydanym mu poselstwie przeszkodę w prowadzeniu dalszych rozmów z Witoldem, polecił panom z Rady wracać do kraju. Mimo oporów i perswazji, że w ten sposób pozbawia się trzeźwych doradców, decyzji nie zmienił. Posłowie opuścili więc Wilno 16 października, jednak na polecenie kanclerza ksiądz Andrzej, jak i jego obaj towarzysze, pozostali przy osobistym dworze króla.

Stan zdrowia wielkiego księcia już w czasie prowadzonych narad nie był najlepszy, gdyż podług ówczesnego rozeznania nękany był boleścią zwaną anthrax, czy też „wrzodem gangrenowym”. Mocno go trapiła ta choroba, ale dzięki żelaznej woli opierał się niemocy w tak ważnych dla siebie dniach.

Wszakże, pożegnawszy ostatnich gości, przenosząc się z dworem do Trok spadł z konia i resztę drogi musiał odbyć w karocy małżonki, księżny Julianny. Na trockim zamku legł zaraz w łożu, nękany dokuczliwymi bólami.

Dwór wiedząc o jego cierpieniach, zrozumiał, że władca dożywa swych ostatnich dni, czego zresztą nie ukrywali jego medycy widząc, że stosowane leki już nie przynoszą poprawy.

Król Władysław, wielce stroskany cierpieniem brata oraz skutkami jego odejścia, długo i często pr/y nim przesiadywał, omawiając dalsze kroki, jakie dla dobra obydwóch krajów będzie należało przedsięwziąć. Głównym jednak tematem, jaki rozważali, był problem, komu z kolei powierzyć rządy nad Litwą?

W tym czasie sprawował je sam Jagiełło. Odbywał sądy, wydawał dyspozycje w sprawach bieżących, zatwierdzał przygotowane przez Witolda nadania, między innymi i dla wileńskiego biskupa Macieja.

Natomiast ksiązę Świdrygiełło, uświadomiony przez swoich popleczników o zdarzeniach zachodzących na wileńskim dworze, rozpoczął objazd Litwy, odwiedzając dzielnicowych ksiąząt i znamienitszych bojarów. Nawizywał z nimi porozumienia lub utwierdzał już zawarte, pozyskiwał nowych przyjaciół i stronników. Wieści o tych zabiegach dotarły szybko do wielkiego księcia, który przekazał je królowi. Jagiełło, uważając sprawę za ważną i pilną, gdyż poczynania te jawnie wskazywały, do czego zmierza Świdrygiełło, wezwał go bez zwłoki do siebie.

Ksiązę uznał widać to wezwanie za wiadomość dla siebie pomyślną, rokowało bowiem ziszczenie jego nadziei, toteż nie zwlekając stawił się w Trokach, i to w otoczeniu trzystu zbrojnych i licznego dworu. Natychmiast też zaczął zachowywać się jakby już był zarządcą kraju: polecił przydzielić kwatery swym żołnierzom oraz dworowi, i to na terenie zamku lub w jego bliskości, bo życzył sobie mieć ich pod ręką, po czym bezzwłocznie udał się na pałacowe pokoje.

Kiedy go zgłoszono, król Władysław przebywał właśnie przy łożu wielkiego księcia, kazał więc tam skierować przybyłego gościa.

Świdrygiełło wkrótce stanął na progu Witoldowej sypialni. Był to mąż tęgi, szeroki w ramionach, o pełnej, nieco obrzęklej, krwistej twarzy, okolonej siwiejącą już brodą. Małe, świecące przebiegłe oczka na wpół pokrywały ciężkie powieki. Był nieco wyższy niż członkowie Gedyminowego rodu, gdyż Jagiełło, a także Witold byli niskiego wzrostu.

Zatrzymał się chwilę i obrzuciwszy obu szybkim spojrzeniem odezwał się grubym, chropawym głosem, zdradzającym zamiłowanie do trunków:

— Witam panów braci... — podszedł do łoża Witolda i jakiś czas mierzył leżącego księcia taksującym wzrokiem.

Król Władysław skinął na Andrzejka i swego sekretarza, młodego księdza Drzewieckiego, by opuścili komnatę. Świdrygiełło zaś, nie zważając na nich, odezwał się do Witolda:

— No i tobie sprawiedliwy Bóg wreszcie wymierzył karę za niecności, któreś popełniał! Teraz zacznij ci je zliczać i zażąda zapłaty!

Witold na to powitanie zmarszczył gniewnie brwi, ale widać uznał za niegodne udzielanie odpowiedzi, bo milczał pogardliwie. Natomiast Jagiełło odezwał się pełen oburzenia:

— Nie masz innych słów dla powitania bolejącego brata?! Nie tegom się po tobie spodziewał!

— Czyś po to mnie wezwał, by pouczać?! Niczego dobrego od niego nie zaznałem, abym miał boleć, że kończy żywot!

— Życzę sobie, abys pohamował się w słowach! — już z poczerwieniałą z gniewu twarzą zawołał Jagiełło. — Nie stój nad nim niczym zbój!

Świdrygiełło roześmiał się rubasznie i podsunąwszy nogą fotel, rozparł się w nim rozpinając kaftan.

— Przybyłem, boś mnie wezwał. Tedy mów, czego chcesz ode mnie?

Jagiełło opanował się i choć jeszcze usta drżały mu z gniewu powiedział spokojnie:

— Skoroś taki ciekaw, tedy od razu ci powiem. Doszły mnie wieści, że jeździsz po kraju, księżęta i bojarów podburzasz, sobie kaptując. Nie wiem, dlaczego i przeciw komu zbierasz stronników, ale cię upominam i proszę, abys tego poniechał. Nie czas teraz na waśnie czy spory, bo nad naszą miłą Litwą zawisła groźba, którą tylko wspólnie i w zgodzie możemy zażegnać...

Świdrygiełło zmrużył powieki, jakiś czas mierzył brata badawczym spojrzeniem, wreszcie spytał:

— Tylko tyle miałeś mi do powiedzenia?

— Poczytujesz to za mało ważne?

— Co uważam za ważne, będzie jeszcze czas o tym gadać! Teraz zaledwie zsiadłem z konia, chcę więc nieco odetchnąć!

Wstał z fotela, zatrzymał się przy łożu Witolda, jakby chcąc coś jeszcze powiedzieć, ale odwrócił się i bez słowa wyszedł z komnaty.

Jagiełło odprowadził go wzrokiem do drzwi, po czym pochylił głowę z westchnieniem pełnym troski.

— Jak zwykle nie umie powstrzymać wrodzonej gwałtowności...

Witold w czasie tej sceny nie odzywał się, nadal mierząc Świdrygiełłę gniewnym spojrzeniem. Teraz ograniczył się tylko do krótkiej uwagi:

— Toteż nie nadaje się do rządzenia Litwą.

— Zawsze byłeś twardy i nieustępliwy... Komu zatem mam powierzyć władztwo? Korybut w Czechach przewodzi innowiercom i zapewne już wyzbył się prawdziwej wiary...

— Jest jeszcze Zygmunt.

Jagiełło pokręcił głową.

— Niczym się dotąd nie wykazał. Nie będzie zdolny podołać tak trudnemu zadaniu i łatwo może ulec wpływom Zakonu czy kuszeniom Zygmunta...

— Sądziś, że Świdrygiełło będzie lepszy? Zły to władca, którego język nie kryje myśli. A do tego marny wódz, bo zapalczywość bierze w nim górę nad rozsądkiem.

— A jednak to nasz brat... Nie wątpię, że uszanuje więzy krwi.

— Już to okazał! — ironicznie mruknął Witold, dorzucając z gniewem: — Opój to i gwałtownik, a do tego niedbały we wszystkim, co czyni.

— Chyba zbyt surowo go osądzasz, Witoldzie. W razie potrzeby umie się zdobyć i na wysiłek.

— Tylko wówczas, kiedy ujrzy miecz nad głową... Inaczej nawet palcem nie ruszy, bo obca mu wszelka przezorność.

— Zawsze byłeś mu niechętny. Ja wszakże nie zapominam, że jest mi bratem i wierzę, że on także o tym pamięta!

— Obyś się srodze nie zawiódł, Władysławie... Pierwsze bowiem, co uczyni, to sprzymierzy się z Krzyżakami. Połącz się z nimi nie bacząc na siebie, on już się z nimi znosi, wiem o tym dobrze...

— Gdyż jest ci wrogi. Jako rządcą Litwy beze mnie tego nie uczyni!

Zamiast odpowiedzi Witold machnął pogardliwie dłonią.

Następnego dnia król Władysław, być może pod wpływem odbytej z Witoldem rozmowy, nie wezwał do siebie kniazia Świdrygiełły. Zapewne dla podkreślenia swego majestatu i zależności księcia od jego decyzji, a także, by dać mu czas do ochłonięcia i bardziej rozważnej oceny sytuacji. Miało to jednak ten skutek, że zamiast go przywieść do opamiętania, jeszcze bardziej rozwścieczyło. Nie umiejąc niczego oceniać na zimno, ulegający zawsze impulsom, z byle powodu wybuchający gniewem i tym razem nie umiał się opanować, pewny, że tylko jemu należy się po Witoldzie wielkokiśćząca godność. Stanął więc przed koronowanym bratem z chmurną twarzą i pogardliwym uśmiechem.

— Nie spieszo ci było mnie widzieć? — spytał kpiąco, mimo uprzejmej odpowiedzi Jagiełły na jego burkliwe powitanie.

— Okazałeś gniew przy naszym pierwszym spotkaniu — odpowiedział spokojnie król. — Sądziłem, że przyczyną tego były trudy podróży, toteż chciałem, byś nieco odetchnął i spokojniej ze mną mówił...

— Może jeszcze miałem puścić się w tany?! Po tym, jak kazałeś mi czekać pod swymi drzwiami niby byle słudze?

— Powściągnij nieco swą zapalczywość! — już surowiej rzucił Jagiełło. — Nie przystoi, byś tak ze mną mówił, mimo żeś mi bratem!

— Lepiej nie traćmy czasu na zbędne gadanie, a powiedz prawdziwie, dlaczego mnie wezwałeś? Bo przecież nie dla upominania? — rzucił ironicznie książę. Poniechał niecierpliwego przemierzania komnaty i opadł na jeden z foteli.

— Przyczyna jest ta, o jakiej już wiesz — spokojnie stwierdził Jagiełło. — Dlatego chciałem cię upomnieć i prosić, byś poniechał spisków i kłótni, a bądź pewny, że i nadal będziesz miał we mnie miłującego cię brata. Przestań więc zabiegać o to, co samo do ciebie przyjść może...

Twarz Świdrygiełły nabiegła krwią, a małe oczka zabłyśły groźnie pod ściągniętymi brwiami, kiedy przechyliwszy się w stronę króla nieomal krzyknął:

— I tylko dlatego tu jestem?! Tylko po to, aby niby szkolnik słuchać twoich pouczeń?! Czyż nic dla mnie nie masz prócz zwodnych słów?!

Jagiełło mierzył przez pewien czas księcia zatroskanym spojrzeniem i milczał zacisnąwszy usta. Odezwał się dopiero po chwili, równie spokojnie jak i poprzednio:

— Opanuj gniew, jeśli chcesz, abymy dalej ze sobą mówili. Mylisz się sądząc, że zwodzę cię pustymi słowami. Tobie najchętniej powierzyłbym władztwo nad Litwą, ale jeszcze nie pora o tym mówić. Zapewne tak uczynię, lecz bez zgody Witolda niczego nie postanowię.

— Bez zgody Witolda?! — Świdrygiełło nie zważając na upomnienie królewskie wykrzyknął z gniewem. — Tego podstępного gada, przed którym przez tyle lat własnego żywota musiałem pilnować?! Widać zapomniałeś, kto w Kijowie kazał mnichom otuć Skirgiełłę! To samo i mnie czekało, gdybym się nie strzegł! Myślisz, że zechcę mi władzę przekazać?!

Jagiełło pokiwał głową z wyraźnym przygnębieniem.

— Puste to oskarżenie, niczym nie poparte, prócz twej nienawiści ku niemu. Wszakże bez jego zgody niczego nie postanowię — uparcie powtórzył król.

Na to oświadczenie Świdrygiełło zerwał się na nogi i, już ogarnięty wściekłością, uniósł ponad głowę zaciśniętą pięść:

— Niech szczerze trzykroć przeklęty, niech szczerze jak najrychlej! A tobie tylko to rzekę: odjeżdżam stąd, ale wrócę, i wtedy strzeż się, boś stary już dziad i nie wiesz, co czynisz! A skoro wrócę, sam wezmę to, co mi przynależy!

— Bacz, co mówisz! — Jagiełło już także uniósł się gniewem. — Skoro odjeżdżasz, wstrzymywał cię nie będę, ale przynajmniej pojednaj się z Witoldem! Przecież to jego ostatnie godziny! A wówczas może i on wyrazi zgodę na twoje następstwo!

Świdrygiełło, który zmierzał już do drzwi, zatrzymał się i rzucił pogardliwie:

— Mam się z nim pojednać? A niechże, kiedy skona, porwie go czort tam, gdzie jego miejsce!

Wkrótce po odjeździe księcia proboszcz wezwał do siebie Czarnego i Jakę. Powitał ich z zatroskaną twarzą, a kiedy, ciekawi wezwania, zajęli miejsca, odezwał się:

— Chcę powiadomić was o rozmowie, jaką miałem z panem Cebulką. Świdrygiełło odjechał z gniewem, grożąc zapowiedzią rychłego zbrojnego powrotu. Wszakże pan sekretarz sądzi, a i ja jestem tego mniemania, że przyczyna sporu, jaki powstał między nim a Jego Królewską Mością, ustanie po zgonie wielkiego księcia, czego rychło należy się spodziewać. Powodem tego sporu były bowiem nie spełnione nadzieje Świdrygiełły na objęcie godności po Witoldzie, czego Jagiełło bez zgody wielkiego księcia nie chciał przyobieczać. Sądzić jednak należy, że nikt inny, a właśnie Świdrygiełło, ostatecznie zostanie wielkim księciem Litwy.

— Nie byłby to chyba najlepszy wybór... — wtrącił Jaksę.

Król jegomość nie widzi, komu innemu mógłby tę godność powierzyć. Zresztą zawsze czuł słabość do Świdrygiełły, jako starszy brat do młodszego. Toteż wierzy, że tamten, pomny związków krwi, będzie mu wierny.

— Obyż tak było! Ale Jego Królewska Mość już nieraz okazał, że starczy wiek pozbawił go ostrości wzroku... — zauważył Czarny.

— Właśnie. Dlatego i pan Cebulka, i ja sądzimy, że czekają Litwę ciężkie czasy i być może nawet poleje się bratnia krew...

— Nie daj Boże... — mruknął Jaksę. — Wówczas i moja Niemierza nie byłaby bezpieczna!

— Otóż to. I dlatego was wezwałem. Jeśliby Świdrygiełło objął rządy po śmierci Witolda, co lada dzień może nastąpić, wówczas niechybnie będzie pozbawiał majątków — jeśli nawet nie życia — dotychczasowych, wiernych Witoldowi dworzan. Z tym, Jaksę, musisz się liczyć i dlatego cię ostrzegam.

— A zatem, co wasza wielbność radzi mi czynić?

— Niemierzy z miejsca nie ruszysz, ale rodzinę i co cenniejsze rzeczy stamtąd zabierz. Sądzę, że Hubert przyjmie cię w Czepielach — proboszcz spojrzął na Czarnego z lekkim uśmiechem. — Tam powinieneś czuć się bezpiecznie, bo to ziemia koronna.

Byłbym wielce rad udzielić mu schronienia! — niemal wykrzyknął Czarny.

— Zatem nie zwlekajcie z tym. Tu chwilowo sprawy stanęły niejako w miejscu, bo wszyscy jakby czekali, aż skończą się dni Witolda. Toteż jest sposobny czas na odbycie tej podróży. Wszakże nie zabawcie w Czepielach za długo i wracajcie na królewski dwór, gdzie by się nie znajdował, gdyż zapewne będę was potrzebował.

Już następnego dnia Czarny i Jaksę wraz z Tomkiem i Waśką wyjechali do Niemierzy. Tam, z wielce przygnębioną Zytą, ale ku wielkiej radości obu panien, zabrali się do przygotowań. Szykowano, a potem ładowano wozy, sprawdzano uprzęż, wybierano czeladź, która także miała wyjechać. Wkrótce też ruszył tabor, kobiety siadły do pojazdów i w otoczeniu kilkunastu zbrojnych, udały się w drogę do Czepiel.

Wkrótce zaś w obecności licznie zebranych dygnitarzy, po przekazaniu władzy nad Litwą w królewskie ręce, dnia 27 października zmarł wielki książę Witold. Wielki nie tylko z tytułu, ale sercem i mocą ducha.

Pobłogosławiony na ostatnią drogę przez biskupa Macieja spoczął w kościele Św. Stanisława w Wilnie.

Natomiast jego pierścień wraz z dekretem mianującym go wielkim księciem Litwy wkrótce po tym król Władysław przesłał Świdrygielle. Zgrzybiały już starzec, powodowany braterskim uczuciem, popełnił kolejny, ostatni chyba błąd, pogrążając uмиłowaną Litwę w bratobójczej walce, krwi i pożodze.

Część 2

Wiść o rychłym przybyciu całego dworu Niemierzy zaskoczyła Unę i zaniepokoiła. Nie mogła dojść przyczyny tych przenosin, pismo Huberta nic o tym nie mówiło, a i goniec mało co wiedział.

Przed wszystkim cieszyła się jednak z ujrzenia małżonka, zaspokojenie ciekawości pozostawiając jemu.

Wszakże uszczęśliwienie, które objawiła, było niczym płomień świecy wobec gwałtowności, jaką niby wybuch prochu objawił się entuzjazm obu chłopców po usłyszeniu tej nowiny. Najpierw okazali go zgodnym wrzaskiem, a potem niecierpliwie liczyli dni, jakie pozostały do przybycia ich wybranek.

Czas ten mogli jednak obliczać tylko z nikłym prawdopodobieństwem, bo jesienna pora nie pozwalała przewidzieć, jak dalece rozmokłe drogi przedłużą podróż.

Istotnie, ładowne wozy i ciężka karoca posuwały się z wolna, gdyż drogi, zwłaszcza wiodące przez litewskie puszcze, trudne były do przebycia.

Mimo to, noga za nogą i dzień za dniem, tabor z Niemierzy uparcie dążył na południe. Minął Lidę, z kolei Słonim, skąd skierował się na Brześć, kraj gotował się do zimowego snu, nad dachami chłopskich chat wlokły się pasma dymów, bo jesienne chłody już dawały się we znaki, ale wszędzie panował spokój. Ziemia nasiąkła wilgocią parowała tumanami mgły w porze porannych przymrozków, toteż niewiasty szczególnie otułały się w szuby i futra, a mężczyźni chętnie widzieli na postojach kufle z grzany piwem.

Wreszcie pozostawili za sobą Brześć i powoli zbliżali się do Chełma. Z miasta zaś do Czepiel konny posłaniec przebywał drogę od świtu do pierwszego zmierzchu, natomiast ładowne wozy potrzebowały na to co najmniej dwóch dni.

Kiedy więc wyjechali wreszcie poza ostatnie domostwa przedmieścia, podniecenie ogarnęło nie tylko obie panny, i to do tego stopnia, że Zyta musiała je strofować, bo wierciły się w karocy jakby podłożono im jeżowe skórki, ale też i obu rycerzy, choć maskowali je surowością oblicza. Także i ich zbrojny poczet chętnie by trącił wierzchowce ostrogą, gdyby nie konieczność trzymania się wozów. Te zaś ciągnęły z dotychczasową powolnością, obojętne na zniecierpliwienie jeźdźców.

Wreszcie pod koniec drugiego dnia, kiedy zapadał już zmrok i pierwsze gwiazdy pojawiły się pomiędzy szybko sunącymi chmurami, ujrzeli odległe światelko na strażniczej wieży dworskiego obwarowania.

Na milę przed Czepielami Tomek pognął co koń wyskoczy do dworu, by zawiadomić o nadciągającym orszaku. Brama więc była otwarta, a na oświetlonym pochodniami majdanie witał ich pan Kleczkowski z czeladzią. Wozy od razu skierowano pod wiatę, konni zeskakiwali z siodła, a jedynie karoca i obaj rycerze nie zatrzymując się podążyli ku domowi, gdzie na ganku stała Una w otoczeniu służby.

Powitanie, początkowo chaotyczne, skończyło się dopiero w obszernej sieni, gdzie z jednej strony jelenie i łosiowe rogi służyły do wieszania odzieży, z drugiej stała pod ścianą lub zwisała na hakach różnoraka broń.

Czarny długo trzymał Unę w objęciach, potem serdecznie i mocno ucałowały się obie niewiasty, natomiast panny, zrzuciwszy wierzchnie okrycia, zerkały tylko na stojących na uboczu obu braci, jakby chciały rozpoznać, który z nich do której przynależy.

Z twarzy obu młodzieńców biła radość i widać było, że hamują się, by nie dopaść rąk swoich miłych, ale czekali z tym, aż starsi zakończą powitania. Kiedy zaś chwila ta nadeszła, Aldona z rumieńcem na twarzy i pochyloną głową wyciągnęła do Rocha rączkę, ku której przypadł zaraz ustami, natomiast Olga, nie zważając na otoczenie, zarzuciła Lechowi na szyję ramiona i ucałowawszy w oba policzki zawołała radośnie:

— Wreszcie mogę cię uściskać!

Obaj mężowie, zamieniwszy ze sobą porozumiewawcze spojrzenia, uśmiechnęli się tylko nieznacznie, ale Una skierowała na Zytę pytający wzrok, wyraźnie zaskoczona spontanicznością tego powitania.

— To owa księżniczka Olga z rodu Olgierdowiczów, o której ci pisałam... — objaśniła. — Jak zwykle nie umie pohamować gorącości krwi...

Stół do wieczerzy był już nakryty, ale przybyli najpierw pośpieszyli do swych komnat, by pozbyć się podróźnej odzieży i ogarnąć po trudach długiej drogi.

Una sama obsługiwała męża, a kiedy ten, nagi do pasa, wytarł się już podanym ręcznikiem i objął ją w pól przyciągając ku sobie, uniosła głowę i spytała z błyskiem wesołości w oczach:

— Czy pamiętasz, com ci rzekła po powitaniu, kiedyś wrócił z grunwaldzkiej potrzeby?

— Nie... — przyznał zdziwiony pytaniem. — Cóż to było?

— A no... — uśmiechnęła się przekornie — spytałam wówczas, czy nie możesz poczekać do nocy...?

Czarny roześmiał się tylko i już bez słowa sięgnął po przygotowaną świeżą koszulę.

Wieczera minęła wśród radosnego gwaru ożywionej rozmowy, w czasie której nie obeszło się bez żartobliwych uwag obu rodziców pod adresem młodych, co u Aldony wywoływało tylko rumieńce na twarzy, ale nie odważyła się odezwać.

Olga jednak niewiele sobie z nich robiła, a nawet raz i drugi ośmieliła się na odplacenie równie żartobliwą odpowiedzią, mimo że nie uchodziło byle dziełatce wdawać się w poufalość z dojrzałymi mężami. Zyta była nawykła do sposobu bycia dziewczyny, ale ku jej zdziwieniu Una przyjmowała te objawy młodzieńczej bez troski z rozbawieniem, co wskazywało, że podobała się jej przyszła synowa.

Radosny nastrój zakłóciła jednak wiadomość, że pobyt męża nie potrwa dłużej niż tydzień, gdyż niepewny czas i tok zdarzeń nakazuje rychły powrót. Nie po myśli była jej również mężowska decyzja powtórnego wyjazdu obu chłopców. Rozumiała jednak tę konieczność, gdyż orężna służba w obronie kraju i tronu była ich rycerskim rzemiosłem, do którego musieli przywykać od młodych lat.

Natomiast obaj młodzieńcy z mieszanymi uczuciami układali się do snu w swojej sypialni. Z jednej bowiem strony pociąggało ich czynne, ruchliwe życie i wabiła żądza przygód, z drugiej — żal było tak prędko rozstawać się z miłymi sercu dziewczynami; ledwie bowiem zjawiły się, ledwie wymieniły ze sobą nieco zwierzeń, może uda się też zdobyć jeden czy drugi pocałunek, a wnet przyjdzie się żegnać, i to na długie rozstanie. Więc jeden i drugi leżąc już w łożu wzdychał markotnie, zanim sen nie uśmierzył strapień.

Następnego zaś dnia rodzinne grono od samego rana rozbiło się na dwie grupy. Obie rodzicielskie pary radziły nad sprawami Niemierzy i ulokowaniem przywiezionego dobytku. Wraz z taborem przyszła większość tamtejszej stadniny, dla której boksów w stajniach starczyło, ale dla stada krów, które było jeszcze w drodze, brakło w oborach miejsca, czemu wszakże Czarny obiecał zaradzić. Wiek też spraw należało omówić zważywszy na zaszłe i przewidywane zdarzenia, co trapiło zwłaszcza Zytę i Jakę niepewnych losów Niemierzy.

Natomiast młodzi, dalecy od tych kłopotów, mieli inne tematy do omówienia. Żal z powodu rychłego rozstania pod wpływem bliskości umiłowanych wziął górę u obu młodzieńców nad nadzieją nowych przygód. Rozłączali się często szukając miejsc bardziej zacisznych, sposobnych do intymnych zwierzeń. Wiele wszakże sposobności ku temu nie było, gdyż obie matki nie zezwalały na zbyt długie odosobnienia, strzegąc dziewczęta przed pokusami młodości.

Wreszcie jednak przyszedł dzień, kiedy trzeba było się żegnać. Potem pozostałe na ganku kobiety długo patrzyły w ślad za szczyptym orszakiem siedmiu jeźdźców, wyjeżdżających z dworskiej bramy w szarą mglistość jesiennego dnia, która wkrótce zatarała kontury ich sylwetek.

Na przedmieściu Wilna rozdzielili się. Czarny, wracając do roli Morzelca, wraz z Waską i pacholikiem wiodącym jucznego konia, ruszył na swoją kwaterę, Jaksę zaś z Tomkiem udali się na zamek, by przystąpić do swoich oficjalnych obowiązków. Przed rozstaniem umówili się jednak, że Rudy pozostawi u namiotnika Jaszki wiadomość, kiedy i gdzie będzie chciał go widzieć książę Andrzej.

Już w czasie drogi dochodziły ich niedobre wieści o tym, co dzieje się w Wilnie. Mówiły o mianowaniu przez króla kniazia Świdrygiełły Wielkim Księciem Litwy, o jego porachunkach nie tylko z byłymi doradcami Witolda czy bojarami przychylnymi Polsce, ale nawet z samym królem jegomością i jego dworem. Ponoć już spadły pierwsze głowy, w mieście panoszą się księżęcy żołdacy, a Jagiełło został uwięziony na wileńskim zamku, gdzie strzegą go liczne straże.

Było to wszakże mało prawdopodobne, zważywszy, że władzę wielkksiążęcą Świdrygiełło zawdzięczał przecież łaskawości brata, a za jego osobą stała cała potęga Korony, z którą mierzyć się nie był zdolny. Trudno więc było w to uwierzyć, nawet mimo gwałtownej i niepoczytalnej natury kniazia.

Niestety, wieści te w znacznej mierze potwierdził goniec proboszcza, którego spotkali minąwszy Lidę. Pędził z wezwaniem do Czarnego, by co rychlej przybywał na królewski dwór. Listu żadnego nie wiozł, co wskazywało, że sprawa była ważna, ale też żadnych bliższych wyjaśnień nie mógł udzielić.

Potwierdzał wszakże wiadomość o uwięzieniu króla przez nie wiedzieć czemu rozwścieczonego księcia. Dochodziły nawet słuchy, że bojarowie litewscy żądali wycięcia całego królewskiego dworu, na co wszakże Świdrygiełło, widząc bojąc się skutków takiego postępkę, nie dał zezwolenia. Nie słychać też było, przynajmniej na razie, by któryś z litewskich panów z Witoldowego otoczenia postradał życie.

Tyle tylko mógł powiedzieć putnik, jednak już to wystarczyło, by ostatnią część drogi przebyli mocno ponaglając wierzchowce.

Kiedy więc Czarny wjeżdżał potem do miasta, mógł przekonać się, że istotnie panował w nim nastrój widocznego podniecenia. Na ulicach widać było luźno wążających się wojowników litewskich bądź krążące silne patrole. Większość sklepowych lad była podniesiona i założona żelaznymi sztabami, a kupiecki dworzec zdawał się opustoszały, gdyż nie słychać było stamtąd zwykłego gwaru czy nawoływań przekupniów.

Dotarli jednak na miejsce nie nagabywani. Czarny zajął opuszczoną kwaterę i czekał na wiadomość od Jaksy.

Otrzymał ją następnego wieczoru, kiedy pierwszy zmierzch kładł już cienie na zaśnieżone podwórze, a mrok izby rozpraszała zapalona przez Tomka latarnia.

Rozległo się pukanie do drzwi i po wezwaniu stanął na progu kilkunastoletni pacholik.

— Ja do wielmożności Morzelca... — zawiadomił z wahaniem.

Czarny domyślił się od razu, z czym chłopak przybywa.

— Masz dla mnie wiadomość? — odwrócił się od ognia rozpalonego na kominku.

— Chcę z wami mówić, mam prowadzić... — bąknął pacholik.

— Tedy idziemy — oświadczył krótko Hubert. Sięgnął po pas z przytroczonym krótkim mieczykiem i opończę.

Ciemniało szybko, toteż kiedy minąwszy parę ulic znaleźli się w wąskim zaułku i stanęli przed wysokim parkanem, Czarny z trudnością rozróżnił w nim zarys furty. Nie była zamknięta, gdyż pchnięta przez pacholka skrzypnęła, ukazując wydeptaną w śniegu ścieżkę.

Hubert minął furtę i ruszył bez słowa za przewodnikiem. Ujrzał kontury zabudowań otoczonych drzewami, których nagie gałęzie rysowały się na jaśniejszym tle nieba. Z lewej strony ciągnęły się jakieś magazyny, na co wskazywała rampa do wyładowywania towarów. Wzdłuż niej biegła wyjeżdżona saniami droga.

Szli nią krótką chwilę, dopóki przewodnik nie skręcił ku drzwiom murowanego budynku. Przez natłuszczone płótna jego trzech okien przenikał nikły blask. Pacholik pchnął drzwi i poprzez ciemną sień skierował się ku następnym, spod których sączyła się wąska smuga światła.

Czarny znalazł się w obszernym pomieszczeniu. Uderzył go w nozdrza kwaśny zapach fermentującego ciasta. Zapach ten szedł z szeregu dzieł umieszczonych na ławie ciągnącej się pod jedną ze ścian. Dalszą część izby zaślaniały dwa wielkie chlebowe piece. Ognia w nich nie było, ale widać palono go niedawno, gdyż biło jeszcze od nich ciepło. Środek pomieszczenia zajmował długi stół, pewnie służący do formowania chleba. Świece osadzone w kilkuramiennym lichterzu oświetlały wnętrze, a obok, na podsuniętej ławie, Hubert ujrzał siedzącego proboszcza z Jaksą u boku.

Zobaczywszy go ksiądz Andrzej uśmiechnął się tylko i skinął mu bez słowa głową, po czym zwrócił się do pacholika:

— Powiedz ojcu, że za godzinę odejdziemy. Przyjdź wówczas, by zamknąć tylną furtę.

Dopiero kiedy chłopak skłoniwszy się wyszedł, proboszcz powitał Czarnego, ale ograniczył to powitanie do krótkiego stwierdzenia:

— Rad cię widzę i pochwalam, żeś, nie czekając na wezwanie, przedłożył służbę nad rodzinne radości. Bóg widać tobą kierował, choć i chęci nie neguję... Siadaj — zakończył krótko, wskazując ławę.

— Widać zaszło coś ważnego, skoro wasza wielbność aż gońca wysłał? — Czarny zajął miejsce.

— I to bardzo ważnego. Ale o tym mówić będziemy na końcu. Najpierw, jako żeś nieświadom zdarzeń, jakie tu przeżyliśmy, muszę cię z nimi zapoznać. Zaszły u nas tak wielkie zmiany, że bez takiego rozeznania łatwo możesz narazić i siebie, i powierzone ci sprawy. Otóż zdani teraz jesteśmy tylko na własne siły, bo jego wielmożność pan Cebulka i inni dawni dostojnicy w niczym nie będą mogli nam pomóc, a przecież liczniejszych mamy teraz wrogów. Toteż wiele przybyło mi trosk, a i wam przysporzy trudności w waszych poczynaniach...

Hubert starał się nie okazać wrażenia, jakie wywarły na nim te wstępne słowa proboszcza, mimo to spytał z niepokojem:

— Co się stało z panem Cebulką? Czy aby nic złego?

— Jak dotąd, chwalić Boga, w niczym nie ucierpiał, ale może dlatego, że usunął się ze dworu i schronił u braci dominikanów.

— Skąd jednak taka wrogość do nas kniazia Świdrygiełły? Już w drodze słyszeliśmy wiele groźnych wieści, którym trudno było dać wiarę. A przecież ponoć król jegomość dobrowolnie, z własnej łaski przestał mu wielkoksiażęcy pierścień?

— Tu sytuacja nie była taka prosta. Wielmoże litewscy tylko ze względu na wielki autorytet Witolda i ze strachu przed nim nie sprzeciwiali się przymierzowi z Polską, ale w głębi serc byli wrogami unii. Zamierzona przez niego koronacja wzmogła ich narodową świadomość, więc z chwilą gdy zmarł, wolni od ciężaru jego władzy, stali się już otwarci nam wrody. A ponieważ w przeważającej liczbie to schizmatycy, a zatem nie dopuszczani z tego powodu do godności i urzędów, widzieli w Świdrygiełły, sprzyjającemu schizmie, a zawsze wrogiemu Witoldowi i

Polisce, władcę spełniającego ich dążenia i nadzieje. Toteż król nie tylko z miłości do młodszego brata, ale i pod ich presją przesłał Świdrygielle do Trok pierścień wielkksiążęcy i nominację na zarządcę Litwy.

— Cesarz Zygmunt dobrze wiedział, co robi, wciskając Witoldowi koronę na głowę... — mruknął Jaks.

— Słyszałem, że książ nieomal uwięził króla, obsadzając wileński gród własną załogą, a nawet rozstawił strażę w samym zamku. Po co to uczynił, skoro Jagiełło obdarzył go wielkksiążęcą godnością? — spytał Czarny.

— Były po temu dwie przyczyny. Pierwsza, to nie tylko sprzeciw królewskiej Rady wobec tej nominacji, ale i żądanie wcielenia Litwy do Korony, co nadal wykluczało dostęp schizmatyków do wszelkich godności. Toteż nieomal wszyscy obrócili się teraz przeciw królowi i Polakom. Drugą zaś była decyzja Jagiełły, którą oznajmił Świdrygielle podczas uroczystości pogrzebowych. Otóż nie mogąc już cofnąć nominacji, król uległ na tyle swojej Radzie, że odmówił kniaziowi pełni praw, jakie miał Witold. Ustanowił go jedynie zarządcą Litwy zależnym od swojej decyzji i woli. To najbardziej rozsierdziło Świdrygiellę i jego otoczenie.

— Mówicie, wasza wielbność, jakoby i Świdrygiello był schizmatykiem — wtrącił Czarny. — Ale przecież jest on katolikiem, na

chrzcie dostał imię Bolesława i ponoć sam praktykuje, a w sprawach wiary zasięga nawet opinii papieża...

— To prawda... — przyznał proboszcz. — Toteż jest w nader trudnym położeniu. Ostatnimi laty, kaptując sobie ruskich księży, nie okazywał, a nawet maskował swą prawdziwą wiarę, mianując się obrońcą schizmatyków. Z drugiej zaś strony, w stosunkach z Zachodem, głównie z papieżem, cesarzem i Krzyżakami, podkreślał swą wierność rzymskiemu Kościołowi. I tak na Wschodzie uchodził za schizmatyka, dla Zachodu zaś był szczerym katolikiem, którym w gruncie rzeczy chyba jest. Ta polityka przynosi mu teraz owoce, bo litewscy bojarzy widzą w nim obrońcę i wodza, a cesarz i Zakon sojusznika, jakiego można popierać bez narażenia się na zarzut wchodzenia w układy z heretykiem.

— Z tego, com słyszał, widzę, że król jegomość znów okazał słabość i brak zdecydowania. Najpierw uległ skłonności serca i namowom litewskich bojarów, a potem protestom naszych panów i mocno okroił ów kawał pieczeni podany bratu...

— No cóż, nie pierwszy to raz znalazł się w rozterce między umiłowaniem własnej ojczyzny a dobrem kraju, którym rządzi. Musi ulegać i ulega naszej racji stanu, pilnie strzeżony przez Radę z Oleśnickim na czele, bo zbyt ważkie przemawiają za jej głosem sprawy. Z drugiej wszakże, gdzie może osłabia na korzyść Litwy działania koronnych panów. Wszakże jednego trzyma się twardo i nieustępliwie — swojego dziedzicznego prawa do Litwy.

— Wydaje mi się, że cesarz Zygmunt dobrze orientuje się w tej rozterce pomiędzy miłością a obowiązkiem, jakiej ulega nasz pan... — w zamyśleniu rzucił Czarny — I z istic szatańską chytryością ową rozterkę wykorzystał...

— Głównym jego celem było poróżnienie Jagiełły z Witoldem, co osiągnął. Dlatego chełpił się potem, że rzucił między dwa psy kość, o którą się poźrą...

— Istotnie, nasza unia wisi teraz na włosku, i to całkiem cienkim... — zgryźliwie uzupełnił Jaks.

— Świdrygiello nie będzie mocen jej zerwać! — z zaciętością mruknął Hubert.

— Wszystko zależy od tego, jak dalej Bóg pokieruje sprawami... — zauważył ksiądz Andrzej z troską w głosie.

— Mocno Świdrygiello musi czuć się w siodle, skoro przedsięwziął tak hazardowe poczynania.

— Przywiódł ze sobą kilkuset żołnierzy, ale głównie opiera się na swej popularności wśród bojarstwa. Liczy też na cesarza, u którego, jak nam wiadomo, jeszcze latem zabiegał o poparcie, stoją też za nim wszyscy książęta ruscy. Psków i Nowogród już obiecały mu wsparcie. Znosi się także z tatarskim chanem Achmatem i ma od niego zapewnienie pomocy...

— No i Zakon chyba także go wesprze?

— Jak dotąd, Russdorf trzyma się na uboczu. Na razie przysłał Gabriela Burzyńskiego, pana z ziemi chełmińskiej, jako swego stałego posła przy kniaziu. Widać nie jest jeszcze pewny losów Świdrygiełły, gdyż znając jego prostactwo i nieopatrzność zapalczywość wątpi, czy sprosta on wymogom swej nowej godności. Wie także, że ważne są dotąd między nami postanowienia melneńskiego pokoju i liczy się z naszą wojskową przewagą. Wszakże naciskany z jednej strony przez cesarza, z drugiej przez Świdrygiełłę, chwilowo kluczy i czeka, jak potoczą się zdarzenia.

— Skoro książę sam niezdolny sprostać tak ważnej godności, może ma chociaż dobrych doradców?

— Wątpię, by głupi człek umiał ocenić mądrość innych. Marszałkiem nadwornym jest Jerzy Gasztołd! Funkcję kanclerską pełni Fedko Kozłowski, sekretarzuje niejaki Marcinek, do przybocznej rady ze znaczniejszych należą kniaziowie: Michał Baba, Wasyli Potocki, Michał i Jerzy Czartoryscy, Olelko. Jest też przy nim jego ulubieniec i bratanek, książę Jerzy Lingwenowicz, ale zdaje się, że większej roli nie odgrywa. Niestety, na jego stronę przeszło i kilku Polaków, z rozmaitych przyczyn nieprzychylnych Jagielle, jak Zaklika Tarło czy Mikołaj Zakrzewski...

— Sądząc po dobrym rozeznaniu waszej wielebności, przeszli i tacy, którym to nakazano? — rzucił żartobliwie Czarny.

Ksiądz Andrzej zamiast odpowiedzi uśmiechnął się nieznacznie, ale, nie podejmując tego tematu, mówił dalej:

— Tak oto w czasie waszej nieobecności nastąpiły wydarzenia wielkiej wagi. Wszakże najważniejszym z nich, poza śmiercią Witolda, jest uwięzienie króla i jego dworu przez księcia Świdrygiełłę. Ten niesłychany postępek tego opoja, nieobliczalnego w gniewie, tak rozzuchwalił bojarstwo, że zażądało, by zabił króla i wyciął cały jego dwór. Wszakże Świdrygiełło, choć

ograniczonego umysłu i nieograniczonej zapalczywości, pojął, czym mu grozi taka decyzja. Wie dobrze, że u nas nawet bez wici kto żyw porwałby za broń i biegł szukać pomsty. Do wojny zaś nie jest gotów, sprzeciwił się więc owym zamysłom i zabronił nawet o tym gadać. Nie wiadomo jednak, czy i nadal utrzyma wodze w garści, a książęta na własną rękę nie wykonają zamierzenia. Toteż zwiędziawszy się o tym, sypiamy z bronią przy boku i pod pieczęć własnych straży.

— Za nogi bym zdrajców powywieszał! — warknął Hubert nie mogąc opanować gniewu.

— Wpierw dostań ich w ręce... — upomniał go ksiądz Andrzej.

— Podobny zamiar istotnie mieli nasi dworacy. Mam u siebie młodego kapłana Drzewieckiego, który, tak jak i wy, jest mi pomocny. Zmówił się z równie jak on młodym królewskim dworzanie, Andrzejem Tęczyńskim. Umyślili zebrać ochotników, by wyciąć załogę zamku, obwarować się i wezwać z kraju odsiecz. Chcieli nawet zwać samego Świdrygiełłę i trzymać go jako zakładnika. Zamysł ten podchwycili inni, natomiast pan kasztelan sieradzki Zaręba, człek wielce przebiegły i obrotny, rzecz ujął w swoje ręce i objął przewodnictwo nad spiskiem. Zaczęli przemyślać, jakim sposobem sprawę doprowadzić do pomyślnego skutku, a kiedy już plan mieli gotowy, przedłożyli go miłościwemu panu z prośbą o udzielenie zgody, bez której kasztelan wolał tak ważnego przedsięwzięcia nie podejmować. Wszakże miłościwy pan ani słyszeć o tym nie chciał. I to nie w obawie o

własną głowę, bo braku odwagi w całym swoim żywocie ani razu nie okazał, ale oświadczył, że Świdrygiełło jednak zgody na taką ohydę nie dał, toteż niech od niego nie żądają, by postąpił inaczej.

— Tak tedy pozostało z obu stron po dawnemu. Świdrygiełło nachodzi nadal miłościwego pana, łząc go i grożąc, że wszystkich, nie wyuczając jego samego, przykaże wtrącić do lochów. Nasi więc, wstrzymani przez króla, jeno zębami w bezsilności zgrzytają i tajnych gońców co i raz ślą do kraju. Ale jak mi wiadomo, kniaź drogi wszędzie poobsadzał, baczy pilnie, by nawet mysz się nie przemknęła, toteż większość połapał i kazał obwiesić.

— Nikt wszakże nas nie nagabywał, chociaż istotnie spotkaliśmy zbrojnych — zauważył Czarny.

— Bo baczą głównie na wyjeżdżających z miasta. Także wozów kupieckich czy chłopskich nie zatrzymują, bo inaczej wnet brakłoby żywności...

Ksiądz Andrzej urwał i obrócił wzrok na Czarnego.

— To wskazówka dla was, mości Hubercie — dorzucił z powagą.

— Pouczyłem o tym także gońca, któregom wysłał po was, dlatego przemknął szczęśliwie. Teraz pora już, abys się dowiedział, dlaczego cię wezwałem.

— Wyznaję, żem czekał z ciekawością, kiedy do tego przyjdzie... — Czarny uśmiechnął się.

Proboszcz odpowiedział mu jednak z powagą:

— Brat Erazm zniknął. Chcę zatem, abys jechał bez zwłoki do zakonnego państwa i zbadał, co się z nim stało? I jeśli żyw, a dostał się tylko w krzyżackie ręce, udzielił mu pomocy.

— Skąd to wiadomo?! — zawołał gwałtownie Czarny, poruszony tą wiadomością.

— Parę dni temu przybył jego człowiek z tą wieścią i czeka tu na ciebie. Będzie ci pomocny na miejscu, bo zna tam ludzi i ostatnie poczynania brata Erazma.

Jesienne chmury, nabrzmiałe deszczem i ponure szarością, wisały nad wileńskim zamkiem. Równie ponury panował w nim nastrój. Na murach czuwała litewska załoga, litewscy wojownicy pełnili też straż przy bramach. Kniaź Świdrygiełło jeszcze w czasie uroczystości nagłą napaścią opanował Troki, Kowno i inne grody, gdzie znajdowały się również polskie załogi, które uwięził.

To samo ośmielił się uczynić z osobą królewską i całym jej dworem. Zamknięci za zamkowymi murami król i wielmoże koronni musieli uśmierzyć gniew i oburzenie wobec zbrojnej przemocy. Daremnie jednak radzono nad sposobami przeciwstawienia się doznanemu gwałtowi. Uknuto wprawdzie śmiały plan pojmania, a nawet zgładzenia Świdrygiełły, ale wobec sprzeciwu króla musiano go poniechać.

Jedyne, co udało się osiągnąć natychmiast po otrzymaniu pierwszych wieści o zajmowaniu przez Świdrygiełłę pobliskich grodów — i to dzięki szybkiej orientacji kanclerza — było wysłanie gońca do krzemienieckiego biskupa Pawła i przychylnych Koronie podolskich księży. Powiódł on rozkaz

uwięzienia tamtejszych starostów i opanowania zamków, by nie pozostały w rękach buntowników. Polecenie dotarło na czas, wyprzedziwszy wieści o zamachu Świdrygiełły, toteż biskup Paweł zdążył przekazać je kniaziom Buczackim, Kruszynie z Galowa i Hryćkowi Kierdejowiczowi. Ci zaś, naradziwszy się, zaprosili do Krzemieńca tamtejszego starostę z ramienia Litwy, wileńskiego wojewodę Dowgierta, i uwięziwszy go, opanowali Krzemieniec, a także zamki Smotrycza, Skały i Czerwonogrodu. Jedyne wyprawa na Włodzimierz i Łuck nie

powiodła się, gdyż jako położone bliżej Wilna już dowiedziały się o zasłanych tam wypadkach i odmówiły otwarcia bram koronnym oddziałom.

W wielkiej sali jadalnej wileńskiego zamku, zdolnej pomieścić ponad stu biesiadników, skończył się południowy posiłek. Pacholcy sprząkali ostatnie naczynia, obnosili miski z wodą i ręczniki do wytarcia rąk, inni zaś stawiali dzbany z miodem, gdyż król jegomość zwykł po posiłku nie od razu wstawać od stołu. Lubił prowadzić jeszcze rozmowy korzystając, że ma przy sobie koronnych dygnitarzy.

Siedzieli więc obok królewskiej osoby: Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski i kanclerz, jego brat Jan, wielki marszałek koronny, Jan Szafraniec, biskup kujawski, Dobek, kasztelan wojnicki, Władysław Oporowski wicekanclerz, Wawrzyniec Zaręba z Kalinowej, kasztelan sieradzki, Jan Koniecpolski, także członek królewskiej Rady, a poza nimi Domarat, marszałek nadworny, Piotr Madaliński, skarbnik królewski, Jan Mężyk z Dąbrowy, wojewoda lwowski, Jan z Lichnia, wojewoda brzeski, znamienici rycerze i wojskowi dowódcy, jak Mszczug Skrzyński czy Dzierżław Włostowski, a także i mniej znaczeni, ale z racji pełnionych obowiązków bliscy królowi bądź sprawom koronnym. Wśród nich znajdował się i ksiądz Andrzej, młody jeszcze pieczętarz królewski ksiądz Mikołaj Drzewiecki, wreszcie liczni dworzanie — Andrzej Tęczyński, Mikołaj Bruchring z Szadka, Augustyn z Urbańczy i inni. Nie brakło i imć Holeszki, który zajmował wszakże pośledniejsze miejsce u krańca stołu.

Toteż salę wypełniał gwar rozmów niczym buczenie pszczelego roju, choć nikt głosu nie podnosił, a przeciwnie — troska i niepewność panujące wśród zebranych ściszały wypowiedzi. Nie słychać też było zwykłych śmiechów czy wesołych okrzyków.

Jagiełło zajmując miejsce w środku stołu nie ujmował za napełniony kielich, gdyż tak jak i Witold stronił od trunków. Sięgnął jedynie ku łubianym gruszkom, piętrzącym się na misie, i Wybrawszy dorodniejszą, z wolna obierał ją nożem, bo stare zęby nie umiały już dać sobie rady ze skórką. Siedzący obok kanclerz nachylił się do króla:

— Obyś, najjaśniejszy panie, co rychlej spożywał owoce z krakowskich sadów! Te gorzki mają smak...

Jagiełło skinął głową i odpowiedział swym niskim, chropawym głosem:

— Gruszki długo leżeć nie mogą, toteż wielkiej nadziei na to nie mam.

W odpowiedzi na tę gorzką uwagę biskup Szafraniec upił nieco miodu i odstawiając kielich westchnął:

— Nie traćmy, miłoścy panie, wiary w Boską opiekę. Ciężko nas doświadcza, to prawda, ale przecież kniaź do opamiętania dojdzie...

— Bóg nieskory pomagać tym, co założywszy ręce, czekają na jego wsparcie — wtrącił zgryźliwie siedzący w pobliżu kasztelan sieradzki Zaręba, człowiek bystrego rozumu i przebiegły niczym lis. Wszakże jego pełne, zawsze uśmiechnięte oblicze wcale tego nie zdradzało.

— Cóż moglibyśmy innego uczynić, jak gońców do kraju śłać z żądaniem sukursu — oświadczył kanclerz Oleśnicki.

— Mogliśmy, Wasza Eminencjo, mogliśmy... — kasztelan pokiwał głową. — Ale nie dopuściliście, by król jegomość zgody udzielił...

— Szalony isticie był to zamysł, kasztelanie! — oburzył się Oleśnicki.

— Jeden cios miecza przeciąłby tę wątlą nić, jaka jeszcze nas wiąże z litewską bracią! Aby imać się oręża, trzeba mieć w nim przewagę, a nie wdawać się w bezmyślny hazard!

— *Bezmyślnym hazardem nazywacie jedyny sposób ratunku?! — parsknął gniewnie kasztelan.*

— *Tak, gdyż narażaliście nie własne skóry, bo nie o nie mi chodziło, a głowę Majestatu! Mieliby bojarzy iście dobrą sposobność, by spełnić swoje zamysły! Toteż dopóki fortuna losu nam nie odmieni, innych trzeba imać się sposobów! Musimy wdać się w układy!*

— *Gadać? — prychnął Zaręba. — Ale z kim? Z tym szalonym człowiekiem, którego nienawiść i żądza zemsty równe są głupocie?*

— *Posłaliśmy też do kraju gońca, i to niejednego, z wieściami i wezwaniem pomocy!*

— *Z nich chyba ani jeden do celu nie dotarł!*

Kanclerz obrócił się w stronę, gdzie siedział ksiądz Andrzej.

— *Co o tym sądzicie, wielebny proboszczu?*

Ksiądz odpowiedział po chwilowym namyśle:

— *Należy przyznać słuszną panu kasztelanowi — ale tylko co do pierwszych. Tych istotnie spotkał srogi los, wszakże świadomi już niebezpieczeństwa, staliśmy się ostrożniejsi. Sądzić zatem należy, że wkrótce kraj będzie wiedział, co zaszło...*

Kanclerz przyjął to oświadczenie z wyraźną ulgą, ale już nie zdołał zabrać głosu, a i gwar rozmów prowadzonych przy stole nagle ustał i w sali zapanowała raptowna cisza. Spowodowały ją rytmiczne stąpania licznych nóg. Dochodziły z korytarza wraz ze szczęką broni i gniewnymi okrzykami, wśród których wyróżniał się huczący bas Świdrygiełły.

Porwali się wszyscy od stołu, wrywając miecze i szable z pochew. Zaraz też drzwi otworzyły się z hukiem i istotnie ukazał się w nich książ z poczerwieniałą od gniewu twarzą i wściekłością w gorejących obłędem oczach.

Za nim pojawiło się kilku litewskich wielmożów, kanclerz książęcy Fedko Kozłowski, marszałek jego dworu Iwaszko Gasztołd, a także i zakonny poseł Burzyński. Ale znacznie bardziej złowroźny był zastęp zbrojnych postępujący za dostojnikami, dzierżący w rękach łuki z założonymi strzałami.

Sklepienie sali odbiło echem wrzask Świdrygiełły.

— *Ty lisie, przeniewierco i kłamco! — krzyczał w królewskie oblicze.*

— *Przekazałeś mi godność wielkksiążęcą, kryjąc w zanadrzu zdradę! Ale przyszła godzina porachunku! Zapłacisz mi teraz za moich dziewięć років więzienia, za wyzucie z praw dziedzicznych, za śmierć Skirgiełły, za moją poniewierkę i krzywdy! A wy, pany — zawołał do reszty dostojników i dworzan, skamieniałych ze zgrozy wobec tak niesłychanej obrazy majestatu — pochowajcie miecze, bo przykażę odpuścić cięciwy!*

Obrócił się za siebie i wrzasnął:

— *Dawać kajdany! Niech obaczą, co ich czeka!*

Ruszyło kilku pachołków z naręczami łańcuchów i rzuciło je z brzękiem na ziemię.

Na ten widok wyskoczył zza stołu Mszczug ze Skrzynnej wołając do towarzyszy:

— Panowie bracia, broni nie chować! A ty każ strzelać wprzód do mnie, jeśli Boga nie czujesz nad sobą!
Wszakże pamiętaj o jego gniewie, który cię za ten mord dosięgnie!

Świdrygiełło, zaskoczony tym objawem determinacji, wprawdzie nadal mierzył stojącego przed nim rycerza wściekłym spojrzeniem, ale widać było, że waha się i namyśla. Tkwiące w głębi duszy tchórzostwo wobec oporu wstrzymywało go od powzięcia decyzji. Tę chwilę wahania wykorzystał kanclerz Oleśnicki, odzywając się z powściąganym wzburzeniem:

— Zanim wydasz rozkaz do bratobójczej walki, może wprzód powiesz, jaką to znalazłeś przyczynę, by tak niecne słowa rzucać swemu panu i władcy?

— Nie mój on władca, skoro dzierzę go w rękach! A że zdrajca i przechera, tom się jeszcze raz dowiedział od putnika, którego właśnie wieści mi przyniósł, że Krzemieniec i inne zamki na jego rozkaz Buczacki załogami waszymi obsadził; a mego starostę uwięził! Dość mam tedy jego matactw, niech w lochu, jako ja siedziałem, także posiedzi, Bogu dziękując, jeśli głowę ocali!

— Skoro o podolskie zamki rzecz idzie — już spokojnie i z zupełnym opanowaniem odpowiedział Oleśnicki — to bez wiedzy miłościwego pana do tego przyszło, gdyż jam taki rozkaz wystąpił, jako że Podole książę Witold tylko dożywno we władanie otrzymał!

Świdrygiełło zmierzył kanclerza nabiegłymi krwią oczami.

— Ty? Bez królewskiego rozkazu ośmieliłeś się to uczynić?! — zawiesił głos, nadal pełen wściekłości.

— Jakem rzekł... — potwierdził Oleśnicki.

Dopiero teraz odezwał się Jagiełło, który jako jedyny nie powstał ze swego miejsca. Ze zmarszczonym czołem spoglądał jakiś czas na stojącego pośrodku komnaty kniazia, wreszcie przemówił, wolno odmierzając słowa:

— Skoro wiemy, w czym rzecz, a tyś dowiedział się, jak do tego przyszło, chyba byłoby dobrze, abyś porzuciwszy gniew i groźby, które miotasz, raczej zasiadł do stołu, by spokojnie rzecz rozważyć i szukać nie w orężu, a w rozmowie braterskiej zgody...

Zaskoczony tymi pojednawczymi słowami i szczerą troską, jaka w nich zabrzmiała, Świdrygiełło milczał chwilę, po czym obrócił się do swego

kanclerza, chcąc widocznie wysłuchać jego rady, kiedy od końca stołu, gdzie siedział Holeszko, rozległy się donośnie rzucone strofy:

Patrzcie, oto lew zerwał się z uwięzi

łańcuchy przywłókł, o kaźni nam głądzi

Widać własny tyłek nie licho go swędzi...

W ciszy, jaka nastąpiła po tym wierszowanym komentarzu, mimo trwającego wciąż napięcia, tu i ówdzie rozległ się cichy chichot, zapewne co młodszych dworaków. Natomiast Świdrygiełło, widać rad, że znalazł wyrękę od odpowiedzi, cały gniew obrócił teraz ku niepozornemu z wyglądu śmiałkowi:

— Ktoś zacz jest, błaźnie?! — wrzasnął.

— Po co pytasz, skoro wiesz? — odpowiedział Holeszko kpiąco.

— Nazwałś mnie prawdziwie. A skoro nie pamiętasz, ktom taki, to ci przypomnę: istotnie z łaski miłościwego pana jegom nadworny trefniś, Holeszko, także i do twoich usług gotowy...

— W dyby go! — krzyknął do swojej asysty Świdrygiełło. — Sto batów niech mu przypomni, ktom jest!

Nieoczekiwanie powstrzymał kniazia krzyżacki poseł Burzyński.

— Nie godzi się, by władca baczył, co gada błazen, wasza książęca mość! Od tego przecie oni są...

Świdrygiełło skwitował tę uwagę lekceważącym skinieniem ręki, które powstrzymało żołnierzy zdążających już ku Holeszce. Jednak jego wystąpienie w znacznej mierze rozładowało początkowe napięcie. Skorzystał z tego książęcy kanclerz Kozłowski, zwracając się do Świdrygiełły:

— Sądzę, wasza wysokość, że możemy wysłuchać, co chce nam zaproponować Jego Królewska Mość...

— Niech więc przybędzie do mnie za dwie godziny — zdecydował książę. — Daremna to będzie łaska, bo wysłuchamy jeno nowych kłamliwych obietnic, niczego więcej! Ale mamy czas, łańcuchy nie zardzewieją!

— Nie ja będę chodził do ciebie, panie bracie — odpowiedział na to oświadczenie król — lecz ty przybędziesz do mnie. Ty albo twoi posłowie. Starszeństwo mego wieku i godność tego wymagają!

Świdrygiełło roześmiał się urągliwie.

— Zawsze byłeś uparty! Ale niechże tak będzie, jak chcesz! Zatem za dwie godziny stawią się u ciebie moi wysłannicy i albo oddasz mi zamki, albo poczujesz ciężar tych łańcuchów, które tu widzisz!

— Groźbami mnie nie nastraszysz... Pamiętaj, że może przyjść dzień, w którym znów będziesz zabiegał o moją łaskę! Fortuna to kapryśna pani, bacz, by cię nie zwiódła...

— Dziś wszakże ty błagaj, aby tobie była przychylna! — urągliwie roześmiał się książę obracając się ku drzwiom.

Mimo tych pogroźek, już w kilka dni potem doszło do porozumienia. Świdrygiełło ograniczył straż na wileńskim zamku, król odzyskał w znacznym stopniu swobodę ruchów, mógł nawet korzystać z polowania. 7 listopada wymieniono w Trokach dokumenty o tymczasowym zawieszeniu broni, jakby wojna już wybuchła, ustalono termin zjazdu obu stron na dzień 15 sierpnia przyszłego 1431 roku dla ułożenia warunków trwałej przyjaźni obu krajów. Król zobowiązał się wystawić listy nakazujące przekazanie podolskich zamków w ręce litewskich starostów, z tym wszakże zastrzeżeniem, że ostateczne rozstrzygnięcie ich przynależności nastąpi na owym zjeździe. Gdyby natomiast do ugody nie doszło i grody owe miały być przekazane w polskie ręce, Litwie wolno będzie dochodzić swoich praw sposobami, jakie uzna dla siebie za najlepsze.

Po wymianie tych dokumentów stosunek Świdrygiełły do króla zmienił się zupełnie. Podczas uczyty wydanej na zakończenie pertraktacji pił jego zdrowie, prawił grzeczności i zapewniał, że mimo wybuchowej natury zawsze widział w nim swego brata i nie odmawia praw wynikających z jego starszeństwa i moralnej godności. Wreszcie, podchmieliwszy już sobie dobrze, ofiarował mu ogromną na ówczesne czasy sumę tysiąca stu srebrnych rubli.

Był to dar iście królewski i tak znaczny, że wkrótce powiózł go osobiście do kraju Jan Oleśnicki, wielki marszałek koronny, pod strażą znacznego oddziału polskich rycerzy.

Mimo tak wielkich oznak serdeczności król znał Świdrygiełłę zbyt dobrze, by wierzyć w ich szczerość. Toteż pan marszałek koronny otrzymał przed wyjazdem sekretne polecenie zawiadomienia Rady, że król nie czuje się wolnym i prosi o wszczęcie odpowiednich kroków dla umożliwienia mu powrotu.

Jednocześnie kancelaria królewska przystąpiła do opracowania pisma zawiadamiającego księcia Michała Buczackiego o zawartej ugodzie wraz z rozkazem wydania zajętych zamków księziowi Michałowi Babie, który w tym celu przybywa wraz z królewskim posłem, a także zwolnienia wszystkich uwięzionych Litwinów z wojewodą Dowgiertem na czele.

Na życzenie Świdrygiełły pismo to miał zawieść Zaklika Tarło ze Szczekarzowa, o którym książę wiedział, że jest mu przychylny.

Wszakże z doraźnej wartości zawartego porozumienia i wątpliwej szczerości Świdrygiełły — czego dowodziły owe nagłe objawy serdeczności, jak i bogata darowizna — zdawał sobie sprawę i król, i otaczający go panowie.

Zaważyło to na czynnościach kancelarii, która pod pozorem uzgodnienia treści królewskiego rozkazu z litewskimi panami nie kwapiła się z wystawieniem dokumentów. Były zresztą po temu i inne powody. Przeciąganie sprawy wszczął wicekanclerz Oporowski, od początku przeciwny ugodzie. Z natury uparty i zawzięty, trwał przy swoim, tym bardziej że miał wielu popleczników z Szafrąncem i Zarębą na czele. Oburzali się nadal na ustępliwość króla i obmyślali nowe sposoby wyjścia z opresji. Głosy te były tak silne i powszechne, że szybko dotarły do uszu kanclerza.

Ksiądz Andrzej za dobrze wiedział, co dzieje się na dworze, by zdziwić się, kiedy pewnego ranka ujrzał na progu swej pracowni Jego Eminencję biskupa, kanclerza koronnego Oleśnickiego. Nie okazując zaskoczenia wstał z za stołu i, skłoniwszy się przed dygnitarzem, czekał na wyjaśnienie przyczyny zaszczytu, jaki go spotkał.

— Woląłem przybyć osobiście rozpoczął kanclerz po powitaniu, by nie zwracać zbytecznej uwagi na naszą rozmowę, co miałyby miejsce, gdybym wezwał was do siebie. Siadajcie, proboszczuj spoczną także... — dorzucił lokując swą masywną postać w jednym z foteli.

Kiedy ksiądz Andrzej, wciąż milcząc, usłuchał przyzwolenia, kanclerz przesunął po jego twarzy zamyślonym spojrzeniem i odezwał się:

— Jestem ciekaw waszego sądu o powstałej sytuacji.

— Wasza Eminencja ma na myśli zawartą ugodę?

Oleśnicki skinął głową.

— No cóż... W obecnych warunkach uważam ją nie tylko za słuszną, ale i konieczną. Tym bardziej że nie narusza naszych koronnych praw do spornej

ziemi, nie zamyka drogi dalszym rozstrzygnięciom i daje obu stronom możliwość powzięcia w przyszłości dowolnych decyzji. Te zaś będą zależne od ówczesnego układu sił. Zyskujemy więc przede wszystkim na czasie, a to w obecnej chwili jest najważniejsze.

Kanclerz uśmiechnął się z aprobatą.

— Rad jestem słysząc ten pogląd, bo do tego właśnie zdążyłem!

Wszakże skoro ugoda została zawarta, uczciwość każe dochować jej warunków. Jednak niektórzy z naszych panów nie mają takich skrupułów i oponują przeciw królewskiej woli! I obyż tylko to! Już knują nowy spisek, aby ugodę zerwać, rozgrzeszając sumienie dotychczasowymi postępkami Świdrygiełły, który dotrzymuje przyrzeczeń tylko wtedy, gdy ma nad głową miecz! Jeśli go brak, łamie wszelkie pakta i za nic ma najbardziej uroczyste przysięgi!

— *Tak jest w istocie i nie sądzę, aby zmienić swą naturę. Wszakże to nas nie rozgrzesza, a stawia na równi z przeniwiercą.*

— *W tym rzecz, księżę proboszczu! Ale są to wymogi zwykłej, ludzkiej uczciwości i mego duszpasterstwa! Wszakże pełnię i inną godność, a ta dotyczy polityki... A polityka, jako i wasza służba, częstokroć musi przedkładać dobro stanu nad wymogi sumienia...*

Z kolei ksiądz Andrzej uśmiechnął się na tę wypowiedź kanclerza.

— *To prawda. Wszakże tylko wtedy, gdy nie ma innego sposobu na opanowanie sytuacji. A i ta musi być wówczas dostatecznie groźna.*

— *Czy w obecnej taki sposób widzicie? Czy .mamy środki na ukrócenie knozań? Nie dostrzegam siły, którą mógłbym przeciwstawić oponentom! Niewielu bowiem jest rozumiejących nasze położenie!*

Na twarzy proboszcza znów ukazał się przelotny uśmiech, a w spojrzeniu, jakie rzucił dygnitarzowi, zadrgała iskra rozbawienia.

— *Czyżby Wasza Eminencja w skrytości serca sprzyjał buntownikom?*

Gniewnemu ściągnięciu brwi kanclerza towarzyszył równie gniewny ton odpowiedzi.

— *To zbytek ciekawości, wasza wielbność! Chyba nie ośmielicie się sądzić, że jako pierwszy w Koronie strażnik prawa i sprawiedliwości byłbym zdolny do zamykania oczu na jego łamanie?*

— *Właśnie ośmielam się tak sądzić, Wasza Eminencjo* — stwierdził ksiądz Andrzej.

Oleśnicki zmrużył powieki i chwilę przyglądał się proboszczowi z surową przenikliwością.

Do czego zmierzacie? — spytał wreszcie zaskakująco spokojnie.

— *Do przedstawienia Waszej Eminencji mego poglądu na powstałą sytuację, o co pytałiście, i uzyskania jego aprobaty dla dalszego działania.*

— *Mówcie zatem...*

— *Król jegomość podpisał ugodę, której są przeciwni nie tylko członkowie Rady, ale i inni dygnitarze. Zbyt bowiem są wzburzeni dotychczasowym niecnym postępowaniem kniazia i jego bojarów. Ja także nie wierzę, by warunki ugody zostały przez Litwinów dotrzymane, zwłaszcza że dobrowolnie zwrócą czasowo przejęte grody. Stąd oponenti knują spisek w celu utrzymania Podola w swoich rękach. Jednak wątpię, czy starczy im przebiegłości, a zwłaszcza doświadczenia, by niczym się nie zdradzić. Wątpię też, czy wiedzą, że tak jak my mamy swoich ludzi przy Świdrygielle, tak z całą pewnością i on ma swoich wśród naszego dworu.*

— *Co więc zamierzasz? Jak mają się ustrzec przed tą groźbą? — już z wyraźnym przejęciem zapytał kanclerz, potwierdzając tym, że domysł proboszcza co do jego skrytych myśli był słuszny.*

— *Zamierzam, Wasza Eminencjo, przyłączyć się do nich, by przydać swoich ludzi, o których wiem, że będą dostatecznie ostrożni i zdołają zadania należycie wykonać.*

— *A więc i wasza wielbność chciałaby nie respektować naszych podpisów?*

— *Z konieczności. Wasza Eminencjo! Za wszelką cenę należy ograniczyć niebezpieczeństwo wykrycia spisku, aby uchronić Jego Królewską Mość od losu, jaki mu wówczas by groził! Nie mówiąc już o głowach naszych panów, z*

których niejedna by spadła. Skoro nie jesteśmy w stanie stłumić spisku, należy go wesprzeć — oto mój sąd o sprawie.

Oleśnicki uniósł się z wolna z fotela i w milczeniu parokrotnie przemierzył komnatę. Wreszcie zatrzymał się przy stole, za którym nadal siedział proboszcz, zaciśniętą pięść wsparł o blat i rzucił cicho, spoglądając z powagą na księdza:

— Czyń, co uważasz za niezbędne, ale o niczym nie chcę słyszeć! Naszą rozmowę uważaj za niebyłą.

— Jeśli to ma uspokoić sumienie Waszej Eminencji...

— Księżę proboszczu, bo mnie rozżościsz! — mruknął Oleśnicki skinieniem głowy kończąc rozmowę.

Po wyjściu kanclerza ksiądz Andrzej przez dłuższy czas siedział głęboko zamyślony. Zadanie, które go czekało, bardziej kładło się ciężarem na barki niż wszystkie, jakie dotychczas zdarzyło mu się podejmować, nie wyłączając owych pełnych napięcia czasów, poprzedzających Wielką Wojnę.

Ale nawet wówczas złe rozeznanie lub mylną ocenę można było naprawić, istniała możliwość uniknięcia skutków omyłki przez zmianę działań czy wojennych planów.

Teraz brał na sumienie odpowiedzialność za życie nie tylko najwyższych dygnitarzy królewskich, ale i samego monarchy. Od sprawności i bystrości ludzi, którzy mieli wykonywać jego polecenia, zależało poza bezpieczeństwem państwowych dostojników przede wszystkim życie królewskiej osoby, i to nie tylko jako człowieka i władcy, ale uosobienie politycznej idei. A to nasuwało mu obraz głównego sprawcy, inicjatora i twórcy powstałej sytuacji, takim brzemieniem obarczającej mu myśli. Ów wróg, mimo że daleki, potrafił podać truciznę, której słodki smak zwiódł upatrzone ofiary, zdołał, niby pająk, opleść ich siecią i teraz tylko czekał ze zjadliwą radością, kiedy pozbawionych sił będzie mógł dobić.

Po południowym posiłku polecił Jaksie, by wraz z księdzem Drzewieckim stawili się u niego. Kiedy przybyli, powitał ich skinieniem głowy, złożył splecione dłonie na blacie stołu i w milczeniu przyglądał się im, jakby chciał ocenić, z kim przyszło mu prowadzić rozmowę.

Wreszcie zwrócił się do księdza Drzewieckiego:

— Czy wreszcie ustalili, co zamierzają przedsięwziąć wobec zawartej ugody?

Drzewiecki domyślił się, kogo proboszcz miał na myśli, gdyż już w poprzednich rozmowach padały nazwiska przywódców spisku: Olszowskiego, Zaręby, biskupów: Szafranca — kujawskiego, i Macieja — wileńskiego.

— Umyślili zawiadomić Buczackiego, że uwięziony król jeno pod przymusem daje rozkaz przekazania grodów, toteż nie ma być temu poleceniu posłuszny, a sposobić się do obrony.

— Hm... Tego się obawiałem... Któremu z Buczackich chcą dać owo polecenie? Jest ich bodaj trzech?

— Michałowi. On ma wśród braci największy mir.

— Jak zamierzają tego dokonać?

— Nad tym właśnie radzą. Niektórzy są za wciągnięciem do sprawy Tarły, ale Zaręba temu przeciwny.

— Ma rację kasztelan, bo to istne szaleństwo! Tarło oddany wprawdzie królowi, ale i nie wróg kniaziowi. Dlatego ten zgodził się, by posłował do Kamieńca. Toteż Zaklika poczytywałby to za zdradę jednego i drugiego i niechybnie doniósł, jeśli nie Świdrygielle, to na pewno miłościwemu panu!

— Takiego mniemania jest Zaręba, a i Oporowski chyba także. Dlatego wstrzymują jak mogą wygotowanie pisma i rozważają, czy nie wysłać osobnego gońca.

— Wiedzą chociaż, jak uchronić go przed groźbą pojmania?

— W tym właśnie rzecz, że dopiero nad tym debatują.

Z kolei proboszcz zwrócił się do Jaksy:

— Co mi powiesz o owym dozorczy, jakże mu tam... bodaj Rogoży? Jest z niego pożytek?

— Sprytniejszy i bardziej obrotny niż Oblucki, bo z Tielegi wielkiej korzyści nie ma. Wszakże najwięcej pociechy mam z jednego z Czartoryskich, Iwana. Widać umyślili zabezpieczyć przyszłość rodu stojąc jeden za kniazem, drugi za królem...

— To jednak dobrze, gdyż bliższy osobie kniazia lepiej zna jego zamysły. Czy nadal Świdrygiełło trzyma swoich bojarów w ryzach? Obawiam się, by tak, jak i nasi panowie, nie wszczęli działania na własną rękę.

— Zawarta ugoda nieco uśmierzyła zapalczywość oponentów, jednak dużo jest takich, którzy nie dają wiary dobrym intencjom króla. Toteż należy liczyć się, że jeśli sprawa postowania Zakliki będzie się odwlekać, znów podniosą łby. A wtedy i Świdrygiełło, dla ratowania zwierzchnictwa, może zostać zmuszony do poniechania wstrzeźliwości, a rady bardziej trzeźwych, jak Kozłowski, Odojewscy czy Gasztołd, nie na wiele się zdadzą.

— Zwłaszcza że i Gabriel Burzyński, którego Wielki Mistrz przysłał, by baczył, co się tu dzieje, będzie zapewne także podjudzał Świdrygiełłę do chwycenia za miecz, bo wie, że wówczas przyjdzie między nami do wojny... Zaiste, wleźliśmy w matnię, z której tylko Boska Opatrzność może nas wybawić...

— Niewiele jej pomożemy knując spiski... — z goryczą zauważył Rudy.

— Zbyt wielkie oburzenie i gniew rozpały umysły, by stłumienie tego podniecenia było możliwe. Tak więc nie widząc na to sposobu, po rozważeniu sprawy mniemam, że trzeba i nam przyłączyć się do spisku...

— Jakże to, wasza wielebność...?! — wykrzyknęli niemal jednocześnie obaj słuchacze. — Działać przeciw królewskim zamierzeniom!? Toż to... — zawahali się przed ostatnim słowem, ale wyręczył ich proboszcz:

— Chcieliście rzec: zdrada? Może i tak, ale wówczas gdyby istniał sposób na opanowanie spisku. Czy któryś z was może go podać? — proboszcz przebiegł spojrzeniem po ich twarzach. — Jeśli uznam, że dobry, zmienię decyzję.

Ponieważ milczeli, ksiądz Andrzej ciągnął dalej:

— A więc nie widzicie, tak jak i ja. A ponieważ ów spisek to impreza wielce hazardowa, powinniśmy przeto przyczynić się do zmniejszenia owego hazardu. Bezpieczeństwo osoby królewskiej tego wymaga, a stojąc na uboczu niczego w tym względzie nie osiągniemy.

— Rozumiem... — szepnął Drzewiecki, natomiast Jaksza tylko w milczeniu skinął głową, na znak aprobaty dla wyводу proboszcza.

— Spodziewałem się tego po was — mruknął ten zdawkowo, jakby uznając sprawę za przesądzoną.

— Pan Oporowski będzie na pewno temu rad — zauważył Drzewiecki. — Ale co powie kanclerz, skoro przy swojej bystrości wnet pojmie jak sprawa stoi?

— Z panem kanclerzem już o tym mówiłem, o czym zresztą wiedzieć nie powinniście. Jako wam, tak również jemu przedłożyłem przyczynę swego zamierzenia.

— I co on na to? — z zaciekawieniem spytał Jaksą.

Ksiądz Andrzej uśmiechnął się.

— Oświadczył, że wiedzieć o niczym nie chce.

— Iście kanclerska odpowiedź...

— Ale i słuszna, bo racji odmówić mi nie mógł. Teraz zatem, skoro już wyjaśniliśmy rzecz na tyle, że wiemy, czego się trzymać. Wy, księżę Mikołaju, jeszcze dziś poproście o spotkanie Oporowskiego i Zarębę, na którym macie mi towarzyszyć. Poza tym wskażcie mi, kogo zamierzacie dobrać do pomocy. Czekają nas działania o wielkiej tajności, zatem musi to być ktoś, komu możecie zawierzyć jak bratu.

— Przyjaźnię się z Andrzejem Tęczyńskim. On umie milczeć, a i bystrości mu nie brak.

— Tak, już go znam, więc zgoda. Ty zaś, Jaksą, weź Lecha i Tomka. Będę też rychło potrzebował formy do lania świec. Najdziesz ją chyba u braci dominikanów, a także nieco wosku.

— Duże mają być te świece? — rzeczowo i bez zdziwienia spytał Rudy.

— Raczej krótkie, ale nie za cienkie. O reszcie będziemy mówić na spotkaniu.

Zabierali się do wyjścia, kiedy ksiądz Andrzej zagadnął jeszcze Jaksę:

— A jak tam z Holeszką? Spotykasz się z nim, jakżeśmy to ustalili?

Rudy uśmiechnął się.

— Grywamy w szachy. Wszakże nie za często i raczej czekam, aż sam zaproponuje...

— Słusznie. Teraz nie będzie do tego wiele sposobności, ale znajdź czas i dla niego. Krzyżacki poseł nie omieszkaj wziąć go w obronę...

— Nie uszło to mojej uwagi, księżę proboszczu. Toteż przemyśliwam, czy nie wpaść w pieniężne kłopoty? Może zechce mi pomóc?

— Bądź z tym ostrożny, bo to przebiegły lis.

— Potyka się człek tylko o korzenie, których nie dostrzega — mruknął w odpowiedzi Rudy.

Spotkanie odbyło się późnym wieczorem, kiedy już zamek pogrążył się we śnie, korytarze ledwie oświetlone z rzadka zawieszonymi latarniami były mroczne i puste, a strażę, niezbyt gorliwe w pełnieniu nudnej służby, wolały grać się przy ogniu rozpalonym na kominie w wartowniczej izbie.

Zebrał się w komnacie wicekanclerza. Częstował przybyłych miodem, ale tylko pan kasztelan Zaręba sięgnął po kielich.

— Ważna to musi być sprawa, jeśli to wy, księżę Andrzeju, prosiliście nas o spotkanie — zagaił wicekanclerz zwracając się do proboszcza.

— Istotnie ważna, bo o zawartej ugodzie chcę mówić.

— O ugodzie? Cóż jeszcze możemy o niej mówić, skoro już została zawarta — udał zdziwienie Oporowski.

— Dopiero zawarta — uzupełnił ksiądz Andrzej. — Wszakże troszczę się o jej wykonanie.

— Ostawcie to Litwinom! — burknął opryskliwie wicekanclerz.

— Oni na pewno o to zadbają, przynajmniej do czasu! Natomiast obawiam się, czy my będziemy do tego równie skłonni! I o tym, wasza wysokość, pragnąłbym mówić!

Zaręba spojrzął spod oka na proboszcza, ale nie odezwał się. Natomiast Oporowski zmarszczył brwi i skierował na niego nieufne spojrzenie.

— Mówcie tedy, chętnie wysłucham waszych obaw...

— Nie będę dobierał słów, a powiem od razu. Otóż wiem dobrze, o czym tu z cicha radzą nasi panowie, a co i waszym wielmożnościom jest po myśli.

Obruszyli się na te słowa obaj dygnitarze, ale proboszcz, zdając się tego nie dostrzegać, mówił dalej:

— Nie tylko zresztą po myśli, ale pod waszym przewodnictwem sprawa się toczy. Wszakże nie dlatego, że temu przeciwny, do was przybyłem.

Oporowski, zaskoczony i poruszony tym oświadczeniem, zerknął pytająco na Zarębę, jakby szukając u niego wskazówki, co odpowiedzieć. Ten wyręczył go zwracając się do proboszcza z przyjacielskim uśmiechem:

— Cóż na to Jego Eminencja Oleśnicki? Czy nie będzie zdziwiony, jeśli dowie się, co mówi jego zauszniak o ugodzie, której był twórcą?

— Jego Eminencja nie wie o naszej rozmowie — ostrożnie stwierdził proboszcz.

— A zatem mógłbym uznać waszą wielebność za sojusznika, gdybym istotnie chciał działać przeciw ugodzie? — wtrącił wicekanclerz.

— Ponieważ Wasza Eminencja już przeciw niej działa, za takiego może mnie uważać.

Oporowski zmierzył księdza Andrzeja nieomal wrogim spojrzeniem.

— Mocne to słowa, księżuniu...

— Ale nie pogardliwe, toteż i Wasza Eminencja niech takich poniecha.

Twarz wicekanclerza poczerwieniła gwałtownie.

— Waść... ośmielasz się mnie pouczać?! — rzucił przez zaciśnięte zęby.

Zaręba, znając jego wybuchową naturę, pośpieszył z interwencją.

— Zbaczamy z tematu, mości panowie! Miast obejrzeć podarunek, który przyniósł nam ksiądz proboszcz, rozpoczynamy spory! Wasza Eminencjo, raczcie okazać wyrozumienie i pozwólcie jego wielebności powiedzieć nieco więcej o jego zamiarach!

— Mniemacie, mości kasztelanie, że możemy mu zawierzyć? — z wahaniem mruknął wicekanclerz, obrzucając Zarębę porozumiewawczym spojrzeniem.

— Ależ nasz niebezpieczny gość miałby sto sposobów, jeśli chciałby nam przeszkodzić! Bez uciekania się do podstępów i próżnej gawędy! — roześmiał się kasztelan. — Dlatego powinniśmy poniechać zbędnych ostrożności i otwarcie sprawę omówić!

Oporowski ściągnął brwi i jakiś czas milczał, widać rozważając opinię kasztelana. Wreszcie spytał krótko:

— Czegóż możemy od was oczekiwać jako sojusznika?

— Ostrzeżenia przed zbyt jawnym działaniem, bo o waszym spiskowaniu już wrony po dachach kraczą, a co ważniejsze — czynnej pomocy. Dlatego uprzedziłem, że nie sam do was przyjdę. Ci oto ludzie będą wykonywać to, co tu uradzimy, zatem powinni usłyszeć, jakie czekają ich zadania.

— Z tego wyciągam dwa wnioski — odpowiedział po namyśle Zaręba.

— Pierwszy, że z góry zakładaliście, iż przyjdzie do porozumienia, natomiast drugi — że macie już gotowy plan działania, skoro są i wykonawcy.

— I jeden, i drugi jest słuszny — stwierdził ksiądz Andrzej.

— Skąd jednak mieliście pewność, że zechcemy z wami gadać?! — prychnął lekceważąco wicekanclerz.

— To już wyjaśnił jego wielmożność pan kasztelan, więc tylko uzupełnię jego wypowiedź. Otóż udaremnienie waszych zamierzeń było istotnie łatwe, ale narażało was na niebezpieczeństwo, dlatego nie wchodziło w rachubę. Wszakże wiedząc o trudnościach z wykonaniem powziętego zamiaru, a także o groźbie rychłego wykrycia spisku, postanowiłem dać pomoc nie wątpiąc, że do porozumienia dojdziemy, bo okoliczności wzbronią wam ją odrzucić.

— Nieco już o was słyszałem, księżu proboszczu — mruknął Zaręba — i chyba nie były to kłamstwa...

Ksiądz Andrzej pominął tę uwagę milczeniem, natomiast wicekanclerz zawołał porywczo:

— Ostawmy tę gadaninę, a przejdźmy do rzeczy! Jakż zatem jest ten wasz plan działania?

— Borykacie się z trudnościami, jakie stwarza powiadomienie podolskich panów o tutejszej sytuacji i wezwanie do utrzymania zamków. Nie mając na to sposobu, ponoć byliście nawet gotowi wciągnąć do spisku Zaklikę Toporczyka, czemu na szczęście sprzeciwił się gość kasztelana...

— Wiecie i to także? — nieco kwaśno uśmiechnął się Zaręba.

— Wiem, bo jak dotąd lekceważyliście sobie obce uszy, których tu więcej niż sądzicie. Dlatego też sam dołożę starań, by pismo, jakie wygotujecie, zostało dostarczone. O to macie się nie troszczyć!

— Nie zamierzacie więc wyjawić, jak chcecie tego dokonać? — nieomal z oburzeniem zawołał wicekanclerz.

— Tak dalece tajemnicy nie mam zamiaru dochować. Wszakże chcę w przyszłości mówić tylko o tym, co wiedzieć dla dobra sprawy musicie, bo takie są wymogi warunków, w jakich działamy.

— Nie sprzeciwiam się — oświadczył krótko Zaręba — gdyż istotnie zbytnio folgowano dotąd językom. Jakż to zatem sposób?

— List powinien być skierowany do kniazia Michała Buczackiego. Co ma zawierać, powiem później. W żadnym razie nie może o nim nikt wiedzieć! To powtórnie zaznaczam, a już nijak sam Zaklika! Ponieważ samotny goniec nie daje rękojmi dotarcia na miejsce, zawiezie go ktoś z orszaku poselstwa, ale ktoś tak mało znaczący, że nie

będzie na siebie zwracał uwagi. List musi być ukryty przemyślnie. Umyśliłem dla tego celu odlać kilka świec i w jednej z nich zatopimy pismo. Świece nawet dostrzeżone w czyjejś torbie nie wzbudzą podejrzeń, bo niejeden bierze je ze sobą w podróż...

Wysłuchawszy tej propozycji, Zaręba uśmiechnął się tylko, natomiast Oporowski, już bez niechęci, a nawet z uznaniem, spojrzął na proboszcza.

— No tak... — mruknął. — To istotnie dobry sposób...

— Czy wybrany przez was człowiek będzie wiedział, co wiezie?

— Zainteresował się kasztelan.

Nie. Zostanie jedynie ostrzeżony, że przesyłka jest ważna i sekretna, przeto wręczyć ją może wyłącznie do rąk własnych kniazia, i to na osobności.

— Skąd zatem Buczacki odgadnie, co zawiera?

— Świec pošlemy kilka. Ale tylko jedna będzie miała knoty wystające z obu końców³¹. To powinno wystarczyć, by obudzić jego czujność i zmusić do domysłu, że coś ukrywa.

— Ryzykowne, ale powinno wystarczyć... — zgodził się Zaręba.

— Tym zajmie się tu obecny Jaksa z Niemierzy. On znajdzie odpowiedniego człowieka. Natomiast ksiądz sekretarz Drzewiecki zajmie się drugim czekającym nas zadaniem, o którym bodaj wasze wielmożności nie miały dotąd sposobności pomyśleć...

— Ejże? Czyżby? Zaciekawiasz mnie, wasza wielmożność... — drwiąco rzucił kasztelan. — W czymże widzisz naszą nieopatrzność?

— Wdając się w tak hazardową imprezę, nie wzięliście, wasze wielmożności, pod uwagę, na kim się głównie skrupi gniew Świdrygiełły, jeśli sprawa się wyda?

Obaj dygnitarze spojrzeli na siebie z wyraźnym zaskoczeniem.

Dał mu wyraz Oporowski, pytając:

— Masz, waść, na myśli miłościwego pana?

— Nie inaczej. Przemyśliwując nad utrzymaniem Podola, nie zastanawialiście się jednocześnie nad sposobem, jak zapewnić mu bezpieczeństwo!

— Jakież na to możemy mieć sposób wobec przewagi Świdrygiełły? Nie jesteśmy zdolni oprzeć się jego przemocy!

— z troską w głosie rzucił wicekanclerz.

— Dwa są na to sposoby znane ludziom wojennym. Albo dawać odpór z bronią w rękę, albo salwować się ucieczką. Na zbrojny opór nie mamy szans, stąd należy wziąć pod rozwagę tę drugą możliwość.

— Ucieczkę króla? Obmyślić ucieczkę miłościwego pana? — z rozterką i mimo woli ścisząc głos mruknął Olszowski.

— Jakim sposobem?! Jak to przygotować? Skąd konie, zbrojny orszak, boć przecie sam umykać nie może?! — W przeciwieństwie do wicekanclerza, kasztelan rzucił pytania wzburzonym tonem, wyraźnie przejęty słowami proboszcza.

— Istotnie, sami tego nie dokonamy. Uprzednio powiedziałem, że o treści listu do Buczackiego będziemy mówić później, teraz jest pora ku temu. Otóż ma zawierać dwa polecenia: pierwsze — dotyczące obsadzenia naszymi

31 — Ze źródeł historycznych.

załogami zamków i utrzymania ich za wszelką cenę, drugie — to wskazówki, co ma uczynić dla przygotowania ucieczki króla. Otóż, ponieważ ma dobre rozeznanie w kraju i wśród swoich przyjaciół, winien przygotować rozstawne konie dla sześciu ludzi aż do samej granicy z Koroną. A także również sześć wierzchowców dobrze ukrytych tu, na miejscu. Ma działać szybko, a kiedy będzie z tym gotów przekazać wiadomość człowiekowi, który zawczasu zgłosił się do niego ze słowami pozdrowienia chociażby... — proboszcz uśmiechnął się lekko — od kniazia Andrzeja Olgierdowicza z Grodna... O resztę zatroszczy się tu obecny imć pan sekretarz królewski, Drzewiecki.

— Bóg nam was zesłał, wielbny proboszczu! — zawołał już zupełnie przejednany wicekanclerz Oporowski, a kasztelan dorzucił, unosząc do góry kielich:

— To przedni plan! Oby tylko udało się szczęśliwie go wykonać.

Drzewiecki i Tęczyński mieli czas na przystąpienie do działania, gdyż należało czekać na odpowiedź Buczackiego, jak rozstawił konie na trasie ucieczki. Natomiast Jaksza musiał się śpieszyć, i to mocno, gdyż listy sposobiono bez dalszego zwlekania i obaj wysłannicy gotowali się już do wyruszenia w drogę. Uległ prośbom Lecha i jemu porucił dostarczenie przesyłki. Umieszczenie go jako jednego więcej pachotka wśród czeladzi pana Tarły nie sprawiło większej trudności, gdyż na poślednią służbę mało kto zwracał uwagę.

Ksiądz Andrzej polecił wszakże, by ktoś jeszcze jechał dla sprawowania dodatkowej pieczy nad przesyłką, czego wszakże posłaniec nie miał się domyślać, jak i nie powinien wiedzieć, co zawierają świece. Po naradzie ustalili, że zadanie to najlepiej spełni Rogoża. Były dozorca ochów okazał się bowiem zaradnym i sprytnym człowiekiem, któremu można było porucić sprawowanie takiego nadzoru. Ostatnio wszedł on w łaski marszałka książeckiego dworu, Peszki, toteż nastraszywszy go niebezpieczeństwami podróży i ważnością pism, podsunął mu myśl, by mieć nad nimi dodatkową pieczę, dołączając zaufanego człowieka. W rezultacie nie omylił się w mniemaniu, że zadanie to Peszko porucił właśnie jemu. Przed wyjazdem Rudy, przy poufnym spotkaniu, dał mu jeszcze ostatnie polecenie — po doręczeniu przesyłki ma zgłosić panu Buczackiemu podane w niej hasło, które kniaz będzie już znał z listu, i potem działać w porozumieniu z nim. Dopilnować szybkiego załatwienia rozstawnych koni, po czym natychmiast

ruszać w powrotną drogę. Nie szczędzić przy tym wierzchowców, by przybyć do Wilna zanim wieść o złamaniu ugody dotrze do Świdrygiełły. Ucieczka króla musi bowiem nastąpić przed tym, nawet gdyby rozstawne konie nie były gotowe.

Czekało go więc trudne zadanie, ale Rogoża po otrzymaniu poleceń nie okazał zakłopotania. Podrapał się tylko za uchem i skinął głową z uśmiechem:

— Będzie sporo mitregi... Wasza wielmożność łaskaw, że nie przykazuje mi jeszcze prać panu Lechowi portek...

— Ale ci nie wzbraniam... — również z uśmiechem odpowiedział Rudy.

Lechowi w ostatnich czasach nie brakło okazji do dalekich podróży. Ta jednak dłużyła mu się bardziej niż wszystkie dotychczasowe. Może i dlatego, że nie mógł jej odbyć w siodle, a musiał tłuc tyłek obok woźnicy, gdyż co młodziej czeladzi nie przydzielano wierzchowców.

Przyczynił się do tego głównie przełożony taboru, niejaki Kuna, który nie wiedzieć czemu, okazywał mu swą nieprzychylność, wymagał, by nie odstępował swego wozu i beształ za byle co.

Jednak jazda na wozie miała i dobre strony. Łatwiej było dawać baczenie na płócienną torbę, gdzie pod podręcznymi rzeczami spoczywała owa tajna przesyłka, której wuj Jaksa tak surowo przykazał strzec. Poza tym przed zmoknięciem chroniło smołowane płótno paługi, jakie miał nad głową, tym bardziej że dni były przeważnie deszczowe. Toteż z niejakim zadowoleniem przyglądał się szarym sylwetkom jeźdźców, którym po burkach ściekały strużki wody.

Orszak posuwał się powoli, bo rozmokłe drogi nie pozwalały na ponaglanie koni. Jednostajne dni jazdy mijały więc równie wolno, jak przebywane mile.

Wreszcie jednak, po blisko miesięcznej nużącej podróży, trzymając się ostatnio pobliza Smotrycza, dotarli do położonego u jego ujścia potężnego dzięki swemu położeniu, grodu Kamieńca.

Kniaź Michał Buczacki z powodu spokojnej pory był na zamku i dowiedziawszy się, kto przybył, witał gości z należytą atencją. Natomiast Lech, opatrzywszy konie, teraz dopiero zafrasował się, jak ma dotrzeć do tak znakomitego pana. Niełatwa to była sprawa dla takiego chudopachołka i byle koniucha, jakim był teraz.

Sprawa wszakże była pilna, toteż ogarnął młodzieńca niepokój, czy zdoła sprawnie wywiązać się z zadania.

Spożywając więc wieczerzę w czeladnej izbie zamku upatrzył sobie jednego z miejscowych pachołków i wdał się z nim w pogawędkę, okazując zainteresowanie zamkowym życiem. Rozpytywał też o kniazia, czy wielce to srogi pan, co zwykle porabia i jak wygląda. Skutkiem tego pachołek zaproponował mu po skończonym posiłku:

— Skoroś taki ciekaw, to ci go pokażę. Mąż to w sile wieku i okazałej postaci. Jutro rankiem możesz mi pomóc przy sprzątnięciu jadalnej komnaty. On lubi wcześniej wstawać, toteż na pewno nadejdzie. Jeno ogarnij się nieco, bo prawdę rzekłszy, twój kubrak niezbyt zdalny na pańskie pokoje...

— Toć ledwie zszedł z wozu po miesięcznej drodze, a że przy koniach robię, to i po odzieży widać... Ale mam lepszą.

Rozmowa przywróciła Lechowi nadzieję na pokonanie trudności, więc ruszył spać przy dobrej myśli.

Nazajutrz, już czysto odziany, nie zapomniawszy świec, które schował za pazuchę, ruszył w ślad za pachołkiem, na zamkowe pokoje, by dopomóc w robieniu porządków po wieczornym przyjęciu gości.

Los okazał się mu przychylny, gdyż zbierali właśnie misy ze stołu, kiedy na progu stanął wysoki, barczysty mężczyzna z brodą przysłaniającą pierś, i ujrawszy pachołków, warknął groźnie:

— Teraz dopiero, sukinsyny, zabraliście się do roboty?! Nie chciało się tyłków wcześniej podnieść z pościeli?!

Lech z opisu domyślił się, kogo ma przed sobą. A że właśnie towarzysz zajęty był w drugim końcu sali, odważył się podejść do wielmoży i skłoniwszy się szepnąć szybko:

— Przybyłem jako tajny wysłannik. Raccie, panie, dać mi posłuchanie, aby na osobności...

Kniaź obrzucił go zdumionym spojrzeniem i początkowo zdawało się, że wybuchnie gniewem, ale widać nie brakło mu bystrości umysłu, bo odwrócił się bez słowa i rzucił polecenie pilnie teraz krzątającemu się pachołkowi.

— *Skocz no po kubek kwasu! I pospiesz się, huncwocie!*

Kiedy zostali sami, Lech, uprzedzając pytania, wyciągnął owinięte świece i podał je wielmoży.

— *Tajna przesyłka. Miałem ją wręczyć waszej miłości bez świadków. Nic więcej nie wiem!*

— *Ktoś zasz? I w czyjej służbie?*

— *Urodzony Lech z Czepiel. W tajnej służbie Jego Królewskiej Mości.*

— *Toś urodzony, a za pachołka służysz?*

— *Taki był rozkaz. Tu zwę się Bartek.*

Rozległy się kroki spieszącego pachołka, więc kniaź schował paczkę w szeroki rękaw kaftana i już bez słowa sięgnął po przyniesiony kufel kwasu.

Pił wolno, po czym odstawivszy go z brzękiem na stół, otarł brodę i obrzuciwszy ostrym spojrzeniem obu krzątających się pachołków, rzucił groźnie:

— *Po dziesięć batów każę przyłożyć każdemu, jak mi tu wnet nie będzie porządku! I powiedzieć ochmistrzowi, niech do mnie zaraz się stawi! Gości znacznych mam, a wy albo chowacie się po kątach, albo łazicie jakbyście mieli żelaza u nóg!*

Szczęśliwy z pozbycia się przesyłki i pomyślnie wykonanej misji Lech pożegnał wkrótce towarzysza, by ruszyć ku stajniom.

Po drodze jednak, mijając pustą już o tej porze izbę jadalną czeladzi, ujrzał samotnie siedzącego Kunę, który skinął na niego. Posłuszny wezwaniu podszedł do stołu i wówczas usłyszał pytanie, które wprowadziło go w osłupienie.

— *Udało ci się oddać kniaziewi, co ci poruczono? Nikt tego nie widział?*

Przerażenie z powodu odkrycia jego tajemnicy ścisnęło mu gardło. Niemal czuł na szyi fizyczny ucisk, toteż dopiero po chwili zdołał odpowiedzieć:

— *Nie rozumiem, o co wam chodzi?*

Kuna, widząc wrażenie, jakie na młodzieńcu wywarło to pytanie, uśmiechnął się i rzucił uspokajająco:

— *Nie obawiaj się, nic ci nie grozi. Wiedziałem, co wiesz, gdyż poruczono mi mieć nad tobą pieczę.*

— *Co by miało mnie grozić? — Lech beztrąsko wzruszył ramionami.*

— *A o żadnym poruczeniu nic nie wiem! I komuż je wiozłem?*

Już nieco ochłonął i zdołał na tyle opanować popłoch myśli, że nadal nie wiedząc, z kim ma do czynienia, zachowywał ostrożność.

Kuna aprobująco skinął głową.

— Dobrze, żeś nieufny. Ale poniechaj próżnych zaprzeczeń, boć wiem, coś wiózł i dla kogo!

— Tedy mówcie, chętnie usłyszę.

— Dla kniazia Buczackiego, synku. Cztery świece. Ale jeszcze ci powiem i to, że obaj służymy jednemu panu, jak i pan Jaks z Niemierzy.

Pytam tedy nie z ciekawości, lecz aby wiedzieć, czy już mogę gadać z kniazem, bo było tam hasło dla niego, bez którego mnie nie rozpozna...

— Zatem... — Lech zawahał się, ale dokończył za niego Kuna.

— Zatem możesz już nie odpowiadać, bo domyślam, się, żeś swoją część zadania wypełnił!

Kniaź Michał, mocno zaciekawiony, co też mogła zawierać przesyłka tak tajnie doręczona, pośpieszył do swojej komnaty i zamknąwszy drzwi na skobel, rozwinął płótno.

Ujrawszy cztery woskowe świece zdumiał się i jeszcze bardziej podniecony począł przemyśliwać, co też mogły one oznaczać i kto je przesyłał. Jeśli to prawda, że ów młodzieniec istotnie był urodzony i w tak marnej przybył postaci, mógł istotnie być w tajnej służbie króla jegomości, zatem te świece pochodzą od kogoś z jego dworu. Ale od kogo i dlaczego właśnie świece?

Zafascynowany, począł kolejno je oglądać i wówczas zauważył, że jedna z nich miała knoty z dwóch końców. Spozrzęglszy to w pierwszej chwili zmarszczył w zamyśleniu brwi, ale zaraz uśmiechnął się i sięgnął po nóż.

Kawałek po kawałku rozcinał świecę, dopóki nie wyłonił się skrawek zwiniętego papieru. Wówczas ostrożnie uwolnił go z wosku i rozwinął rulon. Szybko przebiegł wzrokiem treść pisma, po czym, mimo podniecenia, przeczytał je powtórnie, już wolno i dokładnie.

Dopiero wówczas poczerwieniał gwałtownie na licu i sapnąwszy gniewnie raz i drugi ruszył ku drzwiom, odsunął skobel i wychyliwszy się wrzasnął na całe gardło:

— Hej! Pośpiesz no który do mnie!

W chwilę potem rozległ się na korytarzu tupot nóg i nadbiegł wystraszony pacholik.

— Wołaj mi burgrabię, a szybko!

Nie minęły nawet trzy pacierze, a stawił się przed kniazem wystraszony burgrabia. Wszakże wyzbył się strachu wysłuchawszy polecenia.

— Ślij natychmiast gońca do Smotrycza, po mego brata Mużyłę! Niech bez żadnej zwłoki przybywa! Zawiadom także Jego Eminencję biskupa Pawła, że rad bym z nim mówić! Chcę też zaraz widzieć koniuszego!

Po wydaniu tych poleceń kniaź Michał opadł na fotel i zamyślił się nad treścią otrzymanych wiadomości. Rozmyślanie przerwało mu pukanie do drzwi, a kiedy opryskliwie rzucił polecenie wejścia, na progu ukazał się ponownie pacholik.

— Wasza wysokość... — oznajmił nieśmiało — jeden z przybyłych prosi o posłuchanie... Czeka na korytarzu...

— Dawaj go! — mruknął kniaź, domyślając się, że może to być ów zapowiedziany pismem łącznik.

Jakoż nie omylił się. Przybysz miał kręłą budowę ciała, czarny włos i spokojne, ale badawcze spojrzenie ciemnych oczu. Skłoniwszy się, powitał go Chrystusowym imieniem, zaraz dodając:

— Przywożę pozdrowienia od kniazia Andrzeja Olgierdowicza z Grodna...

— Rad to słyszę... — kniaz uśmiechnął się z zadowoleniem. — Ale mów, waść, z czym jeszcze przybywasz?

— Sądząc z powitania, wasza książęca wysokość pismo otrzymał, więc wiele mówić nie potrzebuję. Główną troską królewskiego dworu jest, aby zamki utrzymać w swych rękach i wiedzieć na czas, gdzie i u kogo będą czekać rozstawne konie. Skoro wasza wysokość objaśni mnie, mam co rychlej wracać z wieścią. Przykazano mi pospieszać, śpiąc nawet w siodle, toteż upraszam zapewnić i mnie zmianę wierzchowców, i to dla dwóch ludzi.

— Któż jest ten drugi?

— Ów Bartek, oddawca świec. Co uczynicie z posłami i ich orszakiem, nie moja to już sprawa. Wszakże sędzę, że na wolności nie mogą ostać, aby Świdrygiełło nie dowiedział się o sprawie za wcześnie, czego wymaga bezpieczeństwo królewskiej osoby.

— To rozumiem i bez waści. Tym bardziej że pismo rzecz przedstawia dostatecznie jasno. Polecenia co do koni dla was i króla jegomości wydam koniuszemu, którego już wezwałem na naradę. Z nim waść będziesz gadał i od niego otrzymasz wszelkie wiadomości, a zwłaszcza gdzie rozmieścimy konie. Jeśli jeszcze nie dziś, to jutro o świcie pobiegną gońce w tej sprawie, możesz więc spokojnie nieco odpocząć zanim ruszysz w drogę!

— Rad to słyszę, wasza wysokość, każdy dzień wart wszakże więcej niż mieszek złota, toteż odpoczywać nie zamierzam!

— Rozumiem to dobrze. Zawszem wiernie służył Jego Królewskiej Mości i dalej służyć zamierzam! A Świdrygiełło mi niestraszny! Pogoszczę jego posłów, jak długo się da, dla zyskania na czasie, a potem obaczym... A teraz powiedz, waść, jak się zwiesz, by koniuszy wiedział, jak cię odszukać?

— Kuna, wasza wysokość...

Uspokojony co do poczynąń księcia Rogoża wrócił na kwaterę przywoławszy do siebie Bartka powtórzył mu, jak sprawa stoi, bo świadom niebezpieczeństw ich służby, uznał, że jego młody towarzysz również powinien znać wynik rozmowy z księciem Buczackim.

Ten natomiast teraz dużo spraw miał na głowie. Po naradzie z koniuszym, dobrze obeznanym z ziemią wileńską, a także z traktem wiodącym do granicy z Koroną, ustalili miejsce postoju koni oraz ludzi, którym zadanie ich przygotowania można było poruczyć, tak dla króla, jak i obu wysłanników.

Gońcy wyruszyli następnego dnia o świcie, natomiast kolejną naradę książę odbył dopiero wieczorem, kiedy przygalopował poczet zbrojnych z jego bratem Mużyłą na czele. Zaraz też zebrali się we trzech, bo biskup Paweł czekał już w zamku na jego przyjazd.

Zasiedli w komnacie kniazia, który objaśniwszy ich o przybyciu poselstwa i otrzymaniu tajnego pisma, odczytał jego treść. Kiedy skończył, zabrał głos mocno poruszony biskup Paweł:

Dochodziły mnie wprawdzie wieści o uwięzieniu Jego Królewskiej Mości przez tego okrutnika, ale nie dawałem im wiary! Nie sądziłem bowiem, by nawet on mógł zdobyć się na tak nieczny czyn! Toż to zbrodnia, za którą winien dać głowę!

— Wprzódy trza ją położyć na pieńku... — zgryźliwie mruknął kniaź Mużyło. — Wszakże złorzeczyć nie ma co, a uradzić, co mamy czynić?

— Jakże, co czynić?! — oburzył się biskup. — Chyba nic innego, jak wykonać polecenie wicekanclerza! — spojrzął pytająco na milczącego dotąd księcia Michała.

W sprawie rozstawnych koni gońcy są już w drodze — objaśnił ten. — Chodzi mi wszakże o wspólne postanowienie, co uczynić z posłami Świdrygiełły? Zamków im nie wydam, skoro król jegomość polecenie dał pod przymusem! Nie wszystkie, tak jak Smotrycz czy Kamieniec, są w naszych

rękach. W Krzemieńcu, Łucku, Czerwińsku, a także Włodzimierzu siedzą komendanci przychylni Świdrygiełły! Tych trzeba ująć. i to chyba podstępem, bo na zdobywanie tych grodów nie ma ani czasu, ani sił..

— Inaczej chyba nie można... — zgodził się Mużyło — ale co z posłami? Miałeś czas, by sprawę przemyśleć...

— Trzeba ich ująć i osadzić w lochu, wraz z całym orszakiem, nie folgując nikomu, aby nie rozeszła się wieść, co się im przydarzyło! Dopóki król nie ucieknie, niech posiedzą pod moją pieczę, a zasię koronna Rada albo sam jegomość postanowią o ich losie. Wasza Eminencja ze mną się zgadza? — kniaź Michał zwrócił się bezpośrednio do biskupa.

— Chyba tak... Chociaż pogański to postępek, posłów więzić...

— Dla zapewnienia królewskiego bezpieczeństwa także? — rzucił ze zniecierpliwieniem książę. — Świdrygiełło posłów zwykł ścinać, nie zaszkodzi, kiedy jego posiedzą uwięzieni! Przykażę dać im górną więzę... Reszta może poczekać w lochach.

Biskup Paweł już bez słowa skinął głową na znak aprobaty książęcej decyzji.

— Pozostaje tedy pomyśleć, jak przejąć grody i komu poruczyć nad nimi pieczę — zabrał głos Mużyło. — Sądzę, że istotnie musimy imać się podstępu, by rzecz szybko i bez rozgłosu załatwić.

Następnego ranka już o pierwszym brzasku przy zamkowych przejściach, na korytarzach i krużgankach stanęły strażę, a przy bramach wzmocniono posterunki. Chwilę zaś po tym rozległy się krzyki protestów, przekleństw i pomstowań, które wszakże wkrótce zacichły. Otoczeni żołnierzami obaj posłowie, a za nimi całe ich dwory, nie wyłączając najmłodszych pachotków, zostali odprowadzeni do wieży, gdzie znajdowało się wejście do lochów.

Wszakże już tego nie widzieli ani Kuna, ani rzekomy Bartek, gdyż poprzedniego dnia, również o świtanu, ruszyli na rączych wierzchowcach w drogę powrotną, wioząc wiadomości tak oczekiwane w Wilnie.

Szybka jazda po nudnym kolebaniu się na wozie upajała Lecha i napełniała serca radością. Mijane drzewa uciekały do tyłu, błoto strugami pryskało spod końskich kopyt, a droga zdawała sama umykać wstecz.

W Smotryczu stanęli na krótki popas i pognali dalej do Jarmolińca, gdzie czekały na nich świeże konie. Po odbyciu na nich ponad dziesięciu mil Lech rzucił się tam od razu na siano, nie chcąc nawet wieczerzy. Kiedy zaś jeszcze

po ciemku Kuna szarpiąc za ramię ledwie go dobudził, oprzytomniał dopiero po wylaniu na łeb kubła zimnej wody.

Posilili się w siodłach, a potem w milczeniu kiwali się nad grzywami' równo i wytrwale galopujących wierzchowców. Lechowi senność minęła, znów czuł się rześki i pełen nowych sił. W Płoskirowie zatrzymali się

tylko dla nakarmienia zwierząt. Tam też przebyli bród przedostając się na drugi brzeg wąskiego tu jeszcze i płytkiego Bohu i ruszyli do Jampola, gdzie w myśl udzielonych im wskazówek mieli zmienić konie.

Znów u schyłku nocy nieustępliwy Kuna miał kłopoty z doprowadzeniem do przytomności Lecha, ale jak i poprzednio dopomógł mu w tym kubek wody.

I tak pędzili dzień za dniem, pozostawiając za sobą coraz dłuższy szmat przebytej drogi. Kuna, uprzedzony, że przygotować zmiany udało się tylko do Słonimia, chciał jak najbardziej wykorzystać dotychczasową możliwość szybkiej jazdy, więc wyciskał z rumaków wszystkie siły. Toteż przybywały na nocny postój zziębnięte, parujące i ledwie trzymające się na nogach.

Nienawykły do takiego wysiłku Lech musiał dokonywać wielkiego wysiłku, by nie okazać, jak trudno przychodzi mu pokonywać męczącą podróż. Budził się rankiem coraz bardziej zamroczone, coraz słabszy w nogach, którymi przez długie godziny ścisnął końskie boki; mocniej bolały mięśnie, a wyczerpanie powodowało, że zwłaszcza pod koniec dnia walczył z sennością, bojąc się zlecieć z końskiego grzbietu. I tak, walcząc ze słabością mało jeszcze odpornego na takie trudy ciała, jak mógł, tak nadrabiał minę. Wszakże nie uszło to uwagi bystrego Rogoży, który udawał jednak, że tego nie dostrzega. Szczęściem Słonim z wolna się zbliżał, toteż choć sam czuł skutki dotychczasowej jazdy miał nadzieję, że jego młody towarzysz zdoła sprostać wysiłkowi.

Istotnie, po minięciu Słonimia już z konieczności wolniejsza jazda oraz dłuższe dzienne postoje zaczęły Lecha niecierpliwic i nawet sam ponaglał konia. Rogoża nie był zbyt temu przeciwny, bo i on uległ gorączce pośpiechu. Kiedy więc dotarli do Lidy, ze strapieniem stwierdzili, że bez dłuższego odpoczynku ich wierzchowce dalszej drogi nie wytrzymają.

— Co robić, mości Kuna? — zatroskał się Lech, gdy w zajeździe zasiedli do wieczerzy.

— Właśnie nad tym rozmyślam — odpowiedział zagadnięty. — Wszakże coś mi chodzi po głowie...

— Czyżbyście mieli jaką radę?

— Chyba tak... Choć nieco hazardową...

— Jaką, mówcież — ożywił się młodzieniec.

— Przenocujemy tu, a około południa osiodłamy konie, udamy się do grodu i zażądamy, aby nam zmieniono zwierzęta!

— Ależ tam ani chybi siedzi człowiek Świdrygiełły!

— Na tym właśnie polega niebezpieczeństwo, ale też i nasza szansa.

— Jakż to dostrzegacie w tym szansę?

— Obaczysz! Ja będę gadać, wy zaś musicie udawać mego pachotka, co doda mi znaczenia. Chyba Bóg nas nie opuści w tej potrzebie!

Jednak mimo tej wiary w Boską Opatrzność, mocno napięci, wyjeżdżali następnego dnia z zajazdu. Odzieży umyślnie nie oczyszcili, a wierzchowce Rogoża zlał wodą, aby wyglądały na spocone, i ruszyli ku zamkowi.

Dostali się nie zatrzymywani na podwórzec i tam Rogoża zagadnął spotkanego pachotka groźnym tonem:

— Gdzie stajnie?

Ten zmierzył go spojrzeniem i rzucił obojętnie, wskazując za siebie:

— Tam, zaraz za zbrojownią...

Lecz Rogoży widać to nie wystarczyło, bo krzyknął gniewnie:

— Co znaczy tam?! Prowadź, sobaczy synu, do koniuszego! Putnik kniazia Świdrygiełły chce z nim mówić!

Na dźwięk tego groźnego imienia pacholek wystraszył się i już z respektem wysforował przed ich konie, by wskazywać drogę.

Stajnie znajdowały się istotnie zaraz za wskazanym budynkiem. Kręciło się tam kilku pachotków, z których jeden od razu pobiegł szukać koniuszego.

Zjawił się wkrótce, ciekaw, kto przybył. Kiedy dowiedział się, o co chodzi, wprawdzie z szacunkiem spojrzął na przybyłych, ale uchylił się od decyzji.

— Jego wysokości, Iwana Iwanowicza, nie ma, a bez niego koni zamienić nie śmiem... Poczekajcie do wieczora, może wróci...

— Czego?! — wrzasnął z siodła Rogoża. — Czy wiesz, z kim mówisz?! W służbie kniazia Świdrygiełły jadę z pilną wiadomością, a ty mi każesz czekać?! Dawaj mi konie, i to szybko! Jutro muszę być w Wilnie!

— Ależ, wielmożny panie... — próbował protestować koniuszy, jednak Rogoża przerwał mu opryskliwie:

— Nijakich tłumaczeń słuchać nie chcę! Każ wyprowadzić dwa konie, ale dobre, a nasze możesz zatrzymać! Na pewno lepsze od twoich chabet! Jeszcze raz cię upominam, abys ciężko nie zapłacił za opieszałość! I pośpieszaj, zatrzymujesz w drodze kniaziewego postańca!

Groźby poskutkowały, bo jeden ze stajennych otrzymał polecenie:

— Wyprowadź dwa konie...

— Które, panie?

Koniuszy spojrzął mu w oczy.

— Te dwa, pierwsze z prawa, gniade...

Pacholek już bez słowa zniknął w drzwiach stajni, a oni, pełni napięcia, czekali dalszego przebiegu wydarzeń.

Wkrótce ukazały się konie. Szły wolno i spokojnie, toteż Rogoża obrzucił je uważnym spojrzeniem, po czym zeskoczył na ziemię i zbliżył się do koniuszego.

— Takie konie dajesz kniaziewi?! Nie chcę twej zguby, ale jeśli natychmiast nie dostanę najlepszych, złożę na ciebie skargę, a wtedy łeb ci z karku zleci!

Lech był pełen podziwu dla dobrze granej przez Rogożę roli. Wcale się więc nie zdziwił, gdy pacholek szybko zawrócił do stajni bez czekania na nowy rozkaz koniuszego, który po usłyszanym groźbie bękał tylko błaganie o wybaczenie i zapewniał, że głupi pacholek źle go zrozumiał.

Jakoż istotnie ten zdawał się zmyślić, bo kantary koni, które obecnie ukazały się we wrotach stajni, ledwie zdołał utrzymać w garści. Szarpały łbami i szły niby w tańcu, nieomal wlokąc go za sobą.

— No, te się zdadzą... — stwierdził z zadowoleniem „kniaziowy” putnik. — Każ przerzucić siodła — już łaskawiej dorzucił polecenie.

Po minięciu bramy grodu nie przerwali milczenia, tylko spojrzeli na siebie, uśmiechając się porozumiewawczo. Od razu też ruszyli na szlak i wkrótce pozostawili Lidę za sobą.

Konie okazały się istotnie ostre, a zapewne i zastałe w stajni, bo uniósłszy ogony pędziły cwałem, jakby rade z odzyskanej swobody. Do Wilna pozostawało mało co więcej niż piętnaście mil, a że dochodziło południe, spodziewali się, iż drugiego dnia zdążą jeszcze przed zamknięciem bram przybyć na miejsce.

Rogoża zbliżając się do miasta przypomniał sobie instrukcję pana z Niemierzy: wjechać o zmroku, od razu udać się na wskazaną kwaterę i nie ruszać nigdzie ani na krok, bo nikt nie może wiedzieć o jego powrocie. Dopiero gdy dostanie polecenia, ma przybyć na wileński zamek, niby zdrożony i zziąjany pośpieszną jazdą, by jako pierwszy zawiadomić kniazia, co zaszło w Kamieńcu. Nie może bowiem popaść w jakiegokolwiek podejrzenie, by nadal zachować zaufanie pana marszałka Peszki.

Pomny tych poleceń ostatniego już dnia podróży tak kierował jazdą, że dopiero o zmierzchu wjechali do miasta.

Kwaterę odnaleźli bez trudu. Minęli wjazdowe wrota i znaleźli się na niewielkim podwórku, ciasno otoczonym gospodarskimi budynkami. Właśnie zeskakiwali z siodła, kiedy ukazał się jakiś człowiek i spytał, nawet nie witając:

— Z Kamieńca?

— Z Kamieńca — potwierdził Rogoża.

— Zaprowadźcie do stajni wierzchowce i opatrzcie je, a zasię wskażę wam i kwaterę... — Obrócił się bez słowa dalszych wyjaśnień i otworzył wrota jednego z budynków.

— Musimy jak najszybciej zawiadomić o naszym przybyciu... — zatroszczył się Lech.

— O to niech was głowa nie boli. Kubły na wodę stoją u wejścia, a siano najdziecie w stajni — dorzucił lakonicznie gospodarz. — Potem przychodźcie do domu, wieczerza wnet będzie gotowa.

Właśnie kończyli posiłek, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich Jaksa. Na jego widok Lech zerwał się od stołu z radosnym powitaniem.

— I ja rad widzę, żeś w dobrym zdrowiu — odpowiedział Rudy.

— Mocnom się frasował, czy dobrze zrobiłem zezwalając ci na tę wyprawę... — wyznał ściskając młodzieńca, po czym obrócił się do Rogoży ze słowami uznania. Ten, rozradowany pochwałą, skłonił się tylko głęboko.

Jaksa zajął miejsce za stołem.

— Szybko wróciliście, oczekiwałem was nie wcześniej niż za niedzielę. A teraz mówcie, co w Kamieńcu?

— Wracaliśmy rozstawnymi końmi. Wielmożny pan starosta Buczacki przykazał zawiadomić, że posłów osadzi w wieży, ale nie śpieszy z tym, aby dać nam więcej czasu przewagi.

— Zatem można sądzić, że i zamków nie odda?

— Poleciał powiedzieć, że będzie posłuszny królewskiej woli.

Jaksa z zadowoleniem skinął głową.

— A co z rozstawnymi końmi? — spytał następnie.

— Pan starosta ustalił miejsca ich wymiany i zaraz rozesłał tam osobnych gońców. Wszakże wskazał mi tylko pierwsze postoje, natomiast o następnych uciekający będą powiadomieni już na miejscu.

— A te konie tu, w Wilnie?

— Bojar, którego wybierze do tak poufnego zadania, ma sam przesłać wiadomość o gotowości. Chyba niedługo to nastąpi.

— Komu tę wieść ma przesłać?

— Waszej wielmożności. Innego sposobu nie widziałem.

Jaksa mruknął aprobująco i dorzucił:

— Teraz pozostań tu i nosa nie pokazuj, aż cię nie powiadomię. Lecha zabiorę, by nikt u Świdrygiełły nie zdążył go poznać. Gdyby jednak o niego pytano, powiedz, żeś uciekał z jednym tylko, nie znanym ci pachotkiem, ale koń mu po drodze padł, więc nie wiesz, co się z nim stało...

Korzystając z odprężenia w stosunkach ze Świdrygiełłą, kanclerz i biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki postanowił wrócić do kraju, by tam pilnować sprawy uwolnienia króla. Świadom zaś zamierzeń rozjątrzonych panów, nie mogąc przeciwdziałać ich poczynaniom, uznał za wskazane podjąć raczej ryzyko podróży, niż biernie przyglądać się biegowi zdarzeń.

Ponieważ w Wilnie baczono tylko, i to pilnie, na osobę monarchy, mało dbając o dygnitarzy, przeto kanclerz ruszył w podróż nie zatrzymywany przez Świdrygiełłę.

W Polsce natomiast wieść o uwięzieniu króla Władysława wywołała powszechne oburzenie i pragnienie odwetu. Toteż mimo panującej zarazy — jak mówiono „udając się spośród pogrzebów” — zjechało się w Warcie 6 grudnia. Nie robiąc nawet zarzutów pod adresem króla za lekkomyślne mianowanie Świdrygiełły i oddanie mu Podola, radzono jedynie nad wyborem środków zaradczych. Jedni żądali natychmiastowej wyprawy odwetowej, nie zważając na zimową porę, gdyż pozwoliłaby wykorzystać zamarznięcie rzek i

litewskich bagien, inni radzili wysłać na Litwę królową z dworem. Wreszcie padły głosy, by natychmiast jechało poselstwo z żądaniem uwolnienia króla, ale jednocześnie wezwać na 13 stycznia pospolite ruszenie do Kijana nad Wieprzem i w razie odmowy Litwinów od razu uderzać na Wilno.

Ta propozycja zyskała powszechne uznanie. Na posłów wyznaczono biskupów Zbigniewa i Jana Oleśnickich, Sędziwoja z Ostroroga, wojewodę poznańskiego i Jana z Lichina — brzeskiego. Wyruszyli około Bożego Narodzenia, ale zatrzymali się w Warszawie, oczekując na gwałt bezpieczeństwa od Świdrygiełły. Natomiast szlachta istotnie już z końcem grudnia zaczęła ciągnąć do Kijana, co wywołało obawę Wielkiego Mistrza, by ta zbierająca się burza w rezultacie nie wyładowała się na Zakonie.

Czarny opuszczając Wilno nie obmyślał zawczasu planu działania, gdyż nie wiedział, jakie zdarzenia poprzedziły zniknięcie ojca Erazma. Uznał jednak, że będzie miał jeszcze niejedną okazję do rozmowy z wysłańcem w czasie podróży. Istotnie, długie godziny spędzane w siodle dały do tego dość sposobności.

Towarzysz podróży, a zarazem przewodnik, nazywał się Paweł Langer i był jednym z pomocników palowego w porcie gdańskim, to jest funkcjonariusza odpowiedzialnego za stan nadbrzeży.

Był to człek słusznego wzrostu, ale kaftan zwisał na nim niby na żerdzi. Chudą twarz niewiele zdobiły wąskie płowe wąsy i długi, ptasi nos, sterczący spomiędzy zapadłych policzków. Mówił z ociąganiem, toteż Czarny musiał Wielekroć zdobywać się na cierpliwość, by opanować chęć ponaglenia jego nieśpiesznych relacji.

Nie utrzymywał on z bratem Erazmem stałego kontaktu, lecz spotykali się w ustalonym miejscu i czasie, kiedy znajdował na furcie swego domu nakreślony kredą znak. Z dalszych słów powstańca wynikało, że był głównym pomocnikiem Erazma i cieszył się w dużej mierze jego zaufaniem, stąd właśnie on miał obowiązek zawiadomić proboszcza Andrzeja, gdyby coś się stało.

Toteż kiedy mimo pozostawionego na furcie znaku brat Erazm nie stawił się na spotkanie, bez zwłoki ruszył w drogę.

— *Nie posłałeś waść gońca? — spytał Czarny. Czyżby brat nie zaopatrzył cię w pieniądze na ten cel?*

— *Zaopatrzył, ale wolałem załatwić to sam. W porcie teraz roboty nie ma, bo zima nadchodzi, mogłem więc wyjechać.*

— *To zimą statki nie pływają? — zdziwił się Czarny.*

— *Nie, przerwa w żeglowaniu zaczyna się od jedenastego listopada i trwa do dwudziestego drugiego lutego, dla śledzi zaś od szóstego grudnia do drugiego lutego. W tym czasie nie wolno przebywać obcym statkom w żadnym z portów Hanzy, a do nich należy Gdańsk.*

— *Dlaczego?*

Langer uśmiechnął się pod wąsem.

— *Aby usunąć z Bałtyku obcych kupców i żeglarzy...*

Trzeba było przebyć wyjątkowo rozjeżdżoną drogę, pełną zdradliwych dziur pokrytych błotnistą wodą, więc musieli jechać poboczem, jeden za drugim, co spowodowało przerwę w rozmowie. Dopiero po dłuższym czasie Czarny mógł ją wznowić.

— *Przecież bratu Erazmowi mogło coś przeszkodzić w przybyciu? A jeśli stawił się z opóźnieniem? — zagadnął towarzysza. Być może nasza podróż okaże się daremna?*

— *Zgodnie z poleceniem miałem o tym samym czasie czekać przez trzy kolejne dni...*

— *I mimo to nie przybył?*

— *Nie.*

— *Hm... A czy nie mieliście, łaskawco, jakiegoś innego sposobu, by dowiedzieć się, co mogło przeszkodzić w spotkaniu?*

— *Taką możliwość brat Erazm także przewidział, gdyż jest to człowiek bardzo ostrożny... Nie znałem jego miejsca pobytu; może nawet nie miał stałego, gdyż od czasu do czasu zatrzymywał się na noc u pewnego rybaka. Tam przykazał pytać, gdyby coś mu przeszkodziło przybyć na spotkanie.*

— *I pytaliście?*

— *Jakże inaczej? Ale i ów rybak nic mi nie mógł powiedzieć, mimo że brat Erazm nie dalej jak tydzień wcześniej u niego nocował...*

— A poza rybakami? Nie było innego miejsca, gdzie mogliście zasięgnąć języka?

— Nie. Wiedziałem wprawdzie o niektórych ludziach, z jakimi się stykał, ale ta droga, jako zbyt niebezpieczna, nie wchodziła w rachubę.

— W czym widzieliście niebezpieczeństwo?

Langer obrócił się ku Czarnemu ze zdziwieniem na twarzy.

— Czyżbyście nie byli świadomi, co nam grozi? Przecież i Miejska Rada ma swoich postrzegaczy, bo chce wiedzieć, co dzieje się w mieście, i mają ich także brodacze³². Siedzą wprawdzie tylko na zamku, ale uszami sięgają wszędzie...

— No tak... — Czarny zamyślił się na chwilę, spoglądając na błotnisty szlak drogi ciągnący się przed nimi. Jechali wśród rozległych pastwisk porośniętych z rzadka rozrzuconymi kępami łożyn i małymi grupami bezlistnych drzew. Ich nagie gałęzie ledwo widoczne w mglistej szarzyźnie jeszcze bardziej wzmagały nastrój smętku pochmurnego, jesiennego dnia. Jednak Czarny, zajęty myślami, nie był skory do ulegania ubocznym wrażeniom. Wkrótce więc wznowił rozmowę:

— Jak sądzicie, mości Langer, czy istnieje jeszcze nadzieja, że odnajdziemy go wśród żywych?

Zapytany obrzucił go krótkim spojrzeniem.

— Nadzieję mieć musimy — odezwał się po chwili — gdyż bez niej nie szukalibyśmy dość gorliwie...

— Nie pytam o nadzieję czy prorocтва... — burknął Czarny rozdrażnionym tonem, gdyż odpowiedź była wyjątkowo powolna. — Chcę jeno usłyszeć, czy widzicie szansę znalezienia go żywym?

— Jeśli mam powiedzieć z serca, to chyba takiej nie ma. Raczej pragnę tylko wiedzieć, jaki spotkał go los... — umilkł na chwilę, tak jak i Czarny spoglądając przed siebie, wreszcie dorzucił nie odwracając głowy:

— Wielcem go poważał... To był człowiek godzien miłości...

— To wiem i bez was — mruknął Czarny. — Gdzie spotykaliście się?

— Zwykle w oberży „Po Dwoma Krzyżami”.

— Mówicie: zwykle. Czy było i inne miejsce?

— Bardzo rzadko, wówczas w porcie. Wtedy znak na furcie był inny.

— Z tego, co usłyszałem, należy więc sądzić, że równie dobrze mógł dostać się w ręce krzyżackie, jak i zostać pojmany przez straż miejską?

— Tak... — Langer skinął głową. — Z jakiej jednak przyczyny?

Pojmanie przez brodaczy jeszcze bym zrozumiał, bo być może zechciał przedostać się na zamek. Ale nie pojmuję, czym mógłby narazić się Miejskiej Radzie?

32 — Tak nazywano potocznie Krzyżaków.

— Powód teraz mnie nie ciekawi. Najpierw trzeba dowiedzieć się, co się z nim stało, i jeśli, daj Boże, żywy, uwolnić.

— *Wszakże poznanie przyczyny może dopomóc w poszukiwaniu...*

— *Zapewne, ale to ostawimy sposobności. Nie wydaje mi się słuszne szukać odpowiedzi od razu na oba pytania, przede wszystkim musimy dojść, gdzie się znajduje?*

— *Jeśli nie pogrzeban lub nie wrzucony do morza... — mruknął ponuro Langer.*

Czarny spojrział na niego ze złością, wzruszając ramionami. Nie podjął jednak tego wątku, a indagował dalej:

— *Czy podczas waszych spotkań, zwłaszcza w ostatnim okresie, nie padły jakieś słowa czy pytania, które by wskazywały, co czy też kto interesował brata Erazma?*

Langer uśmiechnął się.

— *Wasza wielmożność pytasz jakbyś nie znał czcigodnego brata. On nie zwykł mówić choćby jednego słowa za dużo...*

— *Ale przecież czegoś od waści żądał? Chyba bywałeś mu pomocny, skoro spotykaliście się?*

— *Jego zlecenia były różne. Wyszukanie kwatery, i to raczej nie dla niego samego, zasięganie wiadomości o ludziach, których mi wskazywał; kiedyś pytał o straż portową — jak rozstawiona i jak często obchodzi teren. Nie tak dawno chciał wiedzieć, czy komtur gdański przebywa na zamku, bo Krzyżacy nie zawsze wciągają wówczas na wieżę chorągiew, a także był ciekaw, czy sprzedają zboże, czy też je zakupują. Ostatnio zaś nie wiedzieć czemu pytał o karawelę „Santa Julia”. Kto jest kapitanem, jaki port macierzysty oraz dlaczego jeszcze nie wychodzi w morze, skoro rozładowana?*

— *I zebraliście te wiadomości?*

— *Nie wszystkie... — Langer znowu się zająknął, toteż Czarny, zniecierpliwiony czekaniem na dokończenie zdania, zadał kolejne pytanie:*

— *Zatem mimo wyznaczonego spotkania nie byliście gotowi do udzielenia odpowiedzi?*

— *No, nie...*

— *Czy z tego powodu brat Erazm okazał gniew?*

— *On nigdy się nie gniewał. Tym bardziej że przedkładał ostrożność nad pośpiech...*

Dni podróży mijały bez przygód i mijały pokonane mile. Aby jak najmniej drogi pozostawić do przebycia w obrębie zakonnego państwa, granicę minęli dopiero pod Brodnicą i ruszyli na Grudziądz, by stamtąd obrócić się już wprost na Gdańsk.

Jeszcze przed dotarciem do miasta Czarny zagadnął Langerę:

— *W zajeździe nie chcę stawać, tym bardziej jako kupiec Morzelec, gdyż wiem, że Krzyżacy wymagają od właścicieli zgłaszania wszystkich przybyszów, nawet z innego zakonnego miasta. Czy będziesz, łaskawco, miał dla nas jakąś kwaterę, której właściciel tego obowiązku gotów nie wypełnić?*

— *Już o tym pomyślałem, i to jeszcze przed wyjazdem, bom spodziewał się, że sam nie wrócę.*

— *Toś okazał chwalebny przezorność! Rad jestem, że tę troskę zdejmujesz mi z głowy! Nie zamierzam pytać, gdzie nas umieścisz, bo zbyt mało znam miasto!*

— Mam dwie kwatery. Jedna na Długich Ogrodach, zatem oddalona od Głównego Miasta. Druga, bliższa, przez co sposobniejsza, na Starym Przedmieściu, w pobliżu kościoła Św. Piotra i Pawła, a także portu. Sądzę, że będzie lepsza choć droższa, mimo że nie tak obszerna.

— Zapewne ta odleglejsza będzie bardziej bezpieczna?

Langer wzruszył ramionami.

— Obie są jednak niebezpieczne, choć gospodarze pewni. Zresztą u nas mało kto jest przychylny Zakonowi. Wrogi on nam jako i wam.

— Pamiętam, że w czterysta szesnastym powstałiście nawet zbrojnie...

— Dużo od tamtego czasu się zmieniło. Już w latach dwudziestych nasza Rada potrafiła uwolnić się spod zakonnej kontroli. Sama teraz wybiera swych rajców i ławników.

Po otrzymaniu dokładniejszych wyjaśnień Czarny zdecydował się zatrzymać na Starym Przedmieściu. Właścicielem posesji leżącej przy ulicy Żabi Kruk był także pomocnik palowego, do którego obowiązków należał nadzór nad statkami, by nie wyrzucały za burtę odpadków czy nieczystości, za co groziła kapitanowi nawet kara śmierci, jeśli winnego złapano nocą. Chodziło wszakże nie tyle o względy zdrowotne, ile o zanieczyszczanie dna Motławy, bo z utrzymaniem jej należytej głębokości były nieustanne kłopoty.

Wreszcie dotarli na miejsce. Kwatera okazała się bardziej wygodna niż Czarny się spodziewał; izba, choć wspólna dla trzech, była dostatecznie obszerna, a i stajnia zapewniała koniom należyte schronienie.

Hubert postanowił następnego dnia poświęcić na odpoczynek, opo- rządzenie koni i rynsztunku oraz przysposobienie kwatery. Toteż ustalił spotkanie z Langerem z odpowiednim opóźnieniem, od razu w owej oberży „Pod Dwoma Krzyżami”, by stamtąd rozpocząć poszukiwania.

Miał czas do południa, więc już z rana, zabrawszy ze sobą Rocha i Waškę, ciekawych zwłaszcza portu, wyruszył obejrzeć miasto. Objasniony uprzednio przez Langerę, skierował się ku Żabiej Bramie, przez którą dostali się na Główne Miasto otoczone murami. Potem skręcili w ulicę Ogarną i wkrótce ujrzeli skrawek mętnej wody Motławy.

Mimo późnej jesieni ruch był tu jeszcze znaczny. Uwijali się dokerzy i tragarze, wrzeszczeli dozorcy, kręcili się różni pracownicy i funkcjonariusze portowi, których jako maklerów, brakarzy czy mierniczych Czarny poznał dopiero z czasem.

Nieliczne już o tej porze statki wyciągały ku niebu maszty z rejami pozbawionymi żagli. Jednak stały tu jeszcze jeden za drugim karaki, karawelę o wysokich kasztelach na rufie i dziobie, barki, a także rzeczne szkuty, komiegi, dubasy czy mniejsze galarki i lichtany. Nie wszystkie potrafilo rozemnać, ale mimo to budziły ciekawość zwłaszcza Rocha i Waški, którzy oglądali je po raz pierwszy.

Wzdłuż przeciwległego nadbrzeża, gdzie również stały statki, wznosiły się szeregiem paropiętrowej wysokości wielkie magazyny zbożowe, miały swoje nazwy wypisane bądź na murach, bądź kolorowych tarczach, jak: „Modra Gęś”, „Tańczący Niedźwiedź” czy „Jego Wielmożność”.

Czarny opuścił wkrótce towarzyszy i ruszył na poszukiwanie wskazanej gospody. Wiedział, że stoi blisko Bramy Św. Ducha, przy i ulicy o tejże nazwie, toteż kierował się ku widocznej z dala, wysokiej, ciemnej sylwetce żurawia, podobnego ogromnej postaci schylającej ciężki łeb nad wodę Motławy. Daleko za nim szarzały zamglonym zarysem zręby wież krzyżackiego zamku, niby groźna pięść zawieszona nad miastem. Nie dochodząc

do żurawia odnalazł Bramę Św. Ducha, a kiedy ją minął, dostrzegł blaszany szyld wiszący nad ulicą, z wymalowanymi na czerwonym tle dwoma krótkoramiennymi, białymi krzyżami.

Pchnął drzwi wejściowe i znalazł się w niedużej, ale dostatnio wyposażonej sali. Ciężkie, ciemne ławy i stoły o misternie rzeźbionych nogach ciągnęły się przy bocznych ścianach, a w głębi połyskiwała okuciami lada bufetu. Za nią wąskie drzwi prowadziły zapewne do pomieszczeń gospodarczych.

Ze względu na wczesną porę za stołami siedziało zaledwie kilku gości. Nieco na uboczu Hubert dostrzegł Langerę, ale zgodnie z umową nie podszedł jednak do niego, lecz zajął dalsze miejsce.

Czekając na służebną, dostrzegł jak Langer uniósł się zza stołu i zbliżył do siedzącego za bufetem mężczyzny. Nachylił się ku niemu i zapewne rzucił parę słów wyjaśnienia o nowo przybyłym, gdyż gospodarz obrzucił go spojrzeniem i ruszył, by osobiście obsłużyć.

Kiedy podszedł do stołu, Czarny spotkał się z nim wzrokiem i zagadnął półgłosem:

— Kufelek ciemnego, jeśli łaska, a poza tym chwilę rozmowy...

Gospodarz bez słowa skinął głową i oddalił się, po chwili wrócił z piwem i opadł na ławę nadmieniając zdawkowo:

— Mówił mi o was mój stary znajomy, Langer...

— Skoro mówił, to może i o tym, co chciałbym wiedzieć?

— Wymienił tylko osobę, nic więcej... — stwierdził krótko oberżysta.

— Wszakże polecił was jako swego człowieka. Czego zatem, panie, sobie życzycie?

— Przybyłem z daleka, by dowiedzieć się, co się stało z naszym wspólnym znajomym. Czy chciałbyś, łaskawco, udzielić mi w tym pomocy?

— Chęci mi nie brak, bom wysoko go cenił i wielce ubolewam, że zaginął. Ale czy zdołam, to sprawa inna.

— Wiecie coś o nim? Może pytał was o coś lub kogoś?

Gospodarz pokręcił przecząco głową.

— U mnie wiadomości rzadko zasięgał. A jeżeli, to z jego pytań trudno było domyślić się, o co mu chodzi.

— Czyżbyście niczego nie mogli sobie przypomnieć? Nikt go nie interesował? To byłaby cenna dla mnie wskazówka...

— Nie... — oberżysta zamyślił się, po czym rzucił z wahaniem:

— Chociaż istotnie, przypominam sobie...

— No... Pomyślcie proszę! — z ożywieniem ponaglił Czarny.

— Było to przed kilku tygodniami. Zagadnął mnie mimochodem, jak zwykł to czynić, czy bywa u mnie ktoś z zamku?

— A bywa?

— Z panów zakonnych nigdy, ale zdarza się, że zachodzą półbracia. Kiedyś byłoby to nie do pomyślenia, ale dzisiaj rygor u nich jest nie ten, co dawniej... Wiem o takich, nawet dostojnikach, co mają lubownice na mieście... — gospodarz wzruszył pogardliwie ramionami.

— A więc dowiedział się, że z zamku przychodzą? — ciągnął indagację Czarny. — Może wskazaliście mu jakieś imię? Boć na pewno tych, co tu bywają, znacie po nazwisku?

— On pytał sam o półbrata Gerarda Radtke.

— To już jest coś! — ucieszył się Czarny. — A bywał taki?

— Bywał, ale ostatnio go nie widziałem.

Hubert zastanowił się przez chwilę, po czym zadał kolejne pytanie:

— Czy brat Erazm bywał również i w innych oberżach? Może wiecie, w których?

Gospodarz uśmiechnął się.

— Na pewno bywał, ale przecież z tego mi się nie zwierzał.

— A o żadną nie pytał?

— Nie. Ale zagadnął mnie kiedyś, czy kaprowie mają jakąś swoją gospodę, w której zwykli najczęściej bywać!

— A więc pytał i o kaprów?! Ciekawe, po co byli mu potrzebni?

— Tego mi nie powiedział — oberżysta uśmiechnął się.

— Udzieliliście mu wyjaśnienia?

— Powiedziałem, co mi było wiadome, że najchętniej bywają „Pod Złotą Kotwicą”, u Koślawego.

— Tak się nazywa, czy to przezwisko?

— Przewisko, bo chromy. Przebiegły jak lis. Mówią o nim, że takż kiedyś kaperstwem się trudnił, ale tera? z powodu kalectwa jeno zrabowaną przez nich zdobyczą handluje.

— Gdzież znajduje się jego oberża?

Gospodarz spojrział spod oka na Huberta i pokręcił głową.

— Na Starym Mieście, przy Zbożowych Młynach na Kanale Raduńskim, niedaleko klasztoru sióstr brygidek. Ale nie radzę waści tam chodzić, zwłaszcza o zmroku, a do tego samemu...

— Sądę, że o zmroku wszędzie mało bezpiecznie...

— U nas w Głównym Mieście jest inaczej. Straży jest więcej i pilniej baczy na porządek.

Czarny uśmiechnął się.

— Najlepszy strażnik to mieczyk u boku!

— Jeśli człek dobrze nim włada... Ale my, mieszczenie, wolimy straż...

— Ja takż... — pośpieszył zapewnić Hubert. — Wojenne rzemiosło to nie nasz chleb. Dzięki, łaskawco, żeś nie odmówił mi rozmowy, ale raczcie jeszcze powiedzieć, czy nikt, poza mną, nie pytał o naszego przyjaciela?

— Nie, nikt.

— A ten Gerard Radtke? Mówicie, że dawno u was nie był — wszakże rad bym go zobaczył, a jeśli się da, to i pogadał. Toteż jeśli się ukaze, skłońcie go do powtórnego przybycia i dajcie znać Langerowi. On mnie powiadomi...

— Jeśli się pokaże, dam znać...

Już ta pierwsza rozmowa dostarczyła więcej wiadomości, niż się Czarny spodziewał. W dobrym więc nastroju wracał na kwaterę. Początkowo, zaciekawiony wskazanym śladem, od razu chciał iść do „Złotej Kotwicy”, ale rozważa kazała opanować zniecierpliwienie i najpierw przemyśleć sprawę.

Skorzystawszy z pobytu w gospodzie, spożył już południowy posiłek i nie wątpił, że jego towarzysze uczynili to samo, toteż ruszył od razu do siebie, rozmyślając po drodze o informacjach oberżysty.

Pojawiły się dwa wątki, dające pewne nadzieje na pogłębienie uzyskanych wskazówek. Pierwszy, to ów pólbrat Radtke. Gdyby udało się go odszukać i nieco nacisnąć, może coś by powiedział? Dlaczego interesował Erazma? Wprawdzie już sama jego służba na krzyżackim zamku budziła ciekawość, ale czy tylko ona była przyczyną? Tu przyszło Czarnemu na myśl, że popełnił błąd, nie pytając oberżysty o funkcję pełnioną przez owego pólbrata. Może coś o tym wie? Postanowił ten błąd naprawić, ale po zastanowieniu się doszedł do przekonania, że odpowiedź na to pytanie miałaby wówczas znaczenie, gdyby musiał nadal prowadzić pracę brata Erazma. Wątpliwe jednak, czy tą drogą wyjaśni, co się z nim stało?

Natomiast drugi wątek — to zainteresowanie kaprami — znacznie bardziej zaintrygował Huberta. Co za tym mogło się kryć? Jaką korzyść mógł mieć z morskich rozbójników, tego bractwa spod ciemnej gwiazdy?

Tu raptem przypomniał sobie swą przygodę z młodzieńczych lat, kiedy pojmany na hulku, właśnie w gdańskim porcie przez „Kosookiego”, przywódcę zgrai kaprów, został uwolniony właśnie dzięki bratu Erazmowi i dziwnemu posłuchowi, jakim się cieszył wśród bandy i u jej herszta. Jak się potem dowiedział, „Kosooki” udzielał bratu pomocy — ale potem poniósł śmierć w wilczym dole nad Drwęcą. Czyżby i teraz Erazm chciał nawiązać kontakt z kaprami i korzystać z ich pomocy? Byli to sojusznicy wielce niebezpieczni, ale cenni, bo umieli dotrzeć wszędzie. Mieli swoich ludzi w różnych kręgach mieszczańskich; nawet niektórzy z rajców okazywali im skrytą przychylność, nie bez korzyści dla siebie.

Może zatem udałoby się uzyskać ich pomoc albo chociaż informację o zaginionym? Tak czy inaczej, mimo ostrzeżeń oberżysty, odwiedziny tej ich oberży były konieczne, i to możliwie rychło.

Obaj kompani byli już od dawna na kwaterze i zaczęli się nawet niepokoić jego długą nieobecnością.

— Jedliście coś? — zatroszczył się Czarny po krótkim sprawozdaniu z odbytej w „Pod Dwoma Krzyżami” rozmowy.

Jedliśmy w jakiejś oberży po drodze — wyjaśnił Roch.

— Trzeba pogadać z gospodynią, czy nie weźmie nas na wikt?

— Waśko już gadał.

— No i co? — Hubert zwrócił się do pocztowego.

— Chce dwa grosze za dzień.

— Aż dwa grosze?! — nieomal krzyknął Czarny. — Czyżby postradała zmysły?!

— Razem z paszą dla koni.

— Co z tego? To na nas pozostaje po pół grosza! Za tyle wyżyje dostatnio cała rodzina! Zgodziłeś się?

— Bez was nie chciałem. Ale widzi mi się, że należy dać. Im lepiej będzie na nas zarabiać, tym będziemy bezpieczniejsi... Tu wszędzie o wiele drożej niż w kraju, a wygoda okaże się większa...

— Czort więc z nią! Jutro pójdziecie ze mną do „Złotej Kotwicy”! Jeno nie razem. Wejdziecie sami i siądziecie osobno, dając wszakże na mnie baczenie!

Oberża mimo pięknej nazwy mocno się różniła od tej „Pod Dwoma Krzyżami”. O ile tamta mieściła się w murowanej, ładnie zdobionej,

dwupiętrowej kamienicze, to ta znajdowała się w parterowym, odrapanym domu, pełnym zacieków brudu na popękanych tynkach. Były jak oblicza dwóch niewiast — jednej, malowanej barwicznymi, dbałej o siebie, i drugiej — steranej i zniszczonej niby twarz byłej ladacznicy.

Wnętrza także wielce różniły się od siebie. W „Pod Dwoma Krzyżami” ławy i stoły były ciemno barwione, połyskujące politurą, tu — z surowego drewna i ledwie przyheblowane. lada licha, byle jak zbita z desek, o blacie mokrym od piwa. Za nią siedział gospodarz, i jakby chciał dopasować się do otoczenia, miał kaftan przepasany lichym rzemykiem i mocno wytarte portki. Był masywnej postaci, barczysty niczym zapaśnik, o grubym karku i czerwonym, krwistym obliczu.

I tu, widać, z powodu wczesnej pory, przy stołach nie było prawie nikogo. Zaledwie kilka postaci majaczyło w panującym mroku, bo okna izby małe i zaciągnięte rybim pęcherzem nie dawały dużo światła.

Czarny wszedł pierwszy i zajął miejsce w pobliżu lady, gdzie łatwiej było nawiązać rozmowę z siedzącym za nią oberżystą. Kazał sobie podać piwo i, upiwszy nieco, zagadnął gospodarza:

— Nie wypilibyście ze mną, łaskawco, kufelka? Chętnie ugoszczę, bo radbym nieco pogadać...

— Kufelek nie zaszkodzi... — szynkarz obrócił się do stojącej na krzyżakach beczki i odkręcił kurek podstawiając cynowy kufel. Kiedy płyn zapienił się nad nim, obszedł ladę i mocno kulejąc, bo jedną nogę miał sztywną w kolanie, ciężko siadł przy stole Huberta.

I jam chętny do gawędy... — rzucił mierząc Czarnego badawczym, przenikliwym spojrzeniem małych, świecących jak czarne paciorki oczu.

— Gości teraz mało, to i czas się dłuży...

— Pod wieczór na pewno robi się tłoczno?

— Wieczorem to precyzyjnie się trudno. Narzekać nie mogę.

— Byłoby jeszcze lepiej, gdybyście mieli interes bliżej portu. Marynarska brać to dobrzy goście, można zarobić...

— I bez nich tu pełno, zresztą bywa, że przychodzą i oni...

Czarny uznał, że tego wstępu wystarczy i chciał przystąpić do sprawy bardziej istotnej, ale właśnie weszli Roch z Waską i gospodarz pokuśtykał, by ich obsłużyć. Kiedy wrócił, Hubert wznowił rozmowę.

Zapewne o późniejszej porze ktoś obsługuje gości? Wam byłoby za trudno...

— Mam do tego dziewczki. Goście lubią jak niewieście ręce trunek podają. — Szylnikarz uśmiechnął się dwuznacznie.

— I jest kogo w tyłek klepnąć — uzupełnił również ze śmiechem Czarny, po czym uznawszy, że komitywa została dostatecznie nawiązana, oświadczył:

— Przyszedłem do was nie bez powodu... — mruknął z udanym wahaniem.

— Cóż to za powód? — Oberżysta okazał zainteresowanie. — Ze mną możecie mówić o wszystkim.

— Przybyłem tu z Chełmna. Kum miesiąc temu wyjechał do Gdańska, bo zbożem handluje, i dotąd nie wrócił ani nie dał znaku życia. Mocno więc cała familia się troszczy, co mogło się z nim stać?

— Może przejechał pieniądze i boi się wracać? — rzucił z uśmiechem gospodarz.

— To był stary człowiek i nieskory do trunków.

— Czemu zatem w oberżach szukacie śladu? A osobliwie u mnie, gdzie kupcy nie przychodzą, a zwłaszcza zbożowi...

Dla spokojności sumienia, że wszystkie oberże obszedłem. W Głównym Mieście już byłem, teraz tu szukam...

— I wciąż bez skutku? Jakże się wasz kum zwał?

— Erazm z Opatowa... — Czarny uznał, że podanie zmyślnego imienia może utrudnić poszukiwanie, jednak zauważył: — Ale wiele wam to nie da, boć przecie go nie rozgłaszał. Raczej powiem wam, jak wygląda — człek niski, szczupłej postaci, o chudej, pomarszczonej twarzy, łysy, jeno z otokiem siwych włosów wokół głowy... — wyjaśnił Czarny i dorzucił porozumiewawczo: — za wieść o nim nie poskąpię grosza...

Czarne oczka oberżysty zabłyśły w wąskiej szparze powiek.

— Może i taki był... — mruknął jednak obojętnie, jakby nie dostyszał obietnicy. — Ale pewny nie jestem. Szczerze chciałbym być wam pomocny, jednak nie dla zapłaty, a z chrześcijańskiej uczynności... Przepytam tedy moich gości, tych, co tu częściej bywają... Jeśli znajdę takiego, który coś będzie wiedział, wówczas jemu trzeba będzie zapłacić, nie mnie. Ja z cudzych trosk zysków nie ciągnę!

Mimo tak pięknej deklaracji, Czarny domyślił się, że nie obejdzie się bez kosztów, i to zapewne znacznych. Tylko że odbierze zapłatę nie oberżysta, a ktoś podstawiony, natomiast wiadomość będzie zapewne wątpliwej wartości. Jednak nie okazał swych podejrzeń, a przeciwnie — żywe zadowolenie.

— Wielce wam, łaskawco, będę zobowiązany! Oby tylko udało się go odszukać!

— Gdzie wasz kum mieszkał?

— Wiem tylko tyle, że gdzieś na Długich Ogrodach, ale u kogo, nic mi nie wiadomo.

— Sam opis wyglądu może nie starczyć... Żeby chociaż wiedzieć, z kim tu się stykał, z kim miał interesy?

— Gdybym to wiedział, nie musiałbym łązić po oberżach — westchnął Czarny.

Oberżysta chwilę zastanawiał się, wreszcie odezwał się z wahaniem:

— Coś mi się wydaje, że takiego człowieka widziałem u siebie. Rozpytam wszakże, by się upewnić, wy zaś przyjdźcie za dwa dni, lecz nie tak wcześnie, aby było z kim gadać!

Po tej rozmowie Czarny postanowił odwiedzić także owego rybaka, u którego korzystał z noclegów brat Erazm. Niewiele spodziewał się po tej wizycie, ale był to ostatni już ślad, jaki mu pozostał, nie chciał więc poniechać i tej drobnej szansy.

Należało jednak najpierw porozumieć się z Langerem, gdyż nie wiedział, gdzie ów rybak mieszka.

Langera znalazł w porcie, bowiem umówili się, że w domu będzie go szukał tylko w razie pilnej konieczności. Ustalili termin i wybrali we trzech, bo przyłączył się do nich i Roch, znudzony przebywaniem na kwaterze.

Dalekie Ogrody ciągnęły się na wschód od Motławy, za Wyspą Spichrzów.

Był to teren bagnisty, częściowo osuszony kanałami. Główny biegł wzdłuż rzeki, a dwa boczne tworzyły groble: północną, zwaną Angielską, i południową — Szkocką. Obejmowały one środkową część terenu, gdzie głównie znajdowały się luźno rozrzucone obejścia mieszkańców w większości otoczone sadami i warzywnymi ogrodami.

Minęli Bramę Kotwiczników, po chwili skręcili w Krowią i po moście, który od niej prowadził, przedostali się na drugi brzeg rzeki.

Okazało się, że czeka ich długa droga. Trzeba było przejść przez Wyspę Spichrzów, potem iść jeszcze sporo czasu, aż wreszcie Langer zatrzymał się przed drewnianym domem z suszącymi się wokół niego sieciami.

Wyszedł im naprzeciw niepozorny człeczyzna, odziany w byle jaką kapotę. Ujrawszy Langera, już z daleka powitał go skinieniem ręki. Ten ruszył ku niemu i wdał się w pogawędkę, której wprawdzie Czarny nie słyszał, ale ze spojrzeń rzucanych w ich kierunku domyślił się, że są jej tematem. Po chwili obaj obrócili się i podeszli do niego.

Objąsniałem właśnie gospodarza, w czym rzecz — poinformował Czarnego Langer. — Gotów jest z wami pogadać, jak i pokazać ową izbę brata Erazma, gdzie on sam lub przystani przez niego ludzie spędzali czasami noce...

Wdzięcznym sercem przyjmę wszelkie wiadomości o moim krewniaku — zwrócił się Hubert do rybaka. — Ale może wprzód obejrzę tę jego izdebkę?

— Chętnie ją ukażę, wszakże nic w niej ciekawego nie najdziecie... Licha ona, a do tego na poddaszu... Nie możny ja kupiec, a prosty rybak, toteż w bogactwa nie zasobny...

— Wszakże radbym do niej zajrzeć — oświadczył Czarny i sięgnąwszy za pas, podał rybakowi skojca. — A to za waszą usługę, zechciejcie przyjąć w podarku...

Ależ, wasza miłość... — wyjął zaskoczony tym gospodarz. — Niechże wam Bóg pobłogosławi w waszych poszukiwaniach! Chodźcie, łaskawi panowie, za mną i obejrzyjcie izbę! Jeno wejść do niej trudno, bo schody strome i wąskie!

Istotnie, pomieszczenie, z którego korzystał brat Erazm, było nad wyraz ubogie. Jedno małe okienko skąpo oświetlało nieduże wnętrze. Przy jednej ze ścian stała drewniana prycza, wypełniona słomą przykrytą starym kocem, obok nieduży stolik i taboret uzupełniały jej wyposażenie. Przymocowany do ściany wieszak z drewnianymi kołkami zastępował szafę, a ogarek świecy był przyklejony do glinianego spodka.

Mimo to Czarny uważnie obejrzał izbę, zajrzał do kątów, nie omieszkał wsunąć rękę pod koc i przetrząsnąć palcami słomę. Nic jednak te oględziny nie dały, toteż już kierował się do wyjścia, kiedy omiatając izbę ostatnim spojrzeniem, dostrzegł rąbek papieru ledwie wystający spod talerzyka ze

świecą. Zaciekawiony zbliżył się do stołu odsunąwszy ogarek ujrzał oddarty skrawek z nakreślonymi węglem słowami.

Za ciemno było w izdebce, by odczytać treść, toteż ruszył do wyjścia. Mimo zaproszeń gospodarza, nie zatrzymał się w jego mieszkaniu, bo i tam było mało co widniej, a także zbyt mocno śmierdziało rybami. Wyszedł więc na dwór i dopiero przy dziennym świetle odczytał mało wyraźne pismo. Zawierało ono tylko kilka słów: „Szpital Św. Ducha. Głaz”.

Rozczarowany spojrzał na towarzyszy, z zaciekawieniem przyglądających się kartce, przeczytał im głośno treść i spytał:

— Czy wiecie, co by to miało znaczyć?

Langer bezradnie wzruszył ramionami, ale rybak oświadczył wyraźnie poruszony:

— Ja... ja chyba wiem, co jegomość zapisał...

— Mówże więc, człowieku! — ponaglił Czarny.

— W czasie ostatniego pobytu pytał, czy wiem, gdzie mieszka małodobry... Widać zapisał, co mu powiedziałem.

— Pytał o kata?! — zdumiał się Czarny. — Po cóż byłby mu potrzebny? -zwrócił spojrzenie na Langerę, jakby od niego spodziewał się otrzymać wyjaśnienie.

Ten jednak był równie zdumiony i tylko mruknął:

— Skądż[®] to mogę wiedzieć?

— Mieszka zatem przy szpitalu Św. Ducha? — już spokojnie spytał Czarny. — A co znaczy ten głaz?

Rybak skinął głową.

— Istotnie, w pobliżu Rada przydzieliła mu dom. Poznać go można, bo przy furcie leży wielki kamień. Pusto tam i dziko, akurat dobre miejsce dla takiego człeka.

— Gdzież jest ten szpital?

— Na północ od Starego Miasta — objaśnił Langer. — Trzeba iść Korzenną do Bramy Św. Ducha, a za nią jeszcze kawałek drogi. Mają go pod swoją pieczę siostry brygidki.

— Hm... — Czarny schylił głowę w zamyśleniu. — Czego mógł potrzebować brat Erazm od kata? Muszę to wiedzieć...

— Chyba nie pójdziecie do niego?! — nieomal z przerażeniem spytał Langer. — Toć to nieczysty człek! Baczcie, aby was nie dotknął, bo będziecie na zawsze skalani! Już samo z nim przebywanie ściągga nieślawę!

— Skoro nie bał się tego brat Erazm, nie ulęknę i ja!

— Zadając się z nim łatwo skusić nieczyste siły!

— Wszakże spodziewam się, że może więcej mi powiedzieć niż ten karczmarz ze „Złotej Kotwicy”!

— Jeden wart drugiego... — skomentował krótko Langer kończąc tym rozmowę. Pożegnali wkrótce rybaka, który żadnych innych informacji nie umiał już udzielić, i ruszyli w drogę powrotną.

Przed wyprawą do małodobrego Czarny postanowił najpierw powtórnie odwiedzić oberżę „Pod Złotą Kotwicą”. Pamiętał wskazówkę gospodarza, by przybyć o późniejszej porze, a więc o konieczności nocnego powrotu. To nakazywało ostrożność. Toteż zabrał ze sobą Rocha i Waśkę, przykazawszy, by jak poprzednio weszli do oberży dopiero w jakiś czas po nim i bez zwracania na siebie uwagi usiedli osobno.

Tym razem izba była pełna, panował w niej gwar i śmiechy rozochoconych trunkiem gości, wśród których uwijały się dorodne służebne. Wnętrze oświetlały latarnie umocowane na ścianach i tu, i ówdzie palące się świece. Rzuciły chybotliwe blaski, tworzące na ścianach ruchome, przesuwane się cienie. Hubert musiał przeciskać się między stołami, aby dotrzeć do bufetowej lądy. Wszakże torowania sobie drogi przy użyciu siły nikt nie brał mu za złe, nawet nie zwracając na to zbytnej uwagi. Uznawano to widać za rzecz zwyczajną, tym bardziej że nie inaczej radziły sobie i służebne dziewczki, bez skrupułów odpychając znajdujących się na drodze gości.

Zajęty wyszynkiem oberżysta tylko krótkim skinieniem głowy odpowiedział na jego powitanie i bez bliższych wyjaśnień mruknął:

— Idźcie w te drzwi — skierował za siebie kciuk — potem pierwsze po prawej ręce...

Czarny ruszył we wskazanym kierunku. Po drodze przesunął spojrzeniem po sali, chcąc sprawdzić, czy obaj jego towarzysze już nadeszli.

Właśnie wchodzili i także rozglądali się po sali, wkrótce więc się wzajemnie spostrzegli. Czarny, pewny, że już będą wiedzieli, dokąd się udaje, pchnął wskazane mu drzwi.

Znalazł się w krótkim korytarzyku, na wprost uchylonych drzwi pozwalających ujrzeć oświetlone wnętrze kuchni. Te, które mu wskazano, były jednak zamknięte.

Otworzył je i znalazł się w małej izdebce. Pośrodku niej stał tylko jeden stół, obstawiony kilku zydłami, z palącą się na nim latarnią. Resztę wyposażenia stanowił długi regał z półkami, na których stały szeregiem słoje, garnki i gliniane dzbany, zawierające widać zapasy oberży.

Za stołem siedział młody dorodny mężczyzna, o czarnych, krótko przystrzyżonych włosach i orlim profilu przystojnej twarzy.

Przez chwilę mierzył wchodzącego lustrującym spojrzeniem, po czym wskazał mu dłonią miejsce za stołem.

— Siadajcie, panie — zaprosił z uśmiechem. Sięgnął po stojący na stole dzban i napełnił przygotowany już kubek. Czarny ze zdziwieniem dostrzegł, że nieznajomy częstuje go winem. Zaskoczony, że w tak nędznej oberży otrzymuje taki drogi trunek, zajął bez słowa wskazane miejsce.

— Mówił mi Koślawy o waszej sprawie, mości... — zawiesił głos w oczekiwaniu na prezentację.

— Arnold Ratenau — Czarny powtórzył podane już oberżysty nazwisko, po czym dorzucił: — Radbym także wiedzieć, z kim mam okazję...

— Z Protym Żeglarzem. — Mężczyzna uniósł swój kubek zapraszającym gestem, a kiedy Hubert poszedł za jego przykładem, nie przestając się uśmiechać, zauważył: — Wszakże wiele się o mnie nie dowiedziecie, jeśli pod tym imieniem będziecie chcieli mnie szukać!

— Dzięki za to objaśnienie — odpowiedział spokojnie Czarny nie odwzajemniając uśmiechu. — Nie wiem jednak, po co miałbym o was pytać?

Mężczyzna zmierzył go krótkim, ostrym spojrzeniem. Z jego twarzy także zniknął uśmiech, kiedy spytał:

— Koślawy wspominał, że kogoś tam szukacie i gotowi jesteście dobrze zapłacić za wiadomość, co z nim się stało?

— Istotnie, jestem gotów ponieść koszt, ale czy zapłata będzie dobra, to rzecz względna. Co dla mnie ważne, dla drugiego może być nie warte zachodu...

— Toteż ostawmy tę sprawę na boku — przyjdzie czas, będziemy o tym gadać! Teraz powiedzcie, jak zwał się ten człowiek, jak wyglądał, jakie miał nawyki — krótko mówiąc, opiszcie go dokładnie!

Czarny dał wierny opis brata Erazma, starając się nie pominąć najdrobniejszych szczegółów. Jego towarzysz słuchał z uwagą, ze wzrokiem utkwionym w blat stołu. Tylko w pewnej chwili na jego nieruchomej, jakby zastygłej twarzy ukazał się nikły, ledwie dostrzegalny ślad uśmiechu, którego znaczenia Czarny nie zdołał się domyślić. Kiedy skończył, Prot podniósł na niego wzrok i odezwał się:

— Coś niecoś wiedziałem już od Koślawego, ale wasz opis wyraźniejszy. Mało go jednak, żeby odszukać w tak wielkim mieście pojedynczego człowieka... Toteż koszt będzie duży; rzecz prosta, jeśli dowiem się, co z nim się stało. A jak się zwał?

— Erazm z Opatowa... — odpowiedział Czarny, dodając: — Duży, to znaczy ile?

— Pięć grzywien, ale jedną z góry, i to teraz, bez względu na rezultat!

— Aż pięć grzywien?! — Czarny był istotnie zaskoczony wysokością opłaty, ale nie omieszkał tego zaskoczenia okazać w przesadnej formie.

— Tyle nie mam! Będę musiał pożyczać!

— To już waści sprawa — oświadczył obojętnie Prot. — Wszakże przypominam, że zapłacicie tylko wówczas, jeśli owego człeka znajdziemy lub będziemy wiedzieć, co się z nim stało. Ale bez zaliczki nawet nie ruszę palcem, bo ludzie kosztują, a ja nie będę za was pieniędzy wyładać!

Czarny zdawał sobie sprawę, że może to być zwykła próba osiągnięcia tylko doraźnej korzyści, bez zamiaru dotrzymania ugody, postanowił jednak ponieść ryzyko, chociażby dla przekonania się, z kim przyszło mu się zetknąć. Jeżeli bowiem istotnie ów Żeglarz potrafiłby wykonać takie zlecenie, nawiązanie z nim kontaktu mogłoby okazać się wielce przydatne również w przyszłości. Biorąc więc obie ewentualności pod rozwagę, odpowiedział stanowczo:

— Rozumiem, że muszą być koszty początkowe, ale będąc w podróży nie mogę pozostać bez grosza. Daję ćwierć grzywny, bo więcej nie zdołam. Przyjdzie do rozliczenia, wówczas resztę zdobędę. A teraz daję, co mam!

Wyciągnął sakiewkę i odliczając oferowaną kwotę, umyślnie nie ukrywał, że mało co w niej zostało. Prot spojrzął na niego, potem na pieniądze, wreszcie bez słowa skinął głową, ściągnął brzegiem dłoni monety ze stołu i wsunął je do mieszka za pasem.

— No, niechże będzie i tak... Gdzie przestać wam wiadomość, jeśli będzie trzeba się spotkać? — rzucił jakby mimochodem. Wszakże Czarny nie dał się zwieść pozornie obojętnym tonem pytania i odpowiedział swobodnie:

Będę odwiedzał tę oberżę co trzeci dzień, ale o wcześniejszej porze. Niech gospodarz przekaze mi wasze życzenie spotkania, jego miejsce i porę.

— Czyżbyście woleli nie zdradzać, gdzie mieszkanie? — z ironicznym uśmiechem spytał Żeglarz.

— Tak, jak i wy... Boć zamiast pytać mnie, mogliście wskazać, gdzie poza tą oberżą mogę was znaleźć.

Tym razem Prot Żeglarz roześmiał się głośno.

Podobasz mi się, łaskawco! Nie jestem ciekaw, gdzie i dlaczego się skrywasz, więc niechże tak będzie! — wyciągnął rękę przyjacielskim gestem.

Czarny odwzajemnił jej uścisk z taką samą pozorną szczerością.

Wkrótce znalazł się w nocnych ciemnościach i oczekiwał aż w świetle uchylonych drzwi oberży ujrzy swoich towarzyszy. Gdy się pojawili, gwizdnął cicho i po chwili ruszyli w powrotną drogę.

Księżyc świecił tylko chwilami, gdyż po niebie pędziły tabuny chmur, zasłaniając go na dłuższy czas. Ogarniała ich wtedy smolista czerń nocy, w której zaledwie mogli dostrzec nieco jaśniejszy pas drogi, i to nie dalej niż na parę kroków przed sobą.

Kiedy jednak obłoki odsłaniały księżycową tarczę, tego światła starczyło, by nie stracić kierunku i jako tako rozoznać się, gdzie się znajdowali.

— Uzyskaliście coś? — Waśko przerwał zalegające milczenie.

— Tylko obietnice. I to nie za darmo.

— I przystaliście?

— Uznałem, że warto. — Czarny pokrótce powtórzył przebieg rozmowy, po czym zakończył: — Jeśli to nie łgarz, wówczas skoro mu się nawet nie powiedzie, możemy na przyszłość uzyskać cennego pomocnika. Dlatego postanowiłem spróbować. Pieniędzy mi starczy, gdyż było wiadomo, że bez kosztów się nie obejdzie.

Z kim gadaliście? Chyba nie z oberżystą, bo bym widział.

Podaję, że z kimś pomiędzy nimi znaczniejszym. Choćby dlatego, że nie przy piwie siedział, a winem mnie ugaszcział.

— Zapewne któryś z kaprowych kapitanów. Powiedział, jak się zwie?

— Ponoć Prot Żeglarz. Ale zaraz ze śmiechem wyznał, że niewiele się dowiem rozpytując o to imię. Sądzę wszakże, że na poczekaniu go nie wymyślił, jeno musi mieć jakieś inne, bardziej znane przezwisko.

Waśko nie podjął dalszej rozmowy, lecz nachylił się ku Czarnemu i szepnął:

— Idźcie i głośno gadajcie dalej...

Hubert nie zdołał uzyskać wyjaśnienia tych słów, gdyż w następnej chwili już Waśki przy nim nie było. Nie zlekceważył jednak jego wskazówki i zagadnął Rocha nieco podnosząc głos. Mimo to starał się usłyszeć, co dzieje się w ciemnościach za jego plecami.

Długo nie czekał, gdyż wkrótce usłyszał krótki gwizd, po którym zawrócił i popędził z powrotem. Właśnie ukazał się księżyc i w jego świetle ujrzał sylwetkę Waśki, a przy nim jakąś postać, która wyrwała się z jego rąk usiłując się uwolnić.

Czarny wyrwał spod kaftana przytroczony tam krótki mieczyk i przystawił go do karku pojmanego.

— *Rusz się, a nadzieję cię niczym barana!*

Jeniec znieruchomiał. Był to niski, byle jak odziany chudzielec, którego twarz w mroku, jaki właśnie nastał, trudno było rozeznąć.

— *Usłyszałem, jak podązał za nami, i to blisko! Widać bał się nas zgubić w ciemnościach! — wyjaśnił Waśko.*

— *Ktoś jest i kto cię za nami wysłał? — rzucił Czarny naciskając ostrze.*

— *O rany boskie, panie, nie dźgajcie! — krzyknął ujęty. — Wszystko powiem, niczego taić nie będę! Zwą mnie Kosteczką, a poszedłem za wami, by zdobyć nieco grosza!*

— *Ruszyłeś sam na trzech! Gadaj prawdę, bo czasu wiele nie masz! Inaczej koniec z tobą! — Czarny nacisnął mieczyk.*

— *Już! Już gadam! Czart mnie wysłał, chciał wiedzieć, dokąd pójdziecie...*

— *Co ty pleciesz? Jaki czart?! Z nieczystym się zadajesz?*

— *Nie, panie! To nasz przywódca! Tak go zwą, bo groźny to człek!*

— *Wysoki, czarny?*

— *Tak, panie! A ślipia ma takie, że już niejedną portki przez nie zamoczył!*

— *Widzę, że na odwadze ci nie zbywa! — kpiąco rzucił Czarny. Zastanowił się przez chwilę i już spokojniej zagadnął chudzielca:*

— *Widzi mi się, że tym razem nie zełgałeś. Dlatego dam ci możliwość zarobku, i to sutego, ale tylko do pierwszego łgarstwa! Jeśli cię na tym przyłapię, to najdą cię z rozprutym brzuchem, bo krętacze mi niepotrzebni...*

— *A za co, panie, dacie mi ten zarobek? — spytał Kosteczka.*

Księżyc właśnie ukazał się, mogli więc w jego świetle ujrzyć chudą twarz, której wysunięta do przodu wąska broda i długi nos nadawały szczurzy wygląd. Gościł teraz na niej chytry uśmieszek. Widać pozbył się strachu, gdyż Czarny odjął mu od karku koniec miecza.

— *Będę potrzebował wiadomości, a ty będziesz je dostarczał, i to dobrowolnie. Jeśli odmówisz, nastawać nie zamierzam, bo nic mi po wymuszonych usługach. Ale płacę dobrze.*

— *Jakie to mają być wiadomości? Być może nie podołam waszym żądaniom?*

— *Widzę, że przezorności ci nie brak. A jakie, tego ci od razu nie powiem. Zostaniesz w swoim czasie o nich powiadomiony przez któregoś z nas, więc staraj się spamiętać, jak wyglądamy. Polecenie otrzymasz za dwa dni, w południe, przy Małej Wadze. Ruch tam duży, to i spotkanie choć trudniejsze, ale bardziej bezpieczne. Jeśli żądanie uznasz za zbyt dla ciebie trudne, twoja sprawa, ale zarobek przejdzie ci koło nosa.*

— *A wież ten zarobek wyniesie?*

— Będzie zależeć od trudności zadania. Pięć, dziesięć, dwadzieścia groszy, a może się zdarzyć, że i cała grzywna... — Czarny uznał, że nie szkodzi podsunąć Kosteczce i taką możliwość.

Istotnie, przynęta odniosła skutek, bo chudzielec nie zdołał opanować drzenia głosu, kiedy spytał:

— Gotowi jesteście tyle mi płacić? Nie kusicie aby mnie, biedaka?

— Po co miałbym to czynić? A czy rzetelnie płacę, przekonasz się rychło, jeśli okażesz się zdatny!

— Ależ zgoda, panie, będę wam służył! Jeno abym podołał!

— To obaczym. O kłamliwych wiadomościach już mówiłem, zatem wiesz, czym to grozi. Ale jest jeszcze jeden warunek: — ów Czart nie śmie wiedzieć o naszej ugodzie. Zresztą od tego zależy i twoje bezpieczeństwo, bo jeśli czegoś się domyśli, zapewne długo nie pożyjesz...

— Sam to wiem, panie...

— A teraz zmiataj i nie fez za nami. Hersztowi możesz rzec, że po ciemku straciłeś nasz ślad, ale nie zmyślaj niczego, bo może cię na tym przyłapać i na żadne spotkanie już z nikim nie przyjdiesz! A nasze, jakem rzekł, za dwa dni!

— Tak, panie, przybędę o czasie... — rzucił Kosteczka niknąc w ciemnościach.

Po powrocie Rogoży i przywiezionych przez niego informacjach, dla Jaksy, księdza Drzewieckiego i Tęczyńskiego nastąpiły gorączkowe dni ostatnich już przygotowań. Rudy nawiązał kontakt z Lutkiem z Brzezia, u którego w dworze stały konie przeznaczone do pierwszego etapu ucieczki. Nie szczędząc wierzchowca udał się też do odległych o osiem mil Olkienik, gdzie miała znajdować się następna zmiana. Tam upewnił się, że istotnie czekała, a ponoć, jak mu mówiono, kolejna już była w Wasiliszkach. Uspokojony wrócił następnego dnia z tą pomyślną wiadomością do Wilna.

W tym czasie Drzewiecki i Tęczyński także nie próżnowali. Należało obmyślić, w jaki sposób król wydostanie się z zamku, a potem dotrze do przygotowanych koni. Nie było to zadanie łatwe, bo chociaż zwykł wyjeżdżać na pobliskie polowania bądź spacerować dla zażycia ruchu, zawsze towarzyszyli mu strażnicy.

Znaleźli jednak sposób, jak i miejsce odpowiednie do uwolnienia się spod ich pieczy, a także podprowadzenia tam wierzchowców. Była to kupiecka składnica stojąca przy drodze biegnącej u podnóża zamkowej góry, otoczona parkanem, z furtką wychodzącą na boczny zaułek. Furta ta, jak stwierdzili, za dnia była otwarta. Resztę tyłów posesji odgradzały od drogi bezokienne ściany magazynów.

Po ostatecznym ustaleniu szczegółów i sposobu pozbycia się straży, co stanowiło pierwszą trudność, należało zaznajomić króla ze wszystkimi szczegółami, by wiedział, co sam ma czynić.

Już poprzednio, acz nie bez wahań, wyraził zgodę na podjęcie ryzyka ucieczki, gdyż rozumiał, że jest to, wobec zawziętości Świdrygiełły, jedyna droga dla wydostania się z niewoli. Teraz już tylko wysłuchał pouczeń obu swych dworzan i wnet, pojąwszy ich zamierzenia, bez sprzeciwu wyraził zgodę.

Następnego więc ranka okazał chęć odbycia konnego spaceru. Ponieważ zdarzyło się to nie pierwszy raz, bez trudności przygotowano wierzchowce dla króla jegomości, także jego towarzyszy, którymi mieli być Jaksza i Lech. Dołączyło do nich jak zwykle dwóch strażników z zamkowej załogi i mały poczet z wolna wyjechał za bramę zamku.

Jagiełło nigdy nie ubierał się strojnie. Nosił zwykłą, szarą kurtkę lub niczym nie wyróżniający się ciemny kaftan. Teraz również miał na sobie krótki, nawet mocno już przetarty kożuszek i byle jaką futrzaną czapkę. Jechał na czele, mając po bokach swoich towarzyszy, baczących, by łby ich koni nie wysunęły się przed królewskiego wierzchowca, bo tego wymagał dworski obyczaj. Obaj strażnicy odstali nieco w tyle wiodąc jakąś rozmowę, nieświadomi oczekującego ich losu.

Skręciwszy na podzamkową drogę jechali nią przez pewien czas, aż w pewnej chwili król wstrzymał wierzchowca.

— Widzę tu sposobne miejsce — zwrócił się do strażników — toteż udam się za swoją potrzebą...

Nie bacząc na ich odpowiedź zeskoczył na ziemię i rzuciwszy wodze Lechowi, skierował się ku widocznej w pobliskim zaułku uchylonej furcie, niknąc za nią.

Obaj jego dworzanie, jak i strażnicy pozostali w siodłach, czekając na powrót króla jegomości.

Po pewnym czasie jeden z litewskich wojowników zwrócił się do towarzysza:

— Marudzi miłośnicy pan... Długo to trwa...

— Widać niełatwo mu idzie! — roześmiał się drugi, ściągając wodze szarpiącego łbem wierzchowca.

Inne konie stały spokojnie, tylko od czasu do czasu uderzając kopytem o zmarzniętą ziemię na znak zniecierpliwienia.

Udzieliło się ono i strażnikom. Jeden z nich zwrócił się wreszcie do Jaksy, który, tak jak i Lech, nieruchomo trwał w siodle.

— Ej, pan, może pójdziesz ponaglić batiuszkę korola?!

— Nie moja sprawa... — Jaksza obojętnie wzruszył ramionami. — Jak poszedł, tak wrócił... A mnie ponaglać władcy nie uchodzi!

Zamilkli i czekali nadal, jednak żołnierze zaczęli okazywać coraz większy niepokój.

— Wasyl, skocz no za furtkę i obacz, co się z nim dzieje! — zdecydował się wreszcie jeden z nich. — Stary już człek, może zasłabł?

Wezwany zeskoczył z siodła i zniknął za furtką. I jego dość długo nie było, ale kiedy nareszcie ukazał się, miał twarz białą z przerażenia.

— Rozpytywałem ludzi! Widzieli siwego starca! Prowadził go jakiś młody ku głównej bramie, wiodącej na następną ulicę!

— Matuszka Boża! — krzyknął na tę wiadomość jego towarzysz. — Na siodło, Wasyl, i do zamku! On nam udrał!

Nie zwracając uwagi na Jaksę i Lecha, poderwali konie i bijąc je nahajkami, pochyleni w siodłach, pognali z powrotem.

Ci zaś pozostawieni na drodze wymienili między sobą porozumiewawcze uśmiechy, zawrócili i z wolna podążyli za nimi, prowadząc królewskiego wierzchowca.

Nie mieli powodu do pośpiechu, toteż kiedy na zamkowym majdanie oddawali pachołkom konie, panował już tam niezwykle ruch i bieganina. Ponad ogólnym gwarem górował jednak pełen wściekłości wrzask Świdrygiełły, który, obudzony z pijackiego zamroczenia, osobiście poganiał żołnierzy do natychmiastowego pościgu.

Jakoż ponaglany księżęcym krzykiem i groźbami wkrótce wypadł za bramę oddział konnych, jeszcze w siodłach dopinając pasy z bronią.

Wreszcie kniaź resztę wściekłości wyładował na nieszczęsnych strażnikach. Zostali uwięzieni, najpierw poddani okrutnym torturom, a potem straceni. Natomiast nad całym królewskim dworem pozostałym na wileńskim zamku na osobisty rozkaz kniazia wzmocniono strażę, znacznie ograniczając swobodę jego ruchów.

Tęczyński, zaczajony za furtką, z niecierpliwością oczekiwał pojawienia się na drodze królewskiego pocztu. Kiedy go wreszcie ujrzał, odetchnął z ulgą. Ale jeszcze w napięciu obserwował, jak jadąc truchtem zbliżali się z wolna do miejsca, gdzie król powinien był wstrzymać wierzchowca.

Z radością i już odprężony zobaczył, że istotnie władca ściągga wodze i schodzi z konia, a potem zbliża się do parkanu. Omal nie wyrwał się mu naprzeciw, jednak opanował odruch i odczekał, aż Jagiełło minąwszy furtę nie będzie widoczny z drogi. Dopiero wówczas doskoczył do monarchy i bezceremonialnie ująwszy go pod ramię rzucił podniecony:

— Teraz szybko, miłościwy panie! Konie czekają w pobliżu!

Jagiełło bez słowa skinął głową i dał się prowadzić młodemu dworakowi. Przeszli przez plac zawalony stertami beczek.

Kręciło się po nim kilku ludzi, którzy Wszakże zajęci robotą nie zwracali na nich uwagi. Wkrótce dotarli do jakiegoś mieszkalnego budynku i minąwszy go, także przez nikogo nie nagabywani, skierowali się ku pobliskiej, szeroko rozwartej bramie.

Prowadziła na ulicę. Za nią stało czterech jeźdźców trzymając w pogotowiu dwa osiodłane konie.

Widząc zbliżających się, jeden z nich zeskoczył, podbiegł do króla i ująwszy go pod drugie ramię, pośpiesznie dopomógł dostać się na siodło. Był to Drzewiecki, uzbrojony, tak jak i inni, w przypasany do boku miecz. Udzieliwszy pomocy, dopadł swego wierzchowca i uszył w ślad za już umykającym oddziałem.

Wzięli króla pomiędzy siebie i pędzili nie zważając na pieszych, z których niejednego rzuciły na ziemię końskie kopyta. Przelecieli przez miasto, minęli Grodzieńską Bramę i wkrótce pozostawili za sobą ostatnie domy przedmieścia. Nie szczydził rumaków, gdyż zdawali sobie sprawę, że pościg będzie zażarty i tak długo kontynuowany, dopóki nie opuszczą litewskiej ziemi, a przewaga, jaką mieli, nie wynosiła więcej niż godzinę.

Wierzchowce gnały więc z wyciągniętymi szyjami, niczym lotne ptaki, a pochyleni w siodłach jeźdźcy jeszcze je ponaglali.

Król, nawykły do siodła, mimo podeszłego wieku trzymał się na nim pewnie, a nawet zagał rozmowę zwracając się do Drzewieckiego:

— Dokąd zmierzamy?

— Do Olkienik. Tam czeka zmiana.

— Aby wierzchowce wytrzymały. Szybko jedziemy...

— Wytrzymają! Wybrane najlepsze z najlepszych!

— Kto je przygotował?

— Książ Michał Buczański.

— Będę mu to pamiętać! — rzucił na wprost do siebie Jagiełło i już dalej o nic nie pytał.

W małym, sześciuosobowym poczcie zapanowało milczenie, bo trzech specjalnie wybrani do królewskiej ochrony rycerze także ze sobą nie rozmawiali. Zresztą szybki bieg rumaków nie sprzyjał gawędzie. Te zaś nie szczędziły sił, toteż droga uciekała spod ich kopyt do tyłu jakby ją ktoś śpiesznie pod nimi związał, a przydrożne drzewa pojawiały się i zaraz znikaly.

Po paru godzinach jazdy zwolnili, by dać wierzchowcom choć trochę odetchnąć, wnet jednak znów je ponaglił do dalszej gonitwy.

Do Olkienik dotarli o zmroku, ale powiadomieni o położeniu bojarskiego dworu, gdzie czekała zmiana, nie potrzebowali go szukać. Przesiedli się od razu i mimo proponowanej wieczerzy natychmiast ruszyli w drogę.

Posilili się w siodłach, bo o zapasach żywności nie zapomniano, i znów poddając się rytmicznemu kołysaniu końskich grzbietów rwali szlakiem szarzejącym przed nimi w ciemnościach.

Panujące w oddziale milczenie w pewnej chwili przerwał Tęczyński zwracając się do monarchy:

— Jak się czujecie, najjaśniejszy panie? Czy wytrzymacie całą noc jazdy, jaką mamy przed sobą?

— Stare już kości, ale wytrzymają — posłyszał w ciemnościach odpowiedź. — Przez całe życie częściej posługiwałem się koniem, niż chodziłem piechotą...

— Rad to słyszę, miłościwy panie, bo do Wasiliszek, gdzie czeka nas kolejna zmiana, szmat drogi...

— Zamierzacie tam wytchnąć?

— Czasu na to nie będzie. Zbyt blisko za sobą mamy pogoń!

— Ale oni zmian przecież nie mają! Muszą oszczędzić wierzchowce, a zatem chyba zyskujemy nad nimi przewagę?

— Zmian nie mają, ale będą zabierać konie z bojarskich dworów, boć na tych samych daleko nie zajadą!

— My mamy już przygotowane, oni zaś dopiero muszą ich szukać, a to zabiera dużo czasu. Dlatego sądzę, że należy najjaśniejszemu panu dać nieco odpocząć! Czekają go przecież nie przespana noc, do tego w siodle! — zaoponował Drzewiecki.

Spór ten rozstrzygnął jednak sam Jagiełło.

— Ostawcie to, waszmościowie, mojej woli. A ja sądzę, że lepiej zlecieć na ziemię, niż znów dostać się w ręce tego niecnoty...

Długo ciągnęły się godziny jazdy w nocnych ciemnościach, tym głębszych, że droga wiodła przeważnie lasami, gdzie nawet tuż przed końskimi łbami trudno ją było dostrzec. Jeźdźcy zdali się więc na instynkt

swoich rumaków i zluźniwszy wodze pozostawili im swobodę. Mimo to pędziły pewnie i szybko, a tylko czas nie chciał im towarzyszyć wlokąc się wolno.

Wreszcie jednak z ulgą dostrzegli, że ciemność zaczęła blednąć, stawała się coraz bardziej szara, a kiedy wyłonili się z lasu na otwartą przestrzeń pola, ujrzeni ponad ciemnym pasem otaczających go borów zielonkawą jasność, która z wolna zmieniała się w różową poświatę.

Drzewiecki ze strachem zauważył, że głowa króla zaczyna opuszczać się coraz niżej i choć podrywała się zaraz do góry, to jednak po chwili znów skłaniała ku dołowi.

— Najjaśniejszy panie... — jadąc przy królewskim boku, wyciągnął rękę i dotknął ramienia monarchy. — Już blisko, wkrótce będziemy na miejscu... Nie uśnijcie!

Jagiełło obrócił twarz z brwiami ściągniętymi gniewem:

— Co, acan, gadasz! Wcalem nie zmożon!

— Wybaczcie, wasza miłość, alem się wystraszył, że wnet spadniecie z siodła...

— Zmyślasz byle co! — wciąż gniewny fuknął król. — Na pewno wszystkich was przetrzymam! — po chwili jednak dorzucił: — Mówisz, że do Wasiliszek już blisko?

— Jeszcze ich nie widać, bo nocna ćma zasłania... Zanim jednak całkiem się rozwidni, będziemy już na miejscu! Tam nieco odetchniemy...

— Pytam, bo zjadłbym coś gorącego... — mruknął Jagiełło. — Poranny ziąb przenika do kości...

— Wytrzymajcie, miłoścy panie, za parę pacierzy otrzymacie posiłek! A i spocząć wam trzeba...

— Ty się nade mną nie użalaj! — znów z rozdrażnieniem burknął król.

— Spoczywać ani mi w głowie, bo pogoń mamy za sobą! Za dobrze znam Świdrygiełłę, bym sądził, że jej poniecha!

— Ale nie on jej przewodzi...

— To jeszcze gorzej, gdyż dworacy boją się go bardziej niż śmierci... Toteż koni żałować nie będą, bo nawet jeśli połowa padnie, reszty starczy, by nas pojmać!

Wkrótce istotnie wpadli pomiędzy pierwsze domy Wasiliszek, a w chwilę potem na podwórzec zajazdu. Posiadali z robiących bokami wierzchowców,

z których spadały płaty piany, i ruszyli do karczmy, gdzie palił się już pod kominem ogień obiecujący rychłą miskę gorącej stawy. Kiedy ją pośpiesznie spożyto, osiodłane już, świeże konie stały w podcieniu domu.

I znów rozpoczął się dzień nieustannego biegu. Znów kołysały ich grzbiety pędzących rumaków, znów droga uciekała do tyłu spod bijących w nią kopyt, znów trzeba było walczyć ze słabością coraz bardziej wyczerpanego ciała.

To wyczerpanie głównie dawało się we znaki królewskiej osobie; coraz wyraźniej było widać wysiłek, jaki go kosztowała walka ze zmęczeniem. Sami już mocno wyczerpani nużącą jazdą, tym bardziej podziwiali hart ducha i odporność sędziwego już przecież władcy. Zapewne jednak zamiłowanie do polowań, na których spędzał zwykle zimy, tak go przysposobiło do obecnego trudu.

Następną zmianę mieli w Dzierieczynie, dokąd było dziesięć mil, czyli nie mniej niż wynosiły dotychczasowe etapy. Nie przespana noc tym bardziej więc dawała się we znaki, zmuszając do obrony przed sennym zamroczeniem.

Ale król wciąż nad podziw dobrze trzymał się w siodle. Wprawdzie w jego ściągłej twarzy policzki jeszcze mu głębiej zapadły, bruzdy zaostrzyły się, a zaciśnięte usta świadczyły o walce z narastającą niemocą, lecz ani słowem nie zdradzał, jak dalece czuł się już słaby. Mimo to Drzewiecki nie miał wątpliwości co do jego stanu, więc przytrzymał nieco wierzchowca, pozwalając królowi wysforować się do przodu, i zbliżył do towarzysza.

— Jegomość dobywa resztek sił — rzucił półgłosem. — Trzeba nieco wytchnąć. Konie także odpoczną, nadrobimy stracony czas potem...

— I ja to widzę — zgodził się Tęczyński. — Natomiast w Dzierieczynie będziemy musieli zatrzymać się chociaż na kilka godzin, aby nieco pospał. Drugiej nocy nie strzyma...

— Trzeba istotnie, ale boję się, by nas nie dopadli...

— Przecież oni też nie z drewna, także muszą odetchnąć choć kilka godzin. Sądzę, że nic na tym nie stracimy. Zresztą innego wyjścia chyba nie mamy...

— No tak... — westchnął z troską Drzewiecki. — Upatrzmy zatem odpowiednie miejsce i zjedźmy w las..

W chwilę potem zahamowali konie i prowadzeni przez Tęczyńskiego skierowali się pomiędzy drzewa. Należało oddalić się na tyle, by pnie i bezlistne zarośla dały ostateczną osłonę od drogi.

Wkrótce znaleźli płytką kotlinkę, gdzie zatrzymali się.

— Odetchniemy, ale nie za długo — zdecydował Drzewiecki.

— Szybko natnijmy, panowie bracia, jedliny na postanie dla króla jegomości! Nikomu wszakże spać nie radzę, bo potem będzie trudno nawet wleźć na siodło.

Rycerze, obeznani z trudami wojaczki, polecenie przyjęli ze zrozumieniem. Wkrótce przygotowano dla króla postanie, czemu się nie sprzeciwił, a nawet z wyraźną ulgą rozciągnął się na nim i zasnął zanim przykryto go derkami. Oni zaś siedli pod drzewami i oparci plecami o pnie odpoczywali, uwiązawszy końce wodzy do przegubów rąk.

Po dwóch godzinach znów byli w siodłach i ruszyli w dalszą drogę. Teraz rumaków nawet i ponaglać nie było trzeba, bo wypoczęte, a także zziębnięte postojem, w biegu szukały rozgrzewki.

Już po ciemku dotarli do Dzierieczyna. Tu także czekała na nich zmiana w bojarskim dworze, należącym do krewniaka kamienieckiego starosty. Przygotowane więc konie były wyjątkowo dorodne. Zaproszenie zaś do dworu tym razem przyjęli radzi, że wreszcie dostaną gorący posiłek.

Należało także choć na kilka godzin zaznać i snu, toteż upewniwszy się, że straż staną nawet na gościńcu, by pogoń ich nie zaskoczyła, poukładali się na spoczynek.

Obudzeni zgodnie z żądaniem jeszcze przed świtem, zrazu nie wiedzieli, gdzie są, ale nieco zimnej wody rychło przywróciło świadomość, a potem, kiedy już byli w siodłach, ciągnący polem wiatr do reszty ich otrzeźwił.

Początkowo pokrzepiony snem król dobrze znosił jazdę, lecz już w południe znów raz i drugi zachwiał się w siodle, więc, mimo protestów, Drzewiecki powtórnie zarządził krótki odpoczynek w głębi lasu.

W Suchopolu, przewidzianym na następny postój, z konieczności zatrzymali się także na kilka godzin, jednak o północy ruszyli dalej. Do granicy było już blisko, więc była to ostatnia zmiana koni. Ale kiedy nastał świt i zrobiło się widniej, obaj jadący przy nim dworzanie dostrzegli, że dalszej jazdy król nie wytrzyma. Mocno tym byli stroskani, bo dostanie się w

ręce pościgu tak blisko celu byłoby iście przewrotnym zrządzeniem losu. Musieli więc zarządzić krótki postój.

Tym więc ostrzej gnali dalej, umówiwszy się, że ostatniego konia, który nie padnie, dosiądzie król jegomość.

Wkrótce wpadli do jakiejś wsi i pędząc przez nią dostrzegli żuraw studni, a przy niej szereg krytych pałubami wozów jakiegoś kupieckiego taboru, który widać zatrzymał się dla napojenia zwierząt.

Tknięty nagłą myślą Drzewiecki zdarł przy nim wierzchowca i krzyknął do jednego z woźniców:

— Hej, dobry człowieku, a dokąd to Bóg wiezie?!

— Do Chełma, panie, litewskie zboże wieziemy...

— Gdzie wasz patron?!

— A tam... — woźnica wskazał ręką.

Był to jednak gest zbyteczny, bo kupiec, zaniepokojony poczem kilku zbrojnych, sam podszedł do Drzewieckiego.

— Czym mogę wielmożnemu panu usłużyć? — spytał po polsku, uchylając czapki.

— To twój tabor, łaskawco?

— Mój, wielmożny panie...

— Jak się zwiesz i skąd jesteś?

— Mikołaj Garbny z Chełma...

Drzewiecki zeskoczył z siodła i ująwszy kupca za łokieć odprowadził parę kroków od wozów.

— Słuchaj uważnie, mości Garbny, co ci powiem, i nie dziwuj się. bo to, co usłyszysz, to rzetelna prawda! Masz okazję uzyskać wyjątkowe łaski naszego króla Władysława, jeśli wspomóżesz go w potrzebie!

— Ja? Nędzny kupiec, najjaśniejszego pana?! W jakim sposób?!

— Jeśli go skryjesz w jednym ze swych wozów! Umykamy przed litewską pogonią, która jest już blisko!

— Umykacie przed pogonią? I do tego litewską? Dlaczegoż to?

— Toś nie słyszał, że naszego pana pojmał Świdrygiełło i jako jeńca w Wilnie trzymał?

— Tak... To słyszałem...

Udało się nam wyrwać go z rąk kniazia i gnamy do granicy. Ale miłościwemu panu sił już nie staje, a także nie wiemy, czy i naszym

wierzchowcom ich starczy, Toteż chcę, abyś ukrył króla, i jeśli was Litwini dopadną, powiedział im, że sześciu jeźdźców nie tak dawno cię minęło...

— A gdzie jest miłościwy pan? — z niedowierzaniem w głosie spytał kupiec.

— Nie widziałeś go nigdy? Nie poznajesz tego siwego jeźdźca?

Kupiec spojrzął we wskazanym kierunku i ze zdumienia aż otworzył usta. Potem nagle, jak podcięty batem, zerwał z głowy czapkę i podbiegł do króla.

Miłościwy panie... Miłościwy panie... — pochylił się do strzemięcia i złożył pocałunek. — Zezwólcie, abym ja i mój tabor byli na wasze usługi! Jeśli wola, raczcie skorzystać!

Jagiełło nie rozumiejąc, o co chodzi, spojrzął pytająco na Drzewieckiego. Ten w paru słowach objaśnił władcę o sposobności ratunku, jaki dawał napotkany kupiec.

— A jeśli zechcą przeglądać wozy? — zawahał się król.

Musimy podjąć ten hazard, miłościwy panie, bo nie strzymacie dalszej jazdy, a do granicy jeszcze dzień drogi... Zresztą do głowy im nie przyjdzie, że przenieśliście się na byle jaką kupiecką tielegę...

My zaś przykryjemy waszą jasność, za przeproszeniem, starymi workami, to niech nawet i zajrzę! W mroku pod pałubą was nie dostrzegę! — wtrącił kupiec.

A więc niechże będzie, zdam się na Bożą Opatrzność i wierność tego człeka... — Jagiełło wyjął nogi ze strzemion i zsunął się na ziemię.

— Bądźcie spokojni, miłościwy panie, opieki wam nie zabraknie! Mniemam takoz, że lepiej będzie jak skręcimy z tej drogi w bok, ku Widomli. Zamierzaliśmy przebyć Bug w Brześciu, ale go ominiemy i przepawimy się we Włodawie, gdzie także jest prom!

Już bez straty czasu wyścielono w jednym z wozów postanie, a kiedy ledwie żywy ze zmęczenia król ułożył się, nakryto go stertą pustych worków.

Królewskiego wierzchowca przywiązał do swego siodła któryś z rycerzy i poczet pogalopował w dalszą drogę. Ruszył też z wolna i kupiecki transport.

Przewidywanie Drzewieckiego, że pogoń jest blisko, było słuszne, gdyż po kilku godzinach, kiedy już pod wieczór tabor zatrzymywał się w mijanej wsi na nocleg, nadleciało na spienionych koniach ze dwudziestu zbrojnych. Ale ani im do głowy przyszło przeglądać wozy, gdyż dowiedziawszy się, że nie tak dawno przeleciał tędy mały poczet jeźdźców, jak szaleni pognali dalej.

Tabor zaś zboczył i przedostawszy się pod Włodawą na ziemie koronne, podążył do Chełma. Jednak Jagiełło, do cna już wyczerpany najpierw gonitwą w siodle, a później monotonną i niewygodną jazdą w kupieckim wozie, zatrzymał się wcześniej we dworze Tur dla j wytchnienia i nabrania sił. Stąd poszły wieści do królowej Zofii i kanclerza Oleśnickego, wzywające ich na spotkanie do Chełma, dokąd i sam wkrótce się udał.

W miesiąc potem Świdrygiełło za poradą co rozsądniejszych boja- j rów, wskazujących na znaczne koszty związane z utrzymaniem dworu króla Władysława, nie tylko zezwolił, a wręcz nakazał Polakom, by opuścili Wilno. Spowodowało to ogólną radość, gotowano się gorączkowo do wyjazdu, czym cieszył się także i książę Henryk, dość mając przebywania przy prostackim Świdrygielle i jego litewskich wielmożach, j których wszakże mienił się przyjacielem.

Pełne napięcia dni zapanowały wśród królewskiego dworu na wieść o ucieczce monarchy. Dla większości była nieoczekiwana i zaskakująca, | ale dla wszystkich radosna. Obawiano się jednak, że każdej chwili mogą

wybuchnąć tryumfalne okrzyki oznajmiające sukces wyściganego pościgu. \ Snuto nawet obawy, czy nieobliczalny Świdrygiełło pojmanego króla nie wtrąci z zemsty do lochów, a jego asyście nie zada męczeńskiej śmierci, jak to uczynił ze strażnikami.

Upłynął jednak jeden dzień i drugi, a na zamku wciąż panował spokój, zakłócany jedynie pijackimi wrzaskami bojarów ucztujących ze swym kniazem.

Królewscy dworzanie, ograniczeni w możliwościach poruszania się, czekali w nużącej niepewności na zmianę losu. Kanclerz wyjechał, jego funkcję przejął Oporowski, ale odcięcie od kraju spowodowało zastój we wszystkich dyplomatycznych poczynaniach, a więc i wymianie listów. Toteż wicekanclerzowi, nadal utrzymującemu bliski kontakt z panem Zarębą, pozostawało dużo czasu na gawędy z kasztelanem, które ostatnio obracały się tylko wokół troski, czy powiodła się królowi ucieczka. Wszakże czas uchodził, a żadnych wieści nie było.

Także i ksiądz Andrzej nie miał wiadomości od Czarnego, których jednak zbytnio nie oczekiwał, spodziewając się ich raczej od niego samego, jeśli uda mu się wrócić szczęśliwie.

Natomiast obserwacja poczynañ Świdrygiełły nie nastęrczała trudności, gdyż nie umiał zbyt gęboko taić swoich zamysłów, zwłaszcza przy dzbanie wina. Proboszcz dowiedział się więc z jego otoczenia, że po królewskiej ucieczce, a zwłaszcza kiedy wkrótce potem nadeszła wieść o uwięzieniu Baby i Tarły, zarządził zbrojną wyprawę na Podole i Czerwoną Ruś. Ostrzegł jeszcze o tym kanclerza, sam już przygotowując się do drogi, gdyż królewski dwór oczekiwał na rozkaz opuszczenia Wilna.

Jaksa, po doraźnym zadaniu udzielenia pomocy spiskowcom, nie zapomniał i o gównym, które dopiero zaczął wykonywać. Spotykał się więc z Holeszką od czasu do czasu, dbając jednak, by te spotkania nie odbywały się za często, ale kiedy sam królewski trefniś proponował grę w szachy, chętnie przyjmował zaproszenie.

Zasiadali wówczas w izbie Holeszki i sięgając po kubki z miodem przemyśliwali w milczeniu nad kolejnym posunięciem.

Wszakże milczenie to czasami przerywał gospodarz, rzucając uwagi dotyczące gry lub też poruszając sprawy ich codziennego bytowania.

Podczas jednego z takich spotkań, nachylony nad szachownicą, przesunął figurę i rzucił od niechcenia, nie unosząc głowy:

— Waszmość to człowiek przezorny...

— Co waść masz na myśli? — zdziwił się Jaksa.

— Dowiedziałem się wczoraj, że Świdrygiełło nadał Niemierzę jednemu ze swych bojarów... Ponoć doniesiono mu o was, że wiernie służyliście Witoldowi.

Jaksa zastanawiał się przez chwilę, wykonał posunięcie i spytał:

— A nie dociekał, gdzie się obracam?

— Tego nie wiem. Ale w porę dobytek zabraliście, a i rodzinę także. Bo dworzanie zmarłego Witolda jeśli nie uciekli, to albo zostali wygnani, albo po lochach siedzą...

— Właśnie tego się bałem... — mruknął Jaksa wracając do gry. Zapanowało chwilowe milczenie, które znów przerwał Holeszko.

— Dobrze, że mieliście dokąd przewieźć rodzinę...

— Toć krewnych chyba nikomu nie brak... — zdawkowo zauważył Jaksę.

— Ale nie wszyscy na tyle bliscy, by chcieli obarczać się taką mitręgą... A waść, sądząc po męskim wieku, rodziciele już nie masz. Zapewne więc pojechali do brata czy też siostry?

— Nie, do szwagra...

— Czy także w królewskiej służbie? Może go znam?

— Nie, gospodarzy u siebie.

— Musi mieć zatem majątność. Nie dziwię się przeto, że żywy inwentarz także ponoć zabrałeś?

— Istotnie, była po temu możliwość...

— Tak? I udało się bydelko szczęśliwie doprowadzić? Przecież droga zapewne nie była krótka?

Mimo zdawkowych odpowiedzi Rudego, który udawał, że bardziej pochłania go gra niż interesuje rozmowa. Holeszko jej nie przerywał. Wszakże pytania zadawał jakby tylko dla okazania życzliwej troski.

— Tak, parę dobrych niedziel na nią zbiegło... — wyjaśnił Jaksę już z pewnym zniecierpliwieniem, aby dać wyraźniej do zrozumienia, że udzielanie odpowiedzi przeszkadza mu w grze. Holeszko zdawał się jednak tego nie dostrzegać.

— Mówisz, waszmość, że długo? Gdzież tedy leży dwór szwagra?

— Aż za Krakowem, w samborskiej ziemi...

— No... no... To istotnie szmat drogi... A jakże się zowie?

— Bory... — Rudy podał majątność rodzinną Czarnego, coraz bardziej podejrzewając, że pytania nie są przypadkowe, a jego gospodarz, mimo okazywanej wstrzeźliwości, pragnie dowiedzieć się o nim czegoś bliższego.

Wszakże i Holeszko widać wreszcie ocenił, że dalsze dociekania mogą wyrzeć takie wrażenie, gdyż poniechał już tematu, a tylko pomrukiwał komentując sytuację na szachownicy.

W pewnej chwili ich grę przerwało pojawienie się przybysza, którego Jaksę znał dotąd tylko z widzenia, nie miał jednak sposobności do osobistego spotkania. Był to pan Izidor Bukwa, królewski sokolniczy, człek nieco otyły, o pełnych błyszczących policzkach, szerokich wargach, dobrze widocznych pomiędzy zarostem, i małym nosku nie licującym z okazałością oblicza.

— Przyszedłem odwiedzić waćpana — wyjaśnił, zwracając się do Holeszki po krótkiej prezentacji. Widzę wszakże, że zabawiasz się szachami,

tedy przeszkadzać nie będę... Ale chętnie popatrzę, który z waszmościów silniejszy! Wielce lubię tę grę, jeno mi cierpliwości na długie myślenie nie staje, przez co rzadko udaje mi się wygrywać! — roześmiał się dobroduszenie.

— Kto mocniejszy łatwo waść dojdiesz, spojrzawszy na szachownicę! — rzucił Holeszko z irytacją. — Pan z Niemierzy tak mnie przycisnął, że ledwie dyszę!

— No, nie bądź waść tak skromny! — Jaksza uśmiechnął się. — Częściej mnie zdarza się poddawać partię! A że tę przegrywasz, to waści wina, boś więcej mówił, niż obmyślał posunięcia!

Pan Bukwa przysiadł do stołu i sięgnąwszy po kubek z miodem podany przez gospodarza przyglądał się jakiś czas szachownicy, wreszcie odezwał się komentując położenie pionków:

— Nie masz, Holeszko, już żadnych nadziei! Lepiej zacznij nową partię!

— Chyba na nową zbyt późno — zastrzegł się Jaksza. — Tym bardziej że czasu teraz mamy sporo, toteż i sposobności do gry jutro nie zabraknie.

— A więc częściej waćpanowie grywacie? — zainteresował się pan Bukwa. — Pozwólcie tedy, mości Holeszko, że będę do was zaglądał, bo radbym popatrzeć, jak walczą tacy majstrowie!

— Waćpan zbyt łaskaw — odpowiedział grzecznie Holeszko — ale skoroś ciekaw, przychodź kiedy wola. — Pogadawszy jeszcze, wkrótce rozeszli się, bo istotnie nadeszła już pora spoczynku.

Jaksza wracając do siebie zastanawiał się, czy wizyta pana sokolniczego była przypadkowa, czy też zaszedł do Holeszki, aby go poznać? Przyszło mu jednak na myśl, że popada raczej w przywidzenie, widząc wszędzie z góry obmyślane zamierzenia i podstępne działanie! Wszakże nie mógł pozbyć się wrażenia, że pytania Holeszki były celowe, ale czy były powodowane tylko zwykłą ciekawością, czy też chęcią bliższego rozeznania jego osoby, nie zdołał znaleźć jednoznacznej odpowiedzi.

Następnego dnia poniechali gry, gdyż ucieczka. Jego Królewskiej Mości narobiła wiele zamieszania i na inne tory skierowała ich zainteresowanie. Nie mówiono na zamku o niczym więcej, podziwiano przemyślność, z jaką była przygotowana, wierząc jednocześnie w jej powodzenie.

Wszakże, mimo dociekań, nie zdołano dojść, komu należało przypisać tę zasługę. Wiedzano jedynie, że wraz z królem zniknęli sekretarze królewscy,

wielebny Drzewiecki i młody Tęczyński. Kto jednak udzielił im pomocy, a zwłaszcza obmyślił imprezę, tego nikt nie umiał wyjaśnić.

Na następną partię szachów umówili się więc w dwa dni później, ale zanim po ustawieniu figur zabrali się na dobre do gry, zjawił się Bukwa i bardzo podniecony przyniósł wiadomość, która mocno ich poruszyła.

— Czyście już słyszeli?! — zawołał już od progu. — Ponoć nadleciał do kniazia goniec z wieścią, że król jegomość pojmany?! Książ Jerzy mając zmordowane wierzchowce zatrzymał się na postój, toteż wysłał putnika z tą wieścią.

Jaksza, wstrząśnięty tą wiadomością, wpatrywał się w sokolniczego z przerażeniem, jakby oglądał ducha, a nie żywą postać, natomiast Holeszko wykrzykiwał przejęty głęboko:

— To być nie może! Waść trzy po trzy pleciesz! Co jeszcze opowiada goniec?! Czy najjaśniejszy pan aby przy zdrowiu? Mów, jak do tego przyszło, gdzie go pojmano?!

— Nic więcej nie wiem, krom tego, com rzekł... — wydyszał sokolniczy. — Należy przepytać kniaziewych dworaków, może wiedzą coś więcej?

— Niech każdy z nas na własną rękę rozpytuje kogo może, a potem zejdziemy się i spróbujemy dojść, co się stało — zaproponował Jaksza.

— *Przednia myśl!* — zgodził się Holeszko. — *Chodźmy, waszmościowie, na pokoje i posłuchajmy, co gadają! Może któryś z litewskich panów coś nam powie, po czym spotkamy się u mnie!*

Jaksa chciał najpierw zobaczyć się z księdzem Andrzejem, ale ten był na naradzie u wicekanclerza, więc ruszył posłuchać, co mówią dworacy kniazia.

Wkrótce to, co usłyszał, wręcz zamęciło mu w głowie. Jedni twierdzili, że król nie ucierpiał, ale cały poczet broniący go do ostatka został wybity, drudzy mówili o pojmaniu wszystkich i prócz króla prowadzeniu ich na arkanach, wreszcie byli i tacy, którzy podejrzewali Lingwenowicza o opóźnienie powrotu nie z powodu pomęczonych koni, lecz poturbowania króla jegomości w czasie potyczki, co skłoniło młodego księcia do odłożenia powrotnej drogi, by pojmany mógł przyjść do zdrowia.

Nikt jednak nie umiał Jaksie odpowiedzieć dokładnie, gdzie to się stało i jak wiele czasu upłynie zanim król powróci na zamek.

Najdziwniejsze jednak wydało się Rudemu zaginięcie gońca! Wprawdzie wielu widziało jego przybycie, a potem chciało od niego samego Zasięgnąć języka, jednak nie udało się go odnaleźć.

Nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić, wrócił do Holeszki w nadziei, że być może on lub Bukwa dowiedzieli się czegoś więcej.

Byli już obaj, ale i oni nie mieli innych wiadomości. Holeszko skwitował to stwierdzeniem:.

— *Trudno się w tym rozeznąć! Każdy plecie co innego, ale żaden sam z putnikiem nie gadał, jeno powtarza, co mu inni mówili...*

— *Otóż to... — westchnął sokolniczy. — Dziwne mi, że nie wiadomo, co się z gońcem stało?*

— *Mimo że byli tacy, co widzieli jak nadjechał... — uzupełnił Jaksa.*

— *Dlatego, kto wie, czy to prawda? Czy aby w innej sprawie nie przybył, a ktoś umyślnie rozpuścił taką wieść?*

— *Możliwe... — zgodził się Holeszko. — Ale po co by to robił?*

— *Abyśmy wpadli w popłoch i ducha oporu stracili. Mógł to uczynić i sam Świdrygiełło, dość jest na to przebiegły i nam wrog!*

— *Trochę mi otuchy, waszmość, dodałeś! — Bukwa uśmiechnął się do Jaksy. — Pożegnajmy tedy pana Holeszkę, bo nic teraz więcej nie uradzimy. Być może sprawa jakoś się wyjaśni...*

Już na korytarzu Bukwa zwrócił się do Jaksy:

— *Zajdź, waszmość, jutro do mnie na kusztyczek miodu. Widzisz mi się człkiem rozumnym, to i pogadać o czym będzie i dobrej rady wysłuchać. Los króla jegomości mocno mi legł na sercu, może dowiemy się czegoś więcej, to i podzielić się wieściami byłoby warto...*

— *Chętnie przybędę — zgodził się Jaksa, znów jednak niepewny, czy sokolniczy wysunął tę propozycję nie bez ukrytych intencji.*

Toteż, ciekaw z nim rozmowy, następnego dnia poszedł w odwiedziny. Wnet znalazł się dzban miodu, zasiedli więc przed palącym się w kominie ogniem na gawędę, której gospodarz od razu nadał przyjacielski ton.

— *Widzę, żeś waćpan i dzisiaj markotny? Czyżbyś wyzbył się nadziei na kłamliwość tej wieści?*

— Niczego nowego nie dowiedziałem się, więc i wątpliwości, i nadzieję mam nadal...

— I słusznie! Już nie tylko my, ale i wielu naszych panów braci zaczyna podejrzewać, że to zwykłe łgarstwo rozprowadane umyślnie...

— Lecz po co? Celu nie widzę...

Sam już to wyjaśniłeś złośliwością Świdrygiełły. To do niego podobne.

— Daj Boże, abym się nie mylił... Bo jeśli nieprawda, bratnia krew się poleje i znów wojenna pożoga oba kraje będzie niszczyć!

— Bez tego chyba się nie obejdzie, gdyż Świdrygiełło rozeźlony oporem panów z Rady, ponoć wyprawę na Podole gotuje. A jak raz ruszy, nie wiadomo, czym to się skończy... Zmówił się już podobno z Tatarami, którzy także uderzą, a wówczas i Wielki Mistrz, choć ostrożny, za piecem siedzieć nie będzie!

— Widzę, że waszmość świadom koronnych spraw... — zauważył Rudy spoglądając z uśmiechem na swego gospodarza.

Sokolniczy wzruszył ramionami.

— Przy królu przecież służbę pełnię, a gdzie jak nie na dworze człek nia sposobność do obycia się z polityką?

Prowadzili jeszcze przez pewien czas rozmowę, omawiając i własne położenie, i powstałą sytuację pomiędzy połączonymi dotąd krajami, nie wracając już do sprawy schwytania Jagiełły.

Ale wrócił do niej ksiądz Andrzej, kiedy wreszcie, już późnym wieczorem, Jaksza zastał proboszcza i jak zwykle usiadł za jego stołem:

— Jak twoje sprawy z Holeszką? — spytał ksiądz z zainteresowaniem.

Rudy zdał krótką relację, a także wspomniał o nowej znajomości z królewskim sokolniczym. Jak przewidywał, jego słuchacz nie pominął tego fragmentu, pytając o szczegóły spotkania. Po złożeniu wyjaśnień Jaksza, ciekaw opinii proboszcza, spytał:

— Nie wiem, co mam sądzić o tym pojmaniu króla? Początkowo dałem temu wiarę i mówić nie warto, jaka zgryzota za serce chwyciła, ale potem dowiedziałem się, że ponoć putnik kniazia Jerzego gdzieś zaginął. Wówczas naszała mnie myśl, że Świdrygiełło umyślnie taką wieść rozpuścił.

Ksiądz Andrzej z uśmiechem skinął głową.

— Pochwalam rozsądek. Czyś waszmość nie słyszał, że kniaź chce nas wysyłać do kraju?

— Coś niecoś słyszałem... Nie pojmuję wszakże, co to ma do rzeczy?

— Pytasz: co? A nie przyszło ci do głowy, że te dwie wieści przeczą jedna drugiej? Czyżby wyrzucił nas z Wilna pozbawiając przez to dworu króla, który wkrótce ma powrócić? Kto by wówczas miał go obsługiwać, komu miałyby poruczać dyplomatyczne misje czy pisma, chociażby tylko takie, na których Świdrygielle mogło zależeć?

— A jeśli posadzi go w lochu?

— Z kim by wówczas paktował?

— To oczywiście! — przyznał zaskoczony Jaksza.

— No właśnie. Putnik od kniazia Jerzego przybył, to prawda. Ale zapewne z powiadomieniem, że Jagiełło mu umknął.

Po co go jednak książę Lingwenowicz wysyłał z tak złą wieścią?

— Pod pozorem, że pomęczone wierzchowce nie pozwalają mu na szybki powrót. W rzeczywistości zaś chciał, żeby stryj miał czas ochłonąć i tym sposobem nie narazić się na jego pierwszy gniew, w którym traci on wszelki umiar i rozsądek.

— Natomiast Świdrygiełło zapewne gońca uwięził, by nie zdradził zawczasu prawdy!

— Tak też, synu, na pewno było. Teraz słuchaj, co masz dalej czynić...

Potem mówił już tylko proboszcz, a Jaksa starał się nie uronić ani słowa.

Do sokolniczego zaszedł pod wieczór, wiedząc, że po południu lubił pokrzepiać się drzemką. Jak zawsze przyjęty gościnnie i ze zwykłą życzliwością poruszył na wstępie nurtujący wszystkich problem losów ucieczki.

— Kniazia Jerzego wciąż nie ma, mimo że mija tydzień, jak pognał za królem... — zauważył siadając w krześle.

— Putnik nadbieżał dwa dni (emu — uzupełnił sokolniczy — więc powinien już być, bo wierzchowce chyba zdążyły w tym czasie wytchnąć! Albo więc istotnie zwleka umyślnie, albo, nie daj Panie Boże, nasz pan ranion i podróży odbywać nie może...

— Wszakże, jak słyhać, Świdrygiełło lada dzień ma nam nakazać opuszczenie Wilna. Czyżby to uczynił, gdyby spodziewał się królewskiego powrotu? Chciałby go pozbawić dworu, służby, a przez to i wykonywania obowiązków monarszych? Przecież wówczas pozbędzie się możliwości dalszego paktowania, z czego chyba zrezygnować nie zechce? — Jaksa powtórzył opinię proboszcza.

— To prawda! — nieomal wykrzyknął Bukwa. — Słusznie to waćpan wywiódł! No, dodałeś mi otuchy! — Z rozradowanym obliczem sięgnął po dzban z miodem. — Wypijmy zatem za zdrowie miłościwego pana!

Po spełnieniu toastu Jaksa odezwał się z wahaniem:

— Ja jednak do waszmości w innej sprawie... Mam kłopot, z którym nie mogę sobie poradzić... Może waść mógłbyś mi pomóc?

— Ależ z ochotą, jeśli tylko zdołam! Mówże, waćpan, w czym rzecz?!

— Muszę wystać gońca. I nie mogę dostać wierzchowca... Ponoć książę zabronił wszelkich wyjazdów...

— Tak, wiem o tym — mruknął sokolniczy. Zastanawiał się przez chwilę, zanim spytał:

— Czy to coś tak ważnego, że waćpan usiłujesz złamać ten zakaz?

Jaksa rzucił zdecydowanie:

—r Tak. bardzo ważnego. Ja tego gońca muszę wystać...

— W służbie miłościwego pana? — Bukwa ściszył głos do konfidencjonalnego szeptu.

— Tak! Tak! Rzecz zrozumiała! Jakże by inaczej! — gorliwie zapewnił Rudy.

— Hm... Trzeba by pomyśleć... — Bukwa przygryzł wąsa pochylając głowę. Potem zerknął na swego gościa:

— *To i putnika będziesz waść potrzebował?*

— *Nie! Goniec pojedzie mój! — tym razem równie stanowczo oświadczył Jaksą.*

— *Łatwiej byłoby sprawę załatwić, gdyby jechał któryś ze stajennych...*

— *Pisma nie powierzę nikomu obcemu!*

— *Dokąd ma posłaniec jechać? Pytam, bo muszę wiedzieć, na jak długo wierzchowca zabraknie w stajni?*

— *Raczej na długo. Bo chyba do Krakowa...*

— *Chyba? To nie wiecie?*

— *A więc tak, do Krakowa.*

Bukwa znów się zamyslił, wreszcie mruknął z oznaką zatroskania:

— *Sprawa niełatwa... Czy wam pilno?*

— *I to bardzo.*

— *Nie wiem, czy zdołam pomóc — Bukwa pokręcił głową. — Ale zajdźcie do mnie jutro, koło południa, może się uda...*

— *Wielce waszmości dziękuję! — zawołał radośnie Jaksą. — Jeśli trzeba będzie kogoś opłacić, wszelkie koszty pokryję!*

— *O tym pogadamy, jak rozeznam się w sprawie. Ja w każdym razie za usługę nic wam nie policzę! — Sokolniczy roześmiał się dobrodusznie.*

Jaksą, zadowolony z wyniku rozmowy, wkrótce go pożegnał.

Następnego zaś dnia dowiedział się, że sprawę udało się jednak załatwić pomyślnie, i to bez większych kosztów. Dostał też wskazówkę, jak i z kim ma omówić szczegóły.

Z kolei odbył rozmowę z Tomkiem. Przekazał mu te wiadomości, uzupełniając je dalszymi instrukcjami:

— *Jako mój posłaniec wyruszasz więc w drogę. Powieziesz tajny list.*

— *Podług życzenia waszej wielmożności, ale do kogo?*

— *Pamiętasz tego kapłana, Józefa z Barcic, który umknął spod szubienicy, bo mu Wielki Książ przebaczył zdradę i odesłał z powrotem toruńskiemu konwentowi?*

— *Pamiętam. Ale... — Tomek nie potrafił ukryć zaskoczenia. — Czyżbyście, wasza wielmożność, zamierzali pisać do niego?!*

Na to wygląda, skoro cię wysyłam do Torunia... — Jaksą uśmiechnął się rozbawiony zdumieniem młodzieńca.

Tomek już się jednak opanował, a ponieważ niejedno dziwne zlecenie otrzymywał, więc tylko skinął głową pytając krótko:

— *Kiedy mam wyruszać?*

— Zaraz jak zdobędziesz wierzchowca. Bacz wszakże pilnie, abyś wykonał wszystko tak, jakem cię pouczył. Pisma masz istotnie strzec, ale i nie zaszkodzi, jeśli go przeczytają. A nawet wolałbym, by tak się stało, bo to by znaczyło, że nie darmo cię trudzę...

Tomek tym razem domyślił się intencji Rudego.

— A więc jadę rzekomo do Torunia. Czy mam tego również nie taić?

— I tak, i nie. Wyznać, ale niby przez nieuwagę i zaraz prostować, żem wysłał cię do Krakowa!

— Gdzie mogą mnie kusić? Tu, na miejscu, czy też po drodze?

— Skąd mam to wiedzieć? — Jaksza wzruszył ramionami. Ale gdzie by było, poczęstunku nie odmawiaj. Listu zapewne ci nie zabiorą, tylko usuną pieczęcie i odczytają. Na to właśnie liczę.

— Jeszcze jedno pytanie, wasza miłość... Dokąd potem mam się udać? Przecież dorozumiewam się, że nie do Torunia. Również nie za rychło z powrotem, bo wówczas ujawniłbym podstęp...

— Słusznie. Toteż skoro już ocenisz, że swoje zrobiłeś, pismo zniszczysz, po czym skierujesz się do Czepiel. Dla bezpieczeństwa listu żadnego ci nie daję, sam opowiesz, co u nas się dzieje, uspokoisz, żeśmy bezpieczni i w zdrowiu, i da Bóg, rychło się obaczymy. Tam nie siedź wszakże za długo, wystarczy kilka dni. Potem wrócisz albo tu, albo znajdziesz mnie gdzieś w drodze, bo być może rychło stąd ruszymy.

— A co mam powiedzieć o panu Hubercie? Małżonka ani chybi będzie o niego rozpytywać...

— Powiedz, że wyjechał, ale dokąd, nic ci nie wiadomo.

Po odprawieniu pachotka Jaksza bez zwłoki zabrał się do przygotowania dla niego listu.

„... i tako, miły Dobrodzieju — pisał po wstępnych słowach powitania — donoszę Ci dopiero teraz, co działo się i dzieje na naszym dworze. Spodziewałeś się zapewne rychlejszych wieści, ale wcześniej donieść ci niczego nie mogłem, gdyż pod strażą tu żyjemy, o czym, jak i innych sprawach, dowiesz się z dalszego ciągu mego pisma. Wysłać je zdołałem dopiero po usilnych staraniach, w czym pomogli mi nieświadomi sprawy ludzie. Sądzę wszakże, że zbytnio spóźniony nie będę i Malbork prędzej od Ciebie o wszystkim się dowie, niż od kogo innego”.

Potem krótko, ale dokładnie podał przebieg zdarzeń na wileńskim dworze, kończąc pismo zapewnieniami o swym oddaniu mocodawcom i podpisem: „Wasz sługa Piotr”.

Tomek nie ponaglał zbytnio konia, gdyż spieszyć nie potrzebował. Przebył już blisko milę, kiedy ujrzał przed sobą jeźdźca, który chyba jeszcze więcej miał czasu, gdyż jechał wolnym truchtem i zdawał się drzemać w siodle. Zrównał się więc z nim wkrótce, a kiedy go mijał, jeździec spojrzął na niego i zagadnął z uśmiechem:

— Dokąd to Bóg prowadzi, panie bracie?

— W daleką drogę — odpowiedział, lekko wstrzymując swego konia.

— Z Wilna, acan, jedziesz?

— Skądże by, jak nie z Wilna... — Tomek zmierzył pytającego pobieżnym spojrzeniem.

Był to młody mężczyzna o płowym wąsie i nieco piegowatym obliczu. Szare oczy świeciły mu młodzieńczą beztroską, a z ust nie schodził uśmiech.

— I ja z Wilna! Zwę się Kuba Warzycha. Jeśli ci nie śpieszno, jedźmy razem! Będzie weselej, bo jak sobie nieco pogadamy, to i czas szybciej zbiegnie!

— Jam Tomasz Granica. Acan dokąd pośpieszasz?

— Tylko do Trok! Z wezwaniem do jednego z tamtejszych kupców od jego wileńskich kompanów! A waść?

— Obyż tylko do Trok... — westchnął Tomek. — Mnie czeka dłuższa droga, dlatego, szczedząc konia, zbytnio nie śpieszę!

— Dłuższa, to znaczy dokąd? Czy do Grodna, skoro tym traktem jedziesz?

— Z Trok skręcę ku południowi, na Rudziszki, bo nie do Grodna, a do samego Krakowa podążam!

— Do Krakowa?! -młodzieniec gwizdnął z podziwu... — Ho, ho... To szmat kraju obaczysz! A o mieście ludzie mówią, że bogate i piękne!

— Ano, nadarzy się okazja obejrzeć... — zgodził się Tomek już pewny, że to spotkanie nie było przypadkowe i przewidywania pana z Niemierzy zaczynają się sprawdzać.

Wdał się przeto w rozmowę z towarzyszem, a że obaj byli młodzi, szybko znaleźli wspólny język i ani się spostrzegli, kiedy w promieniach, którymi błysnęło między chmurami zachodzące słońce, ujrzeli mroczne zarysy wież trockiego grodu.

— Wiesz co, znam dobrą gospodę, gdzie dają przednie trunki! Droga nie jest i popić dobrze można, do tego piękne dziewczki tyłkami kręcą! Jedźmy tam!

— Radbym wielce, ale długa przede mną droga, a grosza za dużo mi nie dali. Tyle co na byle gospody i obrok dla konia...

— O to się, bracie, nie trap! — roześmiał się Warzycha, klepiąc się po pasie. — Mnie kupcy zaopatrzyli dobrze, a własnym sposobem też poszczęściło się nieco grosza zdobyć, toteż płacić nie będziesz!

Tomek, nie pytając, co to za własne sposoby, skinął aprobująco głową i zgodził się z wyraźną ochotą.

Oberża nie była duża i stała przy jednej z bocznych uliczek. Opatrzyli wierzchowce i udali się do stołowej izby. Warzycha prowadził towarzysza i

widać istotnie czuł się przy groszu, bo skoro tylko zasiedli do stołu, wnet kazał dać dwadzieścia jaj na kielbasie i po miarce gorzałki.

— Może lepiej piwo... — zawahał się Tomek, ale Kuba, widząc gościnnie z natury, żywo zaprotestował:

— Coś ty! Po siodle nie majak łyczek gorzałki! A piwo ostaw łykom, my trójniaka potem zażądamy!

Podano smakowicie pachnącą jajecznicę, więc Kuba uniósłszy czarękę przepił do towarzysza:

— Twoje zdrowie, Tomek! Od razu mi się spodobałeś i rad jestem, że mogę cię ugościć!

Jakoż gościł sownie. Wkrótce więc Tomek przekonał się, jak to bywa, kiedy człowiekowi kurzy się ze łba, mimo że skoro tylko zdarzała się okazja wylewał trunek pod stół. Ciągle przy tym przysuwał ku sobie skórzaną torbę, którą odpiął od siodła i wziął do gospody. Toteż Kuba rzucił w pewnej chwili ze śmiechem:

— Cóż tam tak cennego schowałeś? Czyżbyś królewską koronę wiózł?!

— Nie koronę, a pismo... Strzec mi go kazano jak oka w głowie — wymamrotał zamroczony gorzałką.

— Phi! — parsknął lekceważąco Kuba — Też mi skarb!

— Ważne jakieś... Muszę je szczęśliwie do Torunia dowieźć...

— Do Torunia? — zdziwił się Kuba. — Przecież wspomniałeś, że do Krakowa jedziesz?

— O jakim ty Toruniu gadasz? — zdumiał się bełkotliwie Tomek, jakby raptem nieco oprzytomniawszy. — Przecież chyba wyraźnie mówiłem o Krakowie!

— Mówiłeś o Toruniu...

— Co ty pleciesz! — upierał się Tomasz już z irytacją. — Przecież chyba wiem, dokąd jadę!

— No, nie warto się spierać! — pogodnie rzucił Kuba i polecił jednej ze służebnych, istotnie urodziwej dziewczynie: — Daj nam teraz trójniaka, Kaśka! A i sama przysiądź się i wychyl z nami kusztyczek!

Dziewczyna opuściła skromnie oczy, choć jak dotąd nie umykały przed męskim wzrokiem. Była ładną brunetką w mocno wyciętym staniku, pod którym rysował się dorodny biust.

— Chyba nieco maliniaka... — zastrzegła się nieśmiało.

Wkrótce siedzieli we trójkę. Po pierwszym kielichu maliniaka poszły następne, przy czym dziewczyna spełniała je z ochotą, i to bez widocznych skutków.

Tomasz wszakże coraz bardziej czuł, jak cięży mu głowa. Nadal jednak nie tracił baczenia na torbę, a nawet przełożył sobie jej ramię przez ramię. Nie zwróciło to wszakże uwagi jego towarzysza, jakby w ogóle tego nie dostrzegł. On zaś zdawał się ulegać coraz mocniejszemu zamroczeniu, gdyż pod spojrzeniami dwóch par oczu nie ryzykował wylewania trunku. Ale pomny przyzwolenia Jaksy nie odmawiał kolejek, aż chybnął się raz i drugi nad stołem. Wtedy usłyszał, niby z oddali, głos Kuby:

Weź go, Kaśka, do siebie na górę, bo nieco zamroczony... Niech prześpi do rana...

Istotnie, kiedy obudził się w małej izdebce, był już widno. Przede wszystkim dojrzał torbę wiszącą na oparciu krzesła, a potem tuż przy sobie ciemną głowę dziewczyny. Niewiele miała na sobie, więc ją objął ramieniem i przygarnął do piersi.

Ocknęła się i okazała, że wcale nie jest temu przeciwna. Toteż kiedy w jakiś czas potem znalazł się na koniu i stwierdził, że list znajduje się w torbie, mruknął do siebie z ukontentowaniem:

— No, ale com sobie użył, to użył...

Nie miał jednak okazji podziękować towarzyszowi za poczęstunek, gdyż, jak się dowiedział, wyjechał on już o pierwszym brzasku. Doszedł więc do wniosku, że poruczone im zadania obu udało się wykonać z powodzeniem.

Zjechali do chełmskiego grodu wszyscy pozostali w kraju członkowie królewskiej Rady. Przybyła również królowa Zofia, by powitać tak szczęśliwie wyswobodzonego małżonka. Drzewiecki i Tęczyński zdolali także ująć przed pościgiem, a rychło dowiedziawszy się, gdzie Jego Królewska Mość przebywa, pośpieszyli do boku monarchy. Ten gorąco im za ratunek dziękował. Drzewiecki jako duchowny w godności kapłańskiej znacznie został podniesiony, natomiast Tęczyński otrzymał szczodre nadanie. Również kupiec Garbny dostał sowite wynagrodzenie.

Panowie polscy cieszyli się szczerze z powrotu władcy, lecz źródłem tej radości były nie tyle uczucia osobiste, co wzgląd na dobro Korony ściśle związane z jego osobą. Bez niej bowiem cały gmach wspólnoty polsko-litewskiej runąłby w gruzy. Tylko on mógł uratować Unię i przywrócić dawną

spójność narodów. Bez jego dziedzicznych praw do Litwy Świdrygiełło pozostałby samodzielnym władcą, a więc przybyłby Koronie nowy, poza Zakonem, chyba najbardziej zażarty wróg.

Mimo to w naradach, jakie toczyły się na chełmskim zamku, nie szczędzono sędziwemu władcy zarzutów i wymówek. Pomstowano, że nie tylko bez zezwolenia, ale nawet wbrew sprzeciwom Rady mianował brata Wielkim Kniaziem, a do tego zgodził się oddać mu Podole wraz z twierdzą nie do zdobycia, jaką był Kamieniec. Toteż wypominali mu, że nad dobro Korony przełożył miłość do brata, opoja i szaleńca, z którym cały kraj czeka teraz nieuchronna wojna.

Jagiełło bolał wysłuchując tych skarg, bo w swym sercu wszystko, co dotąd czynił, miało właśnie na względzie, by do tej bratobójczej wojny nie dopuścić. Skoro bowiem już tak się stało, że Świdrygiełło w swej nierozumnej zapalczywości podniósł nań rękę, należało zgodzić się na chwilowe ofiary, by potem, kiedy sytuacja się zmieni, odebrać to, co pod przymusem zostało stracone.

Rada miała jednak słuszność zarzucając władcy słabość, gdyż swymi ustępstwami naraził Koronę na wręcz śmiertelne niebezpieczeństwo. Polska, otoczona ze wszystkich stron wrogami, bo Zakonem, Moskwą, niemieckim cesarzem, królem Czech i Węgier, nie mówiąc o Tatarach, którzy wciąż byli groźni, musiała pilnie baczyć im wszystkim na ręce. Dotychczas była siłą, z którą się liczyli, natomiast obecnie Litwa nie tylko przez zerwanie sojuszu osłabiała Koronę, ale stawała się jeszcze jednym jej wrogiem więcej.

W tej sytuacji Świdrygiełło mógł liczyć na pomoc wszystkich dotychczasowych przeciwników. Wystarczyło wyciągnąć rękę, aby mu tej pomocy udzielono. Toteż, ucieszony powstałą na Litwie sytuacją, cesarz Zygmunt pisał z radością do Wielkiego Mistrza: „Zamiary nasze spełnią się wkrótce, nowy bowiem Wielki Książę sam dla nas pracuje!”

Jednym wszakże hamulcem wstrzymującym przyjście mu ze zbrojnym wsparciem była wątpliwa wiara katolicka Świdrygiełły. Stał na czele schizmatyków, jakimi w oczach Zachodu byli ruscy książęta, a więc przewodził siłom wrogim Kościołowi rzymskiemu. Dyplomacja polska starała się to wykorzystać rozsyłając pisma i protesty wzywające do zaniechania pomocy heretykowi. Pisał też o tym biskup Zbigniew Oleśnicki do kardynała Juliana w Bazylei wskazując, że Świdrygiełło otrzymuje poparcie ruskich

książąt, gdyż przyrzeka ich obrządek wynieść ponad katolicki. Otacza się przy tym tylko schizmatykami, z których składa się cała jego rada przyboczna, jej podpisy widnieją bowiem na wszystkich dokumentach, co dowodzi, jak jest od niej zależny. Oni teraz dzierżą wszystkie zaniki i urzędy w swych rękach, należy przeto obawiać się, że wiara katolicka zaniknie na Litwie zupełnie.

Ale było to źródłem siły Świdrygiełły, gdyż ulegając schizmatykom nie tylko miał ich wszystkich za sobą, ale, co najważniejsze, wraz z nimi i cały litewski naród.

Toteż Polska podejmując z nim walkę, prowadziła ją równie dla utrzymania własnej przewagi i niezależności, jak i o wiarę katolicką, co starała się wykorzystać na drodze dyplomatycznej.

Następnego dnia po bytności w gospodzie Koślawego, Czarny ruszył na poszukiwania małodobrego zabierając ze sobą Waškę i Rocha, którzy sprzeciwiali się bezczynnemu siedzeniu na kwaterze czy bezcelowemu włóczeniu się po mieście.

Po minięciu ulicy Korzennej wydostali się przez Bramę Bożego Ciała poza mury Starego Miasta. Szpital stał przy drodze wiodącej ku morzu, na wzniesieniu, więc jego szare mury ujrzeli już z daleka.

Nieliczne domostwa były rozrzucone daleko jedno od drugiego. Brakło tu sadów czy warzywników, jak na Długich Ogrodach, grunt był bowiem marny, kamienisty i piaszczysty, niezdatny do zakładania jakichkolwiek upraw. Zabudowania równie liche jak ziemia stały samotnie, zamiast drzew otoczone, i to nie wszędzie, ochronnymi parkanami.

Droga prowadziła nieco pod górę. Czarny w miarę zbliżania się do szpitalnych budynków zaczął szukać wzrokiem celu ich wyprawy.

Trudno mu było dokonać wyboru, gdyż w pobliżu kilku luźno rozrzuconych zagród nie dostrzegł głazu, który, jak sądził, był rozpoznawczym znakiem. Wszakże kiedy podchodzili bliżej, napotkał paru obwiesiów byle jak odzianych, o twarzach dawno nie tkniętych wodą. Zatrzymani przystanęli i zmierzyli go zuchwałymi spojrzeniami.

— Szukam domu małodobrego. Który to z nich? — spytał wskazując otoczenie szpitala.

— Szukasz domu czy samego kata? — zakpił jeden z włóczęgów.

— Widać mu pilno! — roześmiał się drugi.

— Krotochwile ostawcie żakom — odpowiedział spokojnie Czarny.

Spojrzeni po sobie, wreszcie jeden z nich wskazał kierunek.

— O ten, bez ogrodzenia...

Kiedy byli już blisko, Czarny spostrzegł leżący przy nim duży głaz. Zwrócił się więc do towarzyszy:

— Ostańcie tu i czekajcie. Nie spodziewam się wszakże krótkiej rozmowy...

Czemu nie możemy pójść z tobą? — zdziwił się Roch.

— Gdyż zetknięcie się z tym człowiekiem przynosi ujmę, a nawet jeśli byś go dotknął, pozbawia czci.

— Słyszałem też, że do takiego, co dotknie nie tylko samego małodobrego, ale chociażby i jego narzędzi, nieczysty łatwy ma dostęp i za swego uważa... — wtrącił Waśko z przejęciem.

— A ty, ojcze, idziesz do niego?! — nieomal z przerażeniem zawołał Roch.

Czarny roześmiał się.

— Gorszych, niż nieczysty, spotykałem ludzi, to i jego samego się nie boję! A kat także mi niestraszny, bo on mi honoru niezdolny ująć, a gadać z nimi muszę! Czekajcie zatem, póki nie wrócę!

Zostawił ich na drodze i ruszył ku wskazanemu domowi. Kiedy zbliżył się, ze zdziwieniem stwierdził, że panował wokół niego porządek, wszędzie było zamiecione, a obok na małym poletku ciągnęły się równe grządki warzyw, widać sianych na dowiezionej ziemi.

W drzwiach ukazała się kobieta z wiadrem w ręku. Na widok nieznanego zatrzymała się i czekała aż podejdzie.

Była wysoka i o dobrej jeszcze figurze, aczkolwiek zniszczone rysy twarzy zdradzały były zawód, co potwierdzało taksujące i urągliwe spojrzenie jej ciemnych oczu.

Na powitanie Czarnego odpowiedziała niewyraźnym mruknięciem, po czym spytała:

— A łaskawca kogo szuka?

— Mistrza. Czy jest w domu?

— Jest. — Kobieta bez dalszych wyjaśnień obróciła się i pozostawiając za sobą uchylone drzwi, zniknęła w ciemności sieni.

Czarny podążył za nią i znalazł się w niedużej, mrocznej izbie. I tu panował porządek świadczący o ręce gospodyni. Pod jednym z małych

okienek siedział przy stole nakrytym czystym płótnem tęgi mężczyzna o barkach niczym bochny chleba i dłoniach podobnych łopatom. Szeroki nos o dużych nozdrzach tkwił nad wąskimi, zaciśniętymi wargami, a oczy chowały się pod wysuniętym czołem, które przechodziło w nagą, połyskującą w mroku czaszkę. Otaczał ją tylko wąski pas ciemnych włosów opadających na ramiona.

Na widok wchodzącego wstał z zydlu i milcząc czekał na jego wyjaśnienie. Czarny, nie słysząc zaproszenia, zajął zydel stojący po drugiej stronie stołu i krótko oświadczył:

— Miałbym do was, mistrzu, kilka pytań. Oczywiście nie chcę, abyście na próżno tracili czas... — wyciągnął sakiewkę, wysypał z niej sporo skojców i zaczął ustawiać z nich słupki.

Gospodarz bez słowa wrócił na swoje miejsce. Przez jego twarz przemknął uśmiech, podobny raczej do kpiącego grymasu. Ponieważ nadal milczał, Czarny, nie zważając na kobietę, która z ciekawiona przysiadła pod piecem, mówił dalej:

— Mam kilka pytań. W miarę uzyskanych odpowiedzi płacę za nie od razu, o ile, rzecz prosta, będą zgodne z prawdą. Zgoda?

— Zależy od pytań... — po raz pierwszy odezwał się kat. Głos miał niski i ochrypły.

— Najpierw podam wam wygląd pewnego człowieka, którego nazwiska, przynajmniej obecnego, nie znam. Chcę wiedzieć, czy prawdą jest, że, jak słyszałem, był tu przed paru miesiącami?

Czarny opisał brata Erazma, jednocześnie nieznacznie odsunął jeden ze słupków od siebie.

Gospodarz chwilę przyglądał się monetom, jakby je liczył, potem podniósł wzrok na Czarnego i skinął głową.

— Owszem, był...

Hubert bez słowa postawił przed nim słupek i zaznaczył:

— Teraz mam dalsze pytania, za które gotów jestem zapłacić nieco więcej... — postawił dwa słupki, jeden na drugim. — Czego od was chciał?

Dostrzegł, jak spojrzenie kata pobiegło ku milczącej kobiecie. Dostawił więc trzeci słupek i ponowił pytanie: — A zatem po co do was przyszedł?

Kat chrząknął, jakby miał trudności z wydobyciem głosu, ale widać odzyskał go, gdyż odpowiedział:

— *Chciał, abym wyszukał mu dziewczynę...*

Czarny z trudem opanował zdumienie. Nie był jednak zaskoczony, że brat Erazm skierował takie żądanie do kata, gdyż zwyczajowo sprawowali oni nadzór nad zamkami i ładacznkami. Bardziej zaciekało go, po co bratu była potrzebna dziewczyna tego rodzaju?

Przesunął potrójną stawkę w stronę swego rozmówcy i spytał:

— *Czy stawiał jakieś wymagania?*

— *Nie. Zastrzegł się tylko, by była młoda i wielce urodziwa.*

Kolejny słupek powędrował na drugą stronę stołu.

— *Czy spełniliście jego prośbę?*

Kat bez słowa skinął głową.

— *Nie wiecie, co się z nią stało?*

— *Dał jej małe mieszkanie i chyba pieniądze na życie, bo dalej nie uprawiała swego procederu.*

— *Zapewne możecie również powiedzieć, gdzie to mieszkanie się znajduje?*

— *Przy Świętojańskiej, pomiędzy bramą tejże nazwy a kościołem Świętego Jana. Środkowa kamienica z trzech na tym kawałku ulicy.*

— *Jak się dziewczyna nazywa?*

— *Mówili o niej „baronówna”, bo z byle kim się nie zadawała. Takiej zresztą szukał wasz człowiek.*

Ostatni słupek zmienił właściciela i Czarny wstał zza stołu. Za jego przykładem poszedł i gospodarz.

To wszystko — zakończył Czarny kierując się ku drzwiom. — Rad jestem, że nie odmówiliście mi pomocy.

— *Zapłata zapłata... Ale radzę zapomnieć, za co ją wręczyliście. Nie chcę mieć kłopotów ani wam ich sprawić, jeśli przyjdzie ochota na zbędne gadanie...*

Czarny odwrócił się od progu. Ujrzał, jak kobieta chciwie zgarnia pieniądze, potem skierował wzrok na ponurego mężczyznę i odpowiedział z uśmiechem:

— *Ostaw pogrózki, bo twoja skóra także ci zapewne droga... Gadać bez potrzeby nie zwykłem, a czynię, co uznaję za potrzebne. Bądź zdrów...*

Towarzysze czekali siedząc na kębach przydrożnej trawy. Podnieśli się i ruszyli za nim w drogę powrotną nie zadając pytań.

Na spotkanie z Kosteczką Czarny wybrał się do portu sam. Krążył jakiś czas wśród zajętych swą pracą ludzi, zanim dostrzegł wreszcie jego zmierzwiiony łeb i chudą postać. Wkrótce i on, dostrzeżony, czekał aż włóczęga podejdzie.

— *Witam łaskawego pana — rzucił ten zbliżając się z przypochlebnym uśmiechem. — Nie byłem pewny, czy was spotkam...*

— Południa nawet jeszcze nie otrąbiono... — zauważył zdawkowo Czarny i od razu spytał:

— Słuchaj, czy znasz może dziewczkę zwaną „baronówną”?

Kosteczka roześmiał się.

— Bogna ze Sławska! Toć to kochanicą Czarta! Jeśli was ciekawi, bądźcie ostrożni, bo on nie lubi, jak mu kto wchodzi w drogę!

— Przecież to sprzedajna dziewczka, to jakże ma nastawać na innych?! — rzucił Czarny poruszony usłyszaną wiadomością.

— Była do czasu, ale z byle kim w łóżce nie laża! Dlatego tak ją przezwali! Wszakże potem, jak Czart ją poznał, ostro na nią baczyl!

— Gdzie teraz przebywa? — Czarny był ciekaw, czy miejsce pobytu dziewczyny jest ogólnie znane.

Ale Kosteczka wzruszył tylko ramionami.

— Nie wiem... Chyba już przeszło miesiąc nikt jej nie widział.

— Zatem przepytaj o nią, bacz jednak, by nie zwiedził się o tym Żeglarz! Przecież dziewczka gdzieś się musi obracać, może zachodzi do jakiejś oberży, chociażby z Czartem, boć niejednen Koślawy ma karczmę! Rad bym coś więcej o niej wiedzieć.

— Za wiele będzie to usługa? — włóczęga spojrział na Czarnego z chytrym uśmiechem.

— Za pięć groszy, bo starania nie będą kłopotliwe. — Czarny wsunął pieniądze w pożądliwie wyciągniętą, brudną łapę Kosteczki. — Na początek płacę zawczasu, ale dalej tak czynić nie myślę!

— Będziecie mieli dla mnie i inne polecenia? — z błyskiem chciwości w oczach spytał Kosteczka.

— Tak. Abyś nie tracił czasu i oba wykonywał razem.

— Słucham, wasza wielmożność... — tym razem uniżenie rzucił włóczęga.

— Lubił bywać po oberżach, a na pewno zachodził pod „Dwa Krzyże” pewien półbrat zakonny, Gerard Radtke...

— Czarny opisał wygląd krzyżackiego sługi przekazany przez oberżystę. — Ostatnio wszakże tam nie zaglądał. Przepytaj, może zdołasz dowiedzieć się, czy przeniósł się do innej oberży, czy też nigdzie nie rusza się z zamku?

— Hm... To łatwe nie będzie... — Kosteczka pokręcił głową. — Trudno łązić po wszystkich oberżach i gadać z gospodarzami. Trzeba inaczej, ale jak?

— Wiem, że to żmudna robota, toteż i zapłata będzie podwójna. Jeśli nie trafisz na ślad w mieście, może dotrzesz do zamkowych pachołków? Służba dobrze wie, co się wokół niej dzieje...

Czarny wracał na kwatery mocno zamyślony. Ukazywały mu się bowiem nici zaskakująco łączące między sobą osoby, które zaczęły wchodzić w krąg zainteresowań brata Erazma. Wszystko było jeszcze niejasne, zagmatwane, ale czuł, że znalazł pierwsze ślady, być może wiodące do wyjaśnienia sprawy.

Jednak kolejna wizyta pod „Złotą Kotwicą” nie, przyniosła nic nowego. Prot Żeglarz w ciągu minionych trzech dni nie pokazał się i nie pozostawił żadnej wiadomości. Wszakże Hubert nie przejął się zaznanym zawodem,

gdyż sprawa, którą miał załatwić, była trudna i byłoby raczej dziwne, a może i podejrzanе, gdyby w tak krótkim czasie spełnił otrzymane zlecenia.

Natomiast bardziej pomyślnе wieści przyniósł mu Lartger. Dostał bowiem zawiadomienie od gospodarza „Dwóch Krzyży”, że pojawił się Radtke. Oberżysta zgodnie z obietnicą nawiązał z nim rozmowę i w odpowiedzi na wymówki, że tak dawno nie był otrzymał zapowiedzi częstszych odwiedzin.

Wiadomość zmuszała do codziennej bytności w oberży. Czarny zabierał więc ze sobą obu towarzyszy, przykazując wszakże siadać osobno. Nie w smak im to było, woleli jednak spędzać wieczory wśród gwaru biesiadujących gości niż na kwaterze, gdzie z nastaniem zmroku mocno się nudzili.

Kolejne spotkanie z Kosteczką odbyło się w tym samym miejscu i porze, w kilka dni później. Po minie obwiesia Czarny poznał, że nie spodziewa się tym razem zarobku, bo powitał go wyraźnie markotny.

— Widzę, żeś niezbyt wesół — zagadnął włóczęgę. — Sądzę, żeś niewiele się dowiedział?

— Weselić się człek nie ma czego — westchnął Kosteczka — jak w żołądku pusto... A com zdołał się dowiedzieć, sami, panie, oszczędźcie, wiele to będzie dla was warte. Ale nie zapomnijcie, że na głodno wam służę...

— Dobra, nie przymawiaj się, a gadaj, co wiesz!

— Nijak nie mogłem się dowiedzieć, gdzie dziewczka się obraca... Przepadła jakby ją nieczysty porwał...

— I o zapłacie napomykasz, niecnoto?! — Czarny udał rozgniewanego. — Widzę, że wielkiej pociechy z ciebie nie będzie!

— Ależ, wielmożny panie! — zachnął się Kosteczka. — Sam Czart jej szuka, choć co innego ma teraz na głowie, i znaleźć dotąd nie zdołał! Cóż tedy chcecie ode mnie! Wszakże coś...

— Poczekaj no... — przerwał mu Czarny. — Więc mówisz, że Czart także jej szuka?

— Toć mówiłem, że była jego kochanicą.

— To pamiętam. Jednak dziwne mi, że nic o niej nie wie... A także dlaczego tak o nią zabiega?

— Widać mocno przypadła mu do gustu... — uśmiechnął się kpiąco Kosteczka.

— No, Bóg z nią! A cóż jeszcze chciałeś mi rzec?

— A to, że widziano ją raz i drugi z jakimś człekiem, ale w podeszłym już wieku. Może ktoś z rodziny po nią przyjechał i zabrał z miasta?

— Znasz wygląd tego człowieka?

— Byłbym głupi, gdybym o to nie rozpytał! — Kosteczka podał dość dokładnie wygląd brata Erazma. Czarny wysłuchał go z uwagą, po czym mruknął:

— Niewiele to da... Mówiono ci może, jak się nazywa?

— Nie, bo przecież znajomości z nikim nie zawierał.

— A co z tym półbratem z zamku?

— Gerardem Radtke? Dowiedziałem się, że jest sekretarzem w kancelarii komturskiej, lubi się zabawić i kielichem, i dziewczętami, ale oni wszyscy teraz tacy... Panowie rycerze też nie lepsi... — westchnął Kosteczka bardziej z zazdrością niż zgorzeniem.

— Gdzie najczęściej przebywa?

Włóczęga wzruszył ramionami.

— Chyba różnie, ale ponoć najchętniej pod „Dwiema Koronami”...

— No, jednak czegoś się przecież dowiedziałeś... — Czarny sięgnął za pas i nieznacznie wsunął mu w dłoń pieniądze. — Masz tu dziesięć groszy, na żarcie starczy ci, jeśli wnet ich nie przepijesz.

— Dzięki, wielmożny panie — ucieszył się Kosteczka. — Chętnie wam i nadal usłużę, skoro tylko zechcecie!

Czarny zastanawiał się przez chwilę, zanim zapytał:

— Co miałeś na myśli mówiąc, że Żeglarz ma teraz co innego na głowie?

— Niby Czart? — Kosteczka nieznacznie rozejrzał się wśród otaczającego ich ruchliwego tłumu. — O nim niebezpiecznie mówić...

— A co mógłbyś powiedzieć? Gotów jestem dodać ci drugie tyle!

— Panie, wielką podsuwacie mi pokusę, ale strach równie silny...

— Nie masz się czego bać! Przecież ode mnie nikt niczego nie wyciągnie. Chcę wiedzieć, ale tylko dla siebie!

— Mogę wam zawierzyć? Jeszcze chciałbym nieco pożycić...

— Mów śmiało! Przysięgać milczenia nie zamierzam, ale moje słowo starczy za przysięgę!

— On, nie wiadomo dlaczego, już z dawna przepytywał o jedną z karawel stojących jeszcze w porcie. A potem z kupcami gadał, ale w czym rzecz, tego nikt nie wie...

— Co to za karawela?

— Piękny statek, zwie się „Santa Julia” z portu Genua.

— „Święta Julia”, mówicie? — Czarny chwilę zastanawiał się, skąd zna tę nazwę, ale zaraz przypomniał sobie wzmiankę Langer'a o statku, którym interesował się brat Erazm. Podniecony tą zbieżnością, polecił Kosteczce:

— Pytałeś, czy zechcę cię jeszcze raz zatrudnić? Otóż dowiesz się, co to za sprawa z tą karawelą? Im więcej będziesz wiedział, tym lepiej ci zapłacę! Spotkamy się za pięć dni, abyś miał czas koło tego się zakrzętnąć...

— Ale lepiej nie tu! W tym samym miejscu to zbyt niebezpieczne.

— Słusznie. Masz dobre miejsce?

— Na Wyspie Spichrzów, za „Srebrzystą Gwiazdą”. Prowadzi tam na jej tyle wąskie przejście, a tam są krzewy i drzewa, gdzie łatwo się skryć!

— Może być! Masz tu przyobiecany dodatek i staw się za pięć dni!

W chwilę potem Kosteczki już przy nim nie było.

Powtórne odwiedziny w gospodzie „Pod Żółtą Kotwicą” znów okazały się daremne. Żeglarz nadal nie dawał znać o sobie, gdyż zapewne nawet jemu odnalezienie śladu brata Erazma sprawiło trudności. Czarny był i zaniepokojony, i rozczarowany, bo czuł się zdany wyłącznie na własne siły, a brak wiadomości od Czarta świadczył, jak trudne czeka go zadanie.

Jednak już te okruchy, jakie dotąd zdobył, dawały nikłą nadzieję, że i bez kapra Opatrzność dopomoże mu wyjaśnić tajemnicę losu zakonnika.

Ponieważ zaczął powątpiewać w pomoc Prota Żeglarza, tym usilniej starał się nie wypuścić dwóch pozostałych nitek, jakie miał w ręku: owej „baronówny” i zakonnego sekretarza. Wiedział, gdzie może znaleźć dziewczynę, ale wprawdzie chciał zdobyć o niej jak najwięcej wiadomości, więc ten wątek odłożył do czasu powtórnego spotkania z Kosteczką. Natomiast drugą nić, a mianowicie odnalezienie i poznanie owego półbrata, należało uchwycić jak najszybciej, i to mocno, bo przy jakim takim szczęściu mogła dać mu więcej niż wątpliwej wartości informacje człowieka, którego zapewne nie bez powodów zwano Czartem.

Toteż nie opuszczał żadnego wieczoru i już przed zapadnięciem zmroku zajmował miejsce za stołem „Pod Dwoma Krzyżami”. Tam po jednej i drugiej czarce miodu spożywał wieczerzę, gawędząc z przygodnymi biesiadnikami. Niedaleko zasiadali i jego towarzysze, świadomi, co mają robić, gdyby dostrzegli, że znajomość z półbratem została nawiązana.

Ta wytrwałość nie została jednak wystawiona na zbyt ciężką próbę, gdyż po kilku dniach gospodarz, z którym również rzecz uprzednio uzgodnił, podprowadził do jego stołu dorodnego młodziana, witając go dostatecznie głośno, by Czarny mógł usłyszeć.

— Cieszę się, że wielmożnego pana znów widzę u siebie! Siadajcie, proszę, ot chociażby tu... — przetaił miejsce naprzeciw Czarnego, pytając: — Podać trójniaka, jak zwykle, gości panie Gerardzie.

Czarny nieznacznie przyjrzał się siadającemu mężczyźnie. Był jeszcze młody, ubrany w szare spodnie i takiż kubrak, ale sukno było przedniego gatunku, a szeroki pas na biodrach i pochwę wiszącą przy nim mieczyka zdobiły srebrne okucia. Miał pociągłą, przystojną twarz, okoloną puklami jasnych włosów, i niebieskie oczy, ale połyskujące zimnymi blaskami ostrego spojrzenia.

Przysunął do siebie podany trunek i upiwszy nieco, rozejrzał się po sali przesuwając obojętnym wzrokiem również po siedzących gościach. Czarny sięgnął po swoją czarę i opróżniwszy ją odezwał się od niechcenia, jak człowiek, któremu sprzykrzyło się milczenie.

— Trzeba przyznać, że co jak co, ale miód mają tu przedni... — dopiero teraz spojrzął przed siebie, kierując tę uwagę do nowo przybyłego towarzysza stołu. Ten zatrzymał przez chwilę na nim wzrok i podjął rozmowę.

— Dlatego lubię tu zajrzeć... Kuchnia zresztą także nie najgorsza... — dorzucił zdawkowo.

— Toteż dlatego mi ją wskazano. Nieświadom miasta mogłem trafić gorzej.

— To waćpan nietutejszy.

— A nie... W kupieckich sprawach przybyłem do Gdańska.

— Skądże, jeśli wolno wiedzieć?

Czarny z zadowoleniem stwierdził, że i Radtke nie stroni od gawędy, skoro łatwo dał się wciągnąć w rozmowę.

— Z daleka, bo aż z Polski...

— Co też mówicie?! — już wyraźne zainteresowanie okazał jego towarzysz. — Z jakiego miasta?

— Aż z Krakowa. Byliście tam może?

— Nie byłem aż tak daleko. Znam Toruń, Brodnicę, ale to miasta zakonne.

— Waść może przynależysz do Zakonu? — spytał jakby od niechcienia Czarny. Młody mężczyzna nieco się zmieszał, jednak odpowiedzią swobodnie:

— Skądże! Jestem kancelistą jednego z tutejszych kupców!

Czarny nie wziął kompanowi za złe tego kłamstwa, gdyż wiedział, że przebywanie w oberżach było nie tylko krzyżackim rycerzom, ale i zakonnej braci zakazane. Zakaz ten, kiedyś przestrzegany surowo, teraz mało kto respektował, mimo to Radtke zapewne wolał i z tego powodu nie przyznawać się, że należy do zamkowej załogi.

— Tośmy z jednej rodziny! — Czarny okazał zadowolenie, ale jego kompan chciał widać co rychlej mówić o czymś innym, gdyż spytał z ożywieniem:

— Co tam się u was dzieje?! Ponoć król Władysław siedzi uwięziony w wileńskim lochu?

Czarny roześmiał się:

— Ludzie gadają byle co! To prawda, że jest w Wilnie i jakieś tam spory ponoć powstały między królem jegomością a kniazem Świdrygiełłą, ale przecież to bracia i wnet się pogodzą! O co im poszło, nawet nie wiem, bo jako kupiec swoich, a nie wielmożów spraw pilnuję!

— Ludzie istotnie plotą głupstwa, aby jeno słuchaczy pozyskać i ciekawość obudzić!

— Wiem o tym dobrze... — zgodził się Czarny, po czym zauważył: — Dlatego też niezbyt takiej gadaninie wierzę i mało jej słucham. Są inne, ciekawsze rzeczy na świecie... — uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Co macie na myśli? — spytał na pozór obojętnie Radtke, ale w jego głosie Czarny wyczuł nutę czujności.

— Nieco weselsze niż polityka! Swoje sprawy wnet kończę pomyślnie to i sakiewce można by nieco ulżyć...

Radtke roześmiał się.

— W takim mieście, jak Gdańsk, to nietrudno!

— Tak przypuszczam, jednak stateczność wśród kupieckiej braci należy zachować, toteż swoich wolę nie pytać, a sam rozeznania nie mam. Jeszcze gotów człek w kłopoty wpaść i skórę narazić...

— Tak, to prawda... Musicie znaleźć sobie odpowiedniego towarzysza znającego miasto. Sam chętnie bym wam dopomógł, bo widzę, że ze statecznym mężem mam do czynienia, ale to nie na moją kieszeń...

Czarny, widząc, że przynęta chwyciła, podjął z ożywieniem:

— Co też waszmość mówisz! O ekspensa się nie troszcz, moja to sprawa! Jeśli zechcesz być mi przewodnikiem, zmówmy się na jakiś dzień.

Radtke już bez wahania przyjął propozycję, więc Czarny uznał, że nadszedł czas zakończyć rozmowę, i pożegnał nowego znajomego.

Wszakże i Waško, i Roch widząc, że wychodzi, nie ruszyli się z miejsc, gdyż mieli przykazane sprawdzić, dokąd pójdzie jego kompan po opuszczeniu oberży .

Wróciwszy na kwaterę donieśli Czarnemu, że Radtke wyszedł wkrótce po nim i udał się na ulicę Świętojańską, gdzie wszedł do jednej z kamieniczek stojących w pobliżu kościoła Św. Jana.

Hubert przemierzał izbę od ściany do ściany, głęboko zamyślony. Jego towarzysze siedli na łóżach i nie przerywali panującego milczenia czekając, aż tam się odezwie.

Waško przycinał co jakiś czas knoty palących się w lichtarza świec, a wówczas ich płomień rozpalał się na chwilę, ostrzej znacząc na ścianach przesuwający się cień Huberta, wielki, ale bezgłośny, niczym zjawia nocnej pory.

Wreszcie Czarny zatrzymał się i opadł na krzesło, a cień ześlizgnął się i znieruchomiał, jakby przyczajony za jego plecami.

— Pora chyba, abyśmy z tych wiadomości, jakie mamy, postarali się wysnuć jakieś wnioski. Wiecie to co i ja. Teraz nie ciągnęłam mości półbrata za język nie chcąc przepłoszyć, jeno zaprosiłam na hulankę, czemu wyraźnie był rad. Sądzę, że przy kielichu zdołam dowiedzieć się, dlaczego ciekawił brata Erazma?

— Ponoć sekretarzuje w zamkowej kancelarii? — zauważył Roch.

— Tak. I to właśnie mogło być powodem. Ale są jeszcze i inne punkty do wyjaśnienia. Chociażby ten statek łub dziewczyna. Po jakiego licha była mu potrzebna? Czyżby przez nią chciał dotrzeć do Prota Żeglarza? Jeśli tak, to znaczy, że i on go ciekawił. Ale dlaczego? Jakie to nasuwa ci domysły? — Czarny umyślnie zagadnął syna, ciekaw, co powie.

— Żeglarza ze statkiem — odpowiedział bez wahania młodzieniec.

— Interesując się statkiem, trafił na tego herszta kaprów lub też na odwrot...

— Słusznie! A więc tym śladem musimy pójść! Kosteczka ma dowiedzieć się czegoś więcej o tej „Świętej Julii”. Jeśli dostarczy jakichś wiadomości, wówczas łatwiej przyjdzie ustalić, co robić dalej...

— Wszakże nie zapomniałbym i o dziewczynie wtrącił Waško.

— Przecież nie mamy pewności, że Erazm chciał przez nią dotrzeć do owego Czarta?

— Z jakiego zatem powodu wchodziłby w komitywę z katem?

— To dobrze wiedzieć, gdyż nie wszystko wzięliście, wasza wielmożność, pod uwagę...

— Czegóż to, mianowicie, nie wziąłem? — Czarny ściągnął brwi, z zaciekawieniem spoglądając na pocztowego.

— A tego, że brat Erazm chciał od małodobrego jeno dziewczki, ale nie mówił, o którą mu chodzi. Gdyby więc szukał w ten sposób dojścia do Żeglarza, wskazałby ją wyraźnie.

— Dobrześ to wywiódł... — mruknął Czarny. — A więc i nadal nie wiadomo, po co mu była potrzebna dziewczyna?

— Chyba należy wyjaśnić, czy istotnie coś łączy ów statek, Żeglarza, dziewczkę, no i Gerarda... Sam wszystkimu nie podotasz, a nam z Wašką bezczynność już się mocno sprzykrzyła! — wtrącił Roch.

— Pomocni możecie być tylko w razie potrzeby. Ja zacząłem rozmowy, toteż i ja muszę je dalej prowadzić. Zresztą zbyt wiele ludzi nie powinno kręcić się wokół tej sprawy.

— Może byłoby dobrze popatrzeć, gdzie i z kim przebywa ta dziewczka? — zaproponował Waśko.

— To nie dla was robota, bo nie z głupcem mamy do czynienia. Jeśli się spostrzeże, przez was łatwo może dotrzeć i do mnie. Zapewne polecę to Kosteczce, ale nie wcześniej, jak sam z nią pogadam.

— Kiedy zamierzacie to zrobić?

— Możliwie rychło.

— Dlaczego jednak ten kapier nie daje znaku życia? — spytał Roch.

— Może zadanie zbyt trudne nawet dla niego? Jednak sprawy na pewno nie poniechał, chyba... — Czarny urwał na chwilę, a potem dokończył z wahaniem: — Chyba że najpierw chce dociec, kto jestem i dlaczego szukam Erazma? Albo i z innych przyczyn? — dorzucił po chwilowym namyśle.

— Sądziś, ojczu, że cię tropi?

— To niewykluczone. Przecież to on wysłał za nami Kosteczkę.

— Nie należy wykluczyć, że ten łobuz dmie w dwie fujarki.

— A mimo to korzystasz z jego usług?

— Nie mam dużego wyboru. Zresztą Żeglarz najwyżej dowie się, że czynię poszukiwania także na własną rękę.

— Wszakże jeśli dotrzecie do jego dziewczyny, zacznie bać się i o siebie, a wówczas będzie niebezpieczny... — zauważył Roch.

— Spodziewam się, że zdołacie dać mi ochronę — odpowiedział z uśmiechem Czarny — a że strzeżonego i Bóg strzeże, będę więc zabezpieczony podwójnie!

— Nie dworujcie, ojczu, bo nie wiem, co bym rzekł matce w razie złego przypadku... — przestraszył się Roch.

— Bardziej troszczę się o los brata Erazma — rzucił w zamyśleniu Hubert.

— Czy jest możliwe, że znajdziemy go żywego?

— Bardzo w to wątpię, synu... Ale muszę wiedzieć dlaczego i przez kogo zginął. A i ksiądz Andrzej chce znać przyczyny jego śmierci. Dlatego nas tu wysłał.

— Jak dotąd, nie mamy nawet żadnych domysłów — zauważył z goryczą Roch.

— O domysły najłatwiej, ale nie o nie chodzi.

— Macie jakieś podejrzenia?

— A chociażby, czy nie zwrócić się o pomoc właśnie do jego zabójcy?

— Myślicie o Procie Żeglarzu?

— No właśnie...

— Wówczas tym bardziej grozi ci niebezpieczeństwo, nie mówiąc już, że umyślnie naprowadzi cię na fałszywy trop!

— I to możliwe. Ale dopóki nie zdradzę, że to dostrzegłem, jestem chyba bezpieczny.

— Jest jeszcze i ten Gerard. Brat Erazm mógł się czegoś o nim dowiedzieć i przyplącił to życiem.

Uwięziony w Wilnie dwór królewski został ostatecznie zwolniony przez Świdrygiełłę, gdyż książę wyprawił się na Podole, by zbrojnie odebrać zamki pozostałe jeszcze w polskich rękach.

Spodziewając się tego uwolnienia lada dzień, przygotowywano się zawczasu do drogi, tak że tabory ruszyły nieomal natychmiast. Toteż dwór zastał króla jeszcze w Chełmie.

Tam też dotarły wiadomości o odwetowej napaści Świdrygiełły na Podole i oblężeniu Smotrycza. Król zaczął więc organizować wyprawę przeciw najeźdźcy, ale jej zaniechał, gdyż nadeszła radosna wieść, że starostowie wierni Koronie zdołali zebrać szlachtę zagrożoną litewskim najazdem i rozgromili Świdrygiełłę, zdobyli jego tabory i uwolnili od oblężenia Smotrycz.

Wszakże pobity książę zgromadził świeże siły i ruszył z nimi na nową wyprawę, tym razem niszcząc ziemię lwowską aż po Trembowłę. Jednocześnie z dierżonych przez Litwinów Krzemieńca, Zbaraża i Oleska wyprawił się najazdy na koronne ziemie.

PO CIEPŁEJ I MOKREJ jesieni zaczęły chwytać pierwsze mrozy. Toteż świeże, ostre powietrze i rytmiczny bieg konia rychło przegnał z głowy Tomasza opary pijackiego wieczoru.

Zadowolony z pomyślnego wykonania poruczonego zadania kołysał się miarowo w siodle, zgodnie z rytmem uderzeń końskich kopyt o grudę ściętej mrozem drogi. List zgodnie z poleceniem zniszczył, teraz czekała go długa droga do chełmskiej ziemi. Cieszył się jednak tą podróżą, rad znów ujrzeć wielmożną panią Zytę. Od chłopięcia wyrastał pod jej opieką, toteż miłował ją i darzył wielkim respektem.

Kiedy więc któregoś popołudnia ujrzał z daleka ciemne skupisko bezlistnych drzew, widoczne na tle szarej wstęgi bliskiego boru, niecierpliwie przyspieszył bieg wierzchowca, który zresztą z własnej ochoty przeszedł w cwał, czując zapewne bliskość stajni. Wpadł więc na majdan dworu niczym goniec z wiciami. Wnet jednak, rozpoznany przez służbę, powierzył jej pieczy wierzchowca i biegł do pańskiego domu, by co rychlej zanieść obu małżonkom wieści o ich mężach.

Toteż Una ujrzała go nie uprzedzona. Właśnie przebywała w kuchni, gdzie Tomek zamierzał prosić o zgłoszeniu jego przybycia. Kiedy więc stanął na progu, na jego widok znieruchomiała, z raptownie poblądłą twarzą.

— Co z chłopcami?! Co z panem?! Gadaj! — nieomal krzyknęła, przypadając do niego.

Ale ujrzawszy jego uśmiechniętą twarz, odprężyła się i już uspokojona rzuciła z gorączkową ciekawością:

— Masz wieści, pismo ci dali?!

Tomek przypadł najpierw do jej rąk, po czym dopiero wyjaśnił:

— Wszyscy w dobrym zdrowiu, wielmożna pani! Pisma nie dostałem, bo pan Jaksza bał się, że mi po drodze Litwini odbiorą, ale przykazał ustnie o wszystkich wam donieść!

— Czekajże, niech zbiorę myśli! Pojawileś się jakbyś spadł z nieba! — Una przyłożyła dłoń do czoła. — Nie ja jedna ciekawam wieści, ogarnij się więc nieco, niech Jurga lub Włodek, wezmą cię pod swą pieczę i wnet

przychodź na pokoje! Powiadomię panią Zytę i dziewczęta, więc mi nie marudź! — dorzuciła już rozkazująco.

Jakoż Tomek sprawił się szybko i wkrótce, otoczony zaciekawionymi niewiastami, zapewnił przede wszystkim, że wszyscy są w dobrym zdrowiu i jeno wypatrują okazji, by odwiedzić Czepiele.

Potem zaczęły padać pytania, na które nie szczędził odpowiedzi. Jedynie kiedy w pewnej chwili Una spytała, jak sobie chłopcy poczynają na wileńskim dworze, odpowiedział oględnie:

— Pan Roch z wielmożnym panem są teraz w podróży. Ale rychło mają wrócić... — dorzucił uspokajająco.

— Dokąd się udali? Czy aby nie grozi im niebezpieczeństwo? — zaniepokoiła się Aldona, wyręczając tym pytaniem ciotkę.

— Dokąd, tego nie wiem, bo w naszej służbie o tym mówić nie wolno ani pytać nie uchodzi. Ale nie trapiecie się, nie wojenna to wyprawa.

— Pojechali tylko we dwóch?

— Ważkę też zabrali. Z tego wnoszę, że podróż niegroźna, skoro tylko w trzy konie ruszyli.

— A... a... pan Roch nic ci nie mówił? Niczego nie przekazał? — z rumieńcem na twarzy spytała Aldona.

Tomek, świadom przyczyny tej ciekawości, odpowiedział z uśmiechem:

— Nie wiedział, że będę w Czepielach, bo wyjechał wcześniej. Ale nieraz troszczył się, czy też panienka o nim pamięta...

Dziewczyna nic na to już nie odpowiedziała, tylko schyliła głowę, chcąc widać ukryć nie schodzący z jej twarzy rumieniec. Tomek zerknął z kolei na Olgę. Siedziała obok Aldony z zasępioną twarzączką i zaciśniętymi wargami. Zdziwiony tą postawą zwrócił się do niej:

— A panna Olga o nic nie pyta?

— Nie pytam, bo nikt mnie nie ciekawi! — burknęła dziewczyna, wzruszając pogardliwie ramionami.

— Jak to, nie ciekawi?! — zdziwił się Tomasz. — Mimo że pan Lech, dowiedziawszy się, że jadę do Czepiel, przykazał powiedzieć panience, że z miłowania i tęsknoty po nocach spać nie może i do cna usycha?

— A jakże! — prychnęła dziewczyna. — Nie wstyd ci powtarzać takie kłamstwa?!

— Kłamstwa? W imię Ojca i Syna — Tomek aż się przeżegnał. — Co też panienka mówi!

— To, co wiem! A ty mi oczu nie ćmij, przechero, boś taki sam jak twój pan!

Tomek spojrział nieomal ze zgrozą na obie kobiety.

— Wielmożne panie, raczcie powiedzieć, w czym rzecz?! Dlaczego tak się naraziłem panience Oldze?! Przecież prawdę mówię, pan Lech rozmiłowan w niej wielce, toć patrzeć umiem, a słyszę także niezgorzej!

Una i Zyta spojrzały porozumiewawczo na siebie, Aldona zaś zwróciła się do Olgi:

— A nie mówiłam? Ten człowiek od razu mi się nie spodobał... Aleś ty nie chciała mnie słuchać...

— Sądzę, że należy Tomkowi sprawę wyjaśnić — odezwała się Zyta.

— Tak — zgodziła się Una i zwróciła się do Tomasza: — Ze dwie niedziele temu miałyśmy tu gości. Nie zabawił długo, bo nocował tylko przez jedną noc, podążając, jak mówił, z wileńskiego dworu do Lwowa. Mienił się Grzegorzem herbu Korab, z Surmin. Był gładki w obejściu i choć wielce ugrzeczniony, ale nie tylko Aldonie, ale i nam, starszym, niezbyt przypadł do gustu. Wszakże gościny podróżnemu nie godziło się odmówić, on zaś raczył nas różnymi wieściami z Wilna, których chętnie słuchaliśmy, zwłaszcza że wielce wychwalał naszych mężów, których ponoć znał. Od niego to Olga dowiedziała się, że Lech gorąco sobie upodobał jakąś dworkę księżny Julianny. Kiedyśmy zaczęły o to go rozpytywać, wyznał nawet, że sam słyszał, jak urągliwie mówił o Oldze. Dziwne mi się zdało takie zachowanie mego syna, toteż wiary temu nie dałam. Wszakże sama nie wiedziałam, co o tym sądzić, bo ów szlachcic mówił wszystko mocno pewny siebie, więc nie dziwię się, że zwiódł Olgę. Ciężko to przeboleła, a i teraz nieraz widzę ją we łzach...

Una spojrzała na Tomasza, jakby w oczekiwaniu, co na to powie.

— Cóż to za niecny był człek! — wykrzyknął młodzieniec. — Czyż panicz byłby zdolny jedno mówić jemu, a drugie mnie?! Po co by to czynił, po co rozkazywał, abym przekazał panience Oldze, że ją miłuje? Ja zaś mogę zaprzysiąc, że nie zdarzyło mi się widzieć, aby z jakąkolwiek kiecką w komitywę wchodził! Nie, wielmożne panie, łgarstwo to podle i dorozumiewam się, gdzie się zrodziło!

Olga z rozbłysłymi szczęściem oczami wpatrywała się w mówiącego. Po chwili pojawiły się w nich łzy, a bródka zaczęła drżeć zdradzając ochotę do płaczu.

— Czegóż się dorozumiewasz, Tomku? — spytała poruszona Zyta.

— Czyżby ktoś nasłał tego człeka? Kto by to zatem uczynił?

— A któż by, jak nie ksiązę Henryk! On do wszystkiego zdolny! Nie mogąc sam nic zdziałać, bo na królewskim dworze musi przebywać, chciał tym sposobem chociaż poróżnić panienkę z paniczem Lechem, licząc, że w przyszłości może mu to przynieść korzyść!

— A zatem wie, gdzie się Olga znajduje?

— Zapewne przepytywał o Niemierzę i stąd istotnie wie, dokąd żeście się, wielmożna pani, udali! Przecież taboru i stadniny nie da się skrycie przeprowadzić!

Przy stole Olga opanowała się, ale potem Aldona aż do zaśnięcia słyszała, jak szlochała do poduszki w swoim panińskim łóżu. Wszakże nie odzywała się, bo uznała, że pocieszenia jej przyjaciółka już nie potrzebowała.

Tomek pobył jeszcze dwa dni w Czepielach, wieczorami gawędząc z Dzieweczką, Jurgą i Włodkiem, którzy mu zazdrościli, że przy rycerzach po świecie wędruje, oni zaś muszą siedzieć niczym starcy w domu i, miast samym wojować, innych muszą Uczyć tego rzemiosła.

Wracać do Wilna nie potrzebował, gdyż zgodnie z przewidywaniem Jaksy spotkał po drodze dwór ciągnący do Chełma.

Nietrudno był odszukać pana z Niemierzy, choć pojazdy i wozy dworskie rozciągnęły się na blisko pół mili. Jadąc przy boku Jaksy najpierw opowiedział mu przebieg spotkania w Trokach. Wysłuchawszy go uważnie, Rudy wyraził zadowolenie, a potem kazał sobie opisać owego kupieckiego pościana. Dopiero potem spytał z ożywieniem:

— A teraz mów, co w Czepielach?! Wszyscy zdrowi? Jak się miewa moja małżonka i Aldona?!

— Zdrowe i gorąco pozdrawiają waszą wielmożność! Spodziewały się pisma, ale dowiedziały się wszystkiego ode mnie!

— Pani Una pytała zapewne o synów i męża? Nie powiedziałaś zbyt wiele?

— Tylko tyle, ile mi przykazaliście! Była niespokojna, ale zapewniłam, że wkrótce powrócę, a wyprawa bezpieczna.

— Licha tam... — mruknął Rudy. — Ale dobrze zrobię uspokajając niewiasty.

— Uspokoilem także panienkę Olgę... — uśmiechnął się pocztowy, po czym opowiedział Jaksie o odwiedzinach podejrzanego szlachcica. Rudy zaczął szczegółowo rozpytywać o tego podróżnika, jednak Tomek nic więcej nie zdołał mu powiedzieć.

— Toś gamoń — skwitował to sprawozdanie Jaksy. — Nazwisko było na pewno fałszywe, ale o wygląd powinieneś być rozpytać!

Tomek nie starał się usprawiedliwiać, choć było widać, że zmarkotniał.

— Henryk jedzie z nami, postaram się z nim pogadać... Może uda się pociągnąć go za język! — pocieszył go Rudy.

Sposobność już znalazł następnego dnia. Nie był to jednak zbieg okoliczności, gdyż poczet wrocławskiego ksiąźtka zdołał zawnoczu wypatrzeć, ale okazja była dobra, gdyż Henryk jechał w towarzystwie Bukwy. Jaksy, ujrawszy ich, zbliżył się i hamując wierzchowca, pozdrowił sokolniczego.

— Tyle czasu jesteśmy już w drodze, a teraz dopiero waćpana spotykam! — zagadnął z uśmiechem. — Również imć Holeszki nigdzie nie udało mi się spotkać!

— Tabor tak rozciągnięty, że nie dziwota! odpowiedział jak zwykle po przyjacielsku Bukwa. — Waści też nigdzie nie widziałem!

— Umyślnie pan marszałek tak zarządził, aby z noclegami po wsiach trudności nie było — wyjaśnił Jaksy i zaraz dorzucił: — Wszakże być może waćpanom w pogawędce przeszkodziłem, tedy raczcie wybaczyć...

— Ależ nie! Oto pan Jaksy z Niemierzy... — zaprezentował swemu towarzyszowi sokolniczy — a to, mości panie Jaksy, ksiąź Henryk, bratanek jego Eminencji Konrada, biskupa wrocławskiego!

— Wielki to dla mnie honor... — Jaksy uchylił rysiej czapki.

— Wszakże z widzenia znam mości księcia!

— Tak jak i ja waszmość pana... — burknął Henryk mierząc Jaksę zakłopotanym spojrzeniem.

Rudy zwrócił się jednak do niego z uśmiechem:

— Cieszę się z naszego spotkania, bo pogawędka umila podróż, zwłaszcza w tak godnej kompanii!

— Rad słyszę tak grzeczne słowa — oświadczył Henryk z wyraźną ulgą.

— A dlaczegoż miałyby być inne? — z dobrze udanym zdziwieniem rzucił Rudy, potem dodał żartobliwie: — Przecież nie znaliśmy się, nie było okazji...

— Może powód by się i znalazł? — odpowiedział z przekąsem Henryk.

— *Wiem, mości książe, co macie na myśli — rzucił Rudy niefrasobliwie. — Ale wiek młodzieńczy mam za sobą i niejedno widziałem, toteż jakieś tam miłosne wyścigi mnie nie ciekawią! Ostawiam je młodym, niech oni się tym bawią, a ten, który lepszy, niech będzie górą...*

— *Istotnie, widzę, żeś waszmość człek stateczny! — zawołał Henryk, wyraźnie rad z usłyszanego oświadczenia.*

— *I ja na tyle już poznałem mości pana Jakse, by przyznać słuszność księżęcej mości! — zgodził się Bukwa, włączając się do rozmowy. — Toteż zaszczyt to dla mnie niemały, że darzy mnie przyjaźnią!*

— *Nie inaczej, mości panie sokolniczy! Trudne teraz czasy, toteż każdą pomocną dłoń cenić należy wysoko... — odpowiedział mu Jaksza z porozumiewawczym spojrzeniem.*

— *Oj ciężkie, bo ciężkie... — westchnął Bukwa, ale uśmiechnął się przy tym.*

— *Waść rodzinę masz przynajmniej w Koronie? — Jaksza skierował rozmowę na zamierzony tor.*

— *Teraz na Litwie wrze, toteż lepiej, że nie ma jej przy mnie!*

— *Czego ja o swojej nie mogłem powiedzieć! Jednak na szczęście w porę udało mi się przewieźć ją w bardziej bezpieczne strony...*

— *Które to uważasz waszmość za bezpieczne? Chyba gdzieś w głębi Mazowsza? — wtrącił Henryk.*

— *Dlaczego książe mówisz o Mazowszu? Czyżby nikt ci nie wspomniał, gdzie swoich wyprawilem?*

— *Istotnie, coś słyszałem, ale me pozostało w pamięci! — rzucił zdawkowo Henryk.*

Jaksza po tych paru wypowiedziach już wiedział, że jego podejrzenia były słuszne, więc wyjaśnił od niechcienia:

— *Osiedli w ziemi chełmskiej. Wprawdzie niedaleko od granicy, ale lepsze to niż pobliz Wilna.*

— *Istotnie, okazałeś waszmość przezorność — przytaknął Bukwa. -Niemierzę jedną z pierwszych Świdrygiełto zagarnął!*

— *Małżonka chwali sobie nowe miejsce? — z uprzejmym zaciekawieniem spytał Henryk.*

— *Czyż może być dobrze nie u siebie? — westchnął Jaksza. — Choć rodzinę mam niedużą, bo tylko małżonkę i córkę...*

— *No i ponoć podopieczną? — uzupełnił Henryk pokrywając uśmiechem zainteresowanie. Rudy odpowiedział mu kpiąco:*

— *Waści widać z myśli ona nie schodzi?*

— *A nie schodzi! — z raptowną zaciętością warknął książe. — A komu sądzona, jeszcze obaczym! — dorzucił już raczej sam do siebie.*

— *Powinieneś tedy dać jej znać o sobie, aby wiedziała, że o niej pamiętasz...*

— *Dotąd nie wiedziałem, gdzie jest...*

— *Czy aby na pewno?*

Henryk obrzucił Rudego badawczym spojrzeniem.

— Waćpan powątpiewasz?

— Wiedząc, że Olga jest .z nami, sądziłem, żeś przepytał, gdzie pojechała... — wyjaśnił spokojnie Jaks, ale jeszcze dorzucił: — I kogoś tam podesłał...

W tydzień później dotarli do Chełma. Bardziej przezorni panowie wysłali przodem dworzaków, aby wyszukali i przygotowali kwatery, ci zaś, którzy okazali mniej doświadczenia, szukali teraz gorączkowo i z różnym powodzeniem pomieszczenia dla siebie i zaprzęgów. W rezultacie musieli zadowolić się byle czym, z konieczności godząc się na ciasnotę i niewygody.

Jaks nie miał tych kłopotów, gdyż mieszkalne kwatery dla personelu pana wicekanclerza znaleziono na terenie grodu, w jednym z przyzaskowych budynków.

Zajął wszakże izbę razem z Lechem i Tomkiem, bo o osobnych pomieszczeniach nie było co marzyć. Izba księdza Andrzeja znajdowała się blisko, z czego był rad, mając ułatwiony kontakt z proboszczem.

Rozgościł się od razu, gdyż wielu rzeczy ze sobą nie woził i nudził się, bo nawet jeszcze się nie rozeznał, gdzie znalazł kwaterę jego szachowy partner, pan Holeszko.

Któregoś dnia, po południowym posiłku, wrócił do izby, by nieco odetchnąć. Obu jego towarzyszy nie było, z czego był rad, spodziewając się spokojnego wypoczynku.

List leżący na stole zauważył od razu. Papier był złożony we dwoje i spięty woskową pieczęcią. Zaciekawiony złamał ją i rozłożył arkusz.

Po zapoznaniu się z pismem opadł na krzesło, jeszcze raz przebiegł je wzrokiem, po czym zamyslił się z lekkim uśmiechem na twarzy. A więc przynęta chwyciła, na co wskazywała treść pisma:

„Jutro, w obiadowej porze, przyjdź do okrągłej baszty w południowej stronie murów. Wejdź na piętro, a potem po drabinie na następne i czekaj na mnie.”

Znał już na tyle chełmski gród, by wiedzieć, gdzie znajduje się owa baszta. Tkwiła w środku najkrótszego, południowego odcinka murów, pomiędzy dwiema kwadratowymi, narożnymi wieżycami.

Zdziwiło go jednak, że autor tego polecenia chce się z nim spotkać za dnia, a zatem zdradzić, kim jest. Nie dociekał jednak zbytnio tej zagadki licząc, że rozwiąże się sama.

Zawiadomił następnego dnia towarzyszy, gdzie i po co się udaje, gdyż z niespodziankami należało się liczyć, i ruszył o wyznaczonej porze ku południowej stronie grodu.

Stała tam zbrojownia, a dalej jakieś zabudowania, których przeznaczenia nie znał. Minął zbrojownię i dostrzegł przejście ku ciągnącym się w pobliżu murów.

Jej tylną ścianę chroniły drzewa, a dalej ciągnął się pas przedmurza porośły trawą i kępami zarośli, które otaczały także półkolisty brzuch baszty, wystający ze ściany murów.

Krzaki jakby rozstępowały się przed czarnym otworem wejścia, do którego prowadziła wąska ścieżka.

Jaks ruszył nią i wkrótce znalazł się w mrocznym wnętrzu dolnego pomieszczenia. Podłogi nie miało, a jedynie ubitą ziemię. Leżały tu jakieś drągi z hakami, zapewne do sychania drabin, parę żelaznych kotłów do podgrzewania ukropu, jakieś kawałki obrobionego drewna i sterty kamieni. Przymocowane do ściany pięły się w górę schody, mocno już nadwerżone czasem.

Wstąpił na nie bacząc, by stopnie nie załamały mu się pod nogami, ale na piętro dotarł szczęśliwie.

Tu podłoga stanowiąca strop dolnego pomieszczenia była ceglana.

W kolistej ścianie widniały dwa wąskie otwory strzelnicze, dające tyle światła, by mógł stwierdzić, że okrągła izba była pusta. Pośrodku stała tylko nieco pochylona drabina, oparta o brzeg kwadratowego otworu w pułapie.

Pamiętając o wskazówkach z listu, wstąpił na nią, ciekaw, kogo znajdzie na górze. Kiedy jednak wychylił się poza obręb otworu i rozejrzał dokoła, przekonał się, że i to pomieszczenie było puste. Nikogo w nim nie było. Światło sączyło się również tylko przez strzelnice, starczyło go jednak na tyle, by ze zdziwieniem dostrzegł zwinięty na podłodze sznur jednym końcem uwiązany do górnego szczebla drabiny. Do czego mógł służyć, nie zastanawiał się, raczej zawiedziony, że nikogo na wyznaczonym miejscu nie zastał.

Należało jednak czekać. Zbliżył się więc do strzelnicy i wyjrzał przez nią na zewnątrz.

Dawała rozległy widok na całą południową część miasta. Dostrzegł zwarte i małe, niby pudełeczka, domy, ściśnięte w obrębie miejskich murów, dalej rozrzucone już luźniej i otoczone drzewami. Widać się między nimi Uherka niby srebrna nitka rzucona na szare tło zatartych ludzkich siedzib. Dalej zaś zimowa mgła jeszcze bardziej zlewała wszystko w jedną szarość.

Raptem usłyszał z dołu szelest stąpających kroków. Ktoś wspinał się po schodach.

Odsunął się gwałtownie od strzelnicy i nasłuchiwał z natężoną uwagą. Odgłos stąpań stawał się coraz wyraźniejszy, a jednocześnie zdawało mu się, że słyszy sapanie, jakby wspinanie się po schodach sprawiało idącemu trudność. Po chwili przybysz znalazł się widać w dalszej izbie, gdyż usłyszał stłumiony głos:

— Hej, jesteś tam?

— Jestem! — odpowiedział Jaksą, głośniejszy niż zamierzał. Polecenie, jakie z kolei usłyszał, było zaskakujące.

— Weź za koniec sznura uwiązanego do drabiny i trzymaj go mocno!

Jaksą, zgodnie z rozkazem, chwycił za koniec sznura. W tej chwili dostrzegł, jak wystający z otworu koniec drabiny zaczyna znikać, a potem rozległ się huk jej upadku. Lina naprężyła się, ale spory kawałek pozostał mu jeszcze w ręku. Jednocześnie głos z dołu znów się odezwał:

— To na wypadek, gdyby ci przyszała ochota zjechać do mnie! Kiedy skończymy naszą rozmowę, będziesz mógł wciągając drabinę do siebie,

dlatego nie wypuść z ręki sznura, bo byś musiał wołać pomocy, a stąd mało kto cię usłyszy!...

— Widzę, żeś mocno przezorny... — rzucił kpiąco Jaksą.

— Muszę mieć czas, aby stąd odejść! Starczy go, zanim ty uporasz się z ciężarem tej drabiny!

— Dobrześ to obmyślił — przyznał z sarkazmem Rudy. — Istotnie byłbym ciekaw zobaczyć, kto zacz!

Lepiej nie próbuj... A teraz słuchaj, Jakso z Niemierzy, i dobrze spamiętaj, co powiem — głos stał się rozkazujący, ale nadal był stłumiony i trudny do rozeznania, jak gdyby mówiący trzymał przy ustach chustę. Jednak Rudy słyszał niemal wszystkie słowa padające z miarową monotonością.

— Nie będziesz odtąd pisał do nikogo listów, a to co przykazano ci donosić, będziesz przekazywał mnie albo w miejsce przeze mnie wyznaczone.

— *O jakich doniesieniach mówisz?! — zawołał Rudy. — O niczym takim nie wiem!*

— *Porzuć te zaprzeczenia, bo szkoda czasu. Masz być mi posłuszny nie z mojej woli, a z wyższego rozkazania. A jeśli tak nie będzie, zostaniesz pokaran jako zdrajca, a coś dotąd czynił, dowiedzą się ci, którzy wiedzieć o tym nie powinni! Zatem nie gadaj na próżno, bo nie tobie ze mną się spierać!*

— *Ależ... — Rudy udał przerażenie. Ja doprawdy nie wiem, o czym ty mówisz! Widać pomyliłeś mnie z kim innym!*

Jednocześnie zbliżył się do otworu w nadziei, że uda mu się dojrzeć tajemniczego rozmówcę. Jednak ten musiał przewidzieć takie usiłowanie i odsunął się pod ścianę, gdyż Jaksza nie zdołał dostrzec niczego poza — końcem wywróconej drabiny leżącej w dole.

Doszedł go cichy chichot.

— *Zatem nie ty wysłałeś owo pismo do Torunia? Nie ty obiecywałeś dalsze wieści? Znam każde słowo w nim zawarte, a pozna je i ów proboszcz, jeśli nadal będziesz się wypierał...*

Jaksza milczał przez chwilę, zanim odezwał się z zaciętością:

— *Dwom panom nie będę służył!*

— *Tego się nie bój! Będziesz służył temu, któremu posłuszny jest i Zakon!*

— *Czego zatem ode mnie chcesz?*

— *Skończysz z pismami, a zajmiesz się sprawą, którą ci polecę. Księżciu Henrykowi nie okazujesz wrogości, bo widziano cię w przyjaznych z nim rozmowach. Zachowaj zatem swą wyrozumiałość i bądź mu dalej przyjazny...*

— *Po co wam to?*

— *Nie przerywaj! — głos zdradzał zniecierpliwienie. — On postąpił samowolnie opuszczając królewski dwór, bo ważniejsza mu była kiecka niżli obowiązek w cesarskiej służbie! Ale tłumaczył swój postępek poleceniem naszego wysłannika, który mu okazał znak nakazujący posłuszeństwo. Wejść z nim zatem w jeszcze lepszą komitywę i sprawdź, czy prawda to, czy też znając ten znak posłużył się kłamliwym wykrętem?*

— *Przecież chyba wiecie, kto ma prawo posługiwać się nim? Czy nie prościej sprawdzić słowa Henryka takim sposobem?*

— *Nie, nie prościej. Znak ten daje sam kanclerz, i nie zawsze temu samemu, a pytać kanclerza nie wolno, bo to sprawa tajna. On dzierży w ręku wszelkie polecenia cesarskie i przekazuje je przez swoich wysłanników.*

— *A jaki to znak?*

— *Nie potrzebujesz tego wiedzieć, przynajmniej teraz. Przed Henrykiem możesz jeno udawać, że go znasz.*

— *Jak mam przekazać wam wiadomość?*

— *Będziesz wezwany, tak jak teraz, a potem zobaczymy.*

— *Wiele dajecie mi czasu na wykonanie?*

— *Spieszyć nie należy, bo sprytu księżęciu nie brak i możesz popaść w podejrzenie. Rychło zapewne ruszymy do Sandomierza, toteż dopiero chyba tam cię wezwę. A teraz zabawiaj się drabiną, bo już odchodzę.*

Istotnie Rudy usłyszał szmer oddalających się kroków, ale nadal nikogo nie zdołał dostrzec, gdyż otwór umieszczony pośrodku izby był zbyt mały, by dozwolił zobaczyć, co działo się pod ścianami.

Jak przewidział jego rozkazodawca, wiele trudności i czasu kosztowało go wciągnięcie z powrotem ciężkiej drabiny. Toteż kiedy wreszcie wyszedł, z baszty, nawet nie usiłował nikogo wypatrywać i pośpieszył na kwatere. Tam zaś na pytanie zaciekawionych towarzyszy odpowiedział krótko:

— Jesteśmy teraz w służbie Jego Cesarskiej Mości...

Jednak rozmowa, jaką odbył z księdzem Andrzejem jeszcze tego wieczoru, była znacznie dłuższa.

Król początkiem lutego pociągnął do Sandomierza, gdzie wyznaczył powszechny zjazd co znaczniejszej szlachty.

Istotnie, przybyli wszyscy piastujący ważniejsze urzędy. Ścisk w mieście zrobił się większy niż w Chełmie, ale tak zawsze bywało, kiedy monarcha wzywał na naradę szerokie rzesze dygnitarzy.

Zjazd miał przebieg równie burzliwy, jak w Chełmie, a nawet burzliwszy. Już w pierwszym dniu obrad padały te same oskarżenia pod adresem Jagiełły. Obwiniano go o przedkładanie więzów rodzinnych nad dobro kraju, którym rządził, zbytnią ustępliwość i samowolę w tak ważnej sprawie, jak ustanowienie następcy na wielkksiążęcym krześle Litwy, a także oddanie Podola. Przeprowadzono w tych sprawach formalne śledztwo, żądając od króla złożenia wyjaśnień. Gorący więc panował nastrój i gorące dni przeżywał stary władca.

Oburzenie bowiem było powszechne i głębokie, a co zapalczywsi mówcy nie wahali się wręcz zarzucać królowi zdrady. Tylko nieliczni brali monarchę w obronę, wskazując na jego dążenie do pokoju, pragnienie oszczędzenia przelewu krwi i nieuchronnego zniszczenia krajów, czego początki już widzieli na ziemi lwowskiej. Wszakże gniewnych była ogromna większość. A że przewodziły im takie osobistości, jak sam Jego Eminencja biskup krakowski i kanclerz Zbigniew Oleśnicki, wicekanclerz Oporowski, bracia Szafrąncowie i Jan Koniecpolski, przeto głosy bardziej umiarkowane nie odnosiły skutku. Żądano nawet odebrania Świdrygiełło godności Wielkiego Księcia Litwy, ale król sprzeciwił się temu tak ostro, że uczyniono mu w tym względzie ustępstwo, jak i wyrażono zgodę na wysłanie do kniazia poselstwa. Jednocześnie jednak uchwalono wojnę.

Poselstwo bowiem w osobach dwóch biskupów: chełmskiego Jana i poznańskiego Stanisława Ciołka oraz dwóch wojewodów: Sędziwoja — poznańskiego i Jana z Lichina — brzesko-kujawskiego, otrzymało do przekazania warunki, o których wiedziano z góry, że nie będą przyjęte. Miał bowiem kniaź uznać swoje dotychczasowe uprawnienia za niewystarczające i prosić o wznowienie ich na zasadzie postanowień unii horodelskiej „od Króla, Królestwa i Wielkiego Księstwa”, a jednocześnie oddać Podole i Wołyń wraz z Łuckiem oraz spotkać się z Jagiełłą w kwietniu lub maju.

Poselstwo to powiozło pismo Jagiełły, w' którym upominał kniazia: „... że miłości braterskiej i królewskiego dostojęstwa, którego majestat wszystkie

kraje i narody wielbią i szanują, króla Władysława tak niegodnie i okrutnie obraził; najmniejszej wdzięczności, iż go na tak znakomite księstwo i na taką potęgę więcej niż braterskim przywiązaniem i miłością wyniósł i tak świetnie ozdobił — nie okazał(...), które to przymierze ty, Świdrygiełło, wzgardziwszy i podeptawszy związki, zerwałeś i pogwałciłeś, tak wielkiego króla w więzieniu trzymałeś, a kiedy mu z miłosierdzia Bożego i szczególnej jego opieki zdarzyło się uwolnić, wschodnią część królestwa, Podole i Tyrangetów³³ najechałeś, pożogami napełniłeś, ziemię lwowską okrutnymi najezdami zniszczyłeś...”

Kończył się jednak ten list słowami: „gotów jest Władysław zjechać się na granicach państwa z tobą i panami twego kraju obecne wszystkie spory rozstrzygnąć oraz dawne przymierza, związek i przyjaźń odnowić”³⁴.

Jednak posłowie istotnie wrócili tylko z obietnicą Świdrygiełły przystania swoich wysłanników. Wobec braku wyraźnej odpowiedzi, co sugerowało grę kniazia na zwłokę, król wysłał tym razem swego posła, Lutka z Brzezia. Ten jednak w przemówieniu tak dalece dał upust swemu oburzeniu czy też złości, że Świdrygiełło, sam nieopanowany w gniewie, wyciął mu policzek i kazał posła uwięzić.

Był to czyn tak niesłychany, że wszelkie dotychczasowe głosy wzywające do pokoju zamilkły. Sam Jagiełło widział już, że wojna jest nieuchronna, toteż zaczął czynić do niej przygotowania.

W Polsce uważano, że jest to sprawa wewnętrzna kraju, nie zabiegano więc o sojuszników, upewniając się tylko, czy sąsiedzi — zwłaszcza Zakon — zachowają dotychczasowy pokój. Natomiast Świdrygiełło, czując swą słabość wobec polskich sił, przywołał na pomoc dotychczasowego królewskiego lennika, wojewodę mołdawskiego Aleksandra, zawarł też przymierze z Nowgorodem, Pskowem oraz tatarskim chanem Uł Machmetem. Miał nawet okazję pozyskać pomoc husytów, ale nie chciał w ten sposób narazić się Kościołowi i cesarzowi Zygmuntovi. Ten bowiem gorąco go popierał i nie tylko podtrzymywał obietnicę koronacji, ale nawet postanowił wysłać biskupa Zagrzebia ze sporządzoną dla Witolda koroną.

Najbardziej jednak zabiegał Świdrygiełło o pomoc Zakonu.

Jednak Wielki Mistrz zdawał sobie dobrze sprawę, że tak jak Polska, tak i Świdrygiełło w głębi serca są mu wrody i, jak to już nieraz w przeszłości

33 — *Wołyń.*

34 — *Według źródeł historycznych.*

bywało, mogą się dogadać i połączyć przeciw niemu. Do tego niegdyś tak słynny z zasobności skarb zakonny był wyczerpany, ludność była bardziej przychylna Polsce, a wojnie zdecydowanie przeciwna. Poza tym zaś, jak tu łączyć się ze schizmatykiem przeciw katolickiemu królowi? Co na to powie papież — jego zwierzchnik, a tym bardziej sobór? Wspierać Polski niepodobna, z kniazem przymierze niebezpieczne, bo co będzie, jeśli przegra? Klęska Świdrygiełły groziła Zakonowi zgubą, gdyż pozostałby samotny wobec polskiej przewagi. Na cesarza nie mógł liczyć — zbyt dobrze Wielki Mistrz znał jego kłamstwa, przewrotność i przeniewierstwo. Ale z drugiej strony, kiedyż zdarzy się lepsza sposobność do rozerwania związku tych dwóch krajów?

Toteż mocno zatroskany pisał do inflanckiego mistrza Rutenberga, prosząc o radę: „Bóg widzi, jak wielce jesteśmy z powodu tych spraw stroskani, nie mogąc wiedzieć, jaki one koniec wezmą”.

W odpowiedzi mistrz inflancki pismem z 13 I 1431 roku radził mu wstrzymać się od udziału w bieżącym toku spraw, ale Litwinom nie szczędzić obietnic, by nie dopuścić do zgody z Polską. Tej wszakże w żadnym wypadku nie powinien pomagać, gdyż wówczas „cały ruski język” miałby przeciw sobie. Wystąpić zaś tylko wtedy, jeśli szala przechyli się, i to wyraźnie, na korzyść Litwy.

Wielki Mistrz postanowił przyjąć tę mądrą radę, lecz Świdrygiełło, świadom przyczyny tych wahań, miał na niego bat, jakim była groźba przymierza z Jagiełłą.

Jeszcze w drodze do Sandomierza Jaks miał okazję pogadać z Henrykiem, co wykorzystał, by nawiązać z nim bliższą znajomość. Toteż już po ulokowaniu się na zamku uznał, że nadeszła pora na bardziej rzeczową rozmowę, niż to miało dotychczas miejsce, i ujawnić się przed nim w nieco innej roli, niż młody księżę mógł przypuszczać. Zmuszała go do tego śmiałego kroku również i konieczność, gdyż spodziewał się lada dzień wezwania od tajemniczego rozmówcy z baszty, a trzeba było okazać się przydatnym, by ten kontakt utrzymać.

Kiedy więc nadarzyła się sposobność, zaprosił do siebie Henryka na pogawędkę i kubek miodu. Zaproszenie zostało przyjęte z wyraźną ochotą, toteż kiedy zasiedli przed rozpalonym na kominku ogniem i tręcili się

kielichami, nie było trudności w nawiązaniu przyjacielskiej rozmowy. Po krótkiej wymianie wrażeń z niedawno zakończonej podróży Jaksy spytał:

— *Jak tam na obradach? Podobno mocne oskarżenia padają na głowę Jego Królewskiej Mości?*

— *A mocne... Nawet mi dziwno, że wysłuchuje ich tak spokojnie. Toć pomawiają go nawet o zdradliwe knowania ze Świdrygiełką!*

— *No cóż... Wielce jest gniewna Rada na królewską samowolę...*

Trudno zaprzeczyć, że słuszne czyni mu zarzuty, bo bez niej wszystko postanowił!

— *Nie bez celu to zrobił. Chciał tym sposobem pokazać waszym panom, że Litwa to jego dziedzictwo i w prawie jest podejmować decyzje, nie pytając nikogo.*

— *Widzi mi się jednak, to starcza zaciętość. Uparty staruch i tyle!* — rzucił z gniewem Rudy.

Henryk obrzucił go zaciekawionym spojrzeniem.

— *Miałem was za wiernego sługę tronu... Czyżbyście i wy byli mu przeciwni?*

— *Mnie on ani ziębi, ani grzeje! Dobry mam i zaszczytny urząd, to go pełnię i tyle! Ale jeśli ma się głowę na karku, panów można mieć i kilku!*

— *Co macie na myśli?* — z wyraźną już ciekawością spytał Henryk.

— *Wnet się okaże. A jak wam się wiedzie na naszym dworze?*

— *Wielcem rad z królewskiej gościny i przychylności miłościwego pana, toteż chętnie u was przebywam!*

— *No, powiedzmy nie tylko dlatego. Ale sądzę, że nie cieszyacie się równą przychylnością u innych władców...*

— *O czym waść mówisz?* — rzucił z wyraźnym przestachem księżę, aż przechylając się w krześle ku Jaksie.

— *O tym, co mnie przykazano. Ale nie miejscowy to rozkaz* — Rudy uśmiechnął się porozumiewawczo — *a zgoła czyjś inny.*

— *Przykazano wam?* — spytał ścisząc głos Henryk, pobladył raptownie na twarzy. — *Kto zatem to przykazał i kim jesteście?*

Rudy uśmiechnął się:

— *Nie na każde pytanie można dać odpowiedź. Ale na te, które wam postawię, chciałbym usłyszeć. A z pytania będziecie się mogli sami domyślić, kim w rzeczy samej jestem...*

— *Cóż... cóż to za pytanie...?* — nieomal wyjąkał Henryk.

— *Jak to było z tym znakiem okazanym wam w Grodnie? Czy istotnie był u was nasz wysłannik, czy też zmyśliliście jego bytność, by usprawiedliwić pobyt na wileńskim dworze?*

— Boże przenajświętszy...! — ze zgrozą rzucił książkę. — To wy... wy... — nie dokończył, widać nie mogąc zebrać myśli;

— Nie macie się co dziwić — Jaksza wzruszył lekceważąco ramionami.

— A zatem? Jakże było w Grodnie?

— Tak, jakem już mówił! Przybył do mnie wysłannik z klamrą u pasa i tak mi rozkazał! Toteż byłem posłuszny...

— Możecie to przysiąc?

— Ależ klnę się na Święty Krzyż i zbawienie duszy! Po co jednak pytacie mnie, przecież ów człowiek może to potwierdzić! Chyba, że nie żyje...

— Nie mnie ani wam o to pytać! A o naszej rozmowie zapomnijcie.

— Teraz rozumiem... — mruknął na wpół do siebie Henryk.

— Rozumiem, dlaczego nie byliście mi wrody, kiedyśmy się poznali... Dziwne mi to wówczas było... Ale teraz...

— Dobrze, żeście chociaż to pojęli — ironicznie zakończył rozmowę Jaksza.

Obrady toczyły się bez przerwy, ale przemowy, choć nadal ostre, nie szczędzące królewskiej osoby, nie były już tak burzliwe i gwałtowne jak w pierwszych dniach. Gniew skorej do wybuchu szlachty już się począł uśmierzać, bo jego siłę w znacznej mierze stępiły głosy przemawiające za osobą władcy, jak również wyładowanie nagromadzonych pretensji i zarzutów. Dlatego też w końcu panowie z Rady zaniechali pozbawienia Świdrygiełły godności, jak i wyrazili zgodę na wysłanie do niego poselstwa.

Jaksza z pewnym napięciem oczekiwał na zapowiedziane wezwanie. W kancelarii było nieco więcej roboty, bo szły pisma nie tylko do cesarza Zygmunta, Wielkiego Mistrza czy wreszcie Świdrygiełły, ale także do Watykanu i na inne dwory z oskarżeniami rzymskiego, cesarza o popieranie Zakonu w jego knowaniach z heretykami przeciwko chrześcijańskiemu władcy.

Rudy miał wszakże sporo wolnego czasu, bo nie do niego należało wodzenie piórem po papierze. Toteż rychło odszukał Holeszkę i zasiadali do szachów wymieniając w czasie gry uzbierane za dnia wiadomości. Również i pan Bukwa, lubiący przyglądać się partiom, przysiadał do nich i brał udział w gawędzie.

Korzystał więc z okazji i nie bez ukrytej myśli od czasu do czasu kierował rozmowy na osobę księcia Henryka.

Tym razem również odezwał się jakby od niechcienia, rozstawiając figury do kolejnych partii.

— Mówił mi rankiem książkę Henryk, że ponoć jejmość pani królowa udaje się do Krakowa, a i my mamy po skończonym zjeździe tam jechać...

— Ja też to słyszałem — potwierdził sokolniczy. — Dostyc, nieboga, miała zgryzot z tymi potwarcami, którym przewodził jeszcze sam Witold, świeć Panie nad jego duszą... Dopiero teraz chyba się uspokoją, jak Straszka Odrowąża, na jej żądanie, król jejmość wtrącił do więzy.

— Ponoć przysięgał, że niewinny, jeno powtarzał, co mu inni gadali... — rzucił Jaksza.

— Kto go tam wie... — Bukwa machnął ręką. — Wyługuje się teraz!

— Henryk mówił, że ponoć przysięgę składał. — Rudy celowo powtórnie powołał się na księcia. Wywołało to zamierzony skutek, bo. Holeszko prychnął ironicznie:

— Waść zadurzyłeś się chyba w tym gołowąsie! Wciąż o nim wspominasz, jakby on jeden był na tym świecie! A i równie ochotnie z nim przestajesz, bo już ze dwa razy widziałem jakżeście niby dwaj druhowie gadali!

— Z tym druhem toście, panie Holeszko, zbyt wysoko skoczyli — z nieco nadętą miną odpowiedział Jaks. — Lubię z nim gadać, to prawda, bo bystry to młodzieniec, ale za druha go nie uważam!

— Nie macie o co się boczyć... — roześmiał się Holeszko. — Wszakże wyznaję, że nieco mi dziwna ta wasza komitywa z człowiekiem, który na dziewczkę z waszego dworu nastawał i chyba tego nie poniechał...

— Jam jej do siebie nie zapraszał! — obruszył się Rudy. — A że krewniak ją przywiózł, odmówić gościny nie mogłem! Ale tyle mi po niej, co po plewach! Wszakże mnie także dziwno, że tyle wiecie co się u mnie w garnkach gotuje!

Holeszko zachichotał wyraźnie rozbawiony rozdrażnieniem Rudego, ale w odpowiedzi wyręczył go Bukwa.

— Obaj zatem się dziwujecie, ale nie ma czemu, boć i ja jeszcze w Wilnie słyszałem od waszych sąsiadów o porwaniu i ucieczce siostrzenicy grodzieńskiego starosty! A także, że w Niemierzy się schroniła. Ludzie dobrze wiedzą, co u drugich się dzieje, bo służba gęby na nas strzepli i nie skrywa nawet, wiele razy chodzą za stodołę!

— To prawda' — Rudy roześmiał się na dowód, że sprawy poważnie nie traktuje. — Ale też nie ma co wypominać, że nie okazałem wrogości temu ksiązkę! Zadurzył się, jego sprawa, co mi do tego!

— Może zadurzył się, a może na dobrą partię poluje — zauważył Holeszko. — Dziewka ponoć wielce majątna...

— A jak sądzicie, przychylna mu? — sokolniczy tym razem okazał iście niewieścią ciekawość.

— A bo ja wiem! — lekceważąco rzucił Jaks. — Dość mam własnych trosk na głowie! Ale Henryk nie zawsze wydaje się szczerzy... Przyłapałem go nawet na kłamstwie. A z takimi ludźmi bywam ostrożny.

— Wszyscy po trosze łżemy, by ułatwić sobie życie... — mruknął Bukwa.

— Ale co o nim sądzicie? — nastawał Rudy. Przecież znacie go także. Czy to młodzieniec godny zaufania?

— Dawać o kimś dobre świadectwo, to tyle co za niego odpowiadać — wtrącił Holeszko. — A źle mówić nie uchodzi. Toteż nie pytaj waść o cudze mniemanie, a sam oceń człowieka!

— Dzięki za poradę! burknął urażony Jaks. — Nie wątpię, żeś waćpan mądrzejszy ode mnie, ale starczy mi tego, czego nauczył mnie własny rodzic! A pytałem, bom ciekaw, czy mój osąd zgodny z mniemanem tak dojrzałego człeka, jak mości sokolniczy!

Bukwa roześmiał się.

— Dzisiaj waćpan musiałeś wyleźć z łoża lewą nogą!

— Sądziłem, że usłyszę, co sądzicie o tym człowieku — już spokojnie wyjaśnił Jaks licząc się, że być może właśnie któryś z nich dał mu w baszcie to zlecenie. Zwłaszcza brał pod uwagę Bukwę, gdyż wiedział o jego staraniach o wierzchowca — mógł to wykorzystać do przejścia listu.

— Chcecie wydać za niego córkę, że was tak ciekawi?! — prychnął ironicznie Holeszko.

— *Waćć sobie ze mnie dworujesz, a przecież chyba rozumiesz, że będąc na królewskiej służbie chcę wiedzieć, z kim się zadaję?*

— *Istotnie masz waććpan słuszność mając takie powody... — zgodził się sokolniczy.*

— *Jakież inne mógłbym mieć? — zdziwił się Rudy.*

— *Może chciał zaciągnąć u waććci pożyczkę? — znów kpiąco zauważył Holeszko. — Ale w takim przypadku, nie oglądając się, co kto o nim mniema, zawsze lepiej odmówić!*

Pan Holeszko zwykł sobie pokpiwać, ale czasami opłaci się nawet strata, jeno zależy, kto nas kosztuje. Korzyści nie zawsze należy liczyć w gotowiznie... — rzucił Bukwa.

— *Bardzoś mądrze to waććpan wywiódł... Holeszko jak zwykle nie umiał pozbyć się zgryźliwości, która tak często przysparzała mu wrogów. Ale Bukwa nie czuł się widać dotknięty, bo zamiast odpowiedzi tylko machnął, z dobrodusznym uśmiechem, ręką.*

Tym razem to Czarny musiał czekać na Kosteczkę. Jednak wybrane przez włóczęgę miejsce na tyłach magazynów, porośnięte tu i ówdzie drzewami i pełne krzewów, pozwalało skryć się przed ciekawym spojrzeniem. Stwarzało jednak i niebezpieczeństwo zasadzki, toteż Hubert przybył na spotkanie dużo wcześniej, i to w towarzystwie Rocha i Waśki, przykazawszy im skryć się w pobliżu i dawać na siebie baczenie.

Sam zasiadł na trawie i oparty plecami o pień drzewa nasłuchiwał szmeru kroków.

Jakoż wreszcie je usłyszał. Od razu ocenił, że szedł jeden człowiek. Widzieć go jednak nie mógł, gdyż widok zasłaniały otaczające go zarośla.

W pewnej chwili kroki zatrzymały się i rozległ się cichy gwizd. Czarny odpowiedział tak samo i wkrótce ujrzał przed sobą Kosteczkę. Po krótkim powitaniu usiadł przed nim, skrzyżowawszy nogi, i wobec milczącego wyczekiwania Huberta, odezwał się z wahaniem:

— *Mam wieści, panie... Ale aż strach o nich mówić...*

— *Jeśli tak, to wracajmy do domów — zaproponował poważnie Czarny.*

— *Nie żartujcie, panie, sprawa niebłaha! Wolałbym smażyć kiełbasę na beczce z prochem, niż o niej gadać...*

— *Ejże... Takiś strachliwy?*

— *Bo wiem, z kim mamy sprawę!*

— *To i ja wiem, chociażby widząc, jak trzęsiesz portkami! Ale jeśli istotnie masz sporo wiadomości, myślę, że opłaci ci się, abym i ja zapoznał się z nimi!*

— *Istotnie mam, i to wielce ciekawe. Ale wiem, kogo dotyczą i dlatego...*

Kosteczka mimo woli obejrzał się na strony, Czarny wszakże ponaglił:

— *Przestań jęczeć, a gadaj!*

— *Chodzi o ten statek „Santa Julia”... Stracił załogę...*

— *Czy to takie ważne?*

— *Wielmożny pan nie zna tutejszych praw. To statek obcy, musiał opuścić port do grudnia, ale jakże może wyjść bez załogi?*

— *Dlaczego zatem ją stracił?*

— *O, właśnie. Stracił, bo marynarze nie chcieli ryzykować skórę. Ktoś im zapowiedział, że jeśli zostaną na pokładzie, będą ginąc jeden po drugim. Początkowo śmieli się z tego, ale już po drugim zabójstwie uciekli wszyscy ze statku...*

— *Przecież nie ma go już w porcie?* — *zdziwił się Czarny.*

— *Stoi na redzie.*

— *Jakże to? Bez załogi?!*

— *Czart dał załogę i objął statek. Tak przynajmniej mówi się między kaprami...*

— *A co się stało z kapitanem? Czy też zginął?*

— *Nie! To narobiłoby zbyt wiele szumu. Czart ponoć od początku proponował mu spółkę w kaperskiej imprezie, ale kapitan nie chciał się zgodzić. Przestał, kiedy pozostał sam. Jeno z jednym oficerem. Inaczej straciłby karawelę, bo portowe przepisy grożą pozbawieniem właścicieli tych statków, które na czas nie wyjdą w morze!*

— *A więc jednak kapitan ustąpił i statek wypłynął?*

— *Musiał ustąpić, bo wolał bandycką spółkę niż stratę.*

— *A zatem to dlatego Żeglarz nie stawiał się na spotkanie ze mną!* — *domyślił się Czarny.*

— *A mieliście umówione z nim spotkanie?* — *nieomal z przerażeniem spytał Kosteczka.*

— *Toć właśnie ci powiedziałem.*

Kosteczka pokręcił głową.

— *Jeśli nie przyszedł, to nie dlatego...*

— *A dlaczego?*

— *Bo „Santa Julia” nie wyszła w morze, a stanęła na redzie. Ponoć czeka jeszcze na dodatkowe działa i resztę zaopatrzenia. Gdyby myślał o spotkaniu, mógł was zawiadomić, bo często bywa w mieście...*

— *Nie miał widać głowy, aby zająć się moją sprawą — po krótkim zastanowieniu mruknął Hubert. — Nie boi się jednak ściągać na statek zaopatrzenia?*

— *Nie robi tego za dnia. Nocą barki na wiosłach podpływają do niego.*

— *Ma gotowiznę na takie ekspansje?*

Kosteczka roześmiał się.

— *Po co mu gotowizna? Czy mało jest kupców, którzy z kaprami w znowę wchodzą? Dają im zaopatrzenie, ci zaś potem płacą zdobytym towarem, a wiadomo, kto na takim rozrachunku lepiej wychodzi! Kupcy liczą kaprom*

dostawy z nadwyżką za ryzyko, a odbierają zrabowane ładunki za pół ceny. Hazard takiego handlu dobrze im się opłaca...

— Hm... — Czarny ograniczył się tylko do mruknięcia, po czym jakiś czas nie odzywał się. Milczenie przerwał Kosteczka.

— Widzi mi się, wielmożny panie, że was zadowolilem? Ale też nie żałowałem trudu, aby wam dogodzić!

— Wiem, nicponiu, do czego zmierzasz! Istotnie, wiadomości otrzymałem sporo, toteż masz... — Hubert ze śmiechem wysypał na dłoń pieniądze i podsunął Kosteczce. Ten zerknął na monety i widać policzył je jednym rzutem oka, bo sięgnął po nie z zadowoleniem.

— Dziękuję łaskawemu panu! Rad będę jeszcze wam usłużyć, jeśli macie dla mnie nowe polecenia!

— Nie, chwilowo żadnych nie będzie. Ale gdzie w razie potrzeby mam ciebie szukać, bo potrzeba może się zdarzyć?

— Pytajcie o mnie „Pod Złotą Kotwicą”. O mnie lub Dupka, to mój kumpel, on będzie wiedział, gdzie mnie znaleźć... Ale, wielmożny panie... Raczzcie baczyć, aby mnie nie wydać, bo nie będzie komu wam usłużyć...

— Swoją skórę cenię na równi... — uspokoił go Czarny pytając jednocześnie z ożywieniem: — Gdzie ta karawela stoi? Daleko w morzu? Wiesz jak wygląda?

— Daleko nie stoi! Nieco w lewo od ujścia Wisły, którego strzeże krzyżacki gród. Okręt ma dwa kasztele: na dziobie i rufie, oraz trzy maszty. Grot dużo wyższy od foka i bezana.

— Kędy iść do owej krzyżackiej strażnicy?

— Przez Bramę Świętego Jakuba, a potem bardziej w prawo. Zresztą w razie potrzeby ludzie wam wskażą... Chociaż nie wiem, po co oglądać statek? Karawela jak karawela, jedna podobna do drugiej...

— Może najdzie mnie ciekawość?

Oby zbyt drogo was nie kosztowała. Widzi mi się, że wciąż nie wiecie, z kim weszliście w znajomość...

— On chyba także tego nie wie! — beztrąsko rzucił Czarny.

Już wkrótce przekonał się jednak, że ostrzeżenie Kosteczki było słuszne.

Idąc śladem ostatnich kroków brata Erazma, należało teraz poznać dziewczynę, o którą ten zabiegał u kata, gdyż był to jedyny sposób na uchwycenie nici wiodącej do wyjaśnienia nie tyle jego poczynań, ile odpowiedzi na pytanie: co się z nim stało? Czarny zaczynał odnosić wrażenie, że krąży niby wilk wokoło zdobyczy, której zapach do niego dochodzi, ale dopaść jej nie może.

Jeszcze tego samego dnia, po spożyciu wraz z towarzyszami południowego posiłku w jakiejś gospodzie, chciał ich odprawić do domku. Spotkał się jednak z gorącym sprzeciwem, gdyż nie uśmiechało się im bezczynne oczekiwanie na jego powrót w czterech ścianach izby.

— Zatem chodźcie ze mną — zgodził się — lecz pójdę do niej sam, bo, wystraszona, może niczego nie wyjawić.

— Poczekamy choćby na ulicy — zgodził się Roch.

Ruszyli wzdłuż Motławy. minęli zwisający ponad nią łeb żurawia i po przejściu Bramy Świętego Jana znaleźli się w uliczce tej samej nazwy, którą przybrała od kościoła pod wezwaniem tegoż świętego.

Mieli go przed sobą. Stał po prawej stronie, a obok ujrzeli trzy kamieniczki, tkwiące jedna przy drugiej, niby przytulone do siebie siostry. Każda miała ganek z kilku stopniami.

— Prysiądźcie na stopniach i czekajcie... — polecił im. wstępując na ganek środkowej.

Znalazł się w mrocznej sieni, ze schodami wiodącymi na piętro. Na dole nie było kogo szukać, bo wiedział, że zwykle pomieszczeń mieszkalnych tam nie było, więc od razu skierował się ku schodom.

Prowadziły na podest z dwoma drzwiami, zabezpieczony balustradą. Na lewo dostrzegł także schody, ale znacznie węższe, zapewne wiodące na poddasze.

Żaden odgłos nie zdradzał czyjejs obecności. Czarny przystanął i zastanawiał się, gdzie mogła mieszkać taka dziewczyna, jak owa „Baronówna”? Na pewno nie na piętrze, bo takie mieszkania były drogie. Wolał nikogo o nią nie pytać, więc zrezygnował z kołatania do nieznanych drzwi i ruszył ku owym wąskim schodom, które, jak przypuszczał, prowadziły na poddasze lub do mansardowego mieszkania.

Znalazł się w wąskim korytarzyku, również o dwóch drzwiach.

Przy jednych, na wprost, wisiała wielka żelazna kłódka wskazująca, że prowadzi na strych. Drugie miał w pobliżu, więc chwilę nastuchiwał przyłożywszy do nich ucho, ale że panowała za nimi zupełna cisza, lekko zapukał.

Nie odniosło to wszakże żadnego skutku, więc powtórzył pukanie już silniej, a potem jeszcze raz; również daremnie. Zawiedziony brakiem odpowiedzi przed odejściem jeszcze nacisnął klamkę. Ze zdziwieniem stwierdził, że drzwi nie stawiają oporu.

Prowadziły wprost do niedużej kuchni. Palenisko z okapem znajdowało się w rogu pomieszczenia. Obok stała szafka na statki, koło niej przy stole parę zydli, a dalej ława z miską i wiadrem pełnym wody.

Czarny odezwał się głośno, nikt mu jednak nie odpowiedział. Panowała zupełna cisza świadcząca, że w mieszkaniu nikogo nie ma.

Nieco zdziwiony przeszedł więc do następnego pomieszczenia, którym okazała się sypialna izba. i od razu dostrzegł leżącą na podłodze, obok wywróconych krzeseł, nieruchomą postać. Grozę tego widoku powiększała wielka, ciemna plama krwi, szeroko rozlana na podłodze.

Czarny nachylił się nad zwłokami, gdyż było oczywiste, że człowiek ten nie żył.

Dopiero teraz poznał, kim był zmarły. Ujrzał bowiem białą jak wapno, zastygłą w śmiertelnym skurczu twarz Gerarda Radtkego. Czarny wyprostował się i głęboko zaczerpnął powietrza, gdyż poczuł gwałtowny brak

tchu, jak gdyby na gardle zacisnęła mu się zarzucona pętla. Jednocześnie obrzucił wewnątrz izby lustrującym spojrzeniem w nadziei, że dowie się, co tu zaszło.

Dopiero teraz zauważył we wnętrzu izby, w kącie, jaki tworzyło tam krótsze od niej łóżko, drugie ciało, ale dziewczyny. Leżała nieco na boku, z głową opartą o ścianę, w poszarpanej sukni, która pozwalała widzieć część jej obnażonych piersi i pleców. Biegły przez nie krwawe pręgi niby czerwono-siwa siatka na białym tle skóry.

Czarny odchylił jej powiekę. Dziewczyna żyła, ale była nieprzytomna, zapewne po przebytej kaźni.

Pamiętał o wiadrze z wodą, ale zrezygnował z natychmiastowego cucenia zemdlonej, a zbiegł na dół i przywołał obu młodzieńców. Gwarzyli o czymś siedząc na stopniach ganku, ale na widok wzburzonej twarzy Huberta i jego przyzywającego ruchu dłonią, zerwali się gwałtownie na nogi i doskoczyli do niego.

— Chodźcie za mną! — rozkazał krótko, dorzucając: — Idźcie cicho, by was nie dosłyszano! I ani pary z gęby!

Kiedy weszli do kuchni, zamknął za nimi drzwi i bez słowa wskazał ręką drugie, prowadzące do izby. Sam zaś sięgnął po wiszący przy ławie ręcznik i zanurzył go w wiadrze z wodą.

Na widok leżącego w kałuży krwi mężczyzny, Waśko cicho gwizdnął.

— Ale go dźgnęli! — mruknął. — Chyba całą krew mu spuścili...

Roch spokojnie zwrócił się do towarzysza:

— Ściągnij z łoża prześcieradło i narzuć na niego, niemiło patrzeć na te jatki...

Młodzieniec, wpatrzony ze zgrozą w leżącego, rzucił się spełnić polecenie. W tym czasie Czarny przyklęknął przy dziewczynie i wyjął ręcznik nad jej twarzą. Spryskana wodą najpierw poruszyła się, potem otworzyła oczy i, ujrawszy nachylonego nad sobą mężczyznę, podciągnęła nogi i usiadła, oparłszy się plecami o ścianę. Jednocześnie skrzyżowała ramiona na piersiach widocznych przez rozdarcia sukni. Uniosła jednocześnie spojrzenie na Czarnego i szepnęła z przerażeniem:

— Nie... nie... poniechajcie mnie... Nie bijcie...

— Nie bój się, nie skrzywdzimy cię... — uspokajał ją. — Przybyliśmy z pomocą!

Niewiele to zapewnienie jednak pomogło, gdyż dziewczyna zaczęła odpychać się nogami od podłogi i przyłgnęła do ściany, jakby w nadziei, że się w nią wciśnie, a jednocześnie powtarzała błaganie:

— Nie bijcie... Ulitujcie się... Jeno nie bijcie...

Miała twarz o delikatnych rysach, małym zgrabnym nosku i zapewne zmysłowych ustach, ale z nabrzmiałymi opuchlizną wargami, gdyż widać i tu nie szczędzono razów, bo strużka krwi zastygła na jej brodzie.

Czarny stanął na nogi i widząc skierowane na siebie pytające spojrzenie Rocha, rzucił krótko:

— Postradała zmysły ze strachu... Nie ma co z nią gadać!

— Co zrobimy, ojczu?

— Trzeba ją stąd zabrać, bo jeśli zwiędzą się, żeśmy ją znaleźli, już jej przy życiu nie ostawią...

— Ale dokąd?

— Najpierw pytaj: jak?!

— Trzeba mieć jakiś wóz... — wtrącił Waśko. — Wieczór już blisko i chłopcy wyjeżdżają z miasta. Za parę groszy któryś nas zabierze...

— Chyba tak... — zgodził się Czarny — przez miasto przecież jej nie powieziemy. Owiniemy ją w koc i ukryjemy w słomie...

— I co dalej?

— Otóż to... Ostawić ją tu, to groźba nie tylko dla niej, ale i dla nas. Widziała sprawców, a my marny ją w rękach... — zastanawiał się głośno Hubert. — Nie ma innej rady, jak zabrać ją do nas, dopóki nie przyjdzie do siebie, a potem wyprawić co rychlej z miasta!

— Pójdę poszukać wozu... — już bez dalszych uwag, oświadczył Waśko.

— Niech idzie Roch. Ty zostań ze mną, boś silniejszy. Dziewka teraz mało przytomna, ale potem ze strachu może zacząć się z nami szarpać i wrzeszczeć, a do tego nie możemy dopuścić.

Jednak po wyjściu Rocha, kiedy postawili ją na nogi, dali napić się wody, a potem okryli kocem, ani nie opierała się, ani próbowała sprzeciwu. Bezwolnie pozwalała sobą kierować, powtarzając ciągłe błagania:

— Nie bijcie już... Na miłego Boga, niechajcie...

Waśko zaś ujrawszy, ślady razów na jej ciele, mruknął ze zgrozą:

— Ale ją posiekli...

Mimo odzyskania zdolności ruchów, nadal nie wracała do przytomności. Potem, kiedy nadszedł Roch oznajmiając, że wóz czeka na dole, i do tego kryty, równie bezwolnie dała się sprowadzić na dół.

Kiedy już ruszyli, Waśko zwrócił się do Huberta:

A ten, który tam pozostał? To chyba ów Radtke, coście z nim gadali pod „Dwoma Krzyżami”?

— Czy go nie poznałeś, że pytasz?

— Ciekawe, kto go dosięgnął?

Będzie czas o tym pomyśleć... — Czarny nie był skory do prowadzenia rozmowy, toteż Waśko ograniczył się tylko do krótkiego komentarza:

— Kto by nie był, dwa tropy nam ubyły...

Przywiezienie nieprzytomnej dziewczyny narobiło w domu przy Żabim Kruku niemało zamieszania. Toteż Czarny odbył od razu rozmowę z obojgiem gospodarzy, nie wtajemniczając ich jednak w szczegóły. Wkrótce udało mu się zjednać ich głównie dzięki obiecanej wynagrodzeniu za wynajęcie izdebki na poddaszu, którą mieli nie wykorzystaną. Okazał w tym względzie szczodrość, toteż gospodyni nawet samorzutnie obiecała opiekę nad dziewczyną, dopóki nie wróci do zdrowia.

A z tym nie było najlepiej, bo choć nieco oprzytomniała, ale wciąż okazywała przerażenie na widok zbliżającego się do niej mężczyzny. Jedyным wyjątkiem, ku zdziwieniu Czarnego, okazał się Waśko. Wszakże Czarny był mimowolnym świadkiem epizodu, który do pewnego stopnia tłumaczył to wyróżnienie, ale też wiele dał do myślenia. Po przyjeździe na miejsce dziewczyna nie mogła sama unieść się z postania ze słomy, na którym spoczywała w wozie. Waśko wziął ją przeto na ręce i wniósł do izdebki na poddaszu. Czarny idąc za nimi widział, jak oparła mu głowę o ramię i parokroć uniosła przymknięte powieki, jakby chcąc poznać jego twarz. A potem, kiedy złożył ją ostrożnie na postaniu, raptem chwyciła go za rękę i przyciągnąwszy do ust zaczęła gorączkowo pokrywać pocałunkami. Waśko, skonfundowany do tego stopnia, że aż na twarzy wystąpiły mu rumieńce, wyszarpnął dłoń i mimowolnym gestem schował za siebie, oglądając się, czy Hubert tego nie spostrzegł. On wszakże jakby niczego nie widział i umyślnie zdawkowo polecił mu tylko, aby dobrze przykrył dziewczynę, gdyż na skutek otrzymanych razów wnet chwyci ją gorączka.

Istotnie chwyciła, ale przed tym gospodyni obmyła ją, nasmarowała jakąś maścią i odziała w swoją świeżą koszulę. Na następny dzień otrzymała jednak od Czarnego pieniądze na kupno dla chorej nieco bielizny i okrycia, by miała w co się odziać jak wydobrzeje.

Sprawa ta przynajmniej chwilowo została uregulowana, natomiast z resztą decyzji trzeba było odczekać aż chora dojdzie nieco do siebie i będzie mogła sama postanowić, gdzie zamierza się udać.

W każdym razie tak dla własnego jak i jej bezpieczeństwa należało miejsce pobytu zachować w całkowitej tajemnicy, toteż ostrzegł, i to surowo, oboje gospodarzy, czym grozi im gadulstwo.

Z informacji bowiem dostarczonej mu przez Kosteczkę łatwo domyślił się, kto skatował Bognę, bo tak miała na imię, i z czyjej ręki zginął rywal, który ośmielił się odwiedzać dziewczynę. Ale czy właśnie nie ze względu na Radtkego ojciec Erazm szukał pomocnicy, dzięki której mógł uzyskiwać wiadomości z zakonnej kancelarii?

To samo widać pomyślał i Roch, kiedy jeszcze tego wieczoru siedzieli przy wieczerzy w swojej izbie, gdyż spytał:

— *To był Radtke, z gospody „Pod Dwoma Krzyżami”? Ubił go zapewne ów Żeglarz?*

— *Tak sądzę...*

— *I skatował przy tym dziewczynę! Chciałbym go dostać w ręce!*

— *Radzę ci raczej tego unikać... — skwitował to oświadczenie Hubert.*

Waśko skinął potakująco głową.

— *To istotnie niebezpieczny przeciwnik...*

— *Dobrze, że mi to przypomniałeś, bo właśnie jutro wybieram się „Pod Kotwicę”. Może wreszcie go znajdę!*

„Pod Kotwicę” Czarny zastał nie wiadomość, ale samego Prota Żeglarza, który, jak się okazało, w' sobie tylko znanych celach ostatnio spędzał tam wieczory. Toteż kiedy Hubert zasiadł za stołem, zbliżył się do niego gospodarz i rzucił szeptem:

— *Jest u mnie. Poczekajcie na wiadomość...*

Minęło jednak dobre pół godziny, zanim znów się zjawił i mruknął porozumiewawczo:

— *Czeka na was...*

Czarny dopił piwa i bez pośpiechu ruszył do przejścia. Po chwili pchnął znane już drzwi i tak jak poprzednio ujrzał Żeglarza siedzącego za stołem, na którym stał dzban z winem, a kilka pustych kubków świadczyło, że miał tu niedawno gości.

Na widok Czarnego wskazał mu krzesło z zaproszeniem:

— *Siadajcie. Minęło nieco czasu od naszego spotkania, ale zajęty swoimi sprawami o waszej nie miałem okazji pomyśleć...*

Rzucił na Czarnego krótkie spojrzenie, po czym skierował go na trzymany przed sobą kubek z trunkiem.

— *Szkoda... — mruknął Czarny. — Bardzo na was liczyłem...*

— *Spodziewam się zwłokę nadrobić. Sądzę, że za trzy, może cztery dni będziecie coś wiedzieć!...*

— A zatem znaleźliście jednak jakiś ślad? — Czarny nie ukrywał zaciekawienia.

Prot zamiast odpowiedzi zauważył:

— Radzę w każdym razie przygotować pieniądze, bo bez nich niczego się nie dowiecie. A resztą już teraz przydałoby się, abyście dali mi grzywnę lub nawet dwie, co przyspieszyłoby sprawę...

— Dam, com obiecał, ale tylko jak będziecie gotowi — stanowczo oświadczył Hubert.

— Wasza sprawa... Dłużej będzie trwało... — Prot wzruszył ramionami.

— Niech trwa, już tyle czasu zmitrężyłem, że niewielka to różnica...

— Może sami dowiedzieliście się czegoś? Jeśli tak, rad bym to usłyszeć, bo wówczas mógłbym szybciej dać wam wiadomość...

— Żeglarz badawczo popatrzył na swego gościa.

Czarny liczył się z tym pytaniem, a nawet go oczekiwał, ale udał wahanie:

— Dowiedziałem się, że Erazm szukał ładnej, ale i nietrudnej dziewczyny...

— Taak? — Żeglarz przeciągnął to jedno słowo, po czym dorzucił: — I znalazł ją?

— Ponoć znalazł...

— Jak się zowie i gdzie mieszka?

— Tego nie zdołałem się dowiedzieć. Ale może ta wiadomość na coś się wam przyda?

— Skąd ją otrzymaliście? Może to ułatwi mi dalsze poszukiwanie? — niedbałym tonem rzucił Prot.

Ale Czarny nie dał się zwieść i odpowiedział z uśmiechem:

— My, kupcy, mamy zasadę, której nigdy nie łamiemy! Tak długo możesz liczyć na wiadomości, jak długo nie zdradzisz, kto ci ich udziela...

Żeglarz roześmiał się.

— Zasada dobra! Ostatecznie niezbyt mnie obchodzi, skąd to wiecie, tym bardziej że o dziewczynie i ja się dowiedziałem, nawet i tego, gdzie mieszka!

To oświadczenie zaskoczyło Czarnego. Jeszcze bardziej jednak się zdziwił, kiedy usłyszał dalsze słowa Żeglarza:

— Ale kiedy usiłowałem do niej dotrzeć, niczego nie uzyskałem!

— Dlaczego? Nie chciała mówić?

— Nie. Po prostu jej nie było! Dowiedziałem się wszakże, że jacyś trzej ludzie wynieśli ją i złożywszy na wozie, odjechali... Nic o tym nie wiecie?

Czarny udał, że nie dostrzega badawczego, natarczywego spojrzenia, jakim Żeglarz lustrował jego twarz. A więc coś wywęchał i na tych trzech będzie usiłował zwalić winę? Odpowiedział jednak spokojnie, jedynie z nieznacznym zainteresowaniem.

— Czy to aby na pewno była ona? Czyżby nie stawiała napastnikom oporu? Sprawdziliście, czy jej mieszkanie było puste?

Teraz on z kolei skierował spojrzenie na Prata, ciekaw, czy wspomni również o zwłokach. Ten przez krótką chwilę zawahał się, jakby szukając odpowiedzi, lecz udzielił jej bez zwłoki.

— Ależ ja sam do niej nie chodziłem! Powtarzam jedynie, co inni dostrzegli! Gdybym osobiście do niej poszedł, mógłbym to sprawdzić! Innych to nie interesowało, powiedzieli, co dostrzegli, i tyle...

To dość długie wyjaśnienie dowiodło jednak Czarnemu, jak dużą wagę jego rozmówca przykłada do tych szczegółów. Potwierdziło to jego początkowe podejrzenie, że ma przed sobą sprawcę śmierci Radtkego.

Wkrótce, umówiwszy następane spotkanie na tym samym miejscu za trzy dni, pożegnał przyjacielsko kapra.

Po powrocie na kwaterę Czarny długo w noc nie mógł zasnąć, rozważając myśl, która nasza go w powrotnej drodze. Była uparta, a związany z nią zamiar wielce kuszący. Toteż mimo wielkiego niebezpieczeństwa, jakim spełnienie tego zamierzenia groziło, usypiając już przed świtem powziął ostatecznie postanowienie.

Rano wyszedł wcześniej i wziął ze sobą Rocha, gdyż Waśko postanowił opiekować się dziewczyną, którą nasza gorączka. Rzuciła się w pościeli i bredziła coś nieprzytomnie, należało więc przy niej czuwać, na co gospodyni brakło czasu.

Ruszyli na Długie Ogrody do poznanego już rybaka, z którym Czarny odbył na osobności dłuższą rozmowę. Musieli dojść do porozumienia, gdyż Roch, obserwując jak gadali na podwórzu, dostrzegł, że wyciągnął sakiewkę, odliczył pieniądze, a potem pożegnał rybaka uściśnięciem ręki, jakby na znak ugody. Wszakże w drodze nie śmiał o nic pytać, czekając, aż sam zechce mu rzecz wyjaśnić. Wszakże Czarny szedł w zamyśleniu, nic nie mówiąc.

W dwa dni później przybiegł do nich jakiś rezolutny pacholik, skłonił się przed Czarnym i oznajmił:

— Dziadek przykazał powiedzieć, że wszystko będzie gotowe na dziś wieczór!

Czarny, wyraźnie ucieszony, spytał:

— Kto zaprowadzi nas na miejsce? Sami możemy pobłądzić!

— Ja poprowadzę, wielmożny panie! Przyjdę do was dobrze po wieczery, bo za wcześnie iść niedobrze!

— Ty? A znasz dobrze drogę?

— O to się nie kłopotcie, trafię i z zamkniętymi ślepiami!

Dostał półgrosza i ucieszony wyskoczył z izby.

Nadszedł czas, by powiadomić towarzyszy o powziętym postanowieniu. Najpierw uzgodnił z gospodynią, że na nadchodzącą noc da baczenie na dziewczkę, a potem, kiedy Waśko zszedł na wieczery, oznajmił im bez wstępów:

— Dziś w nocy wybieram się na tę karawelę, o której mówiłem z Kosteczką. Postanowiłem ją obejrzeć, by zobaczyć, co tam się dzieje. Muszę wiedzieć jak najwięcej, gdyż doszedłem do przekonania, że Żeglarz lepiej zna los brata Erazma, niż ma chęć zdradzić przede mną... Będziecie mi towarzyszyć jako wioślarze, ale zostanieie w łodzi dopóki nie obejrzą tej karaweli. Odziejcie się tedy dobrze, bo na morzu wiatr mocno ciągnie, a teraz nie lato... Także nie wadzi zabrać mieczyki.

Roch i Waśko spojrzeli po sobie z rozradowaniem, bo radzi byli czekającej ich przygodzie. Wszakże Roch zatroszczył się:

— Mamy ostać w łodzi dopóki nie wrócicie? Czy nie lepiej abyśmy dostali się na karawelę razem?

— Nie. Sam łatwiej w razie potrzeby się skryję, a nie przypuszczam, aby była tam liczna załoga. Z wachtowym w razie potrzeby i sam sobie poradzę, jeśli okaże się zbyt czujny...

— Czy obejrzenie tego statku ma znaczenie? — wyraził wątpliwość Waśko. Widzi mi się, że hazard duży, a korzyści da małe.

— Hazard istotnie jest, ale czy opłacalny dopiero się okaże. Muszę wiedzieć, czy istotnie Żeglarz gotuje się na nową wyprawę. Jeśli w tym się upewnię, wtedy inaczej będę z nim gadał! — w głosie Czarnego pojawiła się groźba.

Chłopak przybył istotnie, kiedy już dawno byli po wieczery. Gotowi do drogi ruszyli za nim bez zwłoki w ciemność zimowej, nocy.

Szli szybko przez puste ulice uśpionego miasta. Panującą w nich ciszę zakłócał jedynie odgłos ich własnych kroków, jak i rozlegające się od czasu do czasu odległe nawoływania nocnych straży. Świateł w oknach nie było, bo albo przestaniały je zawarte okiennice, albo mieszkańcy, zwykli do wczesnego udawania się na spoczynek, już spali. Toteż w wąskich wąwozach ulic panowała zupełna ciemność, w której tylko rzadko ukazywał się ogień latarni niesionej przez spóźnionego przechodnia lub rozlegał się odgłos kroków przemykającego się włóczęgi.

Żabi Kruk, przy którym mieli kwaterę, znajdował się na południowym krańcu Starego Przedmieścia, więc musieli przejść nieomal przez całe Główne i Stare Miasto. Podążali wzdłuż murów, by nie zgubić się w plątaniu ulic i uliczek, aż wreszcie dotarli do Bramy Świętego Jakuba. Tam, opłaciwszy drobną monetą strażnika, wydostali się furtką na zewnątrz.

Widniej tu było, gdyż rzadko rozrzucone domy nie zacieniały drogi, toteż widać było, jak szarzeje w czerni nocy. Ale też, nie zastąpię ścianami kamienic, musieli chować głowy w podniesione kaptury kaftanów przed ciągnącym tu dokuczliwym, zimnym wiatrem.

Szli prowadzeni przez chłopca już dłuższy czas, w szybkości kroku szukając rozgrzewki, kiedy wreszcie usłyszeli szum rozbijających się o brzeg morskich fal. Chłopak skręcił na jakąś jemu tylko widoczną ścieżkę, wiodącą

między zaroślami. Szum morza stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie poczuli pod stopami piasek, przez który teraz brnęli, mając już wszakże przed oczami ruchliwe, bielejące w mroku, pasy spienionych fal, biegnących ku brzegowi.

Chłopak przystanął i wsunąwszy w usta palce donośnie gwizdnął.

Gdzieś z ciemności, nieco z boku, doleciał ich podobny gwizd, po którym ruszyli w jego stronę.

Wkrótce zdołali ujrzeć kołyszącą się na wodzie łódź, częściowo wysuniętą na piasek. Oderwała się od nich jakaś postać i zbliżyła do nich.

— To ty, Pietrek? — rozległo się w ciemności pytanie.

— Ja, wujku! Przywiodłem tych panów!

— Niech tedy spychają łódź i ruszają! Latarnię okrętu widać, o tam... — nieznajomy wyciągnął ramię wskazując kierunek. Istotnie ujrzeli w zalegającej przed nimi czerni morza ledwie widoczną żółtą iskierkę.

— *Bosak jest w łodzi? — spytał Czarny.*

— *Jest, panie. Dość długi, by sięgnąć relinga... — zapewnił nieznajomy.*

— *A dulki?*

— *Owinięte płótnem, jak przykazaliście...*

— *Gdzie ostawić łódź po powrocie?*

— *Na brzegu, ale przed odejściem podciągnijcie na piasek. We trzech dacie radę.*

Nie zapomnij za godzinę rozpalić ognia, bo fale to za mało, by trafić na miejsce...

— *Będzie rozpalony, panie! Obyście tylko szczęśliwie wrócili!*

— *No, ruszamy... — Czarny skierował się ku łodzi, a za nim obaj jego towarzysze.*

— *Z Bogiem, panie — dosłyszeli jeszcze z ciemności. — Jego opieka będzie wam potrzebna...*

Nie słuchali już tego ostatniego ostrzeżenia, gdyż chwycili łódź za burty i zepchnęli na fale, potem, brnąc w wodzie, po kolei wskakiwali do środka. Młodzieńcy od razu chwycili za wiosła, a Czarny usadowił się na rufie ujmując rumpel.

Łódź, kołysząc się miarowo na biegnących ku niej falach, obróciła się ku migającemu światełku i pchana pociągnięciami wiosła z wolna oddalała się od brzegu.

Wiatr dął teraz z jednostajną regularnością, ścinając zimnem twarze. Wkrótce też Czarny, zmuszony do nieruchomego siedzenia za sterem, zaczął zazdrościć wiosłarzom możliwości rozgrzewki. Skulił się więc tylko w sobie i wpatrzony w ciemność, z dłonią na rumplu, pilnował bacznie kierunku.

W ciemności nocy słyszał tylko przyspieszone oddechy swych towarzyszy, cichy chrobot zabezpieczonych dulek i jednostajny świst wiatru. Małe zaś światełko, jakie widział w dali, zdawało się wabić ku sobie.

Łódź wznosiła się i opadała, uległa sunącym pod nią falom. Kierunek ich biegu, a zwłaszcza coraz wyraźniejsze światełko pozwalały Czarnemu utrzymywać łódź na kursie.

Słyszał coraz głośniejsze oddechy wiosłujących i od czasu do czasu majaczyły mu w ciemności zarysy ich głów pochylających się rytmicznie, jakby składali mu ukłony.

Coraz bardziej zaczynały grabieć mu dłonie, nie zabezpieczone rękawicami. Zmieniał więc rękę, drugą grzejąc w zanadrzu kaftana. 1

Wreszcie jednak w nikłym świetle okrętowej latarni zaczęły ukazywać się najbliższe jej, pierwsze fragmenty statku. Widział już zarys masztowego pnia i tylnego kasztelu oraz dolne nitki want i padunów³⁵ widoczne nad burtą, a potem niknące w czerni zawisłej nad statkiem.

Czarny skierował łódź nieco w bok, by podejść do karaweli od rufy, bo tam wysoki kasztel zasłaniał blask padający z latarni. Kiedy byli już blisko, ruchy wiosła stały się bardziej ostrożne, gdyż obaj wiosłujący starali się zachować ciszę.

Ciemna, wysoka ściana okrętu była coraz bliższa, wreszcie podsunęli się do niej tak blisko, że Czarny poczuł zapach smoły, którą była wysmarowana. Nastawione wiosła zabezpieczyły przed zderzeniem; Czarny jednocześnie sięgnął po bosak.

Uniósł do góry jego żelazny hak, ale drzewce okazało się za krótkie, by sięgnął relingu kasztela.

— Bliżej środka! — rzucił cicho polecenie towarzyszom, śródokręcie bowiem było znacznie niższe. Istotnie, kiedy łódź przesunęła się ku grotmasztowi, powtórnie zarzucony bosak zaczepił hakiem o drewnianą poręcz relingu.

35 — Liny przytrzymujące sam maszt.

— Czekać, jakem kazał! — upomniał Czarny młodzieńców, po czym, uderzywszy parę razy rękami o ramiona dla rozgrzania dłoni, chwycił za drzewce bosaka i rozpoczął wspinaczkę.

Wkrótce wysunął głowę poza reling i rozejrzał się dokoła, ale pokład w zasięgu światła latami był pusty. Szybko przerzucił się przez poręcz i przypadł do pokładu, rozglądając się baczenie dokoła. Jednocześnie nasłuchiwał kroków wartownika. Panowała jednak zupełna cisza, zakłócana jedynie dochodzącym od dziobu jednostajnym zgrzytem kotwicznego łańcucha.

Upewniwszy się, że nie został dostrzeżony, Czarny, nie podnosząc się na nogi, popętlął ku schodom wiodącym na tylny kasztel. Kiedy wspiął się na jego pokład, znów przyległ ciałem do desek.

Blask latami oświetlał jako tako śródokręcie, tu jednak nieomal nie dochodził. Tylko miejscami przedzierał się jasnymi smugami poprzez stworzone przez siebie cienie. Wkrótce spostrzegł wśród nich zarysy skajlajfu³⁶, przez który sączyło się światło.

Ostrożnie podsunął się ku niemu. Był zabezpieczony żelaznymi prętami i zaciągnięty rybim pęcherzem, toteż nie mógł dostrzec, co działo się wewnątrz. Usłyszał jednak nikły szmer rozmowy, więc obmacał palcami brzeg ramy i uniósł do góry jedno z okien.

Teraz przez powstałą szczelinę mógł zajrzeć do środka. Miał pod sobą wewnątrz obszernej okrętowej kajuty, oświetlonej palącą się latarnią. To zaś, co ujrzał w jej blasku, pogrążyło go w tak wielkim zdumieniu, że unoszone okno o mało nie wymknęło mu się z ręki. Zdołał jednak opuścić je cicho, ale zaraz usiadł na pokładzie usiłując opanować chaos myśli.

Oto bowiem za stołem kabiny ujrzał siedzących Prota Żeglarza i brata Erazma, wiodących całkiem przyjacielską rozmowę...

Cóż to miało znaczyć? Czyż wszystkie jego dotychczasowe wysiłki, cały trud i niebezpieczeństwa, na jakie się narażał, były daremne? Dlaczego brat Erazm będąc przy życiu nie dał o sobie znać? Przecież wiedział, że jego zniknięcie nie pozostanie bez echa? Na tyle przecież znał pełnioną służbę i proboszcza, by przewidzieć, że nie poniecha dochodzenia przyczyn jego zaginięcia?! I tu naszła Czarnego pełna zgrozy myśl, której powstania aż się przestraszył... Czyżby Erazm zdradził?

36 — Poziome okno na pokładzie.

Natychmiast jednak skarcił siebie za zrodzone podejrzenie i począł przemyśliwać, co mogło spowodować taką zagadkę?

Rozwiązania jednak nie znalazł, więc powziął nagle postanowienie. Stanął na nogi, już nie kryjąc swej obecności zszedł na niższy pokład i skierował się ku drzwiom wiodącym do pomieszczeń kasztelu.

Otworzył je gwałtownie i stanął na progu mierząc gniewnym spojrzeniem obu siedzących. Na jego widok Żeglarz zerwał się na nogi niczym wyrzucony sprężyną, wrywając zza pasa nóż.

Czarny nie dobył jednak mieczyka. Uniósł tylko do góry dłoń, rzucając rozkazująco:

— Poczekaj z tym! Wprzódę chcę nieco wyjaśnić!

— Siadaj, Prot... — odezwał się spokojnie brat Erazm. — Istotnie od wyjaśnień trzeba nam zacząć...

Kaper opanował już pierwsze zaskoczenie, a widząc, że przybysz jest sam i niechętny sięganiu po broń, wsunął nóż do pochwy i z kpiącym uśmiechem wskazał Czarnemu jeden ze stołków.

— Siadajcie tedy, mości Ratenau! A właściwie Hubercie z Borów...

— To... to mnie znacie? — Czarny miał nowy powód do zdumienia.

— A zna... — odezwał się brat Erazm. — A skąd, zaraz się dowiesz. Czy pamiętasz owego Kosookiego, który przed dwudziestu laty, także w Gdańsku, uwięził cię w hulku?³⁷

— No tak... — stwierdził Czarny, przypomniawszy sobie tę przygodę.

— A to jego syn... — Erazm wskazał na Żeglarza.

— Kręcił się wówczas wśród załogi jako niespełna dziesięcioletnie pacholę. Tyś był krótko, więc mogłeś go nie spostrzec, ja wszakże widywałem go częściej, bo z Kosookim wiele miałem do czynienia.

Potem zginął w naszej służbie w wilczym dole nad Drwęcą, niedługo przed grunwaldzką bitwą. Teraz jego syn nie tylko mnie, ale i ciebie poznał od razu.

Czarny spojrzął na Żeglarza, który słuchał tej relacji z uśmiechem na twarzy, Erazm zaś wyjaśniał dalej:

— A że poznał, dlatego żyję... Ciebie zaś tylko zwodził, o czym zresztą wiedziałem, bo jak z jego rodzicem, tak i z nim jestem w dobrej komitywie od czasu, jakżeśmy doszli do porozumienia...

37 — Stary, wycofany okręt, przycumowany na stałe do brzegu.

— Doszliśmy do porozumienia? — rzucił Czarny wciąż zaskoczony nieoczekiwaną sytuacją. — Ale dlaczego, ojcze, zniknęliście?! Dlaczego nie przekazaliście żadnej wiadomości, by oszczędzić mi trudu poszukiwań?! Ksiądz Andrzej wielce był zgnębiony, kiedy przybył do nas wasz człowiek z wieścią, żeście zniknęli!

Bo zostałem uwięziony... Właśnie przez niego... — brat Erazm spojrzął na Żeglarza, który nadal w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

Uwięziony... — Czarny nadal nie mógł ochłonąć. — Dlaczego was uwięził, skoro, jak mówicie, jesteście w dobrej komitywie?!

Waść także już ze statku nie zejdziesz... — oświadczył spokojnie Żeglarz. — A że powietrzem tu nie przyleciałeś, rozkaż ludziom z łodzi, którą przybyłeś, by weszli na pokład!

— Nie tak prędko! — obruszył się Czarny. — Jeśli nie przybędę w pół godziny, mają rozkaz wracać i donieść komu trzeba, gdzie jestem! A w nocnej ciemności tak łatwo ich nie dościgniesz!

— Wcale nie będę ich ścigał. Wychodzę jutro o pierwszym zmroku i wtedy was zwolnię. Ale do tego czasu nikt, nawet wielebny brat Erazm, na ląd nie zejdzie! Zbyt ważna to dla mnie impreza, abym przystał na jakiegokolwiek

odstępstwo! Wybieraj zatem — albo przywołasz swoich ludzi i jutro was puszcze, albo ostanieś tu na dłużej! A z tym wachtowym, co cię nie dostrzegł, jeszcze się policzę!

— Niech cię лихо porwie! — parsknął ze złością Hubert widząc, że wielkiego wyboru nie ma. — Wnet ich przywołam, ale wprzód niech się dowiem, jak doszło do tego, żeście wpadli w opresję, bracie Erazmie?

— I ja, jako i ty, coś niecoś usłyszałem o tym statku, ale nie zachował należytej ostrożności i Prot, zwiedziawszy się, że go ciekawy, zdołał mnie pojmać. Zapewne już bym nie żył, gdyby mnie nie zapamiętał z młodych lat. Skończyło się więc tylko na uwięzieniu, bo mimo wszystko bał się, że jego zamierzenia mogą ujawnić. Dlatego więc żadnej wiadomości nie mogłem przesłać.

Czarny skinął głową ze zrozumieniem, dorzucając:

— To i tak lepiej wam się poszczęściło niż owemu zakonnemu półbratu Radtkemu, jak i dziewczynie, którąście mu podsunęli!

— Radtkemu i dziewczynie? Cóż się z nimi stało?

— On nie żyje. Zadźgany nożem, a ona, po cięgach, jakie otrzymała, w gorączce leży!

— Nic mi o tym nie mówiłeś! — obruszył się brat Erazm spoglądając na kapra.

— Dostał, na co zasłużył, krzyżacki szpieg! Jeszcze by i wam narobił kłopotów! Wspólników do bab nie potrzebuję, sam potrafię je obsłużyć!

— Ładnieś i obsłużył! — kpiąco zauważył Czarny.

— Skoro wiesz, że w gorączce leży, tedy, jak i sądziłem, tyś ją zabrał do siebie! Wszakże możesz się nią pocieszać, bo i tak wychodzę w morze, toteż co innego mam teraz na głowie!

— A więc Radtke nie żyje... — Erazm pokiwał głową. — No cóż, trzeba będzie szukać innej drogi...

— Jak to, wielbny ojcze, to nie wróćcie ze mną?!

— Nie, synu... Swoje dalej będę robił, tym bardziej że mam od Prota obiecaną pomoc. On wypływa, ale pozostanie wielu jego ludzi, którzy za jego przykazaniem mają mi być pomocni.

Dobrą musieliście mu dać zapłatę — sarkastycznie zauważył Hubert.

— Różne bywają zapłaty, ta wszakże nie w gotowiźnie nastąpi... No, ale idźcie po swoich ludzi, niech nie marzną w łodzi!

Czarny podniósł się ze stołka, ale jeszcze spytał:

— A jaką to zapłatę? Proboszcz może o to pytać...

— Taka sama, o jaką zabiegał jego rodzic. Klejnot szlachecki ma przyobiecany, jeśli będzie nam należycie pomocny.

— Dziwujesz się? — ironicznie parsknął Żeglarz. — Będzie mnie stać na kupno majątności, nawet jeśli i nadania nie otrzymam! Chodźże teraz ze mną, muszę przykazać ludziom, by spuścili drabinkę i zamocowali waszą łódź!

Następnego dnia o zmierzchu, zgodnie z obietnicą, Żeglarz zwolnił ich ze statku wraz z bratem Erazmem. Kiedy już odbijali od burty, słyszeli rozkazy podnoszenia kotwicy i wciągania żagli. Jakoż wkrótce zniknęli sobie z oczu: trzymasztowa karawela z postawionymi żaglami i mała łódka, huśtająca się na falach.

Czarny, ciekaw poczynañ brata Erazma, mimo całodziennnej gawędy, jeszcze w łodzi wyrażał nadzieję, że zabierze się z nimi do kraju.

— A po co, synu? — zdziwił się zakonnik. — Co bym tam robił?

Rozkazy, jakie otrzymałem, nie zostały zmienione, boś mi tego nie przekazał, zatem moje miejsce jest tu. Tym bardziej że tak długa beczynność bardzo rozluźniła albo może nawet zerwała styczność z moimi ludźmi, toteż będę ją musiał teraz niemal od nowa nawiązać.

— Gdzie zatem zamierzacie się obrócić?

— Nawet jeszcze o tym nie pomyślałem! Może na początek będę korzystał z dawnych kwater! Ze strony Żeglarza groziło mi jak dotąd niebezpieczeństwo, którego zresztą nie doceniałem. Wszakże dzięki tej niewoli udało mi się go zjednać, więc na dobre mi wyszła! Teraz nie będzie mi wrogi, a przeciwnie — pomocny...

— Tak mu zależy na klejnocie? — ironicznie rzucił Hubert.

— Jego rodzic był nieomal opętany tym pragnieniem i widać przekazał je synowi. Gotów wszystko uczynić, by zostać przyjęty do jakiegokolwiek rodu, nosić pierścień z herbem i mieć majątność.

— Nawykły do morza, długo w niej nie posiedzi!

— I ja tak sądzę, ale nie moja to troska. Proboszcz za zezwoleniem świętej pamięci kanclerza Trąby przyrzekł Kosookiemu taką nagrodę, tedy teraz czułem się w prawie tę samą obietnicę i synowi uczynić. Przekaż to księdzu Andrzejowi i powiedz, że taką obietnicę dałem. Mniemam, że warto uzyskać mu nadanie, bo wiele spodziewam się po tej pomocy.

— Jednego z jego ludzi i ja mogę wam przekazać. Wielce był mi pomocny w sprawie tego statku.

Czarny opowiedział o roli Kosteczki i wskazał, jak można go znaleźć, potem spytał z zaciekawieniem:

— Jeszcze dotąd was nie spytałem, jak się to stało, że daliście się pojmać? Przecież wiem, jak przezorny i ostrożny z was człowiek.

— Nie ma takiego, który zdołałby ustrzec się błędu! Mój polegał na tym, że nie wiedziałem, czyją lubownicą jest dziewczyna wskazana mi przez kata, a mimo to polecałem jej względem tego półbrata. Potem przez nią dowiedziałem się wprawdzie o statku, ale Żeglarz już wcześniej mając mnie na oku zdołał pojmać.

— Daliście się wciągnąć w pułapkę?

— Dokonał tego w biały dzień i w gospodzie pełnej gości.

— W jaki sposób?

— Człowiek, na którego czekałem, nie nadchodził. Jużem chciał odejść, kiedy podszedł do mnie gospodarz i zawiadomił, że jakowyś obdartus chce ze mną mówić i czeka w podwórzu. Sądziłem, że to ów człowiek zawiadamia mnie, dlaczego nie przybył, więc wyszedłem. No a potem to już łatwo im poszło, bo sił wiele nie mam. Od razu owinęli mnie w derki i niczym tłumok załadowali na wóz. Myślałem, że już po mnie, ale kiedy

Żeglarz mnie ujrzał, poznał od razu i wprawdzie mocno się naigrywał, ale, tylko uwięziwszy, życia nie pozbawił. Potem zaś jakoś z nim wszedłem w komitywę...

Brzeg z wolna wyłaniał się z zapadających ciemności i wkrótce łódź uderzyła o piasek. Mocno natężywszy się wciągnęli ją jak daleko zdołali i dopiero teraz zaczęli rozglądać się, gdzie się znaleźli.

Nie było to miejsce to samo, do którego doprowadził ich poprzedniej nocy przewodnik, ale o równie porośłym lichymi krzakami nadbrzeżu. Wszakże w mroku nie mogli dostrzec żadnej ścieżki.

Przyszłoby im zapewne długo błędzić albo i nocować w zaroślach, ale ruszyli na przelaj w głąb lądu i wkrótce natrafili na jako tako przetartą drogę. Na niej dopiero ujrzeli ciemną masę rozciągniętego przed nimi miasta, ale kiedy dotarli do murów, niewiele im to pomogło, bo brama była zawarta, a wołania okazały się bezskuteczne.

Wszakże udało się im znaleźć zagrodę ze stodółką, gdzie znaleźli siano, na którym przedrzemali do świtu.

Brat Erazm rozstał się z nimi już na Starym Mieście, oni zaś, zmordowani i niewyspani, ale radzi z odnalezienia zakonnika, w godzinę potem dotarli na swoją kwaterę.

Byli równie uradowani, że mogą już wracać, z czym wszakże pojawiła się nieoczekiwana trudność. Dziewczynie wprawdzie gorączka już mijała, ale za słaba była, by wstawać z pościeli. Czarny zamierzał więc pozostawić ją pod opieką gospodyni, zaopatrzyć nieco w pieniądze i namówić, by nie pozostawała w mieście. Wprawdzie niebezpieczeństwo jej nie groziło, radził jednak, by porzuciła niecny sposób życia, wracała do rodziny i tam szukała dla siebie miejsca.

Spotkał się jednak ze zdecydowanym sprzeciwem. Dziewczyna oświadczyła mu bowiem, że już dość nabrała rozumu i takiego życia, jakie wiodła, nigdy nie wznowi, ale też i nie powróci do rodziny.

— Cóż tedy zamierzasz czynić? — zdziwił się Hubert, przysiadając w nogach jej łóżka.

— Chcę służyć panu Waście! Wszystko uczynię, co mi rozkaże, sił szczędzić nie będę, a jeśli mnie nie weźmie, pieszo za nim pobiegnę!

— Tak żeś się w nim rozmiłowała? — poważnie spytał Czarny. Dziewczyna na chwilę znieruchomiła, jakby zaskoczona wyrażonym przypuszczeniem. Po chwili jednak odpowiedziała, opuszczając głowę.

— Nie, chyba nie... Sama nie wiem...

— Skoro nie, to dlaczego chcesz przy nim zostać?

— Chcę mu służyć, troszczyć się o niego tak jak on o mnie się zatroszczył, sponiewieraną na rękach tu przyniosł, wziął w opiekę i chodził koło mnie...

— Mówiłaś mu o tym?

— Mówiłam... — dziewczyna opuściła głowę i zarumieniła się.

— Cóż ci rzekł?

— Żem głupia...

Czarny uśmiechnął się.

— Zapewne wielce srogo to rzekł? — spytał na wpół żartobliwie, ale chciał nieco więcej dowiedzieć się, gdyż od początku zauważył wyjątkową gorliwość pocztowego w opiekowaniu się chorą.

Srogo, to nie... Ale i tak łzami to później oblałam...

— Zatem chciałybyś pozostać z nami?

— Panie! Wielmożny panie! Zezwólcie! — dziewczyna uniosła się i chwyciła go obu rękami za dłonie. — Toć gotować umiem, bieliznę będę prać i wielkie posługi przy was czynić!

— Ale głównie przy Waśce, co?

— Jeśli... jeśli zezwoli... — szepnęła, błagalnie wpatrując się w twarz Huberta, ale nie zaprzeczyła, czym go ostatecznie zjednała.

— Pomyślę o tym — oświadczył wstając. — Wszakże najpierw dojdź do sił, bo chcemy ruszać jak najrychlej.

— Ja mogę wstać choćby i zaraz!

— A potem zlecisz z siodła! A potrafisz przynajmniej dosiąść konia?

— I bez siodła jeździłam u nas na wsi, jak nocą przyszło wyganiać stado na pastwisko! Zezwolicie panie?

— Obaczym. Muszę jeszcze pogadać z Waśką! Do tego czasu wielkich nadziei sobie nie rób.

Okazję do rozmowy znalazł wkrótce, kiedy zastał pocztowego w stajni. Siedział na skrzyni z obrokiem z opuszczoną głową i złożonymi pomiędzy kolanami dłońmi, mocno zadumany.

— O czymże tak przemyślasz? — spytał go niefrasobliwym tonem.

— Wyglądasz mi na zadurzonego! Czyżby jakaś kupiecka córka przypadła ci do gustu?

— Bogać tam! Żadna kiecka nie warta, aby nawet na nią splunąć!

— Ejże, chłopie! Cóż cię tak gnębi? W istocie któraś dobrze musiała ci zależeć za skórę i rady sobie dać z tym nie możesz...

Waśko uniósł głowę i spojrzał na Czarnego. Ten spostrzegł w jego wzroku istotne cierpienie, które go zaskoczyło.

— A nie mogę, wasza miłość... — rzucił przez zęby. — Niech je wszystkie grom spali! Każda tyłka nadstawi za byle grosz!

— Rozważ sobie to, co ci powiem, bo może ci być przydatne w twoim strapieniu...

— Nie znacie go... — mruknął Waśko.

— Może i znam. I dlatego posłuchaj, co o tym mniemam, bo niejedno widziałem, i to blisko siebie. Ważniejsze od tyłka jest serce, jego głos ma tylko znaczenie, nic więcej. Jeśliś pewny, żeś spotkał miłujące, tedy nie zważaj na resztę, bo przeszłość czas ułagodzi i wymaże z pamięci!

— Tak, panie, mniemacie...?! — rzucił z przejęciem Waśko, zdradzając głosem wzruszenie i nadzieję.

— Nie sądzisz chyba, że myślę inaczej niż mówię. No, ale dość o tym, bo chcę z tobą pogadać o innej zgoła sprawie. Otóż Bogna prosi mnie, abym zabrał ją z nami. Mówi, że konia dosiąść potrafi. Sam nie wiem, co

czynić? Przydać, by się przydała, bo i strawę ugotować potrafi, statki pomyje, a i koszulę mógłby człek mieć zawždy na zmianę. Ale z drugiej strony nie chcę obarczać cię dodatkowym obowiązkiem, bo i na dziewczkę musiałbyś baczyć, i jednego konia więcej obrządzać!

Mówiąc to z udanym wahaniem, Czarny spod oka obserwował swego pocztowego i na zakończenie dorzucił:

— Moglibyśmy po drodze ostawić ją w Czepielach. Tam moja żona miałaby na nią baczenie i jeśliby okazała należne prowadzenie się,

pozostałaby w służbie aż znalazłaby męża. Widzi mi się bowiem, że nie ochota jej wracać do dawnego życia...

— Możliwe to, panie?! — nieomal wykrzyknął Waśko, ale zaraz opanował się i dorzucił udając wahanie: — Może zatem istotnie warto ją zabrać?

— No właśnie. Ale tylko wówczas, jeśli jesteś gotów mieć na nią oko i pilnować wierzchowca...

— Toć to fraszka, skoro chce z nami jechać!

— Powiedziała, że jeśli odmówię, za końmi pobiegnie...

— Naprawdę? Tak powiedziała?! A to zawzięta dziewczucha! — rzucił Waśko, ale w jego głosie Czarny nie dosłyszał potępienia.

W zaopatrzeniu na drogę dla Bogny poza wierzchowcem znalazły się i spodnie, które wzorem litewskich kobiet musiała nałożyć, chcąc dosięść konia. Okazało się, że istotnie w siodle czuła się pewnie, więc nie było z nią kłopotów, a nawet odwdzięczając się za opiekę starała się jak mogła okazać swą przydatność. Toteż i posiłki na postojach, które dotąd gotowali sobie sami, były teraz o wiele lepsze, a bieliznę mogli zmieniać częściej, bo kiedy udawali się na spoczynek, ona jeszcze ją prała, by przez noc wysuszyć przy ogniu. Wszakże przede wszystkim dbała o Waśkę. On dostawał najlepsze kawałki mięsa, jego koszula była gotowa pierwsza i jego pytała o polecenia.

Zżymał się na takie wyróżnienie Roch, a to ze względu na rodzica, ale ten nie tylko uśmiechał się pod wąsem, ale nawet, jeśli zdarzyło się, że jego o coś pytała, odsyłał ją do Waśki. Wprawiał tym pocztowego w coraz większe zakłopotanie, gdyż mimo że nie szczędził dziewczynie pouczeń, kto ma wśród nich głos decydujący i pierwszeństwo, niewiele to jednak pomagało.

Szczęśliwie dotarli do Czepiel, wywołując jak zwykle ogromną radość i zamieszanie. Jedyne Olga nie mogła ukryć rozczarowania, że brakło wśród przybyłych Lecha.

Czarny opowiedział Unie historię dziewczyny. Początkowo była nieomal przerażona, kogo zabrali ze sobą, ale potem, kiedy poznała okoliczności tej męzowskiej decyzji, a także dowiedziała się o zachowaniu dziewczyny, raczej okazała już tylko kobiecą ciekawość. A następnego ranka przywołała ją do siebie na rozmowę w cztery oczy.

Ujrzawszy Bognę, zaczęła rozumieć Waśkę. Mimo to spytała surowo:

— Skąd pochodzisz?

— Ze Sławska... To wieś pod Tczewem...

— Jak znalazłaś się w Gdańsku?

— Poszłam na służbę, w domu była bieda...

— *Wiem o tobie wszystko, bo mąż niczego mi nie zataił. Ale to nie znaczy, aby wiedzieli i inni. Pan Roch słowa nikomu nie powie, bo tak ma rozkazane. Toteż, jak cię będą pytali, mów, żeś w Gdańsku posługiwała mężowi i oprosiła, by zabrał cię ze sobą. Inaczej wezmą cię na języki i możesz mieć ciężkie życie.*

Bogna przypadła do nóg Uny.

— *Dziękuję wielmożnej pani! Spać po nocach nie mogłam w trosce, co tu powiem! Wprawdzie Waśko upewnił mnie, że miłościwa pani weźmie mnie pod opiekę, ale nie dawałam temu wiary!*

— *A nie ulegniesz znowu grzesznym pokusom?*

Dziewczyna zarumieniła się gwałtownie, zaprzeczając głową.

— *Niech Bóg odwróci się ode mnie, jeśli bym coś takiego uczyniła... Waśko już by mi nie wybaczył...*

— *A wybaczył ci?*

— *Nie wiem... Nie śmiałam go pytać...*

— *Miłujesz go zatem?*

Odpowiedź była tak cicha, że Una ledwie ją usłyszała.

— *Aż wypowiedzieć trudno...*

— *Nie mówmy o tym, bo to wasza sprawa. Ciebie zatrzymam tu, w domu. Będziesz przy mnie pokojową. O wszystkim powiadomi cię ochmistrzyni. Idź teraz do niej, ona już o tobie wie...*

Czarny, świadom, z jakim niepokojem ksiądz Andrzej oczekuje jego powrotu, długo w Czepielach nie zabawił, już po dwóch dniach nakazując odjazd.

Toteż Roch nie nacieszył się zbytnio gawędami z Aldoną, wszakże i te, które ze sobą odbyli, pokrzepiły mu serce, jeszcze bardziej rozniecając ogień, który w nim gorzał. Natomiast Waśko nie miał okazji do zbyt częstego widywania Bogny, bo na pokojach nie miał czego szukać, a ona od razu przystąpiła do pełnienia obowiązków.

Wszakże wieczorem poprzedzającym ich wyjazd zdołał znaleźć okazję, by przytapać ją samą w służbowej izbie.

— *Nie widziałaś gdzie panicza Rocha? — spytał udając, że przyszedł go szukać.*

— *Nie. Chyba z panienkami gdzieś gada...*

— *A jakże z tobą? Słyszałem, że będziesz przy pani?*

— *Niech Bóg da jej zdrowie! Łaskawie mnie przyjąta...*

— *A widzisz! Mówiłem ci... — zamilkł Zastanawiając się, co dalej powiedzieć, ale Bogna spytała:*

— *Ponoć jutro jedziecie?*

— *Ano, jedziemy...*

— *Musisz? Nie ma tu dla ciebie roboty?*

— *Gadasz byle co! — obruszył się. — Jam pański pocztowy i przy jego boku moja służba!*

— A ja myślałam... — z kolei ona urwała, udając, że zajęta jest wycieraniem naczyń.

— Co tam myślałaś, nieważne! — mruknął niewiedomo dlaczego gniewnym tonem. — Muszę jechać i tyle!

— No to jedź! — dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Pewnie, że pojedę! Cknieć ci się nie będzie, bo słuchać będziesz miała kogo! Jurga już mnie o ciebie pytał, alem mu rzekł, że jeśli ciekaw, niech sam z tobą gada!

— Nic mu o mnie nie powiedziałaś?

— Coś ty? — z takim oburzeniem rzucił Waško, że dziewczyna zerknęła na niego z ciepłym błyskiem w oku.

— Waško... — rzuciła cicho i zamilkła raptownie.

— No, czego? — burknął.

— Zdołasz zapomnieć?

Domyślił się od razu, o co jej chodziło, ale wolał z tym się nie zdradzać.

— A co miałbym pamiętać? — wzruszył ramionami. — Nie wiem, o czym gadasz!

— Waško... — znów tylko powtórzyła i zamilkła.

— Waško i Waško! — zniecierpliwiał się. — Nic więcej nie umiesz powiedzieć?!

— Kiedy się boję...

— Boisz się? A czego? Takim straszny?!

— Nie... przeciwnie... Powiedz tedy, lubisz mnie choć trochę?

Zaskoczony tym pytaniem patrzył na nią bez słowa, ona zaś także uniosła na niego wzrok i spotkali się spojrzeniem. Ujrzał w jej oczach blask, od którego zrobiło mu się raptem gorąco, więc nic nie mówiąc postąpił ku niej o krok i dopiero wtedy odezwał się, tylko wymieniając jej imię: — Bogna...

Ton jego głosu spowodował, że odrzuciła trzymaną w ręku ścierkę i rzuciła się ku niemu, przypadając do piersi. On zaś objął ją i znów tylko powtórzył:

— Bogna...

Wyjechali następnego ranka kierując się na Sandomierz, gdzie, jak dochodziły wieści, przebywał król wraz ze swym dworem. Już w drodze dowiedzieli się jednak, że pociągnął do Krakowa. Ale był to ten sam kierunek, więc nie zbaczając ruszyli dalej, wszakże przyspieszyli jazdę, by Jego Królewska Mość znów im nie umknął.

W Krakowie król przyjął poselstwo husyckie pod wodzą uczonego Prokopa Holy, byłego franciszkańskiego mnicha, Biedrzycha, i innych, jak również Zygmunta Korybuta, który ubiegając się o czeską koronę także od katolickiej wiary odstąpił. Przemówił do nich król Władysław, upominał i skłaniał, by powrócili na łono rzymskiego Kościoła, ufając łaskawości papieża, który grzechy im wybaczy. Oni jednak po radzie odpowiedzieli: „Wszystko cokolwiek tu mądrego w słowach i uczynkach zaszło, do rady starszych swoich odniesiemy, sami bowiem w rzeczy tak trudnej nie mamy władzy przyzwalania lub rozstrzygania!”

Zygmunt zaś wyjeżdżając z Krakowa przy mijaniu kościoła Św. Stanisława obrócił się w siodle i, uniósłszy do góry pięść, zawołał:

— Staszku, Staszku, pamiętaj, zem odtąd wrogiem twoim!

Wielce też do tego wręcz wrogiego rozejścia się przyczynił się kanclerz Oleśnicki, jako biskup krakowski polecając duchowieństwu zachowanie interdyktu dopóki odszczepieńcy nie opuszczą miasta.

Od tego zjazdu Zygmunt Korybut stał się zawziętym poplecznikiem Świdrygiełły. Od razu też, jeszcze z Krakowa, wysłał swego posła na Litwę ofiarowując kniaziewi przymierze w jego walce z Polską.

Natomiast Jagiełło wezwał wiciami polskie rycerstwo do stawienia się w Horodle, na wyprawę przeciw Świdrygiełł, której pierwszym celem miał być Łuck.

Jaksa, jak dotąd, daremnie oczekiwał na zapowiedziane, kolejne spotkanie z człowiekiem, który zdawał się być w zasięgu ręki, być może nawet w jego bezpośrednim pobliżu, jak chociażby Bukwa, a mimo to nie mógł go nie tylko rozpoznać, ale nawet znaleźć jakiegokolwiek śladu ku niemu.

Początkowo w podejrzanym świetle ukazał się Holeszko, wskazany przecież przez Tumigratę. Wszakże nic nie potwierdzało, by był to trop właściwy. Potem pojawił się Bukwa, okazał pomoc w utrzymaniu wierzchowca, ale czy była to dostateczna podstawa do podejrzenia go o zdradę? Czy wystarczyło do podejrzenia o działanie w cesarskiej czy zakonnej służbie? Równie dobrze mógł to być kto inny, może nawet i z otoczenia sokolniczego. Dowiedział się o owym wierzchowcu dla gońca i przygotował spotkanie na drodze.

Pozostawało więc tylko czekać na dalszy rozwój zdarzeń, które zezwolą na lepszą orientację w tej mgłę, jaka go otaczała.

Wreszcie wiadomość otrzymał. Również jak poprzednio znalazł w swojej izbie zaklejoną woskiem kartkę papieru, z krótkim poleceniem: „Jutro o zmroku przed kościołem Św. Anny spotkasz przewodnika. Pozdrowisz go słowami: — Niech święty Jeremiasz czuwa nad tobą — na co rzeknie: — A święta Anna nad tobą. — Pójdiesz za nim, on doprowadzi cię do mnie. Będę czuwał, aby nikt nie szedł za tobą”.

Te ostatnie słowa były dwuznaczne, bo z jednej strony zapewniały o bezpieczeństwie, z drugiej jednak ostrzegały, by nikt mu nie towarzyszył. Postanowił więc okazać zaufanie, a także posłuszeństwo, by przy tej sposobności zaznaczyć uległość rozkazom. Wychodząc powiadomił jednak Lecha, dokąd i po co się udaje, nakazując przekazanie tej wiadomości księdzu Andrzejowi, gdyby nie powrócił do północy.

Kościół Świętej Anny stał w pobliżu południowej części murów, okolony ulicami Św. Anny, Żydowską i Szwiecką. Od strony murów biegł Koci Zaulek prowadzący do Szwieckiej Furty. Wszystko to Rudy obejrzał sobie za dnia, by w nocnych ciemnościach nie zbłądzić.

Toteż o wyznaczonym czasie znalazł się na przykościelnym placu bez trudu, ale nikogo na nim nie zastał. Żebracy już dawno opuścili swoje miejsca, a zbliżająca się noc nie skłaniała mieszczan do wychodzenia na ulicę.

Wszakże gdy podszedł do kościelnych wrót, zza węgła świątyni wyłoniła się jakaś postać. W mroku późnego wieczora nie mógł rozpoznać jej twarzy, tym bardziej że krył ją kaptur, jaki nieznanemu miał na głowie.

Zgodnie z poleceniem odezwał się:

— Niech święty Jeremiasz czuwa nad tobą...

— A święta Anna nad tobą... — usłyszał w odpowiedzi chrypliwy szept. — Sam jesteś?

— Czyż nie widzisz?

— Chodź za mną...

Ciemna postać obróciła się i ruszyła, nie oglądając się za siebie. Jaksą podążył za nią, bacząc pilnie na drogę.

Wkrótce zorientował się, że idą ku Szwieckiej Furcie. Kiedy znaleźli się przy niej, nieznajomy odezwał się do strażnika:

— To ja, Macieju...

Wielki klucz zazgrzytał w zamku i furta uchyliła się.

Znalazłszy się poza murami, wkroczyli jakby do innego miasta. Droga była tu również błotnista i rozjeżdżona, ale domy w większości drewniane, przeważnie rozrzucone wśród sadów, a między nimi często wznosiły się różne szopy, magazyny, jakieś składowiska towarów, czy warsztaty rzemieślnicze.

Wkrótce skręcili i minąwszy jakąś łąkę, znów zagłębili się pomiędzy zabudowania, ale nie było już tu domów mieszkalnych. Po chwili dotarli do jakiegoś składu budulca i znaleźli się wśród równo poukładanych sztapli. Przewodnik zagłębił się w jedno z wąskich przejść, a kiedy je minął, zatrzymał się, wskazując przed siebie:

— Idź do tej szopy, co stoi przed nami. Wrota są uchylone. Wejdź do środka...

Po udzieleniu wskazówki odwrócił się i już bez dalszych wyjaśnień zniknął w ciemności.

Zarysy wskazanej szopy były jako tako widoczne i Jaksą ruszył ku niej. Podchodząc istotnie dostrzegł uchylone skrzydło wrót, a kiedy wsunął się przez nie, miał wrażenie, że zarzucono mu na głowę kaptur, tak nieprzenikniona była ciemność, która go ogarnęła.

Postąpił parę kroków przed siebie, ale wstrzymał go głos.

Był cichy i wyraźny, ale Rudy nie mógł zorientować się, skąd dochodzi. W pierwszej chwili zdawało się, że zabrzmiał mu tuż przy uchu, potem, że gdzieś z wnętrza.

— Nie idź dalej — padło ostrzeżenie — pełno tu skrzyń i beczek, możesz się o nie obalić!

Jaksą stanął w miejscu.

— A więc przybyłem! Czego chcesz? — spytał opanowując napięcie.

Dać ci nowe polecenia... Jakie, wnet się dowiesz! — głos nadal zdawał się dochodzić z różnych kierunków.

— Nowe polecenia? — Rudy udał zdziwienie. — Sądziłem, że ciekawi cię, czegom się zwiędział o Henryku?

— Owszem, ciekawi... Czegóż się zatem dowiedziałeś? Był u niego ten wysłannik ze znakiem?

— Ależ skąd! — prychnął lekceważąco Jaksą. — Zmyślił wszystko wiedząc o takich posłańcach ze znakami!

— Zdradził się z tym? — w głosie zadrgała nuta podejrzliwości.

— Miodu nie żałowałem, toteż rozochocił się, ale głównie gadał o dziewczce. Kiedym go wszakże pochwalił, że zdołał dostać się na litewski dwór, począł się śmiać i wyznał, jakiego użył fortelu, by zataić samowolę...

— Głupi młodzik! — parsknął gniewnie głos.

— *Raczej chytry...*

— *Nauczmy go rozumu, ale teraz nie czas na to! Ponoć grywasz z Holeszką w szachy? Musiałeś go już nieco poznać. Co o nim powiesz?*

Rudego zaskoczyło to pytanie, ale odpowiedział swobodnie:

— *Mało ze sobą gadamy, bo gra tego nie lubi. Poznałem go lecząc mu psa i dlatego chyba na język mnie nie bierze. Nie sądzę, aby wart był uwagi...*

— *Nie sądz niczego, bo nie wiesz, dlaczego pytam! — rozległo się gniewne burknięcie, potem głos szeptał dalej:*

— *Przykazałem ci zająć się Henrykiem, by sprawdzić, coś wart! Wszakże jego możesz zostawić w spokoju, gdyż teraz będziesz miał inne zadanie, a mianowicie dostarczysz mi wiadomości o pismach, jakie rozsyła i otrzymuje kancelaria królewska!*

— *Przecież do wszystkich nie sposób dotrzeć! Na jakie więc głównie mam baczyć?*

— *Przede wszystkim na te ze Świdrygiełką. No i jeśli znajdziesz okazję, kto pisze do was z cesarskiego dworu...*

— *Zbyt wiele żądasz! — wykrzyknął Jaksza udając oburzenie. — To tak, jakbym od razu głowę pod katowski topór podłożył! Wiem, jak pilnie kanclerz strzeże tajemnicy swojej kancelarii!*

— *Ale przecież masz do niej dostęp...*

— *Nie całkiem!*

— *Tedy dawaj znać o tych, które zdołasz! Nie tak surowi są skrybowie, byś nie mógł zajrzeć któremu przez ramię!*

— *Zbyt wiele ode mnie żądasz... — zatroskanym głosem odpowiedział Rudy. — Jakże mam to robić? Przecież kopii sporządzać nie zdołam!*

— *To nie moja sprawa! Kopii nie żądam, jeno najgłówniejsze punkta, o których pismo mówi. To możesz spamiętać i skreślić dla mnie na karteluszkach papieru.*

— *I co dalej? Komu i dokąd je posłać?*

Nadchodziła chwila, której najbardziej oczekiwał, ciekaw, jaką otrzyma wskazówkę. Ale spotkało go rozczarowanie, bo usłyszał pytanie:

— *Jadasz razem z królewskimi dworakami, jeno przy wyższym stole?*

— *Tak.*

— *Do posiłku dostajecie miód. Miej karteluszek w rękawie i kiedy kubek do cna opróżnisz, wrzuć go do środka i o resztę się nie troszcz.*

— *Naczynia zbierają służebne dziewczki. Może łatwo zaginąć.*

— *Nie twoja głowa... — padły z ciemności niecierpliwe słowa. — Ty bacz jeno, aby wieści były prawdziwe! A także nie za skąpe, abym cię nie musiał ponaglać!*

— *Muszę baczyć na własne bezpieczeństwo, toteż ponaglać się nie dam! — Jaksza uznał, że zbytnia uległość może mu w przyszłości zaszkodzić.*

Sprzeciw ten pozostał jednak bez odpowiedzi, a po chwilowym milczeniu padło już tylko polecenie:

— Wiesz, co masz zrobić, tedy koniec naszej rozmowy! Jeśli będę cię potrzebował, dostaniesz znów wezwanie. Drogę, jak mniemam, usiłowałeś spamiętać, tedy możesz wracać!

Ksiądz Andrzej po wysłuchaniu Jaksy dłuższy czas siedział zamyślony, wreszcie spytał:

— Wspomniał więc Holeszkę?

— Ciekaw był, co o nim powiem, ale potem już się o niego nie troszczył.

— Co masz mu przekazać, za każdym razem dowiesz się ode mnie. Zauważ jeno, która dziewczka zbiera ze stołu wasze kubki.

— Jak często mam dawać te karteczki?

— O terminach będę sam pamiętał. Pierwszą dostaniesz za kilka dni.

— Żadnych wiadomości od Czarnego?

— Nie spodziewam się, by je nadesłał, chyba że sprawy nie spodziewa się rychło zakończyć.

— Wierzę w jego sprawność i jestem dobrej myśli!

— Przede wszystkim należy wierzyć w Boską Opatrzność... Czekam niecierpliwie na niego. Zachodzą bowiem zdarzenia wymagające działania — zauważył proboszcz sięgając po rozłożone na stole papiery. Jaksa więc podniósł się z krzesła i złożył pożegnalny ukłon.

W przeciągu najbliższych dni nieznacznie przyglądał się obsługującym dziewczętom. Nad ich stołem zwanym wyższym, przeznaczonym dla dworaków znacznieszych godności, którzy towarzyszyli władcy w jego nieomal ciągłych podróżach, miały pieczę trzy służebne, wszystkie urodziwe i bystre. Szybko zauważył, która najczęściej kręciła się przy nim.

Była to szczupła brunetka o oczach Cyganki, okolonych długimi, ciemnymi rzęsami dodających uroku jej spojrzeniom, których nie szczędziła, zwłaszcza młodszemu stołownikom.

W tydzień później otrzymał od proboszcza kartkę z informacją do przekazania oraz dopiskiem: „Przepisz własnoręcznie, potem spal”. Wykonał polecenie i czekał wieczery, bo do niej podawano miód. Po wypiciu trunku nieznacznie wsunął do kubka swoją kartkę i czekał, kto go sprzątnie.

Jak się spodziewał, była to ta czarna — Anka. Zabierając naczynia zerknęła do kubka i nie okazując zdziwienia zebrała jeszcze kilka i poniosła do pomieszczeń kuchennych.

Z decyzją, co czynić dalej, Rudy czekał na następne instrukcje od proboszcza, nadal obserwując, która z dziewcząt go obsługuje. Była to wciąż Anka i ona też zabrała kubek z kolejną kartką. Ale Jaksa nie łudził się, że przeciwnicy będą na tyle nieostrożni, by dać mu tak wyraźny ślad ku sobie.

Szybko jednak zrozumiał perfidną pułapkę, jaką na niego zastawiono, wskazując dalszą drogę przekazanej przez niego wiadomości. Okazanie nią zainteresowania dekonspirowało go, gdyż lojalny współ- pracownik nie powinien się troszczyć o dalszy los kartki. A jakieś zabezpieczenie przed jego ciekawością na pewno zostało przewidziane.

W trakcie tych kłopotów Rudego przybył do Krakowa Czarny. Rad, że udało mu się zastać na Wawelu królewski dwór, pragnął co rychlej przekazać księdzu Andrzejowi pomyślną wiadomość. Nie wiedział jednak, jaką zostanie sytuację i jakie dalsze zamiary ma wobec niego proboszcz, toteż postanowił zachować ostrożność. A to znaczyło znów przybrać postać kupca Morzelca i nie pokazywać się na dworze.

W licznych krakowskich zajazdach o kwatery nie było trudno, toteż, rozgościwszy się, dał bez zwłoki polecenie Rochowi:

— Pójdiesz na Wawel i przepytasz o wuja. Powiesz mu, gdzie może mnie znaleźć jako kupca Morzelca. Posyłam cię, a nie Waškę, bo, dostrzeżony, będziesz zapewne wzięty za Lecha. Toteż w razie nagabywania nie prostuj omyłki! Z Lechem unikaj jednak zetknięcia, na spotkanie przyjdzie czas! Teraz niech was nikt razem nie widzi!

— Zrozumiałem, ojcze... — stwierdził krótko Roch uszczęśliwiony, że jemu przypadła misja dostarczenia pierwszych wieści o bracie Erazmie.

Sam Jaksza w pierwszej chwili wziął go za Lecha, bo siedząc w swojej izbie z jakimś pismem w ręku, uniósł głowę i dostrzegłszy stojącego w progu młodzieńca, rzucił krótko:

— Czego chcesz?

— Powitać was wuju, po długiej drodze... — oświadczył Roch z uśmiechem na twarzy.

Dopiero teraz Rudy dostrzegł omyłkę, toteż zerwał się od stołu i doskoczywszy do siostrzeńca, chwycił go za ramiona.

— Roch! Bogu dzięki! Co z Czarnym? Czy aby zdrów?!

— Zdrów i czeka jako Morzelec w oberży „Pod Pieczonym Gołębiem”!

— A Erazm?! Gadaj od razu! Znaleźliście go? Co z nim? Żywy?!

— Znaleźliśmy żywego i w dobrym zdrowiu...

— Chwała Panu Bogu! Przybył z wami?!

— Nie, ostał na miejscu. Mówi, że polecenia powrotu nie dostał, toteż będzie służbę pełnił dalej.

— Ale czemu zaginął? Jak do tego przyszło?! Co się z nim działo?!

— Jaksza zarzucał siostrzeńca pytaniami przejęty i rozradowany.

— Długo by o tym mówić, toteż zezwólcie, niech rodzic to uczyni, bo bardziej świadom sprawy niż ja.

— No tak, masz słuszność... — Jaksza nieco ochłonął. — Najważniejsze, że brat zdrów i cały! O reszcie będzie czas mówić! Teraz poczekaj tu na mnie, skoczę do proboszcza, by zanieść mu radosną wieść! Może będzie chciał z tobą mówić...

Po chwili w izbie zjawił się osobiście ksiądz Andrzej, widać nie chcąc, by Roch kręcił się po zamkowych korytarzach. I on, zwykle nieskory do okazywania uczuć, teraz wyraźnie był ucieszony. Powitał Rocha łaskawie i spytał, jakby pragnąc upewnić się, czy relacja Jaksy nie była przesadna.

— Zatem brat Erazm żyw?

— Tak, wasza wielebność!

— Nie obawia się jakichś trudności?

— Przeciwnie, o ile wiem, uzyskał dodatkową pomoc od syna niejakiego Kosookiego, herszta kaprów. Wszakże długo by o tym mówić...

— Od syna Kosookiego?! Czekajże... Tak, przypominam sobie! Był hersztem kaprów... Zginął bodaj nad Drwęcą, nadziawszy się na pał w wilczym dole... Nie wiedziałem jednak, że miał syna.

Był wtedy pacholęciem. Teraz trudni się tym samym procederem, co i ojciec.

— Opowie mi o wszystkim twój rodzic. Powiedz mu, by jeszcze dziś przybył o zmroku do kościoła Świętego Jerzego tu, na Wawelu. W konfesjonale, przy prawej ścianie, przyjmę jego spowiedź... — ksiądz Andrzej uśmiechnął się z lekka.

W kościele było już zupełnie ciemno i pusto, jedynie palące się przy głównym ołtarzu woskowe świece rzucały nieco światła, pozwalając jako tako rozeznąć się we wnętrzu. Czarny dostrzegł konfesjonały przy prawej ścianie. W jednym z nich nikły blask świec ukazał sylwetkę siedzącej postaci, a także przyzywający ruch jej ręki.

Zbliżył się więc i klękawszy przysunął twarz do spowiedniej kratki. Rozmowa z proboszczem była długa, bo, opowiedziawszy drobiazgowo przebieg zdarzeń, musiał jeszcze odpowiedzieć na szereg pytań. Wreszcie ksiądz Andrzej uznał widać, że wie wszystko, co było mu potrzebne, gdyż zakończył relację Huberta stwierdzeniem:

— Tak tedy dziękując Bogu za opiekę nad naszym bratem i waćpanu także składam słowa podzięk. O owym kaprze będę pamiętał, bo jeśli zasłuży, obietnicy Erazma dotrzymamy. Natomiast dla waści nagrody żadnej nie mam... A nawet przeciwnie, muszę obarczyć nowym zadaniem, i to naglącym! Dlatego dłużej jak przez dzień jutrzejszy nie będziesz mógł wytchnąć.

Czarnemu niezbyt ta zapowiedź przypadła do gustu, bo dość miał tłuczenia się w siodle, jednak ciekawość pomogła mu zataić rozczarowanie.

— A zatem czeka mnie nowa droga?

Tak, i to daleka. Musisz znów jako kupiec Morzelec udać się na dwór Świdrygiełły. Ostatnio przebywał w Brześciu, ale ponoć, jak mi doniesiono, miał ruszyć do Włodzimierza, bo gorączkowo gotuje się do rozprawy z nami. Odszukasz go zatem i wejdiesz w styczność przede wszystkim z naszym człowiekiem, Rogożką. Lech go zna, ale lepiej nie zamieniać go na Rocha, bo ten, nieświadom dworskich ludzi, może się znaleźć w trudnym położeniu. Dam ci zatem hasło do Rogoży, jak i do jeszcze dwóch dworaków kniazia, a to do piwniczego Tielegi i łowczego Obluckiego.

— Cóż to za hasło?

— Powiesz: — „Zmordowałem się, jakbym to ja miał w nogach te sto dwadzieścia mil drogi!” Na co winni ci powiedzieć: — „Toś waść jechał chyba z samego Rzymu?”

— Spamiętam. A czego mam szukać na kniazim dworze?

— Sprawa jest taka. Niedawno bawił tu królewski bratanek Zygmunt Korybut, jeden z przywódców czeskich husytów. Nie spotkało tu ich dobre przyjęcie, czemu głównie winien Jego Eminencja pan kanclerz, ale nie nam go sądzić. Wszakże Zygmunt wielce się na nas rozeźlił i nie taił, a nawet groził zemstą przez wsparcie Świdrygiełły. Toteż od razu, jeszcze z Krakowa, wysłał swego zaufanego, niejakiego Meczko, z pismem do kniazia. Nietrudno się dorozumieć, że ofiarował mu przymierze. Musimy zatem koniecznie znać odpowiedź Świdrygiełły. Meczko udał się w drogę jakieś dziesięć dni temu, ale zapewne gnać nie będzie, a do tego i

odpowiedzi Świdrygiełło na kolanie nie napisze. Wszakże musisz udać się w drogę bez zwłoki, by przybyć jeszcze przed odjazdem tego Meczki. Bez wątpienia bowiem on będzie wiózł odpowiedź. Tę zaś musimy mieć w rękach...

Mam więc po raz drugi zapolować na posta? — żartobliwie spytał Czarny.

Tak, ale teraz sprawa będzie trudniejsza. Wtedy miałeś dostateczne wsparcie zbrojne i działałeś wśród swoich. Teraz będziesz ograniczony w siłach i wśród wrogów. Wiem, że niełatwe poruczam ci zadanie, ale wierzę, że zdołasz je wykonać. Jaką taką pomoc będziesz miał jednak na miejscu.

Mniej to zależy ode mnie, co od zwykłego szczęścia...

Nie szczęścia, synu, a Bożej łaski... — surowo upomniał proboszcz.

— Wszakże i ludzka zapobiegliwość wiele znaczy. Nie wiem, co ci ostało z gdańskiej wyprawy, ale wydatki, zwłaszcza na ludzi, będziesz miał znaczne, dlatego masz tu mieszek z pieniędzmi.

Ksiądz Andrzej wysunął z konfesjonału rękę ze sporą sakiewką.

Czarny odebrał ją.

— Przez jutro odpocznij, bo i Lecha chciałbyś zapewne ujrzeć. Lecz sprawy opóźniać nie wolno, bo spóźniony możesz Meczki już nie dojść.

— Zatem do zobaczenia, księżę proboszczu. Zechciejcie jutro podostać Lecha do gospody... — Hubert podniósł się z klęczek.

— Z Bogiem, synu... — doszedł go szept z ciemnego wnętrza konfesjonału.

Żołnierz krzyżujący w bitwie szablę z przeciwnikiem czy pnący się po drabinach na mury wrogiego grodu nieświadom jest, jak doszło do tego, że musiał przywdziać zbroję i chwycić za oręż. Głoszą mu wprawdzie wodzowie, że za ojczystą ziemię pierś nadstawia i broni progu własnego domu, ale nie zna zabiegów swego władcy, jego przezornych przewidywań lub nieopatrzności, czy też innych zawiłych dróg, które go do wszczęcia walki podnieciły bądź zmusiły.

Nawet ksiądz Andrzej, tak dobrze obeznany z tokiem spraw i dyplomatycznych zabiegów kanclerskich urzędów, również nie znał wszystkich sznurów, za które czyjeś ręce pociągały, niczym marionetki, ludzi z jego otoczenia. Wiedział o niektórych, domyślał się innych, ale dostrzec głównego wroga jak dotąd nie zdołał. Toteż działał w miarę konieczności, które tworzyły mu bieg spraw.

Jedno wszakże było dobrze widoczne i niedwuznacznie jasne. Był to nurt, jaki sunął niby rzeka poprzez porohy historii narodu. Nie zwalniał biegu i teraz, wciągając w swój pęd kolejne siły, zawzięcie zmierzając do zagłady

jego kraju. To zakusy germańskiego sąsiada, z jakim musieli walczyć jego przodkowie, i teraz groziły śmiertelnym niebezpieczeństwem, teraz także zawisły nad głową mieczem wykutym przez rzymskiego cesarza niemieckiego narodu.

Na królewski rozkaz gońcy z wiciami rozbiegli się po kraju, wzywając rycerstwo na czerwiec pod Horodło. Położone nad Bugiem pozwalało po zebraniu sił przekroczyć od razu rzekę i uderzyć na litewskie ziemie.

Już sama ta myśl była dla miłującego swą ojczyznę Jagiełły trudna do zniesienia. Wszakże pod ciężarem królewskiego obowiązku musiał uśmierzać głos serca. Bowiem wszczynając dosłownie bratobójczą walkę będzie musiał własnymi rękami niszczyć ojcowiznę, przelewać krew, która była mu przecież niczym własna.

Nadeszła wiosna. Z początkiem kwietnia opuścił Kraków i pociągnął do Biecza, gdzie stanął dwudziestego pierwszego tego miesiąca. Tam przybyło zapowiedziane przez Świdrygiełłę poselstwo pod wodzą kniazia Wasyla, zwanego Krasnym. Odpowiedź jednak, jaką przywiozło, była równie butna jak poprzednia, gdyż ponawiała żądanie opuszczenia przez Polaków wszystkich grodów, jakie jeszcze dzierżyli na Podolu, z Kamieńcem na czele.

Przybyło również poselstwo krzyżackie z komturem toruńskim Ludwikiem Landsee. Ofiarował on pośrednictwo zakonu w powstałym sporze litewsko-polskim.

Wszakże Rada królewska odrzuciła czynione propozycje, widząc konieczność zbrojnego rozstrzygnięcia konfliktu. Król jednak wdał się w osobiste, tajne układy, proponując zjazd w Łucku na dzień 3 czerwca. Świdrygiełło przystał na tę propozycję przesuwając jednak termin na 22 lipca, ale przy dotrzymaniu wysuniętego już wstępnego warunku, co właściwie było jednoznaczne z odmową spotkania.

Równie tajnie, bo tylko przy pomocy tłumacza, imć Jana Stembarskiego, prowadził Jagiełło rozmowy z zakonnymi posłami. Dał od siebie pełnomocnictwo komturowi do prowadzenia rokowań ze Świdrygiełłą, pod warunkiem jednak, że Zakon nie złamie trwającego z Polską pokoju, którego warunki w razie potrzeby Wielki Mistrz potwierdzi.

Uzgodniono też dzień 15 sierpnia na zjazd w Toruniu. Skutkiem tego porozumienia pojechali zaufani królewscy dworzanie Lubiński i Chibski,

którym Wielki Mistrz potwierdził ustalenia swego posła, toruńskiego komtura.

Te tajne rokowania stały się potem, już po śmierci króla, powodem niesłychanych oszczerstw, podsycanych zresztą przez Zakon, że zmarły doradzał wówczas Wielkiemu Mistrzowi dokonanie najazdu na Polskę.

Zakon jednak, jak zwykle, mało dbał o zawarte porozumienia, więc nie na wiele się zdały i te również. Królowi wszakże chodziło głównie o zapewnienie ze strony krzyżackiej utrzymania pokoju, czego, jak pokazała przyszłość, także nie uzyskał. Natomiast Świdrygiełło, choć rokować nie chciał, głosił potem — zwłaszcza przed Zakonem — że uzgodnił z Jagiełłą zjazd w Łucku na 22 lipca, co posłużyło niektórym polskim panom do nowych oszczerstw na króla. Świdrygiełło jednak czynił to celowo, wykorzystując tę groźbę dla wywarcia nacisku na Zakon, by go wreszcie skłonić do sojuszu.

1

Presja porozumienia z Polską wywarła rzeczywiście zamierzony skutek. Wielki Mistrz istotnie obawiał się zgody pomiędzy braćmi, toteż osobiście udał się na Litwę i 20 maja spotkał się z kniazem. Do ugody wszakże nie doszło, ale wyznaczono datę nowego zjazdu dla ostatecznego zawarcia zbrojnego przymierza.

Mimo to Russdorf nadal próbował sprawę odwlec i zabiegał o to u Wielkiego Księcia, ten jednak na żadne ustępstwa nie chciał przystać, tłumacząc z naciskiem, że musi stawić się na uzgodniony z Jagiełłą zjazd w Łucku, wyraźnie już mówiąc, że jeśli z Zakonem przymierza nie zawrze, dokona tego z polskim królem.

Pod taką presją Wielki Mistrz ostatecznie ugiął się i w dniu 19 czerwca w Skirstymoniu przymierze zaczepno-odporne Świdrygiełły z Zakonem zostało zawarte.

Głosiło ono, że: „Na pożytek całego świętego chrześcijaństwa, dla pokoju, zgody i miłości wszystkich uczciwych ludzi, a szczególnie na cześć najjaśniejszego pana, króla rzymskiego, na tegoż żądanie i za tegoż tudzież niektórych elektorów dojrzałą radą... Bolesław kniaz Świdrygiełło, wielki książę litewski i ruski, Maciej wileński,

Mikołaj żmudzki, Andrzej łucki, biskupi: Szymon Olgierdowicz, Zygmunt Kiejstutowicz i inni książęta litewscy i ruscy, tudzież Paweł von Russdorf, Wielki Mistrz, i Cseso von Rutenberg,

Mistrz w Inflantach, za siebie i swoich potomków, a względnie następców, na wieczne czasy, i przyrzekli sobie nawzajem, że jeśliby jednej ze stron sprzymierzonych jaki książę lub ktokolwiek wojnę wydał, to druga strona ma jej pomagać wszystkimi swymi siłami...”³⁸

Pod tym sojuszem podpisali się prócz wymienionych także najznacniejsi litewscy bojarzy i komturowie zakanni.

Był to ogromny sukces Świdrygiełły, gdyż w ten sposób zamykał wokół Polski krąg wrogich sił. Ale głównym inspiratorem i autorem tego przymierza był Zygmunt, niemiecki cesarz. Nie przeszkadzało mu to wszakże pisać jednocześnie do króla Władysława jako do „swego brata i kuma najdroższego, króla polskiego”, kiedy to wyrażał oburzenie na husytów i wzywał go do pomocy przeciwko nim.

Przed odjazdem do Biecza Jaksza tylko dwukrotnie przekazał przesłane mu przez księdza Andrzeja kartki, odebrane następnie przez służebną dziewczynę. Zgodnie jednak z powziętą decyzją nie usiłował wykrywać dalszej ich drogi. Przezorność tę proboszcz pochwalił tym bardziej że wiadomo już było o rychłym wyjeździe z Krakowa, co zapowiadało zmianę w przekazywaniu wiadomości. Nie należało jednak oczekiwać, by zmiana ta miała rychło nastąpić, gdyż podróż nie zapewniała przeciwnikowi należytego bezpieczeństwa.

Wraz z królewskim dworem nadciągnęło do Biecza pospolite ruszenie ziemi krakowskiej. Kilka chorągwi stało już pod miastem, mniejsze zaś oddziały przyłączały się do królewskiego orszaku po drodze. Wiadomo też było, że wiele wojsk z innych ziem i województw, a także Mazowsza, stało już nad Bugiem, czekając na królewskie rozkazy.

Z Biecza Jagiełło skierował się do Przemyśla, gdzie przybył 24 czerwca.

Tu przyszły wieści, że zniecierpliwione czekaniem i żądne rozprawy z Litwinami rycerstwo ruszyło za Bug. Jedna wyprawa poszła na Włodzimierz, druga zaś skierowała się aż na Zbaraż. Niszczono i palono wszystkie osiedla i wsie napotykane po drodze, jak również puszczono z dymem oba te miasta, wycinając dla postrachu ludność. Zajęto też grody porzucone w panice przez załogi.

Nieomal jednocześnie, bo 4 lipca, czterdziestu dwu polskich panów podpisało wypowiedzenie wojny Świdrygiełł, które wysłano mu natychmiast. ³⁸ — Według źródeł historycznych.

Z Przemyśla król ruszył wprost do Horodła, gdzie, już na czele dużych sił, stanął 9 lipca. Miasto zdążyli spalić Litwini, ale gród oparł się napaści, toteż Jagiełło zatrzymał się na zamku, wojsko zaś stanęło obozem nad Bugiem.

Wkrótce po przybyciu, bo jeszcze tego samego dnia, wezwał do siebie najbardziej zaufanego sekretarza i doradcę, a to pana Jana Mężyka z Dąbrowy, i wspólnie z nim opracował treść pisma do Świdrygiełły, wypowiadającego mu wojnę w swoim królewskim imieniu, jako dziedzicznego pana Litwy. W uzasadnieniu tej decyzji pisał Jagiełło, że bez zezwolenia królewskiego, jak i Królestwa Polskiego książę Wielkie Księstwo Litewskie sobie przywłaszczył. Podole najechał i tamtejsze zamki zagarnął, a z królewskimi posłami haniebnie się obchodził. Pismo to miał pan Mężyk dać do opieczątowania kancelarii i jeszcze tego dnia dostarczyć królowi, który chciał sam wyznaczyć posła do jego wystania.

Jednocześnie kancelaria królewska otrzymała polecenie rozesłania zawiadomień do wszystkich monarchów chrześcijańskich o wszczęciu wojny i jej przyczynach.

Natomiast w kilka dni później, bo 14 lipca, najbardziej obszerny list został skierowany do Wielkiego Mistrza, i to w tonie niemal serdecznym. Mówił 'W nim Jagiełło o swoich prawach do Litwy, cytował niegodne postępowanie Świdrygiełły wymieniając hańbę zadaną swemu postłowi Lulkowi z Brzezia, pisząc następnie: ...„Zajścia te bez strasznej odwłoki skończyć się nie mogą, gdy bowiem brat nasz majestatem naszym pomiata, nas i pokorne prośby nasze na pośmiewisko obraca, dobrocią naszą sromotnie pogardza, gdy zasadzek jego umykać nam przychodzi, ani postłom naszym nie ma do niego wolnego przystępu, albowiem jednych bije, drugich więzi, innych znieważa; któż sprawiedliwie mógłby nam wyrzucać, że potrzebie naszej jakimikolwiek drogami staramy się zaradzić!”³⁹

Wreszcie zapewniał król, że zupełnie nie wierzy wieściom od Świdrygiełły, jakoby sprzymierzył się z obu Mistrzami przeciw swym nieprzyjaciołom, gdyż nigdy mu w myśli powitać nie mogło, że Zakon byłby zdolny do złamania wieczystego pokoju, którego on ze swej strony tak wiernie przestrzegał.

39 — Według źródeł historycznych.

W kolejnym zaś liście poleca nawet Jagiełło przyjaźni i opiece Wielkiego Mistrza przed wyprawą to, co ma „najdroższego ze skarbów, a to żonę i synów”. Królowa Zofia ze swej strony także napisała do Wielkiego Mistrza, „jako swego najdroższego kuma”, z prośbą, by udzielił mężowi pomocy przeciw Świdrygielle, który „połączył się z Tatarami i innymi poganami”.

Natomiast list do cesarza Zygmunta, pisany nieco później w odpowiedzi na prośbę o pomoc przeciw husytom, był sztywny i krótko wyjaśniał, że pomocy udzielić nie może, gdyż sam znajduje się w przededniu wojny. Przypomina też cesarzowi, jak niegodnie postąpił z posiłkami do Moraw i Besarabii, które od niego, Jagiełły, dwukrotnie otrzymał.

List wygotowany przez pana Mężyka do Świdrygiełły, zgodnie ze swym życzeniem, otrzymał król jeszcze tego samego dnia wieczorem. Wówczas kazał wezwać do siebie swego nadwornego błazna, Holeszkę.

Gdy ciekaw wezwania stawiał się przed nim. skinął ku niemu dłonią, nakazując tym gestem, by zbliżył się do fotela, w którym siedział w pobliżu otwartego okna.

Pociągłą twarz królewską, o nieco zapadłych policzkach, co miał zresztą i za młodych lat, znaczyły liczne teraz zmarszczki widoczne ponad siwą zupełnie brodą. Włosy głowy otaczały łysinę łączącą się z czołem, opadając na kołnierz kaftana z szarego sukna, w który jak zwykle monarcha był odziany. Czarne paciorki oczu pod nabrzmiałymi już mocno powiekami biegały mu ustawicznie, jakby niepewne otoczenia, co wszakże Holeszko znał już od lat.

Władca na powitalny ukłon odpowiedział skinieniem trzęsącej się głowy, gdyż wiotka szyja jakby niezdolna już była unieść jej ciężaru, i przemówił nieco bełkotliwie, gdyż brak przednich zębów utrudniał mu mowę:

— Jak się masz, Holeszko. Dawnom cię nie widział...

— Rad jestem, że zaspokajam waszą tęsknotę za moją osobą, miłościwy panie...

Jagiełło uśmiechnął się.

— Nie po to cię wezwałem, by ją zaspokoić. Chcę powierzyć ci sprawę, która mocno mi leży na sercu.

— Mnie? — zdziwił się Holeszko. — Cóż to za polecenie, które ma spełnić królewski błazen?

— Już szmat czasu pełnisz przy mnie tę czynność i dałeś się poznać jako człek bystrego rozumu i obrotnego języka. Polubiłem cię i zdobyłeś moje zaufanie, toteż chcę ci polecić postowanie ode mnie...

— Do kogóż to, miłościwy panie? — już zupełnie zaskoczony, spytał Hołeszko.

— Do kniazia Świdrygiełły. Powiesz ode mnie pismo do niego.

— Dlaczego właśnie ja? Czyż nie ma godniejszych ode mnie person do tak ważnej misji?!

— Są, ale obawiam się, że nie ma wśród nich takiego, który by nie pragnął wojny równie silnie, jak ja jej nie chcę...

— A nie przyszło wam, miłościwy panie, na myśl, co uczyni ze mną kniaź Bolesław, skoro się dowie, że ja jeno nadworny błazen? Przecież za ujmę dla siebie to przyjmie, a wiecie, co zwykł czynić z posłami, którzy nie przypadają mu do gustu?!

— Jednak wybrałem na posłowanie właśnie ciebie nie tylko dla przymiotów, o których mówiłem, ale i dlatego, żeś Rusin. On na ciebie chociażby dlatego ręki nie podniesie, a nie uczyni tego i z tej przyczyny, że poza pismem chcę ci poruczyć i inne zadanie. Wstrzyma go ono od wszelkich gwałtowności przeciw twojej osobie...

— Zależy to od tego, jakie to zadanie.

— Powiesz mu, że wybrałem cię jako posła dla zaufania, jakim się u mnie cieszysz. A zadanie to wymaga tego zaufania, którym nikogo poza tobą nie śmiałem obdarzyć. Chcę bowiem, abyś poza pismem, w którym wszystkiego wyrazić nie mogłem, zapewnił mego brata, że obmierza mi ta wojna, którą muszę przeciw niemu i mojej ojczyźnie prowadzić. Toteż pragnę braterskiego pojednania i pokoju między nami, do czego masz go skłaniać i przekonać! Upewnij go, że ze szczerego serca proponuję mu to pojednanie, zdrady żadnej w zanadru nie kryjąc. Nie widzę nikogo, kto by dostatecznie gorąco zdołał w tym Bolesława upewnić i dlatego wybór mój padł na ciebie.

Krótki błysk radości rozjaśnił źrenice błazna niby szybka błyskawica i natychmiast zniknął pod opuszczonymi powiekami.

— Napętniasz me serce szczęściem, miłościwy panie, darząc swą ufnością. Postaram się swą misję wykonać jak najlepiej. Wszakże z góry przewidzieć trudno, czy mi się powiedzie, bo kniaź to człowiek, któremu obcy jest wszelki rozsądek, nie tylko polityczny...

— Tak, wiem o tym... — westchnął Jagiełło.

— Dokąd mam jechać? Gdzie obecnie kniaź przebywa?

— Ostatnio był w Wilnie, tam się kieruj. Ale rozpytaj po drodze, może ruszył bliżej nas...

— Kiedy mam jechać?

— Bez zwłoki. Jutro, jak najwcześniej... Oto pismo... — król sięgnął po rulon leżący na stole.

Obóz, rozłożony szeregiem namiotów na nadbrzeżnych łąkach Bugu, szumiał gwarem. Pogoda była piękna, słońce prażyło mocno, ale podmuchy wiatru nieco chłodziły spiekotę, jednocześnie spędzając dymy licznych ognisk, przy których gotowano strawę. Zajmowali się tym pachołcy kręcąc się przy zawieszonych nad płomieniem różnej wielkości kotłach i kociołkach. Natomiast rycerska brać szukała cienia pod licznymi krzakami łożyn lub drzew obrastających brzeg rzeki. Rozciągnięci na trawie sięgali po bukłaki z miodem lub piwem i wiedli dyskursa lub byle jakie gawędy, gasząc trunkiem pragnienie.

Za grupami obozowych namiotów ciągnęły się bujne łąki, na których pasły się tabuny rycerskich wierzchowców pod strażą konnych pachołków. Nad samą zaś rzeką związała się obozowa czeladź pod okiem ściągniętych z

okolicznych wsi cieśli, obrabiając toporami ściągane z pobliskiego lasu kłody drzew, których spore już sterty, zwalone tuż nad wodą, białeły w słońcu przyciosanymi do kantu pniami sosen i dębów. Szły stamtąd liczne pokrzykiwania, czasami rozlegały się śmiechy lub gniewne przekleństwa. Na królewski bowiem rozkaz budowano dwa mosty przez Bug, sposobiąc się do rychłej przeprawy.

Pracujący zwijali się jak w ukropie, ale mimo to rycerstwo utyskiwało, że prace dopiero teraz rozpoczęto, a przy tym zbyt szczupłe siły skierowano do robót, które już dawno powinny być skończone. Utyskiwania te w znacznej mierze powodowała niecierpliwość, z jaką czekano na możliwość przeprawy i ruszenia wreszcie na zdradziecką Litwę. Nie oszczędzano przy tym i osoby królewskiej, zarzucając władcy celową opieszałość i umyślne odwlekanie przeprawy w ciągłej, a płońskiej nadziei uniknięcia wojny. Tę zaś uważano za konieczną, gdyż nie godziło się bez pomsty ostawić tak wielkiego znieważenia Korony w osobie jej władcy, przez sponiewieranie posła, nie

bacząc już na konieczność odzyskania Podola czy przywrócenia niesfornej Litwy do opamiętania.

Toteż tłumaczenie Jagiełły i co wierniejszych jego popleczników, że zwłokę w przeprawie powoduje Wielkopolska, która dotąd nie stawiała się i dopiero z wolna ciągnie, nie na wiele się zdały, gdyż zawzięte rycerstwo twierdziło z kolei, że i bez Wielkopolski da sobie radę z takim przeciwnikiem jak Świdrygiełłowe wojsko, choćby i wspomagane przez Wołochów czy Tatarów. Mnożąc zarzuty przeciw królowi, pomawiano go nawet, że owo czekanie na Wielkopolan jest tylko zwodzeniem, a w rzeczy samej chce dać bratu czas na zaopatrzenie grodów w żywność i załogi, by tym skuteczniej bronił dostępu do wnętrza kraju i nie dopuścił do jego zniszczenia.

Nie można było odmówić słuszności tym utyskiwaniom, gdyż istotnie Świdrygiełło, wsparty porozumieniem z obu Zakonami, już gorączkowo zabrał się do przygotowań wojennych i rzeczywiście zdążył dobrze zaopatrzyć nie tylko Łuck, ale i inne grody, jak Olecko, Krzemieniec czy Czerwonogród.

Wreszcie mosty były gotowe, więc pod naciskiem coraz głośniejszych i natarczywych żądań nie tylko panów z Rady, ale i całego rycerstwa, Jagiełło nie czekał już na wojska wielkopolskie, lecz zarządził przeprawę, wyznaczając wszakże kolejny postój w leżącym po drugiej stronie rzeki Uściług.

Wojska, nie nagabywane przez nieprzyjaciela, 21 lipca spokojnie przekroczyły Bug i rozłożyły się obozem wśród okolicy spalonej przez samych Litwinów.

Nie mając wieści od Holeszki, czego zresztą za wcześniej było się spodziewać, gdyż od jego wyjazdu minęło dopiero dziesięć dni, król postanowił wysłać kolejnych postów do Świdrygiełły z wezwaniem do ukorzenia się i zawarcia pokoju. Tym razem pojechali panowie kasztelanowie: Wawrzyniec Zaręba, sieradzki, i Wojciech Malski, łęczycki.

Ponieważ Mszczug ze Skrzynna dobrze znał te strony, bo posiadał nawet w pobliżu majątność, przeto Jagiełło wysłał go, na czele 300 rycerzy, dla rozeznania się w okolicznym terenie.

Wyruszyli ochoczo, jakby w przewidywaniu rychłej utarczki. Istotnie wkrótce natknęli się na silny oddział ruskich i litewskich wojowników. Mimo jednak dużej liczebności przewagi przeciwnika, z marszu ruszyli na niego i już po godzinnej walce doszczętnie rozbili, biorąc w niewolę wielu jeńców,

których przywiedli do obozu. Sami zaś mało co ludzi stracili, gdyż ze znaczniejszych poległ tylko pan Zagroba.

W Uściługu pożegnali króla — słaby po odbytej chorobie krakowski wojewoda, Jan z Tarnowa, a także obaj kanclerze, by w czasie królewskiej nieobecności baczyć na sprawy kraju, czego będąc na wojennej wyprawie sam nie mógł czynić. Pieczęć królewską wręczyli księdzu Mikołajowi Drzewieckiemu, obecnie sandomierskiemu

kustoszowi, pozostawiając paru skrybów ze swych kancelarii, bo z pola walki przychodziło prowadzić wymianę listów.

Wojsko ruszyło z Uściługu 23 lipca i minąwszy zgłiszcza Włodzimierza, pół mili dalej dotarło do wsi Zimno, należącej właśnie do Mszczuga, i stanęło w pobliżu obozem.

Wieś i majątność znajdowały się nad rzeką Ług, która przepływała przez pobliskie jezioro, otoczone bagnami i szuwarami z kilku zalesionymi wyspami niedaleko brzegów.

Wysłane dla rozeznania okolic podjazdy dostrzegły unoszące się nad owymi wyspami pasemka dymów. Należało więc zbadać, czy nie kryły się tam jakieś wojska, by nocnym czy też nagłym wypadem dokonać napaści na rozłożony w pobliżu obóz.

Po naradzie wzmocniono strażę i czaty, uchwalając jednocześnie wyprawę przeciw niewiadomemu nieprzyjacielowi. Miała wyruszyć niedługo przed pierwszym brzaskiem, by rozprawy w nieznanym warunkach nie dokonywać po ciemku.

Ochotników zgłosiło się wielu, toteż oddział, który odszedł jeszcze nocą, liczył ze dwa tysiące żołnierzy. Przed wieczorem zwiadowcy pojechali na rozeznanie okolicznych terenów, mogli więc teraz przeprowadzić wyprawę. Podług ich relacji bagna istotnie ciągnęły się nad brzegiem, i to od strony, gdzie leżały owe trzy położone blisko siebie wyspy. Dostrzegli jednak ślad wydeptanych ścieżek, które powinny ułatwić przebycie trzęsawisk.

Zbliżywszy się do jeziora w świetle pierwszego brzasku, istotnie ujrzeli wyłaniające się z porannej mgły korony drzew skupionych w trzech grupach, podobne z dala wielkim stogom siana.

Grupy, przewidziane do oddzielnych uderzeń na wyspy, rozdzieliły się. Przewodzili im doświadczeni dowódcy: Dzierżław Włostowski, Piotr Miedziński i Mszczug ze Skrzynna. Poprowadzili swych ludzi w ślad za

wywiadowcami, którzy już znali drogę. Początkowo przedzierali się przez chaszczę, ale wkrótce poczęły one rzednąć, a grunt stawał się coraz bardziej podmokły, zapowiadając rychłe trzęsawisko.

Oddział Mszczuga, w którym znalazł się Jaksza wraz z Tomkiem i Lechem, rozdzielił się na mniejsze grupy, by szybciej przebyć bagna dzielące ich od jeziora. Szli rzędami, jeden za drugim, podobni ciemnym wężom wijącym się wśród lichych sosenek i brzoźek, z rzadka porastających grubą warstwą mchu, który ustępując im pod nogami bulgotał wydobywającą się wodą.

Wreszcie ukazały się trzciny, a za nimi płaszczyzna wody, lśniąca srebrzystoróżowymi blaskami w porannej zorzy.

Początkowo nie była głęboka, ale nie wiedzieli, czy wkrótce nie przyjdzie im płynąć, gdy idący przed nimi towarzysze coraz bardziej zanurzali się, a kiedy minęli trzciny, woda sięgała im po pas.

Brnąc już otwartą wodną przestrzenią, nie dalej jak o dwie staję przed sobą ujrzeli brzeg wyspy i mroczną ścianę drzew, o wierzchołkach już oświetlonych blaskiem niewidocznego jeszcze słońca. Ale tym głębsza ciemność kryła się wśród ich gałęzi i pni.

Woda sięgała im już po piersi, więc pokonując jej opór szli wolno, radzi jednak, że dno przestawało się obniżać. Brzeg stawał się coraz wyraźniejszy i wkrótce ujrzeli liczne tratwy przymocowane linami do wbitych w piasek kołków. Panowała jednak zupełna cisza, widać było nigdzie najmniejszego ruchu.

Okazało się, że pas głębszej wody nie był zbyt szeroki i wkrótce jej powierzchnia zaczęła się obniżać, na ostatniej ćwierć staj nie sięgając nawet kolan. Toteż nie trwało długo, kiedy skupili się na brzegu i zachowując ciszę, zaczęli nasłuchiwać.

Las jednak trwał w mroku, milczący i nieruchomy, jakby w spokojnej gotowości na danie schronienia nowym przybyszom.

Mszczug machnął ramieniem wskazując kierunek, po czym wyciągnąwszy miecz, pierwszy zagłębił się między drzewa.

W miarę posuwania się ciemność początkowo gęstniała, ale właśnie musiało ukazać się słońce, gdyż jego skry poczęły rozbłykiwać pomiędzy liśćmi i od razu stało się widniej.

W pewnej chwili Lech dosłyszał niezbyt odległe parsknięcie konia. Musieli usłyszeć to i inni, gdyż oddział przystanął, ale zaraz ruszył dalej w kierunku tego odgłosu.

Zaczęło jaśnieć coraz bardziej, lecz nie tylko dlatego, że słońce szybko wznosiło się coraz wyżej, ale i z powodu polany, której otwartą przestrzeń ujrzeli między pniami coraz rzadszych drzew. Była niemal całkowicie pokryta stojącymi na niej szałasami i zatłoczona wozami z uwięzonym do nich bydłem. Wśród tych zwykłych chłopskich fur widać było tu i ówdzie również i bogate, pańskie karoce.

Mszczug, unosząc miecz nad głową, z krzykiem wyskoczył na polanę, a za nim z dzikim wrzaskiem wypadło rycerstwo. Gnali ławą połyskując w pierwszych promieniach słońca mieczami, grotami włóczni i ostrzami szabel.

Szałas, dotąd śpiące spokojnie, nieświadome swego losu, raptem ożyły. Zaczęli z nich wyskakiwać brodaci mężowie w rozpiętych jeszcze na piersiach koszulach i łąpać za broń, jaką który miał pod ręką; ale były to tylko siekiery, widły i nabijane żelazem maczugi. Od razu więc napastnicy spostrzegli, że nie z wojskiem mają sprawę, lecz z tłumem chłopstwa, zapewne z pobliskich okolic, które na wieść o zbliżeniu się groźnych Lachów na wyspach szukało schronienia.

Zupełnie zaskoczeni, przerażeni nagłością napadu i niewprawni we władaniu bronią, niezdolni byli stawiać opór dobrze wyćwiczonym żołnierzom. Toteż Lech nie musiał wysilać się, by rozprawić się z przeciwnikami, którzy stanęli mu na drodze. Zresztą długo nie walczył, gdyż po kilku ciosach usłyszał polecenie Jaksy, który był przy nim, zapewne, by baczyć na niedoświadczonego młodzieńca.

Odstąp i poniechaj walki! To nie dla nas przeciwnik. Ostaw tę uciechę pachołkom...

Odsunęli się pod jakiś wóz, co zresztą uczynili i inni, poważniejsi rycerze, i Lech po raz pierwszy mógł ujrzeć na własne oczy grozę wojny.

Pod ciosami mieczy ginęli z rozplatanymi głowami mężowie, z włóczniami w piersiach padali ugodzeni, krew ich opryskiwała napastników, którzy nie szczędzili nikogo, bo i niejedna niewiasta padała porażona, jeśli nawinęła się pod ostrze. Zresztą nie lepszy los czekał i te oszczędzone, bo pachołcy, nie bacząc na bitwę, obalali je na ziemię, i rwąc na nich odzież, wciągali pod wozy lub do szałasów.

Potyczka wkrótce ustała, gdyż napadnięci już tylko w ucieczce szukali ratunku i gnali między drzewa, by w głębi lasu znaleźć schronienie. Zaraz więc zabrano się do rabowania zdobyczy.

Okazała się ona bogatsza niż się spodziewali, gdyż wśród chłopskich wozów, przeprawionych na tratwach, znalazły się i tabory kupieckie, zapewne z pobliskich miasteczek, a zwłaszcza pańskie karety z okolicznych dworów, w których znajdowano cenne szaty, futra, klejnoty, a nawet gotowiznę.

Toteż radość ze zdobyczy, którą potem król rozkazał dzielić w obozie, była wielka. Wnet przystąpiono do ładowania wozów, z których wyrzucono mniej cenny dobytek, spędzono bydło w stada i pognano je ku jezioru na zaopatrzenie wojska.

Zeszło do wieczora zanim cała zdobycz znalazła się w obozie, toteż podział łupów pozostawiono do następnego dnia. Wtedy też nadeszła wiadomość, że jakieś ruskie oddziały napadły na ziemię betzką i już spaliły Busk. Król polecił więc księciu mazowieckiemu Kazimierzowi — bo ziemia betzka należała do Mazowsza — jak i Janowi Mężykowi z Dąbrowy, by wzięli 3000 zbrojnych i napaść odparli.

Reszta wojska ruszyła 27 lipca i po przebyciu kilku mil rozłożyła się obozem pod wsiami Skurcze i Biskupicz, należącymi do krakowskiego kasztelana, Krystyna z Ostroga.

Tu wreszcie przybyli Wielkopolanie. Zostali surowo zgromieni przez króla za rabowanie ludności po drodze, a także za opieszałość, przez którą musiał wstrzymać działania wojenne, co pozwoliło nieprzyjacielowi na lepsze przygotowanie się do walki.

W Skurczach król zabawił również trzy dni i 30 lipca szedł dalej ku Łuckowi. Zatrzymał się jednak w Sadowie, już cztery mile od miasta, gdyż wrócili wysłani do Świdrygiełły posłowie, Zaręba i Malski, a z nimi i wysłany nieco wcześniej Holeszko. Kasztelanowie przybyli w towarzystwie posłów Świdrygiełły, kniazia Konstantyna i bojara Sadybora, którzy zgadzali się na pokój, ale nadal hardo żądali zwrotu zamków podolskich.

Po odbytych dłuższych rozmowach odesłał ich Jagiełło do Wielkiego Kniazia z poleceniem, aby 4 sierpnia stawili się osobiście w celu uzgodnienia bardziej rozsądnych warunków. Natomiast w poufnej rozmowie z władcą Holeszko z ubolewaniem stwierdził, że mimo uzyskania pomocy zakonnego

posła nie udało się mu przełamać oporu kniazia ani nawet złagodzić jego wroziej zaciętości.

Po odbytych 31 lipca rozmowach w Sadowie, po krótkim marszu król stanął milę przed Łuckiem, rozkładając się obozem przy wsi Zaborole i natychmiast wysłał cztery chorągwie pod dowództwem Dobiesława z Oleśnicy, Krystyna z Koziegłów, Jana z Oleśnicy oraz Piotra Szafrąca z rozkazem opanowania brzegów Styru, dla zabezpieczenia przeprawy wojska.

Okazało się, że most został przez Litwinów zburzony, ale po drugiej stronie rzeki ujrzeni rozciągnięte wojska, pod dowództwem samego Świdrygiełły, który widać postanowił bronić przeprawy.

Ustawiono więc lekkie armaty zwane taraśnicami i tak skuteczny otworzono przeciw Litwinom ogień, że musieli ustąpić brzegu napastnikom. Jednocześnie dowódcy owych czterech chorągwi wysłali do króla gońca z wezwaniem, by co rychlej przybywał z wojskiem.

Jagiełło zwinął więc natychmiast obóz i bez zwłoki ruszył szybkim marszem, zbliżając się pod wieczór do miejsca spotkania. Na widok nadciągających wojsk królewskich oczekujące chorągwie, znajdując możliwe do przebycia brody, rzuciły się w rzekę i natarły na zaskoczonego tą przeprawą nieprzyjaciela. Zaskoczenie było tak duże, a natarcie gwałtowne, że już pod wpływem pierwszego uderzenia wojska litewsko-ruskie rzuciły się do ucieczki. Poszła za nimi pogoń, która wielu jeszcze zasiękała i wielu, i to znacznych, wzięła w niewolę. Między innymi pojmano wielkiego marszałka Rumpolda, marszałka nadwornego Iwaszkę Gasztołda i kilku innych książąt.

Świdrygiełło zdołał jednak ujść. Rozkazał spalić miasto, załogę grodu wzmocnił czterema tysiącami ludzi pod rozkazami licznych książąt, po czym, zmieniając po drodze konie, i on ratował się ucieczką. Tak to owo pierwsze spotkanie odbyły tylko cztery chorągwie, bo reszta wojsk nawet nie zdążyła wziąć udziału w walce, gdyż przeszkodziła temu nadchodząca noc, chroniąc Litwę przed całkowitą zagładą.

Świdrygiełło wszakże usiłował przedstawić inaczej przebieg, tego zdarzenia. Rozgłaszał mianowicie, że został zaskoczony, bo wypowiedzenia wojny jeszcze nie było, a przeciwnie, 22 lipca miało się odbyć spotkanie z Jagiełłą w Łucku, wcześniej zresztą uzgodnione. Toteż zaraz po ugodzie z Zakonem w Skirstymoniui udał się na ten zjazd, otrzymując po drodze przyjacielski list Jagiełły, w którym ten zapewnia go, że będzie bez wojska, i

wzywa, aby i on tak samo uczynił. Przybył więc zgodnie z porozumieniem, ale nie ufając zbyt bratu, wziął ze sobą nieco zbrojnych. Zaledwie wszakże przybył, rzuciły się na niego przeważające siły polskie, którym jednak dzięki boskiej pomocy zdołał ujsć.

Widać zapomniał Świdrygiełło, że już 25 czerwca donosił Wielkiemu Mistrzowi o wybuchu wojny, a 15 lipca pisał, że otrzymał właśnie jej wypowiedzenie. A także nie tłumaczył, dlaczego na zjazd wyznaczony na 22 lipca dopiero 31 zjawił się pod Łuckiem?

Zwycięstwo to, choć mało znaczące, pozwoliło jednak na obsadzenie obu brzegów Styru, a przez to i budowę mostu, który szybko postawiono i całe wojsko dokonało przeprawy. Jednak zamek łucki nadal był w rękach nieprzyjaciela, jego załoga została znacznie wzmocniona, zapasy powiększone, a przy tym miał dzielnego dowódcę, Rusina Jurszę. Na wezwanie skierowane następnego dnia, by poddał gród, udzielił hardej odpowiedzi, co zmuszało do rozpoczęcia regularnego oblężenia. Ponieważ maszyn oblężniczych nie brakło, gdyż król zawczasu rozkazał sprowadzić je z Krakowa, więc od razu przystąpiono do ich rozmieszczenia, a jednocześnie otoczono pierścieniem wojska zamek, odcinając doń dowóz wody i żywności.

Król przykazał rozbić swoje namioty po drugiej stronie Styru, w dolinie, obok drewnianego kościółka Św. Krzyża, skąd miał dobry widok na znajdujący się wprost przed nimi łucki gród.

Pierwsze dni minęły na stawianiu maszyn, kopaniu szańców i zasieków chroniących przed wypadami z grodu, rozmieszczaniu chorągwi, jak i harcami pojedynczych ochotników walczących ze sobą pod murami, na oczach obu stron.

W tych pierwszych dniach powrócili rozradowani zwycięzcy: książę Kazimierz Mazowiecki i Jan Mężyk, ale też jednocześnie przyprawiono przed oblicze królewskie łuckiego biskupa Andrzeja, do cna nieomal obdartego z odzieży, i to przez Polaków, którzy być może nie uwierzyli jego zapewnieniom, że wytrzymał się z grodu, by jako kapłan obrządku rzymskiego znaleźć się przy królewskim boku. Rozgniewał się tą samowolą król i przykazał swemu marszałkowi, Janowi z Oleśnicy, by zaopatrzył Jego Eminencję w odzież i wszystko, czego by potrzebował.

Książ Świdrygiełło wraz ze swym dworem przebywał właśnie w Wilnie i tam zastał go Czarny. Bez trudu, jako gdański kupiec Morzelec, znalazł dla

siebie i towarzyszy wygodną kwaterę i udał się na zamek, by nawiązać handlowe rozmowy, w rzeczywistości zaś, by zetknąć się ze swoimi ludźmi i upewnić, czy wystannik Korybuta, Meczko, jeszcze przebywa na książęcym dworze.

Bez trudności dostał się na zamek, gdyż, jak doświadczonym okiem zauważył, dyscypliny ani wśród służby, ani nawet wśród straży zbyt surowej nie było. Nikt go ani przy bramie, ani w podwórcach nie pytał, kto zechce i dokąd idzie, czeladź bardziej zajęta była gadaniem niż robotą albo zgoła szukała pod murami cienia i spoczynku.

Pytał przede wszystkim o piwniczego Tielegę, bo od niego było mu najsposobniej zaczynać rozmowę, której pozorem miała być sprzedaż wina na książęcy dwór.

Znalazł go we wskazanej izbie, zajętego rozmową z kilku ludźmi. Zatrzymał się przeto u progu i oznajmił:

— Jam kupiec Morzelec z Gdańska! Nie wiem, czy mnie poznajecie, wasza wielmożność, bom u was nie był od czasu, jak rok temu sprzedałem kniaziowi wino... — zwrócił się do Tielegi, którego pamiętał dobrze. Nie był jednak pewny, czy i piwniczny go pamięta, toteż rzucił hasło podane mu przez proboszcza.

— Zmordowałem się do cna, jakbym to ja, a nie mój koń, miał w nogach te sto dwadzieścia mil, które przebyłem!

Piwniczny, który też zdawał się poznawać Czarnego, ale jeszcze jakby się wahał, usłyszawszy hasło, od razu wyzbyty wątpliwości, odpowiedział z uśmiechem:

— Widać jechałeś waść z samego Rzymu, choć z Gdańska jest bliżej!

— Po drodze musiałem zajrzeć i do innych dworów, gdyż z was bym nie wyżył, tacyście dla mnie nielaskawi!

— Niejeden z nami, łaskawco, handlujesz! Ale teraz dobrze trafiłeś, bo trunków zaczyna nam brakować! Pogadamy więc i jeśli za drogi nie będziesz, może coś kniaziowi i dostarczysz! Czekajże tedy chwilę...

Z kolei Tielega zwrócił się do dotychczasowych rozmówców:

— Róbcie zatem, jakem mówił! Teraz muszę pogadać z łaskawcą Morzelcem o interesie. Z Gdańska przybył, daleką więc ma drogę za sobą...

Kiedy zostali sami, Czarny spytał od razu:

— Jest jeszcze na dworze wysłannik Korybuta, Meczko?

— A jest... jest... Czeką na odpowiedź, ale zbyt wiele spraw ma teraz Wielki Książę na głowie, toteż jeszcze jej nie udzielił.

— Rad to słyszę! — ucieszył się Hubert. — W jego bowiem sprawie przybyłem.

— W jego? — zdziwił się pan piwniczny. — Czyżby tak was ciekawił?

— Nie on, a odpowiedź kniazia.

— Tak, rozumiem... — Fjodor Borysowicz skinął głową. — Ale w czymże ja mogę być wam pomocny?

— O pomoc w sprawie będę zabiegał głównie u innych. Was tylko proszę, byście wiedli ze mną targi o wino, wszakże przewlekając rozmowy. Utyskujcie, żem za drogi, targujcie się, tym sposobem przytrzymując na dworze.

— To nietrudne! Już teraz możecie narzekać, żem dopiero za dwa dni kazał wam przyjść na rozmowę, a ja będę utyskiwać, że trzeba was nieco przytrzymać, abyście zmiękli z cenami... — piwniczny uśmiechnął się pod wąsem.

— Właśnie tego mi potrzeba — zgodził się Czarny.

Z kolei należało nawiązać kontakt z Obluckim i Rogożą, który, jak pamiętał, pełnił przy nim funkcję nadzorca psiarni. Ale że z tym spotkaniem należało być ostrożniejszym, Czarny postanowił więc wysłać Waškę i Rocha dla odszukania Rogoży, z którym, pomny polecenia proboszcza, chciał co rychlej nawiązać styczność.

Wyprawiając swych młodych towarzyszy, pouczył Rocha:

— Znasz hasło do niego, ale będzie pewniejszy, jak cię ujrzy, gdyż weźmie cię za Lecha. Znasz ich wyprawę, toteż będziesz wiedział, co odpowiadać. Z błędu go więc nie wyprowadzaj, ja sam to uczynię. Spotkanie wyznacz na wieczór u Jaszki namiotnika, co mieszka przy Psim Zaułku. Waśko wie, gdzie stoi jego dom.

Rogoża przybył już o zupełnym zmroku. Czarny Waškę i Rocha zatrzymał przy sobie, gdyż powinni byli wiedzieć, o czym będzie mowa.

Rogoża podobał mu się od pierwszego wejrzenia, toteż po powitaniu posadził go za stołem i skinął na Waškę, by napełnił kubki przygotowanym piwem.

— Rad jestem poznać rodzica mego towarzysza wyprawy! — rzucił przybysz już przy powitaniu.

— Istotnie, Lech jest moim synem — odpowiedział z uśmiechem Czarny. — Toteż żałuję, że jego tu z nami nie ma...

— Jakże to? — Rogoża zatrzymał w powietrzu rękę z kubkiem, który unosił właśnie do ust. — Przecież... — spojrzął ze zdumieniem na Rocha.

— Podobny, co? — spytał Czarny widząc to spojrzenie. — Ale to brat, bliźniak. Zwie się Roch.

— Święci Pańscy! — zdumiał się Rogoża. — Nie sposób odróżnić! Ale dlaczego z błędu mnie nie wywiódł i witał jak znajomego?!

— Bo takem mu przykazał. Mimo hasła z nieufnością mogliście przyjąć moje wezwanie do spotkania.

— No tak, istotnie tak mogło być... — zgodził się Rogoża, wciąż ze zdumieniem spoglądając na Rocha.

— Teraz wszakże pora mówić o czymś innym... — zagaił Czarny.

— Wiem już, że jeszcze tu przebywa poseł księcia Korybuta, niejaki Meczko. Czy słyszeliście o nim?

— Jakżeby nie! Jużem się nawet z nim zetknął, bo czekając na pismo Wielkiego Kniazia polowaniem się zabawia i parokroć towarzyszyłem mu z psami.

— To dobrze! — Hubert okazał zadowolenie. — Starajcie się jeszcze bardziej zbliżyć do niego, chociażby właśnie urządzając polowania. Postaram się, aby łowczy był wam pomocny.

— Czy chcecie tym sposobem zapoznać się z Meczką?

— Właśnie. Jeno jako kupiec nie powinienem ciekawić się polowaniem, a do tego w szlacheckiej kompanii...

— Z tą kompanią to nie szkopuł, bo kupcy tu, na Litwie, mile widziani. Wszakże polowaniem się nie zajmują i wasz udział istotnie mógłby wydać się niezwykły...

— A więc należałoby szukać innego sposobu?

Zamilkli na chwilę. Rogoża zastanawiał się nad odpowiedzią, ale widać znalazł rozwiązanie, gdyż uśmiechnął się:

— Widzę sposób na poznanie Meczki. — Upił tyk piwa, otarł brodę i oświadczył: — Obłucki po polowaniu lubi zajrzeć do kielicha i albo sam ugaszczą, albo chętnie gościnę u któregoś z myśliwych przyjmuje. Zatem przy najbliższym polowaniu niech zaprosi towarzyszy do stołu, a przy sposobności

i was także. Posadziwszy was przy pośle, takim sposobem da okazję do znajomości.

— *To dobry pomysł! — przyznał Czarny. — Zaraz jutro rzecz z nim ułożę, a wy dopilnujcie jeno, aby sprawnie wszystko przeprowadzić. Zwlekać też nie można, bo nie wiemy, kiedy Meczko odpowiedź otrzyma.*

Po ustaleniu jeszcze paru szczegółów Czarny zagadnął Rogożę:

— *Jakże tu mają się sprawy? Wielki Książę skrzętnie szykuje się do wojny z nami?*

— *Głównie przeklina miłościwego pana, zwłaszcza kiedy zamroczy sobie łeb, co robi często. Gońcy istotnie z rozkazami biegają, ale częściej z pismami, które wszędy rozsyła, głównie wszakże do obu Zakonów. Posłowie także często do nich jeżdżą i od nich tu goszczą. Ostatnio przybył także wysłannik naszego pana, co o tyle wydało mu się dziwne, że przysłał swego błazna, niejakiego Holeszkę...*

— *Co...? — Czarny nie ukrywał zdziwienia. — Holeszko przybył tu z posłannictwem?! I kniaź błazna za posła uznał, nie poczytując tego za lekceważenie swej osoby?!*

— *Przywiózł pismo, które widać uchroniło go przed książęcym gniewem. Nawet przeciwnie, poufale z nim, i to kilka razy, na osobności gadał... Zresztą ów Holeszko to Rusin, schizmatyk jak oni wszyscy, toteż może i dlatego Świdrygiełło był dlań łaskawy.*

— *To zbyt błaha przyczyna, toteż dziwna to sprawa... Daliście baczenie na niego?*

— *Jakże inaczej! Bawi tu nadal stały rezydent zakonny przy Świdrygielle — Bużyński. Z tym także pan Holeszko spotkał się na poufnych rozmowach.*

— *Zatem sądzić trzeba, że poza przywiezionym pismem musiał mieć i jakieś specjalne polecenia od miłościwego pana.*

— *Może jego, a może innych... — mruknął Rogoża.*

Czarny rzucił na niego szybkie spojrzenie.

— *Czy spostrzeżliście coś, że tak sądzicie?*

— *Zbyt wydał mi się ruchliwy i ciekaw ludzi, ale niczego innego rzecz nie mogę.*

— *Wszakże nie spuszczać go z oczu. Wprawdzie to zaufany ulubieniec naszego pana i w jego imieniu działa, ale istotnie może być również inaczej.*

— *Jest jeszcze jedna sprawa, o której musicie wiedzieć. Otóż doszło moich uszu, że Świdrygiełło oczekuje korony, którą ponoć cesarz Zygmunt zamierza ponownie wysłać na Litwę, tym razem dla niego. Ma ją przywieźć biskup Zagrzebia, który ponoć szykuje się do wyjazdu.*

— *To ważna wiadomość, panie Rogoża! Widzę, że dajecie tu na wszystko należyte baczenie, o czym nie omieszkać powiadomić księdza proboszcza! Pilnujcie nadal tej sprawy i w razie nowych wiadomości ślijcie nawet gońca!*

Rad z pochwały Rogoża skwitował ją uśmiechem.

Zeszło jednak parę dni, zanim Czarny otrzymał zaproszenie od pana łowczego na wieczerzę, jaką przygotował w swym domu dla kilku gości z okazji uprzedniego polowania. Hubert, czekając na to zaproszenie, odwiedził raz i drugi pana piwnicznego pod pozorem kolejnych targów o dostawę wina, przy tej sposobności polecając mu pieczę nad sprawą owej cesarskiej korony.

Kiedy wreszcie zasiadł u pana łowczego za suto zastawionym stołem, stwierdził, że został posadzony pomiędzy jakimś mówiącym tylko po rusku, brodatym bojarem a kościstym Czechem o wystrzępionej, siwiejącej już brodzie, chudym obliczu i długim, ptasim nosie. Nazywał się, jak usłyszał przy prezentacji, Meczko, i postował od księcia Korybuta, ale w jakiej sprawie, dopytywać się nie uchodziło. Z trudem mówił po polsku, toteż dowiedziawszy się, że Czarny włada niemieckim, wdał się z nim w rozmowę, którą ten podtrzymywał z uprzejmą ciekawością. W pewnej zaś chwili, kiedy pan Meczko z ożywieniem mówił o przebiegu odbytych właśnie łowów, rzucił z podziwem:

— *Widzę, że myśliwy z waszej wielmożności wielce doświadczony! Sądzę więc, że może zaciekawiby was kusze, których kilka mam w swoim kupieckim wozie. Chętnie je pokażę, choćby i jutro, bo zapewne wasza wielmożność już długo tu nie zabawi?*

Meczko ściągnął gniewnie brwi.

— *Sam już nie wiem, kiedy wreszcie będę mógł wracać! Książ z odpowiedzią zwleka, jakby o mnie zapomniał!*

— *Wiele teraz spraw ma na głowie, boć, jak mówią, czeka go z Polską zbrojna rozprawa!*

— *Tym bardziej wobec wojny na karku powinien dbać o sojuszników!*

Czarny poniechał tego wątku w obawie, by Czech nie zaczął go podejrzewać o zgoła niekupiecką ciekawość. Ale jednocześnie olśnił go nagły pomysł.

— *Życzę zatem waszej wielmożności, aby wreszcie sobie o was przypomniano! Jednak chyba byłoby dobrze kniazia do tego skłonić? Mam tu jako kupiec nieco przyjaciół, może więc udałoby się sprawę przyspieszyć?*

— *Moglibyście mi pomóc? — poseł chwycił przynętę.*

Gwarno było przy stole, ale mimo to Czarny ściszył głos:

— *Trudno z góry przesądzać, ale spróbować mogę. W niczym to was nie obligowałoby ani, broń Boże, naraziło na księżęcy gniew.*

— *Gdybyście, łaskawco, zdołali to uczynić! — westchnął Meczko.*

— *Wielką mą przychylność byście zdobyli! A o księżęcy gniew mało dbam, bo nie on nam, ale my, husyci, jesteśmy mu potrzebni!*

— *Niczego obiecać nie mogę, bo jako człek doświadczony wiecie, jak to z możliwymi bywa! Wiele zależy od tego, czy uda się z przypomnieniem natrafić na jego dobry humor. Ale spróbować nie zaszkodzi...*

— *Tedy, miły łaskawco, próbujcie! A jeśli komu podarek trzeba wręczyć, to ekspans, jeśli nie za wielki, gotów jestem pokryć!*

— *O to się nie frasujcie, bo z grzeczności mi to uczynią! Oby tylko się poszczęściło!*

— *Kiedy spodziewacie się uzyskać rozeznanie?*

— *Jutro po południu już powinienem coś wiedzieć.*

— *Mam kwaterę na tutejszym zamku. Może zaszlibyście do mnie na kwaterkę wina? Będę po obiedzie na was czekał — oświadczył Meczko nie czekając na zgodę Czarnego.*

Ten postanowił przyspieszenie odpowiedzi powierzyć Tieledze, gdyż wiedział, że piwniczy dobrze żyje z kniazem Fedką Kozłowskim, księżącym kanclerzem, któremu trunki z zamkowej piwnicy podsyłał. Czynił to zresztą na polecenie proboszcza, uważał bowiem ksiądz Andrzej, że nawet taki kontakt z kniazem Kozłowskim może się przydać.

Ponieważ musiał teraz liczyć się z czasem, by ze swej strony być gotowy do wyjazdu, jeśli ruszy i Meczko, przeto po rozmowie z Tielegą odbył drugą z

Obruckim, prosząc go o wyszukanie zbrojnych, którzy by za dobrą zapłatą zechcieli odbyć konną wyprawę. Wręczył od razu łowczemu zaliczkę na żołąd i zapowiedział, że resztę ma uzgadniać z Wašką, który obejmie komendę nad tymi ludźmi.

Idąc więc po południu do Meczki, niósł mu dobrą wiadomość, a i sam był rad z toku wydarzeń, rokujących powodzenie w zamierzonym działaniu.

Przyjęty został gościnnie, zaproszony do stołu, na którym pacholik wnet postawił dzban z winem i kielichy. Kiedy na zaproszenie gospodarza nieco z nich upili, Czarny zagaił:

— A zatem, wasza wielmożność, sprawę udało mi się, jak miemam, ruszyć z miejsca. Musiałem komu trzeba podestać antałeczek wina, ale że i moim sprawom ów człek przychylny, was kosztem obarczać nie będę.

— Doprawdy to szczęście, że was spotkał, bo to czekanie już mi do cna zbrzydło! — wykrzyknął uradowany poseł.

Czarny żywił niejaki wątpliwości co do wartości tego szczęścia, których jednak nie zamierzał wyrazić, więc tylko dorzucił:

— Sądzę, że za kilka dni odpowiedź otrzymacie. Z kniazem wprawdzie niczego przewidywać nie sposób, ale przypominano mu, że daremnie, jak dotąd, czekacie na zamku, czego nie powinien czynić postowi przyjaznego husyckiego wodza.

— Nie wiem, jak się wam, łaskawco, wywdzięczę! Doprawdy zacny z was człek!

— Chrześcijańska to sprawa pomóc bliźniemu — stwierdził z powagą Czarny. — Tym bardziej że i mnie wasza wdzięczność może być potrzebna... — dorzucił z uśmiechem.

— Taak? Mówcie, w czymże mógłbym być wam pomocny?

— Zmierzać będziecie do Czech?

— To rzecz oczywista!

— A zatem na południe. Mnie zaś moje sprawy kierują do Lwowa, bo i tam mam swoich odbiorców. Szmat to drogi, a nie mam ze sobą zbrojnych, bo jeno z synem jadę i pachotkiem wiodącym zaprzęg. Pomyślałem więc, że mógłbym, jeśli wyrazicie zgodę, do was się przyłączyć i skorzystać z ochrony waszego pocztu. Boć przecie zapewne macie takowy?

— Ależ tak, jeno przyznać muszę, że niezbyt silny, bo wszystkiego czterech ludzi. Dzielni to wszakże wojacy i z rycerskim rzemiosłem dobrze

obeznani. Będę też żądał od kniazia glejtu na bezpieczny przejazd. Chętnie zatem wezmę was ze sobą, bo weselej będzie jechać!

— Ja zaś i syn także w razie potrzeby za szablę potrafimy chwycić, chociaż jenośmy kupcy! A i tę korzyść może wam przyniosę, że litewskie szlaki, jak i gospody przy nich dobrze znam, więc co lepsze będę mógł wam wskazać.

— Zatem sprawa postanowiona! Obym tylko wreszcie to pismo otrzymał.

— Tym bardziej więc będę o nie zabiegał. A skoro je otrzymacie, powiadomcie mnie w oberży „Pod Zielonym Łosiem”. Do drogi będę już gotowy, bo interes dochodzi tu do skutku i lada dzień targi zakończę.

— Powiadomię niechybnie, bądźcie spokojni!

Jeszcze tego wieczoru Hubert kazał Waśce przyspieszyć werbunek, nie oglądając się na koszty.

— Wystarczy ośmiu ludzi — zdecydował. — Obejmiesz nad nimi komendę i podążysz za nami, ale nie dalej jak o pół mili, bym w razie potrzeby mógł szybko przestać ci wiadomość, gdzie i kiedy uderzymy. Napaść wszakże będziesz musiał sam obmyśleć, bo nie wiem, czy mi się uda z tobą gadać. Pojmiesz tego Czecha i odbierzesz mu listy, mnie zaś i Rocha także spętasz, by potem nie gadał, że Morzelec to nie kupiec, a zbójcecki wspólnik... — dokończył Czarny z kpiącym uśmiechem.

— To jeszcze wasza wielmożność nie wiecie, gdzie dokonamy napaści?

— Istotnie, jeszcze nie wiem, ale nie może to być zbyt blisko Wilna, gdyż Meczko wróciłby tu z lamentem, do czego nie należy dopuścić. Zatem dobierzemy się do niego nie bliżej niż za Brześciem. Skoro go zatem minimy, dawaj na mnie pilne baczenie...

— Nie zapominajcie jednak, wasza wielmożność, że nasi gotowali się do wyprawy na Łuck, toteż możemy natknąć się na wojska. Jeśli na nasze, tym lepiej, ale jeśli na litewskie, może być z nami źle...

— Będziemy musieli trzymać się blisko Bugu.

Ustaliwszy z Waśką szczegóły, Czarny już tylko czekał na zakończenie przez niego werbunku, a także na wiadomość od Meczki. Nie tracił jednak kontaktu z Tielegą, bo Czech, otrzymawszy odpowiedź i glejt na przejazd, mógł ruszyć, poniechawszy spełnienia obietnicy. Jednak ta czujność okazała

się zbędna, gdyż po kilku dniach otrzymał w oberży wiadomość, by nazajutrz gotował się do odjazdu.

Waśko, który także miał już swoich ludzi gotowych do wyprawy, zebrał ich i czekał, kiedy kupiecki wóz Morzelca wyruszy w drogę.

I znów przyszło mijać milę za milą, trzęsąc się w siodle. Ale pogoda sprzyjała, droga była dobra, bo sucha, więc cwałowali przy szparko toczącym się wozie, gadaniem skracając czas jazdy.

Minęli szczęśliwie Lidę, potem Słonim. Lipiec już się kończył, a z nim i większość żniw, toteż pola pustoszały, a tylko tu i ówdzie pojawiały się na nich woły, z wolna ciągnące sochy przyorujące ścierniska.

Na postoju w Bierozie doszły ich pierwsze wieści o naciągnięciu wojsk Lachów pod Łuck. Potwierdzeniem tych pogłosek stały się oddziały wojska mijane po drodze. Były to piesze luźne grupy brodatych, dzikich wojowników, odzianych byle jak, przeważnie w płócienne portki, brązowe, samodziałowe świtki, w łapciach z lipowej kory na nogach i zbrojnych równie nędznie, w kawałki łańcuchów umocowanych do krótkich pałek, topory, włócznie i oszczyepy, a nawet widły. Rzadko który miał przytroczony do pleców łuk z kołczanem. Kiedy mijali te oddziały objeżdżając poboczem, napotykali dzikie j łakome spojrzenia lustrujące konie i broń.

Doganiały ich i z kolei wyprzedzały i konne grupy, też mało co lepiej zbrojne. Wszystkie ciągnęły na Kobryń, a potem zapewne do Brześcia.

Trakt był równy i twardy, więc ponaglali konie, gdyż tego dnia mieli do przebycia szmat drogi, bo ponad siedem mil. Chcieli na nocleg stanąć w Kobryniu, uznając to za bezpieczniejsze i bardziej wygodne, niż nocowanie w jakiejś ubogiej wsi.

Podczas południowego postoju, na jaki zatrzymali się zjeżdżając z drogi i kryjąc się wśród drzew mijanego lasu, Meczko po skończonym posiłku oderwał się z troską:

— Boję się tych wojaków, których napotykamy po drodze. Dziki to i okrutny naród, co widać od razu. Wątpię zatem należy, czy na wiele się zda mój glejt, jeśli przyjdzie im ochota odebrać nam konie i obedrzeć z odzieży...

— Jaką widzicie na to radę? — spytał obojętnie Czarny.

— Czy nie należałoby zjechać z tego traktu i podjechać bocznymi drogami? Co o tym sądzicie? Wolałbym dłuższą drogę i gorszą, a bezpieczniejszą...

Czarnemu nie bardzo podobała się ta propozycja, gdyż zmuszała do zmiany planu, o czym trzeba by zawiadomić Waśkę. Dostrzegł jednak i pewne korzyści, jakie taka zmiana dawała. Łatwiej bowiem było odebrać listy w jakiejś wsi zagubionej wśród lasów niż w zajeździe, przy uczęszczanej drodze. Odpowiedział więc z wahaniem:

Bo ja wiem... W Kobryniu istotnie moglibyśmy obrócić się bardziej na południe i pociągnąć na Kowel, co nawet nieco skróciłoby nam drogę, ale będzie ona znacznie trudniejsza do przebycia. Prowadziłaby bowiem przez mokradła i bagna poleskie, które zaczynają się zaraz za Kobryniem i ciągną przeszło pół drogi do Kowla... A i dalej ich nie braknie, jeno droga ma kędy je omijać.

— Nawet i te gorsze okolice przejechać chyba można? Czy nikt tamtymi stronami nie jeździ? Przecież muszą być tam jakieś drogi, a teraz, latem, przy tak dobrej pogodzie, jaką mamy od dłuższego czasu, chyba zdadne do przebycia?!

— Sądzę, że przejechać by można... Dobrze, wasza wielmożność, rozpytam w Kobryniu... — zgodził się Czarny, zastanawiając się już, w jaki sposób nawiązać styczność z Waśką i powiadomić go o zmianie kierunku dalszej jazdy.

W Kobryniu zatrzymali się w przydrożnym zajeździe na krótko przed wieczorem. Czarny zrezygnował z odpoczynku oświadczając Meczce:

— Wieczereżę zjem później. Teraz udam się do znajomego kupca, by przepytać o drogę. Jako miejscowy i często w podróży, najlepiej mi doradzi.

— Będę was czekał niecierpliwie, bom wielce zaniepokojony wieściami, jakie wciąż nadchodzą. Toć niejako włączymy pomiędzy dwie rozeżłone bestie, które wnet wezmą się za fby! Niełatwo będzie przemknąć między nimi!

— Najlepiej byłoby jak najrychlej przebyć Bug i ciągnąć przez Polskę. Tam bylibyśmy bezpieczniejsi.

— Nie, to nie wchodzi w rachubę! — stanowczo oświadczył Czech.

— Dlaczego? — Czarny udał zdziwienie.

— Na koronnych ziemiach groziłoby mi jeszcze większe niebezpieczeństwo, czego bliżej wam wyjaśnić nie mogę. Polityczne to ma aspekta, toteż wolę o tym nie mówić.

— Ale wracając do Czech i tak Polski nie ominiecie. A nawet chyba sam Kraków leży wam na drodze...

— Tam właśnie księżę Korybut ma swoich ludzi, którzy dadzą mi pomoc i opiekę...

— Jak sobie wasza wielmożność życzy... — ugodowo oświadczył Czarny. — Zresztą mnie, jako kupca, polityka nie ciekawi, a nawet staram się od niej stronić, by interesów na szwank nie narażać.

— Macie, łaskawco, słuszność! Ruszajcie tedy i wracajcie co rychlej, aby mnie uspokoić!

— Musicie być, panie, cierpliwi, bo mogę tak rychło nie wrócić. Mój towarzysz bez wątpienia będzie mnie chciał ugościć, czemu nie mogę się sprzeciwić, by jego przychylności nie stracić.

— No trudno... Wszakże nie zasnę, dopóki nie będę wiedział, jak sprawa stoi...

Lasy dochodziły nieomal do samego miasteczka, toteż Czarny, najpierw zasięgnąwszy nieco języka, wyostał się poza jego ostatnie domy, wybrał odpowiednie miejsce w gęstwinie przydrożnych leszczyn i zasadził się, przygotowany na dłuższe oczekiwanie.

Nie było ono jednak tak długie, jak się spodziewał, bo jeszcze słońce nie zniknęło zupełnie, kiedy usłyszał miarowe końskie stąpania i wychyliwszy się ujrzał nieduży zastęp jezdnych ciągnących z wolna traktem. W jadącym na ich czele dowódca już z konturu postaci rozpoznał Waśkę, więc wyszedł na drogę.

Na jego widok pocztowy wstrzymał oddział i zeskoczywszy z siodła, podszedł bliżej.

— Zaszło coś nowego? — spytał od razu z niepokojem.

— Czech mocno wystraszony ciągnącym wojskiem nalega, by zboczyć z traktu i poniechawszy Brześcia, skierować się bocznymi drogami na Kowel.

— Niech go grom spali! Tedy musimy i my zmienić plany! Kędy zatem mamy jechać i gdzie odebrać pisma? Czy już to wasza wielmożność wiecie?

— Z Kobrynia obrócimy się przez Gajkówkę na Mokransy, Zabłocie i Dubieczno. Droga wiedzie przez mokradła, ale teraz, jak mówią, jest przejezdna. Jedyne możemy mieć trudności z przeprawą przez Traścienicę, a potem Osipówkę.

— Z tym damy sobie radę! Ale gdzie zamierzacie uderzyć? Może od razu tu, w Kobryniu?

— Wykluczone! Zbyt duży tu ruch i zbyt ruchliwe miasteczko! Musimy jeszcze zdobyć się na cierpliwość, tym bardziej że droga, na którą sam Meczko się naprasza, wiedzie poprzez liche i rzadko rozrzucone wsie. Dobierzemy się zatem do pana posła w Zabłociu. Świat to zabity deskami i wieść, co stało się z posłem, nierychło dotrze do naszych przeciwników.

— A wy, wasza wielmożność? Co uczynicie, kiedy i was spętam?

Hubert uśmiechnął się.

Będę odzegnawał się od przyjaźni z Czechem, wyjaśniał, że tylko kupiec. Połakomisz się zatem na okup i w więzach mnie i Rocha zabierzesz ze sobą...

Waśko roześmiał się:

— Będzie dobra zabawa! Tedy z Kobrynia obracam się na Gajkówkę, a zasię na Mokransy i Zabłocie?

— Dobrześ spamiętał. I nadal trzymaj się blisko nas.

Kiedy po dwugodzinnej nieobecności Czarny wrócił do zajazdu, zastał istotnie Meczkę jeszcze przy kuflu piwa. Od razu też zagadnął go z ciekawością:

— No i jak, możemy zboczyć z traktu? Rozpytywałem tu nieco gospodarza. Mówi, że przy mrozach, jak i letnią porą, nawet drogi przez bagna są przejezdne!

— To prawda. I mój kumpel w tym mnie upewnił.

— Pytaliście, jak mamy jechać?

— Na Gajkówkę, Mokransy i tak dalej... Wszakże ostrzegał, że czekają nas dwie przeprawy przez rzeki.

— Zdołamy je pokonać? — z niepokojem rzucił Meczko.

— Czemu nie? Brody na pewno wskażą nam miejscowi!

— Bardzo żeście mnie uspokoili... — westchnął Meczko z ulgą.

Skończyła się wygodna jazda dobrze przetartym traktem. Już zaraz za Bierozą zagłębili się w lasy i ciągnęli wolno, bo wyboje, zapadliny, wypełnione błotem zdradliwe jamy, jak i liczne korzenie wiekowych drzew zmuszały do ostrożności, a nawet i objazdów, więc posuwali się wolno bacząc, by nie narazić końskich nóg. Nie lepiej było, kiedy około południa wydostali się z boru. Ujrzeni przed sobą otwartą przestrzeń z rzadka porośłą cienką, lichą brzezina, gdzieś tam ponad wysoką trawę i trzciny wystawały ciemnozielone wierzchołki rachitycznych sosenek, a między tym morzem

sitowia i traw tu ówdzie srebrzyły się nitki wody lub małe jeziora, niby połyskujące oczy wśród gęstwiny zielonych rzęs.

Droga mimo upalnego dnia była tylko pozornie sucha, bo spod cienkiej warstwy wyschniętego mułu ukazywała się pod kopytami koni czarna błotna mąz, w której ich nogi i koła wozu tonęły głęboko.

Chwilami jednak grunt się podnosił i jazda stawała się łatwiejsza. Wówczas mogli zwalniać wodze i swobodniej rozglądać się po okolicy. Wzrok sięgał daleko, dostrzegali z siodeł, jak niby morze falowały tylko trzciny, z których dobiegało pokrzykiwanie ptactwa, od czasu do czasu unosił się ku niebu ich skrzydlaty mieszkaniec, zataczał koło i raz, i drugi zamachawszy skrzydłami opadał w dół, niknąc wśród traw.

Słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie i prażyło mocno, toteż pozdejmowali kubraki i radowali się lekkimi podmuchami wiatru ciągnącego nad tym, zdawało się, bezkresnym pustkowiem, gdyż jedynie wąski ciemny pas odległego boru, rysujący się przed nimi w zamglonej dali, wyznaczał granicę tego pozornego bezkresu.

— Jak okiem sięgnąć ani dymu, ani żywej duszy... — mruknął przerywając milczenie Meczko, jadący obok Czarnego.

— Tak będzie przez większą część drogi, zanim miniemy te poleskie mokradła. Wsie tu rzadkie, to i ludzi mało widać.

— Może to i lepiej — uśmiechnął się Czech. — Będziemy bezpieczniejsi.

— Dlatego przecież obraliśmy mitręgę tej drogi. A do tego opóźnimy podróż co najmniej o kilka dni.

— Nie tak mi spieszo, by nastawiać karku!

Czarny nic nie odpowiedział, wiedząc jak złudna to opinia.

Jakby jednak wolno nie ciągnęli, przebytych mil było dzień po dniu coraz więcej. Pod Gajkówkę przeprowili się pobliskim brodem przez Traścienicę, potem dzięki napotkanym rybakom znaleźli inny, na Osipówce, i dotarli szczęśliwie do Mokran.

Była to uboga wieś z lichą oberżą. Zatrzymali się w niej na noc, radzi jednak z dachu nad głową i postania ze słomy, gdyż poprzedni nocleg przyszło im spędzać w lesie. Dowiedzieli się, że w Zabłociu także znajdują zajazd, i ruszyli dalej.

Mieli do przebycia przeszło trzy mile drogi, ponoć lepszej niż z Gajkówki. Spodziewali się więc na wieczór dotrzeć do celu.

W rzeczywistości zapowiedź lepszej drogi okazała się niezupełnie prawdziwa, ale że istotnie suchsze odcinki były częstsze, a wyruszyli o świcie, więc jeszcze przed wieczorem ujrzeli połyskującą kopułę małej, drewnianej cerkiewki, widocznej z dala, bo stojącej na wzgórzu. Za nią rozciągała się szeroko, połyskując w zachodzącym słońcu purpurowymi pasami blasków, rozległa płaszczyna jeziora Tur.

Wieś była rozrzucona szeroko wokół wzgórza wznoszącego się nad samym jeziorem. Jej chałupy pięły się również po stoku tego wzgórza, a i na szczycie otaczały stojącą tam cerkiew i bliski jej zajazd.

Prowadził go opasły, brodaty Rusin, w rubaszce wyrzuconej na sukienne spodnie i w butach z cholewami, cuchnącymi dziegiem, którym były smarowane.

Przyjął ich w pokłonach, ciekaw tak licznych gości i rad z ich przybycia, co widać rzadko mu się zdarzało na tym pustkowiu.

Izba oberży z byle jak skleconą ladą do rozlewania trunków miała podłogę z ubitej gliny, dużą jej część zajmował chlebowy piec, a resztę — parę stołów z ławami. Oświetlało ją łuczywo zatknięte w przymocowane — do ścian uchwyty.

Zanim umieścili w stajni wierzchowce, a w szopie wóz, słońce już zaszło, więc kiedy wrócili do izby, gospodarz pozapalał łuczywa i zaproponował wieszczkę, a także izbę na nocleg, ludzi zaś z pocztu obiecał umieścić w stodółce na sianie. Na stole wnet znalazły się kaczki z pobliskiego jeziora, a i piwa nie brakło.

Kończyli właśnie posiłek i Czarny zaczął przemyśliwać nad sposobem opuszczenia kompanii, by poszukać Waśki, kiedy raptem dobiegł ich ze dworu stuk końskich kopyt i ludzkie głosy.

Gospodarz porwał za łuczywo i ze strachem wybiegł sprawdzić, kto o tak późnej porze jeszcze do niego przybywa. Po chwili usłyszeli jego powitania i w odpowiedzi rzucone ostro pytanie:

— Kto zacz są? Jam kniaziowy poseł i dla mnie kwatera musi być!

Czarny poznał głos Waśki.

Po chwili ujrzał i jego samego. Wszedł buńczucznie do izby z dwoma zbrojnymi za plecami i obrzuciwszy siedzących za stołem gniewnym spojrzeniem spytał, podnosząc głos:

— Coście za jedni?!

— Jam poseł, od kniazia Świdrygiełły do Czech podążam... Oto mój glejt... — nie mogąc opanować drżenia głosu i ręki, którą podawał pismo, wyjaśnił Meczko.

Waśko wyrwał mu papier i podsunąwszy pod łuczywo przebiegł go wzrokiem:

— A tych czterech z pocztu, o których tu mowa? Gdzie oni są?

— Niedawno skończyli wieczerzać i poszli spać do stodółki...

— Obaczym, czy i dla moich ludzi staczą tam miejsca! Ostańcie przy nich! — rozkazał żołnierzom i ruszył ku drzwiom. Widząc, że gospodarz sięga po łuczywo, rzucił opryskliwie:

— Nie trzeba! Mam latarnię, ostań tu!

Nie było go dłuższą chwilę, ale Czarny domyślał się powodu tej zwłoki. Istotnie, kiedy groźny przybysz powrócił w otoczeniu żołnierzy, od razu wyjaśnił od progu:

— No, miejsca dla moich ludzi starczy, bom twoich powiązał niczym baranów i na jednej kupie leżą — zwrócił się do Meczki.

— Powiązałeś moich ludzi? — wyjąkał ten z przerażeniem.

— Nie było innego sposobu! — roześmiał się Waśko. — Próbowali sprzeciwić się, więc musiałem ich nieco uspokoić!

— Jakże to, ponoć postujesz od Wielkiego Kniazia, a tak niecznie poczynasz sobie z jego postem?! — oburzył się Meczko.

— Postuję albo i nie postuję. Czy to twój wóz, który dostrzegłem w szopie?

— Nie, to owego łaskawcy, co ze mną jedzie...

Waśko zwrócił się z kolei do Czarnego:

— A ty kto? I co masz w tym wozie?

— Jam tylko kupiec, wielmożny panie, a to mój syn — ze strachem i pokornie wyjaśnił Czarny. — Dla bezpieczeństwa przyłączyłem się do orszaku wielmożnego pana posła, ale nic z nim wspólnego nie mam.

— Toć nie ganię ci tego! A kupców nawet lubię, bo i w wozach zawsze coś mają i okup za nich można dostać niezgorszy!

— Jak to, wielmożny panie?! — wykrzyknął Czarny zrywając się na nogi. — Czyżbyście chcieli nas obrabować?! Wy, kniaziowy sługa?!

— Śmieję się z tego, com rzekł. Taki ja jego sługa, jak ty wielmożny pan.

— Nie uszanujesz, zbój, kniaziowego glejtu?! — z krańcowym oburzeniem, ale i strachem wykrzyknął Meczko.

— Obaczysz, gardłem za to zapłacisz!

— Możesz sobie tym glejtem podetrzeć tyłek! Brać ich! — rzucił rozkaz żołnierzom. — A ty siedź cicho, bo oberwiesz! — ostrzegł gospodarza, podczas gdy żołnierze rzucili się ku swoim ofiarom, które nie próbowały nawet stawiać oporu, kiedy wiązano im sznurami ręce.

Po skrępowaniu jeńców Waśko zwrócił się kpiąco do Czarnego:

— W wozie niczego wartego zachodu nie miałeś. Te parę antałów wina wprowadzie przydadzą się moim chłopcom, ale dla mnie to za mało. Gdzie masz swoje toboły?

Hubert wskazał głową wór z pościelą, którą niedawno przyniósł pacholik.

Waśko rozwiązał rzemień, który ściągął wylot worka, i zajrzał do środka.

— Jenó kóce? — prychnął lekceważąco. — Ale przecież jako kupiec bez gotowizny nie jedziesz? Gdzie ona?!

— Wydałem niemal wszystko, com miał... — burknął Czarny. — Za ostatnie grosze jadę...

— To wnet, bratku, obaczym! — Waśko podszedł do Huberta i bezceremonialnie obmacał mu pas, po czym wyciągnął zza niego dobrze wypchaną sakiewkę.

— No patrzcie! To dla ciebie ostatnie grosze?! — prychnął ironicznie.

— Musisz być zatem zamożny i na okup nie poskąpisz?! — rzucił wsuwając sakiewkę za swój pas.

— Człowieku, czyżbyś chciał do ruiny mnie doprowadzić?! Czy myślisz, że na workach ze złotem siedzę?! Że też zły los skierował mnie na tę lichą drogę, na której jeszcze takie mnie spotkało nieszczęście!

— Przestań biadolić, bo nic ci to nie pomoże! A teraz popatrzmy, co też chowa w zanadru pan poseł? — Waśko zwrócił się z kolei do Meczki.

Podszedł do niego i bezceremonialnie wsunął mu dłoń za pas, przesunął ją i wyciągnął skórzany woreczek ściągnięty rzemykiem, w którym zabrzączały monety.

— Bóg nadarzył dobry dzień! — roześmiał się hałaśliwie, chowając drugą sakiewkę. — Ale obaczmy, może masz coś więcej... Złoto zaszywacie także w odzież, nie zaszkodzi sprawdzić...

Szarpnął za połę kaftana i odchyliwszy go, zaczął obmacywać sukno. Już po chwili pod jego palcami na pierś Meczka zaszeleścił papier. Waśko uśmiechnął się złośliwie i sięgnąwszy po nóż, mruknął:

— Obaczym, co też tam masz...

— Nie waż się! — wykrzyknął Meczko. — To nie gotowizna, pożytku żadnego ci nie da!

— Nie ty będziesz o tym stanowić. — Meczko przeciął podszewkę kaftana i wyciągnął parę listów przewiązanych tasiemką.

— To pisma, które wiozę jako poseł! Nie mają dla ciebie żadnej wartości, toteż ich nie tykaj!

— Mają, nie mają, ale je zabiorę. Może znajdzie się na nie kupiec!

— Obyś smażył się w piekielnym ogniu, zbóju przeklęty! Obyś ranka nie dożył! Oby cię robactwo żywego żarło.

— pienień się poseł, ale Waśko roześmiał się tylko, wsunął listy w zanadru i dla zachowania pozorów polecił jednemu z żołnierzy:

— Obacz, co ma w tobołku. Tak znaczna persona z byle czym nie podróżuje. Jeśli najdziesz coś wartego, możesz podzielić między towarzyszy.

Meczko, załamany zupełnie, opadł na ławę i z jękiem skrył głowę w dłoniach. Poderwał ją jednak wkrótce na następne polecenie groźnego herszta rzucone żołnierzom:

— *Konie im pozabierać i uwiązać do wozu, bo te także weźmiemy. Panowie kupcy będą mieli na czym jechać...*
— *dokończył urągliwie.*

— *A ten tu?* — *żołnierz wskazał na Meczkę.* — *Zabieramy go także?*

— *Po co? Za niego nikt mi grosza nie da! Niech tu ostanie! Jego ludzie także, oni nam niepotrzebni. Może Bogu dziękować, że ostawię ich przy życiu.*

— *Miejże zmiłowanie, człowieku!* — *wybuchnął Meczko od przekleństw przechodząc do błagania.* — *Chcesz nas w tym pustkowiu ostawić bez wierzchowców?! Jakże stąd się wydostaniem bez koni i pieniędzy?! Czyż nie masz zrozumienia, jeśli już nie litości?*

— *Twoja sprawa, nie moja, a za konie dostanę ładny grosz. Piechotą też ludzie chodzą, a i na chłopski wóz możesz sobie przysiąc! A w Kowlu stoi litewska załoga, glejt ci ostawię, to cię kniaziowi ludzie wspomogą!*

Czarnemu, na widok jego załamania i bezradności, żal się posła zrobiło, ale pochwalał ostrożność pocztowego, który zabierając wierzchowce zyskiwał czas do ucieczki i zabezpieczał się przed zbyt rychłym ujawnieniem napadu. Tymczasem Waśko wydawał kolejne polecenia żołnierzom:

— *Zabrać go do stodoły, niech siedzi razem ze swymi ludźmi! Ale ostawić ich w pętach, dopóki nie ruszyc. Broni im nie bierzcie, niech ją mają, bo jak się już uwolnią chłopci, ani chybi porznąliby ich i obdarli z odzieży, czego na sumienie brać nie chcę.*

— *A co z nimi?* — *żołnierz wskazał na Czarnego i Rocha.*

— *Niech ułożą się na wozie, bo pojedą z nami. I mieć na nich dobre baczenie, bo warci więcej niż ten kniaziowy poseł!*

Kiedy Czarny i Roch znaleźli się pod budą wozu, gdzie ustąpił im miejsca pacholek, Waśko, korzystając z ciemności, podszedł do nich i szepnął przez płótno:

— *Listy i sakiewki dać teraz czy po drodze?*

— *Daj przed wyruszeniem* — *poleciał mu półgłosem Czarny. Trzeba sprawdzić, czy to Świdrygiełtowe pismo...*

— *Dokąd obrócimy się?*

— *Na Kowel, a stamtąd pod Łuck. Dobrze zrobiłeś zabierając im konie. A i całą komedię odegrałeś pięknie...* — *pochwalił go Czarny.*

Trzeciego dnia podróży stanęli w Kowlu, gdzie Czarny rozliczył się z tymi żołnierzami, którzy zamierzali powrócić do Wilna. Dwóch jednak, widać samotnych, a do tego katolickiej wiary, objawiło chęć pozostania na służbie, choćby i na niższym żołdzie. Jednym z nich był żyłasty wścisz imieniem Damian, którego Waśko chwalił jako myśliwego znajdującego jak mało kto zwierzynę i umiejącego naśladować jej głosy. Drugim był młody osiłek zwany Kurczakiem, który wszakże w istocie zwał się Prokop. Tego także chwalił Waśko za sprawność, toteż Czarny pozostawił ich przy sobie.

W Kowlu pełno było zbrojnych, więc długo nie zabawili; oporzędzili wóz i uzupełniwszy zapasy żywności, ruszyli dalej, wybierając jednak boczne, mało uczęszczane drogi. Czarny bowiem wolał nie narazić się na przygodę tuż przed celem podróży, bo swoi byli nie dalej jak ze dwanaście mil, a lotem ptaka nie było ich i dziesięć.

Przemykając się od wsi do wsi polnymi drogami dotarli szczęśliwie pod Łuck, gdzie już było pełno koronnych oddziałów picowników ściągających z okolicy żywność.

Najpierw Rudy i Lech, potem ksiądz Andrzej powitali przybyłych radośnie, a proboszcz, rad z udanej wyprawy, dziękował Czarnemu za poniesiony trud.

Przyjęte listy okazały się cenne, bo była wśród nich nie tylko przychylna odpowiedź Zygmuntovi Korybutowi, ale przyjazne pisma do innych przywódców husyckich. Sporządzono więc z nich kopie, które przesłano cesarzowi Zygmuntovi, oskarżając jednocześnie Świdrygiełłę o kumanie się z odszczepieńcami Kościoła.

Wszakże niektóre z otrzymanych kopii cesarz przesłał Świdrygielle, a inne Wielkiemu Mistrzowi donosząc jednocześnie, że nie uda się polskiemu królowi poróżnić go ze Świdrygiełłą, bo nie ma zamiaru zważać na takie skargi.

Namiat Jaksy stał wśród namiotów królewskiego dworu rozrzuconych także niedaleko kościoła. Wśród nich znajdował się i proboszcza. Czarny znalazł sposobne miejsce również dla siebie oraz swoich ludzi i rozpoczął obozowe życie.

Okazało się jednak mało ruchliwe, bo ksiądz Andrzej zabronił im obu brać udział w szturmach, nie chcąc widać narażać na szwank swoich pomocników, przydatnych do ważniejszych spraw niż wspinanie się po drabinach.

Pierwsze dni chętnie odpoczywał po trudach podróży, ale polem bezczynne życie zaczęło mu doskwierać, więc raz i drugi wyjechał na patrol, a także zdarzyło się poprowadzić oddział picowników wysłanych przed królewski dwór.

W miejscu, gdzie rozbito namiot monarchy, Styry szerokim łukiem otaczał rozciągnięte na przeciwległym brzegu spalone przez Świdrygiełłę miasto. Od pierwszych domów jego skraju do zakola rzeki ciągnął się szeroki pas łąk, z tej zaś strony u szczytu rzecznej łuki wznosiło się wzgórze pokryte z rzadka rozrzuconymi dębami, gdzie znajdowała się owa cerkiewka Św. Krzyża. Stało przy niej kilka starych zabudowań, zapewne stanowiących obejście popa,

teraz wszakże opuszczonych; służyły przeto za pomieszczenie dla królewskiej czeladzi. Namiot monarchy otaczały kręgiem inne, należące do panów z Rady, umieszczone tak ze względu na ich godność, jak i dla wygody władcy, który miał swych doradców i wodzów w pobliżu.

Dalej ku północy, już poza wzgórzem, rozłożył się obóz otoczony spiętymi wozami. Dochodził po wschodniej stronie nieomal do samej rzeki, gdzie był nietrudny do przebycia bród, skąd poprzez pasmo łąk biegła droga do miasta. Za owymi łąkami stała ściana lasu, który szerokim łukiem otaczał uprawne tereny podmiejskie, a od strony południowej dochodził do samego Styru i ciągnął się dalej, obrastając oba jego brzegi.

Sam gród obronny otoczony palisadami i murami leżał blisko nadbrzeżnych łąk. Większa część miasta spalonego na rozkaz Świdrygiełły rozciągała się zgliszczami poza nim, natomiast od strony Styru już znacznie mniej czerniało zwęglonych belek, okopconych głazów palenisk czy sterczących resztek kominów.

W łuku rzeki, niejako u stóp wznoszącego się po drugiej stronie wzgórza, rozbiło swe namioty bogatsze rycerstwo przedkładając otwartą i bliższą walki przestrzeń nad bezpieczniejszą obozową ciasnotę.

Od razu po założeniu obozu i rozbiciu w bezpiecznej odległości namiotów rozpoczęto okopywanie stanowisk dla oblężniczych machin miotających, jak „osły” czy większe od nich „niedźwiedzie”. A także podciągnięto „barany” — zawieszane na łańcuchach belki z żelaznymi głowicami, przykryte mocnym dachem chroniącym przed pociskami. Służyły do kruszenia murów, a zwłaszcza bram. Ustawiono w pobliżu również „myszki”, czyli

osadzone na kołach dachy, pod którymi kryli się przed pociskami wojownicy przy podchodzeniu pod mury. Przewożono nimi również i oblężnicze drabiny, po których pięli się żądni walki śmiałkowie.

Od czasów oblężenia Malborka pozostało kilka zdobytych na Krzyżakach bombard prochowych, kilka też odlano we Lwowie i Krakowie. Te także ustawiono na stanowiskach w dobrze okopanych szańcach, ze względu na prochy, jakie przy nich składano. Wystawiły swoje grube cielska spoczywające w korytach ciężkich lawet i niby groźnymi, cyklopimi ślepiami wpatrywały się w ściany grodu.

Jakoż od razu po ustawieniu oblężniczych machin przystąpiono do miotania pocisków. Uwijała się obsługa przy „osłach” i „niedźwiedziach”,

waliły z hukiem w ich poprzeczną belkę ramiona miotające kamienie, które z szumem leciały ku murom. Od uderzeń dobrze wymierzonych pocisków drżały pod stopami obrońców, leciały z nich odpryski cegieł i kamieni, wznosiły się białe tumany tynku.

Odezwały się też i bombardy. Z głuchymi grznotami tryskały ogniem i dymem, który potem okrywał je ciemnymi obłokami, dopóki nie zwiały ich podmuchy wiatru. W miarę jednak trwania kanonady łączyły się w długie pasma snujące się nad zgliszczami spalonego miasta.

Szturmu jeszcze nie próbowano, czekając na rezultaty ostrzału. Jakoś po kilku dniach ukazały się nie tylko pęknięcia, ale nawet i wyłomy w murach ze zwałami spiętrzonego pod nimi gruzu. Ku ucieście obsługi miotaczy i bombard zawałiła się jedna z obronnych baszt, a wkrótce druga. Rozległ się huk dosłyszalny nawet wśród bitewnego zgiełku i ujrano unoszący się ku niebu słup białego pyłu, powitany przez puszkarzy krzykiem radości.

Wszakże nie podzielał tej radości król jegomość, który za dnia objeżdżał stanowiska wojsk. Z markotnym i zasmuconym obliczem oglądał poczynione spustoszenia i ubytki, aż, widąc nie mogąc opanować troski, podczas kolejnego objazdu zwrócił się do jadących przy nim księcia Ziemowita i wiernego mu kniazia Hryćki Kierdejowicza:

— Żal patrzeć na te gruzy... Toć niszczymy własnymi rękami to, co ojcowie wznieśli...

— A żal, miłościwy panie — zgodził się Kierdejowicz. — A do tego przyszło z braćmi bój prowadzić. Oto co uczynił ten bezrozumny człek!

— Nie rań mi, kniaziu, bardziej serca niż on to uczynił — mruknął Jagiełło wstrzymując konia i przyglądając się, jak pachołcy ładują wielki kamień na opuszczoną łyżkę pobliskiego „osła”. Odciągnięta kołowrotem do tyłu, trzymała się na zaczepionych hakami dwóch grubych sznurach, drżących od napięcia. Kiedy kamień umieszczono w łyżce, przystąpili z obu stron do maszyny dwaj ludzie z młotami w rękach i zgodnym uderzeniem zbili haki z zaczepów. Giętka belka zakończona łyżką raptownie zwolniona wyprężyła się i z hukiem uderzyła o mocno osadzoną poprzecznicę, wyrzucając w powietrze pocisk. Poleciał ku murom szybko niknąc z oczu, a książkę Ziemowit, obserwując jego lot, odezwał się:

— Żałować trzeba, ale nie tych murów i zdrajców, którzy na nich siedzą! Własnego żołnierza na taką walkę szkoda, a także tych ludzi, którym chaty spalono i z dobytku wyzbyto!

Z orszaku znajdującego się za królem wysunęli się Sędziwój z Ostroroga i Szafraniec i przyłączyli się do władcy. Szafraniec, słysząc ostatnie słowa księcia Ziemowita, odezwał się kpiąco:

— Wojować i ubolewać nad wojaczką to zaiste nieczęsto się zdarza!

— Toteż niczego dobrego po takim wojowaniu nie należy oczekiwać — z powagą uzupełnił Sędziwój. — Niektórzy z naszych już się kumają z obrońcami, przedostają się do grodu i żywność im noszą, a także podniecają do wytrwania!

— Toć to wiadomo — mruknął książę Ziemowit. — Moi ludzie już kilku takich przyłapali!

— Sądzę, że kazaliście ich powiesić?

— Bez rozkazania miłościwego pana nie chciałem tego czynić, boć on sprawuje zwierzchnie dowództwo. Ale nie słyszałem, by zostali ukarani...

— Prawdaż to, najjaśniejszy panie?! — z oburzeniem zawołał Szafraniec. Jagiełło zmarszczył brwi i spojrzał gniewnie na podkomorzego, o którym wiedział, że nie jest mu przychylny.

— Wasza wielmożność patrz swoich spraw, a w moje nie zagłądaj...

Szafraniec pohamował ostrą odpowiedź, tym bardziej że zabrał głos wojewoda Sędziwój, by do niej nie dopuścić.

— Wszakże gród należy całkiem otoczyć, by odciąć Jurszy drogi zaopatrzenia. Głód mu nie zagrozi, jeśli tego poniechamy...

— Na co się to zda, wojewodo? Zapasów ma dość i ściągac ich nie potrzebuje... Dotąd nasze patrole nie napotkały jego picowników...

— Miłościwy panie — wtrącił ze złością Szafraniec — baczcie, aby was wojsko nie pomówiło, że bardziej wrogowi sprzyjacie niż własnemu żołnierzowi!

Jagiełło zignorował tę uwagę i po chwilowym milczeniu zwrócił się do księcia Ziemowita:

— A wy, książę, co o tym sądzą?

— Praw jego wielmożność wojewoda, miłościwy panie! Nie należy takiej sposobności dawać Jurszy, póki broń przeciw nam dzierży!

Jagiełło z wolna skinął głową i trącając konia ostrogą rzucił z niechęcią w głosie:

— Zatem wydaj w moim imieniu rozkazy tym chorągwiom, które wybierzesz. Niech otoczą gród dookoła...

Tegoż dnia rozeszła się w obozie wieść, że Świdrygiełło — jak sądzono po znalezionej odzieży — w bitwie nie zginął, a zdołał ująć do Stepania, tam się zatrzymał, zebrał nowe wojsko i ciągnie z odsieczką. Całą więc noc wrzało po namiotach. Wzmocniono strażę i gotowano się w podnieceniu do rozprawy. Toteż kiedy słońce wstało przeganiając nocne mgły milionami iskier rozbłysło w porannej rosie, chorągwie gotowe do bitwy ustawiały się w ordynku, czekając na pojawienie się nieprzyjaciela.

Wszakże książę nie ukazał się, a po paru godzinach przybył od niego poseł, więc zawiedzione wojsko zjechało z pola.

Przywiózł list, jaki ponoć Wielki Książę otrzymał od tatarskiego chana. W liście tym wzywał on polskiego króla, by odstąpił od wojny z Litwą, a Podole oddał jej bez zwłoki, jako że on, tatarski chan, już z dawna ziemie te podarował Świdrygielle dla władania nimi po wieczne czasy.

Skoro wieść o tym rozeszła się wśród rycerstwa, śmiech powstał powszechny, gdyż sądzono, że Świdrygiełło sam do siebie taki list napisał. Nie wiadomo wszakże, czy tak było istotnie, gdyż władcy tatarscy takie pisma zwykli pisać obdarowując ziemiami, których w rękę nie dzierżyli.

Nie tylko bombardy wyrzucające kamienne bądź lane z żelaza kule zasnuwały dymami resztki spalonego miasta. Również płonęły niektóre budynki grodu, podpalone ognistymi pociskami, i dym z tych pożarów znoszony lekkimi podmuchami wiatru mieszał się z prochowym, zwiększając gęstość czarnych, leniwie sunących smug, niczym welony szeroko rozciągniętych nad ziemią.

Kiedy silniejszy podmuch wiatru skłębiał je i przepędzał nad pola, wylaniały się z tej zasłony wielkie maszyny, wokół których uwijało się ludzkie mrowie, ruchliwe, kręcące się w pozornie bezładnym popłochu, w rzeczywistości świadome swych czynności, gdyż sprawnie obsługiwało miotacze i podskakujące po każdym odpaleniu bombardy.

Grzmot ich strzałów mieszał się z hukiem łyżek „ostów” oraz „niedźwiedzi”, z ludzkimi krzykami i głuchym hukiem uderzających w mury pocisków.

Ukazały się w nich nowe wyłomy, z których zdawały się wyciekać strugi gruzów, a także przy wtórze triumfalnego wrzasku puszkarzy i pełnego przerażenia obrońców zawałiła się kolejna baszta.

Czarny i Rudy siedzieli przed namiotem Jaksy i patrzyli na toczoną po drugiej stronie rzeki walkę. Dzień był bezchmurny, na niebieskiej kopule nieba tylko kilka małych, rozrzuconych tu i ówdzie obłoków białało w słonecznym blasku, który oblewał jasną zielenią łąk i ciemną lasów, otaczających kręgiem krwawego zmagania. W pięknie i spokoju letniego dnia zdawały się być tylko zabawą płochych młodzików.

Dał temu wyraz Jaksy, patrząc na toczącą się bitwę.

— Z dala wygląda to nie tak znów groźnie. Jakby jeno wojenne igraszki...

— Wszakże pożary tak nie wyglądają... — mruknął Czarny.

— W słońcu mało ich widać...

— Dymy jednak widać całkiem wyraźnie. One są prawdziwe i zawsze przejmują grozą...

— Dość napatrzyłeś się na nie, aby przywyknąć.

— Im więcej ich oglądam, tym bardziej rozumiem, co znaczą...

— Miłościwy pan woli niczego nie dostrzegać. Mało kiedy namiot opuszcza, a wojska także rzadko objężdża.

— Rani mu serce niszczenie jego dziedzictwa. Rycerstwo tego nie rozumie i zaczyna sarkać, że wojnę tylko dla pozorów prowadzi, a bardziej Świdrygiełło sprzyja.

— I ja słyszałem takie gadanie, ale wiary temu nie daję — zaopiniował Czarny. — Ze wojnie tej przeciwny, nie dziwota, boć nie tylko bratnią krew przelewa, ale działa po myśli swego największego wroga, niemieckiego cesarza!

— Wszakże i wojsko ma swoją rację. Przecież sam oblężeniem nie kierując nikogo na wodza nie wyznaczył! Toteż każdy z panów na własną rękę wojuje! Gdyby było inaczej, Łuck byłby już dawno zdobyty!

Przerwali rozmowę, gdyż zza pobliskiego namiotu ukazał się pan Bukwa i dostrzegłszy Jaknę, zbliżył się do siedzących.

— Witam waćpana... — zwrócił się do Rudego. — Widzę, że masz waść kompana, może zatem przeszkadzam?

— Ależ nie, to Hubert z Czepiel, mój krewniak — Jaksza z kolei przedstawił przybysza Czarnemu. Ponieważ ten już o nim słyszał, więc obrzucił go ciekawym spojrzeniem i odsunął się, dając miejsce na kłodzie, gdzie siedzieli.

— Nie przeszkadzasz, waszmość... Racz przysiąść choć na takiej ławie.

— W polu dobra każda — Bukwa przysiadł z sapnięciem i zwrócił się do Jaksy:

— Cóż to, zaniechałeś waść szachów z Holeszką? Teraz rycerstwo tą grą się zabawia, bo szturmów mało, a zresztą głównie czeladź łakoma zdobyczy do nich Się pcha.

— Zaniechałem, bo sposobności nie było. Istotnie, dziwno mi, że miłościwy pan nie każe uderzyć na mury... Dość już są wątle i nietrudno byłoby się na nie wedrzeć...

Bukwa ściszył głos.

— To waść nie wiesz?

— Nie... — zaciekawił się Rudy. — A o czym to?

— Na jutro generalny szturm wyznaczono! Wszakże tylko co znaczniejsi dowódcy o tym wiedzą, aby wieść nie dotarła do Jurszy. Sądziłem wszakże, że kto jak kto, ale wam ta sprawa nieobca...

— Dlaczego właśnie mnie ma być wiadoma? — ostentacyjnie zdziwił się Jaksza.

Bukwa na chwilę jakby się zmieszał, ale odpowiedział z uśmiechem:

— Boć kancelaria królewska chyba bardziej od innych świadoma rozkazów naszego pana...

— Ale tylko tych, które dotyczą listów i postań, a nie wojennych zamiarów — zimno odparł Rudy.

Kiedy sokolniczy odszedł, wkrótce i on podniósł się na nogi.

— Idę do proboszcza — wyjaśnił Czarnemu. — Może pozwoli powojować.

— Nie zapomnij, że także i mnie cknij się beczynne siedzenie — upomniał go Hubert.

Ale kiedy szwagier wkrótce wrócił, już po jego twarzy pognaj, że nie przynosi dobrych wieści. Mimo to spytał:

— No i co? Zezwolił?

— Powiedział jeno, że skoro zmieni rozkazy, to będziem o tym powiadomieni...

Szturm istotnie wyznaczono na następny dzień, to znaczy na poniedziałek 13 sierpnia. Jeszcze w nocnych ciemnościach podciągnięto drabiny, rozstawiono „myszki” do ochrony przed pociskami, a także podtoczono „barana” do jedynej od tej strony bramy... Chorągwie już przed świtem stanęły w szykach i z pierwszym braskiem rozległ się głos trąby wzywającej do uderzenia.

Na ten sygnał wojsko z krzykiem rzuciło się ku murom i palisadom grodu. W wielu miejscach były w nich wylomy bądz wyrwy, toteż pchano się ku nim beżładnie, by co rychlej dopaść przeciwnika. Jednocześnie ruszyły „myszki”, a z nimi drabiny, ze skrzypieniem pełnych, drewnianych kół zaczęły pełznąć „baran” kolebiąc się na łańcuchach. Pchany dziesiątkami ramion z wolna zbliżał się ku bramie.

Posypały się nań kamienie i poleciały strzały, ale mocny dach chronił ciągnących go ludzi. Toteż dotarł szczęśliwie do ogromnych okutych wierzei i najpierw odchyłony do tyłu, a potem z nagłą puszczonej, uderzył z hukiem w grube bale bramy, która drżała od tych uderzeń w obłokach sypiącego się wapna.

Drabiny także dotarły już pod mury i uniesione ku górze wsparty się o blanki. obrońcy usiłowali je przewrócić bądź pchając włócznie, bądź zarzucając na nie haki umocowane do sznurów. Ale u dołu wspierane drągami krzepko dzierzonymi przez co mocniejszych pachołków nie dały się tak łatwo obalić. Od razu też rzucili się na nie śmiałowie i, unosząc nad głowy tarcze, pięli się szybko ku górze.

Sypały się bowiem na nich kamienie, chlustał wylewany ukrop, świstały wypuszczone strzały, więc niejedyn z napastników leciał z krzykiem w dół i z głuchym uderzeniem nieruchomiał na ziemi. Ale następni zajmowali opróżnione miejsca i uparcie zbliżali się do korony murów, gdzie wychyleni między blankami obrońcy nie przestawali zasypywać ich pociskami, spychać włócznie i łać wrzątek gotujący się w kotłach rozstawionych na murach.

Ale walka trwała nie tylko wokół drabin. Ku owym wyłomom w murach, których obrońcy nie nadczyli nocami zakładać belkami i zasypywać ziemią, biegły teraz inne grupy szturmujących i pięły się po stokach rumowisk, by dotrzeć do czarnych wnętrz, jakimi zionęły poczynione przez pociski wyrwy.

Nie wszędzie mogli się do nich dostać, więc skakali jedni drugim na plecy i ująwszy szablę w zęby wciągali się na rękach, nie bacząc na wymierzone w nich łuki i nastawione włócznie.

Zaciętość szturmowa była tak wielka, że mimo upartej obrony udało się wreszcie napastnikom wdrzeć bądź na mury, bądź w poczynione w nich wyłomy. Najłatwiej poszło tym, którzy znaleźli się przy powalonych basztach, bo tam pięć się po gruzowisku było łatwiej, a obrona z kolei była trudna. Toteż tędy pierwsi napastnicy dostali się do wnętrza grodu, torując sobie drogę ciosami mieczy i szabel.

Walczone już i na koronach murów. Niektórym co sprawniejszym, a może szczęśliwszym, których ominęły rzucone w gorączkowym pośpiechu kamienie, udało się dotrzeć między blanki. Teraz ciosami mieczy i zasłaniając się tarczą przed razami obrońców robili sobie nieco miejsca do walki dając drogę towarzyszą, którzy wskakiwali za nimi.

Machiny i bombardy zamilkły, toteż nad broniącym się grodem rozlegał się tylko wrzask walczących, wtórując szczękowi oręża.

Ci z napastników, którzy pierwsi dostali się do grodu gnając przed sobą już uciekających obrońców, biegli do pałaty, głównej siedziby zamkowej, i zdoławszy sforsować wejście, wdarli się do obszernej sieni. Tam jednak natknęli się na samego Jurszę, który zawrócił uciekających i wzmocniwszy ich własną drużyną, zagroził drogę Polakom.

I ten opór na nic by się jednak zdał, gdyby mieli oni dowódcę, który kierowałby szturmem. Wówczas pierwsi śmiałowie mogliby otrzymać wsparcie, rzucane rozkazy i okrzyki zachęty wzmogłyby ich zapał.

Czeladź zaś robiąc palisady i zwalając zasieki dałaby dostęp kolejnym oddziałom. Nikogo jednak takiego nie stało. Walczono luźnymi grupami, a nawet w pojedynkę, na miejsce rannych nikt nie podsyłał posiłków, napastnicy wiedli bój żywiołowo, każdy walczył tylko z tymi, którzy zastępowali mu drogę, a jeśli ich zabrakło, nie wiedział, gdzie ma się obrócić i komu dać wsparcie.

Gwałtowny opór, jaki stawili obrońcy zamkowego gmachu prowadzeni przez samego wodza, zatrzymał nacierających. Ogromną sien wypełnił łomot zadawanych razów, dźwięczały uderzające o siebie ostrza, odbijał się od ścian wrzask zapaśników o czerwonych, spotniałych z wysiłku obliczach i dziko błyszczących oczach.

Z wolna obrońcy, zachęceni przez swego dowódcę, zaczęli uzyskiwać przewagę i zdołali wyprzeć Polaków z pałaty, a potem, rąbiąc ich uparcie, oczyścić zamkowy majdan. Także i na murach początkowo przerażeni obrońcy, wzywani do wytrwania, przestali ustępować miejsca i stawiali coraz bardziej zażarty opór.

Z braku wodza, ze strony polskiej walką nikt nie kierował, przeto z minuty na minutę malała uzyskana przewaga. Początkowo zdawało się, że upadek grodu już jest nieuchronny i wnet znajdzie się w rękach oblegających. Jednak czas upływał i zamiast zacichać, walka wzmogła się jeszcze bardziej, ale już nie za przyczyną szturmujących. To załoga grodu z wolna opanowywała położenie, coraz silniej broniąc dostępu na mury i coraz skuteczniej wypierając tych, którzy się poza nie dostali.

Ostatecznie szturm został odparty. Jedynym zaś jego skutkiem byli parlamentariusze Jurszy, którzy przybyli wieczorem do króla, prosząc otrzydniowe zawieszenie broni oraz glejt dla wysłańców do Świdrygiełły z wezwaniem o pomoc. Jeśli jej w ciągu tych trzech dni nie otrzyma, przyrzekał zamek poddać.

Sądzone powszechnie, że król na to nie przystanie, gdyż poczytano tę prośbę za oczywisty podstęp. Jagiełło jednak, jak zawsze z tym przeciwnikiem skłonny do porozumienia, zgody udzielił, co stało się powodem kolejnych urągania rycerstwa.

Kiedy walczone na murach i szturm był jeszcze w pełni, oznajmiono królowi, że przybyło poselstwo od Świdrygiełły i prosi o posłuchanie. Jagiełło, mimo zaniepokojenia przebiegiem walki, świadom ważności tego zdarzenia, przyjął wysłańców bez większej zwłoki, bo jeszcze tego samego dnia. Stawili się więc przed nim posłowie: książę Andruszko Niemirowicz i Rohoża z listami od Wielkiego Księcia, a także innych litewskich książąt i bojarów, i proponowali, by obie strony wyznaczyły po dwunastu pełnomocników dla rozstrzygnięcia sporu. Po wysłuchaniu tej propozycji, która wydała mu się godna uwagi, Jagiełło oświadczył, że gotów jest ją rozpatrzyć, wszakże odpowiedzi udzieli po naradzie ze swymi panami.

Zaraz też ich wezwał i po dłuższej naradzie postanowiono propozycję przyjąć, z tym wszakże, że zjazd miał się odbyć w krótszym terminie niż chciał tego Świdrygiełło, bo w najbliższy piątek, 17 sierpnia, pełnomocnicy Wielkiego Kniazia mieli przybyć na rozmowy do królewskiego obozu. Do

tego zaś dnia miało trwać zawieszenie broni, na co wysłańcy przystali i, otrzymawszy glejty na przyjazd przyszłych posłów, wyjechali z obozu.

Wszakże Jursza nie dotrzymał ani tego zawieszenia broni, ani proponowanego przez siebie, potwierdzając obawy nieufnych panów z Rady, że pragnął tylko zyskać na czasie. Jakoż istotnie już na drugi dzień, kiedy jako tako naprawił mury, w urągliwych słowach zawiadomił króla, że zawieszenie broni już mu zbędne, a król może czynić co jego wola, on bowiem zamku w żadnym wypadku nie podda. A nawet nie tylko na tym nie poprzestał, ale nie szanując uzgodnionego z posłami Świdrygiełły chwilowego rozejmu jeszcze przed jego upływem, bo w dniu 17 sierpnia, podjął walkę zaczepną dokonując wypadu na polski obóz.

Tego właśnie dnia Jaksza zasiadł do partii szachów z panem Holeszką. Spotkał go dwa dni wcześniej i chętnie przyjął zaproszenie, gdyż czasu, jak i wielu królewskich dworzan, miał wiele.

Wystawili więc połowy stolik przed namiot skryty w cieniu wielkiego dębu i, przysiadłszy na uciętych pieńkach, pochyłili się nad szachownicą.

Jak zwykle Holeszko, nie lubiąc milczeć zbyt długo, wkrótce odezwał się:

— Sędziwy nasz pan i już chyba do wojaczki niezbyt zdatny... — zauważył przesuając figurę.

— Dlaczego tak mniemacie?

— Myślę o tym nieudanym szturmie. Dziwi mnie, dlaczego nie wyznaczył wodza, skoro sam niezdolny walką kierować? — mruknął nie unosząc głowy znad szachownicy, a ponieważ Jaksza milczał, dorzucił:

— Co o tym sądzicie?

— Trudno mi oszukać najjaśniejszego pana... — odpowiedział ostrożnie Rudy nie wiedząc, do czego jego partner zmierza.

— Jam do tego nawykły, bo zwykle to czynię — uśmiechnął się Holeszko.

— Gdyż to wasz przywilej. Ale dlatego musicie lepiej wszystko dostrzegać niżli ja, któren w kancelarii siedzi.

— Toteż dostrzegam, choć i z kancelarii wiele widać...

— Co macie na myśli? — Jaksza na chwilę przerwał grę i spojrzął na błazna.

Ten jednak swoim zwyczajem/wiódt rozmowę nie patrząc na niego.

— A to, że i inne poczynania króla jegomości nie tylko mnie wydają się wręcz zdradliwe...

— Śmiało to powiedziane! — zachowując nadal pozory obruszył się Rudy.

Ale chyba prawdziwie. Zwlekał przecież z marszem dając czas Świdrygielle na zaopatrzenie grodów, a głównie Łucka, który przecież zamierzał zdobywać. Ze Świdrygiełłą znosił się poza plecami Rady, o czym sam się przekonałem. Teraz zaś szturmie nie obmyślił jak należy, a na wyraźne podstępą prośbę Jurszy przystał od razu, pozwoliwszy, by dudka z niego zrobił. O poprzednich zaś poczynaniach już nie wspominając.

Hm... — mruknął Jaksza — może i jest słuszność w tym, co mówicie, ale przecież ma swoje ku temu przyczyny, których za zdradliwe uznać trudno. Boleje nad bratobójczą walką, jaką musi prowadzić, niszczeniem kraju, z którym jako władca Polski zawarł unię, z którym jest także jego dynastycznym dziedzictwem. Toteż musi go napawać bólem przelewanie krwi przez bratnie, złączone na trwałe narody, a do tego widzi, że tańczy, jak mu gra niemiecki cesarz!

— Ale osiągając działania, swą ustępliwością i ciągłym wahaniem daje tym większy upust tej krwi! Gdyby szybko i skutecznie uderzył, już byśmy jej nie tracili, nie byłoby najazdów na koronne ziemie, palonych wzajemnie miast i wsi! — rzucił Holeszko z przejęciem, które zaskoczyło Jaksę, a także kazało zastanowić się, co było powodem oburzenia i jak dalece jest ono szczere. Przyszło mu też na myśl, czy królewski błazen wypowiadając się tak otwarcie nie chciał przede wszystkim usłyszeć jego odpowiedzi.

Jednak na dalsze zastanawianie się nad tym nie miał już czasu, gdyż raptem z drugiego brzegu rzeki, gdzie ciągnęły się linie oblężniczych wojsk i stały ich namioty, doleciał raptowny gwar okrzyków, nawoływań i szczęk broni.

Zaskoczeni poderwali się na nogi i obróciwszy w tamtą stronę, patrzyli, co być mogło tego przyczyną.

Znajdowali się na wzniesieniu, więc mogli objąć wzrokiem cały rozciągający się przed nimi obraz.

Z grodu wypadł duży oddział i skacząc przez zgliszcza biegł ku polskim szanom. Pierwsi napastnicy dopadli ich właśnie. Wspinając się na okopy i krzyżując miecze spychali przeważającą liczbę zaskoczonych obrońców.

Rzucili się im na pomoc puszarce i czeladź obsługująca maszyny, ale i ona wnet musiała ustąpić w ucieczkę szukając ratunku. Część napastników podkładała pod maszyny słomę i pośpiesznie wzniecała ogień, reszta zaś ruszała pędem ku namiotom błyskając ostrzami mieczy i grotami włóczni.

Ale bitewny zgiełk postawił już na nogi ich mieszkańców. Porwawszy za broń, jaką kto zdołał złapać w rękę, niektórzy tylko w koszulach i hajdawerach, ruszyli na napastników. Jednak i oni nie zdołali uporać się z zażarcie walczącym wrogiem, toteż sytuacja stawała się krytyczna. Ale na odgłos potyczki pognali ku zagrożonym towarzyszom i inni, dalek kwatrujący rycerze, wkrótce więc pod ich ciosami zaczęli coraz gęściej padać litewscy wojowie i niezadługo obraz walki uległ zmianie. Szybko ostudzeni w swym bitewnym zapale stanęli w miejscu i raczej już tylko się bronili i wkrótce nie mogąc sprostać przeciwnikowi, zawrócili ku murom. Wszakże rozżarci napaścią rycerze gnali za nimi, raz po raz dosięgając ciosem pleców lub głowy uciekających.

Wkrótce już tylko niedobitki schroniły się za zbawczą furtą, a drogę ich ucieczki znaczyły liczne ciała zabitych i rannych. Zanim zmaganie dobiegło końca, obsługa machin pogasiła rozniecone ognie, które już językami płomieni zaczęły lizać belki. Wprawdzie tu i ówdzie biegly jeszcze w górę strużki białego dymu z zalewanej wodą słomy, ale i te wnet zniknęły i z wolna zaczął wracać spokój wśród zagrożonych okopów.

— No, powiedz, waćpan, czy wart jest pobłażliwości przeciwnik, co zawartych rozejmów nie szanuje? — zgryźliwie odezwał się Holeszko, kiedy wracali na miejsce przerwanej gry. — Toć zawieszenie broni kończy się dopiero o północy! Gadaniem niczego z nim nie osiągniemy, jeno siła oręża do posłuchu go zmusi!

— Widzę, że waszmości bojowego ducha nie braknie — odparł kpiąco Rudy przysiadając na kloku.

— Bardziej żem w niego zasobny niżli waćpan! — parsknął Holeszko.

— Widać żeś jeno do papierów nawykły i pismami jak Jagiełło chcesz wojować!

Nie wznowili gry, jeszcze podnieceni oglądając bitwę. Holeszko w dalszym ciągu gniewnie komentował królewską słabość i brak zdecydowania w prowadzeniu walki. Jaksza zaś, podtrzymując rozmowę, nie przestawał zastanawiać się, do jakiego stopnia królewski błazen jest szczery? Jeśli zaś nie, co ma na celu głosząc swe wojownicze poglądy?

O zmroku zaś, kiedy, jak najczęściej się zdarzało, wieczerzał razem z Czarnym, przybył pacholek od proboszcza z wieścią, że jego wielebność chce z nimi mówić.

Szybko więc zakończyli posiłek i wkrótce, na przyzwalające wezwanie, odsunąwszy namiotową płachtę, stanęli przed proboszczem.

Ksiądz Andrzej siedział przy małym, polowym stoliku, na którym stała latarnia jako tako oświetlając wnętrze. Kiedy przysiedli, odezwał się z chmurną twarzą:

— Nadeszło dziś nieco wieści, o których chcę mówić. Jedna, która mniej was dotyczy, to utrata Ratna. Dwa dni temu padło, zdradliwie oddane Świdrygielle przez ruską załogę.

— Podbuntował ją zapewne przez zemstę na kniazu Kierdejowiczu, boć to on ma go w tenucie — zauważył Czarny.

— Istotnie, zapewne taka była przyczyna — zgodził się proboszcz.

— Wszakże strata to przejściowa i nieznaczna, bo gród nie uległ zniszczeniu. Mam jednak i ważniejszą wiadomość, dla której was wezwałem. Oto litewscy rabusie wdarli się na ziemię chełmską. Z jedną bandą, liczącą do pół tysiąca zbrojnych, uporał się burgrabia Ciołek, ale ponoć grasuje jeszcze inna, której bezbronna ludność oporu dać nie może, toteż rabują i palą wszystko, co napotkają po drodze...

Na tę złowieszczą wieść obaj rycerze spojrzeli w milczeniu po sobie. Zaległą ciszę przerwał Jaksza:

— Na Boga, toć mogą dopaść i Czepiel!

— Dlatego was powiadomiłem.

— Musimy gnać z ochroną, ale skąd ją brać?! A i jak samym opuścić szeregi?!

— Miłościwego pana będziemy o permisję prosić! — zdecydował Czarny. — A ludzi będziemy zbierać już na miejscu! Szczęściem Czepiele nieco obwarowałem!

— O permisję możesz się nie martwić, bo tej wam na opuszczenie obozu udzielam. A o zbrojnych chyba lepiej tu się zatroszczyć, choć łatwe to nie będzie, tym bardziej że każda godzina się liczy.

Una rozłożyła na stole zwój płótna i cięła go na równe kawałki, z przeznaczeniem na ręczniki. Kiedy się z tym uporała, właśnie sięgała po nici i igłę, by je obrębić, kiedy do komnaty weszła Bogna.

— Dobrze, że jesteś — odezwała się do niej — pomożesz mi w robocie. Gdzie panny?

— Poszły na grzyby...

— Masz tu igły i nici, będziesz obrębiać wraz ze mną. Same poszły w las? Nie daj Boże natkną się na rysia!

— Poszedł z nimi Dzieweczka — uspokoiła ją służebna.

— Ten do obrony starczy... -z ulgą stwierdziła Una i, już spokojniejsza, zabrała się do szycia. Zajęta robotą ani się obejrzała jak słoneczny blask zaczął stawać się coraz bardziej przygaszony, pomarańczowy, a cienie w sadzie zaczęły gęstnieć. Zaniepokojona tak długą nieobecnością dziewcząt szła właśnie do Zyty, by naradzić się, czy nie słać konnych pachołków na poszukiwania, kiedy usłyszała ich głosy przed domem. Przekomarzały się o coś z Dzieweczką, mieszając swoje sopraniki z basem towarzysza.

Una zawróciła i wyszła z surową twarzą przed dom.

— Dopiero teraz wracacie?! — rzuciła gniewnie. — To nie widzieliście, że wieczór się zbliża i będę niespokojna?!

— Wybacz, ciociu! — zawołała Aldona unosząc koszyk pełen grzybów. — Ale trafiliśmy na bogate miejsce, nie sposób było odejść!

— Że też ich nie pognąłeś! — Una spojrzała z wyrzutem na Dzieweczkę. — Takie chłopisko, a daje się dzierlatkom za nos wodzić! — dorzuciła już bez gniewu.

— Poganiał nas, ciociu — wtrąciła Olga, która w ślad za Aldoną tak nazywała Unę — ale żal było zostawić tak piękne sztuki. — I ona pochwaliła się swoim koszykiem, istotnie wypełnionym brązowymi kapeluszami dorodnych borowików.

— Ostawcie kosze i idźcie się ogarnąć, bo wnet pora na wieczerzę. Grzyby Bogna zanieś do kuchni! — poleciła dziewczętom, poczym zwróciła się do Dzieweczki:

— Odbędzie się bez przygód? Dzików tam pełno, a zwłaszcza bałam się rysia...

Dzieweczka potrząsnął trzymanym w ręku oszczepem.

— Bez broni w las nie chodzę, a i łuk miałem także! — rzucił chętnie, ale zaraz dodał już markotnie ścisłym głosem: — Wszakże niedobre słyzałem wieści...

— Jakie, mówże szybciej! — ponagliła Una, gdyż Dzieweczka jak zwykle mówił powolnie.

— Ponoć litewskie bandy przeszły Bug i teraz napadły na Matcze. Mówili, że majątność spalili i do cna splądrowali! Wiele ludzi pomordowali i wiele, zwłaszcza niewiast, w jasyr wzięli...

Matcze leżały nie dalej jak kilka mil od Czepiel, toteż Una poczuła, jak uginają się pod nią nogi.

— Skądże to wiesz?! Może to jeno ludzki strach taką wieść zrodził? W czasie wojny zwykła to rzecz!

— Nie wiem, jaśnie pani... — Dzieweczka wzruszył potężnymi ramionami. — Wracały ze Strzelc wozy i chłopci gadali...

— Idź, wołaj pana Kleczkowskiego! — poleciała przejęta usłyszaną wieścią, gdyż mimo że mogła być nieprawdziwa, wymagała rozważenia.

— A także Jurgę! — dorzuciła już za odchodzącym Dzieweczką.

Kiedy wezwani stawili się przed nią, spytała od razu:

— Słyszeliście już? Mówił wam Dzieweczka?!

— Mówił, jaśnie pani — potwierdził Jurga.

— Może to jeno aby gadanie? — z wahaniem rzucił zarządca. Matcze były dobrze warowne, bo siedząc nad litewską granicą pan Łaska był ostrożny... Choćby go więc napadli, zaskoczyć się nie dał i na pewno się obronił. Starczyło, że przyszło do walki z byle kupą zbójów, a gadają już o setkach napastników — próbował uspokoić Unę.

A ty co o tym sądzisz? — zwróciła się do Jurgi.

— Ponoć już parokrotnie przechodzili Bug. Musieli zatem zebrać się w większą gromadę, a wtedy ostrożność Łaski nie na wiele mogła się zdać.

Rozmawiali na ganku domu. W drzwiach ukazała się Zyta i widząc rozmawiających, zagadnęła:

— Mówicie o Matczach? Słyszałam od dziewcząt, że ponoć splądrowane i spalone! Czyżby to była prawda?

— Tak mówili Dzieweczce chłopci, których spotkali na drodze — wyjaśniła Una.

— Wieści lekceważyć nie można, toteż należy gotować się do obrony — stwierdziła spokojnie Zyta.

— Właśnie o tym chciałam mówić. Co zamierzacie? — Una zwróciła się do mężczyzn.

Przygryzając wąsa Kleczkowski spojrzał z wyraźną rozterką na Jurgę, jakby jemu ustępując głosu. Ten odezwał się bez wahania.

— Zaraz wyszlę konnego do Strzelc — niech zasięgnie tam języka, chociażby po nocy, a także rozstawię czaty od tamtej strony. Przy palisadzie staną strażę. Bramę trzeba będzie balami wzmocnić, ale to już za dnia, bo teraz słońce wnet zajdzie. Resztę przygotować do obrony także wnet zarządzę i przyjdzie czekać na to, co Bóg nam przeznaczył...

— Nawet jeśli noc minie spokojnie, ludzi rankiem nie wysłałabym w pole... — zauważyła Zyta.

Una spojrzała pytająco na pana Kleczkowskiego. Ten widząc to spojrzenie, pośpieszył z odpowiedzią:

— Podorywamy teraz ścierniska, a do uprzątnięcia z pola mało co już zostało. Chyba więc przerwę robotę...

— Waszmość ją przerwiesz! — zdecydowała Una. — Wsie należy także ostrzec przed napadem! Ale muszą radzić sobie sami, bo miejsca tu dla nich nie stanie!

— Wezwę jednak ochotnych, by przybyli do pomocy w obronie, jeśli przyjdzie do walki na palisadach — oświadczył Jurga.

— Wszakże ich nie przymuszaj! Mężczyźni będą i tam potrzebni!

— Teraz zaś oddajmy się boskiej opiece i chodźmy o nią błagać! — zarządziła Zyta. — Niech waszmościowie ruszą spełniać, cośmy uradzili, a nam, niewiastom, pozostaje tylko modlić się do Najświętszej Pani, by nie odmówiła pomocy...

— Tak, tylko Ona może nas uratować — zgodziła się Una. — Może choć noc minie spokojnie...

Ta nadzieja jednak się nie spełniła. Po wieczery obie kobiety wysłały dziewczęta spać, a same, wiedząc, że nie usną, pozostały przy stole i rozmową wypełniały nocne godziny.

Krótko po północy do jadalni wszedł Jurga. Już po jego twarzy poznali, że nie przynosi dobrych wieści. Jakoż już od progu oznajmił:

— Wrócił konny zwiadowca...

— Jakie przywiózł wieści?! — rzuciły niewiasty nieomal razem.

— Złe. Zresztą nie ma potrzeby ich powtarzać. Wyjdźcie, wielmożne panie, i same obaczcie...

Poderwały się zatem od stołu i wybiegły na ganek. Jurga stanął za ich plecami, kiedy zatrzymały się z przerażeniem patrząc w czerń nocy.

Dom stał na lekkim wzniesieniu, toteż rozciągał się stąd rozległy widok na najbliższą okolicę. Teraz wszystko pokrywała ciemność, ponad którą nieco jaśniejsza kopała nieba mrugała tysiącami gwiazd. Ale pod nią ta ciemność nie była zupełna, gdyż oświetlała ją łuna dalekiego pożaru. Pulsowała purpurą, w której co i raz rozbłyskiwały pomarańczowe blaski, zapewne od wybuchów płomieni. Na tle tej drgającej, zdawało się falującej czerwieni, czarną, postrzępioną linią rysowały się i korony drzew, a wyżej jasność pożogi barwiła rdzawo kłębiące nad nią chmury gęstego dymu.

— Straszne... — szepnęła ze zgrozą Una — gdzie się pali?

— W tej stronie leżą Strzelce — objaśnił Jurga. — Nie dalej jak o milę, toteż pożar dobrze widać...

— A więc są już tak blisko?

— Właśnie, wielmożna pani. Ale nawet gdyby kierowali się ku nam, to zajęci rabunkiem i za dnia będą się tam zabawiać. Sądzę więc, że będziemy jeszcze mieli czas na dokończenie przygotowań do obrony...

— Oby była skuteczna... — westchnęła z troską w głosie Zyta.

— Uczynimy, co do nas należy — odpowiedział z powagą pocztowy.

— Chodźmy do domu! Noc zimna, a niczego więcej nie ujrzymy — zaproponowała Una.

— Radzę też wielmożnym paniom spocząć, bo siły będą potrzebne...

— Masz rację, Jurga. Spróbuję usnąć, gdyż ufam twojej rozwadze. Pamiętaj, że teraz na twojej głowie spoczywa los Czepiel.

— Wiem, wielmożna pani. Toteż żyw ich tu nie wpuszczę...

Jednak nadzieja na spoczynek okazała się zawodna, gdyż jeszcze przed świtem nadjechał poczet konnych oraz parę wozów ze zziąjanymi zaprzęgami i począł dobijać się do wrót, okrzykując strażę, że Dobiesław ze Strzelc prosi o schronienie.

Wnet otwarto wierzeje i przybyli wjechali w obejście. Okazało się, że prócz pana ze Strzelc i jego rodziny jest również pan Łaska z Matczy.

Schronił się w Strzelcach, ale napadnięty powtórnie, musiał uciekać dalej, już w towarzystwie swego dotychczasowego opiekuna.

Una wraz z Zytą obudziły służbę i kazały przygotować dla przybyłych gościnne izby, do których wnet udały się roztrzęsione i mało z przerażenia przytomne niewiasty, natomiast mężczyźni pozostali jeszcze w stołowej, by radzić, co dalej czynić. W naradzie tej wzięły udział obie gospodynie i przywołany przez nie Jurga.

Pierwszy odezwał się Dobiesław ze Strzelc, siwy już, starszy wiekiem szlachcic. W osmalonej dymami twarzy, gdyż jeszcze się nie obmył, oczy świeciły mu białkami niczym u Cygana.

— Radzić nie widzę potrzeby — oświadczył od razu. — Wielcem wdzięczny pani dobrodziejce — zwrócił się do Uny — za danie schronienia, ale długo z niego korzystać nie zamierzam. Tyle jeno, aby konie nieco odetchnęły, i wnet ruszam dalej. Dość już mi jednej walki i jednego pożaru, by tu jeszcze raz je oglądać!

— Dokąd waćpan chcesz uciekać? Mogą was doścignąć, a wtedy ratunku już nie będzie! — zdecydowanie rzuciła Una.

— Szczęściem konnych tam nie widziałem. Dzika tłuszcza jeno, piesza i lichy zbrojna, ale żadna zdobyczy i krwi! Do zamku w Sielcu dotrę da Bóg szczęśliwie, tam będę już bezpieczny!

— Szczęściem, że waści udało się zbiec...

— Bom za poradę pana Łaski od razu zaprzęgi kazał szykować i swoje niewiasty na wozy sadzać. A potem Bóg szczęśliwie wymknąć się nam obu pozwolił, bo pana Łaski nieszczęście wprzódy dosięgło i u mnie schronienia szukał.

— Ja wszakże dalej nie zamierzam uciekać! — nieomal krzyknął Łaska, mały, szczupły i ruchliwy człeczyna, ale o ostrym spojrzeniu i zawziętości w twarzy. — Jeśli dobrodziejka zezwolisz, to tu ostanę, i jeśli nadciągną, jeszcze raz się z nimi zmierzę! Może da Bóg szczęście i utłukę paru tych psubratów, co mnie pozbawili majątności!

— Ostawaj waść, a jeśli masz i paru ludzi przy sobie, to tym lepiej, bo teraz każdy się przyda.

— A mam, dobrodziejko, mam, lecz jeno paru obiboków, ale do bitki skorych. Był i syn, ale teraz pod Łuckiem wojuje...

— Dwóch i ja waszmość pani mogę ostawić, niech wspomogą was w potrzebie, bo mnie w razie napaści i tak nie ochronią! Ja zaś do miecza już niezdatny, wnet tchu w gardle brakuje...

— Zbrojni jako tako? — wtrącił się Jurga.

— Jakże by inaczej? — oburzył się pan Łaska. — Z potyczki ich wyrwałem, by mieć kogoś przy sobie!

Jakoż istotnie z pierwszym słońcem pan Dobiesław opuścił Czepiele i poganiając zaprzęgi ruszył w kierunku odległego o kilka mil Sielca, gdzie stał murowany warowny zamek, tam więc zamierzał się dostać i przeczekać napad. Spodziewał się bowiem, że pan Ciołek wnet upora się z tą bandą, skoro już dał radę i silniejszej.

Wkrótce potem zaczęli nadciągać i ochotnicy, których Jurga wezwał ze wsi. Nie było ich wielu, ale około południa miał ich z dziesięciu, co wraz z pozostałymi ludźmi sąsiadów stanowiło spore wzmocnienie jego własnej załogi, jaką stanowiła dworska czeladź, której rozdał łuki, miecze i inną broń z dworskiej zbrojowni. Jednocześnie polecił Włodkowi, by zajął się zaopatrzeniem obu taraśnic w armatę⁴⁰, pościągął na palisady wiele się da kamieni i ustawił beczki ze smołą, a także przygotował pochodnie na wypadek nocnej napaści.

Tak zbiegł czas do obiadowej pory. Ledwie zdążyli uporać się z posiłkiem, kiedy nadleciał jeździec konnej czaty, którą wysłał na drogę, i z wrzaskiem: „Idą! Idą!” dopadł bocznej furty.

Na znak Jurgi leśniczy, który pozostał także we dworze, uniósł do ust róg i otrąbił trwogę. Zaraz z gospodarskich budynków wybiegli pacholcy i rzucili się ku palisadom. Każdy na swoje miejsce, które znali z ćwiczeń, jakie przez zimę odbywali z obu pocztowymi. Zapanaowało ogólne podniecenie, ale też i zimny strach skuł niejedno serce.

Una z Zytą z boku, także wystraszone, pobiegły ku bramie i wspiąwszy się na sambor, spojrzwały na rozciągające się przed nimi pola.

Czepiele leżały w ciasnym łuku Wełnianki, na wzniesieniu, które chroniło dwór przed wiosennymi powodziąmi. Od strony rzeki płynącej u stóp tego wzgórza ciągnął się pas grząskich bagien i szuwarów — dostęp więc z tej strony był chroniony przez naturę, toteż ciągnął się tu półkołem tylko ziemny wał. Natomiast takiż wał, ale z mocną palisadą na szczycie, chronił dwór od

40 — amunicję

strony pół. Z północnej strony leżało za palisadą ogrodzone pastwisko dla końskiej młodzieży, z południowej rozciągał się sad i warzywnik.

Prowadziły do nich boczne furty, które Jurga przykazał dodatkowo zabezpieczyć.

Do obrony miał więc trzy boki frontowej palisady — boczne, biegnące skośnie do środkowej, gdzie znajdowała się brama wjazdowa. Na styku boków wznosiły się dwie drewniane wieże, skąd wysuwały swe paszcze taraśnice, zakupione już przez obecnego właściciela majątności.

Drogą, która okalała łukiem łagodną z tej strony pochyłość wzgórza i ginęła w pobliskim lesie, posuwał się tłum pieszych. Szli beztadnie, z pokrzykiwaniem i potrząsaniem bronią unoszoną nad głowy, prowadzeni przez kilku konnych. Za nimi ciągnęło parę wozów wyładowanych drabinami.

— Poznają swoje konie... — mruknął pan Łaska, który przyłączył się do obu kobiet. — A i wozy zapewne też moje — dorzucił ze złością.

— Albo ze Strzelc... — uśmiechnął się pod wąsem Jurga.

— Bies z nimi tańcował! — parsknął Łaska. — Da Bóg, odbiorę co moje, a i odpłacę za krzywdę!

— Wiele ich...? — Una z troską zwróciła się do Jurgi.

— Będzie więcej niż dwustu — odpowiedział ten spokojnie.

— Zdołamy się obronić?

— Nie bójcie się, pani! Jak będę wiedział, że sprawy źle idą, będziecie uciekać. Bocznią furtę wiodącą na sad kazałem mieć gotową do otwarcia. Wnet tam postawię osiodłane wierzchowce. Toteż miejcie co cenniejszego pod ręką.

— Oby do tego nie przyszło. — westchnęła Una. — Nie wiadomo, czy zdołamy się przemknąć, a potem i ująć pogoni, gdyż oni też mają konnych!

Jurga już na to nie odpowiedział, bo i on widział, w jak trudnym znaleźli się położeniu. Siły napastników były większe niż przypuszczał, toteż ogarnęła go obawa, czy ze swą szczupłą załogą zdoła się obronić. Jednak zamiast rozwiewać wątpliwości kobiet, poradził Unie:

— Zejdźcie teraz, pani, z sambora i wracajcie do domu. Tam zapewne służba w popłochu, należy wziąć ją w karby. Trzeba nanosić wody, bo wnet zapewne nadlecą strzały z ogniem. Przykażcie także pacholikom leżeć na dach, niech dają baczenie i wnet je gaszą, jeśli uderzą w poszycie.

Obie kobiety, posłuszne temu żądaniu, opuściły pomost i ruszyły śpiesznie ku domowi.

Tymczasem napastnicy zbliżyli się już do stóp wzniesienia i zaczęli rozciągać się w półkole. Słychać już było ich krzyki i wołania bądź groźące obrońcom, bądź urągliwie żądające przystania niewiast. Jakiś śmiałek wyskoczył w pewnej chwili z gromady i biegnąc po stoku wrzeszczał:

— Hej, Lachy, zdajcie się po dobremu! Niewiastom dogodzimy jak należy!

Stojący obok Jurgi Łaska zerwał z pleców łuk, założył strzałę i chwilę trzymając broń przy oku, puścił cięciwę. W następnej chwili krzyczący poderwał ramiona w górę i zwałił się na ziemię.

Jednocześnie Jurga ocenił, że napastnicy nieopatrznie zbliżyli się zbyt blisko ku palisadzie, więc krzyknął na puszkarzy. Ci widać oczekiwali tego rozkazu i mieli działa nacelowane, bo natychmiast przyłożyli do nich lonty.

Taraśnice naładowane siekańcami buchnęły ogniem, a stojący tłum nagle jakby się zachwiał, zakłębił, a potem z wraskiem rzucił do ucieczki, pozostawiając kilka rozciągniętych na ziemi ciał.

Napastnicy opanowali się jednak wkrótce i dopiero teraz zatrzymali w bezpiecznej odległości. Ale widać dana nauuczka nie uśmierzyła ich żądzy mordy, a raczej podnieciła do odpłaty. Zaczęli bowiem przywoływać ku sobie wozy, a kiedy te nadjechały, rzucili się ku drabinom.

Wnet je rozchwytali i ruszyli ku palisadzie. Stok wzgórze, choć łagodny, zmuszał jednak do wysiłku i hamował prędkość biegu. Toteż był czas ładować działa i razić nadciągających drabów. Poleciały też dziesiątki strzał wspierając prochowy ogień.

Toteż natarcie nie osiągnąwszy palisady załamało się. Rozbite szeregi rozpierzchnęły się i starały się ująć spod ostrzału.

Wszakże, widać zachęceni przez dowódców, zbóje znów ruszyli do szturm, ale teraz też nie oparli się morderczym salwom działowych pocisków i zawrócili, pozostawiając zabitych i rannych, gdyż niejedna z leżących na stoku postaci krzykiem daremnie wzywała pomocy.

Słońce schylało się już ku zachodowi, więc obrońcy ze zdumieniem i radością ujrzeli, jak, zawróciwszy wozy, napastnicy zbili się w gromadę i ruszyli w stronę lasu.

— Ejże, czyżby mieli dość?! — wykrzyknął Łaska do przyglądającego się temu widokowi Jurgi.

— Tak skoro nas nie poniechają — mruknął ten, z troską w głosie. — Widać mają gdzieś w pobliżu obóz, a rankiem znów nadciągają.

— Obóz? — zdziwił się szlachcic. — Raczej może uszli w las, ale jeno na nocleg?

— Myślę, że mają i obóz, bo gdzie by podzieli bydło, jeńców i zrabowane dotąd dobra?

— Tak, masz waszmość słuszność, o tym nie pomyślałem! — przyznał Łaska, po czym zaraz dorzucił z uznaniem:

— Zbawiły nas te taraśnice! Gdybym miał takie, może i zdołałbym się obronić!

Pan Hubert to przezorny rycerz, wiedział, że ten ekspans mu się optaci.

— Obyż istotnie się optacił! — westchnął Łaska. — Nie łapmy ryb przed niewodem!

— Ano, jutro obaczymy, co będzie, bo chyba nocą nie powrócą! Ruszę teraz wyznaczyć strażę, gdyż nie ma co dłużej tu ostawać... — stwierdził Jurga kierując się ku schodom.

Noc istotnie minęła spokojnie, choć bezsennie, bo mało kto miał ochotę na spoczynek. Zebrane w czeladnej dziewczki ze strachem opowiadały sobie różne zasłyszane opowieści o napadach, jedynie paru pacholików przysnęło beztrąsko, natomiast kobiety i Łaska oraz wystraszony pan Kleczkowski z małżonką zebrali się w jadalni, rozważając szanse dalszej obrony.

Okolo północy Una opuściła zebranych i wyszła na podwórzec, by odszukać Jurgę i dowiedzieć się, jakiej jest myśli.

Spotkała go wkrótce i z nim razem ruszyła ku palisadzie, chcąc z jej pomostu rozejrzeć się po okolicy.

Noc była ciepła i jasna, bo na bezchmurnym niebie migotały roje gwiazd, a sierp księżycy unosił się nad czarną ścianą lasu. Cicho było i spokojnie jakby nie istniała przyczajona banda rabusi, nie groziły nikąd śmierć i gwałt. Tylko znad szuwarów dochodziły od czasu do czasu szmery i szelesty, rozlegało się pokrzykiwanie jakiegoś nocnego ptaka lub pluśnięcie wody.

Wszakże w tym nastroju pozornego spokoju zdziwiła Unę różowa, nikła jasność unosząca się ponad linią pobliskiego lasu.

— Czyżby znów jakiś pożar? — zagadnęła Jurgę. — Wszakże chyba daleki, bo ledwie widoczny...

— To nie pożar, miłościwa pani, jeno odbłask obozowych ognisk naszych gości...

— Stanęli tam na nocleg?

— Zapewne na owej polanie, co leży w pobliżu rzeki.

— A więc Łaska miał słuszność. Czeka nas za dnia dalsza walka?

— I to chyba już o świcie.

Jurga o tyle omylił się w swoich przewidywaniach, że nie o świcie, a dopiero późnym rankiem ujrzeli wyłaniającą się z lasu tłum zbrojnych. Szli bez pośpiechu, beładną gromadą, połykując w słońcu grotami oszczepów, ostrzami wideł i kos osadzonych pionowo na krótkich trzonkach. Odległość dzieląca ich od palisady była zbyt duża, by mogły ich dosięgnąć działa, toteż obie taraśnice milczały, ale puszkarze czekali w napięciu z zapalonymi lontownicami.

Ku zdziwieniu Jurgi maszerujący tłum zaczął się rozciągać, wydłużać w szereg, rozległy się pokrzykiwania i jakieś rozkazy, których na palisadach nie można było dosłyszeć, i coraz cieńszy szereg zaczął zataczać łuk. Wkrótce objął wszystkie trzy boki palisady i poczęł z kolei zbijać się w małe oddziały, każdy z drabiną na ramionach.

Jurga od razu zorientował się w zamiarze przeciwników i ogarnęło go przerażenie, gdyż uświadomił sobie, że owa tłuszcza ma przywódcę z głową na karku. Umiał po wczorajszych stratach obmyślić nowy sposób walki, i to taki, który groził obłożonym nieuchronną zgubą. Taraśnice traciły bowiem obecnie swą skuteczność i było ich za mało, by odeprzeć tak prowadzony szturm.

Toteż ze zgrozą patrzył, jak owe oddziały, ujęwszy drabiny, ruszyły ku palisadzie. Nie było czasu do stracenia, więc rzucił z determinacją rozkazy stojącym przy nim łasce i Włodkowi:

— Bierz waszmość część ludzi i bacz na prawy bok, ty zaś, Włodek, bierz komendę nad lewym! I szyc z łuków spokojnie dopóki się da, a potem mieć włócznie i miecze pod ręką! Ja ostanę tu, nad wrotami!

Kiedy obaj rozbiegli się zagarniając ludzi, krzyknął z kolei ku puszkarzom:

— Dobrze mierzyć, obiboki! Brać po kolei owe oddziały, a i zniszczyć wiele zdżycie!

Wkrótce grupki atakujących zbliżyły się na tyle, że zagrzmiały taraśnice, najpierw jedna, a zaraz po niej druga. Strzały były celne, bo nie darmo przez całą zimę praktykowali, jak przechylać działa, by zmienić ich zasięg nie żałując ni prochów, ni pocisków. Sprawnie też przetarli lufy i założyli nowe ładunki, oddając kolejne strzały.

Wszakże po kilku salwach napastnicy, rzuciwszy się biegiem, byli już tak blisko, że bardziej nachylić luf już nie było można i ostatnie pół staj przebyli nie rażeni, mało co sobie robiąc ze strzał, którymi zasypywano ich z palisad.

Jakoż dotarli do nich i przystawivszy do wałów drabiny, sprawnie pięli się po nich.

Jurga widząc, że nadchodzi bliski koniec walki, bo przewaga napastników była zbyt znaczna, wrzasnął na jednego z pachołków:

— Bieżaj do pałacu! Kobiety do koni! Niech zarządca nimi pokieruje!

Wierzchowce już stały pod opieką stojących chłopców przy furcie wiodącej do sadu, bo uciekając tamtędy najdłużej mogły się ukryć przed oczami zbirów.

Wkrótce nad ostrymi zębami palisady pojawiły się pierwsze twarze napastników. Z wraskiem bodli włóczniami najbliższych obrońców, usiłując ich odepchnąć i wedrzeć się na pomost.

Tu już miejscami rozgorzała walka i Jurga z przerażeniem widział, jak coraz więcej przybywało dzikich postaci o skołtunionych łbach i z żądzą mordy w oczach, spychało jego ludzi, wprowadzie broniących się nieustępliwie, ale wobec przewagi liczebnej bezradnych.

I on wkrótce musiał przystąpić do walki, wiedząc, że przychodzi jego ostatnia godzina. Toteż już tylko pragnął, by przed tym jak najwięcej porazić łbów, najwięcej piersi przebić ostrzem miecza. Wkrótce jednak, choć krok po kroku, musiał się także cofać coraz bliżej ku drabinie wiodącej w dół, na wewnętrzny dziedziniec.

I kiedy z rozpaczą w sercu odpierał i zadawał ciosy, już tylko z bojowej zaciętości i dla wypełnienia do końca obowiązku, raptem usłyszał dochodzący gdzieś z dali zgodny krzyk:

— Bij psubratów! W nich, mości panowie! Bij zbójów!

Krzykom tym odpowiedział zza palisady wrzask przerażenia i Jurga wprawnym uchem żołnierza usłyszał, że toczy się tam bitwa.

Dosłyszeli to i inni obrońcy, bo wzmogli ciosy i oni teraz zaczęli zyskiwać przewagę, tym bardziej że napastnicy, nie wiedząc, co się dzieje, sami niechali walk i zaczęli się cofać, a spojrzawszy w dół, tłoczyli się ku drabinom i spychać wzajemnie, by co rychlej wesprzeć towarzyszy odpierających odsiecz.

Jurga zajęty walką nie widział, jak z lasu wypadł oddział konny i z uniesionymi mieczami gnał ku stłoczonym pod palisadą napastnikom. Wnet ich dopadł i wdarł się końmi w tłum zaskoczonych tym nagłym atakiem opryszków. Cięci razami, tratowani kopytami wierzchowców kładli się jakby ich obalała wichura, tak że wkrótce, rozbici zupełnie, rozpierchli się próbując daremnie uciekać przed konnymi. Ci zaś gnali za nimi aż w las, niknąc między jego drzewami. Resztę zaś pozostałych na pomoście już bez litości wysiekli obrońcy.

Dopiero teraz mógł przypaść do ostrokołu i Jurga. Ujrzał kłębiących się jeszcze zbójców, którzy, stłoczeni przez przybyszów, ginęli pod razami ich ostrzy, a wreszcie gonitwę przez pole. Ku nieopisanemu zdumieniu w jednym z jeźdźców stojącym nieco w tyle na tańczącym rumaku rozpoznał pana z Niemierzy. Rzucił się więc radośnie w dół, a potem ku bramie, już z dala krzycząc na swoich ludzi:

— Rozwierać bramę! Duchem, psie syny!

Zanim jednak odrzucono belki wspierające dodatkowo wieże, rozległ się zza nich znajomy, niby to gniewny, ale w rzeczy samej wesoły okrzyk:

— Otwierać, do czorta! Czyżbyście nas się bali na równi ze zbójcami?!

Jurga rozpoznał głos swego pana.

Una biegnąc już do koni usłyszała bitewne okrzyki i tętent dochodzący z pola, wszakże w pierwszej chwili nie zrozumiała, co miały znaczyć. Dopiero bitewny ggieł dochodzący zza wałów uświadomił jej, że nadeszła niespodziewana pomoc. Z sercem więc pełnym ulgi i rozradowania zawróciła i wkrótce znalazła się z resztą kobiet na podwórzu. Tu ujrzała właśnie rozwierane wrota, a w nich kilku jeźdźców z jej małżonkiem na czele. Z krzykiem radości rzuciła się ku niemu, on zaś zeskoczył z siodła i, kiedy przypadła mu uszczęśliwiona do piersi, wziął ją w ramiona.

Wnet nastąpiły i dalsze powitania, bo Jaksza znalazł się w uściskach Zyty, a obie panny, nie bacząc na rycerstwo i czeladź, ani myślały wyrwać się z objęć obu młodzieńców. Jedynie Bogna daremnie wypatrywała Waśki. Nie widząc go wśród przybyłych, coraz niespokojniej wypytywała o niego, ale nikt nie umiał powiedzieć, co się z nim stało, choć widziano go wśród walczących. Wówczas wybuchnęła płaczem, pewna już nieszczęścia.

Na żałość wszakże nie było czasu, bo musiano podejmować przybyłe rycerstwo. Wytoczono więc na majdan beczki z piwem, poszedł pod nóż byczek, rozpalono ognie, ustawiono różna i wnet rozszedł się zapach pieczonego mięsa, a kufle poczęły krząć wśród żołnierzy.

Wkrótce okazało się, że obaj małżonkowie przywiedli doborowy oddział zbrojnych z przybocznej chorągwi samego księcia mazowieckiego Ziemowita, który im przydał dowiedziawszy się o napadzie grożącym i jego ziemi.

Na ostatnią chwilę waszmościowie sąsiedzi zdążyliście! — zawołał pan Łaska. — Już na palisadach przyszło nam walczyć!

— Chodźmy do domu, przy stole sposobniej będzie gadać — zaproponowała Una, jednocześnie zwracając się do męża: — Ty zaś proś kogo trzeba, już przykazałam nakrywać...

Ruszyli na to wezwanie i wkrótce obsiedli stół i kielichy zaczęły często iść w górę. Jurga, zaproszony także, czym poczuł się mocno wyróżniony, musiał szczegółowo opowiadać Hubertowi o poczynaniach, jakie przedsięwziął gotując się do obrony. Czarny słuchał uważnie, po czym zwrócił się do pana Kleczkowskiego zagadując go wesoło:

Pamiętasz, waść, jakżeś to wypominał mi, że ekspansja zbędne na działa czynię, miast gospodarkę wesprzeć?! Gdyby nie te taraśnice, nie byłoby komu gospodarzyć! Ognia siekańców żaden żołnierz nie strzyma!

— *Wszakże znaleźli sposób i na nie...* — mruknął z przekąsem zarządca. — *Już Bogu ducha polecałiśmy, bo mało brakło, a byłiby w podwórku.*

— *Trzeba więc będzie dokupić jeszcze ze dwie!* — roześmiał się z przekorą Czarny, ale zaraz znów zwrócił się do Jurgi:

Mówisz zatem, że dostawszy nauczkę zmienili szyk?

— *Tak, już nie biegli gromadą, a rozproszyli się i objęli nas ze wszystkich trzech boków. Dwoma działami wszystkich razić czasu nie stawało.*

— *Dziwnym mi się jednak widzi, że taka banda zwykłych rabusi umiała znaleźć sposób, by dotrzeć do wałów?*

— *I ja o tym myślałem. Ktoś obznajmiony z wojenną sztuką musiał chyba nimi kierować...*

— *Kto jednak zechciał nad zwykłymi obwiesiami i hołotą komendę objąć?* — zdziwił się Czarny, nie wiedząc, że już wkrótce otrzyma na to pytanie odpowiedź.

Tymczasem Jaksza opowiadał zebrany o przebiegu królewskiej ucieczki, o czym głośno było w kraju, więc mocno ciekawiło słuchaczy. Młodzieńcy zaś szeptali ze swymi lubymi, ale o czym, trudno było dosłyszeć.

W pewnej chwili Łaska dostrzegł jednak te niedostatecznie skrywane spojrzenia i gorące szepty, gdyż odezwał się żartobliwie korzystając, że Jaksza na chwilę przerwał opowiadanie:

— *Waćpan tak ciekawe rzeczy opowiadasz, a przecież inni lepiej to robią, bo pilniejszych mają słuchaczy!*

Ponieważ spojrzął na młodych, aby nie było wątpliwości, kogo ma na myśli, twarz Aldony oblał nagły rumieniec, więc pochyliła głowę, aby go ukryć, lecz Olga nie dała się tak łatwo speszyć i odpowiedziała czupurnie:

— *Istotnie, na tym, czego słuchałam, uszczerbku nie poniosłam!*

— *Wybacz tedy waćpanna, żem wpadł wam w słowo!* — z galanterią, ale kpiąco rzucił Łaska.

— *Z serca gotowam wybaczyć, jeśli mi zezwolicie, wielmożny panie, słuchać dalej.*

— *Rezulutna to widać panna* — z uznaniem zwrócił się szlachcic do Uny. — *Czy to waćpani krewna?*

— *Nie, jeno czasowo u nas gości. To księżniczka Olga, bratanica grodzieńskiego starosty.*

Usłyszany tytuł zrobił swoje, bo pan Łaska jako szlachcic był na nie wrażliwy, więc już z respektem spojrzął na dziewczynę. Dalszą rozmowę przerwały szybkie kroki dochodzące z sieni, a w następnej chwili Bogna, która właśnie niosła zabraną ze stołu pustą misę, nagle wypuściła ją z rąk. Rozległ się trzask pryskających skorup, a jednocześnie jej krzyk:

— *Waśko! Bogu chwata!!*

Wszyscy obrócili się do przybysza, który zatrzymał się na progu. Twarz jeszcze miał umazaną, a odzież w kurzu, gdyż widać przed chwilą zsiadł z

konia. Bogna w pierwszej chwili chciała rzucić się ku niemu, ale opamiętała się i stała w miejscu wpatrując się w przybyłego rozbłyśniętymi szczęściem oczami.

Waśko skłonił się obecnym, ale nie szedł dalej, lecz tylko spojrzął na Czarnego i odezwał się:

Jeśli zezwolicie, wasza wielmożność, chcę mówić z wami na osobności.

Hubert bez słowa wstał od stołu i dopiero podchodząc do pocztowego, rzucił krótko:

— Tedy chodź...

Zniknęli w głębi sieni, a pozostali przy stole spoglądali za nimi z zaciekawieniem. Rozmowa urwała się, gdyż wszyscy w napięciu oczekiwali, co też przybyły miał do powiedzenia, żądając rozmowy w cztery oczy.

Nie czekali długo, gdyż gospodarz wkrótce wrócił i mijając Bognę rzucił jej z uśmiechem:

— No, leć do niego, ostawiłem go w kantorze...

Wrócił na swoje miejsce i siadając wyjaśnił obecnym, wśród których było i kilku poważniejszych rycerzy księcia Ziemowita:

Miał swoją sprawę do mnie. A przy okazji zawiadomił, że dzięki upartej pogoni udało mu się pojmać herszta tej zgrai. Nie czas go sądzić, ostawiam to na jutro, a teraz bierzmy się, panowie bracia, za kielichy!

Usluchano wezwania, choć z niejakim zawodem. Wszakże i przybysze, i gospodarze mieli za sobą trudny dzień, więc wnet udano się na spoczynek.

Kiedy zostali już w rodzinnym gronie, bo Kleczkowski i Łaska także się pożegnali, Hubert odezwał się:

— Nie ciekawi was, kto był przywódcą?

Una wzruszyła ramionami.

— Co mi za różnica... Ale rada jestem, że Waśko go pojmał!

— Będziesz bardziej rada, jak się dowiesz, kto nim był!

— Czemu więc nie mówisz?

— Księżę Henryk.

Una, która już wstała od stołu, znów usiadła.

— Nie do wiary! — wykrzyknęła. — I Waśko go pojmał?!

— Ponoć poznał go w ostatniej chwili, jak zniknął w lesie. A skoro poznał, już go nie poniechał...

— Zawzięty człek z niego. Nie mówię o Waśce, bo to wiadomo, ale o owym księżątku... — odezwał się Jaksza spoglądając na Olgę. Ta zrozumiała to spojrzenie, ale nic nie odpowiedziała, spuściła tylko główkę mocno skonfundowana.

— Czy mówił coś Waśce? — spytała Zyta.

— To tylko z niego wydobył, że przebywając na dworze Świdrygiełły zwiedził się o zbrojnej wyprawie na Chełm, postanowił więc także zebrać chętnych i ruszyć na Czepiele. Przecież już wiedział, gdzie Olga przebywa, gdyż bawił tu ów szlachcic, którego podesłał, by się w tym upewnić.

— I mało brakowało, a dopiąłby swego! — westchnęła Zyta.

— Ale z łaski Boga, nie dopiął! — rzuciła Una i spoglądając z niepokojem na męża, spytała: — Co z nim poczniesz?

— Jak to co? — Czarny wzruszył ramionami. — Jutro pójdzie na gałąź i nie będzie już z nim kłopotów. Tym bardziej że nie powinien o mnie się zwiedzieć, gdyż zna mnie jako kogo innego!

— Dziewczyna takż będzie miała od niego spokój... — poparł Czarnego Jaksza.

Zapanowało milczenie, gdyż skonsternowane kobiety, nie znające wojennych praw, przeraziły się tą decyzją. Milczenie to przerwał dopiero krzyk Olgi:

— Nie! Proszę, poniechajcie kaźni, miejcie nad nim zmiłowanie!

Lech obrócił ku niej spochmurniałą twarz.

— Bronisz go? A więc ci miły? — rzucił twardo.

— Bronię, bo nie chcę być powodem jego śmierci! Nie chcę, by padła cieniem na naszą przyszłość!

Una poparła dziewczynę.

— Olga ma słuszość! — oświadczyła stanowczo. — Ja takż nie życzę sobie jego kaźni. Zwłaszcza tu, u siebie! A poza tym — dodała już spokojniej — przecież powstanie hałas na królewskim dworze, jak się zwiedzą, żeś samowolnie zadał śmierć księżęciu, a do tego bratankowi śląskiego biskupa. Będą z kolei żądać twego gardła za to, żeś bez królewskiego, wyroku go stracił!

— Nijakiemu księciu śmierci nie zadam... — spokojnie odpowiedział Czarny.

— Komu tedy?!!

— Hersztowi zbójów, co na dwór mi napadł, dwa inne spalił, porabował, a ludzi w niewolę wziął! Wojenne prawo zezwala mi wobec pojmania na lice natychmiast go pokarać!

— A więc zabierajcie go stąd, bo na jego śmierć u siebie zgody nie dam!

Czarny spojrział z rozterką na Rudego, który mruknął wzruszając ramionami:

— Tak to jest, jak masz do czynienia z babami...

— Co zatem radzisz czynić? Przecież nie puszcę go wolno! A na królewski sąd nie ma co liczyć...

Niech wraca, skąd przybył! Jam takż przeciwna jego straceniu! oświadczyła Zyta.

— Niech wraca, skąd przybył... — powtórzył Czarny w zadumie. — No cóż, skoro tak tego zbója bronicie, należy pomyśleć, co z nim uczynić, bo jeszcze i inne grzechy ma na sumieniu...

— Co zatem z nim zrobić? — spytał Jaksza.

— Ja z nim żadną miarą nie mogę się zetknąć! Ty weź go jutro na spytki i niech parol da, że ruszy na Śląsk. Ale parol od takiego człeka to mało, toteż ostrzeż go, że jeśli wróci do nas albo na Litwę, głową bez nijakiego sądu zapłaci. W czym go dobrze upewnij, bo tego dotrzymam! Zwłaszcza nie ukrywaj, że wiemy, w czyjej służbie tu przebywał! To najskuteczniej nas ochroni przed jego powrotem!

— Chyba jedyny to sposób... — zgodził się Jaks. — Dam mu wierzchowca i niech rusza w drogę.

Una, zadowolona ze zmiany męzowskiej decyzji, chcąc uniknąć dalszych rozważań, zwróciła się do Jurgi:

— A ten obóz w lesie? Czyście go odnaleźli i uwolnili jeńców z Matczy i Strzelc?

— Znaleźliśmy, wielmożna pani. Były tam w większości niewiasty. Przykazałem powieźć im żywność, bo nocą bały się wracać. Rankiem ma poprowadzić je pan Łaska.

Istotnie, odważny szlachcic, dziękując gorąco za schronienie, zabrał następnego dnia własną i strzelecką czeladź, głównie sponiewierane i płaczące po zabitych niewiasty. We dworze zaś zabrano się do grzebania zwłok i opatrywania rannych. Natomiast Jaks, wzięwszy ze sobą Tomka i Lecha, udał się do czeladnej, gdzie kazał doprowadzić więźnia. Obiecał mu

zwolnienie na rycerskie słowo, że nie wróci, ale też opisał, jak zostanie powitany, jeśli kiedykolwiek przysięgę złamał. Ten wysłuchał oskarżeń i zapowiedzi z ponurą twarzą, ale usłyszawszy, co o nim wiadomo na królewskim dworze, przybladł mocno i uroczyście ślubował Korony i Litwy więcej nie odwiedzać. W rezultacie otrzymał wierzchowca, jaką taką odzież, bo własną miał przy pojmaniu zniszczoną, i opuścił Czepiele samotnie, przez nikogo nie żegnany, jeśli nie liczyć urągliwych okrzyków pachotków, kiedy wyjeżdżał za bramę.

Obaj rycerze wraz ze swym oddziałem pozostali jeszcze we dworze dwa dni ze względu na konie, którym należało dać wytchnąć po morderczej gonitwie, jaką miały za sobą. Stanowiło to mocne uszczuplenie dworskich zapasów, bo gościli męzowie nawykli dobrze zjeść i popić. Ale Czepiele pod gospodarną ręką Uny były dostatecznie zasobne, by nie poczuć uszczerbku, toteż Czarny tym się nie trapił.

Najwięcej jednak ze zwłoki były rade obie panny, nie mniej cieszyła się Bogna, która otrzymawszy zezwolenie pani domu na odstąpienie od obowiązków, niemal nie opuszczała Waški, czemu ten nie wydawał się być przeciwny. Także obie pary za poprzednim razem chętnie przebywające ze sobą, teraz jakby stroniły od siebie, bo młodzieńcy prowadzili swe łube na ławeczki osłonięte krzakami bzu czy też jaśminowe altany, skryte przed ludzkimi oczami.

Wiadomo, o czym ze sobą gadali, więc mówić o tym nie warto. Wszakże wieczorne modlitwy dziewcząt były znacznie gorętsze niż dotąd, śnać miały o co błagać, a może prosić o wybaczenie Niebieskie Moce. Natomiast bracia, leżąc już w pościeli, jeszcze długo ze sobą gadali wspominając miniony dzień.

Wreszcie Czepiele opustoszały i zdawały się pozostałym w nich mieszkańcom niezwykle ciche i puste. Dni zaczęły znów płynąć zwyczajnie, jak dotąd, tyle że wypełnione nowymi wspomnieniami.

Wycieczka obłożonych rozjuszyła rycerstwo, a nie mogąc dobrać się do nich, Piotr Szafraniec, Piotr Miedzuski, Dzierżław Włostowski, a także Hryćko Kierdejowicz, mający porachunki za stracone Ratno, wzięli dwa tysiące żołnierza i pociągnęli na wyprawę w kierunku Krzemieńca.

Dotarli w pobliże grodu i pod wsią Tyranie stanęli na popas. W Krzemieńcu z silną załogą siedzieli kniaziowie Wasyl i Bałaban. Wnet więc chłopci donieśli im o lackich wojskach rabującym im żywność i napastujących

niewiasty. Porwali się więc obaj i mniemając, że to jakiś oddział picowników zagnał się z braku żywności aż tak daleko, zaniechali bliższego rozeznania, wzięli ze sobą ponad tysiąc ludzi i ruszyli w pole, by pokarać rabusi.

Jednak doświadczeni polscy dowódcy wysunęli daleko konne czaty, które wnet im doniosły o zbliżaniu się litewskiego wojska. Byli zbyt blisko Krzemieńca, by tego się nie spodziewać, więc i przygotowań nie poniechali.

Wieś Tyranie od Krzemieńca dzieliła przestrzeń uprawnych pól miejscami przerywanych resztką nie wykarczowanych lasów, natomiast z drugiej strony, skąd nadciągnęły polskie chorągwie, rozciągały się dwa jeziora i bagna, przedzielone wąskim pasem suchego gruntu, przez który biegła droga.

Przed tymi bagnami założono obóz. Na wieść o nadciągającym nieprzyjacielu wojsko rozdzieliło się: część ukryła się po chłopskich zagrodach, część zaś wystąpiła w pole i uszeregowała się u wylotu drogi między bagnami. Nie było ich więcej niż kilka chorągwi, toteż po przebyciu wsi na widok tak szczupłych sił litewscy wodzowie, pewni swojej przewagi, rzucili się w ów przejazd, by co rychlej przystąpić do walki. Jakoż rozgorzała ona z całą zaciętością, jaka cechowała wszystkie spotkania obu stron.

Wówczas dopiero wypadły z ukrycia zaczajone we wsi wojska i uderzyły na tyły Litwinów. I tak zbyt gorący ich wodzowie znaleźli się niby zakorkowani w butelce.

Wzięci z dwóch stron, rażeni ciosami, nie wiedząc, w którą się obrócić stronę, w ostatecznym przerażeniu rzucili się ku bagnetom jako ostatniej szansie ratunku. Zwodna to jednak była nadzieja, bo ci, co jeszcze resztkami sił próbowali się bronić, słyszeli, jak dochodzą stamtąd krzyki tonących towarzyszy i rozpaczliwe, przedśmiertne kwiczenie ich wierzchowców.

Wnet bitwa dobiegła końca i rycerze, widząc szamocących się jeszcze tu i ówdzie w szuwarach litewskich wojów, pozdejmowali łuki i uczynili sobie zabawę, popisując się celnością strzałów.

I tak z całego oddziału mało kto pozostał przy życiu, bo jeńca nie brano. Potem zaś już bezkarnie obrabowano pobliskie wsie i pognano pod Łuck wielkie stada bydła i niemało koni, które, choć niezdatne do boju, przecież mogły wzmocnić tabory, a w razie potrzeby zasilić i kuchnie.

A była to sprawa już nad wyraz pilna, gdyż w obozie zaczęło brakować żywności. Najbliższa okolica była już doszczętnie ogołocona, a do dalszych

należało posyłać bardzo silne oddziały, nawet po kilka chorągwi, gdyż Litwini tępilli picowników zażarcie, więc bez należytej ochrony nie było można oddalać się od obozu. Zdarzało się nawet, że ciągnące z żywnością wozy, choć pod silną strażą, były napadane i odbijane.

Mimo to, choć walki nie ustawały, trwały rozmowy z wysłannikami Świdrygiełły.

Toteż kiedy Czarny i Jaksza wrócili do obozu, grzmiały tam nadal bombardy i pracowały miotające maszyny. A nawet budowano nową, nazwaną „Prokiem”, i to tak wielką, że stawiano ją po drugiej stronie rzeki dla zabezpieczenia przed najazdem, gdyż nieustępliwy Jursza, po niepowodzeniu dziennej wycieczki, próbował parokroć zaskoczyć oblężonych nocą. Maszyna zaś była tak potężna, że i z tej odległości mogła rzucić na gród padlinę z całego konia albo kamień wielkości barana.

Obrona była jednak nadal zacięta, toteż i próby dalszych szturmów kończyły się niepowodzeniem, a do tego brak żywności i konieczność zachowania nieustannej czujności coraz bardziej gniewały i zniechęcały rycerstwo, zawsze niechętnie dobywaniu grodów. W dużej też mierze do coraz głośniejszych protestów, zarzutów i niezadowolonia przyczyniała się bierność samego króla, widoczna coraz bardziej.

Toteż niejedno przekleństwo padało na jego siwą głowę, nie szczędzono przy tym i panów z Rady, niektórym zarzucano nawet knowania ze Świdrygiełłą lub wręcz zdradę. Doszło do tego, że Ćwikła z Konina wyzwał Wawrzyńca Zarębę na ubitą ziemię, głosząc, że świeci Panu Bogu świeczką, a diabłu ogarkiem. Jednak głównym

winowajcą tych podejrzeń i objawów oburzenia był sam monarcha, sterany już wiekiem i miotany to porywami serca, to ostrzeżeniami rozumu.

Wzburzenie doszło do szczytu, kiedy owa przemyślnie zbudowana machina zwana „Prokiem” przystąpiła do pracy i zaczęła miotać swe ogromne pociski. Czyniły one tak wielkie spustoszenie, że przerażeni obrońcy wystali pośła z prośbą o zawieszenie broni.

I tym razem, już zgoła nieopatrznie, król Jagiełło wyraził zgodę. Porwało się na to rycerstwo, ruszyło gromadnie pod królewski namiot i wśród krzyków, tumultu i trzaskania bronią żądało przekazania dowództwa w inne, bardziej sprawne ręce.

Król, acz z ociąganiem, musiał jednak ustąpić i mianował wodzem księcia mazowieckiego Ziemowita, przydawszy mu jednak aż dziesięciu doradców, a to siedmiu wojewodów i trzech kasztelanów. Uspokoiło to wzburzone umysły i walczone dalej coraz bardziej zawzięcie i z coraz większym okrucieństwem. Pojmanych jeńców obrońcy grodu na oczach rycerstwa okrutnie przed śmiercią męczyli na murach, zaś w odwet czynili to samo oblegający, przez co wzmagala się wzajemna ku sobie nienawiść.

Jakby mało miał trosk, 20 sierpnia otrzymał król jegomość wypowiedzenie wojny od swego lennika, mołdawskiego hospodara Aleksandra, który sądził, że nadeszła sposobna chwila pozbycia się zależności od Polski, a także wzbogacenia się jej kosztem. Wszakże jako przyczynę wszczęcia walki wymienił tylko pragnienie Jagiełły zniszczenia greckiej wiary.

O ile głupi i kłamiwy był to pozór, to skutki postępuku wiarołomnego lennika były poważne. Najechał bowiem powiaty śniatyński, halicki i kamieniecki, niszcząc je tak, że tylko zgliszcza po sobie pozostawił, a ludność wyciął lub uprowadził w pętach.

W odpowiedzi król natychmiast wysłał trzech kniaziów Buczackich — Michała, Teodoryka i Murzę, wraz zcałą szlachtą ruską i podolską, by ruszyli odeprzeć napaść. Natychmiast poderwało się rycerstwo tamtejszych ziem, by nieść pomoc ludności, a także ochronić własne rodziny i dobra. Szli spieszenie, na ile pozwalała wytrzymałość wierzchowców, toteż w trzy dni dotarli do najechnanych ziem, stratowanych i pustych, po których wiatr niósł zapachy spalenizny i rozkładających się zwłok. Miast wsi i dworów mijali zgliszcza, miast ludzkich głosów słyszeli tylko ponure krakanie wron krążących nad ich głowami, a jedynymi żywymi istotami, jakie udało się poza nimi dostrzec, były bezpańskie psy, włóczące się wśród pogorzeliisk w poszukiwaniu pożywienia.

Na czwartą noc ujrzeli pierwsze łuny drgające czerwienią gdzieś nad dalekim horyzontem, okrytym ciemnością.

Czarny i Rudy wzięli udział w tej wyprawie, czemu tym razem ksiądz Andrzej nie sprzeciwił się, rozumiejąc, że nie utrzyma ich w obozie teraz, kiedy mieli już do czynienia z podobną napaścią.

Pojechali również obaj młodzieńcy, a także i Waśko z Damianem, jednym z owych żołnierzy z Wilna, którzy towarzyszyli im w imprezie z Meczka.

Ciągnęli, jak się mówiło, „na ogień”. Nad ranem jednak wysłane przodem patrole, napotkawszy uciekających chłopów, zasięgnęły języka i doniosły, że napastnicy rozdzielili się i założyli trzy oddzielne obozy, dla utrzymania łączności niezbyt od siebie oddalone, bo pod Brzeżanami, Trembowlą i Gródkiem, skąd na wzór Tatarów kierowali zagony najeżdżając okoliczne wsie.

Po otrzymaniu tych wieści bracia postanowili rozdzielić się także i ruszyć od razu na te mołdawskie kosze. Minęli już Zbaraż, więc najbliższą była Trembowla, ku której skierował się Teodoryk, położony nieco dalej Gródek kniaź Michał przeznaczył Murzy, sam zaś podążył ku najbardziej odległym Brzeżanom, wyznaczając Jampol jako

miejsce spotkania po dokonanej wyprawie. Lech, który znał już księcia Michała, rad był, że przyłączyli się właśnie do jego oddziału.

Minęli Podwołoczyska jeszcze razem, ale zaraz za nimi rozjechali się, zmierzając ku swoim celom.

Czarny i Jaksza trzymali się blisko kniazia, od razu wyróżnieni przez niego jako rycerze bardziej doświadczeni od innych. Często więc zasięgał ich rady, a i teraz zwrócił się do Czarnego raczej z propozycją niż rozkazem:

— Rad bym widział, gdybyś waszmość objął dowództwo nad przednią strażą. Byłbym spokojny, że nie wleziemy w kabałę. Weź z pół chorągwi i trzymaj się nie dalej niż dwie wiorsty przed nami...

Czarny ze swymi towarzyszami i oddziałem pięćdziesięciu szabel pogalopował do przodu. Droga w większości prowadziła lasami, czasem mijali gęszcze młodników po dokonanych wyrębie lub połacie łąk, wszakże wsi w pobliżu nie było, okolica zdawała się spokojna, jakby nieświadoma zawistej nad nią groźby.

Wieczorem zatrzymali się na nocleg w niedużej kotlinie, ale jeszcze przed świtem straż przednia dosiadła wierchowców, wkrótce zaś ruszyła i reszta wojska. Koło południa zatrzymali się na krótko, by z ręki nakarmić wierchowce i zaraz ruszyli dalej. Wysłani przez Czarnego zwiadowcy nie wracali, co świadczyło, że droga przed nimi jest bezpieczna.

Toteż z niepokojem ujrzał śpieszących ku niemu trzech jeźdźców, z których jednego rozpoznał jako swego żołnierza. Dwaj pozostali jednak nosili polski przyodziewek, co pozwalało domyślać się, że jest to ktoś z miejscowej szlachty.

Istotnie, kiedy się zbliżyli, jadący przodem zażywny wąż uchylił rysiej czapki i zaprezentował się:

— Jam Mikołaj Osoryja z pobliskiego Bogdanowa, wraz z pocztowym. Znalazł nas wasz żołnierz w pobliskim lesie, gdzie ukryliśmy się wraz z dobytkiem! Ważne mam dla was wieści, dlatego sam przybyłem, aby je przekazać!

— Skąd wiedzieliście, że nadciągamy? — spytał nieufnie Czarny.

— Toć już głośno o tym w okolicy! Wieści, zwłaszcza takie, chyżej biegną niżli wicher! Wszyscy was jak zbawienia czekamy, bo okrutna dzicz, gorsza od Tatarów, wszystko pustoszy i w niewolę bierze!

— Zatem należy sądzić, że oni także już o nas wiedzą? — z niepokojem rzucił Czarny.

— Dlatego wybrałem się na gościniec w nadziei, że was ostrzeżę, ale zwiadowca pierwszy mnie dojrzał!

— Cóż zatem za wieści dla nas macie?

— A takie, że gospodar Aleksander, który stoi pod Trembowłą, zwiadzawszy się o waszym nadejściu, porzucił do pozostałych obozów rozkazy, by, pozostawiając straż przy jeńcach, wojownicy co rychlej ku niemu wracali! Toteż musicie wiedzieć, że będzie miał przy sobie wszystkie swoje siły!

— Jak duże?

— Mówią, że przywiózł do piętnastu tysięcy jeźdźców, ale myślę, że, jak zwykle, liczba to przesadna. Wszakże do ośmiu tysięcy zapewne będzie miał, jeśli ich wszystkich zbierze na czas!

— Skądże jednak to wszystko wiecie? — Czarny spojrzał podejrzliwie na pana Mikołaja, herbu Osoryja.

— *Od swoich chłopów!* — z uśmiechem rzucił szlachcic. — *To przebiegły naród i do napadów nawykły, toteż wie, w czym rzecz! Tym razem pojмали jednego z gońców hospodara, który, przypieczony nad ogniem, wnet wyznał, po co i gdzie jechał. Prócz Trembowli mają mieć kosze pod Brzeżanami i Gródkiem...*

— *To już wiemy, lecz w rzeczy samej ważne wiadomości waćpan dostarczyłeś.*

— *Czy aby sprostacie Aleksandrowi...?* — zaniepokoił się szlachcic.

— *Nawet jeśli zbierze tylko sześć tysięcy żołnierzy, siła to znaczna...*

Ano, obaczym... — uśmiechnął się Czarny. — *Bądź jednak waćpan dobrej myśli, bo na wojacze lepiej niezwywych nieprzyjaciół liczyć, a martwych...*

Słuszne to słowa, mości dobrodzieju, dajże wam Bóg szczęście!

Czarny przekazał Jaksie dowództwo nad oddziałem, a sam ruszył ku głównym siłom.

Buczacki, usłyszawszy wieści, mocno się zafrasował.

— *Zbyt wcześnie o nas się dowiedział... Teraz możemy mieć trudną przeprawę, co rychlej zatem należy się skupić! Zaraz ślę do Teodoryka gońca, a dla pewności i drugiego, by natychmiast ściągnął Murzę ku sobie, a sam, obwarowany, niech czeka na nas! Inaczej wybiją nas kolejno!*

Nie musimy tego tak bardzo się bać, bo i Aleksander także musi wprzód zebrać swoje siły, bardziej jeszcze rozproszone niż nasze!

— *Ale rozpoczął je zbierać wcześniej niż my, bo ja dopiero ślę gońców!*

Ci ruszyli od razu, i to na najlepszych koniach, jakie były w chorągwiach, oddział zaś zawrócił i pocwałował w powrotną drogę zmierzając pod Trembowlę, gdzie w pobliżu powinien już znajdować się Teodoryk. Czarny znów poszedł do przodu, rozsyłając licznych zwiadowców, by nie minąć się z jego chorągwiami.

Gnał na czele swoich ludzi z Jaksą przy boku i tak jak wszyscy bacznie lustrował wzrokiem mijaną okolicę.

— *Jeśli dopadniemy ich na czas, będzie nas wówczas ze dwa tysiące, więc tak łatwo znieść się nie damy... — w pewnej chwili mruknął z troską Jakska.*

— *Oby tylko, nieświadom sytuacji, nie uderzył od razu. Zbyt blisko był Trembowli...*

— *Zachował chyba ostrożność właśnie z powodu tej bliskości i nie śpieszył.*

— *Wszakże nie wiedząc o wzmożeniu sił Aleksandra, mógł pokusić się o uderzenie...*

— *Tedy pozostałaby jeszcze nadzieja, że zdążymy na czas, by go wesprzeć... — rzucił Rudy zgryźliwie.*

— *Nie zawsze można liczyć na takie szczęście, jak pod Czepielami.*

Konie cwałowały wyciągnąwszy szyje, a jeźdźcy miarowo kołysali się w kulbakach, rozglądając się bacznie dokoła. Słońce skłaniało się ku zachodowi, już nie pałając pełną jasnością, kiedy nadleciał od szpicy jeden ze zwiadowców z wieścią, że odnaleźli obóz Teodoryka, który od gońców już ostrzeżony, natychmiast posłał wiadomość do Murzy. Sam zaś zapadł w chaszczę i czekał, mając oko na najbliższą okolicę.

Otrzymałszy tę pomyślną wiadomość, Czarny przekazał ją natychmiast księciu Michałowi, a sam, ze zwiadowcą jako przewodnikiem, ruszył do kniazia Teodoryka.

Ponieważ słońce miało się już ku zachodowi księż Michał wstrzymał pochód i, już spokojniejszy, postanowił rozłożyć się na nocleg, by przeczekać do rana, a wówczas dopiero połączyć się z bratem.

Dopiero więc o świcie połączyły się oba regimenty i zaraz poszli zwiadowcy na rozeznanie, gdzie leży nieprzyjacielski obóz, a jeśli się uda, pojmać i języka, by wiedzieć, jak duże ma siły.

Obóz mołdawski wnet odnaleziono, bo nie rozłożył się dalej niż pół mili, ale języka nie udało się zdobyć. Od Murzy także nie było wiadomości, mimo to książ Michał po naradzie z bratem postanowił nie czekać na niego, gdyż widziano nadciągające oddziały jeźdźców, co groziło niebezpiecznym wzmożeniem sił hospodara.

Poszły więc ciche rozkazy do dowódców, bo trąby użyć nie było można, i chorągwie jedna za drugą wyjeżdżały z postojów.

Las wkrótce się skończył i wyjechali na otwarte pole. U jego krańca widać było czarne zgliszcza spalonej wsi, a w pobliżu nich sznur wozów otaczających mołdawskie obozowisko. Niemożliwością było skryte podejście do niego, ale rady już na to nie było.

Istotnie, jeszcze polskie chorągwie całkiem nie wynurzyły się z lasu i dopiero zaczęły rozciągać w bojową linię, kiedy od strony obozowiska rozległ się głos rogów i zaczęły ukazywać się pierwsze oddziały jeźdźców, gorączkowo ustawiających się w szyku.

Nie czekając, aż się uformują, książ Michał wyrwał szablę i, wskazawszy nią przed siebie, porwał konia do biegu. Za nim z bitewnym krzykiem pognały chorągwie, żadne odpłaty za śmierć i poniewierkę swych bliskich.

Hubert pędził mając po bokach obu synów, na których należało dawać baczenie, bo była to ich pierwsza poważna bitwa, więc jeszcze z drugiej strony jeden miał Waškę, drugi zaś Jaksę.

Mołdawianie na widok ataku, nie czekając na sformowanie i rozkazy swoich dowódców, ruszyli z wraskiem naprzeciw pędzącej ku nim w tumanie kurzu ławie jeźdźców. Zbliźali się szybko i wnet zwarli się, skłębili i krążyli wokół siebie na tańczących wierzchowcach, z brzękiem krzyżowanych mieczy i szabel.

Od razu też — jak zwykle zresztą — okazała się ogromna przewaga sprawności polskiego rycerstwa we władaniu bronią. Ostrza w jego rękach migotały dwa razy szybciej, również szybciej umiały znaleźć lukę w obronie, górowali też w panowaniu nad wierzchowcami.

Czarny krzyżując broń kątem oka zerkał na obu młodzieńców dostrzegając z zadowoleniem, że nie darmo uczył ich walki i pieszo, i wielce trudniejszej, bo z konia. Teraz sprawiali się jak należało, sprawnie władając i koniem, i bronią, spokojnie odpierali razy, dostatecznie też szybko zadawali ciosy. Toteż żadnego nie potrzebował osłaniać, bo sami dostatecznie czujnie baczyli na siebie.

Wszakże liczebna przewaga przeciwników, którą jeszcze przed spotkaniem Czarny ocenił na blisko trzykrotną, zmuszała do natężenia wszelkich sił. Jednak rycerstwo było nawykłe do walki z przeważającym liczebnie przeciwnikiem, a nienawiść do okrutnego rabusia też wzmagała siły, toteż dawali upust tej nienawiści, rąbiąc zawzięcie niczym drwale leśny gąszcz. Mołdawscy jeźdźcy lecieli z koni, cięci bezlitośnie, próżno usiłując zastaniać się tarczami od gradu spadających ciosów.

Wkrótce zaczęli się cofać ku obozowym zasiekom, by za nimi znaleźć schronienie. Ale z nagłą doleciał gdzieś z boku dziki wrzask, polskie zawołanie bojowe i dopadła ich nowa chmara jeźdźców.

Pod wpływem tego nagłego uderzenia, i to od tyłu i z boku, szeregi ich od razu się zakłębity, najpierw ścisnęły, a za chwilę rozprysły na małe grupy, które, przerażone i ogłupiałe ze strachu zaczęły wpierw krząć w kółko po

polu, zanim wreszcie rzucali się do ucieczki, i to byle gdzie, aby dalej od pola bitwy.

Toteż teraz nastąpiła istna rzeź. Na ogarnięte przerażeniem, nie broniące się gromady uciekających jeźdźców, którzy jak ślepi gnali przed siebie, aby tylko uchronić się od zagłady, spadały nieustanne ciosy, od których sypali się z sodeł niczym śliwy z potrząsanego drzewa. Tylko nieliczni, śnać przytomniejsi, ominąwszy obóz umykali ku pobliskiemu lasowi, pewniejsi tam schronienia niż za wozami, które wnet miały wpaść w ręce napastników.

Kłęska Aleksandrowych oddziałów była całkowita. Nie tylko stracił całe swoje wojsko, ale i sam o mało nie dostał się do niewoli, której zdołał uniknąć tylko dzięki rączości wierzchowców, na których umykał wraz z kilkunastu zaledwie towarzyszami.

Wnet zwolniono jeńców, przy wtórze ich dziękczynnych okrzyków. Zaraz też książę Michał jeszcze z pola posłał ochotników pod Brzeżany, by wycięli trzymających tam straż Mołdawców i także uwolnili tamtejszy jasyr.

Natomiast Murza, który zdążył jeszcze wziąć udział w bitwie i przyczynił się do zupełnego pogromu Mołdawców, opowiadał rozradowany zwycięstwem, jak dowiedziawszy się od gońca o zmianie położenia i nowych rozkazach, od razu zawrócił, co pozwoliło mu doścignąć te oddziały mołdawskie, które dążyły od Gródka, by wesprzeć gospodarza. Od razu wsiadł im na plecy i już po godzinnej walce rozbił doszczętnie, po czym wysłał pół chorągwi, aby opanowała tamtejszy obóz, a sam z resztą swego regimentu szedł śpiesznie dalej, by co rychlej połączyć się ze swoimi.

Wojsko, opanowawszy mołdawski obóz, cieszyło się zdobyczą, która tam dostała się w jego ręce. Gospodarz bowiem tureckim obyczajem ciągnął na wyprawę wojenną nie tylko z liczną służbą, ale dla okazania splendoru także z całym bogactwem dworskiego wyposażenia, kosztownych ubiorów, broni i sprzętów. Radość więc panowała powszechna nie tylko z powodu pokonania grabieżcy i uwolnienia jeńców. Żywności też było pod dostatkiem, zatrzymano się więc na parodniowy odpoczynek przed powrotnym marszem.

Zapowiedziane na 17 sierpnia poselstwo Świdrygiełły nadjechało z jednodniowym opóźnieniem i nie w ustalonym składzie dwunastu, a tylko ośmiu litewskich panów.

Rozpoczęły się rozmowy, które przeciągnęły się do trzech dni, nie doprowadzając do ostatecznego porozumienia. W poniedziałek 20 sierpnia

stanęło tylko na tym, że we czwartek, a więc 23, obie strony spotkają się znów, ale już w miejscu wskazanym przez Wielkiego Księcia. Przedłużono też zawieszenie broni do 23 sierpnia, obiecując sobie ogłosić to bez zwłoki wojsku. Zgodzono się, że koronnym wolno będzie w tym czasie zaopatrywać się w żywność i siano dla koni, jak i uprawiać rybołówstwo, natomiast oblężeni nie będą wychodzili z zamku. Wystawiono też nowy giejt dla posłów litewskich, a Wielki Książę zobowiązał się uczynić to samo dla polskich.

Jednak do zjazdu nie doszło, gdyż 24 sierpnia przybyli książęta Siemion i Wasyl oraz jeszcze pięciu litewskich wielmoż z konkretną propozycją ostatecznego zawarcia porozumienia, wszakże pod warunkiem, że będą do niego wciągnięci tak Zakon, jak i Wołosi. Ta propozycja dowodziła zmywy przeciwników co do dalszego działania w razie rozbicia się rokowań. Była to groźba, z którą należało się liczyć, tym bardziej że nadeszły wieści, o czym zawiadomił niektórych członków Rady książdz Andrzej. Ci, darząc go respektem, nie zlekceważyli ostrzeżeń, gdyż wiadomości, które dostarczył, kazały sprawę porozumienia ze Świdrygiełłą uważać za pilną i wręcz konieczną.

Tak się bowiem złożyło, że w tych właśnie dniach rokowań ze Świdrygiełłą książdz Andrzej otrzymał aż trzy ważne zawiadomienia, z których najważniejsze i najbardziej groźne przedstawił panom kasztelanowi Zarębie i wojewodzie kujawskiemu Jurandowi z Brudzewa. Otrzymał bowiem pilne pismo od swego wysłannika przebywającego w zakonnym państwie, w którym ten ostrzegał, że lada dzień ruszy nawała krzyżacka na ziemię

kujawską, a także na resztę pogranicza, może prócz włości mazowieckich. Oczekiwane jest również przybycie chorągwi Zakonu Inflanckiego.

Wiadomość była tak nieprawdopodobna, że usłyszawszy ją, uznali za wręcz niegodną wiary.

Uzgodniono bowiem jeszcze w Bieczu na 15 sierpnia zjazd w Toruniu, na który król mianował już swoich pełnomocników z prymasem Wojciechem Jastrzębcem na czele. Utrzymywał też z Wielkim Mistrzem stałą i przyjazną korespondencję, donosząc mu w czasie wojennych działań o ważniejszych zdarzeniach, nie omieszkując też zawiadomić o rozpoczętych rokowaniach pokojowych, mimo że nadchodziły wieści o złych intencjach Zakonu, w związku z czym Jagiełło pisał do Malborka:

„...takiemu doniesieniu my bynajmniej wiary dać nie mogliśmy i nie możemy, ani to nam przez myśl przejść nie mogło, odkąd mamy z Wami pokój wieczysty, listami i pieczęciami stwierdzony, i wiemy, że Wielebność Wasza tak czyste i dobre masz sumienie i o honorze swoim pamiętasz, że żadną miarą czegoś podobnego na szkodę Waszego zbawienia i honoru przypuszczać o Was nie możemy”⁴¹. Na ten list Wielki Mistrz nic jednak nie odpisał. Król zaś w następnym liście przypomina o zjeździe ustalonym na 15 sierpnia i nadmieniając że nie ma o tym wiadomości, prosi o odwrotne przez oddawcę tego pisma powiadomienie w tej sprawie. W Polsce także obaj kanclerze nie obawiali się złamania przez Zakon przymierza. Ale gromadzenie wojsk nie mogło ujść uwagi mieszkańców pogranicza, toteż zaczęły się tam masowe ucieczki. Wieści te rozeszły się po kraju i zachwiały pewnością kanclerzy, toteż jeszcze przed omówionym zjazdem toruńskim, Jan, biskup włocławski, przybył do Malborka, gdzie przyjął go Wielki Mistrz. Dziękował biskup za dobre usługi w sprawie ze Świdrygiełłą, ale też i wyraził obawę co do przyczyn paniki wśród ludności pogranicznej, na co Wielki Mistrz zapewniał go, że otrzyma „dobrą” odpowiedź i prosił, by biskup zaczekał w swojej wsi Zubkowie, gdzie mu po naradzie ją przyśle. Biskup Jan już się jednak zorientował, na co się zapowiada, więc na odpowiedź nie czekał, ale powrócił co rychlej, aby nawoływać do przygotowań dla odparcia spodziewanego najazdu. Stąd Wielki Mistrz wyraził wkrótce zdziwienie, że jego wysłannicy nie zastali biskupa, bo wprawdzie proponował odłożenie zjazdu, jednak nadal jest temu zamiarowi przychylny, mając na myśli „przyjaźń i wszystko dobre”.

Prymas zaś, choć już pełen rozterki, zdawał się jednak nadal wierzyć Wielkiemu Mistrzowi. Píše mu zatem, że uspokaja wzburzoną ludność i wzywa, by „spokojnie oddawała się swojej pracy i wspólnemu, dobremu współżyciu”. W odpowiedzi von Russdorf wciąż przyjacielsko wyjaśniał przyczyny, dla których proponował odłożenie zjazdu, ale ani słowem nie zaprzeczał obawom prymasa. Może dlatego, że pismo z wypowiedzeniem wojny było już gotowe, gdyż nosiło datę 17 sierpnia.

W tym czasie także poselstwa Zygmunta do Jagiełły stale zapewniały króla o cesarskiej przyjaźni, co pozwalało przypuszczać, że od strony Zakonu niczego złego nie należy się spodziewać.

41 — Według źródeł historycznych.

Toteż nie można się dziwić zdumieniu i nieufności panów biorących udział w naradzie. Wszakże kiedy proboszcz odczytał słowo po słowie otrzymane pismo, w którym brat Erazm podawał źródła informacji i sposoby ich uzyskania, a także z naciskiem podkreślał swą wiarę w rzetelność tego doniesienia, nieufność dygnitarzy wielce zmalała i już z wahaniem zaczęli sobie przypominać, nie tak wprawdzie konkretne, ale przecież również niepokojące ostrzeżenia obu kanclerzy, jakie dochodziły do obozu.

Rozważali więc potem szczegółowo otrzymane wiadomości i porównując je z tymi, które miał już dwór, zaczęli nabierać przeświadczenia o konieczności powiadomienia o powstałej groźbie Jego Królewskiej Mości, a także hamować zapalczywość tych panów, którzy, przeciwni wszelkiej ugodzie, dążyli do dalszego prowadzenia wojny, widząc w niej najszybszy i najbardziej skuteczny sposób zakończenia konfliktu.

Król, który dotąd wierzył w lojalność Zakonu i był spokojny, że dotrzyma pokoju, wysłuchawszy relacji, ku zaskoczeniu swych doradców nie tylko przejął się groźbą, ale począł przypominać wszystkie lekceważone dotąd przez siebie dwuznaczne wypowiedzi krzyżackie.

Panowie rychło pojęli, że czynił to nie tyle szczerze, ile dla wykorzystania nadeszłych wieści dla swoich celów, a mianowicie przekonania oponentów o konieczności zawarcia ugody, do czego dążył wszelkimi siłami.

Toteż tym razem za aprobatą znacznej większości swej Rady przystał na dodatkowe żądania Świdrygiełły i 23 sierpnia podpisał zawarcie rozejmu. Zaraz więc odjechali litewscy postowie, a wraz z nimi Sędziwój z Ostroroga i Wawrzyniec Zaręba, by wymienić z Wielkim Kniaziem dokumenty o pokoju.

Świdrygiełło istotnie podpisał je także, dnia 1 września 1431 roku, w Czartorysku. Rozejm miał trwać do 24 czerwca 1433 roku i zostali nim objęci Zakon i mołdawski hospodar. Stan posiadania miał pozostać bez zmian, taki jak w chwili podpisania przymierza. Król zatrzymuje na Podolu zamki i miasta Kamieniec, Smotrycz, Skatę i Czerwonogród, Wielki Książę zaś Braclaw, Sokolec, Zwinigród, Latyczów i inne. W czasie rozejmu obie strony miały dążyć do zawarcia stałego pokoju, w którym to celu 2 lutego 1432 roku zjedzie się po 12 pełnomocników we wsi Połubicze, między Parczewem a Brześciem, gdzie będą przebywać — król w Parczewie, zaś Wielki Książę w Brześciu. Gwałty, jeśliby były popełnione przez którąś ze stron, nie naruszają

rozejmu, lecz będą karane, czego będą strzec przygraniczni starostowie, przy czym Świdrygiełło obiecał zawrócić ciągnących mu z pomocą Tatarów.

O ile strona Polska miała powody, by dążyć do chwilowego rozejmu, a wszelkimi siłami dążył do tego król i popierało go wielu panów, gdyż groźba napadu krzyżackiego niejako już zmuszała do przynajmniej chwilowego zaprzestania tej wojny, to decyzja Świdrygiełły była niezrozumiała. Od początku bowiem objęcia władzy dążył do wywołania wojny, zabiegał o pomoc sojuszników i wsparcie polityczne, doprowadził do przymierza w Skirstymoni z Zakonami, pozyskał pomoc i mołdawskiego hospodara, i bodaj Tatarów, ale choć minęło już dziesięć miesięcy, sam żadnych wojennych przygotowań nie czynił, nie umiał zebrać i zorganizować żadnych własnych sił. Gdyby nie Jursza, któremu nawet nie zdołał podesać odsieczy, zapewne już by nie siedział na wielkoksiążęcym tronie.

A tymczasem, kiedy wystąpił hospodar mołdawski, a Zakon wielkimi siłami zagrażał Polsce, on raptem godził się na rozejm i podpisał go na warunkach dla siebie mało korzystnych. A przecież wiedział o rychłej krzyżackiej napaści, bo mu ją zapowiedział już w połowie sierpnia Wielki Mistrz, a potem, kiedy po kilkunastu dniach napad już miał miejsce, musiał przecież o nim wiedzieć.

Być może w jakiejś mierze przyczyną była jedna z owych trzech wiadomości otrzymanych przez księdza Andrzeja, która nadeszła z dworu Wielkiego Księcia. Mówiła o wzrastaniu niechęci bojarów do Świdrygiełły, którego nieobliczalne postęпки zaczęły im grozić, a zwłaszcza kaźnie, jakie w porywach złości zaczął wobec nich stosować, nie bacząc na zasługi, stanowisko czy wiek. Zaczęły więc odzywać się głosy sprzeciwów i knowania spisków, co mogło go do tego stopnia zaniepokoić, że umyślił wojnę pozostawić Krzyżakom, a samemu najpierw rozprawić się z opozycją, a potem dopiero przyłączyć się do działań Zakonu, jeśli ten nie zdoła przez ten czas uporać się z Polską własnymi siłami, na co w głębi serca zapewne liczył.

Takie wyjaśnienie niezrozumiałego postęпку Świdrygiełły snuł ksiądz Andrzej rozważając sytuację. Rozmyślał przy tym, co wypada mu począć, by zaradzić groźbie, jaką przyniosła mu trzecia wiadomość, którą otrzymał z Węgier, a mianowicie, że cesarz wysłał dla Świdrygiełły koronę, której wprawdzie nie będzie wiozł biskup Zagrzebia, ale mimo to posłowi

towarzyszyć ma dwustu zbrojnych, by doprowadzić go bezpiecznie do obszarów zajętych przez oddziały Wielkiego Kniazia.

Było więc o czym rozmyślać, gdyż widział jasno, że i tym razem własnymi siłami nie zdoła zapobiec klęsce politycznej, jaką stanowiłoby dotarcie królewskich insygniów do rąk Świdrygiełły. A chwila na wystanie poselstwa była dobrze wybrana, gdyż ogołocenie Podola z polskich wojsk ściągniętych pod Łuck pozwalało na względnie bezpieczny przejazd.

Po wymianie dokumentów dotyczących rozejmu król rozpuścił wojsko, a sam udał się do ziemi chełmskiej. Wieść o napadzie krzyżackim rozeszła się już szeroko, więc szlachta ziemi kujawskiej i dobrzyńskiej jeszcze spod Łucka samowolnie opuszczała szeregi i gnała swoim z pomocą.

Po niedługim czasie król udał się z chełmszczyzny do Lwowa, dokąd przyszły bardziej dokładne wieści o okrucieństwach krzyżackich i całkowitym zniszczeniu najejchanych ziem. Wydał więc zarządzenie dotyczące zaopatrzenia głodującej ludności, której udało się ocalić z pogromu, i w listopadzie udał się do Niepołomic. Tam jednak nastąpił tak liczny zjazd dygnitarzy, że z braku kwater dwór przeniósł się do Krakowa. Stąd dopiero z początkiem 1432 roku Jagiełło udał się do Lublina, gdzie stanął 2 lutego, by znaleźć się w pobliżu Parczewa, przewidzianego układem do spotkania ze Świdrygiełłą.

Tak król, jak jego Rada, a także i inni dygnitarze z jego otoczenia byli przekonani, że Zakon melnickiego pokoju nie złamie, mimo zawartego w Skirstymoni, przymierza ze Świdrygiełłą. Stąd też północna granica została nie zabezpieczona i żadnych wojsk tam nie było.

Ta nieuzasadniona ufność srodze została ukarana. Zakon bowiem, jak to było w jego zwyczaju, znów działał perfidnie i z całą premedytacją. Wielki Mistrz przygotowywał się skrycie, maskując te przygotowania zapewnieniami przyjaźni, stał o niej zapewnienia, a w rzeczywistości gromadził ogromną armię. Wezwał też do współdziałania Inflanckiego Mistrza, Cysse von Rutenberga. Wreszcie, wypowiedziawszy wojnę 17 sierpnia, nie czekając, aż wieść dotrze do Jagiełły, 18 sierpnia z nagłą ruszył wojsko.

Uderzenie nastąpiło z trzech stron. Pierwsze, najsilniejsze, armią liczącą 30000 żołnierzy i 4000 wozów pod wodzą Wielkiego Marszałka, nastąpiło z Pomorza na Kujawy. Drugie, pod wodzą toruńskiego komtura, ruszyło z ziemi

Chełmińskiej na ziemię dobrzyńską, a trzecie, pod wodzą wójta Nowej Marchii, skierowało się na Poznań.

Wkrótce potem pojawiła się i czwarta armia Inflanckiego Zakonu i terenów jemu podległych, pod wodzą marszałka Wenera von Nesselrode. Tę grupę wraz z chorągwiemi komtura tucholskiego Wielki Mistrz skierował do ochrony rejonów Człuchowa i Tucholi.

Główna armia, wkroczywszy na Kujawy, nie tylko nie napotkała żadnego oporu, tak zresztą jak i inne oddziały zakonne, ale uzyskała pomoc kujawskiego starosty. Mikołaja Tumigrały, z dawna zdradliwie sprzyjającego Zakonowi. Bez żadnego więc oporu zajęto zamek Nieszawy, zwany Nowym Toruniem, i doszczętnie spalono całe miasto, którego kupiectwo skutecznie dotąd konkurowało ze Starym Toruniem. Taki sam los spotkał Inowrocław, również oddany w ręce krzyżackie przez Tumigrałę. Potem przyszła kolej na Włocławek, w którym doszczętnemu obrabowaniu uległa również tamtejsza katedra.

Straszliwe zniszczenie kraju sięgało dwudziestu mil w jego głąb, bo aż poza Brześć Kujawski, pasem szerokości dziesięciu mil. Jeszcze szerszym zasięgiem, bo blisko na piętnaście mil, objęli zakuci w żelazo rycerze ziemię dobrzyńską. Obrócili w gruzy Lipno i Rypin i szeroko rozlaną falą jeźdźców szli dalej. Tylko wójt Nowej Marchii nie zdołał poszczycić się większymi sukcesami, ale tym dzielniej spisywały się wojska komtura Tucholi i Inflanckiego Zakonu, które nie zdołały opanować żądzy rabunku i ruszyły ze swoich stanowisk.

Posuwające się kolumny jakby prześcigały się w niszczeniu wszystkiego, co napotykały na drodze. Toteż napad był tak okrutny, że nikt podobnego nie pamiętał ani o podobnym nie słyszał. Okryci białymi płaszczami rycerze ciągnęli w tumanach kurzu kryjącego nieomal po hełmy ich groźne postacie, ziemia grzmiała pod kopytami ciężkich, bojowych rumaków, a blaski pożarów świeciły za ich plecami. Oni zaś z mieczami w rękach i tarczami przy bokach cwałowali z gromkimi pieśniami, które wiatr roznosił po polach. Kiedy zaś dopadali ludzkich osiedli, wtedy śpiew przechodził w zgodny wrzask uciechy. Błyskały miecze spadając na wszystko, co żyło, co nie uszło spod ich ostrzy, widok zaś tryskającej krwi jeszcze bardziej podniecał do rzezi, toteż zeskakiwali z koni i zanim rzucili ogień na strzechy, szukali kryjówek ofiar, a zwłaszcza co młodszych niewiast. Stanowiły nagrodę za ich bojowy trud,

dopełniając uciechy, kiedy z rechotem szarpali na nich odzież i obalali na ziemię.

Nie wszędzie bowiem ludność na czas zdążyła opuścić wieś czy osiedle, by kryć się po lasach, napady bowiem były nagłe, a chęć ratowania także dobytku nieraz stawała się przyczyną zguby.

Tak więc wieś po wsi i miasto po mieście ulegały zagładzie wśród wrzasku napastników, huku pożarów i krzyków ginących.

Łuny i kłęby dymów szerokim wachlarzem znaczyły drogę najazdu. Waliły się domy, płonął ludzki dobytek, ginęli od razów ludzie — ci mieli szczęście. Bo stokroć straszniejszy los spotykał tych, których zrazu oszczędzano. Zganiano ich potem w gromady i poddawano straszliwej kaźni. Bowiem na rozkaz rozweselonych rycerzy przyskakiwali do nich knechci z nożami w rękach i zdartszy z ofiar odzież, obcinali niewiastom piersi, a mężczyznom członki, by polskie plemię się nie rozmnażało. Nie oszczędzano też i dzieci, które podrzucano do góry, by opadające nadziewać na podstawione ostrza mieczy.

Kiedy żyło już tylko ryczące po oborach bydło, podpalali budynki pozostawiając za sobą morze płomieni i bodąc wierchowce długimi ostrogami ruszali wesoło ku nowym zwycięstwom.

Tak przemieniały się w zgliszcza i pustynię graniczące z Zakonem koronne ziemie. Jak potem obliczono, zagładzie uległy dwadzieścia cztery miasta i ponad tysiąc wsi. Wielki Mistrz wyznaczył bowiem w nagrodę za spalenie wsi grzywnę, a za miasto — trzy.

Wreszcie, nie widząc nikąd żadnej pomocy, wieśniacy zaczęli gromadzić się w grupy, zbroić w siekiery i widły i, jak mówi kronikarz, „widząc pobożne strzechy siół swoich spalone, trzody swoje zrabowane, żony i córki zhańbione” zdecydowali się choćby i samym przy tym zginąć, ale szukać zemsty na okrutnym najeźdźcy.

Także szlachta najechnanych ziem, przepęlniona wściekłością i rozpaczą, żądzą zemsty i pragnieniem, by przynajmniej dopaść sprawców, jeśli już bliskich uratować nie można, goniła spod Łucka zmieniając konie po drodze.

Jednak owe chłopskie gromady r jeszcze niezupełnie zebrane razem, bez wojennego doświadczenia, początkowo rozbił zdradziecki Tumigrało. Ale rozproszone zebrały się znowu, i to w większej liczbie niż poprzednio. Znalazły też przywódców wśród miejscowej szlachty, która, ogarnięta tym

samym pragnieniem, nie bacząc na różnicę stanów, stawała ze swymi poddanymi w jednym szeregu.

Dowództwo objęli najdzielniejsi z miejscowych panów: Jarogniewski, Dobrogost Koliński i Bartosz Wissenburg. Wkrótce też zaczęło przybywać i rycerstwo spod Łucka.

Jak dotąd jednak osłonięte przez Tumigrałę krzyżackie chorągwie wracały z Kujaw i ziemi dobrzyńskiej nie nagabywane, choć owe chłopskie gromady, znów połączone i wsparte konnicą szlachecką, stanowiły już poważne zagrożenie, bo siłę liczącą blisko pięć tysięcy zbrojnych. Wszakże nic o niej nie wiedzieli.

Dowódcy polscy rychło jednak otrzymali wieści o jednej z krzyżackich armii ciągnącej ku granicy wraz z tłumem jeńców i licznymi wozami zagrabionej zdobyczy. Były to owe chorągwie inflanckie i tucholskiego komtura Jodoka de Hogerkerche, które wiódł inflancki marszałek zakonny Werner von Nesselrode.

Był pogodny dzień 13 września. Na nadbrzeżnych łąkach Łobżenki, pod wsią Dąbki leżącej o trzy mile od Nakła, skryte za łożynami i pasem trzciny, pasło się bydło uprowadzone przez chłopów.

Wojska krzyżackie ciągnęły wolno, bo śpieszyć nie było potrzeby, gdyż dotychczasowa bezkarność dawała poczucie bezpieczeństwa, a wielki tabor zagrabionej zdobyczy nie pozwalał na pośpiech.

Założono więc nad rzeką obóz i beztrosko biwakowano. Wkrótce zakonni dowódcy dowiedzieli się o polskim stadzie, więc postanowili je zagarnąć i pognać ze sobą, bo do granicy było już blisko. Ruszył po nie oddział knechtów, chorągwie zaś gotowały się do dalszego marszu.

Ale chłopsko-szlachecka armia idąca w pościgu była już blisko i dojrzała obozowe dymy. Wkrótce też została powiadomiona przez Bartosza Wissenburga wiodącego straż przednią o nieprzyjacielskim obozie.

Krzyżacy, nieświadomi niebezpieczeństwa, z tym większym przerażeniem usłyszeli, jak z pobliskiego lasu rozlega się raptem pieśń „Bogurodzica”, spomiędzy drzew wypada tłum zbrojnych i biegnie z tym śpiewem ku nim. W ślad zaś za pieszymi oddziałami pędzi i groźna polska konnica.

Tylko wielka sprawność bojowa rycerzy zakonnych pozwoliła im, chociaż częściowo, dosięść wierzchowców i sprawić szkody, by dać odpór polskim jeźdźcom.

Nie na wiele jednak to się zdało, bo uderzenie napastnika rozżartego pragnieniem zemsty było tak potężne, że szkody te pękły nieomal od razu i nie było już szeregów, które mogłyby wesprzeć czy ochronić śpieszących jeszcze ku bitwie towarzyszy.

Poszły w rozsypkę sieczone bezlitośnie tucholskie chorągwie, a za nimi i przybysze inflanccy. Cięto ich zawzięcie i tak skutecznie, że zdawać się mogło, iż napastnikami są zaprawieni w bojach żołnierze, a bronią się nieudolnie pachołcy. Pod uderzeniami toporów pękały broje, widły wbijały się w ciała tych, którzy ich wdziać nie zdążyli, krew oblewała ofiary, jak i ich zabójców. Jeńców nie brano, gdyż żądza zemsty była silniejsza od pragnienia zdobyczy. Zresztą dla chłopów nie był zrozumiały stosowany wśród rycerstwa ruch palcami przypominający liczenie pieniędzy, których często wstrzymywał cios uniesionego już miecza.

Toteż po rozbiciu krzyżackiego szyku rozpoczął się już tylko pogrom rozproszonych szeregów. Maczugi i topory miażdżyły głowy, kosy i widły przesywały piersi, miecze rąbały pierzchającego już wroga.

Kłęska była zupełna. Niedobitki krzyżackiej armii schroniły się w lasy, gdzie błędząc ginęły potem z głodu lub od zwierza, jeśli nie wyłapali ich na powrozy okoliczni chłopcy, którzy czynili sobie na nich uparte polowania. Jeszcze po tygodniach docierały niedobitki do Człuchowa, Tucholi czy Bytowa.

W bitwie poległ inicjator wyprawy, komtur tucholski Jodok de Hogerkerche, komtur ostródzki Szwor, komtur dynaburski Walter de Lo i wielu innych komturów i znakomitych rycerzy pruskich i inflanckich. Sam zaś ich wódz, marszałek Werner von Nesselrode, komtur Fellina, komtur Goldyngi, komtur Człuchowa, Paschke von Landeck, wójt z Graben, i oprócz nich jeszcze 7 innych komturów i 50 rycerzy dostało się do niewoli, i to tylko dzięki temu, że natrafili na polskie rycerstwo. Pognano ich wszystkich do Poznania, skąd przetransportowani pod Kraków dłuższy czas przesiedzieli w niewoli, a niektórzy nawet już w niej pomarli.

Do Krakowa wysłano cztery zdobyte chorągwie, w kościołachbito w dzwony i odprawiano dziękczynne msze na wieść o tym zwycięstwie.

Natomiast Wielki Mistrz nie zdołał pojąć, co zaszło i skąd znalazła się ta polska armia, która była zdolna zadać mu taką klęskę. Nadeszły też i dalsze wieści, że wojsko to zbliżyło się do granicy i zagrażając Tucholi i

Człuchowowi gotuje się do wtargnięcia w kraje zakonne. Wobec tego wielki marszałek zakonny, który przygotował kolejną napaść na Bydgoszcz i Nakło, zmienił zamiar i udał się pod Człuchów, by nie dopuścić Polaków w głąb własnego kraju. Ale Wielki Mistrz rozkazał zaniechać dalszych działań i wszystkim wojskom wracać do Prus, donosząc jednocześnie o zawartym przymierzu, powiadomiony o tym przez przybyłych do niego posłańców króla i Świdrygiełły, Mikołaja Zakrzewskiego i Rusina Czatę.

Na wieść o podpisaniu porozumienia nie mniejsza radość niż w całym łuckim obozie zapanowała i wśród czepielowskiego pocztu. Zebrani w namiocie Czarnego opróżniali jeden z antałów wina, które kupiec Morzelec dla pozorów zwykł zabierać na swój wóz. W tej okolicznościowej biesiadzie brali udział i obaj pocztowi, Tomek i Waśko, którego oblicze jaśniało wyraźną radością.

Przyczynę jej rozumieli zwłaszcza obaj młodzieńcy, którzy także chcieliby już dosiadać koni.

— Oby nie przyszedł ten dzień, w którym równie niecierpliwie będziecie czekać okazji do ruszenia w pole... — rzucił w pewnej chwili kpiąco Jaksę, sięgając po kubek miodu, który mu na nowo napełnił Tomek.

— A czy wuj także rad wyrzywa się z domu? — odciął się Leszek.

Jaksę zmierzył młodzieńca gniewnym spojrzeniem.

— Na co ty sobie, gołowąsie, pozwalasz?! Daj ci Boże taką małżonkę jak ciotka! Ale coś mi się widzi, że twoja Olga jeszcze ci zaleje sadła za skórę!

— A niech tam! — rzucił wesoło młodzieniec. — Z jej ręki nic mi nie straszne!

— Głupi młodzik! — prychnął Jaksę, wszakże spór przerwał Czarny odzywając się ze śmiechem:

— Nie warto bracie ich ostrzegać, bo jak i my kiedyś, tak i oni teraz pod babski trzewik się pchają! Wszakże my tu weselimy się, a nie gadaliśmy jeszcze z proboszczem! Radbym wiedzieć, czy on także z nami wróci?

— Istotnie z radości zapomnieliśmy o nim... — przyznał Jaksę.

— Zatem skończmy biesiadę i chodźmy do niego...

— A chodźmy! A antałek dokończą te łobuzy!

Do namiotu księdza Andrzeja nie było daleko, ale kiedy po chwili do niego dotarli, okazało się, że prowadzi rozmowę z jakimiś królewskimi

dworakami. Jednak dowiedziawszy się, że przybyli, przykazał im czekać, bo sam miał właśnie zamiar po nich posyłać.

Przysiedli więc pod pobliskim dębem pewni, że i proboszcz chce z nimi uzgodnić sprawę swojego wyjazdu. Kiedy więc wreszcie wezwał ich pacholik, beztrząsco zajęły miejsca, czekając na pierwsze słowa dotychczasowego zwierzchnika.

Ten, jak zwykle, zanim się odezwał, obrzucił ich lustrującym spojrzeniem.

— Widzę, mości panowie, żeście rozradowani i odgaduję przyczynę...

— *Ano tak, wasza wielbność!* — oświadczył Czarny. — *Dlatego też przybyliśmy pytać, czy możemy spodziewać się i waszego powrotu? Czepiele, jako i my, rade będą znów was tam gościć!*

Ksiądz Andrzej nie odpowiedział od razu. Popatrzył przez odchyloną namiotową płachtę na widoczny przez nią skrawek okolicy, po czym westchnąwszy odpowiedział:

— *Niestety, zbyt dużo mam jeszcze spraw na głowie, które wymagają zakończenia, abym mógł myśleć o wytchnieniu...*

— *Ostajecie jeszcze przy dworze?* — z zawodem w głosie odezwał się Jaksza.

— *Ostaję, synu. Bóg i sprawy wam dotąd poruczone pozostają nie wyjaśnione... Zwłaszcza twoje, Jaksza. Czyżbyś zapomniał? Sądzę, że dalsze polecenia nie dziś to jutro znów otrzymasz...*

— *Chcecie, abym pozostał?* — już zupełnie zawiedziony spytał Rudy.

— *Ależ nie!* — ksiądz Andrzej uśmiechnął się, przystępując do sprawy, której dotyczyła trzecia otrzymana wiadomość. — *Natrudziliście się dosyć obaj, toteż odpoczynek wam się należy. Ale nie tak zaraz... — dokończył nieoczekiwanie. — Zwłaszcza mam na myśli ciebie, Hubercie...*

— *Jakże to?!* — wykrzyknęli obaj, niemal jednocześnie.

— *Korona dla Świdrygiełły już wyrusza, ale nie wiezie jej biskup Zagrzebia, co ułatwi nam zadanie, bo musimy ją odebrać. Z Czech ma ciągnąć na Kałusz pod silną ochroną, bo około dwustu zbrojnych — tyle wiem. Ale należy sądzić, że będą chcieli dostać się jak najszybciej pod osłonę grodów, które trzyma Świdrygiełło, a więc najbliższe to Zbaraż lub Olesko. Tamte strony zna najlepiej Michał Buczacki, on więc lada dzień z królewskiego rozkazu ma wyruszyć w trzysta koni i koronę choćby siłą odebrać! Jakże ma*

bowiem znaczenie ten podarek Zygmunta, nie muszę ci, Hubercie, tłumaczyć! Chcę bowiem, abyś towarzyszył tej wyprawie i odebrane insygnia mi przywiózł. A także możesz Buczackiemu być pomocny radą, bo przecie już dwakroć — ksiądz Andrzej uśmiechnął się z lekka — z powodzeniem takie zadania wykonałeś...

Czarny z rozgoryczeniem pomyślał, że zbyt szybko się pośpieszył ze swoją radością i jej oblewaniem, ale nie dał po sobie poznać zaznanego zawodu. Jaksza nie odzywał się,, tylko rzucił mu krótkie, zatroskane spojrzenie.

Hubert spytał spokojnie, jakby otrzymane polecenie mało go obchodziło.

— *Sądzić chyba należy, że Świdrygiełło wyśle naprzeciw poselstwa dodatkową ochronę? Boć na pewno został powiadomiony o wysłaniu tak cennych dla niego insygniów?*

— *Z jego dworu mam wiadomość także... — stwierdził krótko proboszcz. — Istotnie, właśnie do Zbaraża i Oleska wysłał gońców, zapewne w tej sprawie, stąd te grody ci wskazałem.*

— *Będzie więc trzeba sprawę załatwić, zanim wsparcie dotrze do poselstwa!*

— *Właśnie. I dlatego chcę, abyś wsparł radą Buczackiego.*

— *Będę zatem wnet gotowy do drogi — oświadczył krótko Czarny.*

— *Wiem, że ci nie w smak to poruczenie, ale sprawa zbyt ważna, by ostawić ją na głowie jednego człowieka! Dłużej to nie potrwa jak parę niedziel, może mi więc twoja małżonka wybaczy tę zwłokę... — dorzucił żartobliwie proboszcz. — Potem będziesz miał dość czasu by wypocząć.*

Po wyjściu z namiotu, kiedy już nieco się oddalili, Rudy rzucił ze złością:

— Ale mnie pocieszyl! Niech go grom spali!

— Taka już nasza służba... — uspokajająco rzucił Hubert. — No cóż, rozejdziemy się w różne strony... — dodał jednak smętnie.

— Kogo weźmiesz ze sobą? Chłopców chyba odeślesz?

— Ważkę także, bo pilno mu do dziewczki! Wezmę Damiana.

— Czy nie lepiej Tomka? Czy tego mruka dostatecznie już znasz?

— O tyle, że takiego drugiego zwiadowcy niełatwo znaleźć!

Doszli do swego namiotu i na pytające spojrzenia rozweselonej kompanii Czarny odpowiedział wzruszając ramionami:

— Pojedziecie sami. Mnie jeszcze czeka robota.

— Jaka?! W czym rzecz?! — wykrzyknęli obaj młodzieńcy. — Jakże staniesz przed matką bez ciebie?! Nie może to być! — zaprotestowali zgodnie.

— Zamilczcie! — warknął na synów Czarny. — Jeszcze tego brakowało, aby młodź sprzeciwiała się rozkazom! Służymy Jego Królewskiej Mości!

Ale obaj młodzieńcy nie myśleli ustępować.

— Skoro tak — oświadczył Roch — tedy jedziemy z tobą! Samego cię nie ostawim! Doma nie mógłbym nikomu w oczy spojrzeć...

Sprawę ostatecznie zakończył Jaksza oświadczając:

— Dobrze mówi! Jedziemy wszyscy, niewiasty muszą zaczekać!

— Stary osioł... — mruknął w odpowiedzi Czarny, ale już nic więcej nie powiedział, czym dał do zrozumienia, że spierać się nie zamierza.

W dwa dni potem byli już w siodłach, w poczcie kniazia Michała, który rad był obecności Czarnego, jako że ceniał w nim bystrego i znającego się na rzeczy doradcę.

Kniaz ciągnął na czele blisko czterystu zbrojnych, gdyż prócz szlachty z ziemi podlaskiej i czerwonoruskiej przyłączyło się do wyprawy sporo młodych rycerzy, którzy, żądni przygód, nie dość jeszcze mieli wojaczki.

Szli śpiesznymi marszami, wprost na południe. W tej sile nie bali się litewskich oddziałów spotykanych na drodze — zresztą zawarty rozejm pozwalał spodziewać się raczej przyjaznych niż wrogich powitań, gdyż jako miejscowi często znali się wzajemnie.

Jeszcze w drodze kniaz Michał prosił do swego boku dowódców chorągwi. Jadąc między nimi przystąpił od razu do rzeczy.

— Prosiłem waszmościów, skorzystawszy z okazji, że mam z kim pogadać i zasięgnąć dobrej rady, jak wykonać królewski rozkaz. W czym rzecz, już wiecie. Poselstwo ciągnie z Czech do Kałusza i zmierza, jak można sądzić, do Zbaraża albo Oleska. Ale w tym pewności żadnej nie ma, jeno tak mówi rozsądek. Natomiast lada dzień

zapewne stamtąd ruszą Świdrygiełłowi żołnierze dla wzmocnienia ochrony poselstwa. Rzecz więc w tym, jak uchwycić Czechów zanim połączą się z kniaziovym wsparciem? Nie byłoby to trudne, gdybyśmy wiedzieli, jaką drogę obrało poselstwo, ale nic o tym nie jest nam wiadomo... — zakończył przemowę pan Buczacki i od razu spojrzął na Czarnego, jakby od niego przede wszystkim spodziewał się rady.

Hubert poczuł się więc zobowiązany i zabrał głos jako pierwszy.

— Przemysliwałem nad tą sprawą od razu, jakem dowiedział się, że mam tej wyprawie towarzyszyć. Toteż nie na poczekaniu, a zastanowiwszy się, swój projekt przedłożę. Sądzę mianowicie, że nasz oddział winien stanąć w dobrze skrytym obozie, w pobliżu spodziewanej drogi poselstwa. Potem należy obstawić te drogi czatami i, co jeszcze ważniejsze, rozesać gońców po wsiach dostatecznie szeroko, jak można najdalej, ku Haliczowi. Niech rozgłoszą nagrodę temu, kto pierwszy przyniesie wieść o poselstwie. Nagroda musi być szczodra, niechby nawet i kilka grzywien, bo tego będzie warta, gdyż skoro już będziemy wiedzieć, gdzie szukać naszych gości, z resztą roboty łatwo się sprawimy!

Kiedy Czarny skończył, odezwał się jeden z dowódców chorągwi, Przemko z Chwastowa, rycerz już starszy wiekiem i doświadczony dowódca.

— Ani niczego ująć, ani niczego dodać... — oświadczył z powagą.

— Rzecz wywiedziona rozumnie, toteż głos mój daję za takim sposobem...

Ta wypowiedź jakby wyręczyła innych, bo nikt się nie odzywał, więc książ Michał oświadczył z zadowoleniem:

— No i obeszło się bez długiego Zgadania! Tak też i uczynimy! Jak przybiecam ze trzy grzywny, to chłopci po nocach spać nie będą warując przy gościńcach! Dla nich to wielki majątek, ten kto pierwszy da znać, bogaczem się stanie! Wszakże — zastanowił się — komu ma dostarczyć wiadomości? Czy do obozu?

— Może czatom, jeśli na drodze je spotkają? — odezwał się książ Murza.

— Wówczas będzie o nas wiadomo! Jak i to, gdzie stoimy...

— Niech zatem rozesańci gońcy pozostaną we wsiach i oni nam wieści przyniosą — poradził Przemko z Chwastowa.

— Tak też i uczynim! — zdecydował pan Buczacki.

Idąc szybkim marszem na czwarty dzień dotarli do Zborowa. O pół mili przed miasteczkiem skręcili w las i wkrótce znaleźli dobrze osłonięty chaszczami szeroki wąwóz ze strumykiem biegnącym jego dnem po kamieniach. Ciągnął się tu także wąski pas porośnięty trawą, co wraz z wodą stanowiło dobre zabezpieczenie dla koni. Pan Buczacki pierwszy zjechał po żwirowym stoku w dół, a za nim, nieraz na końskich zadach, i chorągwie.

Wnet ściągnięto z koni juki ze sprzętem, bo szli komunikiem, i zabrano się do stawiania szałasów oraz rozpalania ognisk, bacząc, by nie dawały dymu.

Zaraz po posiłku Buczacki znów zebrał dowódców chorągwi i polecił wybrać wśród ludzi takich, którzy pochodzili z tych stron i dobrze znali całą okolicę, by rozesać ich po wsiach z przyobiecaniem nagrody za dostarczenie języka.

Skutkiem tego natychmiast wyruszyli wyznaczeni żołnierze jak i czaty od strony Oleska i Zbaraża. Reszcie zaś nie pozostało nic innego jak oczekiwanie.

Choć piękna pogoda wciąż dopisywała, nie było czym wypełnić beczynnych dni. Pozostawało jedynie polowanie, konieczne zresztą dla zaoszczędzenia własnych zapasów, szczupłych, bo wozów nie było. Aby jednak nie dopuścić do zakłócenia porządku, bo każdy był chętny polować, książę Buczacki przykazał wyznaczać kolejne grupy na dostarczenie obozowi zwierzyny. Toteż rycerstwo oczekiwało swojej kolejki z niecierpliwością, jako jedynej rozrywki w obozowym bytowaniu.

Wreszcie, gdzieś po tygodniu, nadleciał goniec z tak niecierpliwie wyczekiwaną wieścią, donosząc, że liczny orszak zbrojnych, liczący paręset żołnierzy, ciągnie od Brzeżan i minął wieś Uroczysko.

Był więc nie dalej jak o cztery mile. Natomiast żadnych wiadomości od czat stróżujących drogi z Oleska i Zbaraża nie było, co wskazywało, że uderzenia w plecy, przynajmniej na razie, można się było nie obawiać. Toteż uradowany tak pomyślną sytuacją pan Buczacki zwinął obóz i ruszył w pochód.

Ominęli lasami Zborów i, nie wychodząc na gościniec, szli przelajem dalej. Teren był falisty, o licznych wzgórzach i kotlinach, ale grunt lichey, piaszczysty, porośnięty tylko miejscami i to wątłą sośniną.

Ujechali już ze dwie mile, kiedy osiągnąwszy szczyt kolejnego wzgórza ujrzeli wijącą się dołem jakąś rzeczkę i biegnącą wzdłuż niej drogę. Na drugim brzegu widać było zwaliska kamieni i stromy stok, natomiast dalszy odcinek drogi zasłaniała stroma skarpa wzgórza, porośniętego sosnami.

Buczacki wstrzymał wierzchowca i obrócił się do jadących przy nim towarzyszy:

— To chyba nie najgorsze miejsce, by się zasadzić! Z jednej stroiły rzeczka, choć mała, ale nie do przebycia, bo z drugiego brzegu wznosi się stroma skarpa! A jeśli, wieści są prawdziwe, to i czekać długo nie będziemy!

Ponieważ nikt nie zabierał głosu, Buczacki zwrócił się do dowódców i wyznaczył zadania. — Wasza wielmożność — polecił Przemkowi z Chwastowa — weź połowę ludzi, wyjeżdż do przodu i skryj ich na poboczu. Zagrodzisz im drogę od tyłu, ale bez wezwania nie uderzaj! Ja z resztą wojska zastąpię im drogę!

Przemko bez słowa obrócił konia, książę Michał zaś rozkazał jednemu z dowódców:

— Wybierz waszmość z pięćdziesięciu co lepszych łuczników i obsadz nimi szczyt owej skarpy, co wznosi się nad drogą. Na mój znak niech wypuszczą strzały, ale mierząc w końskie zady. Dopiero jak nakażę, niech rażą jeźdźców. Waćpan — zwrócił się z kolei do Czarnego — po zagrozeniu im drogi wyjedziesz jako mój wystannik i zażądasz wydania insygniów, po czym mogą wracać skąd przybyli, bo krwi ich nie požądam! Jeśli odmówią, wówczas najpierw ugodzimy z łuków, a dopiero potem ruszymy na nich!

Po wydaniu tych rozkazów Buczacki umiejętnie ukrył pozostałych ludzi i znów przyszło im oczekiwać, wszakże teraz już nie tak długo, bo nie upłynęło nawet pół dnia, kiedy zza zakrętu drogi rozległ się głos dzikiego gołębia. Wiedziano, że jest to umówiony sygnał, więc rycerze poprawili się w siodłach, ściągnęli wodze, niejeden złapał się za miecz, by sprawdzić, czy łatwo wychodzi z pochwy.

Wkrótce usłyszeli odległy gwar ludzkich głosów, stuk kopyt o kamienistą drogę i zaraz zza zakrętu wyłonił się oddział straży przedniej, gwarząc beztrąsko. Przepuścili go nie nagabując, ale kiedy w parę pacierzy potem ukazał się zbrojny oddział, a za nim tocząca się z wolna kareta, Buczacki trącił konia ostrogą i wyskoczył z zarośli, a za nim chorągwie wyjechały na drogę.

Poczet gwałtownie wstrzymał wierzchowce, kareta stanęła, a żołnierze jadący za nią zbliżyli się i ciasnym kręgiem otoczyli pojazd.

Buczacki stojąc na czele swoich ludzi spojrzął na Czarnego i hamując tańczącego konia rzucił krótko:

— *Próbujuj waść bez walki... bo to jednak poseł... Nas jest dwakroć więcej, może ustąpi...*

Czarny bez słowa ruszył z miejsca i skierował się ku poselskiemu pocztowi. Kiedy zbliżył się, uniósł dłoń i zawołał:

— *Chcę mówić z dowódcą! Jesteśmy wojskiem Jego Królewskiej Mości Władysława, króla Polski i Litwy!*

Z grupy czeskich rycerzy wysunął się okryty zbroją jeździec i zakrzyknął:

— *Jam dowódca pocztu Jego Cesarskiej Mości króla Czech i Węgier, Zygmunta! Dlaczego zastąpiliście nam drogę?! Czego od nas chcecie?!*

Czarny zrozumiał, o co chodzi dowódcy, mówiącemu po czesku, ale to było za mało, aby prowadzić dalszą rozmowę, więc przeszedł na niemiecki, który, jak się okazało, zna i Czech. W tym momencie ukazała się w oknie karety głowa mężczyzny, jakby dopiero na dźwięk niemieckich słów pasażer okazał zainteresowanie, co dzieje się na drodze.

— *Wiemy, co wieziecie!* — *oświadczył Czarny nie zważając na nowego słuchacza, mimo że domyślił się w nim samego posta. — Nie zamierzamy dopuścić, aby królewskie insygnia dotarły do tego, komu je wieziecie! Wzywam cię więc, jeśli chcesz uniknąć przelewu krwi, aby korona przeznaczona dla Świdrygiełły została nam wydana!*

Czech ze zdumienia aż zdarł wodzami swego konia i krzyknął:

— *Tyś chyba oszalał! Śmiesz tego żądać przeciw cesarskiej woli?!*

— *Mnie obchodzi jeno wola mego pana, króla Władysława! Zważ, że w razie oporu legniesz tu, na drodze, i ty, i twoi ludzie, bo nas jest dwakroć więcej! Obejrzyj się!*

Czeski dowódca mimo woli spojrzął za siebie. Kiedy spostrzegł tłum jeźdźców także od tyłu zagradzający drogę, na jego twarzy ukazał się na chwilę wyraz zakłopotania. Nie wpłynął jednak na decyzję, bo rzucił gwałtownie, chwytając za rękęjeść miecza.

— *Poczekaj no!* — *Czarny uniósł do góry rękę. — Zanim pójdziesz na pewną śmierć, pomyśl, czy warto! Gadać z tobą długo nie zamierzam, jeno dostaniesz pouczenie, co cię czeka!*

Podniesienie ręki było znakiem dla Buczackiego. Rozległ się przenikliwy gwizd i w chwilę potem kilkadziesiąt strzał poleciało z góry, rażąc wszakże tylko wierzchowce. Ugodzone bądź stawały dęba, bądź poczęły szarpać się i z kwikiem walić zadami powodując nieopisane zamieszanie i krzyki próbujących opanować je jeźdźców.

— *Czy chcesz, aby następne strzały ugodziły ludzi?*

Na tumult wywołany kłębiącymi się na drodze końmi z karocy wyskoczył wysoki, postawny mężczyzna o siwych włosach opadających na ramiona, już bogatym ubiorem zdradzając wysokie stanowisko, jakie musiał zajmować na cesarskim dworze. Dawano mu z szacunkiem drogę, nie zważał jednak na nikogo, lecz podszedł do dowódcy i rzucił marszcząc gniewnie brwi:

— *Co się tu dzieje?!*

— *Żołnierze króla Władysława* — *mruknął zagadnięty* — *zaszli nam z obu stron drogę i łuczników mają na wzgórzu* — *wskazał dłońią w łosiowej rękawicy na szczyt urwiska, gdzie strzelcy z łukami w rękach, nie ukryci już w zaroślach, byli na tle nieba dobrze widoczni.*

— *Czego wszakże chcą?!* *Może...* — *wstrzymał się i dokończył:*

— *Może nie wiedzą, kogo zatrzymali?*

— *Wiedzą aż za dobrze, wasza wysokość... — rzucił przez zęby Czech.*

— *Cesarskiej przesyłki żądają...*

Dygnitarz zachnął się.

— *A więc wiedzą! Mimo to jej nie dam! Nie odważą się na cesarskiego posła ręki podnieść! W razie zaś potrzeby będziemy się bronić, sam za miecz chwycę i stanę w szeregu!*

— *Wiele mi nie pomożecie, wasza wysokość! Wszystkich nas wybiją do nogi!*

To jeszcze obaczmy! Przecież wiesz doborowych rycerzy!

— *Polacy także nie gorsi... — dowódca wzruszył ramionami. — A do tego w dwójnasób liczniejsi, skoro zaś przyjdzie do walki, wprzódę połowę nas wystrzelają niczym kuropatwy!*

— *Ja wszakże korony dobrowolnie nie wydam! A waść odpowiesz za tchórzostwo przed cesarzem!*

Na te słowa Czech poczerwieniał na twarzy, wyrwał z pochwy miecz. To widząc polscy jeźdźcy także jak jeden wyciągnęli broń, która zamigotała w słońcu setkami ostrzy. Czarny widząc to zawołał do posła:

— *Ty tchórzostwa nikomu nie zarzucaj! Sam masz mi rzec, czy chcesz, abyśmy twoich ludzi wycięli do jednego! Ale to wiedz, że ty pierwszy głowę położysz!*

Spojrzał w górę i zawołał ku strzelcom:

— *Spuść mu tam który strzałę pod nogi!*

Ledwie przebrzmiał ten rozkaz nie jedna, ale kilka strzał świsnęło w powietrzu i utkwilo w piasku pod stopami pobladłego dygnitarza.

— *Gwałt to pogański! Cesarzowi skargę złożę! — krzyknął ten piskliwie, bo gniew ścisnął mu gardło.*

— *Złożysz, jeśli żywy ostanieś! A teraz dość gadania! Liczę do pięciu, jeśli zgody nie dasz, krew się poleje, ale twoja najpierw? — Czarny uniósł głowę do góry i rzucił donośnie:*

— *Brać siwego na cel! Jeśli dam znak, spuszczać cięciwy!*

— *Co powiedziały? — spytał poseł zgnębionym głosem dowódcę, bo rozkaz Czarny wydał po polsku.*

— *Po odliczeniu do pięciu pójdiesz, wasza wysokość, w ślady świętego Szczepana...*

Rozległo się z wolna odmierzane liczenie Czarnego.

— *Raz... dwa... trzy...*

Zrobiła się zupełna cisza pełnego napięcia oczekiwania. Poseł nie wytrzymał go i rzucił zdławionym głosem:

— *Ustępuję pod przymusem śmierci! Bóg i ci rycerze niech będą tego świadkami! Ale drogo zapłacą za to wasz król!*

— *Ostaw jemu tę troskę! Gdzie korona?!*

Poseł spojrział ponuro na Czarnego i mruknął:

— W karocy pod siedzeniem...

Czarny obrócił się do tyłu i zawołał:

— Jaksą, bierz Waśkę i Tomka i do mnie!

Kiedy podjechali, polecił pocztowym:

— Zajrzyjcie pod siedzenie w karocy! Musimy obaczyć na własne oczy tę cesarską puszkę Pandory!

Nie była to jednak puszka, a podłużna, ciemna skrzynka, okuta misternie brązem. Widząc w niej zamek, Czarny wyciągnął rękę do posła z krótkim rozkazem:

— Klucz!

Dygnitarz drżącymi palcami rozpiął kaftan i odczepił zwisający na łańcuszku kluczyk. Po otwarciu wieka ukazały się wewnątrz trzy puzdra. Kiedy otwarto i te, zamigotały złotem i drogimi kamieniami korona, jabłko i berło.

Czarny gwizdnął cicho.

— No... no... — mruknął z uznaniem. — Jego Cesarska Mość grosza nie pożalował...

Zamknął puzdra i wręczył skrzynkę Jaksie.

— Weź i dobrze ukryj w naszych jukach.

Z kolei zwrócił się do posła:

— Gdzie wasza wysokość zamierza się udać? W dalszą drogę czy zawrócić?

— Po co mam teraz jechać dalej?! — opryskliwie rzucił cesarski wysłannik odwracając się ku drzwiom karety.

Czarny polecił Tomkowi:

— Leć do Przemka i przykaż, by ich przepuścili!

Karoca z trudnością zawróciła na wąskiej drodze i poselski poczet ruszył w podróż powrotną. Kiedy mijali oddział Przemka, który ustąpił mu miejsca, rycerze czescy i polscy obrzucali się wzajemnie spojrzzeniami. Czescy spoglądali ponuro i gniewnie, polscy wprawdzie z wesołymi błyskami w oczach, ale milczeli, gdyż nie uchodziło dworować z przeciwnika ustępującego z pola.

Wkrótce oba wojska rozjechały się w różne strony. Buczacki był rad z przeprawy, zakończonej bez rozlewu krwi, co mogłoby wywołać kłopoty dyplomatyczne, gdyż cesarz nie omieszkałby ukazać światu Polaków jako morderców grasujących po drogach. Zagadnął więc wesoło Czarnego:

— Zgodnie z poleceniem waść masz zabrać koronę. Dokąd zamierzasz się udać?

— Najkrótszą drogą ku swoim. Do Lwowa mam najbliżej, bo w dwa dni powinienem tam dotrzeć. Skieruję się na Gliniany, zatem wnet się rozstaniemy. Zabiorę za pozwoleniem waszej wysokości ochotników, których przywiodłem spod Łucka, niech mnie odprowadzą.

— Tych za wielu nie jest, bo głównie przybyła z nami szlachta miejscowa. Przydam zatem waści chorągiew, niech odprowadzi przynajmniej do Glinian, bo lichy nie śpi, paskudnie by było przed progiem się potknąć...

— W rzeczy samej ostrożność należy zachować do końca — zgodził się Czarny. — Niechże zatem mnie odprowadzą, zresztą do Glinian nie więcej niż sześć mil, a tam już będę bezpieczny.

Do Lwowa Czarny dotarł bez przygód. Tam dowiedział się, że królewski dwór przebywa w Krakowie, więc zaraz ruszył dalej. Do Krakowa insygnia

królewskie dowiózł także szczęśliwie. Spoczęły one w skarbcu królewskim na Wawelu, co zaś potem z nimi się stało, historycy nie zdołali ustalić. Być może w wiekach późniejszych, w czasie walk ze Szwedami czy Turkami, wraz z innymi skarbami zostały zastawione na potrzeby wojenne, a potem, jako nie stanowiących narodowej pamiątki, poniechano ich wykupienia.

Cesarz Zygmunt siedział wygodnie rozparty w okrytym futrami fotelu i końcami palców drapał za uchem jednego z psów leżących u jego nóg. Przebywał obecnie na zamku w Ołomuńcu, gdzie wyznaczył spotkanie czeskim panom. Obrady dopiero się zaczęły, a już był nimi znużony, toteż teraz odpoczywał w swojej komnacie.

Towarzyszył mu wicekanclerz Kacper Schlieck. Stał przy otwartym oknie i spoglądał na gmatwaninę dachów pociętych ulicami miasta, rozciągniętego u stóp zamkowego wzniesienia.

Księżę Fryderyk magdeburgski zaprzepścił pod Tychowem dobrą okazję do rozprawienia się z heretykami... Tyle i tak dobrego wojska nie da się rychło zebrać powtórnie... — mruknął w pewnej chwili, nie odwracając się od okna.

— Istotnie, poruczyłem mu wielką armię, a on tak niecznie stchórzył! — parsknął Zygmunt — Nawet nie rozpoczynając bitwy! — dorzucił jeszcze bardziej gniewnie, jakby podniecając się własną złością.

Schlieck odwrócił się od okna.

— Fortuna ostatnio niezbyt nam sprzyja... — zauważył z goryczą.

— Nie mniejszą klęską jest to porozumienie Władysława z bratem...

— Uwzięłeś się, aby psuć mi krew! — warknął cesarz. — Niejedną noc przez to nie dospałem! Głupi prostak, widać wino rozum mu do cna pomieszało! Mołdawczyk uderzył, Zakon także, jeno on kitę podwinął i na pokój się zgodził!

— Toż i mówią, że lepiej z mądrym gnój wozić niż z głupim jechać karetą... Aleksander doszczętnie rozbity, a i Zakon wiele nie działał, bo jeno pograniczne ziemie ograbił, ale ani jednej chorągwi Polakom nie zniszczył! A do tego na sromotę się naraził, bo mu byle chłopska banda inflanckie i tucholskie rycerstwo wytepiła!

— Tyś istotnie się zawziął, by mnie pognębić! — już z wściekłością krzyknął cesarz, uderzając dłonią o poręcz fotela. — Jeszcze tego litewskiego

żubra obedrę ze skóry! Świdrygiełłę należy nadal wspierać, ale i nauczyć rozumu!

— Od korony mu go nie przybędzie...

— Niech no tylko ją wdzieje, inaczej Władysław zaśpiewa!

Rozmowę przerwało nieśmiałe pukanie do drzwi. Na niecierpliwie pytanie kanclerza uchyliły się i na progu stanął jeden z sekretarzy z rulonem papieru w ręku.

— *Wybaczcie, Wasza Cesarska Wysokość, ale wielce pilne pismo przyszło, przeto odważyłem się...*

— *Od kogo?! — rzucił niecierpliwie wicekanclerz wyciągając rękę.*

— *Dawaj!*

Od jego wielmożności pana Rotha. Osłabły od boleści w łóżu legł, przeto gońca przystał...

Schlieck odebrał pismo i skinieniem głowy odprawił sekretarza, po czym rozwinął rulon i przebiegł go wzrokiem. Kiedy skończył czytanie, spojrzął na monarchę i rzucił cicho:

— *Aż strach mówić...*

— *Gadaj bez zwłoki! Już wiem, że nic dobrego mi nie powiesz!*

— *Koronę Rothowi Polacy pod groźbą śmierci odebrali. Zgryziony, w boleści legł...*

Zygmunt siedział dłuższą chwilę bez ruchu, aż wreszcie odezwał się nadspodziewanie spokojnie:

— *Czytaj dokładnie...*

Kiedy wicekanclerz spełnił polecenie, milczał przez chwilę w głębokim zastanowieniu, wreszcie mruknął:

— *Hm... Przyjdzie szukać zgody z Jagiełłą, i to może istotnej... A w każdym razie nie szczędzić mu życzliwości...*

— *Wszakże napaść na posła, a do tego Waszej Cesarskiej Mości, toż to rzecz niesłychana!*

— *Dlatego wyślij pisma do Ojca Świętego i na europejskie dwory z powiadomieniem, jak niecny i pogański uczynek popełnił Jagiełło! Jak poturbował i ograbił z wszelkiego dobra naszego posła! Nie monarcha to, a zbój!*

— *Nie szkodziłoby i do niego wysłać pismo.*

— *Oczywiście! Ze słowami pozdrowienia i przyjaźni, o jakiej zapewniam go, mego druha i brata! A także wyraż wielki żal z powodu napaści Zakonu, który jednocześnie upominam i srodze naganiam!*

— *Nie wiem, czy ta wysłana przez Waszą Cesarską Mość korona zbytnio go w prawdzie waszych słów upewni!*

— *Toteż napisz jeszcze i to, żem niechętnie to uczynił, ale jako że nigdy danego słowa nie łamię, tak i tej obietnicy danej Wielkiemu Księciu Litewskiemu, choć bez nijakiej radości, chciałem dotrzymać!*